

STANISŁAW ZAKRZEWSKI

ZAGADNIENIA HISTORYCZNE

TOM I



LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
1936

ZAGADNIENIA HISTORYCZNE

I



DR. STANISŁAW ZAKRZEWSKI
PROFESOR U. J. K. WE LWOWIE

STANISŁAW ZAKRZEWSKI

ZAGADNIENIA HISTORYCZNE

TOM I



LWÓW

WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH

1936

1638
36

42132.1

I

Ossolinum

Lwów

7. XII 36

I/e

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

for



23/1936

Z Drukarni Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie
pod zarządem Adama Wierzbickiego

PANI
SYDONJI ZAKRZEWSKIEJ

POŚWIĘCA

AUTOR

ZARYS BIOGRAFICZNY

Rankiem dnia 15 marca bieżącego roku wstrząsnęła całym polskim światem historycznym niespodziewana żałobna wieść, że Prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego, Profesor Stanisław Zakrzewski — nie żyje. Wieść tak przerażająco bolesna i tak nagła, że niejednen jej uwierzyć nie chciał, uważając ją tylko za zły koszmarm senny. Wszak przed kilkunastu godzinami jeszcze snuł przed nami projekty na przyszłość. Przygotowywał złote gody Towarzystwa, dla którego tyle lat cennego swego życia poświęcił. Lecz nieubłagany los zrzędził inaczej, i dopiero kiedy odszedł w zaświaty, zrozumieliśmy, jak wielki Przyjaciel nas opuścił. Lecz „non omnis moriar”. Żyje wśród nas i żyć będzie w przyszłych pokoleniach miłośników przeszłości, którą Sam tak gorąco ukochał i której potrafił intuicją historyczną i trudem całego życia wydrzeć niejedną tajemnicę. Żyć będzie Jego myśl. I każdy z nas, zwłaszcza uczniowie tego Wielkiego Nauczyciela, chcąc, jak to zawsze dotąd bywało, porozmawiać z swoim Profesorem, weźmie w ręce te „Zagadnienia Historyczne“, gdzie się znajduje tyle bogactw myśli i idei.

Ś. p. profesor Stanisław Zakrzewski urodził się dnia 13 grudnia 1873 roku w mieszczańskiejsz warszawskiej rodzinie¹. Już we wczesnym dzieciństwie utracił rodziców i znalazł się pod opieką krewnych, którzy się Nim w okresie studjów gimnazjalnych troskliwie zajęli. Uczęszczał do gimnazjum V, które ukończył w maju 1893 r. Jak dla znacznej części ówczesnej młodzieży polskiej, zorganizowanej w tajne kółka, tak i dla Zmarłego nauka oficjalna stała na drugim planie, podczas kiedy główny punkt ciężkości spoczywał w t. zw. samokształceniu. Do tajnych związków wciągnął Zmarłego w IV klasie gimnazjalnej poeta Tadeusz Miciński, z którym ś. p. Zakrzewski

¹ Szkic niniejszy oparty jest na niedrukowanej autobiografji ś. p. Zakrzewskiego.

żył bardzo blisko. Ruch umysłowy kółek był bardzo żywy, o gimnazjum V opierał się zarząd kółek na całe Królestwo. Zarząd ten urządzał generalne zjazdy, wydawał tajne programy samokształcenia, zasilał inne gimnazja książkami i zorganizował u siebie centralną biblioteczkę. W całym tym ruchu brał ś. p. Zakrzewski bardzo czynny udział, wszak w owych konspiracyjnych czasach cały ciężar spoczywał zwykle na jednym kierowniku. Będąc w klasie VII, w roku 1892/3 był Zmarły właśnie takim kierownikiem i wtedy to zorganizował tajne wykłady historii polskiej. Na wykładowcę udało Mu się pozyskać samego Tadeusza Korzона. We wspomnieniach o tym historyku opowiada ś. p. Profesor, że wykłady te trwały przez czas dłuższy i wywarły wielkie na młodzieży wrażenie. Oprócz zagadnień z historii polskiej, ulubionym tematem odczytów i pogadanek urządzanych przez Zmarłego były zjawiska społeczne.

Liczne te zebrania, odbywane w mieszkaniu ś. p. Zakrzewskiego — a mieszkał już wówczas po śmierci krewnych na pensji w Alejach Jerozolimskich — zwróciły uwagę policji. Było to tem bardziej niebezpieczne, że Zmarły u siebie przechowywał centralną tajną biblioteczkę oraz hektograf do odbijania odczytów. Na szczęście były to już ostatnie miesiące nauki gimnazjalnej. Po ukończeniu ich, kiedy dalszy pobyt stawał się coraz bardziej niebezpiecznym i groziło aresztowanie, zdecydował się Zmarły opuścić Królestwo i wyjechał na dalsze studia do Krakowa. Było to we wrześniu 1893 r.

Rozpoczął się drugi okres w życiu ś. p. Zakrzewskiego, okres studiów uniwersyteckich. Z 70 rublami w kieszeni, które Mu miały starczyć na długo, stawał na obcym gruncie, wśród nieznanym sobie zupełnie ludzi. Początkowo zapisał się na matematykę, ale już wkrótce z nią zerwał, przenosząc się na historję. Tutaj znalazł się pośród uczniów Wincentego Zakrzewskiego oraz Stanisława Smolki. Punktem ciężkości studiów stały się seminarja i ćwiczenia Smolki, Zakrzewskiego i Krzyżanowskiego. Już w I półroczu studiów, w związku z ćwiczeniami prowadzonymi przez Smolkę, napisał Zmarły swą pierwszą pracę seminaryjną p. t. „O roczniku świętokrzyskim młodszym“. Jednak z powodu braku funduszy trzeba było na kilka miesięcy pracę przerwać i poświęcić czas lekcjom, dopiero uzyskanie od Smolki stałego stypendjum 23 guldenów miesięcznie, z czem był związany obowiązek pomagania bibliotekarzowi seminarjum historycznego, umożliwiło Zmarłemu powrót do pracy seminaryjnej.

W życiu ówczesnych słuchaczy historii brał Zmarły bardzo

żywy udział. Jako wiceprezes Kółka Historycznego wspólnie z prezesem ówczesnym ś. p. Wacławem Sobieskim zorganizował w 1896 r. obchód 35 rocznicy zgonu Joachima Lelewela, ażeby w ten sposób zaznaczyć swe stanowisko wobec t. zw. stańczyków. Było to niejako odpowiedzią na uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej ku czci Józefa Szujskiego w Collegium Novum. Z inicjatywy obu swych kierowników Kółko Historyczne odmówiło wówczas wzięcia udziału w tym akcie. W związku z obchodem Lelewelewskim ogłosił ś. p. Zakrzewski po raz pierwszy drukiem charakterystykę naukowej działalności Lelewela, w artykule krakowskiej „Krytyki“, z którego bije wielka cześć młodego historyka dla geniuszu Lelewela oraz chęć zwrócenia nań uwagi młodego pokolenia historycznego.

Ś. p. Zakrzewski, który sam o sobie mawiał, że przy bardzo żywej wyobraźni, lecz rychło nużącym się umyśle mógł pracować naukowo tylko okresami, przeplatając je dłuższymi okresami zainteresowań sprawami publicznymi, na czwartym roku studjów rzucił się w wir walk politycznych. Jeszcze w 1895 roku znaczna grupa młodzieży radykalnej tak z Królestwa, jak i miejscowej, oderwała się od Czytelni Akademickiej i utworzyła własną organizację „Zjednoczenie“, które pozostawało w żywych stosunkach z krakowską partją socjalistyczną. Wielką rolę w tem odegrał ś. p. Zakrzewski. I teraz razem z innymi członkami Zjednoczenia oddał swe siły partji socjalistycznej w związku z kampanją wyborczą 1897 roku. Oderwanie się od warsztatu naukowego spowodowało jednak rozluźnienie stosunków ze Smolką i seminarjum historycznem, co pociągnęło za sobą utratę stypendjum. Znalazło się jednak nowe oparcie finansowe. Mianowicie razem z Wacławem Sobieskim został ś. p. Zakrzewski w sierpniu 1897 roku wciągnięty przez Sewera (Maciejowskiego) do napisania „Historji Polskiej“. Inspiratorem całego planu był Stanisław Szczepanowski. Wezwani obaj do Lwowa, zawarli umowę, na podstawie której mieli dostarczać Maciejowskiemu całkowicie opracowany materiał, wzamian za co mieli otrzymywać aż do ukończenia pracy po 60 guldenów miesięcznie.

Mając tak zapewnioną najbliższą przyszłość, postanowił Zmarły rok szkolny 1897/98 poświęcić obok pracy nad „Historją Polską“ także studjom na innych uniwersytetach. Początkowo wyjechał do Wiednia, gdzie zajmował się ekonomją, uczęszczając na wykłady Philippowicha. Ponieważ niebardzo pociągał Go uniwersytet wiedeński, wyjechał do Berlina. Tu słuchał wykładów Schmollera i filozofa Paulsena, pracując równocześnie w seminarjum historycznem

u Scheffera i u Tangla. Jednak ze względu na pracę nad „Historją“ trzeba było wracać do Krakowa i wziąć się do intensywnego pisania. Lecz najbliższe miesiące miały przynieść Zmarłemu nowy cios; z początku 1899 roku całe przedsięwzięcie Szczepanowskiego załamało się. Miesięczne honorarium urwało się i ś. p. Zakrzewski, nieugięta i trudna do załamania się natura, stanął znowu do walki z opornym losem. Szukał oparcia w zawodzie nauczycielskim; otrzymał wreszcie kilkanaście godzin w liceum prywatnem, starania bowiem o otrzymanie posady w zakładzie rządowym spotykały się z odmową ówczesnej Rady Szkolnej Krajowej, dla której młody uczony był zdaje się zanadto „czerwony“, a powód odmowy się znalazł — wszak był obcym poddanym. Wypadki te miały i swą dobrą stronę, gdyż zmusiły ś. p. Zakrzewskiego do nawrotu do warsztatu naukowego i ukończenia studiów. Równocześnie stanął Zmarły w szeregu czynnych członków niedawno założonego Uniwersytetu Ludowego im. Adama Mickiewicza, z którego ramienia miał w Krakowie i w innych miejscowościach szereg wykładów, cieszących się wielkiem powodzeniem. I nic dziwnego; świetny mówca umiał do końca dni swoich porwać słuchaczy i prowadzić ich za swoją myślą. W czerwcu 1900 roku zamknął się okres studiów uniwersyteckich; ś. p. Zakrzewski uzyskał doktorat filozofji na podstawie rozprawy o najdawniejszych dziejach klasztoru cystersów w Szczyrzycu, przedstawionej w rok później na posiedzeniu Akademji Umiejętności i drukowanej w jej Rozprawach (tom 41).

Rozpoczął się nowy okres — pracy naukowej. Najbliższe lata, to czasy wytężonej pracy, której owocem szereg nowych rozpraw. Odnosi się wrażenie, jakby ś. p. Zmarły pragnął odrobić zaległości ostatnich lat działalności społeczno-politycznej — najbardziej wytężonym wysiłkiem w pracy naukowej. W tym samym jeszcze roku, co powyższą rozprawę, przedkłada Akademji dwie nowe prace. W jednej poddaje analizie słynną bullę papieża Innocentego II dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, w której papież uznał metropolitalny charakter Gniezna („Ze studiów nad bullą z roku 1136“, Rozprawy, t. 43), w drugiej stara się wykazać wzajemną zależność ziem polskich w okresie rozbicia dzielnicowego i omawia organizację grodową („Nadania na rzecz Chrystjana biskupa pruskiego w latach 1217—1224“, Rozprawy, t. 42). Do tego dodajmy pracę w Ekspedycji Rzymskiej. Z początkiem listopada 1900 roku zwrócił się do Zmarłego, zdaje się z inicjatywy Bolesława Ulanowskiego — z którym bliżej zetknął się ś. p. Zakrzewski jeszcze na trzecim roku swych

studjów, uczęszczając na jego ćwiczenia i wykłady, przyczem zyskał sobie jego życzliwość, — pełniący w owym czasie obowiązki sekretarza generalnego Akademji Smolka, równocześnie kierownik Rzymskiej Ekspedycji, z propozycją wyjazdu do Rzymu dla prac w Ekspedycji. Ś. p. Zakrzewski przyjął tę misję i już z końcem listopada tegoż roku był w Rzymie. Ten pierwszy pobyt w Rzymie trwał do czerwca 1902 roku i przyniósł trzy nowe cenne rozprawy, w których ś. p. Zmarły cofa się w odległe i tak nieznane czasy. Były to „Malowidła w podziemnej bazylice św. Klemensa w Rzymie“ (Rozprawy, t. 45). W pracy tej na podstawie rozbioru malowideł zajmuje się dziejami kultu św. Cyryla; w drugiej omawia dzieje klasztoru benedyktyńskiego św. Bonifacego i Aleksego na Awentynie i jego związki z Polską przez osobę św. Wojciecha („Opactwo benedyktyńskie św. Bonifacego i św. Aleksego na Awentynie w latach 977—1083“, Rozprawy, t. 45), wreszcie „Ossjak i Wilten. Przyczynek do poznania związków dynastycznych Bolesława Śmiałego“ (Rozprawy, t. 46), w której na podłożu dwóch legend o śmierci Bolesława Śmiałego, ossjackiej i wilteńskiej, omawia dzieje obu klasztorów i stwierdza, że w drugiej połowie XI wieku istniały stosunki między Piastami a temi klasztorami i ich fundatorami, przyczem stosunki te łączyły Polskę z obozem przeważnie antycesarskim. Pracami temi zdobył ś. p. Zakrzewski odrazu pozycję naukową. W lipcu 1902 roku został adjunktem w kancelarji Akademji, a w marcu 1903 na propozycję W. Zakrzewskiego i Krzyżanowskiego habilitował się, otrzymując „veniam legendi“ z historii polskiej w całym zakresie i historii powszechnej średniowiecznej.

Już kilka miesięcy po habilitacji w lecie tegoż roku zwrócił się do ś. p. Zakrzewskiego prof. Dembiński ze Lwowa z zapytaniem, czyby nie podjął się wykładów z nauk pomocniczych na Uniwersytecie lwowskim. Zmarły zasadniczo wyraził zgodę. Ponieważ jednak został zamianowany wydawcą depesz nuncjusza Caligari'ego, ustąpił z adjunktury i wyjechał na rok 1904/5 ponownie do Rzymu, przerywając rozpoczęte wykłady. Na wiosnę 1905 r. wrócił do Krakowa, przywożąc ze sobą dużo nowego zebranego materiału. Ponieważ już uprzednio zrezygnował z posady w Akademji, trzeba było iść do Lwowa, chociaż nominacja lwowska posuwała się we Wiedniu bardzo powoli; narazie skończyło się na bardzo skromnie wynagradzanej docenturze. Wreszcie w jesieni 1905 roku stanął ś. p. Zakrzewski przy warsztacie profesorskim lwowskim, gdzie miał wytrwać przez lat trzydzieści jeden.

Przyjazd do Lwowa zwrócił baczniejszą uwagę ś. p. Zakrzewskiego na zagadnienia polsko-ruskie. Daje temu wyraz w pierwszej na gruncie lwowskim pisanej rozprawie „Nad Wieprzem i Bugiem w wieku XI i XII“ (Przegląd historyczny, t. I), w której na tle ekspansji Piastów i Rurykowiczów porusza kwestję z dziedziny osadnictwa nad Wieprzem, stwierdzając na podstawie nazw miejscowych, że osadnictwo nad Wieprzem było rdzennie polskie, a na wschód od niego w dorzeczu Bugu zmieszało się bardzo silnie z elementem ruskim. I odtąd już nie spuścił z swych groźnych dla nas, Jego uczniów, a jednak dobrotliwych i przywiązujących do Profesora, oczu problemów polsko-ruskich. Młody historyk, pierwszorzędny umysł organizacyjny, zaledwie stanął w ośrodku ówczesnej organizacji historycznej małopolskiej, oddaje jej swe siły, obejmując obowiązki sekretarza Towarzystwa Historycznego. Wchodzi w bliższą styczność z jego organem, Kwartalnikiem Historycznym, drukując pierwszą w nim rozprawę „Piast czy Przemyślida“ (Rocznik XX, 1906). Lotny umysł ś. p. Zakrzewskiego nie dał się nigdy kierować wyłącznie w jednym kierunku, stąd to obok zainteresowań rubieżami wschodnimi równocześnie zajmują go zagadnienia czyto z polsko-morawskiego pogranicza, czy polsko-pruskiego. Nie zniechęcały Go do pracy ciężkie warunki materialne. Chociaż bowiem z początkiem 1906 roku został ponownie jednomyślnie przedstawiony przez wydział na katedrę nauk pomocniczych, sprawa nominacji szła bardzo powoli; dopiero w maju 1907 roku został zamianowany nadzwyczajnym profesorem historii polskiej. Do wyżej wymienionych prac przybywają nowe, jak „Analecta Cisterciensia“ (Rozprawy, t. 49), czy obfite w bogatą treść „Zagadnienia historyczne“, które są trzonem rozszerzonego późniejszymi rozprawami obecnego wydania dzieła. W tym czasie wyjeżdża na krótko po raz trzeci do Włoch, dla dokończenia rozpoczętych prac, lecz podróż ta okazała się zbędną wobec tego, że wskutek nieporozumień z Wincentym Zakrzewskim, jako dyrektorem wydawnictw historycznych Akademii, na tle technicznego wykończenia zebranego materiału rzymskiego, postanowił ś. p. Zakrzewski zrezygnować z dalszej nad tem pracy, mimo że włożył w nią dużo wysiłków, a zebranie i skompletowanie materiału zostało w znacznej części przez Niego dokonane.

Równocześnie pociąga Go do siebie znowu polityka. Pod wpływem Stanisława Grabskiego, z którym łączyła Zmarłego przyjaźń jeszcze z czasów gimnazjalnych, wszedł ś. p. Zakrzewski w krąg formującej się narodowej demokracji; „Słowo Polskie“ otworzyło Mu

swój feljeton, gdzie też bardzo często spotykamy się z nazwiskiem Zmarłego, poruszającego aktualne zagadnienia. W tym też czasie zrodził się plan wydawania miesięcznika literacko-naukowego „Ateneum Polskie“, którego naczelnym redaktorem został ś. p. Zakrzewski („Ateneum Polskie“ wychodziło tylko przez jeden rok i z przyczyn zdaje się finansowych upadło). Poza tem z ramienia narodowej demokracji wszedł ś. p. Zakrzewski w 1910 roku do Rady Miejskiej, przyczem „Klub obywatelski“ (dem.-narod.) desygnował go na II wiceprezydenta miasta. Odmówił — nie chcąc utrudniać sobie drogi w pracy naukowej, tem bardziej, że coraz więcej zniechęcał się do programu stronnictwa, co doprowadziło z początkiem 1912 roku do wystąpienia z niego. I chociaż później nieraz jeszcze dawał się wciągać do prac politycznych, nigdy tego nie żałował, uważając, co zawsze podkreślał, że znaczenie ich polega głównie na tem, iż pozwala zrozumieć tajniki historii, jej sprężyny i mechanikę, co dla historyków gabinetowych stanowi tajemnicę. A tem historyk-polityk góruje nad historykiem gabinetowym.

W roku 1910 powrócił ś. p. Zmarły do intensywnej pracy naukowej. Chodziło o wypełnienie zobowiązań po ś. p. Karolu Potkańskim, kiedy to Akademia poleciła ś. p. Zakrzewskiemu opracowanie najdawniejszych dziejów Polski. Owocem prac wstępnych była rozprawa „Studja nad starożytnościami polskimi“, którą Zmarły rozpoczął na własny koszt drukować. Niestety, poza obszernym komunikatem w Sprawozdaniach Akademii (rok 1910), nie dochowała się ta praca ani w rękopisie, ani w wydrukowanych już arkuszach, a tylko rezultaty jej przeszły do rozpraw późniejszych. Praca ta wraz z poprzednim dorobkiem naukowym stała się podstawą wniosku o uzyskanie tytułu profesora zwyczajnego, co też nastąpiło w kwietniu 1913 roku.

Nadeszła wielka wojna. W pierwszym zaraz jej roku spadł na ś. p. Zakrzewskiego nowy ciężki organizacyjny obowiązek. Ponieważ ówczesny redaktor Kwartalnika Historycznego wskutek inwazji rosyjskiej przebywał poza Lwowem, prezes Towarzystwa Finkel i wiceprezes Dembiński, obawiając się o losy Kwartalnika, zwrócili się do Zmarłego z prośbą o podjęcie się redakcji. Przez trzy lata (do końca 1917 roku) pełnił Zmarły ciężki obowiązek redaktorski, a że mimo braku funduszków pismo nie stanęło podczas wojny, i roczniki wojenne w niczem nie ustępowały w swej bogatej treści tradycjom przedwojennym, jest to wielką zasługą ś. p. Zakrzewskiego.

Okres wielkiej wojny i lata najbliższe po rok 1925, to okres

najbujniejszej także twórczej pracy naukowej i przypomina lata 1901—5. Jest to okres szeregu prac, poświęconych najdawniejszym dziejom polskim, w których Autor rzuca nowe światło na odległe i najmniej znane czasy naszej przeszłości. Zadanie miał tem ułatwione, że jako redaktor *Kwartalnika*, mógł w nim zamieszczać własne rozprawy. Pomysły ich rodziły się w miarę prac nad początkami dziejów Polski, opracowania przeznaczonego dla Akademii. Niektóre z nich, jak „*Źródła podań tyniecko-wiślickich*” (*Kwart.*, rocz. 28), „*Czeski charakter Krakowa za Mieszka I w świetle krytyki źródeł*“ (*ibid.* r. 30), „*Śląsk i Morawy za Mieszka I*“ (*ibid.* r. 31) czy wreszcie „*Opis grodów i terytorjów z północnej strony Dunaju, czyli t. zw. Geograf Bawarski*“ (*Arch. Tow. Nauk. we Lwowie*, 1917), ukazały się przed pojawieniem się wspomnianego wydawnictwa Akademii („*Historja polityczna Polski. Okres do schyłku XII wieku*“, *Encykl. Akad. t. V. cz. I*) i miały za zadanie poparcie poglądów, które z powodu braku miejsca nie mogły być szerzej rozwinięte w *Encyklopedji*. Podobną rolę miały spełnić także i późniejsze rozprawy, jak „*Najdawniejsza bulla dla Polski — Spostrzeżenia nad dokumentem Dagome iudex*“ (*Arch. Tow. Nauk. we Lwowie*, 1921), czy nawet „*Mieszko I — jako budowniczy państwa polskiego*“ (*Bibl. Składnicy, Warszawa* 1922). Że wspomniany artykuł w *Encyklopedji* spotkał się z ostrą krytyką — to tylko wynik nieporozumienia. Ś. p. Zakrzewski, jak sam opowiada w autobiografji, jeszcze jako adiunkt Akademii brał udział we wstępnych konferencjach inicjatorów „*Encyklopedji*“ i pamiętał, jak Bobrzyński i Ulanowski rozwijali tezę, że „*Encyklopedja*“ nie ma referować t. zw. obecnego stanu wiedzy, lecz tam, gdzie brak monografij, winna śmiało iść choćby nowemi zupełnie torami. Ś. p. Zmarły poszedł tą drogą — i to powód nieporozumienia.

Niesposób w krótkim zarysie omówić cały bogaty dorobek naukowy tego okresu. Przeglądając bibliografję prac ś. p. Zakrzewskiego, widzimy całe stronicę pozycij tych drobnych, ale jakże bogatych w treść artykułów, poruszających zasadnicze problemy tak z naszych dziejów dawniejszych, jak i chwili obecnej. Na kilka z nich pragnę tu jeszcze zwrócić uwagę. Nie mogąc się pogodzić z „*Duchem Dziejów Polski*“ Chołoniewskiego, dał własny pogląd w „*Ideologii ustrojowej*“. W podobnym duchu napisał także „*Historjografję polską wobec wskrzeszenia Państwa*“. Obie te prace znalazły się także w I tomie obecnych „*Zagadnień*“. Wypadki roku 1918 i 1919 skłoniły ś. p. Zakrzewskiego do poświęcenia im swego

pióra. „Protest przeciwko traktatowi brzeskiemu z ramienia Lwowskich Towarzystw Naukowych“, wyszedł z pod Jego ręki. Stosunkom polsko-ruskim na Ziemi Czerwieńskiej są poświęcone: „Polacy i Rusini na Ziemi Czerwieńskiej w przeszłości“, „Wpływ sprawy ruskiej na państwo polskie w XIV wieku“, „Dwa przyczynki interpretacyjne polsko-ruskie z lat 1338 i 1340“, czy wreszcie liczne artykuły pism codziennych.

Zbliżająca się rocznica koronacji Chrobrego skłoniła ś. p. Zakrzewskiego do poświęcenia temu wielkiemu Piastowi specjalnego dzieła. Ułatwiał zadanie fakt, że temat nie był dlań nowy; wszak okres piastowski to umiłowana Jego epoka, której głównie swoje siły poświęcił. I postawił bohaterowi swemu pomnik, godny Wielkiego Budowniczego Polski. W wykutą przez siebie postać tchnął ducha i przemówił do nas o swoich czasach Wielki Piast. Było to już ostatnie wielkie dzieło ś. p. Zmarłego. Porwany w wir prac politycznych, — w latach 1928—1935 piastował godność senatora Rzeczypospolitej, — zawsze jednak choćby drobniejszemi rozprawami dawał znak, że nie wypuszcza z ręki pióra. Dopiero kiedy znowu poczuł się wolnym od innych zajęć, rozpoczął w ostatnich miesiącach przygotowania do nowego dzieła, które chciał poświęcić legendarnym dziejom polskim. Nie było Mu już jednak dane dokonać tego zamierzenia.

Równocześnie rozwija ś. p. Zakrzewski owocną działalność w zorganizowaniu całego świata historycznego polskiego. W 1923 r. został prezesem ówczesnego Towarzystwa Historycznego. Praca z tem związana powiększyła się znacznie z tą chwilą, gdy z początkiem 1925 roku zostało Towarzystwo zorganizowane na ogólne „Polskie Towarzystwo Historyczne“, oparte na oddziałach, głównie w miastach uniwersyteckich, o czem zadecydował zjazd delegatów wszystkich ośrodków naukowych. Zreorganizowane Polskie Towarzystwo Historyczne wzięło na siebie od dawnego Towarzystwa obowiązki zarządzania zjazdów historyków polskich. Ś. p. Zakrzewski jako prezes Towarzystwa aż do ostatnich swoich chwil (z przerwą jedynie dwu lat 1932/4) doprowadził do skutku trzy zjazdy ogólnopolskie, a to w Poznaniu (1925), Warszawie (1930) i Wilnie (1935). I tu także ogromna Jego zasługa.

W nagrodę swej wielkiej pracy naukowej uzyskał całkowite uznanie świata naukowego tak polskiego, jak i zagranicy. Nie będę wymieniał tu wszystkich Towarzystw, które poczytały sobie za zaszczyt mieć Go w gronie swoich członków. Z polskich wymienię

tylko Polską Akademię Umiejętności, której członkiem czynnym został w 1927 roku. W 1928 został zamianowany zagranicznym czynnym członkiem Czeskiego Królewskiego Towarzystwa Naukowego, w rok później korespondentem Instytutu Słowiańskiego w Pradze i w tymże samym roku korespondentem Węgierskiego Towarzystwa Historycznego.

Śmiało można o Nim powiedzieć, że całym swoim życiem wystawił sobie pomnik, który przetrwa po Nim długie lata.

Na zakończenie muszę dodać pewne wyjaśnienie. Treść i układ obu tomów „Zagadnień“ ułożył sam ś. p. Zmarły, który także zdołał jeszcze zrobić pierwszą ich korektę. Ponieważ ś. p. Profesor jeszcze na kilka godzin przed swym zgonem, pokazując mi zrobioną korektę, dzielił się ze mną szczegółami wydania tej pracy, przeto po Jego śmierci uważałem za swój obowiązek przeprowadzić ostateczne przygotowania, związane z drukiem „Zagadnień“.

BRONISŁAW WŁODARSKI.

We Lwowie, w dniu Św. Stanisława bp., 1936 roku.

KULTURA HISTORYCZNA

KONIECZNOŚĆ DYSKUSJI NA TEMAT HISTORJOZOFICZNY

ZAMIAST PRZEDMOWY

Oddając tych kilka wykładów razem zebranych do użytku szerszej publiczności, czynię to z dwóch powodów. Łączy je bowiem wspólna forma wykładu; uwalnia ona zarazem autora od zaopatrywania swych opinij w aparat krytyczny, nie mający na tem miejscu żadnego celu. W razie polemiki może być ona z większą korzyścią dla nauki prowadzona na łamach pism fachowych.

Ponadto wykłady te wypadało zebrać także ze względów rzeczowych. Łączy je bowiem, bez względu na różnice tematu, ciągłość myśli. W trzech ostatnich studjach przedmiot uwag naszych i rozmyślań stanowi przeważnie epoka piastowska. Uwagi te jednak znajdują się w organicznym związku z teoretycznymi spostrzeżeniami, rozwiniętymi w Kulturze Historycznej. Chociaż więc „Zagadnienia“ noszą charakter szkiców, niemniej jednak posiadają dosyć cech wspólnych, które tworzą z nich całość.

Zakopane. We wrześniu 1907 r.

KULTURA HISTORYCZNA

Zagajając rzecz o kulturze historycznej, czuję potrzebę krótkiego usprawiedliwienia się. W literaturze naszej na palcach można policzyć rozprawy, poświęcone teoretycznym rozważaniom. Pomimo nader silnego ożywienia na polu samej fachowej pracy, ożywienia, które w ostatnich latach może się wykazać wcale licznym szeregiem dzieł i mniejszych rozpraw, zawsze po dawnemu istnieje niechęć do jakichkolwiek prób teorii.

Daliśmy się o wiele wyprzedzić cudzoziemcom na tym punkcie. Literatury takie, jak francuska, angielska, niemiecka, rosyjska, posiadają długi poczet prac, że wymienię nazwiska Seignobosa, Langlois, Freemanna, Bernheima, Lamprechta z jego całą literaturą polemiczną, Kariejewa, Miliukowa. U nas w ostatnich czasach można wskazać na kilka rozpraw, poświęconych metodologii historycznej. Wszystkie one jednak posiadają charakter okolicznościowy i fragmentaryczny. Niema nadto mowy o tem, żeby wśród badaczy panowały jednolite zapatrywania na przedmiot, zakres metody naszej wiedzy, na jej stosunek do innych umiejętności ludzkich; niema mowy o tem, żeby można było te zapatrywania ująć w jakieś panujące prądy, które byłyby dowodem stałego i żywego interesowania się problematami teoretycznymi. Tu i owdzie pojawi się jakiś sprawozdawczy artykuł, pobieżnie zazwyczaj informujący nas o tem, co się dzieje zagranicą. Przeważnie też, nie mogąc absolutnie obejść się bez teorii, żyjemy wyłącznie okolicznościowym importem z zagranicy. Nie chciałbym twierdzić, że umysł polski wogóle nie znosi rozumowań abstrakcyjnych, chrzcząc je odrazu mianem metafizyki¹. Być może, że poczęści słuszny jest pogląd, odsadzający nas od upodobania w teoretycznych roztrząsaniach.

Są jednak i inne przyczyny dosyć łatwe do uchwycenia.

Tkwią one poczęści w ogólnym już rozwoju umiejętności ludzkich w wieku XIX, a więc poza obrębem naszych specyficznie stosunków. Powstawały i powstają coraz to nowe specjalne umiejętności, uszczuplające zakres dawniejszych, występujące wobec nich lub zaczepnie, lub wprost negująco. Dosyć tu wskazać na całkiem

¹ Taki zarzut i nasze spotkał szkice.

niejasny dotąd stosunek nauk społecznych do historii, to samo można stwierdzić częściowo w rozwoju nauki geografji, a nawet takich specjalnych działów, jak historia literatury lub sztuki.

Od tych przyczyn ogólnych, tkwiących w rozwoju samej nauki, musimy wyróżnić właściwe polskie przyczyny. Brak polskiego wyższego szkolnictwa na obszarze większej części ziem polskich stanowi o przewadze, w okresie umysłowego dojrzewania, pierwiastków niemieckich i rosyjskich. Na naszych zaś polskich uniwersytetach strona filozoficzna, bądź też metodologiczna, jest bardzo zaniedbana w studjum historycznym, na co dawniej jeszcze uskarżała się sama młodzież. W ostatnich wprawdzie czasach jest pewna zmiana na lepsze, ale daleko jeszcze do tego, żeby młodzież na uniwersytetach otrzymywała moralną choćby zachętę do systematycznych studjów w tej dziedzinie.

W dziedzinie tych studjów uderza zwłaszcza jeden brak; a to taki rozkład godzin wykładów i ćwiczeń, że młodzież z największą tylko trudnością i tylko sporadycznie może, przebywając np. na wydziale filozoficznym, uczęszczać na wykłady umiejętności prawnych i ekonomicznych, tyle ważnych dla historyka.

Braki uniwersyteckie są zresztą częstką drobną zagadnienia, skąd płynie naogół małe dziś znaczenie historii w naszym umysłowym życiu. Historia nie jest popularna. Wielkie dyskusje historyczne na temat różnych doniosłych pytań — należą do przeszłości. A nawet interesowanie się historją, książką historyczną, wykładem historycznym, nie jest takie (poza uniwersytetem), jakie być powinno. Jest to nieomylny znak, że w naszej kulturze duchowej historia nie odgrywa należytej roli.

Do spaczenia zapatrywań naszych na kardynalne pojęcia o wiedzy historycznej wpływa także w wysokim stopniu ogólna dezorganizacja społeczna, jakiej ulegliśmy pod wpływem niewoli. Krępowanie naszej działalności na różnych polach sprowadza w następstwie fakt, że do tego zacieśnionego horyzontu przyzwyczajamy, dostosowujemy nasze oko, nic więcej poza nim nie widząc. To zaś, co widzimy, podnosimy do wartości naukowego dogmatu.

Środek zaradczy na wskazane braki może być podwójny; z jednej strony możliwe rozszerzanie ram i treści własnego cywilizacyjnego życia, z drugiej strony zagajanie choć od czasu do czasu dyskusji na temat najogólniejszych zagadnień naszej fachowej wiedzy.

Parę takich pytań pragnę właśnie omówić na tem miejscu.

I. INTUICJA HISTORYCZNA ¹

Negacyjne stanowisko teraźniejszej chwili wobec przeszłości. — Ciasnota pojęć o historii. — Cel historii. — Co to jest intuicja historyczna. — Nasi poeci a historia. — Wpływ życia wielkomięjskiego na stosunek do historii. — Dziecko polskie a historia Polski. — Muzea i obchody narodowe jako środek ćwiczeń historycznych. — Ognisko domowe, rozważane z tego samego stanowiska. — Kult rodowy Greków i Rzymian. — Kult rodowy a chrześcijaństwo. — Kult rodowy a państwo japońskie. — Potrzeba renesansu i recepcji pojęcia rodu. — Potrzeba żywego obcowania z przeszłością.

W dzisiejszych czasach coraz wydatniej objawia się dążność do osiągnięcia takiego stopnia doskonałości w ukształtowaniu ludzkiego indywiduum, aby stopień ten mógł odpowiadać w pełni ideałowi o całym człowieku. Stara rzymska sentencja — *homo sum et nil humani alienum a me esse puto* — coraz głośniejsze dopomina się o powszechne prawo obywatelstwa.

Opinia współczesna — zwłaszcza u nas — jest świadkiem, jak z różnorodnych warsztatów cywilizacji ludzkiej wydobywają się głosy żądające, aby je każdy z osobna uwzględniał jak najszerzej podczas tego procesu — lepienia całego człowieka. Ma on być przede wszystkim zdrow fizycznie, mówi higienista; powinien mieć ducha wrażliwego na piękno w jego wszelkich objawach; filozof żąda myślenia zapomocą filozoficznych kategorii, polityk rozumowania zapomocą politycznych. Głosów tych i żądań jest tak wiele, jak wiele stron ducha ludzkiego, idących prawie w nieskończoność. Nie może więc braknąć głosu historyka, który może formułować swe żądania w sposób rozmaity. Można żądać od człowieka nie tylko wykształconego, ale inteligentnego, by w rozważaniu problemów życia teraźniejszości i najbliższej przyszłości — obok innych metod i kątów widzenia — stosował metodę historyczną.

Pozwalam sobie, jako historyk, nie w formie uczonego i ści-

¹ Odczyt wygłoszony w listopadzie 1906 r. w Związku Naukowo-literackim we Lwowie. Wykład ten był ogłoszony potem w „Słowie Polskiem“ pod ogólnym tytułem: „Kultura historyczna“.

słego wywodu, ale w kształcie luźnej pogadanki, poruszyć szereg zagadnień, dających się wywołać przez postawienie takiego oto pytania. Jaka jest rola kultury historycznej w ogólnej kulturze ludzkiej, w jakim stosunku do ogólnej psyche ludzkiej znajduje się historia.

Życie ludzkie, życie społeczne, rozważane ze stanowiska historyka, dwa wykazuje rysy. Jeden twórczy, niezadowolony z istniejącego stanu rzeczy, wiecznie w pogoni za nowością. Rys ten szczególnie się przejawia podczas wielkich wywrotowych momentów, wielkich rewolucyj. W powszechnem europejskiem życiu zdobył się on nawet na metodę i szkołę w postaci racjonalizmu anglo-francuskiego w połowie XVIII wieku.

Zastanówmy się nad nim chwilę. Znamy go bowiem dobrze z własnych ostatnich dziejów, kiedy przez lat czterdzieści społeczeństwo nasze ulegało wpływowi t. zw. pozytywizmu, znanego pod tym sztandarem w Królestwie, ale rozpowszechnionego i w reszcie ziem polskich więcej może, niż przypuszczamy, bez względu na koła społeczne i bez względu na partje jakiegokolwiek barwy. Ze stanowiska historycznego zwracamy uwagę na tę stronę pozytywizmu, która określa jego stosunek wobec przeszłości.

Hasłem ruchu jest rozbrat z przeszłością. Umysł zwrócony wyłącznie w przyszłość, w wiecznej pogoni za skryształizowaniem oderwanego ideału, czy chodzi mu o zbudowanie doskonałego państwa, czy szlachetnie urządzonego społeczeństwa, na przeszłość będzie spoglądał równie krytycznie i z równą dozą politowania. Prawda, stara Polska szlachecka wic się będzie z bólu, wzięta pod skalpel pióra zagorzałego warszawskiego pozytywisty.

Nietylko jednak pozytywizm stawiał dzieje Polski pod pręgierz swych wolnomyślno-demokratycznych przekonań. To samo, choć innym sposobem, czyni historjografia naukowa doby po 1863 r. Bez względu na przekonania polityczne i społeczne różnych obozów, ścierających się na terenie polskim po r. 1863, przeszłość była czy poniewierana, czy gromiona, poprawiana, sądzona.

I to prawda, że ten niwelacyjny prąd względem własnej przeszłości nie tłumaczy się wyłącznie filozoficznym sposobem myślenia, jaki w tej dobie panował. Dużo bardzo daje się odnieść do pesymizmu, który był następstwem wydarzeń r. 1863. Dużo jest następstwem wychowania, jakie przeszła inteligencja w szkołach rosyjskich, niemieckich i ziemczonych. Bez względu jednak na różne przyczyny, rzecz zachowuje swe jądro i rezultat pozostaje ten, że

do dziś dnia z tym niwelacyjnym prądem wobec przeszłości musimy się liczyć jako czemś stałem.

Znam wielu ludzi, co cenią własną przeszłość, a pomimo tego wzdrygają się na widok kontuszowców, jakgdyby stawał im przed oczyma wampir Polski szlacheckiej, są też tacy, którzy nie żywiąc odrazy, śmieją się w duchu do rozpuku ze śmiesznego przywdziewania na się starych, świecących gałganów.

I dzisiaj także patrzymy często, jak ludzie czasem bardzo uczeni, bardzo nawet miłujący przeszłość, nie mają odwagi zajrzeć przeszłości oko w oko, przyjąc ją *en bloc* bez zastrzeżeń. I zawsze są skłonni do jej obkrawywania, naciągania do swych chwilowych celów i zapatrywań. Czy wieczna tendencja do obcinania granic przyszłego państwa polskiego, czy co gorsza dowolne zwężanie granic ekspansji i energii społecznej żywiołu polskiego, czy wzorowanie się ciągle i bezustanku na wzorach zagranicznych w wypadkach różnego rodzaju reform, czy ciągle patrzeć na stosunki polskie przez pryzmat obcych, czyto niedorzeczne szukanie wiedzy zagranicą w zakresie rzeczy polskich i wiele, wiele innych faktów — wszystko to szczegółowe objawy tego powszechnego zjawiska — pustki wewnętrznej, o ile chodzi o stosunek do przeszłości.

Znana maksyma, że Polacy wszystko gotowi rozpocząć i napocząć, ale nie umieją wykończyć (zresztą fałszywa), w znacznej mierze tamtą tłumaczy się przyczyną. Ten prąd niwelacyjny, dążący do twórczości obliczonej jedynie na przyszłość, koniec końców wyjaławia się.

Za nowym pomysłem zjawia się inny, lepszy, nowszy zresztą — i nie od dziś jesteśmy świadkami i widzami na naszym gruncie prawdziwie zawrotnego tańca pomysłów coraz to świeższego importu, coraz to innej marki.

Człowiek i społeczeństwo bez zmysłu historycznego, to człowiek także, ale bez duszy.

Dziś, kiedy donośnie rozlegają się dokoła nas okrzyki: dziś historii nie piszemy, my ją dzisiaj tworzymy — jednak wzmaganie się twórczości narodowej dokonywa się pod egidą instynktowego niejako oglądania się na przeszłość. I można mieć nadzieję, że odrodzenie narodu pójdzie w kierunku harmonizowania owego pierwszego prądu, doprowadzonego *ad absurdum*, z drugim, tym właśnie zmysłem historycznym.

Nie przeczę, że i on sam przez się może być niebezpieczny. Czytanie powieści jest naprawdę przyjemne, ale, uprawiane wy-

łącznie, doprowadza do degeneracji umysłu. Przesada w uwielbianiu przeszłości doprowadza do szkodliwego cywilizacyjnego konserwatyzmu, do zaskorupiania w starym obyczaju, do skostnienia. Nie potrzeba wskazywać znanych przykładów, stwierdzających, jakie się w tem kryje niebezpieczeństwo.

Nie waham się jednak stwierdzić, że u nas do tego niebezpieczeństwa tak bardzo i bardzo daleko, że raczej za wiele potrzeba historyczności jeszcze na bardzo długie lata.

Pojęcie historii, jakim dziś operujemy, jest niesłychanie kuse. Zawdzięczamy je zależności dzisiejszej umysłowości Europejczyka od materialnej strony cywilizacji.

Pojęcie historii uważam za ciasne także z tego powodu, że uwzględnia ono tylko te dane, które daje część tylko historii, t. zw. wiedza historyczna. Obok niej jednak jeszcze istnieje coś nierównie ważniejszego, co możemy nazwać odczuwaniem czy wyczuwaniem historii, a co się dobrze tłumaczy przez wyraz intuicja. Intuicja zatem, to pierwszy element kultury historycznej. Stanowi ona duszę drugiej strony tejże kultury, strony, która nazywa się wiedzą historyczną. Człowiek bez intuicji historycznej, a obdarzony wielką wiedzą historyczną, może nawet wielkie tomy zapisywać, z których będzie wiała bezdenna pustka; to tak, jakgdybyśmy rycerza w pełnem średniowiecznem uzbrojeniu nie podsadzili na konia, ale pie-szo kazali mu się potykać.

Wciąż popełniamy ten sam błąd, że liczymy się tylko ze zrozumieniem przeszłości, a zapominamy o jej wyczuwaniu. Słusznie potępiamy przyswajanie dziecku jedynie chronologicznej strony wydarzeń, o ile chodzi o porządkowanie zjawisk historycznych i dopominamy się o rozszerzanie jego widnokręgu historycznego, ale to wszystko mało. Nauka historii musi iść drogą przyswajania dziecku całej atmosfery historycznej, nie tylko nauki w ścisłem znaczeniu wyrazu, ale i ciągłego ćwiczenia młodszych i starszych w wyczuwaniu przeszłości.

Zastanówmy się więc, jaka jest wspólna cecha wpływu obydwóch wskazanych stron kultury historycznej na człowieka, aby je później rozważyć z osobna.

Tą najogólniejszą wspólną cechą będzie niewątpliwie jedna, znana dobrze z innych kategorii ludzkiej cywilizacji. Ludziom bez wspólnej przeszłości trudno ze sobą się porozumiewać, trudno im wchodzić ze sobą w jakikolwiek kontakt. Niedaleko szukając, u naszych najbliższych sąsiadów na tutejszym gruncie, możemy objaw

ten doskonale obserwować. Brak tradycji wytwarza dezorganizację społeczną, a co ważniejsza dezorganizację poczucia solidarności moralnej, jaka stanowi cement spajający narody i społeczeństwa.

Znana jest siła wspomnień historycznych; zdolna jest ona w chwilach wielkiego podniesienia ducha godzić zwaśnionych i najzaciętszych wrogów. Pamięć wspólnie dokonywanych wielkich czynów, a nawet co szczególnie jest osobliwe, pamięć bojów i walk staczanych ze sobą — obok uczucia zemsty, staje się w pewnych wypadkach podkładem do wytworzenia spójni duchowej wśród spadkobierców i potomków walczących niegdyś obozów.

Historja, jako czynnik łączący ludzi, jest niewątpliwie potężniejszym środkiem komunikacji pomiędzy ludźmi niż religje, które raz objąwszy szerokie zbiorowiska ludzi, głównie na zasadzie rasowej, raczej są później ekskluzywne; katolicyzm zatem np., złączysz wielkie rzesze ludzi pod swoim sztandarem, utrudnia jednak katolikom łączność myśli z mahometanami, i to samo można powiedzieć o każdej religji. Natężenie działania historji jest naturalnie znacznie od religijnego słabsze, zato na pewno jest silniejsze od wpływów sztuki i pięknej literatury, z których te same można wydobyć elementy.

Tak więc ogólny cel historji stanowi stwarzanie drogą znajomości i rozpamiętywania przeszłości — duchowych dóbr, łączących oddzielne indywidua i społeczności ludzkie.

Rozwijając dalej ową nić wspólnych cech czy wiedzy czy intuicji historycznej, nasuwa się przed oczy kwestja podobieństwa i różnic pomiędzy historją powszechną a narodową, bez względu na sztuczność tego podziału. Niewątpliwie siła intuicji historycznej w rozważaniu wypadków powszechno-dziejowych jest znacznie słabsza, niż w historji narodowej. Zato znaczenie wiedzy historycznej jest bezporównania większe w odniesieniu do dziejów powszechnych, niż w zakresie historji narodowej. Fakt ten waży ciężko w pedagogice historycznej i nie waham się powiedzieć, że mała doza strony intuicyjnej w przyswajaniu człowiekowi dorobku powszechno - dziejowego wyraźnie mówi przeciw opieraniu studjum historycznego w pedagogji dziecka o t. zw. dzieje powszechne.

Ale czas już przejść do określenia tych szczegółowych rysów, cechujących zosobną wiedzę, a zosobną intuicję historyczną.

Zacznijmy od intuicji.

Intuicję historyczną nazywam talent historyczny, a tłumacząc się na język polski, taką zdolność umysłu ludzkiego, która go

uzdalnia do odczuwania związku pomiędzy teraźniejszością a przeszłością. Wyczuwanie przeszłości może więc się odnosić do żywego przeświadczenia, że życie bieżące jest tylko dalszym ciągiem nici, wysnuwanej z kłębka spowitego w pomrokę dziejów. Ale wyczuwanie to daje coś więcej, silne jego natężenie, występujące w pewnych organizacjach duchowych, prowadzi — nawet przy małej wiedzy historycznej lub braku umiejętnej metody — do odtwarzania rysów przeszłości, czasem wbrew rezultatom wiedzy historycznej, a jednak zgodniej z prawdą.

Zjawisko intuicji historycznej jest zapoznawane przez współczesnych badaczy dziejów. A jednak na innych polach twórczości ludzkiej jest ono uznawane w całej pełni. Na jednym i tym samym fortepianie każdy z uczniów tego samego konserwatorium dany utwór inaczej wygra, zależnie od swego talentu. Taka sama rola przypada w udziale badaczowi dziejów.

Nie chcę zresztą mówić wyłącznie o historykach, mówię wogóle o ludziach.

Analiza zawartości pojęcia intuicji historycznej prowadzi do następujących rezultatów: jest ona nieodłącznym atrybutem cywilizowanego człowieka. Wytwarza przytem sobie pewne formy, za pomocą których panuje nad człowiekiem. W odniesieniu zaś do bieżącej chwili w rozwoju społeczeństw europejskich, intuicja ta jest czynnikiem upośledzonym. I niewątpliwie potrzeba środków zaradczych i odpowiednich ćwiczeń, żeby ją utrzymać w stanie żywym.

W galerji naszych polskich postaci, zwłaszcza w historii polskiego ducha uderza silnie występująca intuicja historyczna.

Większość wybitnych historyków zaczynała od poezji — prawda. Prawda, że poetami byli przeważnie bardzo kiepskimi. Wspomnę Naruszewicza, Szajnochę, Szujskiego, Bielowskiego i wielu innych. To paranie się z poezją nie tyle świadczy o tem, żeby w nich tkwił prawdziwy talent poetyczny, ile wogóle stwierdza istnienie wybitnej fantazji twórczej i dużego napięcia uczuć. Kierowane na pole poezji nie przynosi plonu, i dopiero zwrócone w stronę badań historycznych, objawiają się w formie szczególnego związku pokrewieństwa między poezją a historjografią w ścisłym słowa znaczeniu, cechującym rozwój naszej myśli historycznej.

Nietylko zresztą u nas. Podobne objawy odnajdujemy w istotnych cechach twórczości niektórych dziejopisarzy niemieckich, że tu wspomnę tylko Droysena.

I odwrotnie. Szereg poetów zaczynał od powieści historycznych, a najwięksi, jak Mickiewicz i Słowacki, byli obdarzeni tak ogromną intuicją historyczną, że pierwszy kompozycją kursu literatur słowiańskich osiągnął znaczne rezultaty, a drugi miewał formalne wizje przeszłości, których może mu pozazdrościć najwybitniejszy fachowy historyk.

Zastanówmy się nad jednym z uogólnień historycznych, zawartych np. w „Królu Duchu“ Słowackiego. Poeta z naciskiem zatrzymuje uwagę czytelnika na związku psychicznym, jaki zachodzi pomiędzy Królem Duchem a podwładnym mu ludem. I widzi pierwsze stadium tego węzła w strachu, w przerażeniu, któremu ulegają ludzie czy na widok władzy, czy na samą myśl o niej. Przerażenie to jest tak wielkie, władza tak zapanowuje psychicznie nad ludem, przerażenie osiąga tak wysoki stan napięcia, że przechodzi bezpośrednio w uczucie miłości:

Na świecie o mnie śniono. Śród czeladzi
W podziemnych kuchniach gadano, żem błady
Jak miesiąc, gdy się przejrzy w krwawej kadzi,
W której pływają gniazdem wężogady.
Ze gwiazda złota jakaś mię prowadzi
Purpurowe tu tłoczącego ślady
W ciemny kraj — gdzie się wszelka dusza wściekła,
Na Króla Duchów czerwonych — do piekła.
A co dziwniejsza, że mię ukochano
Za siłę, za strach i za męczarnie... ¹

Tymczasem takie ujęcie momentu historycznego w rozwoju stosunku władcy do poddanych jest obce naogół historjografii pierwszej połowy XIX w. Literatura historyczna tych czasów tonie przecież w sentymentalizmie, który historję zaczyna od sielanek. A jeżeli nawet Słowacki doczytał się tego w którym z opracowań historycznych, choć wątpię, to i tak trzeba było niepospolitej siły i inwencji ducha, ażeby podobną myśl przenieść w historję polskiego Króla-Ducha.

Dzisiaj zaś pojmowanie tego procesu genezy uczuć dynastycznych w formie, jaką dał Słowacki, stanowi ogólne dobro naszej nauki historycznej. Reasumując to, co w XIX w. dla historii zrobili ci poeci, a potem Kraszewski, Sienkiewicz, śmiało można powie-

¹ Por. uwagę wydawcy, str. 111, wiersz 500. Wydanie Marjana Piątkiewicza „Książnica Komentarzy“. Przemyśl. Książnica naukowa r. 1923.

dzieć, że oni są właściwymi nauczycielami historii, a nie fachowe koła historyczne.

Znana jest bezpośredniość stosunku chłopca do ziemi, choćby w potężnych obrazach Kasprowicza. Potrzeba tej bezpośredniości cechuje wybitne umysły poza poetami. Każdy wielkiej miary działacz ma głód historii i to znowu nie w znaczeniu wiedzy, ale pragnienia życia, bezpośredniego obcowania z przeszłością. Takimi byli Zamojski, Kołłątaj, Staszic, a w nowszych czasach Stanisław Szczepanowski. Szczepanowski zdumiewał poprostu erudyty historii nie tylko olbrzymim kapitałem wiedzy historycznej, snutym wprost ze źródeł pierwszej ręki, ale właśnie siłą tego poczucia związku z przeszłością, tak trudną do osiągnięcia.

Powolałem się na kilka przykładów, stwierdzających istnienie intuicyjnego daru odczucia przeszłości, przestawiania z nią.

Ale te przykłady, sam przyznaję, są rzeczą wyjątkową nie tylko z racji przyczyn lokalnych polskich, o których mówiłem na wstępie, ale także z powodu ogólnej techniki rozwoju dzisiejszej kultury europejskiej.

Życie nowoczesnego Europejczyka podlega ciągłym silnym wstrząśnieniom psychicznym już choćby z dwóch powodów: przewagi życia wielkomiejskiego nad wiejskim i z powodu ciągłego przeczucia z miejsca na miejsce. Społeczność europejska ułatwia sobie przez to osiągnięcie dóbr materialnych — niewątpliwie. Ale ten kierunek rzeczy mści się ogromnie na naszym rozwoju psychicznym. Wielkie miasto urabia mieszkańców na jedno kopyto, nie zbliżając ich moralnie do siebie. Tłok zaś i gwar wielkomiejski sprowadzają do zera nieraz tak silne wrażenia, jak śmierć najbliższych osób w rodzinie. Jaka ogromna w tym względzie zachodzi różnica między miastem a wsią. Miasto żyje tylko teraźniejszością. Zjawiają się coraz to nowe wymagania, nowe wrażenia. Brak czasu na oglądanie się na przeszłość nie tylko masy, ale swoją własną.

Weźmy drugi przykład. Chłopskie dziecko oddają do szkół. Wywożą je ze wsi rodzinnej do miasta, do gimnazjum. Niema nawet jakiegoś pośredniego koła, któreby ułatwiło to przejście. Związek z dotychczasową atmosferą najzupełniej zerwany. Skończy się ta męka ośmioletnia, znowu nowe przesilenie, znowu wyjazd do uniwersyteckiego miasta. A potem zawód, powiedzmy urzędniczy, z ciągłym przeczuciem z posady na posadę. Gdzie tu źródło dla wytworzenia sobie silniejszych nici moralno-społecznych. Związek z własną przeszłością bezpowrotnie stracony i w duszy zostaje stra-

szna pustka moralna, którą trudno zapełnić. Sam znam ludzi tej sfery i wiem, że wszyscy prawie przechodzą długoletnie kryzysy, wśród których staczają walkę sami z sobą, aby przemóc ten trudny problemat: dopasować się do środowiska. Temu samemu losowi, co urzędnik, ulega robotnik. Ten wędruje od fabryki do fabryki. On także zatracą związek ze środowiskiem, z którego wyszedł. Dusza jego staje się typową *tabula rasa*, na której codzienna chwila i interes chleba wypisują, co im się żywnie podoba.

I jakże od tych ludzi możemy wymagać, żeby oni, nie mówię, mieli rozumieć przeszłość, ale żeby byli w stanie ją odczuwać. Odczuwać mogę to, co mi jest pokrewne, co mi jest bliskie, co mi jest dobrze znane, prawie, że wrodzone. Powiedzmy ściślej: odczuwać możemy to, co człowiek jest zdolny ująć zapomocą zmysłów czy wzroku, czy słuchu zwłaszcza.

Naglącą zatem potrzebą jest stworzenie warunków dla zaspokojenia kardynalnych wymagań duchowości ludzkiej. Potrzeba wyczuwania przeszłości, żeby nie była czczą abstrakcją, niedostępną dla ogółu, każe myśleć o znalezieniu uchwytnej formy, któraby stanowiła pomost od terażniejszości do przeszłości.

Tymczasem związek przeszłości z terażniejszością w pojęciu europejskiej cywilizacji jest ujęty w formę niezmiernie skomplikowanych pośrednictw, od rodziny i szkoły do narodu, czy państwa, czy kościoła i innych wielkich organizacyj ludzkości. My dzisiaj nie mamy państwa, które wszędzie mniej lub więcej zapomocą środków państwowych dba o zaszczepienie i utrzymanie w ludziach poczucia solidarności, opartej na tradycji historycznej tego właśnie państwa. Dla Polaka przeto jego związek z przeszłością da się ująć przeważnie za pośrednictwem narodu i kościoła, dla ludzi innej religii, związek z polskością daje się osiągnąć tylko za pośrednictwem narodu.

Tymczasem zarówno przeciw pojęciom narodu, jak kościoła, można odrazu podnieść zarzut, że stanowią one zbyt wąskie ramy, żeby się w nich mogła zmieścić cała przeszłość Polski.

Powołaliśmy się przed chwilą na przykład chłopskiego dziecka, przerzuconego do miasta, do szkoły. Zastanówmy się chwilę nad jego losami, a w szczególności, w jaki sposób nauczyciel ma w jego duszy zaszczepiać pojęcia i obrazy historyczne.

Dajemy takiemu dziecku w rękę podręcznik historii polskiej, z którego się dowie, że co dziesiąty władca Polski był przyjacielem chłopów, a zresztą historję Polski robili szlachcice. O szlachcie

cośnieceś takie dziecko słyszało, ale sędzę, że najdosadniej w jego umyśle tkwią takie pojęcia, że szlachcic ciągnął z chłopą pieniądź, a wzamian dawał mu bizuny.

W podręcznikach o chłopie prawie mowy niema. Jeżeli chłopskiemu dziecku wpadnie książka z ilustracjami historycznymi, to znowu, za niezwykle małemi wyjątkami, w ilustracjach przewinie się przed oczyma cały świat szlachecki z różnobarwną galerją zamków, pałaców i miast, lub zbroi, karabeli, kontuszów i guzów diamentowych. Dziecko szlacheckie rzeczy te chwytają za serce, bo ono je często jeszcze widzi na ścianach swego mieszkania, lub wie z opowiadania, że jego pradziadowie w takich domach mieszkali lub w nich się kręcili, a w takie ubiory się stroili.

A gdzież w tem wszystkiem choć jedna strona taka, któraby chłopskie dziecko знаło jako swoją i kochało od pierwszego wejścia, od pierwszego wejścia uczuło, że jest w swoim świecie.

Nietylko zresztą w tym jaskrawym przykładzie przejawiają się trudności przejścia od terażniejszości do przeszłości. Wogóle w pedagogice historycznej, w odniesieniu do różnych warstw społecznych, nawet partycypujących czynnie w historii, przejście to jest trudne. I wogóle umysł dziecka, które stawiamy wobec zadania przyswojenia sobie pojęć o przeszłości, znajduje się w niełatwym położeniu.

Zważmy, że do dziś dnia zazwyczaj pierwsze elementy danych historycznych, które zaszczeplamy dziecku, po pierwsze tyczą od razu ogólnych i skomplikowanych koncepcyj, państwa, narodu i kościoła, po drugie zaś dzieje się to, coprawda w formie bajki, ale drogą czysto rozumową, abstrakcyjnego myślenia. Oto dawno, bardzo dawno, żył sławny król albo książę, a na imię było mu Popiel. Ani opowiadający nie może przejąć się tym Popielem, a już dziecko ramy swej ciekawości wypełnia czystą fantazją, z której trudno wyciągnąć kit dla rzucenia w umyśle dziecka związku pomiędzy przeszłością a terażniejszością. Nawet najlepsze i najpedagogiczniejsze podręczniki historii w guście „Wieczorów w Ojcowie“ rozpoczynają naukę od razu od faktów najogólniejszych, przez które umysł musi wykonywać gwałtowne skoki, żeby się dostać w obręb świata historycznego, przytem są zabarwione sentymentalizmem, paczącym od razu pogląd zdrowy i obiektywny na pierwsze wieki naszych dziejów. Jednem słowem, dla naszej pedagogiki historycznej jednym z głównych zadań musi być posługiwanie się takimi środkami pośrednictwa pomiędzy terażniejszością a przeszłością, które byłyby

łatwo dostępne dla dziecka, które byłyby mu bliskie i wprost przemawiały do jego umysłu i wyobraźni.

Nie można twierdzić, żeby rzeczy te były dotychczas zupełnie zapoznavane. Owszem, zwracano uwagę na to, że coś kuleje w wykształceniu historycznym. Objawy tych trudności zauważono niedawno zagranicą, w Niemczech, a zwłaszcza w Prusiech, gdzie jednak w wymyśleniu zaradczych środków rzecz gruntownie spaczono, formułując potrzebę tak zwanego retrospektywnego nauczania historii. Ale jakiego? Oto nauczania, mającego być fundamentem odpowiedniego systemu przedstawienia historii od cesarza Wilhelma II wstecz. System taki, zbudowany *ad maiorem Prussiae regum gloriam*, może miałby pewne dodatnie strony i dla naszej pedagogiki historycznej, w niej bowiem byłyby punktem wyjścia dzieje męczeństwa polskiego XVIII do XIX w. Tkwi w tem także jedna zaleta doniosła pod względem pedagogicznym. Teraźniejszość, jeżeli nie jest dotykalna, to jednak jest odczuwalna w bezporównania wyższym stopniu, niż jakieś zamierzchłe pra-dzieje.

Stosunki teraźniejszości, otaczając człowieka ze wszystkich stron — mogą być wyjaśniane zapomocą różnych danych. Żeby je poznać, nie potrzeba przyswajania sobie pojęcia odległości chronologicznych, sięgających tysięcy lat, nie potrzeba przyswajania pośrednictwa nierozumianych zwykle źródeł.

Jest jednak jedno wielkie „ale“. Przeszłość, owiana atmosferą teraźniejszości, byłaby oświecona wyłącznie z punktu widzenia teraźniejszości, poszłaby na jej służbę. Tymczasem teraźniejszość w rozwoju historycznym danej grupy jest tylko momentem. To jedno. Po drugie, uczyć historii systematycznie metodą wsteczną, oznacza zaprzepaszczenie naukowej strony historii, która musi dążyć do wyrabiania w kształconych sferach poczucia ewolucji historycznej. Po trzecie, w pedagogice historycznej musimy dbać o to, żeby zaczynać od objawów prostych, nieskomplikowanych tak dalece, jak dzisiejsze życie Europejczyka.

Z drugiej strony jednak powtarzam, iż przyznaję, że równie prawie trudnem zadaniem jest przyswoić dziecku tych kilkanaście przynajmniej pojęć, których potrzeba, żeby z niem rozpocząć naukę historii od X w. Trudności w pedagogice historycznej Polski olbrzymieją, jeżeli zważymy, że nauczyciel, powiedzmy w szkole średniej, ma przed sobą mieszane audytorjum: synów chłopskich, urzędniczych, Żydów (tych żywiółów przeważnie w szkole publicznej), a więc synów warstw lub niehistorycznych

w odniesieniu do dziejów Polski, lub historycznych w małym tylko stopniu. Jest to zadanie prawie nie do przeciężenia nietylko w takiej zbiorowej grupie dzieci, jakąśmy sobie pomyśleli, ale także najeżone trudnościami, jeżeli te dzieci weźmiemy z osobna. Jakich tu się chwycić środków nauczania, nie tych, zapomocą których św. Wojciechowi w magdeburskiej szkole mistrz niemiecki wtlaczał naukę czytania i modlenia się po łacinie, ale tych, które wprost trafiają do duszy dziecka, do duszy człowieka.

Pedagogika historyczna w rozważaniu naszym odgrywa rolę o tyle wyjątkową, że wprost uplastycznia potrzebę budowania pomostu pomiędzy przeszłością a teraźniejszością, nie na podstawie faktów oderwanych, ale takich, które mówią wprost do różnych stron duszy dziecka. We wskazanej metodzie retrospektywnej tkwi niewątpliwie o tyle znaczna doza słuszności, iż fakty te istotnie należy brać z bezpośredniego otoczenia dziecka. Łaskawy słuchacz zapewne domyśla się, do czego zmierzamy.

Dziecko na pewnej skali rozwoju — bardzo wcześnie, mając lat 5—6, zwraca się z pytaniem do mamy, do taty: powiedz mi, mammo, czyś ty także miała mamę, czy ty, tatusiu, miałeś swego tatusia. Moment ten znamy dostatecznie wszyscy i — mojem zdaniem — jest to właśnie ta drogocenna strona w rozwoju dziecka, którą pedagog powinien uchwycić i odpowiednio wykształcać, rozwijając w wychowanku zmysł historyczny. Ale — prawda — odrazu słyszę zarzuty na temat niebezpieczeństwa takiego procederu. Jakto, pedagog dzisiejszy polski nie może chwycić się tej drogi a) względem dziecka żydowskiego, b) względem dziecka ruskiego, c) litewskiego, d) niemieckiego — a także z trudnością może te rzeczy traktować w odniesieniu do dzieci różnych warstw, grozi bowiem obawa wzbudzenia na tej drodze przez kształcenie historyczne — różnorodnych separatyzmów rasowych, narodowych i społecznych. Jeżeli bowiem na wstępie wywiedliśmy, że historia jest jednym z moralnych dóbr, łączących ludzi, to tylko historia, rozważana z najogólniejszego stanowiska. Historia ludzi łączy, ale i dzieli. Historia wyznań, kościołów, historia narodów — powstając z popiołów — wywołuje często uczucie nienawiści. Z tym faktem należy się liczyć. Pozornie więc pedagog-historyk nie może wobec każdego dziecka polskiego wydobywać momenty z jego teraźniejszości i stopniowo cofać go w przeszłość, mógłby bowiem na tej drodze wprost odwrotne otrzymać rezultaty.

A jednak — jest to środek prawie że jedyny.

Pedagogika i jej wymagania, to tylko jedna strona omawianej sprawy. Przypominam bowiem, o co nam chodzi. Nietylko dzieci, ale i starsi nie posiadają zdolności do odczuwania przeszłości, nie umieją się w niej obracać. Związek pomiędzy dzisiejszym Europejczykiem a jego przeszłością, to związek oddzielnego indywiduum z przeszłością zapomocą państwa, narodu, kościoła. Indywiduum oddzielne stoi samo bezradne wobec ogromu tych abstrakcyj, które ujmują co najwyżej drogą rozumową, a i to tylko w rzadkich bardzo wypadkach.

Powie mi ktoś na to: owszem, dzisiejsza kultura dostarcza szeregu środków, zapomocą których szeroka masa czy inteligencji, czy wogóle masa, może poznawać przeszłość, a nawet ją odczuwać. Za takie pomniki przeszłości można uważać wogóle pomniki historyczne, a zwłaszcza kościoły z całą masą zabytków historycznych, pomniki wznoszone dzisiaj w celu uczczenia wielkich mężów lub świetnych momentów przeszłości, muzea, dające przegląd kultury minionych czasów. Wszystkie te środki cechuje dążność do zaznajamiania szerokich mas społecznych z przeszłością.

Niewątpliwie, że wszystkie te środki razem wzięte zdolne są odpowiedzieć także i naczelnemu naszemu wymaganiu, odczuwania ciągłego kontaktu z przeszłością. Zwłaszcza jeżeli w samem społeczeństwie żywe jest poszanowanie dla zabytków przeszłości. Przykładem takiego poszanowania mogą być Włochy, gdzie mieszkaniec bezmała każdego miasta wśród własnych murów miejskich może obcować bezpośrednio z minionymi pokoleniami na bezmiernym obszarze czasu od teraźniejszości wstecz.

Bezpośredniość w odczuwaniu przeszłości i zaznajamianiu się z nią występuje ze szczególną siłą w centrum cywilizacji europejskiej, w Rzymie mianowicie. Obywatel, wychowany na ruinach Forum, Palatynu i Kapitolu, choćby na całe życie pozostał roznosi-cielem pomarańcz lub kolporterem gazet, on nosi w sobie ideał godności starego *civis romanus*, władcy wszechświata. On go lepiej czuje, niż przybysz z za Alp, choćby ten długie lata śleczął nad księgami i wyczytywał z nich chwałę starej Romy.

Prawda także, że u nas takiego poszanowania dla pomników przeszłości niema, a wskutek tego jesteśmy ubożsi o wiele dóbr materialnych, zapomocą których posiada się w teraźniejszości granitowy punkt oparcia, z którego można rzucać pewny wzrok w odległe czasy. Prawda, że w tym kierunku wiele nam należy odrobić, żeby dopędzić nie mówię Włochów, ale Niemców. Ale zdaje mi się,

że te zabytki materialne, jakkolwiek bardzo ważne, nie mogą dać ram całkowitych dla kultury historycznej.

Te ramy muszą być duchowe, bo tylko na drodze duchowej da się pojąć prawdziwe obcowanie teraźniejszości z przeszłością.

Nawet i w tym kierunku można wskazać na pewne próby nadawania pewnych form temu obcowaniu. Znam ich bardzo niewiele, może tylko jeden, a tym są obchody narodowe.

Dzieje obchodów narodowych są w Polsce bardzo dawne. Jeżeli się nie mylę, datują się one od bitwy pod Grunwaldem, kiedy Jagiełło rocznicę zwycięstwa kazał święcić świętem kościelnym. (Działo się tak przedewszystkiem w Krakowie. Sądę jednak, że inne katedry biskupie stosowały się do tego polecenia. Wspaniały mszał gotykiem pisany, w Muzeum kościelnym przy katedrze we Włocławku, pod datą 15 lipca ma wymowny zapissek, tak dobrze historyczny jak liturgiczny: „*stat Polonia, ruit magister ex alto*“. Jasne, że zapissek odpowiada treścią serdecznemu poczuciu związku między świętem kościelnym a wielką chwilą, której doniosłość duchowieństwo polskie szczególnie oceniało). Zastanówmy się nad tym faktem, jest on bowiem bardzo charakterystyczny.

Święcenie pamięci wielkiego historycznego momentu świętem kościelnym wskazuje nam wyraźnie na cel, do którego twórcy tego święta dążyli. A tym było dążenie do takiego podniesienia i napięcia uczucia narodowego, żeby przez rozpamiętywanie sławnego czynu przodków uświadomić sobie żywo, że i na biorących udział w święcie ten sam ogrom obowiązków narodowych spoczywa, że jedni i drudzy są złączeni temi samemi węzłami solidarności obowiązków historycznych.

Obchód narodowy, poświęcony pamięci wielkich bohaterów przeszłości, powinien zatem być świętem, świętem prawie że religijnem. Jako taki w przelotnych przynajmniej chwilach może być szkołą kultury historycznej, może umysł ludzki lotem ptaka przenosić w przeszłość i wywołaniem jej atmosfery zapalać do dalszych czynów.

Do tego ideału jednak jest bardzo daleko. Przeciwnie nawet. Odważyłbym się powiedzieć, że atmosfera naszych obchodów wywołuje wpływ wprost odwrotny. Każdy nasz obchód jest raczej zdawkową formułką, zapomocą której człowiek załatwia rachunek z przeszłością, w podobny sposób, jak posyłam lub zostawiam bilet wizytowy najdalszym znajomym na Nowy Rok albo imieniny, lub jeżeli kogo nie chcę zastać w domu. I sądę, że wszyscy zgodzą się

ze mną, iż ani sami w święcenie obchodów narodowych nie wnosimy własnego ja, ani odwrotnie — i obchody nie zostawiają na uczestnikach żadnego głębszego wrażenia. Dodajmy, że nie znam obchodów, podczas których, czy w kraju całym, czy choćby w jednym mieście panowała atmosfera święta, żeby to święto czuło się na ulicach, przenikało do wnętrza domów, widniało na twarzach.

A szkoda, w Jagiellońskim pojęciu narodowego święta tkwią żywotne pierwiastki, tylko należy je odpowiednio wyzyskać. Niech tych świąt będzie mało (obchodami narodowymi zanadto się szafuje), niech z drugiej strony nie ograniczają się wyłącznie do doby dziejów tylko od czasów konstytucji 3 Maja — ale niech będą naprawdę świętami, poświęconymi rozpamiętywaniu czynów naddziadów w różnych chwilach historii Polski, tak bogatej w wielkie wypadki.

Przegląd zatem współczesnej pedagogiki historycznej i środków obcowania z przeszłością starszych pokoleń doprowadził nas do wniosku, że we współczesnej europejskiej cywilizacji brak jest naprawdę potężnych ogniw, któreby teraźniejszość spajały z przeszłością.

Opuśćmy teraz na chwilę Europę, sięgnijmy do naszej bardzo odległej przeszłości, rozglądnijmy się przelotnie w stosunkach ludów antycznych, wejrzyjmy w dzieje ras niearyjskich, które także wytworzyły olbrzymie i potężne ogniska cywilizacyjne. Jeden punkt, stojący w najściślejszym związku z omawianą kwestją, uderza w różnych wspomnianych środowiskach, punkt, który właśnie współczesnym Europejczykom jest obcy.

Punkt ten wskazuje na szereg cech bytu oddawna w Europie zanikłych, które bądź uważa się za bezpowrotnie uległe w walce o byt, bądź też za przeżytki, trzymające się jedynie siłą ciężkości.

Zastrzegam się przytem, że nie chodzi mi o wyczerpujące przedstawienie kwestyj, które jedynie poruszam. Kardynalne ubóstwo cechuje europejską cywilizację wogóle na punkcie domu w obszernem tego słowa znaczeniu. W naszym języku pozostał jeden tylko przeżytek po tej prastarej instytucji, pojęcie o g n i s k a d o m o w e g o, którego to pojęcia używamy dzisiaj jedynie jako symbolu życia rodzinnego, nie przywiązując zresztą doń głębszej wagi.

Jak z symbolem, tak samo ma się rzecz i z samą instytucją. Jest to wspólną właściwością, jaką dzieli Polak z każdym przeciętnym Europejczykiem, że wszyscy *en masse*, z nielicznymi wyjąt-

kami, jesteśmy ludźmi bezdomnymi. Przytem bezdomnymi w znaczenie szerszem pojęciu, niż bierze Żeromski w znanej swej powieści.

Zdaje sobie dokładnie sprawę z tego, że ten bezdomny charakter życia europejskiego jest w dużej mierze przejściowy, o ile ma swą przyczynę w rosnącej demokratyzacji życia cywilizowanego, wprowadzającego coraz to nowe warstwy w świat kultury, tasującego i mieszejącego te warstwy. To prawda, ale prawda także, że ta bezdomność płynie z innych jeszcze źródeł. Zresztą jedno i drugie są źródłami stałymi, a przynajmniej będą takimi przez długie jeszcze czasy.

Dziewięć dziesiątych współczesnej inteligencji, to ludzie, co przeważnie urodzili się w innej sferze, w innej wyrosli, niż ta, w której pracują. Pożenieni z kobietami (lub kobiety z mężczyznami), znalezionemi przypadkowo na szerokiej arenie świata, rzadko bardzo z bliższą rodziną, rozsianą po różnych kątach świata, utrzymują bliższe stosunki. Nie potrzeba być przeciwnikiem dzisiejszego małżeństwa, przeciwnie można być jego zwolennikiem, a jednak rozumieć, że koło rodzinnych stosunków zwiężyło się. Zwiężyło się tak dalece, że mąż nie wie, czy będzie pochowany obok żony, o dzieci się już nie pyta; a węzeł, łączący dzieci z rodzicami duchowo, zrywa się bardzo wcześnie, ledwie dzieci podrastają, fizyczny zaś (materiałny) z chwilą dojścia dzieci do stanowiska. Człowiek zostaje sam, literalnie sam, człowiek bezdomny. Prawda, wskutek tego łatwiej on jest dostępny technice życia społecznego, łatwiej dostępny ogólnoludzkim prądom, ale też zato jego psyche ulega tym znamienym cechom dzisiejszego Europejczyka, szalonej nerwowości i brakowi równowagi, tej żelaznej równowagi, jaką nam dzisiaj tak niespodzianie zaczęli imponować żółci ludzie dalekiego Wschodu. Poza zagadnieniami reformy społecznej, poczyną się ponad dzisiejszą Europą unosić groźniejsze jeszcze widmo niebezpieczeństw krążących w naszej atmosferze, a z nią i potrzeba reform duchowych.

W tem zestawieniu sprawa „ogniska domowego“ tem większego nabiera znaczenia.

W umyśle historyka z pojęciem ogniska domowego kojarzy się zaraz inne, przywołujące na pamięć kult rodowy, cześć przodków przekazaną w różnych formach, zależnie od różnych cywilizacji. (Wyrósł on na fundamencie żywej społeczności, jaką był zorganizowany ród lub — jak w Rzymie w kilku pierwszych wiekach jego rozwoju — w formie rodziny, opartej na „*potestas patria*“). Władza ojca nad rodziną, żelazna dyscyplina, której musieli ulegać nawet

dorośli i dojrzały synowie, chociażby sprawowali w państwie najwyższe godności, nawet konsula, miała źródło niewątpliwie w twardej warunkach bytu, w wyteżonej społecznej i gospodarczej walce z przyrodą i z ludźmi o egzystencję, i to skromną. Same przez się warunki gospodarcze byłyby jednak za słabe, by wytworzyć siłę takiej trwałości).

W starożytnej Grecji i w starożytnym Rzymie kult rodowy stanowi fundamentalną stronę religii obok kultu przyrody. Ale nie religii w naszym pojęciu rzeczy, która klasycznym czasom jest obca, ale tego, co my dzisiaj zwiemy poglądem na świat, filozofją życia.

W kulcie rodowym Greków i Rzymian przeszłość zajmuje niesłychanie plastyczne stanowisko. Przeszłość, reprezentowana przez przodków danego rodu czy danego indywiduum. Ona nie jest abstrakcją, jaką jest w dzisiejszych czasach, ona jest rzeczą żywą. Przytem zaakcentujmy jeden moment antycznego stosunku do przeszłości: posiadali ci ludzie szereg cudownych środków, zapomocą których pokolenia ludzi od wczesnego dzieciństwa do chwili śmierci dzień w dzień były ćwiczone w sztuce nie tylko poszanowania dla przeszłości, ale znacznie trudniejszej — przedstawiania z nią.

Rozważmy to bliżej. W domu każdym jest miejsce zwane ołtarzem, na którym utrzymuje się ogień. Pozwolić zagasnąć temu ogniovi — to znaczy sprowadzić na żyjących członków rodziny groźne niebezpieczeństwo, zagubę rodu, to samo, jeżeli ogień przypadkowo zgaśnie.

W tym ogniu, wybuchającym płomieniem podczas wybitniejszych uroczystości, przebywają duchy przodków danego rodu. W wierzeniu tamtych czasów nie była to idea, symbol, to był realny, konkretny fakt. Duchy przodków żyły dalej bez względu na śmierć wspólnem życiem ze swoimi potomkami, martwiły się ich zmartwieciami, cieszyły się ich radością.

Jakże inny był stosunek żyjących rodzin do grobowców, gdzie chowano urny z popiołami zmarłych. Jak taki rzymski zabytek odbija od najokazalszych i najbogatszych dzisiejszych grobowców. Wędrowiec, który się tam zabłąka, widzi, że te grobowce rzeczywiście niejednokrotnie widywały krewnych, odwiedzających drogie sobie popioły. Widać, że ci ludzie czas tu spędzali, obcując na prawdę ze zmarłymi. Z tego starożytnego obyczaju inny szczegół jeszcze na większą zasługuje uwagę. Starożytni nie znali cmentarzy w dzisiejszej ich formie. Grobowiec mieścił się w obrębie domowego obejścia lub też niedaleko, a w takim Rzymie, kiedy w mie-

ście zaczęło być ciasno, wzdłuż najruchliwszej drogi Via Appia antica, wyciągnęły się z obydwóch stron szeregi wspaniałych mauzoleów. Ze zmarłymi nie chciano się więc rozłączać. Jeżeli nie koło siebie, koło swego domu, to chciano ich mieć przynajmniej tam, gdzie człowiek mógł mieć pewność, że się często o nich będzie ocierał, że go będzie do tego zmuszała konieczność, praktyka i potrzeby codziennego życia, które same tylko są zdolne ćwiczyć pamięć; bez niej zaś najdroższe, najbardziej opłakane i przecierpiane wspomnienia błedną z przerażającą szybkością.

Na tle takiego bezpośredniego stosunku jednostki do przeszłości wyrastał u Greków i Rzymian szereg objawów, znowu obcych całkowicie dzisiejszemu życiu, a tak naówczas naturalnych.

Stosunek do przeszłości nosił na sobie cechę stosunku religijnego. Rzecz stara jest w pojęciu rzymskiem rzeczą świętą, tak, że pojęcia dawny i święty w języku Rzymian stają się synonimami. Grek czy Rzymianin przodków swych nie kocha, nie szanuje, on ich przez ogień ubóstwia (*flammis adorare penates*).

Ogień był czysty — jak czyste były duchy przodków. Człowiek moralnie ułomny nie mógł się do nich dostać.

Z takiej żywej formy stosunku do przeszłości w systemacie pojęć wypływa druga ważna konkluzja: pojęcie ścisłej i surowej odpowiedzialności teraźniejszego człowieka przed przeszłością. (Prawda też, że jeżeli dany obywatel nie odczuwał tej odpowiedzialności, przypominała mu ten obowiązek władza ojcowska. Jeżeli i ta zawodziła, odzywał się ród, lub cała społeczność przez usta powołanych do tego urzędników).

Pojęcie odpowiedzialności moralnej wobec przodków łączy się z pojęciem honoru rodowego, który nie ma nic wspólnego z czysto indywidualnem pojęciem naszego honoru, będącem bądź pamiątką po fazie rycersko-szlacheckiej, bądź sztuczną hodowlą militarnej cielepłarni.

Dla utrzymania honoru rodowego, obywatel rzymski nie waha się zadać sobie śmierć, to samo czynią obywatelki rzymskie nie tylko ze sobą, ale nawet z własnymi dziećmi, jeśli tylko tego wymagają cienie przodków.

Rozważając rzecz ze stanowiska twórczych instynktów społecznych, nie mogę nie powiedzieć, że w organizacji rodowej ludzkość wytworzyła sobie jedną z form najwspanialszych.

A jednak skazaną na zagładę w rozwoju europejskiej duchowości. Otwórzmy karty cudownej krytyki świata antycznego, jaką

zawarł w dziele o Bożem państwie św. Augustyn, jeden z największych genjuszów, jacy stali na przełęczach wieków starożytnych i średniowiecznych. W całym szeregu początkowych rozdziałów grupuje ten ojciec kościoła szereg pocisków, wymierzonych właśnie przeciw tej stronie kultury starożytnego świata. Bądź ją ośmiesza, bądź wykazuje jej bezużyteczność w rozmaitych momentach historii Rzymu, bądź też stawia ją pod pręgierz tego wysokiego ideału, jaki niosło chrześcijaństwo. Szczególnie niezrozumiałe dla wielkiego pisarza jest pojęcie honoru u starożytnych. Rozbiera szczegółowo przykład konsula Regulusa, jeńca Kartaginy, który dawszy Kartagińczykom słowo, że wróci do nich, nawet w wypadku odrzucenia przez Rzymian warunków pokoju, wrócił, chociaż wiedział, że czeka go tam śmierć w męczarniach.

Podobnie przedmiotem krytyki Augustyna jest postąpienie Lukrecji Tarkwiniji. Lukrecja, której cześć niewieścia została brutalnie znieważona przez syna króla Tarkwinjusza, nie przeniosła tej hańby i jakkolwiek moralnie została czysta, przeniosła śmierć nad sponiewierane życie. Św. Augustyn rzecz wyklada, że właśnie powinna żyć i nadal, że czyste życie jest lepszym zmazaniem plamy choćby tylko zewnętrznej, niż najszczytniejsze samobójstwo.

W jednym i drugim wypadku rzecz zasadniczo pozostaje ta sama. Sztuka umierania, tak obca dzisiejszej naszej społeczności, śmierć z myślą, że się spełnia prosty społeczny obowiązek, była jednym z nieuchronnych skutków żywego obcowania człowieka z rodziną, a przez rodzinę z przeszłością, żyjącą w teraźniejszości. Podziwiane postęпки Regulusa i Lukrecji w ramach opinii starożytnych wcale nie były wyjątkowej natury, wpływały jako proste następstwo żywego poczucia odpowiedzialności przed cieniami własnych przodków, wobec których można było stanąć tylko czystym. Inaczej nie miało się prawa partycypowania w kulcie domowym. Cień, skazany na samotne błaganie wśród przestrzeni, jest koncepcją mąk, sroższych może od piekielnych.

Starożytność więc знаła żywe i konkretne przejście od rodziny do społeczeństwa w formie rodu; to samo przejście występuje plastycznie w stosunku obowiązku czy do rodziny, czy do społeczeństwa. W ramach tych pojęć przeszłość i teraźniejszość zlewały się ze sobą, tworząc harmonijną całość.

Prawda, że przy owoczesnym podziale społecznym na wolnych i niewolnych kult rodowy nie mógł, bez względu na wyjątki, stać się ogólnym dobrem całej społeczności. Prawda, że hamował on

w wysokim stopniu twórczą siłę jednostki, skazanej zgóry na ciasny krąg rodowy, którego przestąpić nie było wolno.

Ale prawda, że chrystjanizm, zmuszony później do stosowania się do wielu właściwości atmosfery, wytworzonej przez napływ ludów barbarzyńskich, nie tylko, że uрониł wiele ze świetnej rzymskiej kultury, ale nadto, łamiąc kult rodowy, zadał także szereg ciosów młodym kulturom, germańskiej, słowiańskiej, burząc w nich bezpowrotnie związek z przeszłością.

Dzieje Polski, jak wiadomo, rozpoczynają się z datą przyjęcia chrześcijaństwa. Najsztudniejsze wywody uczonych historyków, próbujące rzucić promień światła na stan Polski przed tą datą — nie rozjaśniły mroków, w których stan ten tonie. Data przyjęcia chrześcijaństwa jest w naszych dziejach datą wielkiej duchowej rewolucji, większej od wszystkich rewolucyj nowożytnych czasów razem wziętych. Przeszłość została skazana na najsrozsą karę — karę niepamięci.

Odnosne skutki byłyby bezporównania mniejsze, gdyby rozszerzaniu się chrześcijaństwa nie towarzyszyły w granicach ludów germańskich i słowiańskich następujące dwa zjawiska. Motywy polityczne, którym kościół był obcy, skłaniające przeważną część dy nastów do posługiwania się chrześcijaństwem jako środkiem zacie rania różnic szczepowych, i po drugie, coraz słabsza intensywność organizacji kościelnej w miarę oddalania się od Włoch (lub od Bizancjum w zakresie stosunków południowego Wschodu Europy).

Motywy polityczne przy wprowadzaniu chrześcijaństwa sprawiły, że przez parę wieków kościół nie miał najmniejszego wpływu na życie i na moralność społeczeństwa, a duchowieństwo samo poza spełnianiem obrządków kościelnych obcych i niezrozumiałych było wyłącznie zajęte w służbie państwowej. Pogańskie zatem czynniki naszego życia duchowego przestały działać, tymczasem nowe jeszcze się nie wytworzyły. I dopiero po paru wiekach kościół, emancypując się z pod władzy państwa zbliżał się do społeczeństwa i powoli wciągnął je w zakres życia chrześcijańskiego. Duchowe jednak szkody, jakie w ciągu tych paru wieków ludzkość poniosła, były olbrzymie.

Oddalenie zaś od Włoch sprawiało i sprawia, niemal aż do czasów najnowszych, że kościół (czem dalej na północ od Alp, tem bardziej fakt ten występuje) nie wyrobił się na tę organiczną komórkę, choćby najdrobniejszej organizacji społecznej, jaką pozostał wogóle w krajach romańskich, a zwłaszcza we Włoszech.

We Włoszech osada nie mająca kościoła należy do wyjątków. Najmniejsza *citta*, choćby z kilkunastu składała się domów, ma swój kościół. Kościół przytem w życiu tych miast i miasteczek poza swym chrześcijańskim charakterem jest pod względem społecznym (a więc nie tylko architektonicznym) następcą starych bazylik, ogniskujących w sobie życie społeczne danej osady.

Obydwóch tych właściwości nie posiadał kościół ani w Niemczech, ani tem bardziej w Polsce. Kościół, któryby panował nad życiem kościelnem jednej tylko osady, u nas należy do wyjątków, a w pierwszych wiekach chrześcijaństwa stosunki miały charakter wprost zastraszający. Olbrzymie i rozległe okolice nie posiadały wcale kościołów, ratowały więc swoje potrzeby duchowe przez podtrzymywanie pogańskich obrządków. Następstwem zaś tego stanu rzeczy był ten znany brak związku organicznego między kościołem a Polakami, prowadzący do wyrobienia się w nas całkiem powierzchownego traktowania rzeczy religijnych i kościelnych.

Piszącemu te słowa nie chodzi o krytykę lub też o usunięcie jakiegokolwiek cegły czy cegiełki etyki chrześcijańskiej. Nie można też zaprzeczać, że nauka chrześcijańska oceniała znaczenie domu, dość przypomnieć czwarte przykazanie i podniesienie małżeństwa do godności sakramentu. Uniwersalne jednak dążności rozwoju organizacji kościelnej sprowadziły w zakresie życia ludów europejskich niwelację form organizacyjnych rodowych, które zarówno były niebezpieczne dla kościoła, jak i dla państwa. Niszcząc organizację rodową kościół i państwo pozyskały jednostkę.

Zresztą rozwój organizacji kościelnej był tylko pierwszą ławiną, która otwiera cały szereg procesów, jakie w historii europejskiej miały doprowadzić do wyrugowania życia rodowego, jako fundamentu społeczności.

Jeżeli chodzi o wpływ, jaki podmycie organizacji rodowej wyćisnęło na kulturze duchowej ras germańskiej, słowiańskiej i wogóle ludów europejskich, to zestawiając cywilizację średniowieczną ze starorzymską widzimy, że skutki te można utożsamić z tem odwróceniem się od przyrody, tak charakterystycznym dla wieków średnich. W wiekach średnich człowiek nie zna przyrody i nie umie na nią patrzeć, a przecież tak blisko i tak doskonale żył z nią w czasach klasycznych, i tak świetnie umiał ją odtwarzać.

Spółeczność europejska już raz, na końcu wieków średnich, odkryła szereg ożywczych środków dla odrodzenia duchowego w sięgnięciu do źródeł rzymsko-greckich. Najdobitniejszym zaś ob-

jawem renesansu było właśnie zwrócenie się do przyrody w najobszerniejszym tego słowa znaczeniu, nie wyłączając człowieka.

Czy jest możliwy renesans także na polu organizacji rodowej, zapewnienia trwałości związków rodzinnych, podniesienia obowiązków rodzinnych do godności zasad etycznych, obowiązujących atmosferę domową?

(Społeczność angielska wyżywa się w dynastji i przez dynastję, widząc w niej zwierciadło domu rodziny własnej. Na uwagę zasługują wielkie związki rodzinne niemieckie, a zwłaszcza olbrzymie czeskie, które łączą dziesiątki tysięcy ludzi tego samego nazwiska, rozproszonych w różnych krajach).

Nie jest rzeczą historyka silić się na kategoryczną odpowiedź w zakresie rzuconych pytań. Można jednak wskazać na to, że znaczenie życia rodowego i we współczesnych czasach nie wygasło tak dalece, żeby go nie można uchwycić żywcem. Przyczem daje się stwierdzić w każdym poszczególnym przypadku, że istnienie tych pierwiastków stwarza jak najlepsze dane dla kultury historycznej, ale nietylko dla niej, także dla kultury wogóle.

A przedewszystkiem każdego, kto uważnie obserwuje bieg wypadków w dziejach powszechnych w ostatnich dwunastu latach, musi uderzyć i zastanowić znaczenie, jakie sobie w świecie cywilizacji wywalczyła rasa żółta. Nie chodzi tu bynajmniej o triumfy materialne, jakkolwiek odgrywają one rolę barometru, wykazującego ciśnienie pierwiastków duchowych, obcych kulturze europejskiej. Głównie chodzi nam o fakt, że w kulturze japońskiej, w jej organizacji społecznej, a zwłaszcza w stosunku jednostki do społeczeństwa i państwa spostrzegamy istnienie objawów duchowych, obcych wogóle naszemu duchowi. Kto miał sposobność czytania choćby tłumaczonych cytatów japońskich mężów stanu i myślicieli, musiał się nad tem głęboko zastanowić. Tam u nich panuje żywe przeświadczenie o wyższości ich własnej duchowej kultury nad europejską. I to wcale nie od daty zwycięstw, ale już od czasów, kiedy Japonja wkroczyła na drogę reform europejskich. To więc poczucie wyższości duchowej ludzi żółtych nad rasą białą nie ma nic wspólnego z dawnym stanowiskiem mahometan wobec chrześcijaństwa, ani stanowiskiem Chin. Japończyk Europejczyka szuka, czerpie pełną dłonią ze skarbu europejskiej cywilizacji, a pomimo tego nie wyrzeka się niczego z zasadniczych rysów swego ducha.

Z tych rysów japońskiej kultury wyjmujemy fakt jeden, odnoszący się bezpośrednio do omawianego tematu. Jest nim właśnie

rola jednostki w stosunku do społeczeństwa i do państwa. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że swoją ciężką duchową Japonja zawdzięcza temu, że państwo miało możność wyzyskać w całej pełni świeżą jeszcze i żywotną tamże organizację rodową. Jednostka w Japonji nie absorbuje tak w zupełności wszelkich kapitałów społecznych, jak je absorbuje europejski indywidualizm. Pomiedzy państwem, społeczeństwem — a indywiduum stoi ród i kult rodowy, z całą masą swych ciężkich obowiązków. Hamują one coprawda rozmach jednostki, ukrócają jej prawa, ale wzamian za to dają jej oparcie o ród. Japończyk czuje się członkiem nietylko państwa i narodu, ale jeszcze rodu, i osiąga przez to rezultaty duchowe, na które nam przystoi spoglądać z daleko większą zazdrością, niż na ich zdobyte siły i pięści. Rezultatami temi są harmonja i równowaga ducha, które nie wahają się poświęcać na ołtarzu obowiązku publicznego wszystkiego, co człowiek ma najdroższego na świecie, własnego życia, własnych nawet dzieci. W tem tkwi siła duchowa, pozwalająca na niebezpieczne wyprawy na branderach, na przepijanie do siebie w obliczu wroga nie alkoholem, ale wodą. Co zaś najbardziej musi zastanowić, to fakt, że w tych wszystkich wypadkach niema nawet mowy o poświęceniu. W pojęciu europejskiem, naszej zdziczałej cywilizacji, to wygląda na poświęcenie, ale tam niem nie jest. Jest prostem spełnieniem obowiązku, za które się nawet nagrody szczególnej nie otrzymuje, podobnie jak nikt na świecie matkom nie zapłaci za szereg bezsennych nocy spędzonych przy dzieciach, jak nikt ich nie nagrodzi za to, jeżeli dla tych dzieci narażają lub poświęcają życie.

Nie piszemy zresztą tyrady, ani nie chodzi nam o to, żeby rzecz ubierać we frazesy. Idzie o pytanie, skąd się bierze ten cudowny zapas sił, który ogranicza jednostkę, który jej nakazuje rozplýwać się panteistycznym sposobem w swoim społeczeństwie, skąd płynie to olbrzymie poczucie obowiązku publicznego?

Oto ta harmonja i równowaga i brak nerwowości, cechujące człowieka dalekiego Wschodu, są w znacznej mierze skutkiem harmonji i równowagi ich dziejów. Prawda, że rozczytując się w nich, widzimy, że i na ich kartach zapisany jest szereg nawałnic, wstrząsających posadami. Ale mimo to fundamenta kultury społecznej i duchowej, a zwłaszcza ustroju, pozostały nienaruszone w ciągu dwu tysięcy lat. W zestawieniu z temi dziejami, dzieje Europy przedstawiają szereg ciągłych huraganów, ciągłych zmian, linii wyciągającej się w wieczny, raptowny zygzak. Doprowadza on do tego, że

atmosfera umysłowa zmienia się tak szybko, że trzydzieści lat wystarczy, żeby sposób myślenia i zasadnicze o rzeczach wyobrażenia zmieniać. Pokolenie rodziców nie może się duchowo porozumiewać, a tem bardziej solidaryzować, z pokoleniem własnych dzieci, a cóż dopiero mówić o znaczniejszych odstępach czasu. I znowu jako skutek szalona nerwowość i brak równowagi duchowej; jeden prąd nie zdąży dojrzeć i rozwinąć się, a już musi ustąpić nowemu. A to biedne, nieszczęśliwe indywiduum ludzkie, pozostawione samo sobie, nie ma żadnego równoważnika, któryby mu pozwolił choć na chwilę odetchnąć lub schronić się pod dach, żeby przeczekać burzę.

W tej historii, tyle nam obcej, mamy przykłady instytucji społecznych, które przetrwały szeregi wieków, i widzimy, że się nie przeżyły, ale śmiało stawiają czoło nowym tak radykalnym przewrotom, jakich widownią jest świat japoński.

Jaka jest logika tych rzeczy? Mojem zdaniem ta, że jednostka ludzka nie może bezkarnie spuszczać się na własne tylko siły, że nie może ostać się sama wobec coraz potężniejszych związków państwowych i społecznych, obrachowanych na jak najszersze masy, ale musi szukać sobie azylum. Azylum to Japonja ma gotowe w instytucji rodowej i sile związków rodzinnych, które tam są nietylko instytucjami prawnymi, ale otaczają jednostkę światem odpowiedniej atmosfery duchowej. (Zanim przystąpię do króciutkiej charakterystyki znaczenia kultury rodowej na dalekim Wschodzie, muszę zrobić zastrzeżenie. Konkretyzując ten pogląd, byłem pod silnem wrażeniem wypadków z przed lat trzydziestu. Dzisiaj wypadłoby ten pogląd zrewidować i pogłębić. Wydaje mi się, że dusza Wschodu kryje w sobie ciągle niejedną tajemnicę dla Europejczyka. Niezależnie od nieznanych psychicznych i rasowych przyczyn sam światopogląd Chińczyka a zwłaszcza Japończyka, ma w sobie coś z ducha starożytnego Egiptu czy cywilizacji Mezopotamji. Odwieczny i tajemniczy genjusz rasy pora się z niesłychanie trudnymi warunkami życia i ujarzmiania gleby. Do tego dodać należy częste perjodyczne katastrofy przyrody, w formie łagodniejszej jak wylewy wód, walka z pustynią, lub w strasznych formach wulkanicznych, pozornie skazujących człowieka na beznadziejność twórczej cywilizacyjnej pracy).

Japoński kult rodowy jest nadzwyczaj podobny do czci przodków w starożytnym Rzymie, ale są także ciekawe różnice. Ten kult rodowy jest może w Japonji ilościowo nawet silniejszy, a różny i co do treści. W Rzymie bowiem, jak wogóle w świecie antycznym,

kult rodowy nie wybiegał za mury miast, — miasto, nawet za dobrych pierwotnie czysto rolniczych czasów Rzymu, skupiało w sobie całość życia — w dziejach zaś Japonji mamy do czynienia z rozległym państwem terytorjalnem w pojęciu europejskiem. Może być, że tej właśnie okoliczności instytucja rodu japońskiego ma do zawdzięczenia większą żywotność. Pewne natomiast jest, że religie Wschodu więcej o zakresie filozoficznym, a mniej etyczno-społecznym, nie godziły w ród w tak wysokim stopniu, jak religja chrześcijańska. Samo zresztą państwo japońskie, aż do ostatnich czasów, było oparte na zasadach organizacji rodowej. Dość, że w Japonji ten ustrój przetrwał, dając w rezultacie to interesujące zjawisko, że i pojęcie historii snuje się tam na kanwie rodowej. Dzieje Japonji są dziejami rodów; jeżeli dziejopisarstwo europejskie zaczyna się od roczników, spisywanych przy katedrach i kościołach, to tam zaczyna się od roczników rodowych. Jakże różne musi być w wyniku stanowisko Japończyka do przeszłości, której najdalsze momenty może wiązać z teraźniejszością zapomocą szeregu ogniw, doprowadzających go do własnego ja.

W poprzednich uwagach zestawiliśmy przykłady organizacji rodowej Rzymian i Japończyków. Żywe one są bardzo i wiele zdolne nam powiedzieć. Sam jednak jestem daleki od tego, bym miał przeceniać ich doniosłość i oświadczać się za ich przejmowaniem *en bloc* do europejskiej cywilizacji.

Organizacja i kult rodowy, czy starorzymskie czy japońskie, tkwią u źródła duszy odnośnych ras, stanowią czy stanowiły ich dobro, odziedziczone ze spuścizną wieków. A więc wyrosły na taki środek, którym się te ludy posługiwały lub posługują i n s t y n k t o w o. Instynktownym więc i mechanicznym jest u Japończyka związek z przeszłością zapomocą organizacji rodowej czy kultu rodowego.

Na wypadek zaś renesansu czy recepcji odnośnych instytucyj i idei duchowych Europejczyk musi się zgóry pytać, do jakiego celu przyjmowanie ich zmierza, a samo zaszczerpiecie musi się poważnie odbywać drogą sztuczną.

To jedno zastrzeżenie. Drugiem byłby fakt, że ród i kult rodowy rozwinęły się jako powszechna instytucja w społeczeństwach niearyjskich i niechrześcijańskich (jakkolwiek są znaczne od tego wyjątki). Dostosowanie więc zasad etyki rodowej do etyki wszechludzkiej i chrześcijańskiej byłoby pierwszym warunkiem takiej recepcji.

Hasło: więcej życia rodzinnego, więcej pierwiastka poczucia rodowego, pielęgnowanie tych rysów, to jeszcze ma za sobą, że dzieje Europy znają je dobrze w dwóch formach. W jednej, ogólnej; wiadomo bowiem, że zasada rodowa była powszechną zasadą organizacyjną w brzasku dziejów ludów europejskich, znali ją dobrze nie tylko Greko-Italowie, ale także Celtowie, Germanowie i Słowianie, uległa jednak szybko rozkładowi pod wpływem chrześcijaństwa i państwa.

Druga zaś forma występuje szczególnie silnie bądź u ludów górskich, bądź w społeczeństwach arystokratycznych, czy ziemiańskich, czy miejskich.

Bardzo są interesujące objawy rodowej zasady u ludów górskich, a więc z zasady demokratycznych w znaczeniu pierwotnem, zazdrosnych o swą wolność nazewnątrż i nawewnątrż wobec królów czy władców. Klan, który jest poprostu rodem szkockim, o nim bowiem mówimy, zachował swą niespożytą siłę aż do XIX w. Nie znam stosunków szkockich, trudno mi więc o tem szerzej mówić. Znany jednak jest fakt, że w nowoczesnych dziejach angielskich Anglja ma Szkocji do zawdzięczenia tężyznę i hart ducha, jakiego tyle dała dowodów, Szkocja zresztą jest krajem angielskich myślicieli i krajem cnoty społecznej.

Drugi przykład, na który zwrócił mi ougiś uwagę dr. St. Grabski, może jeszcze ciekawszy, tyczy Szwajcarii. Organizacja wewnętrzna kantonalna spoczywała doniedawna także na zasadzie związków rodów góralskich, od tylu wieków zamiłowanych w wolności i umiejących ją sobie wywalczać. Otóż nowoczesne życie duchowe chłopów szwajcarskich dostarcza ciekawego przykładu pogodzenia dążności i zasad rodowych z wymaganiami nowoczesnej cywilizacji i kultury. Szwajcaria jest jedynym bodaj krajem w Europie, gdzie nauka historii jest elementem ogólnej kultury w ścisłem słowa znaczeniu, gdzie każda okolica, każda wieś niemal ma swe towarzystwo miłośników historii danego zakątka. Skąd ten objaw? Czyżby on płynął z ogólnych oderwanych naukowych potrzeb i upodobań chłopów szwajcarskich? Nie. Znajomość przeszłości styka się tutaj bezpośrednio ze znajomością siebie. Towarzystwa historii istnieją nato, żeby młodsze i starsze pokolenia znały historję okolicy, którą robili ich ojcowie, dziadowie. Historia nie obraca się jedynie w zakresie pojęć trudnych, ale jest historją samego siebie, własnej rodziny. Dziecko w szkole w takim kraju nie potrzebuje walczyć z trudnościami przyswajania sobie dziejów —

nauka historii bowiem zaczyna się od samego dziecka. A dzieje ojczyste nie są rzeczą, stojącą poza codziennem życiem, od święta surdudem, który poza tem wisi spokojnie na kołku, ale są częścią samego życia, należą do rodzinnych klejnotów.

Człowiek w takich warunkach umie nie tylko kilkanaście faktów historycznych, ale przeszłość czuje, ujmuje ją intuicyjnie i nabiera do niej przywiązania.

(Dodatnie więc znaczenie dla kultury naszej i pogłębienia jej związku z przeszłością mogą mieć pojawiające się i u nas związki rodowe w nowych demokratycznych formach. Wiem, że na wielką skalę istnieją one w Czechach, ogarniając nawet różne kraje słowiańskie. Podobne znaczenie mają organizacje, które obejmują pochodzących z jednej wsi, organizują one zjazdy, śpieszą z pomocą, a przede wszystkim utrwalają zasadę żywego związku, niegasnącego, z gniazdem własnej przeszłości).

Z jednym jeszcze możliwym trzeba by uporać się zarzutem. Zasada rodowa pachnie tendencjami arystokratycznymi, tak sprzecznymi z demokratyzmem europejskim, z równością nie tylko polityczną i społeczną różnych warstw, ale równością mężczyzn i kobiet. Zarzut ten pozornie o tyle byłby jeszcze usprawiedliwiony, że w niniejszym wywodzie parokrotnie podnieśliśmy fakt, że zerwanie związku między teraźniejszością a przeszłością w znacznej mierze należy położyć na karb niwelacji wszelkich uwarstwowień społecznych w dzisiejszej Europie.

Wrogowie zaś zasady rodowej mogliby podnieść rysy dziejowe, występujące np. w historii Wenecji lub w dziejach arystokracji feudalnej, doprowadzające do samolubstwa i najwyższego egoizmu społecznego.

Zarzut taki byłby jednak niesłuszny. I to z przyczyny podwójnej. Po pierwsze, że zasada rodowa, ożywiająca całe społeczeństwo od góry do dołu nie ma wspólnego z arystokracją. Po drugie, prawdą jest, że wśród arystokracji zasada rodowa jest fundamentalną podstawą egzystencji; ale zdaje mi się, że to tem bardziej powinno przemawiać za przejściem tych zasad przez najszersze koła społeczne. Formy bowiem zasad rodowych wśród arystokracji wskutek uprzywilejowanego stanowiska, jakie ona zajmuje w społeczeństwie, są po największej części wynaturzone. Przeczą zresztą temu przykłady szwajcarski i szkocki, obydwa społeczeństwa bardzo demokratycznych.

Polecając więc recepcję organizacji rodowej, chodzi nam o to,

żeby stała się ona instytucją demokratyczną, żeby dążnościom demokratycznym nadała pewien kit duchowy, żeby za jej pomocą jednostka ludzka mogła się ratować przed pochłanianiem jej przez masę. Wówczas bowiem tylko zachowa społeczeństwo równowagę między przeszłością a przyszłością.

W wywodach naszych dobiegamy do końca. Dążność do skryształizowania ideału całego człowieka wymaga równowagi i harmonji ducha. Jednostka jako kwintesencja całej przeszłości i teraźniejszości nie może tkwić wyłącznie w tej ostatniej, zaraz bowiem słabnie i musi opierać się o przeszłość i żyć w przeszłości, nie przypadkowo, ale regularnie, zapewniając przeszłości stałe miejsce w warunkach i technice własnego życia. To zaś możliwe jest do osiągnięcia, jeżeli ten związek z przeszłością nie będzie tylko rozumowy zapomocą nauki historycznej, ale także uczuciowy zapomocą intuicji historycznej. Intuicja ta jest poprostu koniecznością w pedagogice historycznej. Środki, zapomocą których dojrzałe pokolenia stykają się z przeszłością, są także tylko rozumowej natury. Jedno i drugie musi być uzupełnione zapomocą wytworzenia nowych form wchłaniania przez nas przeszłości. Obok dotychczasowych środków historycznego studjum, lektury historycznej, tego więc, co daje wiedza historyczna, przeszłość sama wymaga od nas pielęgnowania takich fizycznych i moralnych związków, jakie nas z nią łączą. Jeżeli bowiem mówimy ciągle o odpowiedzialności teraźniejszości wobec przyszłości, nas samych wobec naszych dzieci, to takie same obowiązki ma teraźniejszość wobec przeszłości. Wówczas dopiero nasze dzieci, mając żywy przykład w nas samych, w wspomnieniach dzieciństwa i młodości, mogą się odwrotnie poczuwać do odpowiedzialności względem nas.

Komórką zaś tych związków fizycznych i moralnych z przeszłością są związki rodzinne. Ich dzieje wprowadzają dziecko najlepiej w świat historii i podtrzymują dojrzałego człowieka w życiu i nauczają go służyć państwu i narodowi za pośrednictwem obowiązków rodowych (obok innych).

Niech chłop, robotnik czy urzędnik, wstępując w świat kultury, obdarzony pełnią przywilejów obywatelskich, pamięta o tem, skąd wyszedł, z jakiego gniazda, niech tę umiejętność przekaże swym dzieciom, wówczas będą one się czuły moralnie wobec niego odpowiedzialne. Niech zjazdy rodzinne będą instytucją powszechną, niech się w nich łączą, czy podczas uroczystych świąt kościelnych czy rodzinnych, przedstawiciele rodziny z najdalszych zakątków,

wówczas pamięć minionych czasów przyoblecze się w żywe kształty pamięci drogich osób. Niech groby i grobowce będą nietylko przedmiotem przystrojenia w dzień zaduszny, ale niech u nich członkowie bliższej czy dalszej rodziny się zbierają. Wtedy tylko rodzina odegra rolę żywego łącznika między całym społeczeństwem a jednostką. Jasne jest przytem, że takie pojmowanie stosunku jednostki do rodziny dalekie jest od chęci wtłaczania społeczeństwa w ramy rodu czy rodziny, co by było dążnością do cofania historii wstecz, byłoby więc śmieszne. Nie zapomocą praw, nie zapomocą przymusu, tylko na drodze dobrowolnej, moralnej i duchowej, związki rodzinne mogą przynieść pożytek. Wzmocnią one siły jednostki, która, jak była w przeszłości, tak będzie na przyszłość głównym czynnikiem historycznego procesu.

Więcej mogą powiedzieć zawodowi politycy i zawodowi działacze.

W naszym pojęciu narodu (n a - r o d u) mieści się w znacznej mierze klucz do bramy, która wiedzie do pałaców, gdzie życie można spotęgować o jeden silny czynnik: żywego obcowania z przeszłością.

Dixi.

DOPISEK. Wydając ten wykład po raz drugi, w dwadzieścia ośm lat od chwili, gdy go pierwszy raz wygłosiłem, nie zmieniłem jego zasadniczej budowy.

Odzyskaliśmy własne państwo, które jest głównym stróżem własnej przeszłości i najważniejszym gwarantem przestrzegania nauk przeszłości. Rozrosłyby się nadmierne ramy wykładu, gdybym miał w nie wtłaczać rozważanie roli państwa, jako wielkiego mistrza i warsztatu historii. Ubocznie tylko poruszam temat podobny w wykładzie „Historjografia polska wobec wskrzeszenia państwa“.

Tutaj jednak muszę jeszcze wrócić do uwagi, rzuconej na wstępie i w toku wykładu, o zanikaniu związku jednostki z jej przeszłością. Na tem polu zaszedł szereg przewrotów w życiu państw i społeczeństw całego świata, jak również w stosunku jednostki do kultury historycznej. W ciągu lat dwudziestu ludzkość bądź nawraca do przeszłości na jednych polach, bądź z nią zrywa. Wobec tych wielkich wydarzeń mnie samemu wydają się blade i nikłe spostrzeżenia na temat organizacji rodziny i rodu i wpływu ich na dzisiejsze życie ludzkie. Niemniej jednak należyte zharmonizowanie podstaw przeszłości z potrzebami teraźniejszości i przyszłości pozostaje dla mnie niewruszalnym dogmatem cywilizacji, koniecznym warunkiem rzetelnego i zdrowego jej rozwoju.

II. WIEDZA HISTORYCZNA

Obok intuicji wiedza historyczna. — Potrzeba jej definicji. — Pedagogiczna strona zagadnienia. — Stanowisko Długosza. — Dzisiejsza definicja. — Rola jednostki w procesie historycznym. — Człowiek a organizacje. — Znaczenie państwa. — Porównanie pojęcia państwa z pojęciem narodu. — Kilka słów o historii powszechnej. — Wnioski.

Uwagi nad rolą intuicji w kulturze historycznej doprowadziły nas do przeświadczenia, że stosunek człowieka do przeszłości powinien być w pierwszym rzędzie oparty na pierwiastku uczuciowym i na związku moralnym. Pierwiastki te, razem wzięte, mogą za pośrednictwem np. ścisłego poczucia solidarności rodowej czy rodzinnej utrzymywać człowieka w związku instynktowym z przeszłością, który stawia ludzi dzisiejszych wobec ludzi przeszłości, wobec żywych ludzi — ludzi, których czuje się potomkiem czy fizycznym, czy duchowym.

Takie rozpatrywanie uczuciowe przeszłości szuka w przeszłości ludzi, przytem nie człowieka przeciętnego, ale ludzi indywidualnych, i szuka czynów indywidualnych.

Obok przeto intuicji doniosła jest rola wiedzy historycznej, tego drugiego elementu historycznej kultury. Ma ona nam określić główny swój przedmiot, przedmiot procesu historycznego. To jej strona czysto umiętna. Spełnia ona przytem ważną funkcję wykonawczo - społeczną; dostarcza bowiem prawdziwego materiału, którym się karmi kultura historyczna ludzkości, i chroni ją przed bałwochwalstwem przeszłości, do którego jest skłonne uczucie.

„Historia nie jest bowiem ewangelją“ powiedział już nasz stary i pocziwy Gallus. To, co jest przeszłe, nie jest zatem dlatego samego święte i nietykalne, jak mniemali Grecy i Rzymianie.

W niniejszym wykładzie pragnę się zastanowić nad przedmiotem, czyli nad granicami i zakresem wiedzy historycznej. Chodzi nam przeto o rozważenie, jaka jest definicja tej wiedzy, i na czym się ona opiera.

Postawienie tej kwestji dalekie jest od jałowości i bezużytecz-

ności, przeciwnie tok wywodu przekona czytelnika, że jest to przedmiot bardzo aktualny, tak dla zawodowego historyka, jak dla wszystkich, którzy nie chcą być obcy historycznej kulturze.

Zacznijmy od pedagogicznej strony poruszonego pytania.

Bez względu na charakter specjalny, to znaczy naszej fachowej literatury historycznej, wszelkie próby uogólnień całości poglądów na przeszłość Polski, — czyto się one uzewnętrzniają w większości podręczników czy w opinii szerokich kół, — i na przeszłość Polski i wogóle na historję patrzą się ze stanowiska tak zwanego socjologicznego. W pewnych więc kołach historia Polski ze stanowiska prawa ma jedynie rację bytu, w innych ze stanowiska gospodarczego — wogóle zaś tylko warunki i kierunki rozwoju zasługują na ich uwydatnienie, mają wartość pedagogiczną. Są nawet tacy, co mniemają, że historia społeczna bądź też historia kultury czy też cywilizacji, oto właściwy przedmiot, godny poważnego badania. Kto się zaś zajmuje historją wojen czy dyplomacji, czy też historją dynastij lub dworów, kto bada historję państwa i kościoła nie przez pryzmat mechanicznego poglądu, ale szuka ludzi i wypadków, to wstecznik, godzien najsurowszego potępienia.

Jednem słowem dzisiaj, przynajmniej z punktu widzenia szerokiej opinii, stary spór między historją polityczną a społeczną jest już stoczony, zakończony, a wygrana jest stanowczo po stronie zwolenników historii socjologicznej.

Niejednokrotnie zdarzało mi się podczas różnych ankiet wysłuchiwać zdania ludzi poważnych, że nasze obowiązujące np. w Galicji podręczniki historyczne i niezależnie od nich wykład i wymagania nauczycieli zanađto przeciążają pamięć uczniów szczegółami różnych przepraw wojennych, dziejami polityki i wogóle wypadkowej strony historii. Zaniedbują zaś rzeczy stokroć ważniejsze dla umysłu ucznia, jak obyczaje, dzieje wynalazków i t. p.

Nie wchodząc narazie w kwestję, o ile oddzielne z tych zarzutów mogą być rzeczywiście uzasadnione (tak jest, nieproporcjonalne traktowanie różnych działów wiedzy może zasługiwać na potępienie), zastanówmy się przedewszystkiem nad istotną ich treścią, nad ich stroną teoretyczną, o ile obejmuje próby odpowiedzi na pytanie, co jest przedmiotem historii.

Zarzuty te wychodzą ze stanowiska, że t. zw. polityczna historia jest nauką samą przez się przestarzałą, że rozwój nauki przesunął szalę zwycięstwa na korzyść t. zw. wewnętrznej historii. Ta więc w nauczaniu historii powinna być wysunięta na plan pierwszy.

Rozumiejąc pod historją polityczną naukę o państwie, już tylko z tego stanowiska nie można pisać się na argumenty przeciwników historii politycznej. Sprzeciwia się temu bowiem najwyraźniej nasz interes polityczny.

Jeżeli dla ucznia szkół pruskich, w tamtejszem nauczaniu historii, jest za wiele mowy o państwie bojaźni Bożej — to stąd nie wypływa jeszcze racja, żeby doświadczenie szkół tamtejszych miało być żywcem przenoszone do polskich. Naród nasz bowiem, prowadząc już drugi wiek walkę o swe polityczne prawa, naród, który rozumie, co to znaczy stracić wolność polityczną, co to znaczy stracić państwo, lepiej niż inne narody powinien rozumieć doniosłość strony politycznej w dziejach. Uznając ją, powinien następnie oceniać także polityczną stronę nauki historycznej. Stanowi ona bowiem jeden z nielicznych środków politycznego wykształcenia naszej młodzieży. Wykształcenie to zaś jest koniecznym postulatem naszego odrodzenia narodowego.

Ale prawda. Przeciwnicy historii politycznej, a zwolennicy dziejów cywilizacji, mają jeden argument w zapasie. Wszak, powiadają, historia polityczna — to historia osób, to historia bohaterów, wszystko jedno, czy prawdziwych, czy urojonych. Osoby zaś w historii nic nie znaczą, natomiast znaczy masa, ogólne linje, ogólne kierunki, ogólny rozpęd, wobec którego błędną najcięższe wysiłki najdzielniejszych jednostek. Co najwyżej działalność jednostek może sobie zdobyć rolę mniej lub więcej trafnego wyrażenia kierunku rozwoju. Nie posiada jednak roli twórczej, tak mówią przeciwnicy historii politycznej.

I ten zarzut może być łatwo odparty narazie ze stanowiska praktycznej filozofji życia, t. j. ze stanowiska utylitarne go. Historia nie opisuje losów manekinów, przyodzianych w jeden mundur, myślących na jedną modłę. Polski polityk lub kandydat na męża stanu niewiele wart, jeżeli przed swym zawodem, lub chociażby w ciągu politycznej praktyki, nie wystudjuje działalności uznanych w historii polskich statystów i mężów stanu.

Chociaż nie jest mi sympatyczne powoływanie się na przykłady zagraniczne, jednak samo pióro kreśli mechanicznie przykład z ostatnich czasów Francuza Hanoteau, dyplomaty praktycznego, zgłębiającego postać Richelieu z naukową erudycją, która mu zapewniła fotel Akademji.

To samo jest potrzebne i u nas. Inaczej postępujemy, jak ci naiwni, którzy wierzyli w doskonałość człowieka natury, który sam

z siebie w sposób naturalny, rzekomo najdoskonalszy, wydobędzie drogi, kierunki, po których pójdzie ludzkość. Nie potrzebuję zaś chyba objaśniać, jak srodze na tem przypuszczeniu zawiodła się ludzkość końca XVIII i początku XIX wieku.

Praktyczne zatem względy powinny nas przekonać, że upośledzanie historii politycznej jest co najmniej śmieszne w społeczeństwie, które marzy o odrodzeniu politycznem. Praca nad tem odrodzeniem powinna nas prowadzić właśnie wprost w odwrotnym kierunku, do tego, żeby historia polityczna była u nas uprawiana więcej, niż u naszych szczęśliwych rywali na polu międzynarodowej konkurencji. Jest to aktualna kwestja naszej historycznej pedagogiki.

Historja polityczna, a historia cywilizacji — to nietylko sprawa nauczania i wykształcenia historycznego. Jest to doniosła kwestja, pełna interesu tak dla zawodowego historyka, jak dla każdego wykształconego człowieka. Prowadzi bowiem odrazu do ponętnego pytania, co jest właściwym przedmiotem historii. Wymagania praktyki nauczania wtedy tylko mogą znaleźć prawo obywatelstwa w nauce, jeżeli towarzyszy im teoretyczna racja, teoretyczne umotywowanie.

Przenieśmy się na chwilę w czasy XV stulecia. Państwo Jagiellonów stoi u zenitu świetności. W jego słońcu dojrzewa pierwsza próba wyczerpującej historii Polski, pierwsza zarazem dojrzała próba teoretycznego uchwycenia racyj, które każą zajmować się przeszłością. Przenosimy się zatem w świat, kiedy jeszcze nad wiedzą panowała wiara, inna więc całkiem była sfera umysłowości; ale inne także było środowisko historyków: nad środowiskiem tem panowało państwo.

Jaskrawa granica zachodzi pomiędzy pojmowaniem historii przez historyków naszych z doby niepodległości Rzeczypospolitej a historykami XIX wieku.

Dla historyków pierwszej kategorii, z Długoszem na czele, historia — to umiejętność, stojąca na służbie państwa. Istotnie, od czasów Galla począwszy, kiedy rodziła się nasza historjografia, skończywszy w XVIII w. na Naruszewiczu, już sama pozycja publiczna naszych uczonych dziejopisów odznacza się jednym interesującym rysem. Wszyscy oni są w najściślejszym związku bądź z samym panującym, bądź z jego bezpośredniem otoczeniem, i stąd czerpią często nietylko natchnienie do pracy, ale materiał informacyjny i ogólne wskazówki. Kronika Galla powstała na dworze Bo-

lesława Krzywoustego. Kazimierz Sprawiedliwy wpływa bezpośrednio na Wincentego, by ten zajął się spisaniem dziejów Polski; książęta śląscy Ludwik na Brzegu i Rupert lignicki wraz z biskupem wrocławskim Wacławem dają zachętę do spisania kroniki książąt polskich; polski „Mazarini“ XV w., Zbigniew Oleśnicki, jest promotorem i inicjatorem dzieła Długoszewego, i tak ciągle aż do XVIII w., kiedy Stanisław August czuwał stale nad postępem pracy naruszewiczowskiej. Nic dziwnego, że dla nich indywidualna działalność w służbie państwa stoi na pierwszym planie ich rozważań.

Pod tym względem stoją oni wszyscy wyżej znacznie od swych kolegów po piórze XIX w., choćby nawet od najznakomitszych imion XIX w. Ostatni ci, wyżsi bez kwestji co do antykwarskiej strony badania, posiadają wyostrzony i wyćwiczony umysł krytyczny. Brak im jednak często bezpośredniości zetknięcia ze sprawą publiczną, na którą patrzą bądź przez szkła czysto gabinetowe, bądź przez szkła opinji, na której stronę się przechylają.

Zastanówmy się chwilę nad pojmowaniem historii przez Długosza. W jego określeniach można wyróżnić kilka elementów zasadniczych, które dadzą się spożytkować dla dalszych wywodów. Ciekawe także są różnice pomiędzy zapatrywaniem Długosza a dzisiejszemi poglądami na przedmiot historii.

W rozumowaniu jego znajduje się (pomimo całkiem średnio-wiecznego charakteru całości dzieła) jasno wypowiedziana, nowożytna myśl, że „wszyscy śmiertelni, ożywieni są żądzą wiedzy i rozumienia“ zjawisk. Ogólny jednak punkt wyjścia stanowią kryteria etyczne. Znakomicie np. określa je Długosz, zestawiając historję z filozofją: „Znajomość starożytności, historii i rzeczy zdziałanych w kraju i zagranicą jest uważaną przez mędrców za pokrewną cnotcie (etyce), za mistrzynię życia. Przynosi ona korzyści rodzajowi ludzkiemu nie mniejsze od filozofji. Prawda, że filozofja uczy i skierowyywa człowieka do spełniania cnotliwych uczynków. Historia jednak jest bardziej w stanie poprowadzić człowieka do zrozumienia lub dokonywania przesławnych postępków. Filozofja tylko zapala i porusza, historia tworzy dzieło skończone, w którym, jak w zwierciadle można obserwować tak dobrze to, co się tyczy męstwa, skromności, mądrości, cnoty pobożności... Historia uczy tego wszystkiego nie przez przykazania, nie przez ustawy, nie przez dowodzenia, ale czynami i obyczajami sławnych bohaterów“.

Na innem zaś miejscu powiada: „Ta racja wśród innych pobudziła mnie (do pracy), żeby królowie, książęta i inni, którzy rzą-

dzie będą Rzeczpospolitą, kształcili swego ducha i umysł i czyny swoje na wzór cnót i czynów tych postaci najteńszych mężów, jakich opisy i obrazy pozostawili nam pisarze dziejów“...

„Jeżeli zaś ktokolwiek zganiłby mi, że m spisał nietylko dzieje Polaków, ale dotknąłem także nieznanvch wielu spraw Czechów, Węgrów, Rusinów, Prusaków, Sasów, Litwinów, Rzymian, a nadto papieżv, cesarzy i królów, wiedzcie, że m to uczynił po rozwadze i zmuszony koniecznością poznania prawdy. A to ponieważ te kraje zawierały z Polakami wiele razy związki, lub toczyły wojny, lub też były bliskie Polsce, czy to dla zgodności mowy, czy sąsiedztwa, w takim stopniu, że wielokrotnie rządziły się władzą jednego monarchy. Ponieważ zaś wiele spraw zewnętrznych ma związek z polskimi, było rzeczą przywoitą dotknąć ich w opisie wydarzeń, nie z powodu zarozumiałości, ale dlatego żeby nie były przez nas nieznanv“...

Śmiało można powiedzieć, że zaznaczonego w powyższym wyciągu stanowiska Długosza nie prześcignięto w naszej nauce aż do Naruszewicza włącznie. (Mógłbym i dzisiaj to powtórzyć, może w formie dosadniejszej. Uważam bowiem za kardynalny błąd zarówno medjewistów, jak i „nowożytników“ opieranie się wyłącznie na cytatach bezpośrednio mówiących o temacie, a lekceważenie badania związku cytatu z całością i z charakterem źródła, z którego jest wzięty. Błąd ten mści się szczególnie na badaniach dziejów wczesnego średniowiecza).

Dla Długosza zatem cel studjum historycznego jest dwojaki: ciekawość czyli żądza wiedzy i doskonalenie się moralne. Zakres zaś studjum obejmuje indywidualne czyny ludzkie. O ile zaś chodzi o przedmiot samego dzieła, to jest nim dla Długosza historia polskiej Rzeczpospolitej, oświetlona jednak przez dzieje postronne, których ważność dla naszych dziejów ocenił Długosz pierwszy. Wszystko to dla dobra państwa i w jego służbie.

Długoszową definicję przedziela cała przepaść od pojęć, jakie panują dzisiaj w nauce. Jeden z naszych najgłośniejszych historyków wyraził się kiedyś, że praca historyka nie jest niczem innym, jak zebraniem faktów dziejowych i zastosowaniem do nich wyników nauk społecznych i politycznych. Inny wybitny nasz historyk powiadał, że dzieje w najogólniejszym znaczeniu są masą działań, podjętych w celu utrzymania bytu.

Te zapatrywania naszych badaczów idą równolegle z rozwojem pojęć w całej nauce, której wyrazem definicja Bernheima;

można ją uważać za panującą, za ostatni wyraz teorii, do którego doszła umiejętność historyczna w XIX wieku.

Oto definicja Bernheima: nauka historii — to taka nauka, która bada i przedstawia w przyczynowym związku fakty z rozwojem ludzi pojętych jako istoty społeczne; fakty zaś przejawiają się w działalności ludzkiej czyto osobistej, czy też typowej i zbiorowej. Tyle Bernheim.

Nie da się zaprzeczyć, że w szeregu owych definicji przebija się nader silnie wpływ nauk społecznych. Wpływ ten idzie tak daleko, że przedmiot historii pokrywa się całkowicie z przedmiotem nauk społecznych.

Według panujących więc definicji wszelkie ruchy ludzkie i wszelki zakres pracy ludzkiej należy do historyka. Niema zatem żadnej granicy pomiędzy socjologią praktyczną a historją, i historia schodzi do rzędu stosowanej socjologii. Definicje te prowadzą więc wprost do czysto abstrakcyjnego a zatem i mechanicznego pojmowania dziejów; nie brak było i w naszej literaturze historycznej prób zastosowania ich do ujęcia dziejów naszych na szerszą skalę, gdzie według szablonu, zgóry ułożonego dla każdej epoki, można było taki schemat zestawić, w którym ogólne linje każdej epoki jota w jotę odpowiadały linjom epoki następnej.

Z zestawienia poglądów Długoszowych z dzisiejszemi wynikają następujące wnioski. Co do celu studjum zachodzą poważne różnice. Nauka dzisiejsza zna tylko jeden cel badania, a tym jest cel czysto umiętny. Względy etyczne i tem samem uytłitarne zostają całkowicie na boku.

Przedmiot studjum Długosza, abstrahując od lokalnych stosunków polskich, stanowią sprawy państwowe w najobszerniejszym swoim znaczeniu. Jako naturalne następstwo tego faktu na pierwszym planie jego rozważań stoi c z y n. Nie wszystkie jednak czyny doznają od naszego średniowiecznego historyka równego zaszczytu. Z liwjuuszowskiem zacięciem Długosz mówi o czynach godnych pamięci, o czynach bohaterskich, o samych bohaterach wreszcie. To główny przedmiot jego uwagi. Na tych bowiem tylko wzorach mogą według niego śmiało się kształcić przyszłe pokolenia.

Dzisiejsza nauka także daleko odeszła od tego stanowiska. Sama silnie zdemokratyzowana, z równym interesem śledzi drobne, drobnicuchne działania skromnych jednostek, zajętych przy warsztacie rzemieślniczym, czy tych twórców, którzy uprawiają kult piękna,

czy najcięższych wreszcie polityków. Obok jednostki zostało wprowadzone pojęcie masy, zbiorowiska ludzi, wobec których pozornie błędną oddzielne postacie ludzkie.

*

*

*

Charakteryzując zapatrywania Długosza na historję, wspomnieliśmy o ich stronie etycznej i utylitarnej. Zapatrywania te są typowe nie tylko dlatego, że tak, jak Długosz, rozumowali historycy wogóle do XVIII w. włącznie, ale także dlatego, że zapatrywania te choć w formie więcej przeżytkowej trwają do dziś dnia. I u nas jeszcze przed kilkunastu laty wrzał spór o to, czy historję można traktować jako *magistra vitae*, czy nie.

Dwóch zdań być nie może, że nauka historji nie może być dzisiaj zbiorem przykładów do naśladowania, jeżeli chodzi o jej stronę pedagogiczną. Jeśli zaś mowa o nauce, to historyk nie może być sędzią przeszłych pokoleń, odważającym ich winy i oceniającym zasługi. Nie da się jednak zaprzeczyć, że i ten rodzaj traktowania historji nie zniknie nigdy zupełnie z powierzchni ziemi.

Nie wolno nam jednak zapominać o tem, że historja nie jest wyłącznie przedmiotem badań, ale stanowi integralny element kultury ludzkiej, ludzi wogóle, z których każdy, i nie tylko badacz fachowy, posiada pewne zapatrywania na przeszłość. Ten pogląd na przeszłość, związek z przeszłością, jest właśnie jednym z rysów, najbardziej odróżniającym cywilizowanego człowieka od dzikusa.

Historja przeto jako taki element kultury wogóle, ma swoje strony szczególne, których nie możemy spuszczać z oka, rozważając jej teorję.

Już w poprzednim rozdziale wywiedliśmy, że nie teraźniejszość jest tą stroną, która ma sądzić przeszłość. Rzecz kojarzy się w naszym umyśle przedewszystkiem w tej formie, że my przeszłość uważamy za sędziego i tak na nią spoglądamy.

Po drugie, każdy umysł historyczny, czy nim będzie zawodowy historyk, czy profan, rozpatrując się w tym wielkim cmentarzu czynów ludzkich, jakim jest historja, będzie kroczył przez ten cmentarz z dozą uczucia, obcą zwykle jakiegokolwiek pracy zawodowej. Inna to rzecz całkiem rozpamiętywać czyny Cezara czy Napoleona, bądź działalność wielkich myślicieli, czy twórców religiji i wielkich artystów, a choćby własnych naddziadów i ojców, a inna znowu sprawa badać do gruntu formy wielkiej czy małej produkcji pierw-

szej z brzegu gałęzi przemysłu. Rozważaniu historycznemu towarzyszy więc zawsze pietyzm, bez którego można gładko ślizgać się po powierzchni historii, ale trudno zajrzeć w jej duszę.

Ten czysto etyczny związek teraźniejszości z przeszłością ma swą głęboką rację nie tylko uczuciowej natury. Nazwaliśmy historję cmentarzem czynów ludzkich. Porównanie to jednak poczęści tylko jest usprawiedliwione. Jest bowiem historia niewątpliwie cmentarzem wspomnień o ludziach, którzy niegdyś działali. Czyny jednak, o których historia świadczy, każdej chwili siłą wspomnień i sprzyjających okoliczności mogą się odnawiać, a cała ich masa stanowi coś, co żyje, wśród czego my sami żyjemy, świat naszej kultury.

Z racji więc czysto moralnych można wyprowadzić popęd do znajomości przeszłości, znajomości, opartej na konkretnych często faktach: oglądania przeszłości twarzą w twarz, widzenia jej tak, jak się ogląda żyjących dzisiaj ludzi. W rozważaniu historycznym dążę do wytworzenia sobie pełnych obrazów ubiegłych pokoleń, stwarzam żywe postacie, któremi zaludniam swój świat duchowy.

Pojawia się zatem w odtwarzaniu przeszłości pierwiastek artystyczny. Jest on niewątpliwie pokrewny zadaniom artystycznym wogóle, ale tylko pokrewny. Inna rzecz bowiem wyciosać z bryły marmuru na wzór i podobieństwo modelu postać odtwarzającą jego rysy. Inna rzecz znowu do tego stopnia natężyć swe władze umysłowe, żeby w komórkach mózgu wywołać na podstawie fragmentów źródłowych żywą ludzką postać lub chwilę historyczną — i tę chwilę żywym słowem opisać. Różnica główna ta, że artysta-plastyk widzi oczyma ciała i duszy, dla historyka pozostają tylko oczy duchowe.

*

*

*

Wiadomo, że średniowieczna historjografia za główny przedmiot swych opisów wybierała zdarzenia *godne pamięci*. Nie lada sztuką było i oznaczało duży postęp w rozwoju nauki wprowadzanie tych zdarzeń w przyczynowy związek.

Jądro właściwe tego teoretycznego stanowiska pozostać musi i dzisiaj nadal w pracy badawczej i w myśleniu historycznym wogóle.

Ryzykowną jest rzeczą rozszerzać teren rozważań historycznych tak dalece, że — jak widzieliśmy wyżej, — pokrywa się on w zupełności z terenem nauk społecznych, i co więcej sama historia idzie wprost na służbę tych nauk.

Błąd, jaki zwolennicy takiego stanowiska popełniają, jest jasny. Pragnąc doprowadzić historję do stopnia umiejętności możliwie ścisłej, eliminują z rozważań człowieka czyn jako taki, zatrzymując się głównie nad stosunkami, branżami w możliwie szerokich liniach, tak dalece, że przedmiotu historii niepodobna odróżnić od przedmiotu nauk społecznych. Historia staje się poprostu studjum form społecznych w przeszłości. Nauki bowiem społeczne, prawo, ekonomja, psychologja społeczna zajmują się częściowemi tylko stronami opisywanych zjawisk, budują więc abstrakcje oparte na faktach, które w rzeczywistości nigdy, jako takie, nie istniały. Weźmy np. historję prawa polskiego i przedstawmy ją jednolicie od początku do końca. Jest to zagadnienie teoretyczne czyste, w żadnej bowiem epoce zjawisko prawne nie istnieje samo dla siebie; jest ono poplątane z całym szeregiem innych zjawisk.

Gorzej jeszcze ma się rzecz z temi próbami, które tok historii wyprowadzają z konstrukcji pewnych warunków, danych np. geograficznych, a więc położenia kraju, charakteru, gleby, klimatu i t. p. okoliczności. Przedstawienie takie bowiem wprowadza do historii czynniki, które w niej nie mają całkiem miejsca.

Błąd, o którym mówimy, jest ten, że rzecz w rozważaniu historycznem pomocniczą, jako taką niewątpliwie bardzo ważną, bierzemy za zasadniczy przedmiot historii.

Zastanówmy się bowiem. Dzisiejsze teorie historyczne naogół głoszą, że przedmiotem badań historycznych jest każda społeczność, każda kategoria stosunków, każdy człowiek, wszystko jedno, czy działalność ich odznacza się jakimikolwiek indywidualnemi rysami, czy nie.

W duchu tych poglądów do świata historii należy cały wszechświat życia ludzkiego. Badanie warunków i okoliczności staje się głównym przedmiotem pracy, z którego wprost zapomocą metody czysto dedukcyjnej, wnioskuje się o pewnych faktach.

Przykładów takiego postępowania możnaby dać całe mnóstwo.

Jednym jednak z najbardziej pouczających mogą być różne próby dochodzenia początku polskiego państwa, czy niemieckiej historii, czy francuskiej.

Zastanówmy się nad formą badań początków naszych. Historycy, jak wiadomo, nie biorą za punkt wyjścia czasów od końca czy od początku IX wieku, kiedy państwo nasze właściwie wkracza w świat historii. I słusznie. Dla ciekawości bowiem naukowej niema granic; każde przypuszczenie jest drogocenną zdobyczą nauki.

Co innego jednak badanie z powziętą zgóry predyspozycją, że prowadzi ono do skonstatowania istnienia zaczątków państwa polskiego. Widzimy jak na dłoni, jak zastosowuje się rezultaty porównawczej etnologii, socjologii i prawa i zaludnia się niemi puste karty historii, z tym pocieszającym rezultatem, że przepowiednia w przeszłości się stwierdza i polskie państwo rodzi się z pierwotnego chaosu.

Nie mogąc dać konkretnych faktów historycznych, metoda ta prowadzi do rzucania szerokiego obrazu anonimowych całkiem stosunków społecznych; maluje się więc teren geograficzny kraju, zbiera w kupę okazy archeologii, opisuje plemiona, z silnem podkreśleniem ustroju rodowego, przedstawia się rysy obyczajowe (wzięte z późniejszych czasów). Przyczem drogą czysto mechanicznych racyj wyprowadza się z tego stanu społecznego narodziny państwa.

Cały trud właściwy historyka: opisanie pierwotnych stosunków Polski i jej kolei w IX, X i XI w., staje się daremny przez te sztuczne dowodzenia, że tak musiało się stać.

Taka forma badań prowadzi do czysto mechanicznego a jeszcze bardziej fantastycznego pojmowania historii, nie mającego nic wspólnego z historją.

Jużci, że historyk musi wiedzieć to, o czym świadczą źródła przed początkiem Polski, ale stwarzanie pomiędzy temi okrucami faktów a historją Polski przyczynowego związku zapomocą musu, dedukowanego z różnych warunków, jest ciężką krzywdą, jaką zadajemy nieznanym nam wysiłkom przodków naszych, którzy stworzyli państwo, jest ciężkiem uchybieniem prawdzie historycznej, polegającej na tem, że co się stało, mogło się także nie stać, na co codziennie w życiu patrzymy.

Znam podręcznik francuskiej historii, w którym ta dedukcyjna metoda jest rozwinięta do takiego wirtuozostwa, że po przeczytaniu geograficznego wstępu możnaby sobie oszczędzić czytania dalszych rozdziałów. Autor bowiem tego wstępu wywiódł jasno jak na dłoni, że od czasów rzymskich Francja była zawsze zwartem geograficznem pojęciem, czego naturalnie następstwem było zwarte historyczne życie i istnienie samego francuskiego państwa i francuskiej historii, z jej centralizmem w czasach nowożytnych. (Znam naturalnie jednak z drugiej strony szeregi pruskich książek, napisanych na długo przed reformami Hitlera, w których czarno na białem wywiedziono, że państwo pruskie bodaj od czasów Fryde-

ryka II, jeżeli nie wielkiego elektora, było realizacją ideału centralizmu i mechanizmu administracji wbrew podstawie, jaką był brak spoistości terytorjum państwa).

Nie wynika stąd naturalnie, żeby historyk Francji nie miał znać geografji, ale jasne jest, że nie geografja panuje nad historją, nie ziemia nad człowiekiem, ale człowiek nad ziemią.

Wspomnieliśmy, że ciekawość historyczna budzi się dokoła zdarzeń „godnych pamięci“. W tym pierwotnym, instynktowym wyborze tkwi znaczna doza prawdy, którą możemy zużytkować dla siebie.

Niesłuszne się nam wydaje twierdzenie, żeby cała, całkowita praca i czynność ludzka miała być państwem historji.

Kto jest optymistą w życiu, kto wierzy w postęp życia, doskonalenie się moralne, fizyczne, umysłowe i co za tem idzie materialne, ten nie może pisać się na obrócenie historji w służebnicę nauk czy takich, jak geografja, czy jak nauki społeczne, które z reguły prowadzą do historycznego pesymizmu. Dla takiego optymisty przedmiotem historycznego studjum musi być człowiek nie bierny, ale twórczy, nie abstrakcje i cząstki zdarzeń, ale same zdarzenia.

Praktyczny ludzki rozsądek dzieli oddawna ludy, zamieszkujące kulę ziemską na dwie wielkie grupy, na takie, które nie mają historji, i na takie, które ją posiadają, a zatem na historyczne, i nie-historyczne.

Ludy historyczne, to te, które w dziejach wogóle odgrywają rolę czynną, które się zamanifestowały, bądź jeszcze manifestują, są to ludy, które poczuły od najwcześniejszych czasów swoją odrębność, swoje ja. A więc bądź wiedzione instynktem władzy, korzyściami tej władzy, dążyły do zapanowania nad innemi — i przez to są twórcami wypadków; bądź też takie, które, żyjąc w stanie biernym, ściągnęły na siebie chęć podboju przez tamte, ale im się już biernie nie poddały, stawily więc opór, wszystko jedno, czy z powodzeniem — czy bez. Przez opór jednak stworzyły także wypadki. Są to więc wszystko ludy o silnych indywidualnościach, które w toku historji jeszcze się bardziej rozwijają, jeszcze bardziej dojrzewają. W tem rozróżnieniu ludów na historyczne i niehistoryczne kryje się przeto fakt, który pozwala głębiej zajrzeć w samą duszę historji. Tak bowiem, jak ma się rzecz z gromadą ludów, tak samo mniej więcej ma się we wnętrzu życia oddzielnych ludów, oddzielnych społeczeństw. Historja i historyk szukają więc różnicowania się lu-

dów i ludzi, indywidualizowania jednych i drugich. Nie ludy mnie obchodzą, mnie interesują tak dobrze słabsi, a więc Czesi, Węgrzy, Rusini, Litwini, Łotysze, pogańscy Prusacy, Duńczycy, Słowianie nadłabscy, jak z drugiej stroni silni, czy będą to Francuzi, Anglicy, Włosi i Niemcy; nasze miejsce leży w tej drugiej grupie. Zastanówmy się przeto z kolei nad momentami, które wytwarzają w danym społeczeństwie przejście od stanu niehistorycznego, od stanu wegetacji biologiczno-socjologicznej, do stanu historycznego.

Świat podań i świat historii mówią to samo, i to samo świadczą o tych wielkich chwilach, kiedy się rodzi historia.

Jeżeli więc chodzi o zakres podań, to pierwsze objawy świadomości historycznej są w pewnej mierze wspólne z źródłami religii i pierwotnej filozofii.

Świat podań i eposu, stanowiących pierwociny twórczości tak dobrze literackiej jak i historycznej, świat niestety w zakresie polskiej przeszłości znany tylko z mizernych okrucich, dostarcza potrzebnego nam materiału.

Pamięć historyczna ludzkich czynów tworzy się wówczas, kiedy na umysł ludzki działają czyny, odskakujące w jaskrawy sposób od szarzyzny codziennego życia. Rozwija się wtedy, kiedy wśród pierwotnych jednolitych gromad zaczynają się wyróżniać oddzielne jednostki olbrzymią siłą fizyczną, niezwykłą odwagą, często także potwornością popełnianych postępów. Niezwykłość tych objawów ryje w umyśle ludzkim pierwsze podłoża, na których rozwija się pamięć rzeczy indywidualnych. To, co mówimy o ludziach, to samo można powtórzyć o wypadkach. Do takich wyjątkowych wydarzeń należą także wojna.

Wojnie w niniejszych uwagach należy się do pewnego stopnia osobne miejsce. (Nie mam potrzeby wstydzić się tego poglądu tem bardziej, że broniłem go przed wielką wojną. Nie jest, oczywiście, moim zamiarem zgłębiać kwestji, czy wojna da się w przyszłości wykreślić z funkcji życia ludzkiego. Być może, że w tym kierunku dąży ludzkość, niewątpliwie w tym kierunku należy nawet działać, choć z wielką ostrożnością. Wojna jest gwałtem, to pewna; ale i pokój często sprzyja gwałtowi, zwłaszcza gdy oparty jest na bronieniu „status quo ante“, zwykle kosztem słabego i uciśnionego. Klasyczny dowód słuszności ostatniej zasady stanowią nasze własne losy rozbiorowe i porozbiorowe).

Otóż wbrew potocznym zapatrywaniom wojna może być siłą zniszczenia, często jednak bywa potężnym nauczycielem człowieka,

wielką dźwignią historii. Na przemocy fizycznej, ugruntowanej przez wojnę, opiera się pierwszy kit społeczny i możność tego kitu. Na konieczności stałego przygotowywania się do wojny polega konieczność stałej organizacji ludzi, zowiącej się pierwotnem państwem. W wojnie nadto, jako wielkim wysiłku, największym, na jaki zdobywała się doniedawna ludzka organizacja, najlepiej można poznać człowieka: jego genjusz i talenty, jego siłę, jego wszystkie złe i dobre strony. Studium dziejów danej wojny, racjonalnie prowadzone, może być zawsze bardzo pouczające.

Jako takie więc, wielkie zjawiska w zakresie stosunków ludzkich, wprowadzające łatwo dostrzegalne, a znaczne w nich zmiany, wojny, więcej niż jakiekolwiek inne wypadki, zaważyły na szali w czasach, kiedy kształciła się i wydobywała z powijaków myśl ludzka. Pamięć wielkiej wojny odznaczała się też zawsze rysem indywidualnym, potrzebnym do utrwalenia go w pamięci.

Od tej pamięci historycznej odróżniam pamięć społeczną. Ta pamięć społeczna na pierwszych stadjach rozwoju ludzkości jest antytezą pierwszej. Z niej wytwarza się znaczna część pierwotnej religji, o ile tyczy się społecznej strony życia.

Pierwotna zatem historia ogranicza się do kultu bohaterów i wybitnych wypadków. Stąd historia wyszła i pomimo ogromnej skali rozwoju, jaką nauka nasza od tego czasu przebiegła, wyjątkowość i indywidualność zjawisk stanowi dla niej stale największy punkt atrakcji.

Wniosek nasz można doskonale sprawdzić na początkowych dziejach Polski, a więc na podstawie źródeł czysto historycznych.

Historja Polski zaczyna się od kilku nazw plemion zamieszkujących okolice między Odrą a Bugiem. W połowie X w. zjawia się imię kraju, ochrzczonego nie swą geograficzną, późniejszą nazwą, ale indywidualnem i historycznem imieniem władcy, Mieszka. Odtąd książęta zaludniają teren historii Polski, przedmiot tej historii, to głoszenie czynów tych książąt. Prawda, tu i ówdzie pojawia się generalny opis obyczajów ludów, nad którymi ci książęta panują, ale w roli tylko biernej. Historja Polski wzbogaca się, w miarę jak w niej występuje coraz więcej jednostek począwszy od św. Wojciecha: czy księżna Emnilda, św. Bruno z Kwerfurtu, czy pierwszy dyplomata Polak — Stojgniew, czy opat Tuni, za czasów Chrobrego. Każda z tych jednostek wnosi ze sobą rys indywidualny, gdyby tych jednostek nie było, gdyby się ich indywidualność nie zaznaczała niczem obok Chrobrego, Chrobry panowałby wyłącznie nad

całym swoim okresem, i historia Polski, tonąc w jego osobie, byłaby poza tem bezosobowa.

To samo ma miejsce w XII w. Wstąpienie społeczeństwa polskiego — obok księcia, w obręb czynnej historii — prowadzi za sobą jako następstwo poznanie całego szeregu nazwisk, całej masy osób. Dopóki tych nazwisk nie mamy, dopóty nasze pojęcie o społeczeństwie jest martwe.

To, co mówimy tutaj o osobach i wypadkach, to samo można powiedzieć o życiu gospodarczem i każdej innej kategorii życia społecznego.

W zakresie gospodarczym np. wtedy dopiero mogę się orientować w zjawiskach pod względem historycznym, jeżeli i ten teren zostanie zindywidualizowany, jeśli mam przed sobą określone i nazwane miasta, wsi, grunta i t. d.

Indywidualizacja zatem ludzi i zjawisk jest konkretnym faktem, decydującym o wytwarzaniu historii, ale co więcej jest ona po prostu kategorią myślenia historycznego, zasadniczym elementem i warunkiem faktu, na którym to myślenie się opiera, którym jest pamięć.

Jakkolwiek we wnioskowaniu naszym ograniczamy materiał faktów do zdarzeń godnych pamięci — to i tak granice tego materiału wydają się nam za obszerne, ze względu na tok historycznego procesu.

Historyk nie tylko pamięta dane wypadki, ale mając do czynienia głównie z ludźmi, tworzącymi wypadki, szuka nie przyczyn, ale motywów, skłaniających ludzi, że tak postąpili, jak właśnie postąpili. W procesie więc historycznym występuje działalność indywidualna — to prawda, ale przede wszystkim działalność motywowana, wpływająca z pewnych pobudek. Występuje więc element, zapładniający energję ludzką, mianowicie celowość. Oczywiście, wymieniając celowość, nie mamy na myśli celowości nadprzyrodzonej, mówimy o celowości czysto ludzkiej, o celowości, którą rozum ludzki kieruje. Jedno i drugie prowadzi do elementu — twórczości.

Od najdawniejszych też czasów istnieje świadomość twórczej roli człowieka w historii.

Powołajmy się choćby na przykład kronikarza Galla. Żywotów świętych uczymy się nie dlatego, żebyśmy mieli poprzestać na ich rozważaniu lub co najwyżej na uwielbianiu świętych, ale poto, żebyśmy starali się ich naśladować. Gall zaś dlatego zapragnął opi-

sać czyny książąt polskich, żeby przyszli książęta i rycerstwo mieli wzór godny do naśladowania.

Przedmiot zatem historii, rozważany na jej stadjach najniższych, stanowią czyny g o d n e pamięci. Pojęcie zaś czynów godnych pamięci zawiera w sobie niewątpliwie ślady prawdziwego substratu historii.

Nie jest niem życie ludzkie w najróżnorodniejszych objawach. Historycy, którzy taką właśnie pragną mieć naukę historyczną, zapominają, że rozszerzając tak szeroko zakres wiedzy historycznej, czynią ją płytką.

Energja ludzka, ta energja, która przełamuje przeciętną skalę i monotonię stosunków ludzkich, ta energja jest właśnie przedmiotem badań historycznych. Gdzie się ta świadoma siebie energja nie ujawnia, tam niema przemian i odmian, tam niema ewolucji, tam jest położenie bez zmian. W życiu takich społeczeństw prawa społeczne mogą mieć znaczenie prawa żelaznego, i cały proces życia odbywa się i układa regularnie. Tam warunki działalności nadziada są literalnie te same, w których obraca się pra-prawnuk.

Takie życie może być przedmiotem badań biologji ludzkiej; możemy ją nazwać biologiczną socjologją; to jest wegetacja najpierwotniejszych ludów.

Wątek wypadków historycznych rozwija się tam, gdzie węzeł przyczynowy, łączący je wzajemnie, posiada źródło w świadomości człowieka. Formy tej świadomości są z początku, rozumie się, drobne, ale już od początku musi występować poczucie, że praca podejmowana w teraźniejszości, jest fundamentem dla pracy przyszłości, tylko natężona działalność ludzka, mniej więcej świadoma następstw i rezultatów, stanowi istotny przedmiot rozważań historyka.

Wszystko inne powinno mieć dla historyka znaczenie tylko pomocnicze, oświeclające charakter przemian, mających miejsce w historii. Ścisłe odgraniczenie sfery pomocniczej w materiale, którym operuje historyk, od sfery bezpośredniej jego badań, usunęłoby wiele bałamuctw, dziś jeszcze utrudniających dojście do prawdy, do odkrycia prawdziwych sprężyn historii.

Stąd wynika, że historia nie może być nauką, której zjawiska, po zastosowaniu do nich wyników nauk społecznych i politycznych, geografji lub psychologji społecznej, są już dostatecznie wyświetlone. Tak jak zjawisko biologiczne nie jest zjawiskiem chemicznem, tak samo wypadek i działalność ludzka nie jest zjawiskiem

maszynowo-społecznem ani geograficznem. W każdym wypadku przejawiają się wszystkie strony życia ludzkiego, spotęgowane o jeden czynnik, z którym się te nauki nie liczą, z twórczą działalnością człowieka.

Nie negujemy zatem znaczenia dla historii żadnej umiejętności, czy powstałej, czy mającej jeszcze powstać. Owszem, każda z nich oświetlając jedną stronę historii, jedną stronę życia społecznego bądź umysłowości i psyche ludzkiej przyczynia się do lepszego poznania historii; zawsze jednak w roli dla historyka pomocniczej.

W celowej działalności ludzkiej przeglądają jeszcze prostsze elementy ducha ludzkiego, stanowiące prawdziwe motory historii.

Jest to wola i rozum, na podłożu silnego uczucia t. j. afektu. Skojarzenie tych dwóch pierwiastków, nateżenie ich do tego stopnia, że wyzwalają się z pod przeciętnej codziennej rutyny, doprowadza dopiero do wytworzenia zjawiska indywidualnego, wyróżniającego się od innych, do stworzenia wypadku.

Rozumie się, niema reguły bez wyjątku. Jest więc cały szereg grup różnych wypadków, mających znaczenie historyczne, które nie dadzą się podciągnąć pod powyższą definicję. Zjawiska świata zewnętrznego jaskrawe, przerażające ludzi, sprowadzające popłoch: zaćmienia słońca, trzęsienia ziemi, wylewy rzek, posuchy, wszystko to są niewątpliwie wypadki, godne zanotowania. I istotnie, odkąd tylko działa w człowieku zmysł historyczny — człowiek zawsze je notuje i stara się je zapamiętać.

Pomijając jednak tę sferę, nawet w świecie stosunków ludzkich odnajdujemy przykłady wypadków historycznych, nie mających nic wspólnego z energią ludzką. Wypadki śmierci osób panujących zwłaszcza w czasach, kiedy panujący znaczył wszystko, zjawiska duchowe, wkraczające w obręb rzeczy niezrozumiałych, jak cuda, wizje i t. p. objawy, to wszystko są wypadki. Noszą bowiem na sobie piętno *par excellence* indywidualne bądź dzięki swej wyjątkowości, bądź też z powodu ważnych następstw i zmian, jakie za sobą prowadzą.

Wyjątki jednak nie mogą stanowić o regule. Regułą zaś pozostanie fakt, że historyk zatrzymuje się zawsze przy zjawiskach, wyróżniających się wyjątkowością. Wyjątkowość ta zaś w przeważnej masie wypadków płynie ze wskazanego przez nas źródła: ludzkiego rozumu skojarzonego z wolą, sprzęgniętych razem, by w celowych zamiarach sprowadzać przemiany w zakresie istniejących stosunków ludzkich.

Jeden więc tylko jest prawdziwy czynnik w dziejach, a tym czynnikiem sam człowiek.

Stawiając takie twierdzenie, dalecy jednak jesteśmy od hołdowania czystemu indywidualizmowi, od sprowadzania dzisiejszej nauki historycznej do kultu bohaterów.

Broni nas od tego postęp różnorodnych umiejętności, znowu w pierwszym rzędzie nauk społecznych. Nie pozwalają nam one bowiem zapominać, jak doniosły na postęp życia jest wpływ praw, rządzących społeczeństwem. Znajomość zatem budowy społecznej, przedstawianie tej budowy, urządzeń społecznych, musi zawsze odgrywać dla historyka rolę koniecznego tła, ale tylko tła.

Człowiek zatem nie może być badany w oderwaniu od społeczeństwa, ale przedmiotem badania nie może także być tylko człowiek społeczny, czy typowy, czy zbiorowy, jak chce Bernheim. Typowy bowiem człowiek (przeciętny) albo zbiorowisko ludzi — masa nie wytwarza sam z siebie przemian, a jest wielkością całkiem bierną w procesie historycznym.

Przedmiotem zatem rozważania historycznego pozostaje dla nas czynny człowiek, czynna indywidualność, ale nie w oderwaniu, tylko pozostająca w związku z ludzkim społeczeństwem. Linja zaś procesu historycznego, jeśli ją sobie można wyobrazić, to nie linja prosta, ale łamana, wynikająca ze współdziałania obydwóch wskazanych czynników.

*

*

*

Wysuwając w rozważaniu historycznego procesu na pierwszy plan człowieka jako jego ognisko, dalecy jesteśmy od tego, żebyśmy doskonale dzieło historyczne mieli sobie wyobrażać jako zbiór portretów lub kalejdoskop prześlicznych obrazów.

Już same końcowe wnioski poprzednich uwag chronią od stawiania podobnych przypuszczeń.

Rozum i wola, stopione w ogniu indywidualnej energicznej świadomości danej jednostki, działają z myślą twórczą; celem ich jest zdobycie nad ludźmi władzy. Ta dążność do zdobycia władzy zmusza ludzi do podporządkowywania sobie czy tych, co ulegną wywieranej przemocy, czy tych, co wyrażą dobrowolną na to zgodę.

Działalność historyczna nie da się zatem wyobrazić bez zrzeszenia się ludzi, wypływającego z popędu danego przez jednostkę. Tworzy się organizacja. Tak jak pająk wysnuwa z siebie pajęczynę,

tak człowiek twórczy wysnuwa z siebie organizację. Czy to będzie banda, zorganizowana przez przedsiębiorczego herszta, czy to będzie związek garstki ludzi-pitagorejczyków, zgrupowany przez apostoła, czy to będzie szkoła malarska, nad której uczniami panuje genjusz mistrza. Rzecz w zasadzie pozostaje i dzisiaj ta sama, jakkolwiek komplikują się niezmiennie jej formy. Ktoś w ciszy gabinetu, nienawidząc świata i ludzi, może jednak snuć pomysły i tworzyć teorie. Zapomocą czysto społecznego środka, druku, puszcza je między ludzi, na których działa nie człowiek, ale dzieło. Zjawiają się przeciwnicy, ale zjawiają się i zwolennicy, tworzy się organizacja czysto duchowa, prąd lub kierunek, który każdej chwili może się przeobrazić w organizację o znamionach fizyczno-społecznych; prąd literacki np. w stworzeniu pisma lub szkoły, z której katedr są dane zasady głoszone. Organizacja jest więc gotowa, idzie ona jak cień za każdym wybitnym człowiekiem, często wbrew jego woli.

W organizacji tkwi moment pierwszorzędного znaczenia dla historii. Dane bowiem pokolenie łączy się z następnem właśnie zapomocą organizacji. Organizacje są przeto wielkiem muzeum, zapomocą którego przeszłość łączy się z teraźniejszością. Wszystkie wspaniałe dzieła cywilizacji ludzkiej, koleje żelazne, telefony, telegraf, drogi i mosty, najwspanialsze pałace z nagromadzonymi tamże dziełami sztuki, w jednej chwili uległyby zapomnieniu, niezrozumieniu, osunęłyby się w ziemię, gdyby przestała działać organizacja, pozostawiona przez ludzi, którzy tamte dzieła stworzyli.

Ludzie nie tylko tworzą organizacje, ale przez organizacje działają. Jeżeli więc nie mogę pomyśleć o jakimś zdarzeniu, nie myśląc o człowieku, który wypadek stworzył, to człowieka nie mogę pomyśleć sobie bez organizacji, które dla mnie są kapitałem, na który składają się wieki; ten kapitał przedstawia właśnie tradycję — żywe ciągle, żyjące zbiorowiska energii i rozumu, całej świadomości zamaryłych pokoleń.

Do tego dołączyć należy drugi moment. Człowiek, dążący do wyrażania swego ja, podczas samego manifestowania tego ja ulega starciom z tradycją, z obyczajami, wyrażającemi się właśnie w organizacjach odziedziczonych po przodkach. Jednem słowem historia wyobraża czynności człowieka ciągle na tle organizacji, czy przez nią, czy w walce z nią. Czynność zatem historyczna jest w wysokim stopniu czynnością organizacyjną. Ze względu na tę stronę organizacji, warto zastanowić się nad ich charakterem, i nad jej chronologią.

Zmysł organizacyjny ludzkości nie jest czemś stałym, czemś bezwzględnie. Tworząc zasadniczy atrybut zdolności człowieka, razem z człowiekiem się rozwija, doskonali, różniczkuje się.

Powiedzieliśmy już wyżej, że organizowanie w życiu historycznym polega na dążności do władzy na pewnych, określonych polach.

Fakt ten występuje wyraziście na tych właśnie stadjach rozwoju poszczególnych grup ludzkości, gdzie mamy do czynienia z przejściem od stanu niehistorycznego do historycznego.

W państwie etnologji mamy do czynienia także z organizacjami, ale organizacje te polegają na czysto mechaniczno-społecznych prawach. Formy ich są wiekuiste, w ludzkim znaczeniu wieczności i zakres władzy nadzwyczaj ubogi. Jest to hierarchja polegająca na nieświadomem, instynktowem zarówno władaniu, jak podporządkowywaniu się.

Dopiero z chwilą, gdy w oddzielnych jednostkach pojawia się chęć przełamania zakreślonych form, jednostki te skupiają dookoła siebie grupy ludzkie, z początku drobne, potem coraz większe. Grupy te zwykle i długo są mniejszością. Większością stają się one przy bardzo sprzyjających warunkach czasu; siła propagandy i siła przekonania działa bardzo wiele, choć zrzadka prowadzi do triumfu. Raczej na stronę twórczej nowej mniejszości przechyli się jedna z istniejących sił organizacyjnych, lub, co częściej, pojawia się przemoc, wzmagająca władzę jednych, a zmniejszająca atrybucje biernej konserwatywnej rzeszy, która ostatecznie ulega sile nowości.

Nie jest to bowiem rzeczą przypadku, że początki umiejętności historycznej czepiają się koło dziejów walki ludzi z ludźmi, koło wojen, koło historii władzy, jednym słowem, mają za przedmiot historję państwa, zwaną potocznie historją polityczną. Na potoczność tych terminów kładę z umysłu nacisk, nie idzie mi bowiem o ścisłe, metodologicznie bez zarzutu, definicje.

Nie jest to bez racji. Poza temi bowiem faktami historyk nie miałby z niczem do czynienia. Etnolog, socjolog — tak, ale historyk nicby nie wykrzesał ze stanu społecznego, w którym (hypotetycznie naturalnie) jeden człowiek żyje na sposób literalnie ten sam, co jego towarzysz.

Organizowanie zaś państw przez przedsiębiorczych awanturników, przez typy silne, wytwarza w stosunkach ludzi przemoc, wywołującą niebywały ruch na polu stosunków ludzi. Wyraża się on bądź w walce z tymi, co nie chcą ulec przemocy, bądź w stwarzaniu

całego szeregu dzieł materialnych, zapewniających trwałość samemu państwu. Historia zatem rodzi się tam, gdzie się rodzi państwo.

Indywidualna czynność ludzka objawia się zatem najwcześniej na polu organizacyj państwowych. Wiele i wiele wieków minęło, zanim ta czynność przechodzić zaczyna na inne pole.

Pomimo tego jednak, że twórczość ludzka objęła dzisiaj całe mnóstwo dziedzin ludzkich, najważniejszą jej domeną dla historii pozostaje działalność polityczna. Kto bowiem zdobywa władzę nad ludźmi, kto umie ludzi sprzęgać i czynić ich sobie posłusznymi — ten jest w stanie osiągnąć więcej i lepiej, niż ten, co idzie przez życie samopas i nie dba o władzę. Hypotetycznie zresztą możemy sobie pomyśleć tworzenie się wielkich organizacyj nie na zasadzie przemocy fizycznej, ale na zasadzie przekonania lub poglądu, co może mieć całkiem realne warunki urzeczywistnienia w przyszłości.

Stąd dla historii mają szczególne znaczenie — w pierwszym rzędzie organizacje polityczne, a potem wszelkie inne organizacje.

Głęboka jednak różnica zachodzi pomiędzy organizacją, jako przedmiotem studjum historycznego, a organizacją, badaną w ode-
rwanu przez socjologa.

Historyka interesuje sam fakt powstania organizacji, autorstwo tego powstania. To pierwsze. Po drugie obchodzi go każda zmiana zachodząca w tej organizacji, o ile wpływa z samowiednej woli ludzkiej; organizacja wreszcie ma dla niego znaczenie jako środek, zapomocą którego nawet bez źródeł historycznych łączą się ubiegłe czasy z nowymi. W organizacjach bowiem mamy prosty spadek, jaki mijające pokolenia przekazują swym następcom. Przedmiot przeto historii stanowi człowiek na tle organizacji. Ponieważ z tych organizacyj państwo jest najstarszą organizacją, na tle której rozwija się indywidualna twórcza siła, ponieważ państwo stanowi najstarszą formę, zapomocą której człowiek dobra cywilizacyjne przekazuje z pokolenia w pokolenie (zasada ciągłości historycznej), przeto państwo musi być głównym przedmiotem myślenia historycznego.

Spór zatem między historją polityczną a historją kultury czy historją społeczną można w gruncie rzeczy uważać za bardzo jałowy. Kwestja np., co ludzie jedli, jak się ubierali lub budowali w danej epoce, jest tak długo dla historyka obojętna, dopóki odnośne czynności należą całkowicie do sfery instynktowego obyczaju. Znajomość zaś tych faktów jest niewątpliwie nawet konieczna jako

tła scenerji i okoliczności, wśród których działa człowiek, ale nie objaśni w niczem przemian danego okresu.

Co innego jednak, jeżeli na tem polu zaczyna człowiek działać w sposób świadomy, organizując odpowiednie czynności ludzkie. Wówczas niema najmniejszej przeszkody w zaliczaniu takiej pracy do kategorii działalności czysto historycznej, na tych samych zasadach, co historia państwowa.

To samo z historją społeczną. Stosunki różnych warstw do siebie, o ile nie ulegają przekształcaniu, wychodzącemu przeważnie z działalności ludzkiej, przedstawiają także podrzędny tylko interes dla historyka, w przeciwnym wypadku muszą się znaleźć natychmiast w sferze rozważania historycznego.

Dziś, kiedy zwłaszcza w dziedzinie nauk społecznych, metoda historycznego traktowania rzeczy znalazła jak najszersze zastosowanie, trudno jest bardzo często pociągnąć granicę pomiędzy stanowiskiem historyka *par excellence* a stanowiskiem np. historyka ekonomisty. Trudności jednak nie stanowią o tem, żeby granica nie miała istnieć, tak jak istnieje ona pomiędzy historykiem literatem a historją, lub historją a historją sztuki i t. d. Podnieśliśmy już różnicę jedną i najważniejszą. Każdy wypadek i każdy fakt, o ile jest rezultatem twórczej pracy, o ile jest wynikiem świadomej swego celu inicjatywy, domaga się ustalenia motywów, a także osoby działającego sprawcy, t. j. autora akcji, którego możemy nazwać działaczem.

Mniej już ważna różnica, lecz zewnętrznie istotna, polega na tem, że historykowi zależy na jak najdokładniejszym opisie danego zdarzenia, ale nietylko na opisie, ale jeszcze na przedstawieniu. W przedstawieniu więc historycznem występuje podniesiony już przedtem pierwiastek artystyczny.

Nie koniec jednak na tem. Dla historyka zawodowego, wprowadzającego każde ze zjawisk w związek przyczynowy z masą innych, każdy fragment życia przedstawia się właśnie jako fragment całości, całego życia.

Obydwa te zagadnienia dla historyków kultury i społeczeństwa podrzędny często przedstawiają interes.

*

*

*

Dążność do ujęcia jak najszerszych kategorii życia postawiła historyków zawodowych oddawna w konieczności doszukiwania się

jak najszerszych ram dla przedstawienia przeszłości. Ramy te wynaleziono oddawna w historii państwa. Wysuwając na czoło państwo, dalecy jesteśmy od twierdzenia, żeby pojęcie to miało prawo do absolutnego panowania w nauce. Przeciwnie, przecież państwo samo ma swoją historję i dobrze znane początki.

Cały okres wieków średnich — w których państwo się rozwija i dojrzewa, stanowi właśnie czasy, gdzie niepodobna zamykać wypadki i działalność ludzi wyłącznie w ramach państwa. Poprzez bowiem te ramy działa na własną rękę kościół. Pojęcie państwa jako zasadniczej jednostki badania historycznego jest więc pojęciem względnem, które nie wystarczy w wielu wypadkach dla historii Niemiec, Francji, Włoch. Dla nas jednak jest ono zupełnie wystarczające, raz ze względu na lokalne stosunki, z drugiej strony dlatego, że uważamy organizację państwową za taką, która dziś daleko odbiegła od swej pierwiastkowej budowy i treści. Rozwija się ona wciąż z rozwojem ludzkości, wchłania w siebie objawiające się coraz inne organizacyjne zdolności. Przypatrzmy się temu bliżej, porównując państwo z wysuwaniem pomysłami zastąpienia państwa przez nowe pojęcia.

W ostatnich np. czasach z pojęciem państwa zaczęło rywalizować w historjografji pojęcie narodu.

Nie jest to bynajmniej rzeczą przypadku lub też czysto naukowych kombinacyj, że w niemieckiej literaturze historycznej pojęcie historii narodu zajęło tak znaczące stanowisko.

Jasne jest bowiem, że ze względu na wielkie pedagogiczne oddziaływanie teoryj historycznych łatwe jest bardzo przeniesienie ich w życie. Zwracając uwagę na warunki życia niemieckiego dzisiaj, widzimy, że gdy z jednej strony Niemcy stopniowo tracą drugie państwo, jakie posiadają, t. j. Austrię — rozwijają się wśród nich coraz bardziej aspiracje ideowe, wybiegające daleko poza granice państwa niemieckiego. Jedność, jeżeli nie polityczna, to przynajmniej kulturalna, staje się ich postulatem.

W zgodzie z tym prądem życia idzie właśnie rozwój niemieckiej historjografji. Stawianie bowiem obok historii państwowej historii narodowej prowadzi za sobą, jako praktyczny postulat wiedzy, uwzględnienie życia Niemców węgierskich, polskich, rosyjskich. Jakkolwiek kulturalne życie tych grup obok języka nic nie ma wspólnego z pozostałą kulturą niemiecką, nie przeszkodziło to jednak wprowadzeniu odpowiednich haseł do nauki.

W zakresie polskich stosunków problemat ten jest dosyć trudny do rozwiązania. Nie mając własnego państwa, z reguły jesteśmy skłonni do obniżania jego znaczenia, a nadto pozbawieni jesteśmy w rozważaniu historycznym szeregu podniet, jakie płyną z istnienia różnorodnych instytucyj państwowych.

Nie mając własnego państwa, skłonni jesteśmy do przypuszczeń, że sama instytucja państwa jest anachronizmem i przeżytkiem. Instytucja ta bowiem w dzisiejszej formie jest dla nas obca, jest poza nami. Związek nasz z państwem jest raczej mechaniczny.

Tymczasem brak własnego państwa nie może prowadzić do niedoceniań tego, czem nasze państwo mogłoby być dla nas.

Jakkolwiek definicja nasza może być powierzchowna — powiedzmy, że państwo jest organizacją w znaczeniu materialno-społecznym, obejmującą na pewnym terytorjum daną społeczność i zniewalającą zapomocą fizycznego przymusu do wspólnej obrony (lub napaści), zmuszającą ją do radzenia o własnych potrzebach. Daje się przytem zauważyć silny wzrost kryterjów moralno-ideowych w dzisiejszem pojęciu państwowości.

Warto przytem podkreślić, że dzisiejsze państwo jest dalekie od przeżycia, przeciwnie, jest ono nawet w pełnym rozwoju. Postępująca demokratyzacja państw pozwala im koncentrować w swem ręku daleko większy zasób władzy, niż to było dawniej, czy w epoce nowożytnego absolutyzmu, czy dawniej jeszcze w wiekach średnich.

Postępująca koncentracja władzy sprowadza jako dalsze następstwo fakt, że dzisiejsze państwo oddawna już ujęło w ręce rozmaite kategorie działalności ludzkiej, leżące dawniej poza sferą wpływu państwa. Obok polityki dyplomatycznej, administracyjnej, mamy przecie dzisiaj politykę społeczną, stanowiącą jedną z najważniejszych gałęzi życia państwowego. Oświata, jeżeli nie zarząd, to regulowanie jej we wszystkich krajach Europy, znalazła się pod kontrolą państwa. Życie ekonomiczne w wielkiej mierze, wszelkie środki komunikacji, w znacznej części kopalnie i wiele innych gałęzi przemysłu znajdują się pod bezpośredniem zawiadywaniem państwa. Co więcej, nawet świat myśli ludzkiej — jak wielkie przedsięwzięcia naukowe, a także i sztuki piękne — nawet tam dociera systematyczny i celowy wpływ państwa.

Zawcześnie zatem mówić o upadku państwa, a już stanowczym anachronizmem jest wygłaszanie twierdzeń, że rany życia państwowego stanowią zbyt ciasną kanwę dla rozważań historycznych, dla odtwarzania historycznego procesu. Przeciwnie, z większą może

dozą słuszości możnaby twierdzić, że państwo jeszcze przez długie czasy będzie się rozwijać.

Z tej strony zatem przedrozbiorowe dzieje Polski mogą się śmiało obracać w ramach zakreślonych granicami państwa, zarówno w sensie geograficznym, jak i rzeczowym. Jakkolwiek bowiem słabe niejednokrotnie bywało to nasze państwo, to jednak ogniskowało się w niem wszystko, co w dziejach naszych było najlepszego, i najbardziej historycznego.

Ale ten sam klucz musi pozostać i dla porozbiorowej historii. Prawda, że wychodzi *contradictio in adjecto*. Jakże pisać historję państwa, kiedy tego państwa nie było. Sprzeczność ta jest jednak tylko pozorna.

Dzieje bowiem porozbiorowe Polski w wyższym jeszcze stopniu, niż przedrozbiorowe, koncentrują się w jednym ognisku, a tem jest myśl państwowa. Państwa niema, to prawda, ale nie wygasły myśli państwowe, państwowe aspiracje. Jeżeli więc chodzi o całość dziejów polskich, aż do ostatniej chwili, nie może być mowy o zasadniczej sprzeczności głównych kryterjów w dobie państwowego bytu i w dobie porozbiorowej.

Ta doba porozbiorowa ma nawet wyraźną zewnętrzną historję polityczną, a jest nią stosunek Polski do trzech mocarstw rozbiorowych.

Są wreszcie fragmenty życia państwowego, czy w Księstwie Warszawskim i Królestwie Kongresowem, czy Rzeczypospolitej Krakowskiej. Są wreszcie czyny *par excellence* polityczne ze zbrojnemi walkami o niepodległość na czele.

Państwo zatem śmiało może pozostać jako wielka rama, w której od początku do końca możemy zawrzeć dzieje Polski. Należy tylko zawsze mieć na oku rozwój samegoż państwa, wprowadzający w zakres życia państwowego, dający wpływ na państwo coraz to nowym czynnikiem, stającym do jednego szeregu z ograniczoną ilością czynników, monopolizujących dawniej państwo na swą wyłączną korzyść.

Nie wynika stąd bynajmniej wniosek, byśmy mieli lekceważyć pojęcie narodu w zestawieniu z pojęciem państwa. Pojęcie narodu w przeważnej ilości wypadków nie znajduje się w sprzeczności z pojęciem państwa w zakresie stosunków polskich. Możnaby nawet powiedzieć, że w tych wypadkach państwo jest ciałem, a pojęcie narodu jego duszą. Tak samo mniej więcej mają się rzeczy, jeżeli mowa o państwie włoskiem, francuskim, w pewnej mierze hiszpań-

skiem, angielskiem, niemieckiem, a także i polskim. Dzieje narodu wchodzi w każdym razie integralnie w dzieje państw nawet nie-narodowych.

Jasne jest dalej, że wprowadzenie pojęcia narodu do terminologii naukowej odbywa się pod hasłem ewolucji, jaką przeżyła Europa w XIX w. Jest to bowiem pojęcie, które dopiero naprawdę się rozwinęło i ma jeszcze długo przyszłość przed sobą.

Jeżeli mówię o jakiej grupie: naród — to kryje się w tem świadomość faktu, że istnieje cała grupa, całe wielkie zbiorowisko ludzi, o ogólnie identycznych warunkach kultury i mniej więcej powszechnej i dobrowolnej zgodzie co do najogólniejszych ideałów. Wielkie te zbiorowiska mówią przeważnie tym samym językiem, posiadają silne poczucie solidarności, opartej wogóle o poczucie wspólnego pochodzenia i wspólnej w przeszłości tradycji.

Są to więc twory historyczne wyższego typu od państw, opartych o zasady materialne i fizyczne — o fakta przemocy. Są też narody od państw wogóle dużo młodsze.

Historyk zatem piszący dziś historję narodu polskiego i zamierzający dzieje państwa polskiego wtłoczyć w ramy historii narodu, musiałby operować nożem, żeby się wydobyć ponad trudności zadania.

Przedewszystkiem chronologicznie. Dzieje bowiem całej Polski, aż do początku XIV w., byłyby dla niego wstępem tylko do właściwej historii. A to dlatego, że polska świadomość narodowa rozpoczyna się na wielką skalę dopiero w czasach Władysława Łokietka. W XIV więc wieku poczucie polskości z domeny czysto książęcej i kościelnej przedostaje się do lepszych sfer rycerstwa. Ale i wówczas jeszcze bardzo daleko do tego, żeby świadomość narodowa była ogólnem kryterjum życia państwowego. Mógł przecież nikt inny jak Oleśnicki, a za nim i Długosz, interesy polityczne hierarchji kościelnej stawiać wyżej od interesu narodowego Polski.

I potem choć to poczucie płynie korytem coraz to szerszem, ale bynajmniej nie równem, załamuje się ono bardzo silnie pod wpływem unji Polski z Litwą. Cały szereg zasłużonych nawet osób, działających w późniejszych czasach, prezentuje się bardzo słabo pod względem natężenia poczucia narodowego, choć nie można im odmówić silnego poczucia państwowości; to samo odwrotnie.

Wychodząc zatem ze stanowiska wyłącznie narodowego, nie byłibyśmy w stanie ogarnąć całości zjawisk, mających miejsce w historii Polski. Nie przeszkadza to jednak w niczem twierdzeniu, że

w dziejach państwa dzieje narodu, jego stopniowego dojrzewania, muszą zająć miejsce bardzo wydátne.

Naogół zatem państwo pozostaje tem najogólniejszem pojęciem, w którego ramach zamykają się dzieje Polski historycznej. Dzieje narodu polskiego mogą być jej najcenniejszym rozdziałem.

* * *

W rozważaniu stosunku historii narodu do historii państwa mieliśmy przeważnie na oku stosunki polskie. Tam jednak, u tych państw i narodów, gdzie niema sprzeczności pomiędzy jednym pojęciem a drugim, zastąpienie historii narodu przez historję państwa nie sprowadzi żadnych bardziej znaczących zmian w pojmowaniu historii, np. w historii Francji. Wówczas bowiem w pojęciu narodu jak najsilniej muszą zaważyć czynniki państwowe, które mogą doprowadzić do zupełnej modyfikacji czysto duchowego dzisiaj pojęcia narodu.

Pojęcie państwa wystarcza więc w historii, żeby za jego pomocą objąć całość zjawisk grup ludzkich, działających w sposób samowiedny, wytwarzających wypadki i cywilizacyjne wartości.

Pojęcie to jednak nie może objąć całego procesu historycznego. Jest to bowiem szczególną cechą każdej umiejętności, że nie zadowala się badaniem oddzielnych kompleksów, ale przechodząc od jednego punktu styczności do dalszych, jakie się objawiają pomiędzy temi kompleksami — wiąże je nakazującą siłą własnych sposobów patrzenia. Umysł ludzki w każdej nauce dąży do pociągnięcia idealnego kresu, gdzie kończą się zjawiska przezeń rozpatrywane.

Było tak już w wiekach średnich, będących właściwą macierzą historii powszechnej, mających także własne źródło poznawania powszechno-dziejowego. Tkwi w niej dotychczas bardzo wiele tych średniowiecznych pierwiastków. Najlepszy dowód, że koncepcje tych czasów nie wszystkie są do zarzucenia, wiele z nich jest jeszcze bardzo żywotnych, a wiele zasługuje na odświeżenie.

Geneza pojęcia historii powszechnej jest więc średniowieczna, więcej nawet można powiedzieć, jest teologiczna. Dzieląc historję świata od początku na określoną ilość epok, koncepcja ta widziała w cesarstwie rzymskiem klasycznem pomimo jego upadku instytucję wiecznie trwałą, panującą dalej nad światem. W ten sposób powstawały kroniki świata, spoglądające na całą ludzkość, na niezliczone rojowiska ludzi i ludów, jako na jedną całość, w której bądź się przejawiały, bądź w przyszłości miały się przejawiać łączniki fi-

zyczne w formie cesarstwa i rzymskie władanie duchowe w chrześcijaństwie i papieństwie.

Umysł ludzki pozostał na zawsze w zależności od tego pojęcia, przechodzącego szybko w obręb kultur lokalnych i lokalnych historii. W każdej z nich objawił się ten rys powszechno-historyczny, w kreśleniu choćby dat wstąpienia na tron tych papieży i cesarzy rzymsko-niemieckich, którzy zresztą nie mieli żadnego znaczenia na kartach historii ludów, na których byli zapisywani.

Pojęcie zatem historii powszechnej, na pierwszych stadjach rozwoju, uogólniając tylko nieliczne sporadyczne fakty, i wychodząc z poczucia potrzeby związków powszechno-dziejowych, zapanywa w nauce i staje się generalną normą pojmowania historycznego, wiążącego za wszelką cenę dzieje poszczególnych państw w jedną historję powszechną.

Otóż powstaje pytanie, czy takie pojmowanie historii powszechnej jest nadal uzasadnione, zwłaszcza, że стоимy wobec prób stwarzania nowych kryterjów w oświeceniu materiału, stanowiącego dotychczas wyłączną domenę historii powszechnej.

Tak zwana historia powszechna wychodziła ze stanowiska ciągłości historii. Poczynając w dawniejszych czasach od historii starożytnego Wschodu, przechodziła następnie do ludów klasycznych, by przez zwaliska starożytnego świata dostać się do dziejów wieków średnich, a stąd do nowożytnych.

Było to zadaniem stosunkowo dosyć łatwym. W takim bowiem założeniu wystarczyło się oprzeć o dzieje klasyczne i o dzieje średniowiecznego imperjum wraz z kościołem, by uzyskać szkielet, na który można było dowolnie nakładać mięśnie i nerwy historycznych wypadków.

Jest to tak zwana historia powszechna, ze stanowiska wyłącznie zachodnio-europejskiego. Na innem miejscu przeprowadzamy dowód, że dzieje polskie, tylko mocno obcięte, mogą się znaleźć w ramach tej powszechnej, zachodnio-europejskiej historii. Obok historii europejskiego Zachodu stoi bowiem historia europejskiego Wschodu, mająca, to pewna, szereg stycznych punktów z Zachodem, ale mająca także swe szczególne właściwości, swą odrębną linję rozwoju i swe własne ogniska.

Ale i powszechna historia zachodniej Europy w dzisiejszej jej formie będzie należała niedługo w nauce do przeszłości. Pojęcie jej bowiem posiada punkt wyjścia w Europie średniowiecznej i nowożytnej. Tymczasem od dłuższego już czasu cała nasza współczesna

cywilizacja stoi u progu historii wszechświatowej, za czem niedługo pójdzie i sama nauka.

Już obecnie stoimy przed zagadką: wprowadzenia w obręb badań dziejów Japonji i Chin jako tych, które już obecnie znaczą dużo w historii. Do tego należy dołączyć wpływ odkryć naukowych: samoistność i niesłychaną starożytność wielu kultur wschodnich. Niedawno dołączyły się do nich podobne odkrycia dotyczące prastarych i zaginionych, a cywilizowanych ludów amerykańskich.

Widzimy więc naocznie, jak silnie jest zachwiane pojęcie historii powszechnej w odniesieniu do dalszej przeszłości. Niewątpliwie bowiem, na przyszłość od chwili, kiedy cały obręb kuli ziemskiej zostaje wciągnięty w zakres wzajemnego współdziałania i oddziaływania, jak to ma miejsce dzisiaj — historia powszechna ma swoją rację bytu i widoki rozwoju.

Podkreślając krytyczne strony pojęcia historii powszechnej, nie zaprzeczamy jej przez to bynajmniej prawa do bytu. A to dla dwóch przyczyn.

Pierwsza ta, że pomimo istnienia wielu i wielu grup ludzkich, posiadających dzieje rozbieżne — widoczna jest w całej masie faktów ciągłość w dziejach. Pewne prądy, pewne kierunki przechodzą z jednej epoki do drugiej, to samo dzieje się z instytucjami, związanymi najrozmaitsze ogniska historii, jak np. religje i kościoły; sztuka, literatura i nauka. Prawda, że w przyszłości ciągłość ta nie będzie się mogła opierać tak wyłącznie, jak dotąd, na grupie państw aryjskich. Obok nich wejdą czynniki nowe. Jasne jest jednak, że czynnikiem, który tamte wprowadził do historii, był stary świat europejski.

Druga przyczyna jest od pierwszej niewątpliwie ważniejsza. Dzieje ludzkiej cywilizacji i kultury, samej polityki wreszcie, a więc ogół działalności ludzkiej wykazuje pewną linię rozwoju i stopniowego doskonalenia się. Postęp w dziejach wogóle jest niewątpliwy. Obejmuje on zarówno stronę fizyczną ludzkości — jak jej warunki materialne, tyczy się to tak dobrze jednostki, jak też zbiorowisk ludzi. Co zaś najważniejsza, doskonalimy się moralnie i umysłowo. Kto chce żyć i działać twórczo, temu nie wolno ulegać powierzchownemu pesymizmowi, płynącemu z pojawiania się nowych prób opracowywania dziejów ludzkości.

Ta strona dziejów ludzkich wymaga opracowywania dziejów ludzkich w jak najszerszym zakresie, bez względu na swą jednostronność.

Już z tego, cośmy przed chwilą powiedzieli, wynika do pewnego stopnia stanowisko, jakie wypada nam zająć wobec prądu rozwijającego się we współczesnej historjografji: badania dziejów powszechnych zapomocą metody porównawczej.

Traktuje się tak przedewszystkiem starą kulturę klasyczną, pojmując ją jako świat zamknięty, o zamkniętej historii. Stadja zaś, jakie te dzieje wykazują, przyzwyczajamy się powoli upatrywać w tych samych stadjach, jakie przebywa historia Europy średniowiecznej i nowożytnej. Istnieją próby odpowiedniego porównawczego badania historii niektórych ludów azjatyckich. One to właśnie prowadzą do pesymizmu historycznego, budując teorie, oparte na zewnętrznem podobieństwie, teorie, głoszące, że każda kultura, każde niemal państwo przebiega te same stadja rozwoju. Teorie te dążą zatem do tego, by formułować granice rozwoju także i dla dzisiejszych czasów w tym sensie, że zaciśnię się kiedyś obręcz rozwoju dzisiejszej cywilizacji. Twierdząc to, nie mamy znowu zamiaru ferować wyroku potępienia na tę nową metodę. Żaden bowiem rozumny wysiłek umysłu ludzkiego nie może iść na marne.

Granice tylko użyteczności tej metody wydają mi się zgóry zakreślone. Rola jej w rozważaniu historycznem może być tylko czysto pomocnicza. Metoda ta bowiem pożyteczna bardzo, o ile chodzi o stadja początkowe, jakie przebywa ludzkość w danej epoce czy gromadzie, zawodzi, o ile wstępujemy w pełnię historycznego światła. Wtedy bowiem w każdym społeczeństwie i w każdej cywilizacji pojawia się cała masa indywidualnych rysów, które przy porównywaniu należy zostawić na boku. Tak np. wolność jednostki, od XIX w. poczynsz, nie ma równego sobie przykładu w dziejach. Bywały wypadki daleko idącej demokratyzacji i równości praw, ale zawsze bywały od niej wyjątki i wyłączenia. Obejmowały one niewolników, obcych przybyszów, kobiety. Wszechwładztwu metody porównawczej przeszkadza dalej istnienie całej masy wspólności, istniejących pomiędzy różnemi epokami, należących tak dobrze do jednej, jak drugiej epoki.

Jeśli więc np. porównamy dzieje klasycznego świata z europejskim w wiekach średnich, to odrazu taki olbrzymi fakt, jak chrześcijaństwo lub korzystanie z kultury klasycznej, musi pozostać na boku. Stanowi on bowiem łącznik pomiędzy obydwiema epokami, należąc do jednej i drugiej.

Zwolennicy metody porównawczej mogą na to odpowiedzieć, że im nie chodzi o zastosowywanie jej do traktowania dziejów na za-

sadzie opisowej. Im chodzi o formy, w które układają się stosunki pomiędzy ludźmi. Takie jednak stanowisko zbyt identyfikuje historię z naukami społecznymi, by mogło liczyć na trwalsze powodzenie.

Natomiast metoda porównawcza może stać się walną dźwignią uprawy historii powszechnej nawet właśnie w tych wypadkach, kiedy brak punktów styecznych pomiędzy badanymi grupami, kiedy niema ciągłości.

Powyższe uwagi dostarczają nam materiału do odpowiedzi na pytanie, jakie ma być stanowisko historii państwa do historii powszechnej. Element powszechno-historyczny działa zatem w historii każdego państwa. Tak jak zauważył to już Długosz, dziejów Polski, przedstawienia tych dziejów, nie da się pomyśleć bez wciągania w ich zakres całej masy najróżnorodniejszych czynników, których źródłem nie jest właściwy polski proces historyczny. Dzieje Polski zatem muszą opierać się na zasadzie powszechno-historycznej, co jednak nie znaczy, byśmy mieli na myśli dzieje powszechne ze stanowiska polskiego. Byłaby to karygodna, narodowa zarozumiałość i megalomanja. Dzieje powszechne, już nie z niemieckiego czy francuskiego stanowiska, lecz nawet angielskiego, są fałszowaniem rzeczywistości.

Ale gdy idzie o ciaśniejsze ujęcie rzeczy i wysunięcie wpływu polskiego na dzieje powszechne, trzeba stwierdzić, że jesteśmy stanowczo i za skromni i zanadto zaściankowi, zwracając uwagę wyraźnie tylko na to, co leży tuż przed nami, na naszym własnym partykularzu.

Tego rodzaju opracowywanie dziejów (wzory jego znajdujemy więc już u Długosza, u Lelewela i u nielicznych ich naśladowców) może się stać podstawą do budowy gmachu dziejów powszechnych, gdzie przedmiotem rozważania będzie cała ludzkość.

W opracowywaniu tych dziejów musi obowiązywać zarówno zasada ciągłości, tam gdzie ona występuje konkretnie, jako też metoda porównawcza. Uzupełniając się wzajemnie obydwie te metody mogą znakomicie wzbogacić dotychczasowe pojęcie historii powszechnej.

Natomiast dzieje powszechne, pojęte jako składnica wszelkich wiadomości o przeszłości ludów zamieszkujących kulę ziemską — wydają się nam niepotrzebnym balastem dla umiejętności, a ich znaczenie może być tylko encyklopedyczne.

*

*

*

W niniejszych wywodach byłaby luka, gdybyśmy reasumując tok wykładu nie podnieśli tego, cośmy powiedzieli w pierwszej jego części. Przedmiotem badań historycznych jest twórcza ludzka indywidualność. Działa ona naturalnie w pewnej zależności od społeczeństwa (przedmiot nauk społecznych), w mniejszym stopniu od warunków geograficznych (przedmiot geografji). Ponieważ zaś człowiek rzadko działa sam w oderwaniu, pojawia się odrazu ogniwo pośredniczące w formie różnego rodzaju organizacyj. Najsilniej związany jest człowiek ze społeczeństwem zapomocą fizyczno-społecznej organizacyi — rodziny i rodu, powstających niezależnie od woli i rozumu ludzkiego. Znaczeniu tej organizacyi w czasach dzisiejszych w kulturze historycznej poświęciliśmy wykład o intuicji historycznej. Przez rodzinę i ród człowiek wchodzi w stosunek do państwa, stanowiącego samoistną jednostkę historii. Przez państwo zaś znajdujemy się w zetknięciu z innemi państwami, z historją powszechną.

Wogóle czas przypomnieć, że badanie i nauczanie historyczne musi być w ścisłym związku z życiem. Oczywiście, że o tyle prawdy, głoszone przez nią, muszą być uważane za bardziej względne. O tyle jednak wywiązuje się żywsze współdziałanie i wymiana usług między nauką a społeczeństwem. Wiedza historyczna w służbie dobra publicznego musi być hasłem naszej pracy. Nie znaczy to, byśmy mieli hołdować tendencji, byśmy mieli propagować zasadę, że historia jest służebnicą nurtujących opinij i poglądów w bieżącej chwili. Ale nie możemy zapominać, że przeznaczeniem historii jest kształcenie ludzi. Kształcić ich zaś na ludzi tęgich, przepojonych żądzą czynu i twórczości, można tylko wówczas, jeśli żywe typy podobnych ludzi pokazuje im przeszłość, jeżeli na czoło rozważań historyka wysuniemy czyn.

„OGNIEM I MIECZEM“ SIENKIEWICZA W ŚWIELE KRYTYKI HISTORYCZNEJ

„OGNIEM I MIECZEM“ SIENKIEWICZA W ŚWIEŹLE KRYTYKI HISTORYCZNEJ ¹

Moje stanowisko wobec Sienkiewicza w „Intuicji Historycznej“ — Krytyka prof. O. Górki. — Sienkiewicz wobec postaci ruskich w „Ogniem i mieczem“. — Porównanie recenzji Sienkiewicza o Kubali z recenzjami Bobrzyńskiego. — Parę słów o Wiśniowieckich. — Sąd Korzona o J. Sobieskim. — Kilka słów o Skrzetuskim i Krzywonoście. — Przypomnienie Kulisza. — Wzmianka o Szewczenko.

Powieści historyczne Sienkiewicza zajmują wybitne miejsce w naszej kulturze historycznej i będą je zajmowały jeszcze długo, wobec czego kwestja stosunku Sienkiewicza do naszej przeszłości posiada także znaczenie obywatelskie, wychowawcze, wreszcie naukowe.

Powieściopisarz czy poeta, tak dobrze zresztą, jak malarz czy rzeźbiarz ma z reguły prawo zachowywać się swobodnie wobec zasad, które obowiązują uczonego czy fachowego pedagoga w odtwarzaniu przeszłości. Jest to zupełnie jasne i nie potrzebuje bliższego omawiania. Niemniej przeto czytelnik zostaje nietylko pod urokiem, ale i pod konkretnym wpływem czytanego utworu. Tę stronę rzeczy zostawiam na boku.

Musiałem się dobrze namyślić, zanim zdecydowałem się temat ten wyłożyć w druku. Nie jestem znawcą siedemnastego wieku, nie jestem historykiem literatury i krytykiem literackim.

Mija jednak dwadzieścia sześć lat od czasu, kiedy wygłosiłem następującą tezę:

„Reasumując to, co w dziewiętnastym w. dla historii zrobili ci poeci, a potem Kraszewski i Sienkiewicz, śmiało można powiedzieć, że oni są właściwymi nauczycielami historii, a nie fachowe koła historyczne“ ².

Niewiele miałem później sposobności do kontrolowania tej tezy, ale przyznaję się do niej i dzisiaj.

¹ Odczyt wygłoszony w lutym 1934 w Instytucie Wschodnim w Wilnie.

² Por. wyżej, str. 13.

Zresztą sędzę, że nikt naprawdę nie kwestjonuje, że Mickiewicz, Słowacki, taki Rzewuski, naturalnie Kraszewski i Sienkiewicz wywarli bardzo znaczny wpływ na wykształcenie historyczne naszej społeczności. Może jednak powstać wątpliwość, w jakim stopniu poeci i powieściopisarze, mając prawo do swobodnego traktowania przeszłości, odtwarzają ją ze znanstwem i obiektywnością, czy też subiektywizm, fantazja i dowolność nie biorą góry, wskutek czego powstaje niebezpieczeństwo, iż zapomocą ich utworów mylnie obrazy i wyobrażenia o przeszłości zaczynają oddziaływać na szerokie rzesze ich czytelników.

Naogół w naszej literaturze i opinii historyczno-literackiej a także w potocznym przekonaniu czytelnika panował pogląd, że Sienkiewicz, zwłaszcza w Trylogji, jest nie tylko znakomitym mistrzem, ale i dobrym nauczycielem historii, i nie tylko nauczycielem, ale i dobrym odtwórcą stanu nauki historycznej o XVII wieku.

Pogląd ten, o ile idzie o „Ogniem i mieczem“, zakwestjonował znany historyk, wybitny specjalista w zakresie wieków średnich, Dr. Olgierd Górka w całym szeregu artykułów, które ogłosił w warszawskim „Pionie“.

Dr. Górka miał niewątpliwie prawo zaczepić utarty pogląd na Sienkiewicza, na jego stosunek do naszej rzeczywistości historycznej XVII wieku.

Mnie tutaj obchodzi pierwszy właściwie artykuł, i to wyłącznie Sienkiewicz.

Dr. Górka słusznie stwierdza, że strona pedagogiczna czy szkolna tego zagadnienia jest drugoplanowa. „Zagadnieniem bowiem naczelnem musi być sprawa formowania wpływami literackimi duszy polskiej obecnej i przyszłej, w czem lwia i pod wielu względami dodatnia część pracy przypadła powieściom historycznym Sienkiewicza, dla którego zresztą tamta sprawa była również drugoplanową z jego własnego stanowiska. Wzniósł się On już w „Pocie“ na nieporównanie wyższe czy głębsze, a w gruncie rzeczy zupełnie inne podejście etc.“. Prof. Górcie idzie bowiem głównie o „Ogniem i mieczem“.

„Konieczność bowiem protestu wobec obowiązkowego narzucenia wyobraźni każdego młodego Polaka historycznych sugestyj „Ogniem i mieczem“, sięga znacznie głębiej, wchodzi do zagadnień bardziej szerokich i bardziej zasadniczych.

„Rzuciłem z miejsca zarzut z „gruntu fałszywego obrazu“, przez co nie mam oczywiście zamiaru z pseudo „szkiełkiem mędrca“

rozpisywać się na temat błędów historycznych w „Ogniem i mieczem“, spowodowanych zlekceważeniem poglądów Szajnochy i Szujskiego, a wynikłych z oparcia się Sienkiewicza o „Szkice“ Kubali, tego niezrównanego wizjonera polskiej przeszłości i ukochanego profesora falangi uczniów, wśród nich również autora tego artykułu.

Twórca literacki, powieściopisarz, nietylko nie może, ale nie powinien być fotografem, pomagającym sobie od czasu do czasu retuszem. Niemniej jednak jest jakaś niesamowita zemsta martwych i poukrywanych źródeł historycznych, wywarta na genialnym powieściopisarzu za jego błędne założenia w odczuwaniu przeszłości, zemsta przejawiająca się w tem, że gdziekolwiek Sienkiewicz włączył w swą fabułę powieściową osoby historyczne, znane i stwierdzone źródłami, wszędzie i zawsze sformował je w „Ogniem i mieczem“ wręcz odwrotnie, niż się one przedstawiały w rzeczywistości, w rzeczywistości, którą nam ukazują naprawdę stwierdzone czy opublikowane potem materiały i dane historyczne“.

Dr. Górka uznaje zresztą potężne i dodatnie wychowawcze walory „Ogniem i mieczem“ nawet na samym sobie, ale wydaje wyrok: „powstaje postulat, by pierwszy tom Trylogii usunąć z pomiędzy środków, niejako przymusowych, formowania duszy obecnego i przyszłego narodu polskiego, gdy rodzi się obowiązek powiedzenia młodzieży polskiej: że to wszystko jest nieprawdą i bolesnem nieporozumieniem artysty — to nie dlatego, że takie postacie nie istniały, ale że w takim obrazie, w takiej formie, w Sienkiewiczowskiej płaszczyźnie „Ogniem i mieczem“, istnieć nie mogły, a tem samem roli drogowskazów dla młodzieży spełniać nie mogą“.

Prof. Górka miał niewątpliwie prawo zakwestjonować utarty pogląd na Sienkiewicza, na jego stosunek do naszej rzeczywistości historycznej XVII w. Czy jednak, pisząc pierwsze swe artykuły głosnej dzisiaj broszury, nie dał się porwać pióru i swej własnej naczelnej sugestji, czy naprawdę z Sienkiewiczem w ręku uprzytomniał sobie główne zręby budowy powieści, — nad tem właśnie pragnę się zastanowić, a drogą do tego będzie przede wszystkim konfrontacja Sienkiewicza z „Ogniem i mieczem“ z Sienkiewiczem na kartach artykułów prof. Górki.

Żaden z poetów, powieściopisarzy, historyków, nawet najwybitniejszych, nie jest świętym, nie pisze ewangelji. Rola ich nie da się porównać z rolą twórców religji, proroków, czyto twórców kościołów, czy też wielkich statystów, jak Mojżesz, Solon, czy Likurg.

A przecież najświętsze nawet sądy religijne, obyczajowe, polityczne są od czasu do czasu poddawane rewizji.

Umysłowość ludzka już od XVIII w., a zwłaszcza od czasu wielkiej rewolucji francuskiej, znajduje się w stanie prawdziwej gorączki przewrotów umysłowych; każdy ma prawo w każdej chwili do rewizji, w której krytyczny umysł ludzki nie cofa się przed niczem, cóż dopiero w nauce, której nietylko błędy, ale samo prawo życia wymaga ciągłej rewizji.

Każdy uczony jest moralnie obowiązany do rewidowania prawd i ustalonych pojęć już na ławie akademickiej. Szkoła akademicka stawia odrazu kandydata na uczonego przed dwiema alternatywami, które się nie wykluczają, lecz wzajemnie uzupełniają. Z jednej strony uczeń przysięga „in verba magistri“, bądź poczuwa się do obowiązku obrony nauki mistrza i całkowicie idzie za nim; w ten sposób powstają tak zwane szkoły. Z drugiej strony każdy uczeń akademicki podlega procesowi krytycznego przetrawiania tego, co słucha i czyta, rewidowania tego, co zastaje. Niejednokrotnie już, opuszczając mury szkoły, niejeden wybucha płomiennym protestem przeciw rutynie, błędom patentowanych profesorów, nawet własnych mistrzów. Z tego więc tytułu nikt nie może być zaczepiony, ponieważ cała rewizja ustalonych pojęć i zapatrywań jest obowiązkiem równie szlachetnym i koniecznym, jak i inne obowiązki uczonego, a więc i fachowych historyków.

Pragnę przypomnieć jednak następujący fakt, który pozornie stoi w jaskrawej sprzeczności z tem, co przed chwilą napisałem. Przed 'dwudziestu zgórą laty znany historyk węgierski 'Szek-fü poświęcił wielką gruntowną monografię bohaterowi narodowemu Węgier, Franciszkowi III Rakoczemu. Dzieło to wywołało szalone zainteresowanie. Węgierski historyk stanął na bardzo krytycznem stanowisku wobec tej pomnikowej postaci dziejów Węgier ze schyłku XVII i początku XVIII wieku.

Dzieło jego było fundamentalne pod względem opracowania źródeł; wydobył on mnóstwo nowych materiałów archiwalnych, nieposzlakowanej autentyczności. Przeorał poprostu cały materiał węgierski drukowany i rękopiśmienny, wszechstronnie wyzyskał państwowe i zagraniczne archiwa. Sąd autora o Rakoczym wypadł surowo, zdaje się, zgodnie z prawdą. Dzieło jego wyszło pod patronatem narodowej węgierskiej instytucji, Akademii Peszteńskiej, która sama cieszy się na Węgrzech nietylko naukowym, ale olbrzymim moralnym autorytetem. Obok więc autora sama Akademia

wzięła odpowiedzialność za rewizję świętej, jak dotąd, tradycji o trzecim Rakoczym.

Na Węgrzech zerwała się olbrzymia burza. Nie pomógł nawet puklerz Akademii, autor poczuł się jak osaczony zwierz: groziła mu moralna banicja całego społeczeństwa, bojkot towarzyski, jakkolwiek pod względem naukowym dzieło jego zastrzeżeń nie wzbu-
dzało.

Obowiązek uczonego wobec takich zagadnień jest twardy, najeżony niebezpieczeństwami nie tylko naukowej, ale i moralno-społecznej natury. Jest to obowiązek pójścia za głosem bezwzględnej prawdy, chociażby nawet wbrew prądom, panującym w społeczeństwie. Jednak każdy rewizjonista musi pamiętać o tem, że niosąc wysoko sztandar nauki i wogóle swego ideału, musi być przygotowany na zaciętą walkę z przywiązaniem do tradycji, a czasem nawet z czemś więcej; musi uważać, by nie przekroczyć linii, której społeczność przekraczać nie pozwala w imię swej moralnej zwar-
tości, poczucia dyscypliny dobra publicznego.

Ogólna kompozycja „Ogniem i mieczem“, o ile idzie o główne zagadnienie, sformułowane przez Dra Górkę, przedstawia się dla mnie pod jednym kątem widzenia: w jaki sposób Sienkiewicz odtworzył naczelne elementy polskiej politycznej myśli XVII w., jak wyobrażał sobie treść pojęcia Rzeczypospolitej, jej rolę, jak spojrzał na tragedję zmagania Rzeczypospolitej z kozakami, jakie miejsce w ogólnej budowie Rzeczypospolitej wyznaczał Polakom, Litwinom, Rusinom, Gdańszczanom, a specjalnie elementom polskim i ruskim.

Idzie mi o ogólne kontury postawionej kwestji, bez wchodzenia w drobiazgi. Pogląd Sienkiewicza wynika z obrazów powieści, w których występuje pojęcie Rzeczypospolitej, pojęcie elementów państwowych, zmagania ich z elementami, rozsadzającymi gmach państwa... Przypominam, com napisał we wstępie, że inne jest zadanie powieściopisarza i poety, inne historyka; tu nie chodzi o szczegóły i dokładność, a już najmniej o erudycję historyczną.

Twórca — artysta może odtwarzać obiektywnie rzeczywistość historyczną, może także wobec niej postępować dowolnie, byle talent jego służył wyższemu, idealnym i artystycznym celom, nie zatracając linii historycznej ciągłości zasadniczych kierunków dziejów, które odtwarza.

Genjusz młodego Mickiewicza stworzył „Konrada Wallenroda“, który nie polega na pragmatyzowaniu dziejów, który jest nawet sprzeczny z rzeczywistym Wallenrodem. Aldona, ta właśnie Mickiewicza, wcale nie istniała, a mimo to Mickiewicza wizja historycznego stosunku krzyżacyzny do litewskości i polskości jest prawdziwa i w swej prawdzie porywająca.

Sam Sienkiewicz, określając zadanie powieściopisarza-artysty, jego stosunek do historii, rzekł słusznie: „jestem pszczołą Hymethu, siadam na kwiat, który chcę, zbiorę z nich miodu tyle, ile chcę...“

Prof. Górka w pierwszym swym artykule przyznaje, że Sienkiewicz „dał przedwojnemu pokoleniu ze wszechmiar dodatnie walory wychowawcze Trylogji, osłabione niepotrzebnie w pierwszym tomie, zbyt ostre, nawet dla owych czasów, antiruskimi przejawskrawieniami“.

Otóż sądzę, że te „antiruskie przejawskrawienia“, to właśnie sugestia czy poprostu „iluzja“ samego prof. Górki, który, dając swój wykład Sienkiewicza, nie wczytał się w „Ogniem i mieczem“, a obraz porównawczy Polaków i kozaków, podany przez niego, nie odpowiada realnej Sienkiewiczowskiej prawdzie.

Posłuchajmy najlepiej samego Sienkiewicza.

Oto pierwsze zdanie pierwszego rozdziału „Ogniem i mieczem“: „Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia“... Wtedy na Czarnym Szlaku Skrzetuski, namiestnik pancerny, ze swym oddziałem znajduje skępowanego Chmielnickiego, prawie zduszonego arkanem. Skrzetuski ratuje mu życie i puszcza go wolno, chociaż mógł przypuszczać, że ten nieznajomy, który mu się przedstawił jako Zenobi, herbu Abdank z krzyżykiem, szlachcic kijowski i pułkownik kozackiej chorągwi księcia Zasławskiego, to wcale i bardzo podejrzana figura.

Scena druga — gdzieś w czerwcu czy w lipcu r. 1648: Skrzetuski w „jamie Iwa“, Chmielnickiego; to już nie pułkownik Zenobi Abdank z Czarnego Szlaku, lecz hetman kozacki, po wielkich zwycięstwach nad Rzeczpospolitą, w otoczeniu całej swej potęgi i tatarskich sprzymierzeńców z Tuhajbejem na czele. Skrzetuski w tej chwili jest więźniem; kozacy domagają się, by go powieść na majdan i ściąć mu głowę i prawie go już chwytają.

Chmielnicki, który poznał doskonale Skrzetuskiego, uprzedzając sobie, że ma wobec niego dług rycerskiej wdzięczności i, chroniąc go przed kozakami, oddaje w ręce Tuhajbeja, od któ-

rego wykupuje go za 4.000 talarów, poczem puszcza na wolność. Wybucho przytem namiętnym protestem przeciw magnatom, prze-
ców królewietom i woła: „Nie chcę też wojny z królem, nie chcę
z Rzecząpospolitą! Ona mać, on ojciec! Król, miłościwy pan...”

W tych dwóch obrazach jest zamknięta wizja myśli obywatel-
skiej Sienkiewicza, pełnej harmonji. Oddaje on hołd szlachetnym
uczuciom Skrzetuskiego, znajduje te szlachetne uczucia nawet
w dzikiej i groźnej postaci Chmielnickiego.

A oto inny obraz: Zaćwilichowski, z pochodzenia Rusin, stary
zasłużony żołnierz, zostaje wystawiony na pokusy kozaków, którzy
wołają doń: „Przyjdź do nas“. A był Zaćwilichowski przed bun-
tem twardym i wymagającym przełożonym dla samych kozaków.
Ten rygor i poczucie dyscypliny Zaćwilichowskiego przejmowały
ich według Sienkiewicza szacunkiem wobec postaci rotmistrza. Za-
ćwilichowski odrzuca z pogardą propozycję kozacką, wyżej nad
wszystko ceniąc sobie poczucie honoru.

W innym rozdziale powieści Sienkiewicz odtwarza nam rusko-
kozackiego Zaćwilichowskiego; czyni to z postacią setnika Zachara.

Stary setnik kozacki, niezłomny Zachar, kozak z krwi i kości,
znalazłszy się w Warszawie w towarzystwie polskich bohaterów
„Ogniem i mieczem“, zostaje na tę samą pokusę wystawiony, którą
kozacy wabili Zaćwilichowskiego. Zachar dumnie ją odrzuca,
twierdząc, że nie może zdradzić sprawy kozackiej.

Wspomnijmy epizod śmierci Burlaja: „więc widział już Bur-
łaj, że znikąd niema ratunku. Aleś, Burlaju, sławę swą kozacką
kochał więcej, niż życie, dlategoś nie szukał ocalenia“. Burlaj był
to stary bohater kozacki, uczestnik i wodzirej wypraw czajkami na
Czarne morze, który z mieczem w ręku nieraz zaglądał do miast
małoazjatyckich.

Czyż ruski pisarz mógł silniej i lepiej od pisarza polskiego
napisać o śmierci tego Burlaja?

Zastanówmy się jednak nad tem, kto jest głównym powieścio-
wym bohaterem „Ogniem i mieczem“; czy Skrzetuski?

Tych bohaterów powieści widzę kilku; chciałbym się zastano-
wić nad jednym. Zapewne Skrzetuski jest idealnym bohaterem po-
wieści, zdobnym we wszystkie cnoty: honor jego jest nieposzlako-
wany, to prawdziwy rycerz bez skazy. Szlachetny nawet wobec prze-
ciwnika, gotów na wszelkie poświęcenie, ryzykuje nieraz śmierć.
Jego miłość do Heleny Kurcewiczówny wzrusza szczerością, głębią
uczucia, poczuciem obowiązku wobec ukochanej osoby. Panna mu

sprzyja, panna się w nim kocha, wszystko się dobrze kończy, aż za dobrze.

W ciągu długiego życia miałem nieraz sposobność rozmawiać z paniami o Skrzetuskim. Odpowiedzi były prawie jednoznaczne: tym prawdziwym bohaterem rycerskim jest nie Skrzetuski, lecz Bohun. Prawda, że to dziki i gwałtowny kozak, ale jak Sienkiewicz odmalował tego wroga Rzeczypospolitej! W niczem on jako rycerz nie ustępuje polskim rycerzom. Sienkiewicz nie przytacza żadnego szczegółu, któryby go hańbił, bądź ujmował cokolwiek czci rycerskiej. W porównaniu z Bohunem, pełnym sił i wyrazu, pełnym namiętności, Skrzetuski jest raczej mdły.

Pod względem szlachetności uczuć dla Heleny Kurcewiczówny Bohun stoi o wiele wyżej od samego Skrzetuskiego. Temu panna była wzajemna, Bohuna nie kochała. A przecież ten Bohun miał ją w rękę, był jej panem, mógł ją bez trudu wziąć. Tymczasem artysta niesłychanie subtelnie, w poczuciu zupełnej sprawiedliwości wobec świata ludzkiego, każe być temu Bohunowi najszlachetniejszym ideałem rycerza, który umie przezwyciężyć sam siebie, zdolnym do najwyższych poświęceń, będącym dla niego piekłem udręki moralnej, z której wychodzi z honorem.

Zastanówmy się nad innym rysem Bohuna: jaki on jest dla Sienkiewicza jako wojownik. Prawda, zdolny jest do szaleństwa i dzikości, cechuje go jednak odwaga, bezinteresowność i poczucie honoru wobec przeciwnika. Sienkiewicz zresztą stawia go na wyższym stopniu rycerskości: „To nie zbój, to nie watażka, to wódz“. W opisie zaś bitwy pod Beresteczkiem charakteryzuje go jako olbrzymia walki.

Zwróćmy się teraz do rozpatrzenia kwestji, w jaki sposób autor „Ogniem i mieczem“ patrzy na naszą własną społeczność, na polityków, na rycerstwo, na szlachtę.

Oto zdanie pierwsze z brzegu: „Męstwo dawne ginie i w słodkich wczasach, nie w trudach wojennych kocha się wojsko i szlachta“. Czyż można dosadniej i krócej określić stanowisko, jakie autor zajmuje wobec procesu upadku szlachty w tej dobie?

Jako jeden z głównych przeciętnych typów szlachty, zaraz na pierwszych kartach powieści występuje Polak z dziada pradziada, Czapliński, podstarości czechryński, sługa zaufany młodego chorążego Aleksandra Koniecpolskiego.

Czapliński zasługiwałby, ze stanowiska nauki, na szczegółowe opracowanie. Jego zatargi z Chmielnickim, osiadłym właśnie na terenach starostwa czechryńskiego, mają znaczenie historyczne.

Hruszewski patrzy krytycznie, mając dużo w tem racji, na kobietę jako przyczynę pierwszego zatargu. Spór jednak o posiadłość Chmielnickiego w Subotowie jest autentyczny; był to osobiście dostateczny powód do wybicia Chmielnickiego z normalnej kolei życia bogatego i wybitnego kozaka.

Najzacieklejszy wróg Polaków, u Sienkiewicza w scenie zajścia między Czaplińskim a Skrzetuskim musi przyznać, że autor odmalował Czaplińskiego jako typ ujemny, zarówno pod względem fizycznym, jak psychicznym. Jeżeli Skrzetuski na widok podstarościego i na jego pierwsze odruchy wybuchnął oburzeniem, to cóż dopiero czuć musiała ludność Czechrynia; Sienkiewicz pisze o nim, że „był to zawadajaka wielki, pieniacz, prześladowca, ale niemniej miał silne plecy, przeto ten i ów politykował z nim“.

A oto koniec sceny Skrzetuskiego z Czaplińskim: Skrzetuski „obrócił go w palcach, chwycił jedną ręką za kark, drugą za haidawery poniżej krzyża, podniósł w górę rzucającego się jak fryga i idąc ku drzwiom między ławami, wołał: Panowie bracia, miejsce dla rogala, bo pobodzie! To rzekłszy, doszedł do drzwi, uderzył w nie Czaplińskim, roztworzył i wyrzucił podstarościego na ulicę“.

Czytelnik po takiej scenie będzie patrzył na zatarg Czaplińskiego z Chmielnickim tylko z sympatją dla Chmielnickiego.

W dyskusji, zainaugurowanej przez Dra Górkę, na czoło rozważań zostały wysunięte osoby samego króla Jana Kazimierza, kanclerzego Jerzego Ossolińskiego, a przede wszystkim Jeremiego Wiśniowieckiego. We wszystkich tych wypadkach obiektywny obraz rzeczywistości historycznej miał przez Sienkiewicza zostać przeinaczony, głównie pod wpływem historyka Kubali, i w ten sposób zwierciadło historyczne powieści „Ogniem i mieczem“ daje obrazy nieprawdziwe.

By odpowiedzieć na tę kwestję, nie trzeba się zanurzać w gąszcz nieprzebrany źródeł historycznych XVII w. Tej odpowiedzi trzeba szukać w samej powieści.

Prawdziwy portret Jana Kazimierza występuje w niej w scenie pod Toporowem, gdzie Skrzetuski znajduje króla i składa mu relację o stanie rzeczy w Zbarażu. Idzie o to, czy śpieszyć natychmiast na ratunek oblężonemu, czy jeszcze czekać na dalsze posiłki, czy też próbować negocjacji. Ossoliński doradza zwłokę. Tymczasem król, który rzekomo miał być pionkiem Ossolińskiego, tego niby to najdoskonalszego umysłu ówczesnej Polski, decyduje natychmiastowy wymarsz pod Zbaraż. W tym wypadku bodaj w rzeczywistości było

inaczej: król poszedł za zdaniem Ossolińskiego, Sienkiewicz więc nie obniżył, lecz podniósł znaczenie Jana Kazimierza.

Nie w powieści, lecz na innem miejscu, Sienkiewicz wyraźnie przeciwstawia się pogładowi Kubali na Jana Kazimierza, zarzuca mianowicie Kubali, że jego portret króla jest jednostronnie oparty na rysach młodości monarchy. W polemice z Kubalą Sienkiewicz pisze: „Król Jan Kazimierz mało jest podobny do królewicza Jana Kazimierza... Był Jan Kazimierz młodzieńcem zmiennym, który nie umiał sobie znaleźć celu w życiu; tymczasem później świeci mu wielki cel, dla którego żyje, pracuje, naraża się na największe niebezpieczeństwa, umie głowę pod obuch nadstawiać, umie sypiać, jak prosty twardy żołnierz, na gołej ziemi, umie pracować w po-cie czoła, na sejmach znosi nieszczęścia i niechęć narodu. Tym wielkim celem jest dla niego dobro Rzeczypospolitej. Kubala mówi o nim, że „należał do drapieżnej rasy normandzkiej, natury nieokielznanej“; tymczasem żaden król nie potrzebował i nie umiał tyle przebaczać. Kubala mówi, że ten drapieżny temperament, złączony z jego słabym umysłem i wrodzonym lenistwem, robił go naprzód ciężarem, potem nieszczęściem Polski; tymczasem faktem jest, że żaden może z monarchów nie przebywał tyle w obozach i nie przedsiębrał tylu coraz nowych usiłowań reform“.

Przeciwnicy Sienkiewicza twierdzą, że skupił on w „Ogniem i mieczem“ na Wiśniowieckim wszystkie blaski, a na Ossolińskim wszystkie cienie. Zadajmy pytanie, czy Sienkiewicz widzi w Wiśniowieckim rozum polityczny ówczesnej Polski. Otóż nie; Wiśniowiecki dla Sienkiewicza — to wojownik i wódz, ulubieniec rycerstwa, a nie polityk. Mówi przecież wyraźnie Sienkiewicz: „Książę miał poniekąd słuszość, ale o brakach Rzeczypospolitej myślał tylko jak wojownik i wódz, który wszystkich ludzi chciałby na żołnierzy przerobić i na nieprzyjaciela poprowadzić. Męstwo mogło się znaleźć i znalazło się, gdyż stokroć większe wojny zagroziły wkrótce Rzeczypospolitej. Jej brakło jeszcze czegoś więcej, czego książę i żołnierz w tej chwili nie dostrzegał, ale co widział jego nieprzyjaciel, wielki kanclerz koronny (Ossoliński), biegły od Jeremiego statysta“. Widoczne, że Sienkiewicz widział w ówczesnej społeczności brak wybitnej jednostki, któraby łączyła talent wodza z talentem statysty, któraby miała jeszcze jeden talent, na jakim zbywało nietylko Ossolińskiemu, ale i Janowi Kaziemirzowi; oto któraby umiała wstrząsnąć społeczeństwem, przywiązać je do siebie i pociągnąć za sobą. Mojem zdaniem w charakterystykach króla,

Wiśniowieckiego i Ossolińskiego Sienkiewicz staje na wysokim stopniu nie tylko artystycznym, ale i historycznie obiektywnej bezstronności. Czytelnik „Ogniem i mieczem” rozumie z przerażającą jasnością, że ani żołnierz sam jeden, ani człowiek, który był tylko statystą, nie wydobyłby Polski z tej toni, w jakiej się wówczas pogrążała.

Powiedziałem, że w powyższych charakterystykach naczelnych figur „Ogniem i mieczem” powieściopisarz przeciwstawia się Kubali. Dodaję, że Sienkiewicz czyni to z całkowitą świadomością, zdając sobie dobrze sprawę z rozmaitych zapatrywań, jakie panowały we współczesnej historjografii.

Znany to fakt, o którym nie pamiętają przeciwnicy Sienkiewicza, że ten, ceniąc wartość artystyczną „Szkieców historycznych” Kubali, nie przyznawał im wysokiej syntetycznej wartości. Miał wogóle Kubalę za artystycznego, barwnego kronikarza raczej, mniej za historyka. W zapatrywaniu na Kubalę Sienkiewicz był konsekwentny przez cały okres swej twórczości, a zwłaszcza od r. 1880 do r. 1914 włącznie.

Nie mogło być zresztą inaczej. Pisząc „Ogniem i mieczem”, autor nie był młodzieńcem, miał lat około 37, znany był zresztą z wykształcenia historycznego jako wychowanek historyczno-filologicznego wydziału warszawskiej Szkoły Głównej.

Sienkiewicz właśnie napisał pod pseudonimem Litwosa recenzję pierwszego wydania „Szkieców historycznych” Ludwika Kubali, a to w warszawskiej „Niwie”. W tej samej „Niwie” w r. 1883 pisał o „Jerzym Ossolińskim” tego samego Kubali nie ktoś inny, tylko — Michał Bobrzyński. Czytelnika zainteresuje niewątpliwie porównanie poglądu wybitnego powieściopisarza z poglądami wybitnego historyka-polityka. Powieściopisarz tak pisze o „Szkiecach historycznych”: „Wadą pracy Kubali jest to, że nie daje jednak ona syntezy. Autor dostarcza czytelnikowi mnóstwa rysów trafnych, bystro dostrzeżonych i przedstawionych z wielkim talentem. Ale nie pomaga mu do wytworzenia sobie obrazu ogólnego”.

Z recenzji Bobrzyńskiego, poświęconej dziełu Kubali p. t. „Jerzy Ossoliński”, możemy przytoczyć tylko kilka zdań, chociaż zasługiwałaby ona na obszerniejsze streszczenie. O metodzie Kubali pisze Bobrzyński, mojem zdaniem, za surowo, choć nie bez znacznej dozy słuszności: „Oto autor jej, ufny widocznie w talent swój samorodny, wzgardził zupełnie metodą badań historycznych i pozabawił się samowolnie wskazówek i środków, któremi ona umożliw-

nia osiągnięcie trudnych zadań na polu dziejopisarstwa“. Pisz to Bobrzyński na podstawie rozważań samego Kubali. I dalej mówi: „Przedstawia zdarzenie po zdarzeniu, fakt po fakcie w porządku chronologicznym, bez wykazania ściślejszego przyczynowego związku... Opowiadanie, chociaż barwne swą treścią, trzyma się przeważnie strony zewnętrznej faktów dziejowych i mimo zalet stylu wpada w ton kronikarski...

„Przypatrzmy się bliżej owemu ideałowi (Kubali), a zrozumiemy sąd historyczny autora... Chwali więc autor Ossolińskiego, gdy dążąc z królem Władysławem IV razem do bezprawnej wojny, w ostatniej chwili cofnął się i odmówił pieczęci na zaciągi żołnierza; chwali senatorów, którzy burzą szlachtę przeciw królowi pod hasłem prawa; uniewinnia szlachtę, gdy w imię formalnego prawa sprzeciwia się cłom pruskim, wojnie tureckiej i innym zamiarom samowolnie przez króla podjętym. Czytając książkę p. Kubali, zdaje nam się też, że stoimy nie wobec sądu historii, lecz wobec jakiegoś trybunału państwa, że kodeksem nie jest „*summa salus rei publicae*“, najwyższe dobro narodu, ale obowiązujące chwilowo prawo polityczne...

„...Rzadko też spotkać książkę, któraby tak mało posiadała perspektywy historycznej, tak mało była porównawczą, czy to wobec innych epok naszej własnej historii, czy też wobec historii innych państw i narodów, tak zasadniczo ignorowała umiejętności społeczne i polityczne, a pomimo to tak stanowczo w historii sądziła ludzi i wypadki“.

Porównajmy z powyższym poglądem Bobrzyńskiego uwagi Sienkiewicza, napisane w r. 1914 z powodu dzieła Kubali: „Wojna szwedzka w r. 1655—1656: ...,Oto czytelnik historycznego dzieła szuka w niem zawsze pewnej syntezy, szuka ogólnego poglądu na epokę, na ludzi, na wypadki — i pewnej historjograficznej nauki, pewnych wskazań i wniosków wyciągniętych z wiru wydarzeń“.

„Tymczasem nic z tego. Opowiadanie jest czysto obiektywnem przedstawieniem rzeczy i płynie tak, jakby je spisał bardzo miły i bardzo utalentowany kronikarz. Na krytyczny pogląd, zda się, brakło czasu. Tylko przy kreśleniu portretów rzuci niekiedy autor kilka uwag..., lecz wypowiedane bywają czasem z rozmachem i fantazją godną p. Paska. Bo gdy autor odsyła „do lasu“ pewnych polityków, można się jeszcze zgodzić, ale gdy przy charakterystyce Bogusława Leszczyńskiego czytamy np. „Djabli wiedzą, skąd się taki wziął w Polsce“, wówczas ogarnia nas wątpliwość, czy takie wy-

rażenie licuje z powagą historii“. Naogół sądził jednak Sienkiewicz, że dzieło to będzie żyło i błyszczało nie tylko w ścisłej nauce, ale i w literaturze.

Streszczając dwie recenzje, napisane przez Sienkiewicza, a poświęcone Kubali na przestrzeni lat 34, a także recenzję Bobrzyńskiego, widzimy, że jakkolwiek między Sienkiewiczem a Bobrzyńskim zachodzą istotne różnice, to przecież sąd ich obydwóch o syntetycznej wartości dzieł Kubali, a także ocena sądu historycznego Kubali są bardzo sobie bliskie.

Widoczna, że Sienkiewiczowi jeszcze w okresie przed pisanem „Ogniem i mieczem“ przyświecały wzory innych pisarzy historycznych, a nie tylko Kubali. O niektórych z nich wspomina on sam w cytowanej już recenzji z r. 1880. Mówi wyraźnie, że w rozpatrywaniu czasów XVII w. dzieła Szujskiego i Szajnochy są godne uwagi.

Twierdzenia zatem w guście takich, jakoby Sienkiewicz w swej kompozycji historycznej był niewolniczo zależny od Kubali, należy zaliczyć do błędów, sprzecznych jaskrawo z rzeczywistością. Prof. Górka, ogłaszając swe artykuły w „Pionie“ nie znał poprostu właściwego stosunku Sienkiewicza, zarówno do Kubali, jak do Szujskiego i Szajnochy.

Sienkiewicza spotkał zarzut, że odmalowując Jeremiego jako symbol społeczności Polski, organizującej się do walki z kozaczyzną, wybrał sobie na bohatera Rusina, świeżego katolika, nie nie mającego wspólnego z polskością. Prof. Górka pisze dosłownie (w trzecim swym artykule p. t.: *Kniaź Jarema*): „Ku zmartwieniu wszystkich naszych rasistów trzeba stwierdzić, że nie miał on w sobie ani kropli krwi polskiej. Byłoby to zresztą nawet bez poważniejszego znaczenia wobec faktu więcej mówiącego, że był wychowankiem nastrojów, stosunków i kultury kozacko-schizmatycznej, porzucił bowiem schizmę dla kariery już jako dorosły człowiek“.

W innem miejscu Jarema dla prof. Górki — to banita, podstępny rabuś, okrutnik, knujący, jak większość magnatów, zdrady na prawo i lewo, także oszust i t. d. Zarzuca nawet prof. Górka księciu Jeremiu porozumiewanie się z Chmielnickim podczas korsuńskiej bitwy i później. Są to zarzuty, nie tylko niezrozumiałe, ale odrzuca je najnowsza ukraińska historjografia¹.

¹ Hruszewski, op. cit. VIII, część III, str. 29, dokładna nota. Hruszewski odrzuca pogląd Łazarewskiego, który próbował te plotki ratować.

Z tym sądem polskiego historyka warto zestawić portret Jeremiego, jaki daje Rusin-Ukrainiec, Kulisz, o którym mówimy jeszcze w zakończeniu odczytu. Kulisz mianowicie tak charakteryzuje rolę księcia podczas oblężenia Zbaraża:

„Bohaterem tego okropnego dnia (13 lipca) dla panów był Wiśniowiecki; gdyby nie on, powtórzyłaby się sytuacja z pod Korsunia. (Wiśniowiecki) od chwili przybycia pod Zbaraż i do końca groźnego oblężenia działał z umiejętnością wzbudzania w walczących poczucia honoru lub gniewu, co niemożliwe czyniło możliwym, a nadludzkie — zwykłym. Za nim szły w ogień chorągwie, które były już na drodze ucieczki. Przy nim sama śmierć nie była straszną. Jego słowa, jego ruchy działały jak czar na upadłych na siłach i tych, co zwątpili w powodzenie. Heroiczny brak strachu i kozacka wytrzymałość znakomitego kolonizatora odległych małopolskich pustyń czyniły szlachetnych tchórzów śmiałymi wojakami i przeobrażały rozpieszczone panięta w Spartan“.

Powstaje więc kwestja, który z tych poglądów odpowiada prawdzie; z tego pierwszego pytania wypływa również drugie, przeciw jakiej Polsce zwracała się kozaczyzna?

Czy kozaczyzna zwracała się przeciw Polsce etnicznej, stuprocentowo polskiej z krwi i kości, a także z wyznania rzymsko-katolickiego? Sądzymy, że — nie. Nie szło o Polskę etniczną; tutaj chodzi o Polskę jagiellońską, dokładnie o ideał polityczny Polski jagiellońskiej. Znana jest istotna treść tego ideału: jest to solidarność polityczna w pierwszym rządzie Polski i Litwy, w drugim rządzie Polaków, Litwinów i Rusinów, w trzecim stopniu w granicach, oczywiście, ówczesnych wyobrażeń współpraca świata rzymsko-katolickiego z innemi wyznaniami, innemi kościołami, także zatem i prawosławnymi. Naturalnie, solidarność tych różnych czynników należy pojmować także w granicach współczesności, t. j. przede wszystkim świata szlacheckiego; ze względnej równości i względnej tolerancji mógł korzystać przede wszystkim szlachcic.

Gmach przeto państwowości polskiej, którą zaczęła podmywać nawała kozacko-tatarska, wspierał się na znanych nam głębokich jagiellońskich fundamenetach, których kamienie węgielne, to imiona Jagiellonów, co wcale w sobie nie mieli krwi polskiej, to dalej Węgier Stefan Batory, żonaty z Jagiellonką, to Wazowie, po kądzieli wiodący ród od Jagiellonki. W systemie politycznym tych dynastów Polska była państwem opartem o systemat polityczny, który się nazywa Unją Lubelską. Materiał etniczno-społeczny tej

Polski jagiellońskiej, — to nie Polska w pojęciu Stanisława Orzechowskiego, dla którego Rusini byli równouprawnionymi najbliższymi pobratymcami Polaków, to prawda, ale już Litwini — to parohcy polscy.

Ta prawdziwa Polska jagiellońska — to cała galerja żywych i wybitnych figur, działających razem z królami: a więc Jan Zamojski, krew z krwi i kość z kości polskiej, obok niego Stanisław Żółkiewski, Lubomirscy i Potoccy, a także anarchiczne żywioły, jak Zborowscy, Stadniccy, Herburtowie. Dalej idą Radziwiłły, Chodkiewiczze, Sapiehowie; rodziny te — to ucieleśnienie racji stanu litewskiej w ścisłym związku z Polską. Tuż za nimi widzimy Sanguszków, Ostrogskich, jako współtwórców i wykonawców Unji Lubelskiej; i już się wyłaniają Daniłowicze, i zaraz idą Wiśniowieccy, jako kontynuatorowie dzieła Unji Lubelskiej.

Wszystkich ich trzeba brać takimi, jakimi rzeczywiście byli, z wszystkimi ich dodatnimi i ujemnymi cechami.

Sanguszkowie, Ostrogscy, Wiśniowieccy, wszystko Rusini, nie od pradziadów, lecz praszczurów, jedni z krwi litewskiej, inni z książąt ruskich, czyto o genealogji autentycznej, czy też wątpliwej; nie ma to znaczenia dla rozpatrywanej kwestji.

Ze stanowiska historii państwa jagiellońskiego i Wazów wszyscy oni służą polskiej myśli politycznej, wszyscy oni są Polakami w znaczeniu państwowem, nawet najwięksi obrońcy samodzielności Litwy, nawet najtwardsi Rusini, najbardziej przywiązani do prawosławia.

Do nich też należy Jeremi Wiśniowiecki, z rodziny burzliwej, pełnej temperamentu, żyjącej kozakowaniem na wielką skalę, chwiejącej się początkowo między Polską, Litwą a Moskwą. Prawdziwi to z życia i ze stanowiska książęta ruscy, którym było trudno uchylić głowę przed majestatem coraz bardziej centralizującego się państwa; a jednak musieli.

Droga, która wiodła ku temu finałowi, była rozmaita; oddziaływały związki małżeńskie rodzin ruskich z polskimi, oddziaływały podróże i wychowanie, działała szkoła, często jezuicka, oddziaływała służba publiczna, mieszejaca w swych szeregach Polaków, Rusinów, Litwinów, potężnie działał interes społeczny, nakazujący solidarność wobec wszystkich warstw niższych, jakiegolwiek one były z krwi i wiary. Naród szlachecki jednakowo uważał za swoje dzieci Zamojskich, Potockich, Koniecpolskich i t. d. jak Wiśniowieckich, Ostrogskich, Zasławskich i t. p.

W tej galerji odnajdujemy księcia Jaremę Sienkiewicza. Urodzony z Rusina i Rainy Mohilanki, już przez matkę miał silny związek z istotą idei jagiellońskiej, pod której puklerzem mołdawska rodzina Mohiłów szukała schronienia w Polsce. Mohiłowie, łącząc się z Wiśniowieckimi, z Radziwiłłami, zachowali wierność prawosławiu, naogół jednak byli elementem, który przylgnął do ideału szlacheckiej Polski.

Wiadomo, że młodego Jeremiego rodzice odumarli wcześniej. Mając lat 6, dostał się na wychowanie swego krewnego Konstantego Wiśniowieckiego. Prawdą jest, że ojciec czy matka w swych testamentach zaklinali opiekunów czy dzieci, by dochowali wiary prawosławnej. Tymczasem ten Konstanty Wiśniowiecki, opiekun Jeremiego, sam przechodzi na rzymsko-katolicyzm. Nie stało się to jednak przypadkowo, a wynikało z dawniejszej historii tej rodziny. Owemu Konstantemu i jego rodzinie warto się przyjrzeć bliżej: była to starsza, a więc dostojniejsza linja rodu, od młodszej, do której należał Jeremi i ojciec jego Michał. Ojciec tego Konstantego, także Konstanty, syn Iwana, ożeniony był z Anną z Olechowca, która może być tą samą osobą, co Elżbieta Świerszczówna, prawdopodobnie Polka (B o n i e c k i daje mu dwie żony, W o l f jedną: Annę-Elżbietę). Konstanty oprócz syna Konstantego miał córkę Annę, która wyszła zażamąż za Jana Zamojskiego, bliskiego krewnego wielkiego hetmana. Odtąd też, t. j. już do końca XVII w. datuje się wpływ domu Zamojskich na rodzinę Wiśniowieckich. Sam Konstanty, syn Konstantego, żenił się parę razy, także i z Polkami, dwie jego córki wyszły za Polaków, jedna za Jakóba Sobieskiego, druga za Stanisława Warszyckiego. Jeden zaś z synów ożenił się z Tarnowską. Wpływ więc polskości na rodzinę Wiśniowieckich datował się już od dłuższego czasu, przed Jeremim¹.

Przypomnijmy też sobie, że przedostatni książę słucki, z krwi Olgierda, umierając, zaprzysiągł żonę, klęczącą u jego łóżka, Tęczyńską z domu, że dwóch małych synów wychowa w wierze swego męża. Natarczywe nawet nalegania Skargi na księżną słucką długo nie odnosiły skutku z powodu tej przysięgi. Aż wreszcie Skarga mógł z radością donieść do Rzymu, że przecież księżna słucka zwalczyła skrupuły sumienia i synów ochrzciła na rzymsko-katolików i oddała ich na wychowanie jezuitom.

¹ Por. II tom niniejszych zagadnień, o Unji Lubelskiej i stosunku do niej książąt z Wołynia.

Wypadków takich znanych jest wiele, nie dziwimy się więc, że Konstanty Wiśniowiecki dziewięcioletniego, zdaje się, Jeremiego powiózł do szkół do Lwowa i umieścił go tu w kolegium jezuickim, jeszcze jako prawosławnego. Jest to rys zgodny zupełnie z ówczesnymi czasami, kiedy sami książęta protestanczy oddawali jezuitom swoich synów na wychowanie, poprostu ze względów przymusu mody, taką bowiem sławą na polu wychowania cieszyły się szkoły jezuickie w końcu XVI i na początku XVII w. Po szkole jezuickiej we Lwowie znalazł się Jeremi w Krakowie i to wraz z braćmi. Pozornie drobny to szczegół, a jednak wymowny; wszystko jedno, czy dłuższy, czy krótszy był pobyt w Akademii krakowskiej, kiedy panicze polscy z reguły unikali szkół polskich.

I tutaj dochodzimy do krytycznego przełomu w życiu Jeremiego, i to po jego powrocie z paroletniego wojażu zagranicą, gdzie przebywał głównie w środowiskach katolickich. Jeremi postanawia zmienić obrządek i przejść na wiarę rzymsko-katolicką. Miał wtedy lat 19. Zdaje się, że dość łatwo zrozumieć takiego młodzieńca, dla którego prawosławie było zupełnie obcym światem w długim okresie lat 10-ciu, kiedy jako człowiek się formował i dojrzewał, przebywając wciąż w szkole i w podróży wśród katolików, odbywając na pewno praktyki religijne w kościele, a nie cerkwi.

Tymczasem z cytowanych powyżej zdań prof. Górki wynika, że książę Jeremi, jak widzieliśmy, chowany od dzieciństwa przez krewnego katolika, potem przez jezuitów, a potem spędzający czas na zachodzie Europy, był wiernym prawosławiowi i w dojrzałym wieku (lat 20!) dla kariery zmienił wyznanie — człowiek, który był wychowany na katolika.

A teraz kobieta. Młody Wiśniowiecki oglądał się za ożenkiem, jego zamiary czy też plany i zabiegi rodziny kierowały się ku światu polskiemu, ku Koronie, skąd tylu panów litewskich i ruskich brało sobie żony. Wybór padł na wnuczkę Jana Zamojskiego, córkę Tomasza, Gryzeldę. Zapewne, że gdyby Wiśniowiecki był prawosławnym, nie stanowiłoby to przeszkody do zrealizowania małżeństwa, jednak nie ulega wątpliwości, że Zamojscy córkę woleli oddać przede wszystkim rzymskiemu katolikowi. Stało się to w r. 1639, a związek Jeremiego z wnuczką wielkiego hetmana i kanclerza sam w sobie stanowi dokumentalny dowód najsilniejszego związku Jeremiego z polskością. Dodajmy, że jego siostra Anna wyszła później za mąż za Zbigniewa Firleja; Władysław IV sam we własnej osobie nosił się z zamiarem poślubienia jej, o czym była nawet mowa na radzie

Senatu w r. 1635. Streścimy się: wpływ Konstantego, opiekuna katolika, pobyt w szkołach we Lwowie i w Krakowie, podróż zagranicą, wreszcie ślub z Zamojską — wszystko to przemawia za polskością młodego Jeremiego.

Czy ten związek Jeremiego z polskością w późniejszym jego życiu zdobył szerszą społeczną podstawę? — Sądzimy, że tak: książę Jeremi jako kolonizator Zadnieprza niewątpliwie wzbudzał niezadowolenie w tych dalekich ruskich krainach jako szermierz katolicyzmu, jako protektor i budowniczy i fundator wielu kościołów i klasztorów, a także dlatego, że na dworach swoich otaczał się tłumem szlachty czysto polskiej, czyniąc z niej licznych swych podstarościch, zarządców rozmaitych włości, dzierżawców i t. d. I to wszystko na kresach zadnieprzańskich, zwróconych frontem przeciw Moskwie. Nie tu miejsce na charakterystykę tej olbrzymiej kolonizatorskiej działalności. Jest ona zresztą znana. Ale godzi się przypomnieć za Bartoszewiczem, że Jeremi był głęboko do tej działalności przywiązany. Lat szereg tu spędził, a nie w pałacach warszawskich i nie w głębi swych dóbr czerwono-ruskich. Jest to rys charakteru godny najwyższego uznania.

Zresztą jako posiadacz ogromnych dóbr na wschodzie, zarówno na Wołyniu, jak w województwie ruskiem, wreszcie w charakterze wojewody ruskiego stał się ulubieńcem tutejszej szlachty, i to przede wszystkim polskiej z pochodzenia.

Znany jest zresztą fakt, że wojewoda ruski w latach 1648—1651 był na terenie swego województwa osobistością najpopularniejszą. Przepadająca za nim szlachta i po przedwczesnej śmierci Jeremiego nie zapominała o jego zasługach, żądając od państwa odszkodowania za straty, które poniósł w służbie publicznej.

Muszę uważać za udowodniony silny związek Jeremiego z polskością XVII w.; więcej nawet, jest on tej polskości na ziemiach południo-wschodnich znakomitym przedstawicielem.

Prof. Górka, dochodząc źródeł poglądu Sienkiewicza na Wiśniowieckiego i błędnie doszukując się ich w pracach Kubali, pisze w pierwszym artykule: „w tym wypadku pomściła się na Sienkiewiczu jego niechęć do szkoły krakowskiej; jego nieoglądanie się na znakomity po dziś dzień trzeci tom „Dziejów Polski“ niezrównanego czy genialnego historyka Szujskiego, który byłby go ustrzegł od podobnych niepotrzebnych błędów“.

Podnieśliśmy już wyżej nieścisłość tego poglądu i nikt inny, lecz właśnie Sienkiewicz na podstawie Szujskiego i Szajnochy pa-

trzymał krytycznie na koncepcje Kubali. Nie można jednak zrozumieć, jak mógł prof. Górka krótką i nieściłą notatkę Szujskiego uczynić jakąś granitową opoką, na której koniecznie w tym wypadku musiał się rzekomo opierać Sienkiewicz, a nie np. na Kubali.

Nie rozumiem zupełnie, jak można późniejszą niechęć Sienkiewicza do szkoły krakowskiej mieszać, i to błędnie, z wcześniejszym jego stanowiskiem do tejże szkoły, tego Sienkiewicza, który się w ocenie talentu Kubali schodził z Bobrzyńskim, a w dodatku „Ogniem i mieczem“ drukował przecież w „Czasie“, t. j. organie Szujskiego, i w bratnim tegoż piśmie, warszawskim „Słowie“.

Zważmy nadto, że Szujski swój tom trzeci miał już wydrukowany w r. 1864, kiedy się wogóle o szkole krakowskiej nie śniło, a samemu Szujskiemu daleko było jeszcze do jego późniejszych „krakowskich“ poglądów.

A przecież w Encyklopedji Orgelbranda, w r. 1867, pojawił się w trzy lata po rzekomo podstawowym sądzie Szujskiego gruntowny i źródłowy artykuł Juliana Bartoszewicza. Ten, nie negując w charakterze księcia Jeremiego istnienia cech ujemnych, np. dumy, zaciętości nawet wobec króla, jednak ogólny sąd o nim zamyka w słowach: „mąż wiekopomny, obywatel najzacniejszy, wielki“.

Sądzę, że Sienkiewiczowi jako powieściopisarzowi wolno było oprzeć się na opinii, jaką sformułował cieszący się wówczas uznaniem Bartoszewicz, a wolno mu było odrzucić króciutką, i jak powiedziałem, nieściłą wzmiankę Szujskiego.

Nie wynika stąd, by Jeremi nie mógł być pełny najrozmaitszych wad, zarówno czysto indywidualnych, jak takich, które były mu wspólne z tłumem najrozmaitszych postaci współczesnych. Sama budowa wielkiej fortuny na dalekich kresach była celem, do którego dojść można było nie tyle prawem, co właśnie lewem, nie tyle drogą prawa, ile drogą gwałtu, z krzywdą sąsiadów, wszystko jedno, czy panów, czy średniej szlachty, czy ludu, z krzywdą wdów i sierót. Przywilej królewski, którym zresztą i tak kancelarja królewska gospodarowała niebardzo oględnie, był rzeczywiście świstkiem papieru czy pergaminu, mającym dla stron wartość jedynie tytułu prawnego, którego nie pilnowało ramię władzy królewskiej. Zresztą samo to ramię było przecież w posiadaniu tych samych rodzin Wiśniowieckich, Koniecpolskich i innych, którzy tutaj dzierżyli starostwa. Nic to zresztą nie ma wspólnego ani z pochodzeniem, ani z obrządkiem. Sam Jan Zamojski, wznosząc swoją fortunę, był bez-

względny i chciwy. Cóż dopiero wymagać od nadnieprzańskich magnatów, by kierowali się wobec państwa pojęciami dzisiejszych obowiązków obywatela wobec państwa. Na przestrzeni całego XVII w. najwybitniejsi i najzasłużeńsi nasi mężowie stanu patrzą na stosunek do władzy królewskiej oczami szlachcica, dla którego daleko większa jest suma obowiązku, jaka spoczywa na miłej Ojczyźnie wobec niego, niż odwrotnie.

Posłuchajmy, co o 26-letnim Janie Sobieskim pisze znakomity historyk Tadeusz Korzon, wielbiciel Jana. Sobieski przecież nie jest dzieckiem stepów, nie jest magnatem, który prowadzi rozpasaną politykę i ginie na haku w Stambule. Sobieski — to osobistość, wychowana na najwyższą miarę pedagogiki dzieci wielkich nie tylko co do majątku, ale i pod względem patriotyzmu panów polskich XVII wieku.

Korzon pisze: „Wchodząc do tego społeczeństwa, młody Jan Sobieski czy potrafi uchronić mózg swój od epidemii umysłowej, która całą szlachtę już ogarniała? Czy też zdoła wysnuć z własnej myśli zdrowe zasady prawa państwowego?... Jan Sobieski będzie sprowadzał wino beczkami i pił przez pół dnia w kompanji, chociaż pijaństwa nie lubi i od wina bólów głowy doznaje.

W zatargach sąsiedzkich radzi sobie po szlachecku, urządzając zajazdy zbrojne“.

A jak zachował się Sobieski w czasie szwedzkiego najazdu? „W lipcu 1655 r. zaczęła się wojna szwedzka... A gdy Jan Kazimierz, stoczywszy jedną małą utarczkę, ustąpił zagranicę, wodzowie wojsk jego, prawie nie dobywszy szabli, poddali się Szwedom... Sobieski jako pułkownik sprawował dowództwo nad pułkiem, t. j. 1 dywizją tej małej armji, ale jest wymieniony wspólnie z księciem Dymitrem Wiśniowieckim i dwoma innymi oficerami w liczbie głównych sprawców sromotnego poselstwa...

Przykro jest nam widzieć go na sztychowanym obrazie w rozpowszechnionej na całą Europę „Historji Karola Gustawa“ Puffendorfa, jak stoi z podniesionymi w górę palcami w gromadzie wyższych oficerów, przed szeregami polskiej konnicy, składając przysięgę poddańczą na imię Karola Gustawa, w ręce generała jego Wittenberga d. 16 października“.

To, co mówi Korzon o Sobieskim w pierwszej części przytoczonego ustępu, mógłbym powtórzyć, charakteryzując bankiety, gwałty i zajazdy Jeremiego Wiśniowieckiego, zaosttrzając, naturalnie, odpowiedzialność Wiśniowieckiego, gdyż Sobieski w r. 1655

miał lat tylko 26, a Jeremi w 1648 miał już lat 36, był przeto o 10 lat starszy.

Ale z 26-letniego pułkownika zrobił się w kolei lat 43-letni hetman Sobieski, prawdziwa już na wielką skalę sława wojenna ówczesnej Polski. Oto, co pisze o nim Korzon pod r. 1672:

„Dziwna i smutna, że w tem bagnie zwyrodniałych uczuć i zwichniętych rozumów znalazł się Sobieski“... A dalej: „Mimo tych wszystkich względów (usprawiedliwiających poczęści Sobieskiego) niezachwiany pozostanie wniosek, że sprowadzenie sprawy o tron do intrygi stało się głównym powodem bezbronności kraju w chwili tureckiego najazdu i skazą na imieniu Sobieskiego, a później źródłem podobnych zawichrzeń za jego panowania“¹.

Zestawienie tych opinij, jednej o Sobieskim, udokumentowanej przez Korzona, z drugą Górki, t. j. z niedostatecznie ugruntowanymi wątpliwościami o zupełnym braku poczucia publicznego obowiązku u Wiśniowieckiego, mówi samo za siebie.

Konkluzja tych rozważań jest jasna: Sienkiewicz, pisząc „Ogniem i mieczem“, wpatrzony w bezdenne nieszczęścia Rzeczypospolitej z okresu wojen kozackich, pisał z gorzącym sercem obywatela i artysty, widział na dnie tego upadku nieskażoną moralnie duszę narodu, pełną jednak istotnych przywar. I czyż mylił się Sienkiewicz, pisząc ten polski akord do obudzenia sławy, dumy i dzielności narodowej, która miała nieraz jeszcze zabłysnąć w pełni blaskiem czynów Czarnieckiego, zwycięstwami nad Moskwą, pod Chocimiem i w epizodzie wiedeńskiej odsieczy?

Sądzę, że postać Wiśniowieckiego mogła być o wiele gorsza od tego, co mówi nam rzeczywistość historyczna z przed r. 1648, a mimo to Sienkiewicz miał prawo zrobić z niego bohatera powieści.

Dr. Górka w pierwszych swoich artykułach uczynił Sienkiewiczowi zarzut zbyt daleko idącej dowolności czy „licencji poetyckiej“, że Szkota Krzywonosą zrobił Rusinem, a Rusina i schizmatyka Skrzetuskiego — Polakiem i symbolem polskiej rycerskiej cnoty.

Nie sądzę, by sam dr. Górka z zarzutu tego kuł wielką broń przeciw Sienkiewiczowi. Ostatecznie mogło tak być, jak dr. Górka suponuje, mając ku temu pewne poszlaki. Są bowiem źródła historyczne, które mieniają groźnego Krzywonosą Szkotem, choć nie mówią wyraźnie, by nie był Rusinem. Prawdą jest również, że są źródła, i to poważne, które Skrzetuskiego nazywają Rusinem i schiz-

¹ Dola i niedola Jakóba Sobieskiego, t. III, str. 200—201.

matykiem. Pochodzenia obydwóch tych postaci jest, naturalnie, dla powieści obojętne. Możeby lepiej nawet było, gdyby Skrzetuski był Rusinem, gdyż znaczna część szlachty tych stron była przecie ruska i prawosławna, a przecie zarębałaby tych, którzyby jej odmawiali polskości. Byłoby może i lepiej, gdyby groźny watażka kozacki Krzywonos był Szkotem rzeczywistym, gdyż w takim razie jego okrucieństwa wojenne nie ciążyłyby na psychice stosunku Rusi kozackiej do Lachów i Żydów.

Skoro wiemy, że Sienkiewicz, pisząc „Ogniem i mieczem“, starał się opanować materiał historyczny, i to nietylko opracowania, ale i kroniki i pamiętniki, a jednak skoro się twierdzi, że skrzywił on zwierciadło historyczne, to należało stwierdzenia co do osób Krzywonosa i Skrzetuskiego oprzeć na ogólnych normach obowiązującej krytyki historycznej.

Ta krytyka historyczna może także nie dać rozstrzygającej konkluzji. Historycy, badający zarówno wieki średnie, jak nowożytne, często bardzo w najważniejszych kwestjach, po najsumienniejszym zbadaniu źródeł, dochodzą do konkluzji sprzecznej. Może tak być i w interesującym nas przypadku. Musi jednak być przeprowadzone dochodzenie naukowe, o ile idzie o postaci tak głośne, jakimi stali się Krzywonos i Skrzetuski właśnie w znacznej mierze dzięki Sienkiewiczowi, który miał ich za rzeczywiste historyczne osoby, o tym charakterze narodowym, który im nadał.

Muszę przeto przeprosić czytelnika i wdać się w rozbiór wiadomości o Janie Skrzetuskim. Zresztą zostawiam ten wywód w formie, w jakiej znalazł się w moim okolicznościowym odczycie. Dziś sprawa pochodzenia Skrzetuskiego jest już w literaturze zbadana szczegółowo¹. Pytanie to wykracza poza ramy rozbioru powieści; idzie o to, czy wysłany ze Zbaraża do króla Skrzetuski był Polakiem, czy Rusinem. Kompozycja powieści nicby na tem nie straciła, gdyby był on Rusinem, lecz równocześnie lojalnym obywatelem Polski i wiernym sługą królewskim. Gorzejby było, gdyby, sprzecznie z portretem Sienkiewicza, okazało się, że Skrzetuski należał do szlachty, która wzięła udział w samej ruchawce Chmielnickiego.

Różne są wzmianki źródłowe o Skrzetuskim, są historjograficzne, a są i dokumentalne.

¹ Por. Lasocki Zygmunt. Sam korzystałem z pomocy ucznia U. J. K. p. Stanisława Kryczyńskiego, który przeprowadził kwerendę w archiwum bernardyńskim we Lwowie.

Sienkiewicza właściwie obowiązywało to, co o Skrzetuskim przytoczył w swoim znanym szkicu Kubala. Ten w przypiskach¹ powołuje się na Rudawskiego i na list Andrzeja Szołdrskiego, przytoczony w „Księdze Pamiętniczej” Michałowskiego pod Nr. 142. Kubala na podstawie tych źródeł mówi, że pod Toporowem oddał królowi listy od regimentarzy dzielny towarzysz pancerny, Jan Skrzetuski, wysłany od Firleja.

Rudawski, który pisał swoją historję w czasach późniejszych, przytacza imię i nazwisko Jana Skrzetuskiego, nazywając go „Quidam strenuus miles”.

Biskup Szołdrski przytacza jedynie nazwisko Skrzetuskiego, nie wymieniając imienia. O charakterze służby wojskowej mówi, że był to towarzysz z wojska oblężonego. Mówi jeszcze Szołdrski, że „ten pan Skrzetuski, ubrawszy się po chłopsku, przyszedł pod wojsko kozackie do rzeki, którą przebywszy, w boru leżał cały dzień, a w nocy poszedł manowcami do króla Jegomości”. Obydwa te źródła nic nie wiedzą o Skrzetuskim jako o towarzyszu pancernym. Skoro jednak Rudawski nazywa go „miles strenuus” a Szołdrski „panem Skrzetuskim”, wynikałoby stąd, że był to, oczywiście, szlachcic.

Opowiadanie „Ogniem i mieczem” o przedzieraniu się Skrzetuskiego ze Zbaraża robi wrażenie powieściowej fantazji. Zdaje się, że Sienkiewicz poprzestał na wzmiance Kubali i nie sięgał do innych źródeł.

Zadziwia fakt, że ani Kubala, ani Sienkiewicz nie zajrzeli do „Wojny domowej z Kozaki i Tatary” Twardowskiego, Kalisz 1681, str. 77. Jest w niej dłuższy ustęp o Skrzetuskim, który tutaj dosłownie przytaczamy ze względu na jego wagę. Zbarażczycy oglądają się za kimś, kogoby mogli posłać do króla z wiadomością, że i trzy dni oblężenia trudno im dalej wytrzymać:

Przynamniejby do niego kogo z tym posłali,
Dając o ginieniu i swojej ciężkości
Cóż, kiedy tak zamknieni, że ich w swej bystrości
Gołąb ledwie doleci, nie tylkoby z ludzi
Kto miał przebyć? Kogoli jednak miłość budzi
Ku ojczyźnie żarliwa, żeby na to zdrowie
Swe odważył wielką mu nagrodę Wodzowie
Za to dać ofiarują. Tedy sie obierze
Z pod Chorągwie Towarzysz we prostym ubierze

¹ Szkice historyczne, serja I i II. Wydanie piąte, str. 91 i 112.

Płuhatera ¹ jednego, Czubay wdziawszy Ruski,
 I Gońke, i Postoły, niejaki Skrzetuski
 Drogi sie tey podeymie, i od wodzow listy
 Owe weźmie. Toż w nocy tedy przezroczysty
 W staw nayspierwey przyległy śmiało sie ochynie
 I z tymi gdy szczęśliwie (dziwna rzecz) przepłytnie
 Naymniej niezmoczonymi po trawach czołgając,
I szczerzo prawdziwego Rusina kłamając,
 Dobierze sie Założiec.

Wreszcie znajduje Skrzetuski króla w Toporowie, który nie wiedział o przebiegu oblężenia w Zbarażu, i w ostatniej niemal godzinie, która nadchodziła na oblężonych...

Aż poprzód swoich tych starania,
 I fatyg świątobliwych, dostanie pisania
 Od Kursora owego, którego ochote,
 I pamiętną na wieki pochwaliwszy cnote,
 Kiedy z niego zrozumie, że tylkoż przynoszą
 Nędze swoje, a przebog o ratunek proszą,
 Trwać kilku dnie nie mogąc, w tej ciężkości więcey
 Przyszło zaczym pomykać ku nim sie co precey
 Noclegami sporszymi.

Wynika z opowiadania Twardowskiego, że Skrzetuski był towarzyszem w jakiejś chorągwi, że przebrał się w strój chłopski a nawet ruski i udawał prawdziwego Rusina; w ten sposób doszedł ze Zbaraża do Załoziec. Od Załoziec prawdopodobnie już nie potrzebował się ukrywać i podążył do Toporowa.

Z przytoczonych elementów wolno wysnuć wniosek: Twardowski miał Skrzetuskiego za szlachcica, za towarzysza w nieznanej chorągwi, nie miał go jednak za Rusina.

Są jeszcze inne relacje źródłowe o Skrzetuskim, które przytoczymy później. Czytelnik jednak może się zapytać, w jaki sposób na podstawie powyższych źródłowych wzmianek mogły powstać wątpliwości co do polskiego czy ruskiego pochodzenia osoby Skrzetuskiego, a także skąd wątpliwość w sprawie jego szlacheckości.

Istotnie trudno wątpić w szlacheckość Skrzetuskiego. Natomiast polskość jego etniczna może ulec zakwestjonowaniu na podstawie stosunkowo odniedawna znanego źródła, jakim jest depesza nuncjusza papieskiego Giovanni de Torres z daty 14 sierpnia 1649 r., z Warszawy. Wprawdzie wydawnicza strona tej depe-

¹ Słownik Warszawski: Ten, co chodzi za pługiem, oracz, rataj, rolnik.

szy nie stoi na wysokości zadania; brak do niej alegatów. Treść jej jednak jest sensacyjna, o ile idzie o Skrzetuskiego ¹.

Depesza ta stwierdza, że Skrzetuski, prawdopodobnie szlachcic, jednak Rusin i schizmatyk, wydostał się rzeczywiście ze Zbaraża i przyniósł do króla listy, podpisane przez większą część oblężonych dowódców. Skrzetuski udał przed swymi sługami, którzy byli także schizmatykami, że zamierza przystać do Chmielnickiego.

Król obiecał mu pierwsze starostwo czy też inne stanowisko, które zawakuje.

Tyle nuncjusz de Torres.

O Skrzetuskim mówi list Samuela Kuszewicza, opisujący oblężenie Zbaraża. Kuszewicz przytacza ważny szczegół, że Skrzetuski był towarzyszem chorągwi pana Gdeszyńskiego. Ponieważ chorągiew Gdeszyńskiego Marka była chorągwią kozacką, być może, że w tej okoliczności, jako też w szczególe, znanym z listu Szołdrskiego i z Twardowskiego, że Skrzetuski przebrał się za chłopą ruskiego, tkwi źródło legendy, której najwcześniejszy wyraz dał nuncjusz, nazywając Skrzetuskiego Rusinem i schizmatykiem.

Podnieśliśmy już, że nie zadawalnia nas ani techniczna, ani naukowa strona wydania wyciągu z depesz nuncjusza de Torres w opracowaniu Tomaszewskiego. Może ono być pożyteczne jako ogólne zebranie informacji, zawartej w depeszach o wojnach kozackich. Nie wiemy jednak na jego podstawie, czy do tej właśnie depeszy nie były dodane listy lub inne awiza, któreby pozwoliły skontrolować provenjencję przytoczonych w tej depeszy wiadomości.

Zkolei przechodzimy do innej grupy wiadomości o Skrzetuskim, z lat późniejszych. Identyfikacja tego Skrzetuskiego ze zbarażczykiem jest więcej niż prawdopodobna, nie jest jednak zupełnie pewna we wszystkich przypadkach.

¹ In quell' istesso giorno era giuntolo al campo di sua maesta il signor Skrzetuski Ruteno scismatico, che s'era trovato nelle strettezze dell' assedio fra gl'altri nostri e passò tra nemici con giuridicosa stratagemma. S'intese col capo del nostro esercito, ch'egli si sarebbe, finto di fuggir da loro; con gran segretezza lo comunico poi alli suoi servi, i qualli erano ancor essi scismatici, e di portarsi al Chmilinski come di più vantaggio e di più sicurezza lo comunicòpoi alli suoi servi di seguirlo, e giunto con tal fintione al nemico, vi si trattenne per era giorni continovi..., e vestitosi doppo da villano se ne a nuoto giunse avanti di sua maestà dalla quale fu accolto, comme primo starostato o governo che vacherà, et il signore gran cancelliere dal regno lo rivesti subito de' proprii habiti. Questo porto lettere a sua maestà sottoscritte dalla maggior parte di quei officiali assediati...

Na czele tych źródeł należy umieścić znany pamiętnik Paska, który, opisując wojnę moskiewską w r. 1660, zamieszcza dłuższe opowiadanie, którego przedmiot stanowi niebezpieczny podjazd w stronę wojsk moskiewskich ze Skrzetuskim na czele. Działo się to pod Kozieradami, niedaleko miasteczka Lachowice, własności Sapiehy, między Słonimem a Nieświeżem.

Opowiadanie Paska bardzo nas interesuje, ponieważ znany pamiętnik Łosia indentyfikuje Skrzetuskiego w r. 1660 z naszym zbarażczykiem¹.

Łoś przytacza, jak wiadomo, ciekawy szczegół o zbarażczyku, że za swój bohaterski czyn dostał w nagrodę nie starostwo lub jakąś znaczniejszą donatywę, lecz gotówką sto czerwonych złotych.

Pamiętnik Łosia zalicza Skrzetuskiego z r. 1660 do chorągwi Franciszka Czarnkowskiego, mianując go jej porucznikiem.

Skrzetuski z podjazdu między Kozieradami a Lachowicami — to jednak nasz znajomy zbarażczyk. Tak wynika choćby z odwagi i rezolucji rycerskiej, jaką wykazał w tym właśnie podjeździe. Miano go już za straconego; taką przynajmniej wiadomość przyniósł uciekinier, Łukasz Wolski z Rawskiego, którego za szerzenie nieprawdziwej, jak się okazało, wieści Stefan Czarniecki kazał wziąć w kajdany, a przyjaciele ledwie wyprosilili przed sądem wojskowym.

W rzeczywistości Skrzetuski ze swoim podjazdem nazajutrz wszedł do obozu z triumfem, niosąc rozwiniętą chorągiew nieprzyjacielską i pędząc przed sobą powiązanych więźniów. Tyle o Skrzetuskim w r. 1660.

Są jeszcze wiadomości o poruczniku Skrzetuskim, ba, nawet rotmistrzu z lat 1667 (w Kluczyckiego Pismach do spraw i wieku Sobieskiego, t. I; tamże o Skrzetuskim w r. 1671, a także w r. 1672 i 1673), wszystkie te jednak wiadomości, poczynając od r. 1667, nie mogą, zdaje się, być łączone z Janem Skrzetuskim, zbarażczykiem.

Przypuszczenie to opieramy na wiadomościach o rodzinie Skrzetuskich, które czerpiemy z „Ksiąg grodzkich bełzkich“, znajdujących się w archiwum bernardyńskim we Lwowie. Występuje tu rodzina Skrzetuszowskich, która już od początku XVII w. przy-

¹ Łoś Wł. († 1694), Pamiętniki towarzysza chorągwi pancерnej Władysława Margr. Myszkowskiego, wdy krak. od r. 1646 do 1667. Z rękopismu wydał Ż. P(auli). Kraków, 1858. (Szajnocha twierdzi, iż Łoś nie jest autorem tych pamiętników.) Bartoszewicz J., Pamiętniki Łosia. Bibl. War. 1859, t. II. (Por. Estreicher 1681, 1685: Łoś). Według „Studjów historycznych“ Czermaka autorem tego pamiętnika był jakiś Łoś, mniej jednak znaczący od Władysława Łosia, przyjaciela Jerzego Lubomirskiego.

biera nazwisko Skrzetuskich, pochodzenia prawdopodobnie wielkopolskiego. Wzmiankowane akta zawierają dość wiele informacji o tej rodzinie.

Już od r. 1634 występuje Jan Skrzetuski, syn Macieja, a bratanek Ulikseasa. Żoną Macieja, a matką Jana, była Regina z Łaskich.

Nasz Jan już od r. 1635, jest, zdaje się, żonaty z Anną Rogalanką.

Maciej i Regina z Łaskich Skrzetuscy mieli, prócz Jana, syna Adama i córkę Ewę, która wyszła za mąż za Puszyńskiego czy też Pudzyńskiego.

Z ustawicznych transakcyj pieniężnych, dokonywanych w latach od 1641 aż do lat sześćdziesiątych, wynikałoby, że Skrzetuski potrzebował ciągle gotówki, nie dowiadujemy się jednak, na co.

Już nie bełzkie, lecz lwowskie księgi grodzkie zapisują pod r. 1663, pod dniem 21 marca, deklarację, jaką Sąd Komisaryczny dla obrachunków z wojskiem wydał szlachcicowi Skrzetuskiemu, nie wyrażonemu z imienia, asekurując nią wypłatę, do której miały prawo: „Cohortes omnes Scythicae in legione Cnosi Skrzetuski existentes“.

Nie wiemy jednak, czy ten Skrzetuski, to nasz Jan zbarańczyk, czy też ów rotmistrz czy pułkownik, znany z wypadków w latach 1665, 1671 i t. d.

Wiemy tylko tyle, że Skrzetuski zbarańczyk zmarł już przed 1666 r., ponieważ księgi grodzkie bełzkie, a także Dekreta ziemskie bełzkie w r. 1666 notują Jana Skrzetuskiego już jako zmarłego. Wdowa po nim, owa Anna Rogalanka, wyszła po raz drugi za mąż za Marka Załęskiego, mając z pierwszego małżeństwa dwóch synów, a to Tomasza i Jana.

Małżeństwo zbarańczyka z Anną Rogalanką, ogólny charakter imion, używanych w rodzinie, i prawdopodobnie wielkopolskie pochodzenie świadczą razem, że rodzina była czysto polska i prawdopodobnie rzymsko-katolicka. Jak dotąd jednak, absolutnie nie możemy orzec, czy zbarańczyk, zmarły w latach 1663—1665, stał rzeczywiście na czele chorągwi scytyjskich, t. zn. lekkiej jazdy konnej, kozackiej bądź tatarskiej, obydwie bowiem rodzaje broni są znane w ówczesnej organizacji wojska polskiego. Nie wykluczam, że Skrzetuski z czasów po r. 1666 mógł być synem zbarańczyka, małe jest jednak prawdopodobieństwo tego wniosku; był on raczej Wielkopolaninem.

Nie zamierzałem badać i dochodzić, jakiego był naprawdę pochodzenia Skrzetuski. Byłoby nawet zupełnie obojętne dla oceny prawdy historycznej tej powieści, gdyby to była postać nawet zmyślona.

Co innego jednak, jeżeli autorowi powieści czyni się zarzut odwrócenia w tym wypadku historycznej rzeczywistości i gdy z niezrozumiałą apodyktycznością twierdzi się rzekomo na podstawie źródeł, że Skrzetuski był Rusinem, kiedy bardzo nawet pobieżny przegląd wzmianek źródłowych każe wnosić, że był raczej Polakiem i szlachcicem.

Sienkiewicza spotkał zarzut, że „Rusina“ Skrzetuskiego przyznał Polakom i polskości, a bohaterem kozackim uczynił Maksyma Krzywonosą, który jakoby w świetle źródeł nie był z pochodzenia Rusinem, lecz Szkotem, oficerem zawodowym, który przystał do kozaków. Istotnie w w. XVI i XVII krążyli po różnych krajach zawodowi żołnierze i oficerowie, z których zawodowi również organizatorzy tworzyli zaciągi, i którzy szli na służbę wojskową do rozmaitych panów.

Podstawą źródłową wiadomości, jakoby Krzywonos był Szkotem pod względem narodowym, jest współczesna ilustracja, umieszczona w znanym dziele Wacława Lipińskiego. Już jednak Hruszewski poddał ten pogląd krytyce¹, przytaczając obok tej ilustracji inne współczesne źródła, według których znany watażka miał rodzinę na Podolu². Zresztą po rychłej jego śmierci zjawia się także przelotnie syn czy bratanek jego, Krzywonosik.

Powstaje więc kwestja, co myśleć o rzeczywistym pochodzeniu Maksyma Krzywonosy. Samo to imię niebardzo przemawia za szkockim pochodzeniem. Trudność jest tem większa, że Krzywonos załysnął w początkach wojny jak meteor i szybko giną o nim wszelkie ślady. Niewiadomo, kiedy umarł, kiedy i jak zginął.

Podzielamy wątpliwości Hruszewskiego, stwierdzając, że dzisiaj w stanowczy sposób nie można określić pochodzenia Krzywonosy, możemy jednak do źródłowych faktów, przytoczonych przez Hruszewskiego, dodać nowe, nieużytkowane dotąd.

Nazwisko Krzywonosów jest znane na wschodzie Rzeczypospolitej; była rodzina szlachecka Krzywonosów w województwie mściławskim, a to według Bonieckiego, byli Krzywonosi i Polacy.

¹ Hruszewski, *Istoria Ukrainy-Rusi*, t. VIII, część III, str. 46.

² *Ibidem*, nota 4.

Nie zwrócono również dotąd uwagi na to, że charakter „szkocki“ można pogodzić z krajowem, i to nawet szlacheckiem, pochodzeniem.

W Niemczech i Polsce, według źródeł XVI i XVII w., istniała warstwa domokrażców wiejskich, zwanych szkotami. Widocznie prawdziwi Szkoci dali im początek, a nawet wśród nich przeważali. Bądź dźwigali oni na sobie towar, bądź też prowadzili ze sobą wozy z towarem. W tym charakterze są wspomniani w konstytucjach naszych r. 1591: „Szkotowie, którzykolwiek z opalkami chodzą, a wozów nie mają, z osoby swej po złotemu jednemu. A ci, którzy wozy i konie mają, od koni płacić po złotych dwu, a od towaru równo“.

Była więc to właściwie osobna warstwa ludności, mająca nawet swoją odrębną organizację, rodzaj kompanji.

Naprzykład w r. 1583 Batory ośmiu prawdziwym Szkotom dał przywilej wolnego handlu i wolnego pobytu tam, gdzie jego dwór przebywał; wśród tych Szkotów prawdziwych jest wymieniony Bartłomiej Grzimek, który jakoś na Szkota nie wyglądał.

Oczywiście, potomkowie tych Szkotów nazywali się także Szkotami, a nazwa przeszła na rodzaj ludności, która trudniła się takim domokrażnym handlem.

Co więcej, słowniki podają informacje, że Szkotami nazywano drobnych handlarzy, domokrażców, p o c h o d z a c y c h j e d n a k z e s z l a c h t y, prawdopodobnie zubożalej. Tyle możemy narazie powiedzieć o pochodzeniu kozackiego watażki, który prawdopodobnie nie stał wcale na czele zorganizowanego i znanego ze źródeł urzędowych kozackiego pułku.

Pytanie więc o pochodzenie Krzywonosą można, co najwyżej, nadal uważać za otwarte. Najprawdopodobniej był Rusinem; w każdym razie Sienkiewicz dopuściłby się błędu, gdyby go jako Szkota przedstawił.

*

*

*

Dobiegam do końca odczytu. Nie interesuje mnie to, i nie wchodzę w analizę kwestji, skąd idzie atak na Sienkiewicza, nie sądzę też, by prof. Górka był jego źródłem głównem i pierwiastkowem. Ma przecie poprzedników, którzy na terenie szkolnym zaczęli walkę z Sienkiewiczem.

Nie mogę jednak zrozumieć, w jaki sposób można Sienkiewiczowi w czasach, gdy pisał „Ogniem i mieczem“, zarzucać specjalnie antiruskie nastawienie. Czyżby Rusini wobec artyzmu i poczyt-

ności pisarza czuli się obrażeni i urażeni stanowiskiem, jakie zajął, rozdzielając sprawiedliwie światła i cienie nie tylko między Polaków, ale także i Rusinów?

Jeden z historyków ukraińsko-ruskich, znany prof. Antonowicz, istotnie zajął stanowisko niechętnie Sienkiewiczowi w recenzji, jaką mu poświęcił w „Kijewskiej Starinie“. Naogół jednak, jak nie udało się Antonowiczowi udowodnienie Sienkiewiczowi braku podstaw historycznych, tak samo nie udało się to i prof. Górce.

Umyślnie przytoczyłem nazwisko Antonowicza, on bowiem jest nauczycielem szkoły i kierunku, z których wyszedł Hruszewski i tegoż uczeń Wacław Lipiński. Wiadomo jednak, że wśród ukraińsko-ruskich pisarzy, współczesnych Antonowiczowi, byli historycy naukowo wprawdzie mniej wartościowi od Antonowicza i Hruszewskiego, niemniej jednak zasłużeni, trzeźwi, a przede wszystkim bardziej bezstronni i sprawiedliwi.

Sienkiewicz może być zupełnie spokojny o wyrok na siebie, gdyby stanął przed tribunalem historyków polskich, którzy przed nim pisali i z których mógł korzystać. Ale co powiedzieć o krytyce prof. Górki, nie uwzględniającej faktu, że w czasach, kiedy Sienkiewicz jeszcze nie myślał o pisaniu „Ogniem i mieczem“, pisał P. Kulicz swe rewelacyjne dzieło p. t.: „Istoria wozsojednienia Rusi“, Petersburg, w latach 1873—1874. A przecież Kulisz — to pisarz świetny i dobry Rusin-Ukrainiec.

Nie wiem, czy Sienkiewicz znał Kulisza, nie wiem, czy zeń korzystał. Wprawdzie główne dzieło Kulisza: „Otpadnienie Małorosji ot Polshi“ wyszło dopiero w latach 1888—1889, niemniej jednak sądy główne o Chmielnickim i o istocie kozaczyzny są zawarte już w pierwszym dziele. I cóż czytamy tam o Chmielnickim, który na kartach wywodów prof. Górki urasta do miary wielkiego wodza — polityka o treści konstrukcyjnej? Nazywa go Kulisz Herostratem polsko-ruskiej kultury (str. 360), lub na innem miejscu tak pisze: „1621 rok stanowił dla Sahajdacznego moment, w którym mógł odegrać przed sądem historii rolę Chmielnickiego z większą godnością, nie oddając ziemi rodzinnej w jasyr wojsku muzułmańskiemu i nie obracając cywilizowanego kraju „w ruinę“. Mało tego, nie spoczywałby na nim, jak na Chmielnickim, zarzut zemsty za krzywdę osobistą“ (str. 413).

Uderza jasność sądu Kulisza, za którym, niestety, nie poszli późniejsi ukraińsko-ruscy historycy, widząc fałszywie w Sahajdacznym i kozakach obrońców wiary prawosławnej. Uderza również

sprawiedliwy sąd Kulisza o Jeremim Wiśniowieckim („Otpadnienie Małorosji“), daleki od sądu prof. Górki.

Przekartkowanie Kulisza pozwala nam jednak zwrócić uwagę na inną jeszcze kwestję, może o wiele ważniejszą. Prof. Górka ujęcie historyczne „Ogniem i mieczem“ nazwał odwróconym okresem historii, niesłusznie, niesprawiedliwie, dopuszczając się sam odwrócenia historycznego stosunku Sienkiewicza do współczesnych mu źródeł i literatury naukowej.

O ileż głębszy i prawdziwszy był Kulisz, gdy stwierdzał, że właśnie genjusz ukraińsko-ruskiej poezji, Taras Szewczenko, w najlepszej wierze czerpał natchnienie ze źródeł mętnych i fałszywych. Kulisz pisze: „W czasach wydawania w Charkowie „Zaporożskiej Stariny“ powstały, zgodnie ze wskazówkami „Istorji Russow“, pseudoludowe dumy o przeszłości polsko-ruskiej, mające na celu sfanatyzowanie ukraińskiego serca. Wpływowy poeta Szewczenko, jak prawie wszyscy jego rówieśnicy, przyjmował je za twórczość samego ludu; nie wątpił on również w autentyczność fikcyjnych opowieści Koniskiego, które były tych dum podstawą. Ślepa wiara w tradycje latopisów, bez naukowej kontroli, była zgubna i dla niego i dla wielu innych, co ulegali wpływowi jego poezji. Niczemu innemu, jak wpływowi rzekomego Koniskiego i rzekomo ludowych pieśni „Zaporożskiej Stariny“, należy przypisać fałszywy nastrój ukraińskiej inteligencji lat 40-tych, którego najgłośniejszem echem stał się niestety Szewczenko“ (t. II, str. 149—150).

Kończąc, powiem: o ileż sprawiedliwszą rację miał Kulisz, wskazując na mętne źródła historycznej prawdy Szewczenki! Szkoda, że nie zastanowił się nad tem polski historyk, atakując polskiego powieściopisarza za dobrze ugruntowane, w duchu jego czasów, źródła i opracowań, tło historyczne, a próbując mu narzucać zapatrywania, których rodowody źródłowe odrzucał pisarz ukraiński lat temu zgórą czterdzieści i sześćdziesiąt¹.

¹ Broniąc Sienkiewicza, daleki jestem od bałwochwalstwa. Są w nim niewątpliwie strony słabe. Wdzięczny jestem p. Leonowi Wasilewskiemu za uwagę, popartą szeregiem cytatów, a stwierdzającą, że Sienkiewicz albo nie znał, lub znał słabo sam język ukraiński.

NA MARGINESIE „WIEDZY HISTORYCZNEJ“
Z POWODU „HISTORYKI“
MARCELEGO HANDELSMANA

NA MARGINESIE „WIEDZY HISTORYCZNEJ“ Z POWODU „HISTORYKI“ MARCELEGO HANDELSMANA ¹

CZĘŚĆ I. ZASADY METODOLOGII HISTORJI. ZAMOŚĆ 1921.
Z. POMARAŃSKI I SKA

Streszczenie układu książki; wpływ Bernheima i Langlois-Seignobos. — Wzmianka o A. Cieszkowskim. — Historycy a politycy. — Słowno o intuicji. — Wątpliwości i uzupełnienia: Historia a polihistorja. — O pojęciu dziejów powszechnych. — Co to jest historyka Lelewela? — I do heurystyki potrzeba talentu. — Kilka słów o syntezie i metodach wstecznej i porównawczej.

Treść książki i jej znaczenie. Jest to pierwsza, od czasów Lelewela, próba systematycznego wykładu zasad metodologii historii, obok której zamierza autor w przyszłości opracować teorię poznania historycznego i proces twórczy w historii. Poprzedzona jest jednak metodologja wykładem „zasadniczych pojęć“ historycznych, koniecznych istotnie dla pracownika początkującego. Podręcznik niniejszy stoi na granicy między znanymi dziełami Langlois i Seignobosa a fundamentalną książką Bernheima, przy czem oczywiście od rozpraw Lelewela i uwag metodologicznych Korzona odbiega także dzięki temu, że przypada mu rola obok seminarjów uniwersyteckich, gdy dawniejsze metodologie wogóle zastępowały seminarja, które rozwijają się naprawdę od lat 60-tych w Niemczech, a niespełna 40-tu we Francji.

Metodologja stanowi syntezę techniki i podstaw każdej nauki; jeżeli nawet może być, chociaż wyjątkowo, kwestjonowany jej pożytek, niepodobna myśleć o dalszem udoskonaleniu wiedzy, nie dając profesorom i uczniom i wogóle historykom coraz to dalej idących ułatwień metodologicznych.

Świat nasz naukowy czekał długie dziesiątki lat na wznowienie tradycji Lelewela: wszak od ostatniego wydania jego „Historyki“ mija lat okragło pięćdziesiąt. W ciągu tego czasu rozwinęła

¹ Drukowane jako recenzja w „Przeglądzie Warszawskim“ pod redakcją W. Borowego. Warszawa 1921.

się potężnie nasza literatura historyczna. Setki i tysiące młodziarzy oddaje się studjom, nie mając w ręku własnego podręcznika. Sam podpisany, jeszcze na ławie uniwersyteckiej, odczuwał wraz z kolegami brak polskiej metodologii, zmuszany do wykuwania nieprzyzwoitego dla początkujących dzieła Bernheima, którego skrótu w wydaniu Göschena wówczas jeszcze nie było. A kiedy samemu wkońcu wypadło zasiąść na katedrze, to i wówczas nie można było z braku własnych kwalifikacji myśleć o napisaniu metodologii. Starałem się więc doraźnie zaradzić potrzebie, inicjując przekład znanego i wybornego Wstępu do studjów historycznych Langlois i Seignobosa, zdawałem jednak sobie już wówczas sprawę, że na tem poprzestać nie można.

Trzeba było czekać na metodologa, któryby skupiał w sobie wszystkie niezbędne cechy fachowe. Posiada je autor rozpatrywanej książki. Zajmował się on już kilkakrotnie kwestjami metody, historii nauki i nauczania. Posiada przytem tę zaletę, że równie swobodnie opracowuje zagadnienia średniowieczne, jak nowożytne, nie cofając się przed trudnościami pracy wydawniczej w obydwóch tak odmiennych epokach. Wreszcie jest doskonałym pedagogiem, co nie każdego zdobi uczonego, ma dar bardzo jasnego i zwięzłego wykładu kwestyj trudnych i zawiłych. Jednem słowem, niniejsza „Historyka“ wyszła z pod pióra jedynej wśród nas w tym względzie kompetencji.

W ogólnym układzie książki idzie autor za wzorami właśnie Bernheima i Langlois - Seignobosa. W całym szeregu definicij ślępa jednak ścieżką własną. Jego też dziełem jest wzorowa naogół koordynacja i kombinacja podawanych określeń i wskazówek z żywymi przykładami, dobranymi z polskich głównie źródeł i polskiej literatury. To ostatnie stanowi ogromną zasługę autora i ogromny krok naprzód w rozwoju naszej fachowej pedagogiki.

Przez historykę rozumie autor to samo, co Lelewel i Korzon. Historyka według niego — to teoria nauki historycznej, obejmująca zarówno metodologję, jak teorię poznania historii i proces twórczy. Metodologja zaś sama ma być wykładem „umiejętnych sposobów zbierania materiałów historycznych, ich badania krytycznego w celu naukowego opracowania“. Nie przecenia jednak autor znaczenia samej metodologii w myśl już dawniej uznanych maksym, jak owa przytoczona u Fabri'ego: *nihil praecepta atque artes valent, nisi adjuvante natura*, lub u Langlois w znaczeniu szerszem: *criticus non fit, sed nascitur*. Ale i tu zajmuje autor stanowisko

pośrednie. Oceniając dokładnie znaczenie intuicji, stwierdza, że nauczyć się jej nie można, ale można ją rozwinąć i udoskonalić w sobie, co stanowi nakaz metodologii. Jakkolwiek zatem każda metoda „jest przede wszystkim umiejętnością stosowania praktycznego tego narzędzia, którego zdobyć nie można tylko teoretycznie”... „lecz uwrażliwia ona (metoda) umysł badacza... i będąc teorią postępowania praktycznego, jest zarazem budzicielką ducha twórczego”. Uwaga to trafna i nowa w granicach fachu, odpowiada zaś nawskroś tendencjom współczesnej pedagogii. Właściwa ocena znaczenia intuicji daje się uzupełnić przytoczeniem odwrotnego przykładu. Dawniej już sam talent literacki (nie mówię o wrodzonym uzdolnieniu historycznym) wystarczał najzupełniej, by w drodze samouctwa odtwarzać historję. Dzisiaj nawet genialny samouk lata całe straci, a nawet całe życie może chadzać manowcami wobec rozwiniętej techniki badań, ogromu materiału, ogromu zagadnień. Nie podobna zaczynać na nowo wszelkich prób, które poczyniły minione pokolenia badaczy, uczonych i twórców. Metodologia zresztą ogólnie przyjęta stanowi podstawę, na której może osiągnąć porozumienie olbrzymia armja historyków, pracujących wśród całej ludzkości, i małe armje historyków, działających zosobna wśród każdego społeczeństwa; przyczem odgrywa metodologia również rolę łącznika między tak różnemi światami, jak świat specjalistów z jednej i pedagogów z drugiej strony.

Najogólniejszy układ dzieła prof. Handelsmana polega na formach, przejętych, o ile się zdaje, z Bernheima. Podaje bowiem nasza „Historyka” następujące zasadnicze rozdziały: 1. Zasadnicze pojęcia historii; 2. Heurystyka; 3. Krytyka i hermeneutyka (analiza); 4. Opracowanie (synteza); 5. Wykład; 6. Znaczenie metodologii¹. Znać jednak na powyższym układzie wpływ terminologii, której trzymają się Seignobos i Langlois², a to w sposobie traktowania niektórych zagadnień i w szeregu szczegółów.

W zasadniczych pojęciach historii, traktowanych (i słusznie) bardzo zwięźle, tłumaczy autor w skróceniu, co należy rozumieć przez historję w znaczeniu naukowem. Zgodnie z potocznem zapatrywaniem w nauce, widzi w niej autor ogólne dzieje człowieka,

¹ Bernheim, *Lehrbuch der historischen Methode und der Geschichtsphilosophie*. Lipsk, 1908, V i VI wyd.: 1. Begriff und Wesen der Geschichtswissenschaft; 2. Methodologie; 3. Quellenkunde (Heuristik); 4. Kritik; 5. Auffassung; 6. Darstellung.

² Według IV wyd., Paryż, 1897: 1. Wiadomości wstępne (heurystyka); 2. Czynności analityczne: a) Krytyka zewnętrzna czyli erudycyjna; b) Krytyka wewnętrzna; 3. Czynności syntetyczne i (jako ich poddział) wykład.

z pewnemi ograniczeniami. Określa bowiem jako przedmiot historii zjawisko historyczne, którego datę początkową stanowi moment pierwocin organizacji społeczności, dający się stwierdzić dokumentami. Punkt zaś końcowy tkwi w dobie dzisiejszej, w tem rozumieniu, że historia (jako nauka) w praktyce nie zajmuje się dziejami teraźniejszości, choć teoretycznie może je opracowywać¹. W tych granicach przedmiotem historii „jest człowiek rzeczywisty, żyjący i działający w społeczności, ze swemi cechami indywidualnemi i zbiorowemi“. Za najbardziej złożoną i najwyższą organizację uważa autor naród. Dlatego sądzi, że najogólniejszem zadaniem historii są dzieje narodu czy narodów, dzieje form obiektywnych i subiektywnych ich życia politycznego. Ze względu na doniosłość czynnika organizacyjnego czynnik mocarstwowy i stosunki między-mocarstwowe wysuwają się na czoło badań, z odrzuceniem jednak podziału na narody historyczne i niehistoryczne. W narodowości przytem widzi autor tylko odpowiednik subiektywny narodu (a nie jego surogat!). Na pojęcie narodu patrzy w wysokim stopniu ze stanowiska francuskiego (= państwo). Historia powszechna — to zestawienie historii narodowych, podzielonych chronologicznie i traktowanych równolegle.

Charakteryzując metodę historyczną, autor wyróżnia opisową, pragmatyczną i genetyczną, zatrzymując się dłużej nad stosunkiem historii do innych nauk i do sztuki, przyczem kładzie główny nacisk nie na różnice przedmiotu badania, lecz metody badania. Określając stosunek historii do sztuki, autor sam się nie wypowiada, ograniczając się do roli sprawozdawcy. Na podziały, a więc na granice okresów, epok i t. d. patrzy autor głównie ze stanowiska pedagogicznego, na całość zaś dziejów powszechnych pod tym względem spogląda ze stanowiska dziejów par excellence, dzieląc historję powszechną na starożytną i nowożytną, nie przyznając zatem historii średniowiecznej samodzielnego stanowiska pod względem naukowym.

Rozdział następny, poświęcony heurystyce, otwiera właściwą metodologję. Zwięźle traktuje autor określenie dokumentu, w ogól-

¹ Można by na tem miejscu wspomnieć o zapatrywaniach Augusta Cieszkowskiego. Zapatrywania te, obłuskane z pokrywy języka filozoficzno-teozoficznego, są bardzo interesujące. Według naszego bowiem filozofa, przedmiot historii stanowi nie tylko teraźniejszość, ale i przyszłość. Pogląd ten dałby się i dzisiaj zużytkować dla definicji przedmiotu historii w tem znaczeniu, że z dziedziny faktów przeszłości, te tylko zasługują na miano faktów historycznych, które mają znaczenie dla przyszłości, z których rozwija się przyszłość.

nem znaczeniu źródła, za wzorami francuskimi, i przechodzi odrazu do scharakteryzowania znaczenia bibliotek, zatrzymując się znacznie dłużej przy archiwach i ogólnej historycznej bibliografii. Heurystyka prof. Handelsmana śladem większości obcych metodologów kładzie nacisk na systematyczną znajomość katalogów, inwentarzy i repertoriów. Pominął natomiast autor tę stronę heurystyki, którą Droysen nazywa „Die Kunst der Historik“, w znaczeniu uzupełniania tego, co daje materiał źródłowy dostępny. Trafnie natomiast, praktycznie i wstrzeźliwie określa autor stosunek badaczy do kwestji ogromu materiału i płynącego stąd niebezpieczeństwa nieskończonych poszukiwań i zbierań: „brak (rękopiśmiennego) materiału nie dyskwalifikuje pracy samej. Natomiast nieznanomość źródeł drukowanych pozbawia studjum wartości, nawet jeżeli badacz odznacza się umiejętnością wnikania w zjawiska badane; braknie bowiem w takim razie dowodu sumiennosci, bez której poszukiwanie zawsze jest narażone na przypadkowość wyników osiągniętych“.

Krytyka i hermeneutyka zostały skreślone przedewszystkiem, jak może wolno sądzić, pod wpływem Bernheima, jakkolwiek autor niemiecki zamienia termin „hermeneutyka“ (wzorem Droysena) na „interpretacja źródła“, co zresztą wchodzi u niego już w ramy opracowania (= Auffassung), względnie ujęcia źródła i faktu. Niezależnie od tego znać również przytoczony już wpływ Seignobosa i Langlois, np. w rozczłonkowaniu pojęcia krytyki, w którym na czele widnieje krytyka pochodzenia, lub w operowaniu pojęciem hermeneutyki.

Krytyka erudycyjna czyli poprostu zewnętrzna krytyka źródła, odpowiada na pytania o pochodzeniu źródła, t. j. gdzie, kiedy i przez kogo dokument został napisany, oraz obejmuje krytykę jego charakteru, w co wchodzi kwestja autentyczności i interpolacyj, przedstawiona przez autora praktycznie na podstawie przykładów z fachowej literatury. W tem miejscu ważna jest również uwaga o stylu wogóle i stylu formularzowym, trwającym często stulecia, który należy oddzielić od istotnego tekstu.

W osobnym ustępie, zatytułowanym Analiza (t. zn. w rozumieniu autora właśnie hermeneutyka), opisuje autor czynności, związane z wyjaśnieniem historii przekazu źródłowego, a polegające na rozkładaniu źródła na jego części składowe, na świadectwa bezpośrednie i pochodne, a to w tym celu, by zdać sobie sprawę, w jakim stopniu dane źródło stanowi bezpośrednie czy pośrednie

świadczenie faktu. Tak pojęta i przeprowadzona analiza umożliwia wreszcie otrzymanie czystego, pierwotnego tekstu źródła, który może stać się podstawą publikacji, przede wszystkim w formie wydawnictwa, a także opracowania monograficznego.

* * *

Przez pojęcie czynności syntetycznej rozumie autor wogóle opracowanie, ponieważ nawet wraz z zewnętrznym uporządkowaniem materiału. Tutaj też dopiero w rozdziale, poświęconym syntezie czyli opracowaniu, zastanawia się nad metodami konstruowania formuł opisowych i trzema postaciami historycznego dowodu: indukcją (metodą progresywną), dedukcją (metodą regresywną) i analogią (metodą porównawczą).

Autor słusznie podkreśla, że syntetyczny rozdział metodyki nie może dawać takich ścisłych reguł postępowania, jak analiza; zresztą poglądy na czynności syntetyczne historyka bardziej są chwiejne od tamtych, łatwiej mogą ulegać dyskusji i różnym wątpliwościom.

Zgodę również należy wyrazić na rozróżnienie dwóch kategorii syntezy, mianowicie metody pracy i metody twórczości. Tej drugiej nie poddaje autor roztrząsaniu, charakteryzuje ją jednak jako podsumowywanie wysiłków ogólnego dorobku naukowego, czyto przez zbieranie zewnętrzne (erudycyjne) rezultatów pracy zbiorowej, czy też przez tworzenie systemów.

Trzeźwo patrzy autor na stosunek metody indukcyjnej (progresywnej) do dedukcyjnej (regresywnej czyli retrospektywnej). Obok nich wysuwa znaczenie metody porównawczej jako metody ogólnej. Jako metodę właściwie historyczną określa przede wszystkim metodę progresywną. Obok charakterystyki metod ogólnych, zastanawia się autor nad szeregiem metod szczególnych, a więc statystycznej (mierzenie rozległości zjawiska), geograficznej (zestawienie terytorjalne), przyczem dłużej zatrzymuje się nad kartografią. Osobno traktuje metody językoznawczo-geograficzną i heraldyczno-genealogiczną. Zagadnienie natomiast określania trwałości zjawiska należałoby raczej traktować obok metody statystycznej i geograficznej.

Na podkreślenie zasługuje parę uwag, poświęconych ogólnemu stosunkowi uczonego do opracowania materiału. A więc przede wszystkim kwestja zapamiętania materiału, przynajmniej do pew-

nej granicy. Przepis to niewątpliwie praktyczny, zależny zresztą od odpowiedniego uzdolnienia pisarza. Są bowiem i tacy, którzy nie zapamiętają zwięzku kilkunastu notatek. Teza Wojciechowskiego zalecająca opanowanie pamięciowe materiału, może być z korzyścią uzupełniona przez tezę Korzona tej treści, że bądźto podczas pisania, bądź po napisaniu gotowa już konstrukcja powinna być skontrolowana raz jeszcze na podstawie tekstów bez spuszczenia się na pamięć. Tej ostatniej tezie daje wyraz i nasz autor, gdy mowa o wykładzie przedmiotu.

Na zapamiętanie zasługuje bardzo trzeźwe spostrzeżenie na temat stosunku historyka do współczesnego mu życia publicznego: „Co się zaś tyczy zaciemniania sądu wpływami aktualnemi, to jednak t. zw. teoretyk czysty, nie biorący udziału w życiu publicznem, nie zmuszony do działania, nie ma sposobności rozejrzenia się dokładnego w charakterze swoich sądów i łatwiej może poddawać się sugestji swych uprzedzeń w uczciwem (dodajmy od siebie: całkiem naiwnem) przeświadczeniu, że jest od nich wolny“. Naturalnie, przestrzegając tej zasady, nie można przerzucać się na drugi kraniec. Może nie w tym stopniu, co zamknięty w gabinecie i nierozumiejący współczesnego życia teoretyk, jednak mylić się może i mąż stanu, oddający się równocześnie twórczości dziejopisarza. Niezbicie bowiem przenosi on walkę, którą toczył lub toczy, w obręb nauki, a w takim razie podpisaćby należało niecałkiem zresztą słuszną uwagę Korzona, że wśród wielkich polityków nie było wielkich historyków, a wśród wielkich historyków nie było wielkich polityków¹.

Jako najważniejszy jednak rys twórczości, naprawdę syntetyczny, notuje autor tak zwaną intuicję, zdolność zatem nie tyle samorzutnej, ile wybuchowej rekonstrukcji zjawisk przeszłości, często bezwiednej lub półświadomej, jednak w wyniku poprzedniej pracy umysłu.

Autor zaznacza, że intuicji nie można się nauczyć, można ją jednak rozwinąć i udoskonalić, co jest właśnie jednym z zadań metodologii. Punkt ten dotyka oczywiście stosunku nauki historycznej do sztuki; na ten temat wiele myślano i pisano. Jedni, przeważnie Francuzi, identyfikują historję w znaczeniu opracowania —

¹ Jednak Tucydides, Cezar, Tacyt, byli wielkimi historykami i mężami stanu, nie mówiąc o mniejszych postaciach. Z naszych historyków exempli gratia można przytoczyć Kadłubka, Janka z Czarnkowa, Długosza, Kromera, Heidensteina, a nawet Naruszewicza i Lelewela jako takich, którzy albo wybitnie sami działali publicznie, albo mieli bezpośredni wgląd w dokonywane się posunięcia i wydarzenia polityczne.

odtworzenia przeszłości, ze sztuką, inni, przeważnie Niemcy, zarówno Droysen jak zwłaszcza Bernheim, ograniczają rolę historii do stwierdzenia i odtworzenia faktów, z zaznaczeniem istniejących luk. Bernheim wprawdzie uznaje, że twórcza fantazja poetycka płynie z tego samego źródła, co twórcza fantazja historyka, jednak drogi tych form twórczości rozchodzą się dlatego, że zadaniem poety np. w stosunku do przeszłości jest danie wizji pełnego obrazu, gdy tymczasem obraz historyczny nigdy nie może ująć całości zjawiska. Prof. Handelsman zajmuje wobec tej kwestji stanowisko raczej referujące i pośrednie. Przelotnie jedynie dotyka jej jeszcze w rozdziale „O wykładzie“, gdzie mowa o konieczności i cechach skupienia twórczego. Jedno i drugie stanowi tajemnicę twórczości. Jasne zupełnie ujęcie cechuje ten końcowy rozdział „o wykładzie“. Autor rozróżnia formę opisową wykładu od artystycznej, zatrzymując się nadto nad kwestją ujawnienia w wykładzie postępowania naukowego.

Nietylko podpisany, ale wogóle niejeden zapewne z naszych historyków, przyjmie z uczuciem ulgi i wdzięczności informację, iż wśród świata francuskiego żyje wspomnienie, legenda o Renanie, który zazwyczaj posyłał do przeglądów naukowych swoje artykuły najpierw w niewielkich rozmiarach, ażeby w czasie korekt rozszerzać je i uzupełniać w ten sposób, iż za czwartym razem z ośmiu stroniec powstawała rozprawa paroarkuszowa. Jest to rekompensata za rozmaite przyjemności ze strony nietylko księgarzy i czasopism, ale i ciał naukowych, żądających często wykończania rękopisu ad jotam, i to w formie kaligraficznej. Swoją drogą, co wolno Renanowi i innym gwiazdom, tego nie wolno nam szaraczkom, tamci bowiem niebardzo się oglądali nietylko na przykazania techniczno-wydawnicze, ale wogóle na metodologję.

Być może, że powyższe streszczenie nie odda bogatej treści nowej metodologii, której główną zaletą jest układ praktyczny i strona pedagogiczna. Stanowić ona będzie ogromne ułatwienie pracy zarówno uczniów, jak kierowników ćwiczeń i seminarjów, dając szeregi źródłowych i literackich przykładów zagadnień metodologicznych, i to głównie w zakresie polskiej literatury. Podręcznik prof. Handelsmana jest naogół przystępniejszy nawet od Langlois i Seignobosa i z tego względu może oddać nietylko teoretyczną, ale i praktyczną przysługę najmłodszym adeptom „sztuki“.

Drugie wydanie tej książki stanie się na pewno aktualne w niedalekiej przyszłości, i dlatego można podnieść parę wątpliwości

i kwestję tego lub owego uzupełnienia — oczywiście w formie dyskusji, oddając sprawę pod sąd autora. (Książka prof. Handelsmana już od lat paru doczekała się drugiego wydania).

*

*

*

Wątpliwości i uzupełnienia. Jako przedmiot dyskusji wysuwają się naturalnie rozdziały o Zasadniczych pojęciach historii, w Syntezie i Wykładzie, zwłaszcza dwa pierwsze. W ustępie o treści i znaczeniu historii widziałbym chętnie ustalenie samego terminu nie tylko historyki, ale i historii. Pyszni się dawniej niektórzy niemieccy historycy, że oni tylko mają na oznaczenie terminu „historji” swój własny termin *Geschichte*. Była to oczywiście ignorancja, albowiem termin „dzieje”, znany słowiańskim kulturom, jest może jeszcze plastyczniejszy od *Geschichte*. Termin „dzieje” da się w każdym razie dokładniej określić, zarówno pod względem przedmiotu, jak metody, od obcego terminu „historji”.

O ile idzie o przedmiot historii, nastręczać może pewną wątpliwość określenie stosunku jej do kultur pierwotnych. Autor sam podkreśla, że te kultury stanowią przedmiot dyscyplin osobnych, prehistorji i etnologji, które wchodzą w zakres historii z tego tytułu, że przedstawiają dzieje człowieka, lecz które posiadają poza tem własne swoje zadania samodzielne. Do tej uwagi autora można by dodać jeszcze jedną, a to dlatego, że możliwie ściśle określenie linii granicznej pomiędzy dwiema grupami nauk może rzucić jaśniejsze światło na przedmiot nauki historycznej. Jeżeli zamiast terminu prehistorja i etnologja użyję zbliżonego terminu archeologja i etnologja, przekonam się z łatwością, że nie tylko kultury pierwotne, i nie tylko kultury przedhistoryczne mają swoją archeologję i etnologję, ale posiadają je również wszystkie epoki historyczne, nie wyłączając dzisiejszej i przyszłej. Nauka historyczna różni się zatem od prehistorji, archeologji i etnologji nie tylko przez to, że zajmuje się człowiekiem, stojącym na wyższym stopniu rozwoju, ale i przez to, że opiera się na właściwym sobie materiale (źródle historycznym), który daje się traktować przedewszystkiem drogą historycznych metod ¹.

¹ Mojem zdaniem, kwestja ta została trafnie ujęta w znanym artykule Ch. i V. Mortetów w *Grande Encyclopédie*: *L'histoire ne commence réellement que lorsque les hommes parvenus à un état déjà avancé de réflexion, fixèrent par écrit, sur la pierre, le métal, le bois, puis sur la parchemin et le papyrus, les premiers faits qu'ils jugèrent assez importants pour en conserver le souvenir.*

Historja zatem w znaczeniu ścisłym nie zajmuje się każdym człowiekiem i każdym zbiorowiskiem ludzkim. Historja nieyczyta nic historycznego z pozostałości przyrodniczych i bezimiennomaterialnych po człowieku. Każda kultura materialna i wszystkie zabytki materialne, niewynikłe ze świadomości znaczenia przeszłości dla przyszłości mogą mieć dla nauki historycznej znaczenie jedynie pomocnicze, nigdy bezpośrednie. W danem, błędnem zresztą, rozróżnianiu przez szereg pisarzy ludów historycznych i niehistorycznych tkwiła przecież choć w formie nieświadomej ta doza słuszności, że ludy i wogóle kultury, nie mające zmysłu historycznego, same przez się czynnymi twórcami historii nie są, chyba w postaci biernej, jako podstawa czy środek energii i ekspansji ludów wyższych, historycznych. Rozległość materiału sprawia, że, mówiąc za autorem, „zagadnienia naczelne“ (stające się „symbolami epoki“) zbiorowisk najwyżej stojących wśród ludzkości, stanowią właściwy przedmiot historii.

Nie podpiszemy przeto w konsekwencji i tego zapatrywania autora, według którego historia — w zasadzie dziś bardziej niż kiedykolwiek — nakłada na historyka obowiązek wszechwiedzy, winna być „polihistorją“ zgodnie ze swą nazwą pierwotną. Powyższa zasada nie wydaje się nam równoznaczną z poglądem całkiem słusznym, że historyk może i winien opanować pewien obszerniejszy dział zagadnień i winien nadto rozumieć teoretycznie i praktycznie życie współczesne.

Zwężając w tym kierunku granice przedmiotu historii, pragnęlibyśmy rozszerzyć je na innej drodze.

Według autora „najogólniejszem zadaniem historii są dzieje narodu czy narodów, dzieje form subiektywnych i obiektywnych ich życia politycznego“. Stąd też wypływa cytowane w pierwszej części niniejszych uwag ściśle praktyczne, a może nawet mechaniczne pojmowanie powszechnych dziejów, jako zestawienia dziejów narodowych.

Takiemu zapatrywaniu można przeciwstawić inne. Historia nauki historycznej stwierdza, podobnie zresztą jak historia innych nauk, że poglądy na przedmiot i zadania nauki są bardzo zmienne i względne, zależnie od stanu nauki i przedmiotu zainteresowań, których źródło tkwi w życiu praktycznem, a nie w gabinecie nauki. Nie można oczywiście przeczyć, że w literaturze historycznej, jak i w życiu XIX w., pojęcie narodu = państwa wysunęło się na plan pierwszy. Ale i dzisiaj pojęcie przedmiotu historii i jej zadań nie

da się zamknąć w granicach, chociażby najrozleglejszych, dziejów narodowych. Przedewszystkiem dzisiejsza ludzkość, żyjąc głównie życiem narодно-państwowem, żyje również poza narodem-państwem, czy obok niego. Rozwijają się przecież ciągle potężne organizacje międzynarodowe, bądź liczące się rzeczywiście z zasadą narodową, bądź też toczące z nią walkę. Organizacje kościołów, z kościołem katolickim na czele, stanowią ciągle i stanowić będą przedmiot historii, równie dobrze jak naród. Wobec przeżyć kościoła i kościołów błędną często zagadnieniem narodowe i państwowe, nie mówiąc o tem, że dzieje starożytności nawet klasycznej, trudno sprowadzić do pojęcia dziejów narodu. Kościół zresztą, zarówno jak państwo, ma tendencję do wyrażania najrozmaitszych prądów i wspólności, tkwiących w społeczeństwie.

Ponadto krzyżują się zjawiska kościelne i narodowe. Ten sam zabytek architektury, rzeźby lub malarstwa średniowiecznego można rozpatrywać ze stanowiska sztuki narodowej, ale przede-wszystkiem musi się widzieć w nim dzieło ducha religijnego i kościelnego. Wogóle zresztą nie tylko sztuka, ale i cała cywilizacja sama przez się tworzy oś, dookoła której, jako pojęcia ogólnego, obracają się dzieje powszechne ¹.

I wielkie wypadki polityczne nie dadzą się bardzo często wtłoczyć w formułę dziejów narodowych np. emigracja żywołu hugonockiego do Niemiec, lub wpływ emigracji francuskiej antyrewo-lucyjnej na akcję przeciw Napoleonowi i... przeciw Francji. Podobnych przykładów można zebrać więcej.

Zadanie przeto dziejów powszechnych nie może polegać jedynie na zestawieniu dziejów narodowych, raczej takie pojmowanie i układanie dziejów powszechnych stanowi zjawisko bardzo przejściowe. Naród—państwo zajmować zawsze będzie stanowisko bardzo wybitne, jako sposób życia dziejów powszechnych, jednak nie może rościć pretensji do wyłączności.

Podkreślona wątpliwość nie daje się naturalnie na tem miejscu uzasadnić, tem bardziej, że rozdział o Zasadniczych pojęciach historii ma charakter koniecznego ze względów pedagogicznych, jednak jedynie krótkiego, dogmatycznego wstępu do właściwej historii.

¹ Por. Bernheim, Lehrbuch der hist. Methode, str. 50. I on sądzi, że niema historii powszechnej niemniej przeto stanowi ona ideał naukowy.

Terminu tego używa autor w znaczeniu ogólnej teorii historii. Historia samego terminu, którego treść nie jest jeszcze w nauce polskiej i obcej ustalona, jest dosyć interesująca. Terminu samego użył pierwszy Voss, znany holenderski uczony w rozprawie p. t. „*Ars historica sive de historiae et historices natura historiaeque scribendae commentatio*“ (Lugduni Batavorum, 1623), na co zwrócił uwagę Bernheim. Lelewel, zdaje się, nie znał rozprawy Vossa. Z uczonych, cytowanych przez Lelewela, wspominają o rozprawie Vossa, jednak całkiem incydentalnie, Gatterer, Fabri. Sam Voss dość ściśle odróżniał historykę od historii.

Niesłusznie zatem przypisuje Korzon Lelewelowi autorstwo tego terminu; nie wiemy zresztą, skąd bezpośrednio przejął go Lelewel. W naszej literaturze nadał on temu pojęciu niewątpliwie prawo obywatelstwa. Ustaleniem terminu zajmował się Lelewel parokrotnie. W roku 1815 „Historyka“ była krótko „sztuką, jak ma być historia traktowana“; a należało do niej wyłożenie środków do należytego historii objęcia, na co trzy składały się rozdziały: krytyka, t. j. badanie źródeł i dochodzenie faktu, etjologika, t. j. poznawanie przyczyn i skutków, wreszcie historjografia, t. j. sposób opowiadania i opisywania wydarzeń¹. Modyfikuje później Lelewel to pierwotne zapatrywanie, ograniczając treść historyki. W r. 1826 tak o tem pisze: „nie mówię sztuka historyczna, tylko wprost „historyka“, dla uniknienia zamętu... gdy wnet o zastosowaniu sztuki do historii mówić wypadnie“. „Historykę“ traktował wtedy łącznie ze statystyką i identyfikował z *ars historica*. Etjologja wówczas się zgubiła, a historia obejmowała historjografię w pierwotnem ujęciu i naukę badań, z wyłączeniem, mimo pewne zastrzeżenia, metodologii, w której autor widział ostatecznie zbieranie uwag, ułatwiających tak nabywanie historii, jak udzielanie jej nieumiejącemu². W późniejszych latach patrzył sam Lelewel bardzo krytycznie na

¹ Lelewel, Historyka (według pierwszego wydania z r. 1815, Wilno, Żółkowski, str. 6 i 7). Pierwsze egzemplarze „Historyki“ miał Lelewel w ręku już 2 października (według Listów do Rodzeństwa, Poznań, 1867, t. I, str. 214).

Błędne jest również zapatrywanie, że „Historyka“ jako taka była przedmiotem pierwszego jego wykładu w maju r. 1815. Według tych samych Listów (t. I, str. 196, z dnia 4 maja 1815) było nią „pismo o łatwym i pożytecznym uczeniu historii“; stało się to jednak całkiem przypadkowo; właściwie bowiem Lelewel zamierzał rozpocząć od właściwego tematu kursu. Przytoczone przez Bielińskiego ogłoszenie pierwszego wykładu (Historja Uniw. Wileńskiego, t. II, str. 440), gdzie mowa o drukowanym dziełku, p. t. Historyka, może się zatem odnosić do zimowego semestru r. 1815—1816. Sposzczenie to czynię zresztą w formie przypuszczenia.

² Lelewel, O historii, jej rozgałęzieniu i naukach związek z nią mających. Warszawa, 1826, str. 36—7.

swoją „Historykę“. Niemniej przeto spełniła ona swe zadanie udostępniając w formie samodzielnego opracowania teoretyczne prace metodologów obcych, głównie niemieckich.

Dzisiaj nie można zresztą dziejów metodologii polskiej zaczynać od Lelewela, skoro go poprzedzają: pierwszy, niewątpliwie Długosz, potem przypomniany niedawno przez prof. Grabowskiego uczeń Robertellego, Stanisław Hłowski w XVI w., w XVII w. Starowski (ten znał Robertellego, ale opierał się głównie na Lipsiusie), a w XVIII w. do pewnego stopnia Naruszewicz.

Po Lelewelu całość zagadnień „historyki“ w pojęciu niniejszego podręcznika, jednak tylko w formie dłuższych artykułów w Encyklopedji, opracował Korzon, ograniczający znaczenie samego terminu do zbioru „spostrzeżeń i wiadomości niezbędnych albo użytecznych dla fachowego historyka do pracy jego twórczej“, a więc dla ucznia i dla czytelnika lub miłośnika dzieł historycznych nieprzydatną.

Podnieśliśmy już, że w ogólnym układzie poszedł autor raczej za Bernheimem, niż za Langlois i Seignobosem, którzy metodę historyczną rozpatrują głównie ze stanowiska analizy i syntezy. Źródła tej francuskiej tradycji traktowania metodologii można cofnąć do Bodina, który główny nacisk kładzie na analizę („Methodus ad facilem historiam cognitionem“. Wyd. z r. 1627, str. 17). Ogólne określenie metod, a więc analizy i syntezy, jak z drugiej strony indukcji, dedukcji i analogji — byłoby może na miejscu zaraz po „zasadniczych pojęciach historii“ a to dlatego, że każda właściwie czynność badawcza historyka, bądź heurystyczna, bądź krytyczno-hermeneutyczna, bądź twórcza i wykładowa, opiera się na wszystkich tych metodach razem wziętych. Tyczy to przede wszystkim porządku rozdziałów samejże heurystyki. Zwróćmy uwagę na poszukiwanie i odkrywanie nowych materiałów. Wymaga ono ściśle naukowych metod postępowania. Niejednokrotnie zdarza się, że uczeni, mając do czynienia z dobrze urządzonymi bibliotekami i archiwami, a w nich z dobrymi katalogami i repertorjami, nie umieją trafić do materiałów, których szukają. Albo też najlepsze centralne archiwa nie dają tych materiałów, które są potrzebne. Wtedy trzeba sięgać nietylko do repertoriów, ale do znawstwa zwyczajów i techniki administracyjnej czasów, które się bada, a niejedno odkrycie, na małą skalę, może być nagrodą badacza. Tego rodzaju poszukiwania — to prawdziwa praca naukowa i twórcza. Pole dla niej i dzisiaj wielkie, nawet w zakresie wieków średnich,

cóż dopiero mówić o czasach nowożytnych i o tych rozmaitych archiwach, które może nigdy nie doczekają się repertoriów drukowanych. Nadto kilka przykładów wysiłków heurystycznych z innej dziedziny poszukiwań, chociażby nawet wyjątków z czasów starożytnych, jak Champoliona, Schliemanna, a z ostatnich czasów Hroznego — bardzoby się przydało.

A więc, chociaż heurystyki najłatwiej nauczyć, i do niej potrzeba talentu.

Podnieśliśmy już, że na określenie źródła używa autor terminu francuskiego — dokument; nie wiem, czy słusznie. W użyciu potocznym naszego języka — zarówno jak w utartej (za Niemcami) terminologii naukowej — pojęciu dokumentu towarzyszy pojęcie czegoś prawnego — stwierdzającego. W tym znaczeniu „Słownik” Karłowicza i Towarzyszy pisze: „dokument, wszelki przedmiot stwierdzający prawdziwość czegoś; pismo stwierdzające coś, skrypt, dowód”... Wyraz „źródło” jest tak zrozumiały, że chyba lepiej go się trzymać, a w dokumentach widzieć podkategorję źródeł.

Ustęp, poświęcony krytyce erudycyjnej, oparty został na przykładach przeważnie średniowiecznych, których wyboru dokonano z prawdziwem znawstwem stosunku metody do stanu badań w literaturze. Niektóre z rzadkich przykładów kwestyj erudycyjnych nowożytnych możnaby zakwestjonować, *exempli gratia*: ukaz celny Aleksandra, ale na tym punkcie autor łatwo może nas pobić¹.

Wracając do wybranych metodologicznych przykładów z badań średniowiecznych, zwłaszcza historjograficznych, zauważyć można, że przecie są one naogół śliskie i niepewne i raczej mogą nauczyć budowania hipotez, a nawet przypuszczeń, niż ustalania pewników. Może byłoby właściwsze wybrać takie przykłady, które skądinąd czy *ex post* zostały potwierdzone, a zatem gdzie heurystyka zatwierdziła wyniki krytyki erudycyjnej, jak to się stało np.

¹ W ustępie o krytyce pochodzenia, str. 10, autor podnosi, że rosyjska historjografia uważa ten ukaz z 31 grudnia 1810 za odpowiedź na dekret Napoleona o wcieleniu Oldenburga do Francji, który nosi datę 13 grudnia. Proste zestawienie dat pozwala na taką kombinację, ale autor podkreśla, że dekret Napoleona przywieziono do Petersburga dopiero w styczniu, a zatem, choć chronologicznie wcześniejszy, nie może być z nim pragmatycznie związany. Ze stanowiska, oczywiście, nie praktyczno-fachowego, i nie ze stanowiska znawstwa kwestji, lecz z punktu widzenia ściśle teoretycznego można zauważyć, że ukaz Aleksandra mógł jednak być remonstracją wobec cytowanego dekretu Napoleona. Autor winien był dodać do ilustracji zastrzeżenie na podstawie kancelaryjnych dziejów dekretu Napoleona, że należy wykluczyć możliwość przypuszczenia, iżby przed formalnem opublikowaniem dekretu Napoleona dyplomacja rosyjska w Paryżu cośkolwiek o nim i o przygotowaniach do jego wydania mogła wiedzieć i o zamierzonym kroku Napoleona dość rychło donieść do Petersburga. Jeżeli jednak tak się stało, to Aleksander mógł remonstrować dnia 31 grudnia.

z odkryciem *Annales Altahenses* przez W. Giesebrechta właśnie drogą krytyki erudycyjnej. Ustęp o dokumentach został skreślony na podstawie kryterijų głównie wewnętrznych, z wyjątkiem pisma. Nie uwypuklono natomiast plastycznie i dowodowo znaczenia badań dokumentu ze stanowiska historii kancelarii, a zwłaszcza najtroskliwszego zbadania wszystkich cech zewnętrznych, zawartych wogóle poza tekstem na wewnętrznej i zewnętrznej stronie dokumentów, tak często pomijanych lub nieopracowanych należycie przez wydawców. Dużo zwłaszcza średnowiecznych, ale i nieśrednowiecznych dyplomatów prosi się poprostu o ilustracje, tak ważne dla genezy i historii dyplomatów średnowiecznych w czasach nowożytnych, rzucające tyle światła na tajniki kancelarii, ekspedytu i poczty.

Powracamy do zasadniczego określenia krytyki wewnętrznej czyli hermeneutycznej — jako określenia wartości świadectwa źródłowego dla ustalenia faktu na jego podstawie; byłoby tu może wskazane jeszcze jedno istotne uzupełnienie, mianowicie podział źródeł na bezpośrednie lub pośrednie w znaczeniu ściśle wewnętrznej interpretacji. Idzie o odpowiedź na pytanie, jaki jest stosunek danego dyplomatu, zawierającego nadanie wsi, a) do historii prawa; b) do historii gospodarczej; c) do historii politycznej; nie mówiąc już o jego znaczeniu dla historii nauk pomocniczych, języka i literatury i t. d. Jak zatem należy uszeregować te rozmaite stopniowania charakteru tego samego źródła? Jest tu wskazana ostrożność jak najdalej idąca, zarówno przy zużytkowywaniu fałsyfikatów, jak i oryginałów, co zresztą dla samej tej kwestji ma znaczenie podrzędne. Badacze, często nawet bardzo doświadczeni, nie oceniając należycie roli tekstu, formuły, genezy i t. d. średnowiecznego dyplomatu, budują na nim daleko idące i wiszące w powietrzu poglądy o stosunkach społecznych, gospodarczych a nawet politycznych.

* * *

Ustęp, poświęcony syntezie, cechuje ta sama naogół jasna trzeźwość, co ustępy poprzednie. Nie wiem tylko, czy umiejscowienie faktu w czasie i przestrzeni, a więc chronologiczne i topiczne, na które z naciskiem zwracał uwagę już Starowolski śladem swych mistrzów, nie należy raczej do analizy faktu, niż do syntezy.

Całkowicie słusznie ściśle historyczną metodę pracy nazywa autor metodę indukcyjną, czyli progresywną. Słusznie również na-

zywa ją autor już właściwie historyczną w zestawieniu z metodą regresywną czyli retrospektywną, opartą na dedukcji. Metoda regresywna niewątpliwie zdziałała w nauce wiele dobrego, przyniosła jednak również wiele złego. Przytroczenie odpowiednich konkretnych przykładów, dodatnich i ujemnych, byłoby bardzo pożądane.

Dodaćby można, że metoda wstecznego wnioskowania bardziej odpowiada dochodzeniu ogólnych rysów t. zw. dziejów kultury, mniej natomiast, a nawet w niewielkiej tylko mierze może być stosowana w zakresie historii politycznej. Naogół metoda ta grozi zawsze autorowi dopuszczaniem się grzechu spekulacji rozumowych, niebezpiecznych w traktowaniu historycznym. Zmusza ona poniekąd autora do całkowitego wykładu swego sposobu dowodzenia. „Uzasadnianie (bowiem) winno w miarę możliwości obejmować części możliwie najmniejsze wykładu“ (str. 233). Rezultaty dochodzenia, zwłaszcza gdy autor posługuje się metodą wsteczną, powinny być podane możliwie na wstępie danego ustępu, a nie na końcu. Inaczej łatwo wpaść w rezonowanie, właściwe dawniejszej niemieckiej literaturze, i potępiane przez samychże trzeźwiejszych Niemców¹.

Na tym też tylko gruncie mógł się urodzić osławiony w swoim czasie i potępiony u nas przez Finkla i Korzona absurd, owa próba przedstawienia dziejów Niemiec od Wilhelma II wstecz do czasów Ariowista w ten sposób, by gloria władców ówczesnych Niemiec z Wilhelmmi na czele stanowiła rozdział pierwszy historii dla szkół, po których szłyby rozdziały zstępujące kolejno coraz głębiej w przeszłość.

Rzetelna wartość metody wstecznej występuje tam tylko, gdzie jej konkluzje mają środki kontroli i punkty zaczepienia w źródłach, dających się traktować metodą progresywną, w mniejszej już mierze metodą porównawczą.

Uwagi, poczynione z powodu metody wstecznej, można do pewnego stopnia zastosować także i do metody porównawczej. Można się nią posługiwać w formie bardzo ograniczonej, o ile idzie o fakty bezwzględnie ustalone w drodze metody progresywnej. Porównania, oparte na zewnętrznych, choćby do złudzenia podobnych rysach i cechach zjawisk, mogą pod względem rzeczowym w wysokim stopniu mylić. Np. już Skarga zwracał uwagę, że urządzenia ustrojowych weneckich, w niektórych zasadniczych wypadkach, nie można porównywać z polskimi, mimo całe zewnętrzne

¹ R ü c h s, Entwurf einer Propädeutik des historischen Studiums. Berlin, 1811, str. 257, przepisuje związek wykładu.

podobieństwo, albo zasady i zjawiska elekcyjności w Niemczech nie można zestawiać z naszą elekcją.

Ogólnie konstrukcyjna teza o możliwości traktowania całości dziejów powszechnych na zasadzie metody porównawczej — należy ciągle do hipotez, oczekujących dopiero naukowej realizacji. I tutaj byłaby bardzo na miejscu przestroga stanowcza, nie tylko teoretyczna, ale i na podstawie przykładów oparta, z obcych na przykład Lamprechta; znalazłyby się zresztą takie przykłady i w naszej literaturze.

Charakterystyka metod szczegółowych wypadłaby pełniej, gdyby autor podkreślił metodyczne cechy rozmaitych najważniejszych gałęzi nauk historycznych. Historia polityczna ma także swą metodę, najbardziej naturalnie skomplikowaną. Kwestja ta łączy się z pojmowaniem formuły odtwarzania przeszłości, w której autor przedstawia ideał historyka jako widza współczesnych czasów, posiadającego ich psychikę. Autor wprawdzie uzupełnia tę formułę zapomocą podkreślenia potrzeby wżycia się w czasy. Zdaje się jednak, że oprócz zdolności patrzenia w przeszłość i odpowiedniej wyobraźni trzeba jeszcze czegoś. Najgenialniejszy artysta, odtwarzający plastycznie postać wielkiego czy małego działacza przeszłości, choć widzi go dobrze, widzi tylko jego zewnętrzną postać, jego ruchy, ostatecznie fakty. Historyk oprócz uplastycznienia przeszłości, musi odtworzyć motywy i sprężyny działania, a tutaj „oko“, najbardziej wyrobione historycznie i artystycznie nie wystarcza. W odtwarzaniu bowiem przeszłości historyk nie może być tylko artystycznym fotografem, czy „artystycznym autentycznym“ dziennikarzem, musi być na zmianę „mężem stanu“, „bojownikiem“, „apostolem religijnym“, lub znowu „szaraczkiem“, t. j. pionkiem, masą, stanowiącą przedmiot działań i zabiegów tamtych. Historyk musi być psychologiem — artystą. O formułę tej kwestji dość trudno, niech zresztą dadzą ją metodolodzy.

W „Wykładzie“ uderzają uwagę czytelnika, oprócz przytoczonych już rysów, nadzwyczaj trafne spostrzeżenia o zadaniach pracy monograficznej. A więc naprzód wyrażone i podkreślone uznanie dla negatywnych rezultatów badania, które powinny być ujawniane i publikowane tak samo, jak wyniki pozytywne. W tym kierunku istnieje u nas prawdziwa choroba. Nawet w seminarjach zdarzają się wypadki, wcale nierzadkie, że „średniowiecznicy“ żądają przede wszystkim opracowywania kwestyj, nie traktowanych w literaturze; „nowożytnicy“ znowu zdradzają szczególne upodobanie do

materiałów archiwalnych i zgóry proszą o takie, które rzucają nowe światło na daną sprawę. Przeciw takiemu stanowi rzeczy jest wskazana reakcja, której objaw wolno widzieć w powyższym metodologicznym zastrzeżeniu.

Podpisujemy również z przekonania uwagi o tak zwanej popularyzacji. „Synteza popularna musi być skonstruowana z taką samą ścisłością, pod odpowiedzialnością naukową, jak synteza ściśle fachowa“. Zdaje mi się jednak, że ostrze tej uwagi zwraca się nie tylko przeciw popularyzatorom zawodowym, którzy bądź robią rzecz powierzchownie i urywkowo, bądź schlebiają smakowi i prądom opinii inteligentnej ulicy, bądź gonią za „firmami“ i te wulgaryzują. Ostrze to zwraca się również przeciw zbyt lekkim poglądom na istotę samejże syntezy, jako czynności umysłowego bilansu w sensie powierzchownej, stosowanej praktycznie matematyki w zakresie czterech działań.

Samo „podsumowywanie“ (a tego terminu, niezupełnie szczęśliwego, używa autor dla określenia zarówno zbierania zewnętrznego wysiłków pracy uczonych, jak dla tworzenia systemów), nie wystarcza, a to primo z powodu luk w szeregach zjawisk, ustalonych i zbadanych na podstawie monografji, secundo z powodu jeszcze ważniejszego, iż rozmaitych tematów dotyczące monografje, chociażby doby ostatniej, napisane są często z diametralnie przeciwnych stanowisk. Opracowanie zatem, jeżeli nie chce być najzwyklejszem repertorium, zasadniczo nie różnem od repertorium bibliotecznego lub archiwalnego musi się zawsze opierać na twórczo naukowej i syntetycznej myśli pisarza, wyrównywającego sprzeczności, a raczej spajającego je w dzieło własne.

Konieczna mniejsza lub większa doza zarówno intuicji twórczej, jak twórczości w sztuce odtwarzania decyduje o tem, że o syntezie, nawet typu zestawiania rezultatów, niema mowy, o ile cała praca nie opiera się na talencie, pokrewnym artyzmowi. Przeprowadzanie syntezy zgóry, w drodze niejako utylitarno- i organizacyjno-naukowej, zwykle skazane jest na niepowodzenie.

W dość ścisłym związku z kwestją syntezy pozostaje wreszcie kwestja wykładu i wogóle formy i stylu, w które odziewa autor swe wywody. Wyrażenie „odziewa“, użyte przeze mnie jest zresztą sztuczne i nie odpowiada myśli, którą chcę wyrazić. Czytelnik, zwłaszcza młody, czytając rzecz o wykładzie, powinien przyswoić sobie zasadę, sformułowaną przez Buffona, reprezentanta nauk przyrodniczych, i to właśnie głównie opisowych, że człowiek-uczony

wyraża się nietylko w analizie i syntezie opisywanych zjawisk, ale przede wszystkim w stylu. „Człowiek to styl“ — czy będzie nim sam Buffon, czy Kartezjusz, czy tem bardziej historyk. Historia w dziale syntetycznym jest *sui generis* sztuką i potrzebuje wykładu przede wszystkim artystycznego. O ile go dać nie można, dać mu należy styl własny, a to w tym celu, by myśl i wywód czy odtworzenie zjawiska prezentowały się oczom i mózgowi czytelnika w formie jasnej, zrozumiałej i poprawnej.

Kwestja stylu w szerokiem tego terminu znaczeniu jest podstawową w rozpatrywaniu „Wykładu“.

RYS NAUKOWEJ DZIAŁALNOŚCI JOACHIMA LELEWELA

RYS NAUKOWEJ DZIAŁALNOŚCI JOACHIMA LELEWELA ¹

Lelewel jako krytyk źródeł historycznych. — Prace nad numizmatyką i geografją. — „Dzieje powszechne bibliotek“. — Poglądy na dzieje Polski i ich związek z dziejami powszechnymi. — Badacz Słowiańszczyzny. — Lelewelowski podział dziejów Polski na okresy. — Rola ludu. — Lelewel jako popularyzator dziejów narodu.

Spółeczeństwo polskie po utracie bytu politycznego zdobywa się na gorączkową prawie działalność na polu oświaty. Wytworem tej pracy jest w pierwszym rzędzie rozkwit poezji w bieżącym stuleciu. Z nauk na pierwsze miejsce wynurza się historia, licząca obok poezji najwięcej wielbicieli. W poezji świeci genjusz Mickiewicza, historję wyniósł na swoich barkach genjusz Lelewela. Już przed Lelewelęm społeczeństwo polskie zwróciło się z ciekawością i pewnem zaniepokojeniem ku własnej przeszłości; zaczęto w niej szukać przyczyn upadku, i przeszłość opromieniona aureolą swobody i niepodległości stała się święta dla potomków, niezależności pozbawionych. Jeszcze u schyłku XVIII w. pojawiają się próby ujęcia przeszłości w pewne ramy. Adam Naruszewicz zdobywa się na przedstawienie epoki piastowskiej, uczniowie jego starają się prace dokonane rozszerzyć i pogłębić. Pojawiają się mecenas historyi, którzy z całym pietyzmem dla przeszłości narodu poświęcają swe majątki na zbiory materiałów historycznych. Na polu tem jaśnieją imiona Czartoryskiego, Ossolińskiego, Działyńskiego, Raczyńskiego, Tyszkiewicza i wielu innych. Powstanie wyższych zakładów naukowych: Uniwersytetu wileńskiego, Liceum krzemienieckiego, Uniwersytetu warszawskiego — sprzyjało temu ruchowi. Stan jednak historjografji polskiej, pomimo tych usiłowań, był na

¹ Drukowany w krakowskiej „Krytyce“ w r. 1896 pod pseudonimem Kazimierza Brzozy. Wraz z śp. Wacławem Sobieskim jako słuchacze Uniwersytetu Jag. organizowaliśmy wówczas obchód 35-letniej rocznicy zgonu J. Lelewela, by przy tej sposobności zaznaczyć swoje stanowisko z powodu odsłonięcia tablicy J. Szujskiego w Uniwersytecie. Ten artykuł odzwierciedla więc ówczesne nastroje i przekonania tych szeregów młodzieży, do której należeliśmy ze śp. Sobieskim.

der opłakany. Przeszłość leżała w gruzach — gruzy były jeszcze świeże — a nie było ludzi, którzyby z tych gruzów drogą umiejętnego badania byli w stanie odbudować gmach przeszłości, wykryć jego fundamenty i zasady budowy.

Pierwszy na wielką skalę rekonstruktor przeszłości zjawia się w osobie Lelewela. Wpływy domowe i uniwersyteckie, w połączeniu z wrodzonymi upodobaniami, składają się na wytworzenie Lelewela-historyka. Niesłychana pracowitość, będąca może w związku z niemieckim pochodzeniem rodziny Lelewelów, pozwoliła mu w bardzo młodym wieku zająć wybitne miejsce w świecie naukowym polskim. Jako dwudziestoletni młodzieniec wydaje on pierwsze swe prace w historjografii polskiej, które to młodzieńcze próby ukazują go nam jako człowieka dojrzałego intelektualnie i zdolnego krytyka źródeł. Polemika z głośnym wówczas badaczem Schlözerem, próby krytyki najstarszych źródeł do dziejów Polski z XII i XIII w. czynią głośnem imię Lelewela, naówczas jeszcze słuchacza Uniwersytetu wileńskiego. Odtąd działalność jego płynie, rzecz można, dwojakiem korytem: 1) na katedrze, w Uniwersytecie wileńskim i warszawskim, 2) w gabinecie. Działalność uniwersytecka miała ten zbawienny wpływ na Lelewela, że zmuszała go do zgłębienia wielu przedmiotów, które w dalszych badaniach okazało się mu bardzo pożyteczne. Trudności, z którymi miał do czynienia jako profesor, były niesłychane: nie było biblioteki zasobnej, nie było odpowiednich dzieł w języku polskim; francuskim lub niemieckim rzadko który ze słuchaczy władał. Lelewel był zmuszony naprzód kurs w całości przygotowywać, starać się albo o jego wydrukowanie, albo też odpisanie przez słuchaczy. Powodzenie u młodzieży miał nadzwyczajne. Nic dziwnego, młody profesor, o łatwej wymowie nie mógł iść w porównanie np. z poprzednikiem swoim Husarzewskim, starcem, którego wykład był tylko streszczeniem dzieł zagranicznych pisarzy. W Lelewelu widziano człowieka prawdziwie uczonego, mającego już wówczas za sobą znaczny zapas wydanych prac naukowych, z których każda poruszała jakąś nową kwestję, nieznana zgoła dotychczas. Dość przeczytać parę jego wstępnych wykładów, by przekonać się, jak umiał zachęcać młodzież do badań nad historją, jak uprzytomniał uczniom, że historja — to nauka nie martwa, ale mająca ścisły związek z życiem, jak z drugiej strony przestrzegał, że nie jest ona zabawką, gwoździem przyjemnemu przepędzaniu czasu, ale ścisłą umiejętnością, do której opanowania należy posiadać szerokie a gruntowne przy-

gotowanie. Wpływ jego na młodzież był znaczny — obracał się jednak przedewszystkiem w ramach wykładu.

Jako uczony, Lelewel pierwszy z polskich pisarzy postawił sobie pytanie, jaka jest wartość świadectw historycznych i w jaki sposób na podstawie tych świadectw pisać dzieje. Zapatrywania swoje w tym względzie wyłożył przedewszystkiem w pracy „Nauki dające poznawać źródła historyczne“. Książka ta jest jakby zarysem metodologii historycznej. Znajdujemy w niej naogół trafny podział nauk pomocniczych do historii, jako to archeologję, z jej podziałami: hieroglifiką, epigrafiką i numizmatyką oraz dyplomatykę z fragistyką i heraldyką. Najbardziej cenna jest owa rozprawa w punkcie, w którym Lelewel traktuje o krytyce pism historycznych. Ustęp ten mógłby dziś jeszcze z korzyścią być czytany. Jest on dowodem, że mądrość historjograficzna nietylko z Niemiec do nas przyszła, ale żeśmy i sami na wyrabianie praw metodyki historycznej zdobywać się mogli. Lelewel powstaje tu przedewszystkiem na tych, którzy historii używają dla udowodniania swoich *à priori* wysnutych poglądów: „Tym sposobem uprzednio urojony widok, tworzy hipotezy, staje się pobudką do materialnych wykładów, do dowcipnych domysłów, do poruszenia sprężyn niewłaściwych“. Znamienne jest zdanie, że historia powinna się zajmować nietylko śledzeniem rozwoju wielkich wydarzeń, ale „wszystkich szczegółów stosunków w rodzie ludzkim“. Przy ocenianiu dzieł historycznych, każe Lelewel zwracać uwagę nietylko na samego pisarza, ale na całokształt stosunków społecznych, pod których wpływem dany pisarz tworzył, szczególnie zaś na współczesny stan historjografji, od którego nikt niezależnym być nie może.

Zasady, powyżej przytoczone, skłoniły naszego badacza przy rozpatrywaniu dziejów Polski do zdawania sobie sprawy z wartości źródeł, użytych w dziełach, przez dawniejszych dziejopisów polskich pozostawionych. Stąd płynie to niesłychane zamięrowanie do prac krytycznych, któremi pierwszy w historjografji naszej torował drogę do racjonalnego pojmowania pomników historjograficznych polskich dziejów średniowiecznych. I chociaż dzisiaj, dzięki szeregom badaczy odpowiednio wykształconych, praca w tym kierunku niesłychanie się posunęła i rezultaty Lelewelowych badań wobec nowszych prac ostać się nie mogą, — w każdym razie zasługa ich zapoczątkowania i skierowania na właściwą drogę niepodzielnie do niego należy. Początek tych prac krytycznych jest bardzo ważny. Lelewel pierwszy zbadał wszystkich kronikarzy polskich; zajął

względem nich zupełnie odmienne stanowisko, niż współcześni mu uczeni, którzy również tym przedmiotem się zajmowali, niż Schlözer, Bandtkie i inni. Nietylko na pomniki historjograficzne zwracał Lelewel uwagę — rozumiał doskonale znaczenie dyplomów — on pierwszy w rozprawce z r. 1828 porusza kwestję z dyplomatyki ruskiej, bada polskie, drukuje ich cały szereg. Krytyka źródeł nie stanowi jednak jedyne go przedmiotu jego badań w zakresie nauk pomocniczych do historii. Pierwszy z uczonych polskich przedsięwzięcie on badania na wielką skalę w zakresie numizmatyki, geografji historycznej, bibliografji. We wszystkich tych pracach uderza jedna wielka zaleta: chociaż przedmiot niewdzięczny, nadający się raczej do rozdrobnienia, specjalizacji, jednak w dziełach Lelewela nabiera ogólnego znaczenia, występuje w związku z całym szeregiem faktów dziejowych, i w ten sposób przykuwa i zmusza czytelnika do zainteresowania. Prace Lelewela nad numizmatyką i geografją posiadają ogólnoeuropejskie znaczenie, stawiają go w szeregu znakomitszych europejskich uczonych. Przygotowanie techniczne do tego rodzaju prac Lelewel posiadał znakomite: z zamiłowaniem już w dzieciennych latach oddawał się rysunkowi i nabył w nim znacznej biegłości, to też wszystkie podobizny, mapy, sam zawsze wykonywał. Jeszcze przed r. 1830 zajmował się numizmatyką. W epoce tej ogłosił rozprawki: „O starych pieniądzach w Trzebuniu wykopanych“, „O objaśnieniu trzech pieniędzy Sammanidów i kilku kufickich“. Na wielką jednak skalę zaczął zajmować się numizmatyką i geografją dopiero na emigracji. Jednym z powodów, które skłoniły go do tego, była niemożność — z powodu niedostatku materiałów — opracowania dziejów polskich.

Lekceważyć prac numizmatycznych żadną miarą niepodobna: są one nieocenioną pomocą przy badaniu rozwoju stosunków ekonomiczno-handlowych, nadto dostarczają cennych wskazówek w ustaleniu chronologii; często za ich pośrednictwem zdobyć można wiadomości historyczne, gdzie indziej zamilczane. Z najważniejszych numizmatycznych prac Lelewela wymieniam: 3-tomową „Numismatique du moyen-âge“, wydaną w Brukseli i Paryżu 1835 r. Dzieło to zyskało mu niesłychaną wziętość w uczonym świecie zagranicznym. Zasługa jego polega tu na wykryciu zasadniczych typów monet w średnich wiekach.

Równie wielkie uznanie zdobył sobie Lelewel w dziedzinie badań historyczno-geograficznych. Poczet prac jego w tej gałęzi jest jeszcze liczniejszy, niż w numizmatyce. W geografji, zarówno jak

w historii, zajmowały go dwie kwestje: z jednej strony starał się zdać sobie sprawę z wartości źródeł i dopiero po ocenieniu świadectw źródłowych przystępował do skreślenia rozwoju postępu nauki. Już w r. 1816 wydaje pisma pomniejsze geograficzno-historyczne, zastanawiając się w nich nad historją geografji, pomieszcza wiadomość o narodach mieszkających aż do w. X we wnętrzu Europy; bada krytycznie opis Scytji Herodota. W cztery lata później wychodzi wielkie dzieło: „Badania starożytności we względzie geografji“. Wstęp stanowi charakterystyka rezultatów badań poprzedników, Wolfa, Gesselina, Malte-Bum'a i innych; bada postęp i zmiany w zapatrywaniach starożytnego świata; charakteryzuje rozliczne systemy oznaczania długości i szerokości geograficznej; szczególną uwagę zwraca na systemy kartograficzne. Określenie stopnia doskonałości geografji w świecie starożytnym, przyczyny upadku umiejętności, stanowią zakończenie tego obszernego dzieła.

Największe dzieło geograficzne Lelewela „Geographie du moyen-âge“ poświęcone jest przedewszystkiem kwestjom specjalnym, kartografji arabskiej i łacińskiej. Zawarte są one w dwóch tomach; trzeci i czwarty zawiera rozgląd geograficzny w stosunkach Słowiańszczyzny w X w. i m. i. rozbiór geograficzny Benjamina de Tudèle. Prace geograficzne Lelewela są pierwszym tego rodzaju zjawiskiem w literaturze polskiej. Prócz znaczenia specjalnego znamionują one najlepiej może, jak poważnie autor zapatrywał się na badania historyczne, gdyż te tylko mając na celu, przedsiębrał owe mozolne studia w zakresie numizmatyki i geografji, przy których pomocy spodziewał się zdobyć fakty w poszukiwaniach historycznych niezbędne. Dzisiaj dla każdego początkującego historyka jest rzeczą zrozumiałą, że historia bez geografji, — to tabula rasa; za czasów Lelewela tak nie było, i w pracach swoich geograficznych, jak we wszystkich, toruje on drogę przyszłości: pierwszy zdobywa się na organiczne łączenie historii z szeregiem oddzielnie dotąd stojących umiejętności.

W pracach geograficznych zdradza Lelewel jedną stronę swojej działalności naukowej, o którejśmy dotąd nie wspominali — stronę niezmiernie sympatyczną i pociągającą. Jak na każdym polu, tak i na polu geograficznem literatura nasza miała do czynienia dopiero z niedołącznemi próbami. Po szkołach uczono wprawdzie geografji, ale podręczników, atlasów etc. nie było. Lelewel tą kwestją gorąco się interesuje. Idzie mu przedewszystkiem o możliwie największe rozpowszechnienie oświaty. W r. 1828 wydaje atlas elementarny

do dziejów i geografji starożytnej, nakłaniania znajomych do pisania podręczników elementarnych etc.

Badania numizmatyczne i geograficzne nie wyczerpują jednak w całości poszukiwań Lelewela w zakresie nauk pomocniczych. Pojmuje on dokładnie, że dla historyka znajomość literatury przedmiotu jest nieodzowną, pojmuje dalej, że dla badań historycznych w pierwszym rzędzie konieczne są dobrze urządzone biblioteki i archiwa. To pole również leżało u nas za Lelewela odłogiem. Bibliotekę Załuskich wywieziono do Petersburga; ciągłe wojny, zmiany polityczne, nie mogły nie szkodzić rozwojowi bibliotek i archiwów. Nie było odpowiednio uzdolnionych ludzi, którzy mogliby kierować bibliotekami i archiwami w sposób dla nauki pożądany. W poczuciu spełnienia obywatelskiego obowiązku Lelewel pisze „Dzieje powszechne bibliotek“. Książka dotychczas w literaturze naszej przez nowszą a lepszą nie zastąpiona. Przedtem jeszcze ogłosił nadzwyczaj cenne „Ksiąg biblijograficznych dwoje“, w których zajmuje się głównie rozwojem bibliotek i drukarni w Polsce. W dziele tem wykazał Lelewel niesłychaną erudycję; poruszył materiał olbrzymi a prawie nietknięty i w ten sposób ułatwił drogę następcom.

Nie napróżno zatrzymaliśmy się dłużej nad ogromem prac Lelewela w dziedzinie nauk pomocniczych do historii. Należało zwrócić uwagę czytelników na tę niesłychaną pracę, na jaką się on wciąż zdobywał, rozumiejąc, że bez niej przedstawienia dziejów dać nie może.

Poznawszy to przygotowanie, choć w ogólnym zarysie, lepiej będziemy mogli ocenić wartość prac Lelewela w zakresie przedstawienia zagadnień historycznych. Równoległe z pracą powyżej naszkicowaną zajmował się on dziejami polskimi. Prace te zyskały mu miano patriarchy historii polskiej, zdobyły miłość i wdzięczne uznanie rodaków. Nic lepiej nie maluje tego porywającego wrażenia, jakie wywarły na współczesnych prace Lelewela nad historją ojczystą, jak ustęp z mowy Sawaszkiewicza na zgromadzeniu Polaków w Brukseli, pamięci Lelewela poświęconem. Sawaszkiewicz mówił: „Najwięcej też zachwycił uczony mówca, gdy zstąpił na ojczystą niwę. Dla niego żyli pogańscy nasi ojcowie w czarującej prostocie gminowładnej. On widział jak na dłoni, w jakich kształtach i kierunkach zakwitła wiara chrześcijańska, poślubiona przez lud prawy, z natury bogobojny, wyznający jednego Boga, czciciel Jessy, Światowida, Radegasta. Przed jego wzrokiem przesuwali się

wielkie cienie przewodników narodu: na tronie, w obozie, w radzie, w zgłęku lub cichej ustroni... On podsłuchał i wtajemniczył się w ducha praw narodowych, wyłamujących się na niepodległość z pod prawa rzymskiego, rozumiał zmieszany gwar mów sejmowych, sejmikowych konferencji, rokoszów, trybunałów. Dla niego połyskiwały błonia rysztynkami stanu rycerskiego pod Wolą przy obieraniu naczelnika narodu... Oplakiwał straszne obywatelstwo kmieci, odrywanie się krajów od Rzeczypospolitej, wojny domowe z kozakami, zepsucie obyczajów, rozszarpanie wielkiej ojczyzny przez zdradzieckich sąsiadów... Tu z mownicy rozповідаł o minionych rzeczach, jakgdyby to wczoraj się zdarzyło". Inny uczeń Lelewela w taki znów sposób charakteryzuje rezultaty badań Lelewela nad dziejami Polski: „Prace Naruszewicza ustaliły fakty z czasów piastowskich, genjusz Czackiego rzucił żywe światło na epokę jagiellońską. Leleweł pracom tym nadał bardzo popularny koloryt. On odtworzył pomniki historyczne, zapomniane w narodowych archiwach, albo ukryte w prywatnych księżnicach. On pierwszy odkrył pierwsze oryginalne tłumaczenia statutów polskich, pisanych po łacinie. On dopełnił zbiór pomników prawodawczych litewskich, przygotowane przez Daniłowicza, wydane kosztem Tytusa Działyńskiego... On wszędzie biegł na spotkanie prawdy, rozszerzał zamiłowanie do nauki, wzbudzał entuzjazm do rzeczy narodowych". Te dwie wzmianki wystarczają, by dać pojęcie o znaczeniu, jakie współcześni przypisywali Lelewełowi, jako badaczowi dziejów ojczytych.

Nie pozostaje nam nic innego, jak kilku rysami określić poglądy jego na dzieje Polski. Zasadnicze swoje stanowisko wobec badania dziejów Polski najlepiej skreślił sam Leleweł w autobiografii, mówiąc: „Rozważając sprawy i rzeczy Polski, usiłowałem rozpoznać różnicę onych od spraw innych ludów, aby wydobyć własny narodowy żywioł, odróżniając go od cudzoziemskiego; usiłowałem widzieć Polskę nie wyosobnioną, ale w związku, położeniu i postępie powszechnych ludów i mocarstw europejskich. Mało zważając na to, co inni widzieli przede mną, snułem własne widzenie... Pootwieriałem tedy sobie dalszego poszukiwania widoki, wewnętrzną i zewnętrzną politykę Polski na cztery dzielące okresy". Pogląd ten w najwyższym stopniu usprawiedliwiony stanowi niemałą zasługę prac Lelewela. Profesor dziejów powszechnych, nie dziwnego, zwrócił uwagę na badanie dziejów polskich, na ich ogólne dziejowe znaczenie. Wyrazem tego zapatrywania jest na swoje czasy doskonała

i dziś jeszcze nie bez wartości rozprawa: „Historyczna paralela Hiszpanji z Polską w wieku XVI, XVII, XVIII“. Zwraca w rozprawie tej Lelewel uwagę na równoczesne utworzenie się, wzniesienie i wielkość Hiszpanji i Polski; równoczesne chylenie się do upadku i klęski, ich niemoc i upadek, oraz różny stan i zmienne położenie w upadku.

Obszerne dzieło Lelewela „O narodach na ziemiach słowiańskich“ jest nowym dowodem ogólnego dziejowego stanowiska, na jakim stał przy rozpatrywaniu dziejów polskich. Dla Lelewela Polska była przedewszystkiem krajem słowiańskim, instytucje polskie instytucjami słowiańskimi; pod tym względem nazwać go można nauczycielem tych wszystkich późniejszych uczonych słowiańskich, którzy w poszukiwaniach swych do dziejów Słowiańszczyzny się zwrócili i widzieli w niej coś, co można i należało przeciwstawić światu germańskiemu. Jeżeli wyniki badań Lelewela w tej dziedzinie można dziś uważać stanowczo za przestarzałe, to w każdym razie pozostanie dla nas faktem, że on pierwszy polskość ze Słowiańszczyzny wysnuwał, że on jeden z pierwszych otworzył oczy polskiego społeczeństwa na różnicę, dzielącą je od świata zachodniego, że pierwszy doszukał się elementów dziejów polskich nie w wpływach Zachodu (choć im nie zaprzeczał), ale w prastarym bycie słowiańskim. Widzimy więc, że poglądy Lelewela na przeszłość Polski opierają się z jednej strony o całość dziejów powszechnych, z drugiej o dzieje słowiańszczyzny.

Na tak szerokiej podstawie budował Lelewel gmach dziejów polskich. Nic dziwnego, że budowa jego wypadła lepiej, gruntowniej i okazalej, niż u poprzedników i wielu następców. W przedstawieniu swojem poświęca on z pełną świadomością baczną uwagę dziejom wewnętrznym. Stara się wykryć budowę społeczeństwa, jego zasadniczą podstawę; śmiało można powiedzieć, że pod względem rozumienia znaczenia społecznego rozwoju dla historii stoi na wysokości dzisiejszych wymagań nauki. Lelewel pierwszy zerwał z podziałem dziejów Polski Naruszewicza, który opierał go o dynastje i wyróżniał następujące epoki: piastowską, jagiellońską i elekcyjną. W podziale tym czynnikiem decydującym był element monarchiczny. Lelewel postępuje zgoła inaczej. Najważniejszego rysu epoki doszukuje się nie w tem, co się działo u szczytu państwa, co cechuje zwykle umysły dyplomatyczno-polityczne, lecz rys główny wyprowadza ze zbadania stosunków społecznych — przewaga danej klasy warunkuje w jego poglądach istnienie danej epoki.

W pierwszym okresie, sięgającym według Lelewela r. 1139, dominującym czynnikiem jest władza panującego ¹.

W drugim okresie górę bierze nowy czynnik, który zaczął się tworzyć już w poprzednim — możnowładztwo. W rozprawie, poświęconej okresowi przewagi możnowładztwa, Lelewel gorąco występuje przeciwko mniemaniu, jakoby feudalizm w Polsce odgrywał górującą rolę; surowo sędzi politykę książąt, którzy dopuścili napływ do Polski elementów obcych, niemieckich. Okres przewagi możnowładztwa dzieli jeszcze na trzy podokresy: wzrostu możnowładztwa, jego ekscesów i przytłumienia ². Trzeci okres chrzci mianem gminowładztwa szlacheckiego od r. 1374—1607. Określenie to jest wyborne. W rozdziale tym wykrywa Lelewel, a wykrycie to stanowi istotną zdobycz nauki historycznej, że w okresie, o którym mowa, wybija się nawierzch szlachta, rycerstwo. Trafną tu czyni uwagę, że przyczyną zatargów między Litwą a Polską w XV w. m. i. była i ta okoliczność, że w Polsce główną siłą społeczną była już szlachta, podczas gdy na Litwie stanowiło ją możnowładztwo; stąd przeciwieństwo interesów między Polską a Litwą. Najmniej szczęśliwie może charakteryzuje ostatnią epokę, określając ją jako gminowładztwo.

Zwraca tu Lelewel główną uwagę na nierównomierny stosunek między klasą naczelną w społeczeństwie, naówczas szlachtą, a ludem wiejskim, według niego przyczyną upadku Polski; podnosi niesłychane uciemżenie ostatniego.

Stanowisko to pozwala Lelewelowi dokładnie ocenić przyczyny ruchu kozackiego na wiele lat przed ruskimi i rosyjskimi historykami, przedewszystkiem przed naszym Szajnochą. Píše mianowicie ³: „bunt kozacki jest powstaniem ludu. Od sześciu wieków podobnego Polska nie widziała; od Masława aż do Chmielnickiego nie tak powszechnego nie zaszło. Lud od Kozaków powołany wspólną z nimi ma sprawę, jest czynnym. Rzadki „w dziejach widok, widok wspaniały, a przerażający, tem więcej zajmujący nas, gdy w upływie wieków nie widzieliśmy tylko postęp ucisku, a cierpliwe jego ponoszenie“. Z ironją wyraża się wielki pisarz o przysiedze Jana Kazimierza, wykonanej we Lwowie: „czcza przysięga,

¹ W zmroku pierwotnych dziejów samowładztwo wypowiada się tworzeniem państwa: sprzecznie z duchem słowiańskim, z zasadami, jakich się od wieków plemię trzymało... Przez lat 140 musiało wzrastać i chłonać wszystkie żywioły gminne, powodowane potrzebą spojenia rozdrobnionych ludów w jedność narodową.

² Pierwszy od 1139 do 1189, drugi od 1189 do 1319, trzeci od 1319 do 1374 r.

³ Wyd. zbiorowe — t. III, str. 372—373.

przed ołtarzem i Bogiem wyrzeczona przez króla i ludzi bez wiary“¹. Dzieło to stanowi do dziś dnia jeszcze prawdziwą kopalnię wiedzy z zakresu dziejów wewnętrznych. Społeczeństwo polskie po raz pierwszy otrzymało dzieło historyczne, w którym królowie, ich losy, intrygi dynastyczne, anegdotki z życia dworskiego nie grały żadnej roli, a na pierwszy plan wysunięte zostały sprężyny wewnętrzne, stanowiące treść życia historycznego, główna uwaga została skierowana na lud, jako na podstawę społeczeństwa. Można naturalnie wobec dzieła tego poczynić dzisiaj mnóstwo zastrzeżeń, wiele rezultatów badań, w niem złożonych, nie wytrzymuje dzisiejszej krytyki. Był to jednak owoc długiej mozolnej trzydziestoletniej przeszło pracy — dzieło tem bardziej cenne, że było napisane w formie przystępnej dla szerokiego ogółu.

Poruszając kwestję formy, poruszamy drugą ważniejszą, stanowiącą wiekopomną w naszej literaturze historjograficznej zasługę Lelewela. Zasługą tą było zrozumienie prawdziwego pożytku badania naukowego, który widział on tylko wtedy, gdy mogły z badań naukowych korzystać szerokie masy. Każde przedsięwzięcie naukowe Lelewela przedewszystkiem tą myślą było nacechowane².

Wyrazem tego przekonania było podjęcie się popularnego opracowania dziejów Polski. Opracowanie to jest jednym z węgielnych kamieni sławy Lelewela. Istniał wówczas podręcznik do dziejów Polski Teodora Wagi, zhyteczne więc wydało się Lelewelowi tworzenie nowego dzieła. Wziął przeto za podstawę swojego przedstawienia istniejącą książkę Wagi. Przeróbka zyskała niesłychaną wziętość; dość powiedzieć, że na opracowaniu Lelewela³ wykształciły się dziesiątki pokoleń. W szeregu prac, historii polskiej poświęconych, jest to jedyne dzieło, rozwijające całość stosunków politycznych. Stanowi więc niejako dopełnienie „Uwag nad dziejami Polski“. Dzieło to Lelewel wielokrotnie dopełniał i przerabiał. Za pierwsze dopełnienie uważamy „Rys panowania Stanisława Augusta“, za drugie „Polska odradzająca się, czyli dzieje Polski od r.

¹ Poglądy Lelewela na dzieje Polski przedstawione są według jego najważniejszego może dzieła p. t.: „Uwagi nad dziejami Polski i ludu jej“, wyd. zbiorowego t. III.

² List Lelewela do Działyńskiego. Korespondencja wydana przez Celichowskiego, Poznań, 1884, str. 11: „Chcesz Panie dobrodzieju, łożąc na druk tomu pierwszego, statutowego, otworzyć fundusz na dalsze podobne drukowanie. Myśl patryjotyczna wymaga trafnego ofiarowanego funduszu użycia... Nie Panowie u nas dzieła kupują, ale biedaki. Nie Panów zainteresują teksta ruskie i łacińskie statutow, ale biedaków. Nie Panowie do literackich prac potrzebować ich będą, ale biedacy. Dla biedaków tedy drukować trzeba, a nie dla Panów“.

³ P. t. Dzieje Polski synowcom opowiedziane.

1795 do upadku rewolucji 1830 roku skreślone“. Do tejże kategorii należą: „Porównanie trzech konstytucyj“ i „Nowosilców w Wilnie“, poświęcone dziejom ostatnich czasów. Dzieła te skreślił Lelewel z jednej strony dla świata zagranicznego (wyszły one również w języku francuskim), z drugiej zaś dla własnych rodaków. Napisał je, spełniając w ten sposób obowiązek względem własnego społeczeństwa, dla którego rzeczą przedewszystkiem ważną jest poznanie najbliższej przeszłości; najbliższa przeszłość najbardziej społeczeństwo interesuje i z politycznych względów najbardziej jest dla niego ważna; z tego też punktu widzenia na te dzieła należy się zapatrywać. W pracach tych bezstronnym zupełnie być nie mógł, ale pomimo tego pozostaną one na zawsze jednym z najważniejszych źródeł do poznania epoki. Są także jednym więcej dowodem, że Lelewel nie był typem strupieszalego uczonego, żyjącego wyłącznie pleśnią dalekiej przeszłości i nie mającego z istotnem życiem bliższej łączności, ale że istotnie żył pełnią życia, że potrzeby życia, potrzeby chwili zrozumiał i odpowiednio do swego zawodu starał się je zaspokoić.

Jeśli powiemy jeszcze, że Lelewel wiele uwagi poświęcił pomnikom prawniczym, że jeden z pierwszych pracował koło ich krytycznego wydania, że w mnóstwie rozbiorów ocenił prawie wszystkie współczesne opracowania historyczne, lub z historycznemi w związku będące, to wyczerpiemy mniej więcej całą jego, jak widzieliśmy, olbrzymią działalność. Da się ona scharakteryzować w kilku słowach: Lelewel jako profesor pierwszy zainteresował uczniów badaniami historycznemi; jako uczony — pierwszy z Polaków pojął doniosłość nauk pomocniczych i w szeregu znakomych dzieł nauki owe opracował. Jako historyk dziejów Polski — dzieje te związał z dziejami powszechnymi; dzieje polityczne Polski oparł na szerokiej podstawie rozwoju stosunków wewnętrznych. Lelewel nie zamykał się w ciasnem kółku badaczy; zdobycze naukowe popularyzował i udostępniał ogółowi społeczeństwa polskiego. Zasługi te usprawiedliwiają w zupełności sławę, jaką za życia u rodaków i w całej Europie się cieszył.

Tem dziwniejsza, że dzisiaj zasługi te, jak wspomnieliśmy już na początku, są zapoznavane. Bobrzyński np. w swoim „Zarysie dziejów“, można powiedzieć, opacznie przedstawił poglądy Lelewela. Zamiast dać wierne ich streszczenie, poprzestał na uczynieniu zarzutu, że dogmatem zapatrywania Lelewela na przeszłość Polski jest wolność społeczna i polityczna. Bobrzyński, zapatrzonej we wła-

sny dogmat państwa „policyjnego“, nic dziwnego, że się zżyma na pogląd Lelewelowski, ale trzeba być co najmniej krótkowidzem, żeby nie uznawać i odmawiać pracom Lelewela tych olbrzymich metodologicznych zalet, jakie w naszym przedstawieniu staraliśmy się wykazać.

My się tego zdania trzymać nie będziemy i choćby tylko pobieżnie rzuciwszy okiem na prace nieśmiertelnego naszego uczonego, przekonamy się, że jako uczony więcej o własnych siłach dokonał, niż wielu, razem nawet wziętych jego następców. Sam on najlepiej określił w autobiografii swoje stanowisko. W rozmowie z Czartoryskim, naówczas kuratorem Uniwersytetu wileńskiego, Lelewel, profesor, a więc podwładny księcia, powiedział: „ni fortuny, ni honoru szukam; jeśli nauce pożyteczny, to dobrze; jeśli nieusposobiony, niezdatny, może uniwersytet wyrzec, żem niepotrzebny, ustąpię“. Na takie śmiałe odezwanie się prawdopodobnie z dzisiejszych ojców historii polskiej żadenby się nie zdobył; to też nic dziwnego, że Lelewel mógł sobie pozwalać nawet na republikańskie w przedstawieniu dziejów formułki; ani mu może na myśl nie przyszło, że następcy jego nie będą mogli zrozumieć żadnego przedstawienia dziejów poza t. zw. „policyjnym“. Nie mamy zresztą potrzeby długo się rozwodzić nad zapomnieniem Lelewela. Jeśli go zapoznawano, to obowiązkiem naszym zasługi jego przypomnieć. Czas byłby, żeby człowiek tej miary mógł się doczekać odpowiedniej oceny w nauce i odpowiedniego uznawania ze strony społeczeństwa. Bliższe poznanie prac i osoby Lelewela mogłoby wpłynąć zbawiennie na nasze koła historyczne, przynajmniej młodzieży, mogłoby w połączeniu z innymi okolicznościami spowodować zwrot w zatęchłych stosunkach i stosunkach naszych kół historycznych i samej historjografji.

**KILKA SŁÓW O STUDJUM HISTORYCZNEM
NA UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM**

KILKA SŁÓW O STUDJUM HISTORYCZNEM NA UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM¹

Elementy studjów historycznych: wykłady i seminarja i ich zadanie. — Błędna klasyfikacja przedmiotów wydziału filozoficznego. — Brak wykładów z niektórych dziedzin prawa. — Ujemne strony pracy seminaryjnej. — Za małe uwzględnianie historii powszechnej. — Potrzeba reorganizacji wykładów i podziału ćwiczeń seminaryjnych studjum historycznego. — Kwestja egzaminów.

Na studia historyczne składają się dwa elementy: 1) wykłady i 2) seminarja. Seminarja są pewnego rodzaju laboratorjami, w których uczniowie pod kierunkiem profesorów uczą się badać krytycznie źródła historyczne i na podstawie tej krytyki opracowywać kwestje naukowe.

Punkt ciężkości pracy ucznia-historyka spoczywa w seminarjum; wykłady mają mniejsze znaczenie. Posiadają one jednak swą rację bytu, albowiem umożliwiają opanowanie literatury danego przedmiotu, informują o najnowszych wynikach wiedzy, dostarczają danych do wyrabiania w uczniu zmysłu rozumienia przeszłości.

Wykładów jest kilka. Trzech profesorów zwyczajnych wyklada historję powszechną, historję Polski i historję austriacką. Jeden docent prowadzi wykład nauk pomocniczych do historji (paleografji, dyplomatyki etc.). Przy katedrze historji powszechnej znajduje się też obecnie docentura.

W seminarjum istnieją dwa oddziały, z których każdy posiada swego profesora kierownika. W jednym jest uprawiana historia średniowieczna Polski, w drugim historia nowożytna Polski. Seminarjum posiada podręczną bibliotekę, pracownię z dotacją roczną 600 złr., z tych 300 przeznaczonych jest na nagrody dla uczniów za rozprawy (po 30 złr. za rozprawę).

Studjum historyczne jest włączone do wydziału filozoficznego,

¹ „Krytyka“. Miesięcznik społeczny, naukowy i literacki. Kraków, Rocznik II, styczeń 1897, nr. 1 (pseudonim: Kazimierz Brzoza).

którego wychowawcy są, jak wiadomo, przeznaczeni na nauczycieli gimnazjalnych. W ogólnej organizacji studjów wydziału filozoficznego ostatnia zasada jest więc dominująca.

Nauczyciele przedmiotów humanistycznych dzielą się na cztery główne kategorie: 1) języka i literatury polskiej; 2) języka i literatury niemieckiej; 3) języków i literatur klasycznych; 4) historii i geografji.

Klasyfikacja ta panuje również w organizacji wydziału filozoficznego. Nie można jednak powiedzieć, by była ona w zgodzie z wymaganiami nauki.

Już z powyższego przeglądu widzimy, że historia literatury jest ze studjum historycznego wyłączona, natomiast ściśle z niem złączona jest geografia, która dziś wyrosła do znaczenia zupełnie samoistnej nauki i tylko niektóre jej działy są w ścisłym związku z nauką historyczną.

W zakres studjum historycznego nie wchodzi natomiast cały kompleks wykładów, stanowiących treść pierwszych dwóch kursów wydziału prawniczego. Uczeń historyk może wcale nie znać takich przedmiotów, jak historia prawa rzymskiego, kościelnego, niemieckiego, historia prawa polskiego. Wykłady te bezwątpienia mają równe znaczenie dla ucznia, badającego dzieje powszechne i dzieje Polski, jak dla prawników. Taki przedmiot, jak historia kościoła, również nie jest włączony do studjum historycznego, lecz stanowi własność wydziału teologicznego.

Powyższe fakty wskazują na to, że studjum historyczne nie łączy w całość różnych łamów nauki historycznej, uwzględnianych na naszym Uniwersytecie. Jest ono częścią tego, czem studjum historyczne być powinno. Wobec tego, że historia prawa (a poniekąd rozwoju stosunków społecznych) włączona jest do studjum prawniczego, historia literatur rozdzielona pomiędzy 3 seminarja, pozostaje dla seminarjum historycznego ten tylko dział, który zwykło się nazywać historją polityczną.

Celem seminarjum jest przyswojenie sobie przez ucznia zasad krytyki źródłowej, będącej pierwszą podstawą prac historycznych. Ponieważ uczeń przez cały ciąg studjów ma do czynienia z jednostronnym materiałem źródłowym, nic dziwnego, że umysł jego jest dość zasklepiony i nieczuły na inne odłamy ludzkiej działalności. Wykłady nie dostarczają mu szerszego horyzontu myśli; z małemi bowiem wyjątkami obracają się również w zakresie historji politycznej.

Wprawdzie na wydziale filozoficznym istnieje wolność uczenia się; uczeń może dobierać sobie takie wykłady, do których ma upodobanie. Niestety jednak, uczeń wstępujący na uniwersytet nie jest należycie przygotowany, by mógł sam układać plan i porządek wykładów; dość zresztą spojrzeć na tabelę wykładów, by się przekonać, że wykłady treści historycznej wydziału prawniczego i wykłady wydziału filozoficznego odbywają się w tych samych godzinach. Najważniejsza zaś, że uczeń filozof musi pamiętać o tem, iż czeka go egzamin państwowy, do którego wymagań musi zastosować swe wykłady.

Wymagania te znowu stosują się do tego, co ucznia oczekuje po ukończeniu studiów historycznych w gimnazjum. Tam musi nauczyciel historyk wykladać według potrzeby w niższych klasach języki; zmuszony więc jest w ciągu studiów słuchać wykładów języka polskiego, niemieckiego, a także wykładów pedagogiki i filozofji. Nadto musi on wciąż słuchać wykładów głównych, chociaż słuchanie danego profesora w ciągu co najwyżej 4-ch semestrów w zupełności wystarcza, by przyswoić sobie to, co jest jego własne i oryginalne. Gorzej, jeżeli dany wykład lichy jest obsadzony: słuchacz niczego z niego nie skorzysta, a uczyć musi.

Rozczłonkowanie nauki historycznej na kilka zupełnie niezależnych od siebie działów wydaje te owoce, że uczeń seminarjum historycznego, zajmujący się przeważnie historją polityczną, nie posiada najmniejszego zmysłu dla dziejów literatury i oświaty, dla rozwoju prawno-państwowego, ekonomicznego, nie rozumie, na czem życie społeczne polega.

Konkluzję tę sprawdzić możemy, patrząc na pracę uczniów. Seminarjum historyczne naszego Uniwersytetu jest jedyną w tym rodzaju instytucją polską i stąd zasługuje na bacniejszą uwagę ogółu. Podręczna biblioteka posiada kompletny zbiór wydawnictw źródłowych do dziejów Polski i najpotrzebniejsze opracowania. Pracownia jest otwarta dla członków seminarjum przez cały dzień i przez cały rok. Trudno zaiste o lepsze warunki, a pomimo tego owoce działalności seminarjum są bardzo liche.

Działają tu przyczyny, wskazane powyżej, działają też i takie, które wypływają z samej pracy seminaryjnej, choć wspólne jednych i drugich źródło. Seminarjum składa się z dwóch sekcji, pod kierunkiem dwóch profesorów. Obydwie sekcje uprawiają wyłącznie historję Polski: w jednej przeważa historja średniowieczna,

w drugiej nowożytna. Treść ćwiczeń stanowi: a) bezpośrednie badanie materiału źródłowego, b) ocena rozpraw, pisanych przez uczniów.

Zasady krytyki źródeł są w gruncie rzeczy bardzo proste i po roku uczęszczania na ćwiczenia seminarjum uczeń opanowuje je dostatecznie. Z drugiej strony każdy profesor zna dokładnie ograniczony zapas źródeł; tego też zapasu trzyma się, przedstawiając uczniom wzory krytyki źródłowej. Ponieważ niema rozgraniczenia słuchaczy na starszych i młodszych, dla tych, co już o krytyce źródeł mają pojęcie, ćwiczenia seminarjum stają się śmiertelnie nudne. Ocena rozpraw nie przedstawia dla ogółu członków seminarjum korzyści. Każdy uczeń ma swój temat: np. źródło pracy, traktującej o Bolesławie Wstydlwym, nie znają ci, co zajmują się Władysławem Łokietkiem i t. d. Ocena profesorska może mieć tylko wartość dla autora rozprawy; reszta siedzi i ziewa. Starsi rozumieją przynajmniej ocenę i jej podstawy, dla młodszych są to stracone godziny. Nawet przy obznajamianiu uczniów z zasadami krytyki źródłowej niema jednolitych zasad postępowania. Nie są uwzględniane różne działy źródeł; dany członek może przez całe cztery lata zajmować się jednym tylko typem źródeł, o innych zaś nie mieć wyobrażenia. Niema również należytego stopniowania w przechodzeniu z łatwiejszych tematów do trudniejszych; uczeń porywa się czasem na zbyt trudny temat, traci czas na próżno i dopiero potem spostrzega, że praca jego była daremna.

Traktowanie na ćwiczeniach wyłącznie kwestyj źródłowych ma tę złą stronę, że wyrabia w uczniach nadmierną specjalizację. Uczeń, który 4 lata trawi na obrobieniu paru tematów, nie ma wprost czasu na lekturę. Jest to jedna z ważnych przyczyn, dla czego następnie zdawanie egzaminów mimo wszystko z tak wielką przychodzi trudnością. Stan taki nader ujemnie odbija się na sprawach seminaryjnych, które zawsze robią wrażenie czegoś martwego. Pod tym względem istotnie należy żałować, że na seminarjach nie bywają nigdy traktowane kwestje i tematy ogólnej natury. W obrabianiu takich tematów, ocen dzieł znakomitszych, nie chodziłoby już o krytykę źródeł, ale o wykazywanie związku przyczynowego szerszej natury, o sposoby konstrukcji etc. Uczeń mógłby się przyzwyczaić do myślenia o przedmiotach bardziej skomplikowanych, o sposobach ożywiania faktów, co dziś jest mu zupełnie obce i doprowadza do błędnego naturalnie przypuszczenia, że krytyka źródeł wyrabia rzemieślników. Urozmaicenie treści ćwiczeń semina-

ryjnych wpłynęłoby na ich ożywienie, wzbudzałoby w uczniach stałe zainteresowanie.

Zrozumiałą jest rzeczą, że kierownicy seminarjum zajmują się wyłącznie historią Polski; ale dla rozumienia samej historii Polski byłoby rzeczą niewątpliwie pożyteczną, gdyby były poruszane kwestie z zakresu historii powszechnej. Poruszanie ich wprowadzić może nowy sposób badania, nie uwzględniany dotychczas w seminarjum: porównawczy. Wogóle daje się uczuwać brak szerszych podstaw w tej pracy. Uczeń jest pozostawiony sobie, musi się sam uczyć i własną pracą zdobywać wszystkie środki badania, o których wystarczyłoby mu się tylko poinformować.

Stawiano zarzuty seminarjum, że w opracowywaniu tematów trzyma się przeważnie dziedziny historii politycznej. Zarzut ten ma niejaki uzasadnienie, ale tylko do pewnego stopnia. Uczniowie o dzisiejszych wstępnych wiadomościach — wprost nie mogą zajmować się np. historią instytucyj prawno-politycznych albo historią rozwoju stosunków ekonomicznych, bo brak im odpowiedniego elementarnego przygotowania. W twierdzeniu tem można posunąć się nawet dalej: także nad historią polityczną musi być praca uczniów jałowa, bo tej historii oni często nie rozumieją.

Każdy uczeń, który zaczyna opracowywać temat z zakresu historii politycznej, spotyka się z szalonemi trudnościami, wypływającymi nie tyle z badania źródeł, ile z konstruowania. W konstrukcji operować musi pojęciami: państwo, gmina, ustrój gminny, patrymonjalny, gospodarstwo naturalne, skarb, a pojęć tych nie rozumie i z trudnością sam sobie to rozumienie zdobywa. Dziś, kiedy nauki o funkcjach społeczeństwa tak się rozwinęły, niesposób skazywać uczniów na trudne mozolne przyswojenie sobie najelementarniejszych pojęć drogą własnej, napół intuicyjnej pracy.

W zakres studjum historycznego powinny wejść odpowiednio do potrzeb studjum zastosowane: encyklopedia nauk politycznych, prawnych, ekonomicznych etc. W ten tylko sposób uczeń może z korzyścią przystąpić do prób konstrukcji historycznej. Dzisiejsze zaś kwalifikacje wychowanków seminarjum do badania historii politycznej możnaby porównać z kwalifikacjami dawnych faworytów dworskich, powoływanych do robienia historii. Gdzie uczeń nie może znaleźć i wskazać przyczyny, tam ucieka się do frazesów o subtelnych arkanach krytyki historycznej, o wymaganiach państwa, i tym podobnych.

Uwagi powyższe prowadzą do następujących wniosków:

- 1) Niezbędna jest taka organizacja wykładów, która umożliwiłaby uczniom wysłuchanie w ciągu studjów uniwersyteckich wszystkich wykładów historycznych na wydziale filozoficznym i prawnym;
- 2) dla uczniów - historyków powinny być wprowadzone wykłady podające zasady nauk politycznych, prawnych, ekonomicznych i t. p. w rodzaju encyklopedji;
- 3) niezbędne jest pewne uszeregowanie tych wykładów.

Myśl ta nie jest zbyt trudną do urzeczywistnienia. Musiałyby tylko odpaść przedmioty, których obecnie słuchają uczniowie historycy, a które ze studjami historycznymi w żadnym nie pozostają związku.

W samem seminarjum niezbędny się staje podział ćwiczeń na niższe i wyższe opracowywanie tematów nietylko źródłowych, ale i monograficznej natury, uwzględnienie tematów z zakresu historii powszechnej.

Plan taki tem łatwiej możnaby wprowadzić w wykonanie, że nie zrywając bynajmniej z dzisiejszą organizacją Uniwersytetu, możnaby ułożyć wskazówki dla uczniów, odnoszące się zarówno do korzystania z wykładów, jako też i ćwiczeń. Wskazówek tych uczniowie chętnieby się trzymali i studja nabrałyby większej daleko systematyczności, niż ma to miejsce dzisiaj.

Reforma taka byłaby jednak w związku z inną daleko trudniejszą, mianowicie z reformą egzaminów. Egzaminy dzielą się dziś na państwowe i rygoroza. Państwowe uprawniają do zajmowania posad, rygoroza dają stopień doktora.

Państwowy egzamin wymaga napisania trzech rozpraw: 1) z historii, 2) z geografji, 3) z pedagogiki, co do których niewielkie zresztą są wymagania; następnie uczeń przystępuje do egzaminów klauzurowych piśmiennych, posiadających formalne tylko znaczenie. Po odbyciu klauzurowych idą egzaminy ustne z dwóch grup: 1) z historii i geografji, 2) z języków i literatur. Naturalnie, ponieważ przedmiotami drugiej grupy uczeń zupełnie się nie zajmował w ciągu studjów, więc wymagania są niewielkie, ale wystarczają, by po ukończeniu studjów dużo czasu na nie stracić, i do częstych wypadków należą fakty, że uczeń zda dobrze egzamin z przedmiotu zawodowego, a przy kruczku gramatycznym zatnie się i padnie.

Seminarjum i praca ucznia tamże nie mają egzaminu tego na względzie. One przygotować mają ucznia do egzaminu na stopień

doktora, nie dający znów żadnych praw (stopień doktorski uprawnia tylko do zajmowania posad przy uniwersytecie, w bibliotekach i archiwach). Rdzeń egzaminu na stopień doktora stanowi takie napisanie rozprawy, któreby świadczyło o uzdolnieniu ucznia do pracy naukowej. Do tej pracy naukowej wdraża go seminarjum, które też w przeciwieństwie do wykładów z wymaganiami egzaminu państwowego się nie liczy i nie może się liczyć, gdyż inaczej przestałoby być instytutem naukowym. Dla uczniów jednak ta sprzeczność studjów z tem, czego od ucznia wymagają po ukończeniu studjów, sprowadza dotkliwie bardzo skutki, przyczyniając się do tego chaosu, o którym powyżej wspomnieliśmy. Dla wybrnięcia z tego stanu nagłą jest wprost rzeczą ujednostajnienie egzaminów, połączenie egzaminu państwowego z rygorozalnym: nauka i zawód nauczycielski zupełnieby na tem nie ucierpiały.

System dzisiejszy jest o tyle wadliwy, że wśród uczniów spotyka się z wyraźną niechęcią. Pomimo istnienia stałych nagród za rozprawy seminaryjne uczniowie nie wysilają się na nie zupełnie. Dobrze jest, jeżeli w ciągu danego półrocza złożą pięć (tyleż istnieje nagród); najczęściej jednak bywa ich trzy, cztery. To dowodzi, że w obecnym stanie nagrody mijają się ze swym celem, że pożądanego prawdopodobnie współzawodnictwa nie obudziły, ba, nawet sami uczniowie przestrzegają, by liczba rozpraw nie przekroczyła cyfry nagród, bo mniej więcej utarło się przekonanie, że owe stypendja nie są nagrodami, ale wynagrodzeniami. Najlepszym zaś dowodem tej niechęci do studjum historycznego jest słaba frekwentacja. Zdarzają się wypadki że uczeń, straciwszy znaczniejszy przeciąg czasu w seminarjum, opuszcza je, zrażony do nauki historycznej, która mu się wydaje stękiem blagi i nieścisłości, i rzuca się do nauk ścisłych. Ci, którzy studjom historycznym pozostają wierni, traktują pracę seminaryjną bez zapału, aby zbyć, ze strony formalnej.

Nakoniec jeszcze jedno zastrzeżenie. W uwagach naszych mieliśmy na myśli wyłącznie członków seminarjum-uczników wydziału filozoficznego. Do seminarjum na ćwiczenia może każdy uczeń Uniwersytetu uczęszczać. Z natury rzeczy obok filozofów są tylko prawnicy, którzy uczęszczają jednak tylko na jeden oddział (historji średniowiecznej), pozostający w związku z ich studjami fachowemi (historją prawa w wiekach średnich), są też elementem przejściowym: rzadko który prawnik z wyższych kursów do seminarjum uczęszcza.

Porównując jednakowoż członków seminarjum filozofów z prawnikami, dostrzegamy, iż uczniowie prawnicy tem górują nad filozofami, że mogą opracowywać tematy z zakresu historii prawa, co dla filozofów jest owocem zakazanym; górują w opracowywaniu historii politycznej, wnosząc do pracy większą ścisłość myślenia i lepsze rozumienie stosunków politycznych. Najwybitniejsi też z byłych uczniów seminarjum krakowskiego, co prawda bardzo nieliczni, są historykami i prawnikami zarazem.

Spostrzeżenia niniejsze nie mogą naturalnie rościć pretensji do wyczerpania obchodzącej nas kwestji. W każdym razie organizacja studjum jest tu stroną najważniejszą. O poruszenie tej też tylko strony studjum historycznego w niniejszym artykule nam chodziło.

IDEOLOGJA USTROJOWA

IDEOLOGIA USTROJOWA ¹

Z powodu: I. Balzera O., Z zagadnień ustrojowych Polski: Studja nad historją prawa polskiego. Lwów, 1916, t. VI, z. 2, str. 75. II. Kutrzeby St., 1) Charakterystyka państwowości polskiej. Wykłady powszechnie Uniwersytetu Jagiellońskiego, str. 3—64; 2), tegoż autora: Przeciwnictwa i źródła polskiej i rosyjskiej kultury. Lwów, 1916, str. 5—83; 3), tegoż autora: Wady i zadania naszej historjografji. Kraków, 1916, str. 3—20; 4), tegoż autora: Wartości historyczne („Głos Narodu“ r. 1917, nr. 284—286); III. Chołoniewskiego A., Duch dziejów Polski. Kraków, 1917, str. 141; IV. Tokarza W., Z refleksji historyka („Wiadomości Polskie“. Piotrków, 1917, nr. z 25/XII).

W powyższym spisie rozprawa Balzera zajmuje osobne miejsce. Charakter jej — ściśle naukowy; wypłynęła też z naukowych motywów, z własnej twórczości autora; w pewnej mierze opiera się na poprzednich jego rozprawach, tych zwłaszcza, które stanowią część polemiki, prowadzonej swego czasu z Kutrzebą. Innego zgoła typu są wszystkie pozostałe rozprawy i artykuły: są one mniej lub więcej silnie związane z teraźniejszością, względnie z kwestją stosunku naszej historjografji do teraźniejszości, ba nawet nawiązują do obecnej wojny i jej wpływu na naszą historjografję, względnie do wpływu historjografji na nasze społeczeństwo podczas wojny.

Ze względów czysto naukowych dość było poprzestać osobna i przede wszystkim na omówieniu rozprawy Balzera, a następnie niektórych publikacyj Kutrzeby, zwłaszcza zaś „Wady i Zadania“, gdyż „Charakterystyka państwowości“ popularyzuje dawniej już sformułowane zapatrywania. Właśnie jednak opinja Kutrzeby, wyrażona w artykule „Wartości historyczne“, skłoniła nas do wspólnego omówienia i rozważenia związku czy też stosunku, jaki zachodzi pomiędzy rozprawą Balzera a „Charakterystyką państwowości“ Kutrzeby i „Duchem dziejów“ Chołoniewskiego. Kutrzeba przytacza bowiem pierwsze dwie rozprawy jako dowód, że Chołoniewski dał wyraz takim zapatrywaniom, które idą „równolegle z temi po-

¹ Drukowane w „Kwartalniku Historycznym“ w r. 1918 i osobno w odbicie nakładem Księgarni A. Altenberga. Lwów.

gładami, które zwyciężają wśród historyków“. Oznaczone publikacje, zdaniem Kutrzeby, stanowią o pewnym zwrocie dokonywanym się wśród polskich historyków. Co więcej, Kutrzeba wystąpił niedawno z postulatem nowej syntezy dziejów Polski. Obecnie zaś sądzi, iż ta próba syntezy, wyprzedzająca usiłowania historyków, leży gotowa właśnie w „Duchu dziejów Polski“.

Jeden z młodych uczonych, przedwcześnie zgasłych z wielką stratą dla nauki, wyraził się o rozprawie Balzera, iż jest to stanowczy wyłom zrobiony w zapatrywaniach t. zw. szkoły krakowskiej. Nie zwracalibyśmy na to zdanie baczniejszej uwagi, ponieważ nie wydało się nam dostatecznie uargumentowane. Poglądu tego obrońcą jest jednak i Kutrzeba, jak się okazuje z obecnych jego wywodów, z okazji omówienia „Ducha dziejów“. Stanowisko Kutrzeby tem bardziej jest godne uwagi, iż sformułowane jest wyraźnie z punktu widzenia naukowego. Za wypowiedziane zatem twierdzenia bierze Kutrzeba pełną naukową odpowiedzialność. Mówi więc o „Duchu dziejów“: „Albowiem, że z wynikami nauki pozostają w zgodzie jej twierdzenia — tem lepiej — dla niej („Ducha dziejów“) i dla społeczeństwa“. Ba, Kutrzeba tłumaczy to szerzej: „Chłoniewski nie jest zawodowym historykiem, nie bada sam źródłowo naszych dziejów, choć niektóre źródła widocznie czytał; jednakże z naszą literaturą historyczną obeznany jest doskonale, a czytać ją umie krytycznie... poszedł on równolegle z temi poglądami, które zwyciężają wśród historyków. Od nich poglądów nie przejął jednak. Swoje zapatrywania zdobywał własną pracą myśli, dawał im już wyraz w ciągu kilku lat ostatnich wtedy, kiedy z grona historyków nazewnątrz myśli takie jeszcze nie wyszły. W ostatnich tych ich pracach znalazł jednak poparcie swojej tezy, umocnił się może w niej; a przynajmniej znalazł na poparcie swoich poglądów więcej argumentów, których już z innych ich prac dawniejszych zebrał wielką ilość. Czerpał z prac, które jeszcze pisane były pod wpływem krakowskiej szkoły; ale krytyczny umysł jego umiał rozróżnić fakty i rozumowania na nich oparte, fakty brał, a rozumowań przeprowadzał krytykę własną myślą, która mu inne nasuwała ich tłumaczenie, ich ocenę. I nim jeszcze historjografia fachowa zdobyła się na ogólny sąd, uprzedził ją swoją książką“.

Charakterystyczny jest sąd Kutrzeby o t. zw. szkole krakowskiej. Nie mówi o niej wprawdzie Balzer wyraźnie; jasne jest jednak, że zdanie Kutrzeby jest pokrewne opinii Balzera. Według

więc Kutrzeby w szkole krakowskiej „był jeden zasadniczy pogląd na naszą historję, który światło a raczej cień, rzucał na tłumaczenie wszystkich tej historji objawów; pogląd ten streszczał się w tem, iż upadek Polski zawiniłiśmy sami, że zwłaszcza temu upadkowi winien był ustroj Polski taki, jaki sobie wyrobiła, demokratyczno-wolnościowy w obrębie panującej warstwy szlacheckiej“.

Do powyższych uwag możemy dorzucić interesujący drobiazg. Zdarzyło nam się czytać w jednym z poważnych pism zawodowo-pedagogicznych wzmiankę o pracy Chołoniewskiego. Autor, należący do pokolenia najmłodszych adeptów naszej nauki, entuzjazmuje się „Duchem dziejów“, zbudowanym na gruncie poglądów Balzera i Kutrzeby. Praca Chołoniewskiego, to balsam kojący zbolełe serce terażniejszości. Kutrzeba wtóruje niejako temu zapatrywaniu, gdy podkreśla, że rzecz Chołoniewskiego odpowiedziała potrzebie serca; dowodem zaś tego ma być poczytność książki.

A więc zwrot w historjografji polskiej. Wpływać on ma z postępu samej nauki, łączy się zaś z oddziaływaniem wojny na społeczeństwo. Kutrzeba stwierdza nawet, że historjografja przedwojenna nie spełniła swego zadania wobec społeczeństwa.

Czytelnik mógłby na podstawie „Wartości historycznych“ Kutrzeby sądzić, że poglądy naukowe autora „Wartości“ są niejako równoległe do zapatrywań Balzera, a Chołoniewski jest odbiciem, jeżeli nie konkretnych poglądów, to ducha wiejącego z kart studjów obydwóch naszych historyków prawa.

Nie jestem historykiem prawa. Muszę więc prosić naukowego czytelnika o wybaczenie mi śmiałości, z jaką przystępuję do rozpatrzenia prac, zamykających się w ramach historji ustroju. Sądzę jednak, że gdy mowa o związku historji ustroju i państwowości naszej z całością przyczyn upadku Polski, gdy mowa na tem tle o zwrocie w historjografji polskiej, gdy rzucane są hasła nowej syntezy, jest obowiązkiem każdego badacza zabrać głos i skontrolować, w miarę sił i możliwości, naukową wartość wypowiedzianych zapatrywań.

Nauka, zwłaszcza nasza, nie może wogóle uwolnić się z pod wpływu terażniejszości, choć powinna zawsze dążyć do jak największej wolności i naukowej czystości sądu. Na każdy sposób jest obowiązkiem nauki wydzielać starannie to, co jest rezultatem pracy naukowej, od tego, co jest wyrazem zmiennego nastroju. Wpływ wielkiej wojny dostatecznie tłumaczy różnorodne nastroje, którym ulega nasze społeczeństwo. Nastroje muszą obejmować wszystkie

strony życia publicznego, myśli i twórczości naszej. Nic więc dziwnego, że obracają się nietylko na terenie terażniejszości, że kierują się ku przyszłości, ale nawracają także ku przeszłości. Formułowanie ich jest rzeczą i obowiązkiem publicystów. Uczeni zaś, gdy działają w tym kierunku, działają nie jako uczeni, lecz jako publicyści. Jasne jest bowiem, że ujawnianie i określanie takich lub innych nastrojów myśli i uczuć naszej terażniejszości, musi być w związku z walką i ścieraniem się różnych prądów i kierunków politycznych w samem społeczeństwie. Na każdy sposób nastrój polityczny czy społeczny jest złym naukowym doradcą, a racja zawsze będzie po stronie Korzona, gdy mówi: „nikomu nie schlebiam, ani ludziom, ani stanom, ani narodom, ani nawet zasadom; nikogo też nie czernię. Dla rodaka i cudzoziemca, a chociażby dla wroga, mam jedną mowę: „oto jest prawda, o ile ją pochwyć i wyrozumieć zdołałem“.

Jeżeli z tego stanowiska przeprowadzimy kontrolę owego zwrotu w historjografji polskiej, o którym mówi Kutrzeba, to wyniki kontroli będą wręcz zdumiewające. Więcej niż wątpliwy okazuje się ów zwrot na zasadzie całkiem rzekomego naukowego związku pomiędzy rozprawą Balzera a rozprawą Kutrzeby i książką Chołoniewskiego. Co się bowiem okazuje? Oto zachodzi zasadnicza sprzeczność pomiędzy obrazem ustroju Polski, rzuconym przez Balzera, a obrazem państwowości polskiej, naszkicowanym przez Kutrzebę. Źródła zaś pracy Chołoniewskiego i duch jego wywodów są zgoła dalekie nietylko od nauki, ale od tego, co można nazwać publicystycznym ujęciem problemu naukowego.

A dalej. Nic nam niewiadomo dotąd, by zapatrywania Balzera były powszechnie uznane w nauce. Mają one wartość, jak dotąd, naukowej, ale odosobnionej hipotezy, a raczej jej programu, którego w całości nie podpisuje sam Kutrzeba. Rzekomy zaś zwrot w historjografji naszej w związku z poglądem na całość przyczyn upadku Polski, zapisany przez Kutrzebę na h a b e t jego, Balzera i Chołoniewskiego, a na d e b e t t. zw. historjografji krakowskiej, nie odpowiada rzeczywistości, historycznemu stosunkowi t. zw. krakowskiego kierunku czy do całości rozwoju porozbiorowej historjografji polskiej, czy też do rozwoju i stanu historjografji naszej od r. 1863 aż po czasy dzisiejsze.

Zachodzi tu szereg oczywistych nieporozumień, określania życzeń i nadziei jako obiektywnych faktów, a także istotnych naukowych pomyłek, które czem prędzej należy usunąć.

Stan historjografji naszej do ostatnich czasów, pojętej jako całość, nie upoważnia w niczem do ogłoszenia z naukowego stanowiska zasadniczego i ogólnego zwrotu w ocenianiu naszej przeszłości — w tem rozumieniu, że co dotąd miano za czarne — odtąd białem zwać się będzie.

Studjum prof. Balzera doskonale zbudowane pod względem ściśle logicznym, stanowi zwięzłą próbę rewizji zasadniczych poglądów na cechy ustroju Polski aż po czasy 3 Maja — i to zarówno pod względem państwowym, jak i społecznym. Pisane zaś jest pod określonym kątem widzenia: rozprawy z tymi, którzy w wadach ustroju widzą główną i istotną przyczynę upadku Polski.

Jedna tylko, w układzie całej rozprawy, zachodzi dysproporcja. Ostateczny wniosek nie wypływa bynajmniej z szeregu konkretnych spostrzeżeń, poświęconych historii ustroju Polski. Dysproporcja ta jest zresztą wynikiem przecenienia znaczenia ustroju Polski i jego stosunku do innych stron naszej przeszłości. Autor słusznie, ze swego stanowiska, zaznaczył: „Uwagi, jakie tu zestawiliśmy, wykazały bezzasadność jednej tylko z przesłanek całego poglądu, a mianowicie, jakoby przyczyna upadku tkwiła w stosunkach ustrojowych Polski. Wartości i zasadniczości innych przesłanek nie mieliśmy zamiaru badać, ani też nie posiadamy do tego legitymacji“. Po tem zastrzeżeniu, które każdy uzna, wyjąwszy, iż legitymacja czcigodnego badacza obejmuje o wiele szersze tereny naszej przeszłości, spotykamy się zaraz ze zdaniem, na które już trudniej się zgodzić: „Ale już i ten częściowy wynik, jaki się dał uzyskać, przedstawia dla oceny całej kwestji znaczenie pierwszorzędne, bo stosunki ustrojowe, z istoty rzeczy, są jednym z najistotniejszych warunków żywotności państwa; muszą też najpoważniej zaciężać na szali, kiedy chodzi o rozwiązanie określonego powyżej zagadnienia“. W zdaniu tem jest więc zawarte obniżenie znaczenia innych przesłanek, których Balzer nie zamierzał omawiać. I znowu niżej spotykamy się z zdaniem, sprzecznem z założeniem pracy, pomijającej te inne przesłanki. Autor twierdzi bowiem: „i tak chwieją się i coraz bardziej rozplývają w niwecz jedna po drugiej przesłanki, na których opiera się pogląd o przyczynach upadku Polski — tkwiących w niej samej“. Na sąd ten trudno się zgodzić,

zważywszy, że autor w krótkim ustępie wymienia trzy tylko przesłanki, a to położenie geograficzne, niezdolność do silniejszej organizacji państwowej i błędną politykę zewnętrzną doby rozbiorowej (i brak geniusza militarnego).

A więc mimo podkreślone zastrzeżenia autora sąd ostateczny jest osnuty wyłącznie na historii ustroju. Sąd ten bardzo znamieny, a ze względu na powagę nazwiska ma ogromne znaczenie we współczesnym naukowym ruchu: wykracza bowiem daleko poza ramy wiedzy ścisłej, staje się walnym argumentem w życiu umysłowym i w całym życiu publicznym. Balzer konkluduje: „Właściwą rozstrzygającą przyczyną upadku naszej państwowości, istotną „*causa efficiens*“ tego zdarzenia, jest: pożądlivość z łą c z o n y c h, w i ę c p r z e m o ż n y c h, na zgubę Polski sprzysiężonych sąsiadów. I to nie tylko w tem znaczeniu, że upadek ten spowodowany został bezpośrednio rozbiorami, jakich dokonali sąsiedzi, ale i w tem, że gdyby nie rozbiory, nie istniała ani konieczność dziejowa upadku, ani też nie brakło warunków po temu, żeby Polska, przetworzywszy w stosownym czasie urządzenia swoje narówni z innemi państwami, przetrwała razem z niemi przez dalsze stulecia, jako organizm żyjący i żywotny“.

Doszedł autor do tego poglądu, mimo wszystko, dzięki rozważaniom nie tylko cech ustrojowych, ale pewnej argumentacji politycznej. Mieści się ona w uwadze o „złączonych, więc przemożnych“ sąsiadach. O tej przemożności złączonych sąsiadów Fryderyk II innego był zdania, czego dowiódł podczas wojny siedmioletniej. Innego też była zdania Polska jeszcze za czasów Jana Kazimierza, broniąc się do upadłego mimo walki na wszystkie fronty. Teza ta o przemożności złączonych sąsiadów prowadzi wprost do uznania zasady fatalizmu.

Ileż więcej słuszności tkwi w surowym sądzie Bobrzyńskiego: „nie granice i nie sąsiedzi, tylko nieład wewnętrzny, przyprowadził nas o utratę politycznego bytu“.

Przerost historii ustroju w stosunku do innych stron dziejów Polski stanowi ciekawe zjawisko naszej umysłowości. Jest to niewątpliwie jedna z głębszych przyczyn, działających w naszej nauce poza wszelkimi nastrojami chwili i politycznemi prądami. Jednostronnie uprawiana, doprowadziła do wyjałowienia terenu, na którym może wyrość nowa i rzetelna synteza dziejów Polski.

Od morfologii jednak ustroju, jaką nam rysują „Zagadnienia ustrojowe“ — droga daleka do fizjologii tegoż ustroju, cóż dopiero

od całości pytań, związanych z ustrojem, do ogólnej syntezy przyczyn upadku Polski.

Rys ustrojowy w gruncie rzeczy mało mówi. „Wiele jest rzeczy, które jak w myśli wystawione, ukazują się być powabne i użyteczne, tak przy wykonywaniu stają się złe i szkodliwe. Piękna to jest myśl, aby wolny lud, na jedno pole zgromadziwszy się, obierał z pomiędzy siebie najcnotliwszego za króla. Polacy tę władzę mieli i wolne króla obieranie stało się największą ich nieśczęśliwością przyczyną“. Inny znowu znakomity pisarz i historyk, uznając nawet, i to gorąco, zalety naszych instytucyj, podkreślił przerażający upadek moralności publicznej, jako istotną, choć nie wyłączną przyczynę naszego upadku.

Prof. Balzer rozpatruje zatem szereg rysów morfologicznych ustroju Polski, przyczem chodzi mu głównie o Polskę XVIII w. Nacisk metodyczny kładzie autor na porównanie rozpatrywanych ustrojowych rysów niektórych naszych urządzeń z urządzeniami zagranicą. Przedmiotem porównania są niemal wyłącznie formy prawne. Typowy przykład odnośnej argumentacji może stanowić porównanie naszej elekcji z zasadą elekcji zagranicą. Autor wskazuje, iż dynastia Habsburgów wprowadzała zasady absolutyzmu, jakkolwiek w Czechach do r. 1627, a na Węgrzech nawet do r. 1722—1723 obowiązywała w zasadzie elekcyjność tronu. Wskazuje także autor, że elekcyjność utrzymała się dłużej niż w Polsce w ustroju niemieckiego państwa, stąd autor dochodzi do wniosku, że elekcyjność sama przez się nie była czynnikiem, rozstrzygającym o braku żywotności organizmu państwowego Polski. Stwierdza jednak autor, że byłoby niewątpliwie lepiej, gdyby zasada dziedziczności tronu ustaliła się wcześniej w Polsce.

Niewątpliwie normy prawne, nawet w formie tak oderwanej, dadzą się porównywać. Dziać się to jednak może jedynie na terenie prawa porównawczego. Nam to porównanie nie wystarcza, nie uwidatnia bowiem różnic pomiędzy danymi instytucjami, nawet pod względem prawnym — i to znacznych, które zachodziły pomiędzy formą elekcji w Polsce a formami elekcji w Czechach, na Węgrzech i w Niemczech. Cóż dopiero mówić o stosunku zasady elekcji do całości ustroju państwa czy w Polsce, czy we wskazanych krajach ościennych, a wreszcie o całej polityce elekcyjnej tu i tam. Bardzo więc niewielką wydaje się nam praktyczna wartość wniosków, wysnutych tą drogą porównywania wyłącznie istoty zasad prawnych, gdy chodzi o wartość ustrojową danej zasady w historii Polski. Nie

ulega jednak wątpliwości, że program metodyczny autora sam przez się zasługuje na uznanie — jedynie jednak jako jeden z momentów, obowiązujących w badaniu polskich instytucyj.

Na podstawie powyższego ustępu o zasadzie elekcji w Polsce i zagranicą dojść można do wniosku, potwierdzającego podkreślone przez nas zjawisko względnej małomówności cech ustrojowych.

Istotnie, zachodzi rozdźwięk pomiędzy podkreślonemi wyżej końcowemi wywodami, nacechowanemi skrajnym optymizmem, a szeregiem konkretnych spostrzeżeń, opartych na mniej więcej harmonijnym doborze światła i cieni. Ponad wszelką zatem wątpliwość, że stanowiska porównawczej historii ustroju państw europejskich instytucje nasze nie były żadnym osobliwym tworem. Autor w całym szeregu wypadków wykazuje, że instytucje, czyto stanowiące organizację państwową, czy urządzenia społeczne, mają nie tylko analogję zagranicą, czasem nawet przetrwały zagranicą dłużej, niż w Polsce. W badaniu tych konkretnych zagadnień ustroju, wywody autora są nacechowane wysoką naukową obiektywnością w ocenianiu znaczenia historii ustroju.

Tak np. Balzer wprost pisze: „Zagadnienie ekonomicznego upadku miast polskich, pozostanie dla nas ważnym tematem dociekań naukowych, tyle pewna, że nie można go rozwiązywać kluczem ustrojowym, że przyczyn tego upadku szukać należy poza organizacją miejską“. Jeżeli tak, a słuszność uwagi jest wprost bijąca, to jakże można, pytamy, zapomocą klucza ustrojowego rozstrzygać o całości przyczyn upadku Polski?

Z przekonania podpisujemy pogląd Balzera na szkodliwość używania terminu „średniowieczny“ w znaczeniu ujemnem. Jest to istotna zdobycz naukowa i odkrycie. Rzecz ma głębokie znaczenie, ponieważ niejedna instytucja i niejedno w naszych stosunkach społecznych, niejedna fundamentalna idea pochodziła, a i pochodzi jeszcze z wieków średnich. Są to fakty, czasem może ujemne, częściej jednak stanowiące tytuł chwały dziejów Polski.

Ustępy poświęcone sejmowi, liberum veto, sejmikom, są skreślone na podstawie czysto prawniczej konstrukcji. Fachowy autoritet badacza jest tak wielki, że nie ośmielam się na formułowanie własnego zdania. Punkt ciężkości kwestji nie leży jednak w historii ustroju, lecz w funkcjonowaniu instytucji. Gdyby one rzeczywiście znośnie funkcjonowały, nie potrzebowałby Konarski pisać dzieła: „O skutecznym rad sposobie“, a Lelewel nie nazwałby całego tego okresu czasu „drzymnym“. Zasada „prawem i lewem“, jej oparcie

na jednostronnym materiale źródłowym spotkało się z należytą odprawą ze strony autora, który równocześnie stwierdza, że Polska XVII i XVIII w. nie była arką przymierza społecznego, i krajem uporządkowanych wszechstronnie stosunków prawnych. Werdykt jest tak dalece surowy, że autor uznaje, iż „zjawiska anarchji społecznej, choć nieobce także współczesnemu Zachodowi, mogły być liczniejsze i częściej powrotne w Polsce“.

Anarchja, idąca z dołu, jaka wreszcie zapanowała w Polsce, była niewątpliwie zjawiskiem bezporównania groźniejszym zarówno dla państwa jak społeczeństwa, niż anarchja z góry, na którą, słusznie zresztą, zwraca uwagę autor.

Obydwa systemy, obydwie ostateczności były i są w gruncie rzeczy jednakowo złe i szkodliwe zarówno dla państwa, jak dla społeczeństwa. Problem zaś rozwoju państwa i społeczeństwa polega na zachowaniu zasady koniecznej, choć trudnej do osiągnięcia, równowagi. Słusznie zwrócił uwagę Spasowicz na głębokie spostrzeżenia Rembowskiego i Pawińskiego. Rembowski zauważył: „Jakkolwiek też korona była zwycięskim zwiastunem idei jedności i całości państwa na zachodnim kontynencie, to z drugiej strony zniweczyła udział społeczeństwa w życiu publicznem, podkopując tem samem w znacznej części przywiązanie do publicznego dobra, a w Hiszpanji, ścigając naukę, jako przestępstwo, zdołała pokryć w zupełności godność człowieczą całunem śmiertelnym“.

Pawiński zaś mówi: „Na wąskiej krawędzi polega równowaga sił państwa i społeczności. Wielka ta budowla państwa łatwo się to w jedną, to w drugą pochyła stronę. Kiedy się na prawo przeważy, to się prędko rozsypuje w gruzy i rozpada na atomy, a gdy się na lewo nachyli, to jak zwalisko skamieniałe, zasypie ożywcze źródła życia i przybije do ziemi podniosłą indywidualność ducha“¹.

Uwagi tych pisarzy dowodzą, że w historjografji naszej znaczenie indywidualizmu w ramach naszego ustroju było oceniane w całej pełni, o ile idzie o jego dodatnie strony.

Spostrzeżenia, poświęcone zasadzie elekcji czy administracji, występują we wszechstronnem rozważeniu ujemnych i dodatnich stron systemu. Brak właściwej państwowej administracji ocenia Balzer jako stanowczą wadę ustroju. Odnosne kwestje są poruszone jako przyczynki do odpowiedzi na pytanie „dlaczego w Polsce nie doszło czy dojść nie mogło do stworzenia monarchji absolutnej“. Fundamentalne to zagadnienie pozostaje i nadal bez odpowiedzi.

¹ Spasowicz, Adolf Pawiński. Kwartalnik Historyczny XI, str. 510.

Uderza przesunięcie perspektywicznego punktu w czasy stanisławowskie, ba nawet Konstytucji 3 maja. Rozumie się, że cała ocena ustroju Polski, a zwłaszcza jego zdolności rozwoju i żywotności na przyszłość inaczej się przedstawia ze stanowiska czasów stanisławowskich, inaczej znowu ze stanowiska końca okresu Sasów, co w jednym miejscu uznaje sam autor. Niestety jednak, źródła przetwarzania ustroju Polski na lepsze, od doby stanisławowskiej począwszy, tkwią tylko poczęści w naszej własnej świadomości, i z naszej wypływają woli. Wąży tu przecież ogromnie interesa i siła mocarstw ościennych, w pierwszym rządzie Rosji. Te ostatnie nie mogą być oczywiście zapisane na *h a b e t* naszego ustroju.

Sprawa chłopska i sprawa poddaństwa mają w osobie autora rzeczoznawcę, którego zdanie ma w tym wypadku powagę autorytetu. Cenne więc jest niezmiernie spostrzeżenie, że ciężar pańszczyźniany stosunkowo najłagodniej ułożył się na Rusi, a pogląd o rzekomo niesłychanym ucisku chłopów polskiego jest poprostu wysoce przesadzony, zwłaszcza ze stanowiska porównawczego.

Szereg rozważań, poświęconych konkretnym zagadnieniom z historii ustroju, kończy się stwierdzeniem kilku ogólnych zasad. Najważniejsze z nich cytujemy.

Instytucje polskie t. zw. samorodne należy „ocenić bądźto ze względu na samą ich wewnętrzną treść i wartość, bądź też na tle ogólnych stosunków współczesnej doby“. Przeważna jednak „część urządzeń wewnętrznych polskich znajduje odpowiedniki w urządzeniach innych współczesnych państw europejskich“. „W tym czy w owym kierunku stosunki ułożyły się w Polsce mniej pomyślnie“, niż na Zachodzie. „W niejednym (jednak) szczególe przedstawiają się jako lepsze i doskonalsze“.

Szereg zaś niedomagań ustrojowych istniał „w przeważnej mierze przez cały ten sam przeciąg czasu także i w innych państwach zachodnich“.

Tak zatem w ogólnych zarysach przedstawia się schemat wywodów autora, poświęconych kwestjom czysto ustrojowym. Żałować jedynie wypada, że jak dotąd, rzecz nie wyszła w opracowaniu naukowym, popartem cytatami i wszechstronnym rozbiorem spornych kwestyj, których jest bezliku. Tymczasem praca o *d r a z u* została przeznaczona dla szerszej publiczności.

Chętnie uznajemy, że niektóre spostrzeżenia są poparte przez dawniejsze rozprawy Balzera. Jednak szereg tych spostrzeżeń jest niewielki. Zresztą, ani szeroka publiczność z zasady, ani bardzo

wykształcony czytelnik, często nawet fachowiec, nie mogą kontrolować tych ustępów, w których ma miejsce zmiana poglądów samego autora. A zmian tych jest dosyć. Wystarczy przejrzyć „Konstytucję 3 maja“ i zgrubsza porównać ją z „Zagadnieniami“. Jakkolwiek „Konstytucja“ była napisana w skrajnie pesymistycznym duchu, autor, mimo własnych zastrzeżeń uważał ją za godną rozpowszechnienia jeszcze w r. 1907. Cóż dopiero mówić o tych kwestjach, które obecnie są postawione przez autora po raz pierwszy.

Fakt ten podnosimy tem śmieiej, że nietylko uznajemy prawo każdego badacza do zmiany poglądu w miarę postępu badań, własnych trudów i własnego duchowego rozwoju, ale tem bardziej, że żywimy cześć dla autora, który świeci wszystkim przykładem nie-
spożytej benedyktyńskiej pracy.

Gdy jednak na powszechnym naukowym wiecu nie wolno być neutralnym, a raczej nikt nie powinien zgóry uwalniać się od wyrażenia zdania, podnieśmy, że nie przekonał nas optymizm, wiejący, mimo wszelkie zastrzeżenia, z kart „Zagadnień“. Chciałoby się ujrzyć analizowane przez autora cechy ustroju — w życiu. Może wówczas wrażenie byłoby inne i inny sąd wypadłby o ustroju.

Tak, jak jest, widzimy w „Zagadnieniach“ bardzo śmiałą, bardzo logiczną próbę rewizji panującego poglądu, o wartości programu — hipotezy. Daje ona jedynie konstrukcję ściśle prawniczą, oderwaną od życia, rzuconą na tle porównawczem, bez uwzględnienia stosunku prawa do życia — także i zagranicą.

Zasłóńmy się wobec autorytetu badacza innym autorytetem. Weźmy „Kazania Sejmowe“ Skargi do ręki. W Kazaniu „O Monarchji i Królestwie“ napisze Skarga o tem, co myśli o mierzeniu naszych instytucyj zagranicznymi analogjami, bez uwzględnienia stosunku ustroju do całego splotu życia: „Przezacni panowie. Nie czyńcie z królestwa polskiego niemieckiego rzeskiego miasta! nie czyńcie malowanego króla, jako w Wenecyj, bo weneckich rozumów nie macie i w jednym mieście nie siedzicie“. Ogólny zaś sąd Skargi o cechach naszego ustroju i jego wadach ma wielką siłę przekonania po dni dzisiejsze, tak jak ją miał w epoce Sejmu Czteroletniego, gdy „Kazania Sejmowe“ po dwustu latach zostały ponownie w całości przedrukowane, jak na to zwrócił uwagę prof. Chrzanowski. Są zresztą fakty i zjawiska — u nas i zagranicą, które mimo podobieństw, porównywać się wogóle nie dadzą. Nie można więc naszej zasady elekcyjnej, gdzie króla wybierał ogół szlachty,

porównywać z zasadą obowiązującą w elekcji króla niemieckiego, gdzie koło elektorów składało się z kilku osób.

Nietylko Skarga, ale, rzecz można, powszechna opinia, czy pisarzy politycznych, czy również najwybitniejszych mężów stanu była zawsze, począwszy od końca XV w., za daleko idącą reformą ustroju. Nie chodzi tu o żaden werdykt moralny, zły czy dobry, o ustroju Polski, nie o sąd nad nim. Ustrój starej Polski może i „winien nam pozostać szanowną, czcigodną pamiątką przeszłości naszej dziejowej, do której zbliżyć się nam z uznaniem i czcią ze względu na spełnioną w swoim czasie służbę, nie powziętem zgóry uprzedzeniem i potępieniem“. W sposobie traktowania problemu zgodni jesteśmy najzupełniej z czcigodnym autorem. Chodzi jednak o ocenę, w jakim to czasie służba publiczna została przez stary ustrój Polski spełniona, i na czym się ta służba skończyła.

Odpowiedź na to dają bardzo szacowne i także czcigodne pomniki naszej przeszłości. Ze świadectwa Skargi wynika, że służba tego ustroju w zasadzie była skończona już z końcem XVI w., kiedy Rzeczpospolita w ciągu 15 lat przeszła przez paroksyzm trzech elekcji, które zachwiały podstawami ustroju. Jest to granica dla nas bezwzględnie pewna, jakkolwiek pod względem mocarstwowym rozwija się jeszcze Polska przez pewien czas świetnie. Faktem pozostanie, że mimo odczucia potrzeby reformy, czy w zakresie elekcji, czy w zakresie sejmu i sejmiku, nie zdobyliśmy się na reformy. Z faktem tym pozostaje niewątpliwie w związku niemożność znalezienia ustrojowego wyrazu dla powszechnie odczuwanych religijnych, państwowych i społecznych bolączek. Dość przypomnieć sprawę dyzunitów, czy sprawę kozacką, czy też niespełnienie kazimierzowskich ślubów, niemożność zrealizowania hadziackiej ugody.

Suma tych zjawisk streszcza się w niedomaganiach stosunku, zachodzącego pomiędzy ustrojem państwowym a społecznym. Minimum konieczności państwowych ze względu na obronę zewnętrzną i ład wewnętrzny, minimum konieczności społecznych, broń Boże nie nowoczesnych, lecz wynikających z pojęć naszych polskich XVII w. — nie mogło być zrealizowane. Stary zaś ustrój Polski skończył na tem, że przestał służyć własnemu państwu i rozpoczął służbę obcą, pod gwarancją. Było to niewątpliwie zwyrodnienie.

Czy można ze stwierdzeniem tego faktu wyprowadzać nieuchronność upadku Polski. Nie. Byłby to taki sam błąd naukowy, jak rozgrzeszanie starego ustroju Polski. Źródła odrodzenia pań-

stwa i społeczeństwa leżały jeszcze przed nami szeroko otwarte i tkwiły znowu nie w stosunkach zewnętrznych, ale w nas samych, choć nie godzi się lekceważyć tych czynników zewnętrznych.

Autorzy Konstytucji 3 maja nie byli żadnymi sędziami starego ustroju Polski. Byli właśnie reformatorami, przeświadczonymi o konieczności ewolucji, a nie gwałtownej rewolucji. Mieli oni pełne poczucie historycznej tradycji, w czym zgodni są wszyscy historycy i historycy prawa. Na ich sądzie historycznym o ustroju starej Polski można śmiało się oprzeć, a sąd ten — to smutny triumf i najlepszy sprawdzian przestroég Skargi. W artykule I wielkopomna ustawa taki rzuca obraz przeszłości: „Uznając, iż los nas wszystkich od ugruntowania i wydoskonalenia konstytucji narodowej jedynie zawisł, długim doświadczeniem poznawszy zadawnione rządu naszego wady, a chcąc korzystać z pory, w jakiej się Europa znajdzie, i z tej dogorywającej chwili, która nas samym sobie wróciła, wolni od hańbiących obcey przemocy nakazów ceniąc drożey nad życie, nad szczęśliwość osobistą, exystencją polityczną, niepodległość zewnętrzną narodu“...

W artykule VII czytamy: „Żaden rząd naydoskonalszy bez dzielney władzy wykonawczey ostać się nie może. Szczęśliwość narodu od praw sprawiedliwych, praw skutek od ich wykonania zależy. Doświadczenie nauczyło, że zaniedbanie tej części rządu nieszczęściami napełniło Polskę“.

Całkiem też słusznie, już dawniej, zwrócił uwagę prof. Sobieski na ustęp tegoż artykułu, traktujący o elekcji: „tron polski elekcyjnym przez familie mieć nazawsze chcemy i stanowimy. Doznane klęski bezkrólewów peryodycznie rząd wywracających, powinność ubezpieczenia losu każdego mieszkańca ziemi polskiej i zamknięcia na zawsze drogi wpływom mocarstw zagranicznych, pamięć świetności i szczęścia oyczyzny naszej, za czasów familii ciągle panujących, potrzeba odwrócenia od ambicij tronu obcych i możnych Polaków, zwrócenia do iednomyślnego wolności narodowej pielegnowania, wskazały roztropności naszej oddanie tronu Polskiego prawem następstwa“.

Nie może też być przypadkiem zasadnicze pokrewieństwo pojęć Skargi i autorów Konstytucji o bardzo względnej wartości ustroju. Skarga mówi, iż ustrój, dobry w chwili powstania, po pew-

nym upływie czasu potrzebuje odmiany: „Są rzeczy jedne różne od drugich: dla odmiany ludzkich obyczajów odmieniać się też prawa mają, aby miasto pożytku, szkody wielkiej nie czyniły“. Myśl ta zostaje rozwinięta w VI artykule Konstytucji w doniosłym zdaniu: „zapobiegając z jednej strony gwałtownym i częstym odmianom konstytucji narodowej, z drugiej uznając za potrzebę wydoskonalenia onej, po doświadczeniu iey skutków, co do pomyślności publiczney i porę i czas rewizyi i poprawy konstytucyi co lat dwadzieścia pięć naznaczamy“.

Takie oto zastrzeżenia podnosimy, czytając rozprawę Balzera. Mamy ją jednak w ogólności raczej za objaw reakcji przeciw jednostronnemu i bezgranicznemu potępianiu ustroju starej Polski, niż za bezwzględną obronę tego, co bezpowrotnie potępiła Konstytucja 3 maja.

Tem większe jest niebezpieczeństwo, gdy idzie w szeroki świat hipoteza, poparta wielkim autorytetem nazwiska, że zostanie źle zrozumiana, a nawet nadużyta. Uczniowie i naśladowcy hipotezę ogłoszą za pewnik, odrzucą nawet widoczne zastrzeżenia twórcy poglądu, i śpieszą przekuć go na codzienną zdawkową monetę. Szlachetny kruszec zostanie w gabinecie twórcy i co najwyżej nie licznych uważnych czytelników, a szeroka publiczność używać będzie bronzu i niklu i według nich sądzić o złocie i srebrze. Coś podobnego stało się z omówioną publikacją ¹.

* * *

Rozprawy prof. Kutrzeby poruszają bardzo rozległe i poważne pytania. „Wady i zadania naszej historjografji“ poświęcone są postulatowi nowej syntezy historii Polski. Jednak zarysy tej nowej syntezy widzi już autor (jak wynika z jego uwag w „Wartościach historycznych“, poczęści zaś w „Charakterystyce“) w pracy Balzera, we własnej „Charakterystyce“, a przede wszystkim w „Duchu dziejów“ Chołonińskiego. W niewątpliwiej też dążności do nowej syntezy sięga Kutrzeba do najzawilszych zagadnień naszej przeszłości w rozprawie, p. t. „Przeciwieństwa i źródła polskiej i rosyjskiej kultury“.

Racja jest niewątpliwie po stronie Kutrzeby, gdy chodzi o zasadnicze uznanie potrzeby nowej syntezy dziejów Polski; zasługa

¹ Balzer O., Nowe zagadnienia ustrojowe.

niemała, że potrzebę tę śmiało głosi. Zgodzić się też można na twierdzenie, że konieczny jest w tym kierunku zorganizowany zbiorowy wysiłek historyków. Na dalsze jednak wywody autora trudno się pisać, i to z najrozmaitszych przyczyn. Podnieśliśmy już na wstępie, że autor na próby syntezy, zarówno własne, jak inne, patrzy jako na ostry zwrot przeciw zapatrywaniom t. zw. szkoły krakowskiej. Wspomina też o niej parokrotnie, przypisując jej przede wszystkim pesymistyczny pogląd na przyczyny upadku Polski, i to tkwiące w niej samej, a szczególnie w ustroju Polski. Te wskazania szkoły krakowskiej miały też, według autora, zaznaczyć się wyraźniej podczas obecnej wojny. Jednak po rozprawach czy Balzera, czy własnej autora, czy też po niedawnych konferencjach historycznych w Krakowie¹ — konkluduje autor — szkoła krakowska już upadła; poprostu jej nie ma.

Autor najwidoczniej na tym punkcie czyni aluzję, nietylko ściśle naukowej, ile politycznej natury, które w jego rozumowaniach, niejako z punktu wyjścia, odegrały zapewne znamioną rolę. Tę stronę rzeczy pozostawiamy zupełnie na uboczu.

Recenzent jest obowiązany stwierdzić, wyłącznie na podstawie omawianych publikacji, o ile autor przeprowadził swe zamierzenia, o ile udowodnił, że wskazane przezeń prace istotnie prowadzą do nowej, naukowej syntezy dziejów Polski, względnie są jej zapowiedzią.

Podziw i uznanie, koleżeńską wdzięczność za niestrudzoną i owocną naukową działalność autora, każą nam jednak tem otwarciej podnieść, że te syntetyczne dążności i próby, jakim obecnie dał wyraz, wywołują uczucie zawodu. W dodatku, w wywodach autora nie brak zasadniczych sprzeczności; niewiadomo, co o nich sądzić: czy są one wynikiem pośpiechu, czy też zbyt wygórowanej chęci służenia nauką historyczną potrzebom codziennej chwili. Jedno i drugie nie może podnieść naukowego poziomu przyszłej syntezy i zgóry skazuje ją na naukową śmierć.

Historjografia polska ostatnich dziesiątków lat przed wojną nie ponosi tak wielkiej winy, jaką ją obarcza autor na punkcie rozumienia potrzeby syntezy. „Zagadnienia ustrojowe“ prof. Balzera stanowią najlepszy dowód, że historia ustroju Polski, mimo tak żywej i w całości niemal syntetycznej pracy na tem polu,

¹ Odczyty, wygłoszone na tych konferencjach, ukazały się drukiem w zbiorowej publikacji p. t.: *Przyczyny upadku Polski*. Warszawa—Kraków, Gebethner-Wolff, 1918.

jeszcze nie posiada ostatecznej, przynajmniej na szereg lat nie-spornej, syntezy. Cóż dopiero mówić o syntezie całości dziejów Polski.

Nowa synteza nie może się urodzić z odczucia jej potrzeby, a nawet z odpowiedniej działalności organizacyjnej, choć dalecy jesteśmy od niedoceny jej wagi. Przecież od 28 lat podnosi się nieustannie potrzebę zbiorowego opracowania dziejów Polski, poczynawszy od referatu prof. Finkla na II Zjeździe historycznym. Jednak składane i kompilowane dzieje Polski, jakkolwiek mogą wzorowo liczyć się z istniejącą literaturą — jeszcze same przez się — nie stanowią syntezy.

Niema w tem winy wyłącznie historjografji. Przecież i plan Encyklopedji podjęty przez Akademię i pochwalony przez autora — stanowi krok na drodze do nowej syntezy. I on datuje się już nie od dnia wczorajszego. Jednak, choć jest to krok poważny, nie doprowadzi on jeszcze jednym zamachem do nowej syntezy, a nawet, jak dotąd, niewiadomo, czy odnośne opracowania, każde z osobna, nie mówiąc już o ich zespoleniu, będą owiane prawdziwą syntetyczną dążnością, a nie będą miały charakteru kompilacyjnego. Syntetyczne wysiłki ludzkiego ducha naogół nie godzą się z zasadami zbiorowej, zorganizowanej, naukowej pracy. Zasada organizacji jest bezwzględnie słuszna, gdy chodzi o wykonywanie prac na podstawie ustalonych i panujących zapatrywań. Natomiast jakiegokolwiek śmielsze posuwanie wiedzy naprzód, jakkolwiek kolizja z *opinio communis* uczonego świata, nie daje się wtłoczyć w konwencjonalne ramy zbiorowej pracy pod jakąkolwiek dostojną naukową i zbiorową firmą. Dobrze to określił Lelewel, gdy napisał: „tylko jędror kupą indyki wodzi, — lew, moi bracia, sam jeden chodzi“.

Autor patrzy na syntezę z bardzo prostego stanowiska. W ramach tego poglądu każda kompilacja ma już być syntezą? Autor pisze: „Nasza historjografja utonęła w monografiach; nie dała od dziesiątków lat syntezy całości... okres monograficzny był potrzebny, konieczny. Zasługi tego okresu monograficznego, na który przypada także znaczny ruch w zakresie wydawnictwa źródeł, są doniosłe, duże. Lecz okres ten trwał niepomieranie długo, za długo, jako okres wyłącznie monografij, pozbawiony prawie zsumowania badań w syntezach większych kawałków historii, zupełnie zaś zsumowania monografij w jedną całość historii polskiej.

A jednak, iż na syntezę nawet całości można się zdobyć i to na syntezę w jeszcze większym zakresie, dowodem te tomy Encyklopedji polskiej, które się ukazały...

Drugą wadą w naszej historjografji — to dezorganizacja pracy, o ile chodziło o monografię... Oto niektóre kwestje, nieraz podrzędne, stanowiły przedmiot licznych dociekań, inne, i to właśnie pierwszorzędnej doniosłości, pozostały nietknięte...“ Obok tego argumentu wysuwa autor jeszcze inny. Autor sądzi, że wojna wywołała większe zainteresowanie naszymi dziejami, a po wojnie ten interes może się zmniejszyć. Tak, dosłownie, ponieważ po wojnie nie będzie czasu na pisanie historji, ponieważ społeczeństwo będzie zajęte odbudową. Nasze zdanie jest wprost przeciwne; prawda jednak, że każdy może mieć własne doświadczenie wojenne. Otóż, zgodnie z prof. Tokarzem nie widzimy, by społeczeństwo okazywało szczególne zainteresowanie do nauki dziejów, by naprawdę z niej korzystało. Ale, o ile zainteresowanie istnieje, względnie będzie się rozwijało, raczej narazie żyć trzeba z tego, co wypada uważać za kapitał naszej wiedzy historycznej, a nie nagwałt przetwarzać nasz gmach syntetyczny. Zacznie się bowiem wówczas naprawdę dziać źle ze stosunkiem wiedzy do społeczeństwa, zagraża przeniesienie namiętności chwili na teren nauki.

Nie zgadzamy się zatem z określeniem stosunku syntezy do monografi. Pierwiastki syntezy i analizy — to nieodłączne znamiona każdej pracy naukowej, każdej „syntezy“ (w rozumieniu Kutrzeby) i każdej monografi.

W pojęciu syntezy tkwi znamię twórczości naukowej. Nie jest to czynność polegająca na s u m o w a n i u. Potrzeba siły twórczej, by ująć każdy naukowy problem, czy „wielki“, czy „mały“. Tem więcej siły twórczej musi się wydobyć, gdy chodzi o opracowanie całości dziejów Polski, i to nie tylko ze stanowiska ostatnich badań naukowych, ale tak, by ukazać w przeszłości wszystko, co jest zdolne zobaczyć i objąć dzisiejsze społeczeństwo, z ogromem swych doświadczeń. Fakt, że społeczeństwo i fachowa literatura w dobie przed wojną takiego dzieła czy takich dzieł nie wydały, ma przyczyny bardzo głębokie. Tu nie wystarczy napisanie planu, programu, rozdzielenie ról między kilku czy kilkunastu autorów i wyszukanie nakładcy. Nie tu miejsce na zgłębianie tej doniosłej kwestji. Faktem jest jednak, że obraz całej niepodległej Polski był i jest od r. 1772 wciąż żywym problemem politycznym, zanadto raniącym nasze współczesne uczucia, by można było wysnuć syn-

tezę tej niepodległej przeszłości ze stanowiska obiektywnej prawdy. Można także wskazać na drugą przyczynę: jest nią brak bezpośredniego kontaktu z żywą siłą państwa w oświeclaniu jego przeszłości; niemoc to zatem, mająca źródło w zjawisku niewoli. Czy pod temi, czy pod innemi względami, stan rzeczy po wojnie nie pogorszy się, lecz niewątpliwie polepszy.

Nie znam okresów syntetycznych i monograficznych. Jedno i drugie w normalnym ruchu naukowym musi się nieustannie wzajemnie uzupełniać. Ruch monograficzny właśnie wzmacniać się powinien i nigdy go nie jest za mało. Nie wątpię, że przyzna sam autor, jak wielkie trudności musi zwalczyć każda próba objęcia nie całych dziejów Polski, lecz chociażby jednego okresu, z powodu mnóstwa luk i szeregu źródeł nietkniętych przez krytykę. Są zresztą doniosłe tematy, które potrzebują szeregu monografij, ku którym chętnie powraca umysł badacza, bez względu na to, że ktoś już dany temat opracował. Przecież nauka historyczna to nie repertorium biblioteczne czy archiwalne, ani registratura aktów, gdzie można poprzestać na skontrolowanej sumienności sporządzającego. Nauka wiecznie musi się odnawiać, a społeczeństwo cywilizowane potrzebuje i wymaga, by siła ducha badawczego na chwilę nie przygasała. Ten duch badawczy, interes naukowy, w imię czystej nauki i indywidualnych potrzeb badacza, jest najlepszą asekuracją, by utylitaryzm społeczny, czy polityczny nie zapanował nad kryterjami ściśle naukowemi. O ileż słusniejsze od stanowiska Kutrzeby było zapatrywanie Bohrzyńskiego, który w przedmowie do I wydania „Dziejów Polski“ także zastanawia się nad stosunkiem syntezy do monografji. Wyłović dopiero trzeba w wywodach Kutrzeby, iż nie lekceważy wartości monografij, tylko chciałby, aby one właściwe zajmowały miejsce.

Przygana monografjom pozostaje jednak przyganą. Naszem zaś zdaniem nie można zgodzić się na syntezę, która się zaczyna od niedoceniań badawczego ducha nauki, a pojęcie syntezy w gruncie rzeczy sprowadza do kompilacji, popularyzacji i tym podobnych czynności, ulegających łatwej i szybkiej organizacji, najlepiej określonych przez autora jako czynność s u m o w a n i a.

Mówiąc o problemach, oczekujących na syntetyczne opracowanie, autor na pierwszy plan wysuwa i wytyka jako zaniedbanie naszej historjografji — kwestję upadku Rzeczypospolitej. „Na jej grób narzucali, zwłaszcza obcy, taki stos kamieni potępienia, że wyjść jej z grobu w opinji świata doprawdy ciężko. A jednak —

czy zbadała nasza historia te zarzuty, czy oceniła je, jak należy? Może w nich niejeden słuszny; ale dziś już można powiedzieć, iż dużo takich, które igraszką tylko są słów bez znaczenia. A jakże odpowiedzieć można, jeśli brak syntezy, która jedyna może dać podstawę do rozumowań własnych, do wniosków opartych na pewnych przesłankach?“ Doprawdy, że nie można zrozumieć, o co chodzi, czy o zaniedbanie pracy ze strony naszej historjografji, czy też o brak popularyzacji pracy naszych znakomitych uczonych, a więc Kalinki, Korzona, Smoleńskiego, Askenazego... czy też działalność tych uczonych — to także godna potępienia praca monograficzna? Inaczej autor nie wydałby werdyktu, że „wielkie pod tym względem i ciężkie są grzechy naszej historjografji“¹.

„Wady i zadania“, przeznaczone pierwotnie na Zjazd historyczny, kończy autor wyrażeniem zdania, „iż historyk, jeśli tylko na siłach się czuje, powinien najpierw brać tematy ciężkie swoją historyczną wagą, których jeszcze tyle, zostawiając na boku takie, które może ponętniejsze dla niego, ale mniej pilne“... „bo wiedza nasza i metoda upoważniają nas do tego, by dobrowolnie — nie obniżać lotów“.

W wiernem spełnieniu tej maksymy wziął się autor do przedstawienia „Przeciwieństw i źródeł polskiej i rosyjskiej kultury“. O pracy tej wspominamy na tem miejscu jedynie dlatego, by zaillustrować stosunek autora, i to autora szeregu wybitnych monografij, do pojęcia syntezy.

W traktowaniu tematu uderza pośpiech. Inaczej nie można sobie tego tłumaczyć, gdy się spotyka zdanie: „W końcu XV stulecia, w ostatnich latach rządów na Litwie polskiego króla Kazimierza Jagiellończyka († 1492), po raz pierwszy skrzyżowały się interesy Litwy i Moskwy“. Po raz pierwszy; tak dosłownie! (str. 9).

Autor stwierdza, że trudno się dopatrzeć wpływu Wschodu na kulturę Polski i uznaje go jedynie w rzeczach podrzędnych; ale kilka stron wstecz sam podnosi, że chłop polski nieraz później ruską posługiwał się mową. Wogóle autor lekceważy zupełnie fakt przerabiania przez Polskę najrozmaitszych elementów t. zw. wschodnich na pierwiastki polskiej myśli, czy państwowej czy cywilizacyjnej.

Koroną pośpiechu autora jest przyznanie się do ciekawych

¹ Z innych może powodów, miał jednak rację w tem zdaniu prof. Kutrzeba, a nie autor niniejszych uwag, z małą tylko poprawką, iż istotnie po wojnie wpływ literatury historycznej na formowanie opinji w sprawach publicznych podupadł.

rozmyślał: „Szukałem więc odpowiedzi... dlaczego nawet po usunięciu tego kamienia waśni polsko-rosyjskiej, jakim było władztwo nad ziemiami ruskimi, które Polska posiadała, do zżycia się nie przyszło, dlaczego Polska przeciw Rosji zbrojnie występowała, dlaczego Rosja nie wyciągnęła dłoni do zgody?“ Autor stawia bowiem pytanie: „czy więc współżycie Polaków z Rosjanami w obrębie jednego państwa nie jest wogóle możliwe?“ Nie daje jednak odpowiedzi na to delikatne pytanie, chce dać tylko wyjaśnienie streszczające się w tem, że po usunięciu państwowych antagonizmów pozostają jeszcze różnice, które widzi „w czterech dziedzinach kulturalnego życia Rosji i Polski: w religii, prawie, charakterze i obyczaju“.

Autor zapomniał tylko, że antagonizm państwowy to kamień obrazy nie tylko ze stanowiska Rosji, ale także i... Polski. Wobec tego antagonizmu błędą wszystkie inne kwestje, a dla Polaka czy z przed r. 1772, czy w r. 1916, czy dzisiaj kwestja niepodległości polskiej, opartej na naszej historycznej racji stanu, jest kwestją niezmiernie żywotną. Historyk Polski nie powinien wogóle stawiać takich pytań, jak: „Czy więc współżycie Polaków z Rosjanami w obrębie jednego państwa nie jest wogóle możliwe?!“

Pośpiech ten ma swą specjalną metodę, która mu ułatwia poranie się z najtrudniejszymi kwestjami. Autor, przedstawia jeden z najzawilszych problemów, stosunek katolicyzmu do prawosławia. Społeczeństwo pożąda syntezy, więc autor się śpieszy. Choć uznaje wpływ Niemców w historjografji za zbyt przemożny, sięga szybko do Harnacka: „Der Geist d. morgenländischen Kirche im Unterschied von der abendländischen“, i z tą latarnią niemiecko-protestancką zanurza się w najgłębsze odmęty polsko-katolickiej i prawosławnej duszy.

Nie, na takie pojmowanie syntezy polska historjografja powszechnej zgody nie wyrazi. Zarzucono szkole krakowskiej, w znacznej mierze słusznie, że hołdowała zbyttnio zasadzie *historia magistra vitae*. Tutaj, pod sztandarem zwalczania krakowskiej szkoły, ten charakter magistralny historji zostaje oddany na służbę, najzupełniej nieprzemyślanych koncepcyj, i to opartych nie na polskich źródłach, jeno na obcej literaturze, której dane autor powinien był krytycznie skontrolować, a nie stawać się ich niewolnikiem.

Prostoduszny stosunek Kutrzeby do problemu polsko-rosyjskiego odbił się ujemnie na pracy Chołoniewskiego. Przestrogą dla przedwczesnych i pobieżnych syntez w tym kierunku, nie opar-

tych na żadnem poczuciu odpowiedzialności, są następujące słowa, broń Boże, nie historyka kierunku krakowskiego, lecz Stefana Buszczyńskiego: „Aby rozprawiać i pisać o stosunkach Polski z carstwem i z narodem moskiewskim, trzeba być s p e c j a l i s t ą, trzeba najprzód zacząć od tego (warunek *sine qua non*), aby być w moskiewskich szkołach; trzeba słyszeć propagandę profesorów, widzieć postępowanie władz szkolnych; trzeba widzieć elementarze, książki; trzeba mieć za kolegów Moskali; trzeba być choćby nawet w przyjaźni z niektórymi Moskalami; trzeba z nimi sąsiadować; trzeba bywać w moskiewskich salonach; trzeba znać zarówno lud, jak arystokrację; trzeba znać urzędników, widzieć śledztwa; trzeba być w więzieniu, na Syberji, a przynajmniej znać sybirskich wygnańców; trzeba znać moskiewską literaturę całą, i czytać... czytać, bardzo wiele czytać“.

Wracamy do „Charakterystyki państwowości polskiej“. Ma ona zatem odpowiedzieć odczuwanej przez autora potrzebie syntezy, i to, znowu bodaj głównie, ze względu na wojnę. „Wojna — potrzebę syntezy wzmogła jeszcze; w gęstej mgłę, zarysowując się niejasno, przyszłość wkłada ludziom w usta pytanie o przeszłości, jaka ona była, jaka była jej wartość, jakie nasze były państwowotwórcze siły i zdolności“. Autor nie mówi dokładnie, co rozumie przez państwowość, pojmuję ją jednak, całkiem słusznie, szerzej, niż t. zw. historję ustroju.

Autor jak zawsze ujmuję przedmiot z dziwnie łatwą jasnością, co przeważnie jest wielką zaletą jego talentu. A więc schemat: I Państwa średniowieczne. II Nowożytne państwo na Zachodzie Europy. III Państwowość Polska w nowożytnej epoce. IV Przyczyny państwowych odrębności Polski. V Charakter reform polskiej państwowości przed upadkiem Polski.

Ten schemat dyspozycyjny — sam przez się niebardzo znamionuje zwrot w historjografji polskiej. Znamy bowiem oblicze tego schematu aż nadto dobrze. Pierwszy bodaj wprowadził je i umocnił w naszej literaturze nikt inny, jak prof. Bobrzyński. Oczywiście, że są różnice w układzie rzeczy — nie mają jednak zasadniczego znaczenia.

Dalej odnajdujemy tezę o młodszości naszego cywilizacyjnego rozwoju, w formie nieco zmodyfikowanej. Zasadę tę kombinuje autor z własnym poglądem na rozwój Polski w średniowieczu. Rozwój ten, poza szczegółami, ma być mniej więcej identyczny w tej epoce z rozwojem państw europejskich. Jest jednak spóźnienie,

wymierzone na początek na dwa wieki, poczem to opóźnianie znacznie się zmniejsza, istnieje jednak nawet jeszcze w XVI w.

Rodowód tej tezy prof. Kutrzeby nie jest również starożytny daty. Kardynalne jej znamiona znachodzą się w słynnym twierdzeniu Szujskiego o „Młodszości naszego cywilizacyjnego rozwoju“.

Według autora, z końcem XVI w. objawia się załamanie tej linii i Polska idzie odtąd własną drogą rozwoju. „W części świadomie, w części nieświadomie odłączyła się od wspólnych szeregów; przerabiała te pierwiastki państwowości, jakie miała, własną pracą, ale i własną myślą, nie szukała wzorów obcych, a nawet te wzory wprost świadomie odrzucała, uważając je za niewłaściwe, nie mogące dać tego szczęścia, jakie osiągnąć miała nadzieję swoją odrębnością dla tych, których za naród cały poczytała: dla szlachty“. Rozwój Polski jest logiczniejszy, niż Zachodu, „bo poszedł w kierunku coraz dalszego, aż do ostatnich często konsekwencyj, wykształcania przewagi czynnika społecznego, który w wiekach średnich stopniowo dobijał się władzy, gdy na Zachodzie zgniecenie go na korzyść władców załamaniem niejako było linii rozwoju, odgięciem jej w inną, niż biegła poprzednio stronę, w przeciwieństwie do polskiej linii — prostej“.

Zdawszy sprawę z tych ogólnych linii, przejdziemy teraz do szczegółów obrazu. Średniowiecze polskie dzieli autor na dwa okresy: jeden do XII w., drugi do XVI w. mniej więcej. Wypełnia zaś ten obraz ówczesnej państwowości treścią bardzo kusą, nawet ze stanowiska czysto ustrojowego tak kusą, że niejako istotnie upoważnił autora „Ducha dziejów Polski“ do tego, że w obrazie „Ducha dziejów“ nie znalazło się wogóle miejsce dla czasów piastowskich.

Powtarza więc nam autor, za dawniejszymi pisarzami, że pierwotna organizacja państwa była wojskowa, że zarząd kraju był zorganizowany na wzór frankoński, iż brak było systemu lennego, co korzystnie wpłynęło na zwartość państwa. W drugiej fazie średniowiecza zyskuje na znaczeniu czynnik społeczny; organizują się stany na zasadzie przywilejów. „Aż wreszcie wytworzył się sejm w końcu XV stulecia, ale tylko ze szlachty i miast, co prawda, bardzo słabo reprezentowanych, złożony“. „...Jednakże Polska nie doszła w rozbiciu państwa tak daleko, jak inne państwa“. „Tak jedność kraju utrzymała się lepiej, niż na zachodzie. Z nią szła konsolidacja terytorjum, wynikająca z elekcji króla“. Więcej autor nie ma do powiedzenia o państwowości polskiej w czasach piastow-

skich! Pomija więc zupełnie walkę o niepodległość ustroju, istotę koronacyj średniowiecznych; pomija zupełnie stosunek prawno-państwowy do Niemiec i odnośne walki, milczy o stosunku do Rzymu i o mnóstwie innych zasadniczych faktów, zarówno z dziejów ustroju, jak dziejów państwowości. Kwestje polityczne zatem, około których obracała się treść państwa — tak dobrze jak nie istnieją w tej charakterystyce państwowości polskiej.

W rozdziale o „Państwowości Polski w nowożytnej epoce“ zastanawia się autor głównie niemal nad kwestją jedności państwowej i rozciągłości oraz siły państwowych funkcji. Autor stwierdza, że zasada jedności nieobca była Polsce, że niewłaściwą jest rzeczą mówić wyłącznie o anarchji polskiej. Przyczem dowiadujemy się, że Polska zasadę jedności terytorjalnej przeprowadziła lepiej, niż Włochy i Niemcy. Na Niemcy do pewnego stopnia można się zgodzić, choć z zastrzeżeniami. Nie rozumiem jednak, jak można porównywać rozwój terytorjalnej jedności państwa polskiego z Włochami. Jest to dla mnie zagadką.

Kwestja jedności terytorjalnej w związku z unją Polski i Litwy naszkicowana w niniejszej „Charakterystyce“ bardzo pobieżnie. Autor prawie że wyklucza czynnik przymusu. „Jeśli etyki miarą i państw życie sądzić, to wyższy chyba był ten typ tworzenia terytorjalnej jedności, niż tamten zachodni. I ten sposób łączenia... był kitem niemniej silnym, niż tamten zachodni; łączenia przymusem“. Wogóle jednak nie rozumiem, jak można zasadę jedności terytorjum podnosić w rozpatrywaniu starego ustroju Polski do godności naczelnej zasady. Rzecz traci mocno całkiem innym gruntem historycznym, na którym ta zasada urosła... i ostatecznie do stała się do nauki. Jest to poprostu przykrawanie ideału państwowego Polski może do ideału pruskiego czy francuskiego. Polski on jednak nie był. Jak dotąd więc autor w charakterystyce państwowości trzyma się głównie czysto ustrojowych rysów. Czytelnik oczekuje, iż autor, stwierdziwszy wyższą logiczność rozwoju Polski od Zachodu, większą jego konsekwencję, zobrazuje, w jaki pozytywny sposób czynnik społeczny — szlachta, spełniał w Polsce te zadania, które w zachodniej Europie gorzej-lepiej spełniała władza królewska.

Odpowiedź autora na te kwestje jest całkiem negatywna. Wynika bowiem z jego własnych wywodów raczej brak konsekwencji rozwojowi. Czyż na tem ma owa konsekwencja (str. 35—36) polegać, iż na str. 39 czytamy: „a to jeden z najciekawszych rysów stanowego

ustroju polskiego, że choć czynnik społeczny silniejszy był tu, niż gdzie indziej, swoich władz odrębnych nie wytworzył“.

Co ma znaczyć ta konsekwencja i prosta linja, jeżeli autor sam stwierdza bezsilność woli zarówno króla jak sejmu w zakresie egzekutywy administracyjnej i bezradność polityki społecznej i gospodarczej. O rezultacie zaś państwowej twórczości mówi: „w połowie drogi niejako stanęła ta praca, gdy gdzie indziej omal że do końca dobiegła“.

Autor konstatuje dalej bierność Polski wobec problemów religijnych; nie mógł więc władca walk odnośnych wyzyskać; nie mógł przeciw szlachcie i kościołowi oprzeć się na miastach, wreszcie nie wytworzył w niej warstwy urzędniczej.

Dochodzimy wreszcie do ogólnego spostrzeżenia — będącego dla nas prawdziwą sensacją. Autor mówi: „sądzę, że przyczyn opóźnienia Polski, że trudności w wytworzeniu nowych państwowości zasad trzeba szukać w naturze demokracji i w tych wadach polskiego życia, które przy jej demokratycznym rozwoju były bardzo szkodliwe“.

Oczywiście te słowa Kutrzeby kłócą się ze zdaniem Kutrzeby jako autora artykułu „Wartości historycznych“, gdy wytyka potępionemu przez się krakowskiemu kierunkowi właśnie to, co tu sam głosi. Szkoła bowiem krakowska właśnie według „Wartości historycznych“ streszczała się w tem, „iż upadek Polski zawiniłiśmy sami, że zwłaszcza temu upadkowi winien był ustrój Polski taki, jaki sobie wyrobiła, demokratyczno-wolnościowy, w obrębie panującej warstwy szlacheckiej“.

Słusznie i surowo krytykuje autor obawę przed *absolutum dominium*, którą „wyegzagerowano też w Polsce poprostu do obłędu“. Krytykując *liberum veto*, nietykalność elekcji, nie-subordynację urzędów i niechęć do płacenia, stwierdza autor, że „w demokracji trzeba dać temu ogółowi, który do rządów jest dopuszczony, i oświatę i ducha publicznego“, których w starej Polsce brakło.

Na specjalną notatkę zasługuje przejście od rozdziału IV do V. Konkluzja IV rozdziału, traktującego o przyczynach odrębności Polski, zamyka się w słowach: „Brak ducha publicznego przejawiał się prawie wszędzie, nawet w tej Francji. Kontrast z Polską nie jest więc tak wielki. I tam byłoby niełatwo przeprowadzić te reformy, których Polska miała dokonać. Ale — tamte państwa nie były demokratycznie urządzone. Tam władca za społeczeństwo pracował.

Polska trudniejszą obrała sobie drogę pochodu w państw zachodnich rzędzie. Nie dziwna, że ustawała, że tamte ją wyprzedzały na tej drodze, której drogowskazami były: jedność i rozwój życia państwowego, jako podstawy wznowienia potęgi“.

Natychmiast po tem zdaniu autor otwiera rozdział V (o charakterze reform polskiej państwowości przed upadkiem Polski) następującym ustępem: „Piękna była ta stara polska Rzplita... ona piękna była i życia pięknnością... Lecz piękność nie jest siłą — chyba dla kobiety, i to częściej w powieści niż życiu. A tej siły Polsce brak było. Rozkochała się w sobie ta Polska, utonęła w kwietyzmie, sądząc, że granic nie tkną tej Polski, która nie miała chęci ni zamiaru swoich granic przekraczać, by cudze zabierać, chciała tylko żyć — dla siebie. Przebudziły ją ze snu — odgłosy miarowych kroków trzech sąsiadów, wkraczających, by zabrać jej części, dokonać w r. 1772 pierwszego rozbioru“.

Czytelnik po tym ustępie, który ubarwiony został takim porównaniem piękna państwowej Polski z pięknnością kobiety — spodziewa się wniosku: a więc przebudzenie i w następstwie reformy przyszły już za późno. Autor przecież, scharakteryzowawszy okres reform za Stanisława Augusta, pociesza nas, że „Polska więc sama przed upadkiem, pracą własnej myśli i woli, choć inną drogą, choć z utrzymaniem zasad wolności, wytworzyła z siebie wszystkie te nowe pierwiastki, które przyniosły rozkwit państwowości w absolutnych monarchjach“. Polska nawet wyprzedziła monarchje absolutne. Ale znowu jest a l e. „Brakowało tylko zasady jedności społecznej, wynikającej z równości praw i obowiązków...“ „tego kroku uczynić nie mogła. Nim przez reformy wydane owoc miał dojrzeć w pełni, wytworzyć państwa siłę, te państwa, które tę siłę już miały, przeszkodziły temu...“

Dziwnego uczucia doznaje czytelnik, pragnący uważnie uchwycić i określić oś, około której obracają się wywody Kutrzeby. Tej osi poprostu niema. Na przeważną część konkretnych spostrzeżeń autora może się pisać zwolennik starego historycznego krakowskiego autoramentu. Nowych zasadniczych rysów państwowości polskiej autor nie podaje, a całość okrasza jakimś nieokreślonym pogodnym kwietyzmem, który nie znajduje uzasadnienia w szeregu ciemnych kart, skreślonych tą samą ręką.

Powiedziałbym, że jedyna nowość, jaką daje autor, sprowadza się do wprowadzenia do naszej nauki kilku najnowszych pojęć z zakresu niemieckiej nauki o państwie. Zwrócił już na to dawno uwagę

Balzer, wytykając Kutrzebie zależność od Teznera, na co się wówczas w replice Kutrzeba oburzył. Przytoczony przykład traktowania katolicyzmu i prawosławia jest dalszem tegoż potwierdzeniem. Rys ten odbija się również, pod wpływem Lamprechta, w przypisaniu szczególniejszego znaczenia t. zw. genetycznej historii. Nie widzimy jednak, by autor, wprowadzając nową terminologję ustrojową, zastanowił się dostatecznie, w jakim stopniu nowe idee, wysnute z dziejów obcych organizmów państwowych, odpowiadają istocie państwowości polskiej. Wynikiem wrażenie, iż zasłużony nasz historyk ustroju Polski idzie zasadniczym torem utartym przez dawniejszą historjografię ustroju, a gdy się mu przeciwstawia, zjawiają się sprzeczności nie do usunięcia.

*

*

*

„Duch Dziejów Polski“ Chołoniewskiego posiada wielkie zalety literackie, napisany jest z siłą przekonania, a myśl jego wypłynęła z gorącego ukochania Ojczyzny. Rzadko jednak spotkać się można z książką, która, poza talentem pisarskim autora, stwierdzałaby tyle umyślnej poprostu ignorancji historii Polski i historii wogóle.

Inspiracja autora z dwóch wypływa źródeł. Chciał się rozprawić z t. zw. szkołą historyczną krakowską, o której dosłownie pisze, że „stała się straszną nauczycielką całego jednego pokolenia polskiego, pokolenia najnieszczęśliwszego ze wszystkich“. Za stosowny moment rozprawy uznał autor wybuch rewolucji rosyjskiej. Według niego „lud rosyjski potężnem uderzeniem pięści obalił carat...“ „Po obszarach Europy wionął gorący wiatr wewnętrznego wyzwolenia... Wielkie ideały wstrząsnęły łonem społeczności europejskiej. Ależ to ideały nasze!!! Te, które za dni naszego państwowego bytu stanowiły treść naszych urządzeń publicznych, a które wroga ideologja obca i rozpacz własna potępiły jako dowód nieudolności, jako błąd przystosowania się do ducha czasu. To za nie walczyliśmy, cierpieli i żyli“.

Za drugie źródło uznajemy Buszczyńskiego „Znaczenie Dziejów Polski“, w szczególności rozdział: Historyczny rozwój Polski i ważniejsze zdarzenia w Europie. Stąd bowiem została zaczerpnięta metoda, uznana przez Kutrzebę za równoległą do nauki. Buszczyński pisze: „od pewnego czasu zaczęto u nas aż do zbytku wyszukiwać w dziejach Polski cienie i wady narodu. Z tak jednostronnego zapatrywania się na przeszłość prawda nic nie zyskała,

owszem została skrócona a wrogowie nasi, których mamy niemało, zyskali wiele.

Powziąłem więc zamiar przedstawienia światłych tylko stron Ojczyzny naszej i porównania politycznego żywota Polski z czynami innych narodów europejskich“.

Tak pisał w najszlachetniejszej intencji Buszczyński w r. 1882. Po latach 35 autor „Ducha Dziejów“ zadanie to podejmuje na nowo, kwestję jednak stawia o wiele jednostronniej od Buszczyńskiego i, kombinując zdanie Buszczyńskiego z poglądem wypowiedzianym przez Balzera, wyjaskrawiając ten ostatni pogląd, tak mówi: „Zadaniem naszym będzie przedstawić pokrótce najważniejsze przejawy myśli dziejowej. Nie będziemy tu wchodzić w praktyczne błędy i grzechy Rzeczypospolitej, których nie brak; przy ocenie wartości najgłębszych, podstawowych zasad, jakimi kierowała się dusza polityczna naszej ojczyzny, znaczenie ich jest zupełnie podrzędne. Polska, nie napastowana wewnątrz, byłaby uleczyła z łatwością swe niedomagania... Grzechy i błędy publicznego życia, bez wtrącenia się obcej napaści w nasze sprawy, mogły były jedynie odwlec wysnucie ostatecznych konkluzyj z wspaniałych założeń polskiej myśli politycznej. A założenia te, pozostawione warunkom swobodnego rozwoju, rozkwitając i dojrzewając w atmosferze zdwojonej intensywności prac ducha ludzkiego, jaką przyniósł wiek XIX, doprowadziłyby już do tej pory, być może do wcielenia państwa idealnego“.

Horyzont rozpatrywanych zjawisk zacieśnia autor od czasów połowy XV w., tak niewątpliwie, w tym wypadku, pod wpływem Kutrzeby. „Myśl polityczna — powiada Chołoniewski — skrytalizowała się w połowie XV w. Odtąd poczęła oddzielnem płynąć korytem w porównaniu z przeważną częścią Europy. Ten moment weźmiemy też za punkt wyjścia do naszkicowania obrazu, który... pozostał w zasadniczych swych zarysach ten sam przez przeciąg trzech zgórą stuleci. Zostawiając na uboczu zamierzchłe dzieje średniowiecza, dzieje niemowlęstwa narodu, przypatrzmy się głównym duchowym wiązaniom tej w nowszych czasach wytworzonej konstrukcji politycznej, która nazywała się Rzeczypospolitą polską.“

To pominięcie średniowiecza jest uderzającym zjawiskiem w próbie całości ogarnięcia ducha dziejów Polski. Nie poszedł w tym wypadku autor za Buszczyńskim. Jest to własna jego koncepcja, wynikająca stąd, że nie przemyślał wszystkich faz rozwoju Polski. W tym „niemowlęcym“ okresie, na innym miejscu nazwa-

nym „młodzieńczym“, naród polski wytworzył tylko — państwo. Niedosć na tem, wytworzył ideę niepodległości tego państwa, ideę tą wreszcie uwieńczył symbolem królewskości. Niełatwo przyszło Polsce osiągnąć „niemowlęce“ zdobycze. Potrzeba było staczać krwawe, często prawie śmiertelne zapasy, a co największa, w dążności do wzniosłych celów, nie wahała się Polska nie tylko ziemi swej bronić, ale do walki wyzywać. Czyż więc królewska niepodległość Polski jako państwa nie jest tą najwyższą ideą, około której obracają się dzieje nasze, i czyż do dziś dnia nie jest ona stosem pacierzowym, około którego oplatają się wszystkie nasze dążności.

W tym niemowlęcym okresie problem stosunku społeczeństwa do władzy państwowej zarysowuje się wyraźnie: dość wskazać na zawsze żywą legendę o Bolesławie Szczodrym i św. Stanisławie i całą polityczną filozofję Kałubka.

Niemowlęstwo średniowiecza wykształca do najwyższych, dojrzałych granic problem stosunku Polski do katolicyzmu, bez którego nie masz ducha dziejów Polski. Polska jagiellońska konsumuje jeno kapitał, odziedziczony po Piastach, z którego dwór polski zdawał sobie jasno sprawę, zarówno za czasów Chrobrego, jak Krzywoustego.

Za czasów tego średniowiecznego niemowlęstwa wykształciła Polska zasady prawa, określając stosunek jednostki do prawa; jednostce wobec państwa dała opiekę tegoż prawa. Jest to gmach statutow polskich uwiecznionych pracą Kazimierza Wielkiego i jego towarzyszy pracy.

To średniowieczne niemowlęstwo zdobyło się na ideę uniwersytetu, gdy szło o zaprzęgnięcie oświaty w służbę państwa. W zakresie problemów politycznych dość wskazać na kwestję Rusi Czerwieńskiej, która od czasów Mieszka I aż do czasów Jadwigi nigdy nie schodzi z porządku dziennego polityki Piastów, którzy nigdy nie zapomnieli o tej starej lechickiej ziemi. Wyprawy na Kijów i Grunwald wreszcie to także rysy niemowlęstwa średniowiecznego.

Autor „Ducha Dziejów Polski“ wykreślił średniowiecze. Arkadja dziejów Polski, jaką maluje, nie zniosła twardych, męskich czasów, za których przodkowie nasi mieczem i zwartością gromady, śmiałością i odwagą myśli budowali gmach dziejów Polski i tchnęli weń ducha, który dotąd mieszka. Bystre spostrzeżenie Balzera o doniosłości średniowiecza uszło uwagi autora.

Balzer, z umysłu zresztą, pozostawił średniowiecze na boku. Szło mu bowiem o ustrój Polski w nowszych czasach. Kutrzeba

scharakteryzował głównie prawno-społeczną stronę wewnętrznych stosunków Polski w wiekach średnich, a Chołoniewski je przekreślił. Może nie dlatego, ale jest widoczna, iż gdyby mu się przyjrzał, niejedna jego teza runęłaby w gruzy. Przecież ta Polska piastowska, jak już zauważył Bobrzyński, powstała i wzrosła w warunkach o wiele trudniejszych, niż je miała Polska czasów nowożytnych.

Lekceważenie prawdy historycznej — to charakterystyczna cecha historjografji Chołoniewskiego. Nietylko wykreślił średniowiecze, ale rozumienie istoty dziejów Polski zamknął w ciasnych ramach ustroju. W tym „Duchu Dziejów Polski“ niema miejsca na nasze dzieje polityczne, niema mowy o stosunku do Wschodu, o Tatarach, Turcji i Moskwie. Głuche milczenie panuje o szerzeniu katolicyzmu, o stosunku do prawosławia. W tym „Duchu Dziejów Polski“ niema wzmianki o tytanicznej pracy tych wszystkich statystów Polski, którzy od XVI wieku wołali wielkim głosem o reformę państwa.

Śmiertelna, przerażająca pustka myśli wieje z tych kart, po których jeden łśniący komunał goni za drugim, a każdego treścią nie duma i nie cześć wobec przeszłości, lecz bezgraniczne bałwochwalstwo i pochlebstwo wobec ustroju.

Z historji ustroju zdał egzamin autor na str. 124 w następujący sposób: „aby wykazać nicość utartych komunałów o przyczynach upadku Polski, wystarczy powołać się na fakt, że ustrój Rzeczypospolitej od ostatecznego swego skryształizowania się istniał zgórą trzy stulecia, więc musiał posiadać dostateczną siłę żywotną i to tem większą, że w nieznaczonej tylko mierze opierał się na przymusie państwowym“. Mniejsza o kwestję przymusu — godne natomiast uwagi jest określenie siły żywotności zapomocą kryterjum zastoju. Skoro coś jest w zastoju, i trwa, a zatem jest żywotne; rzeczywiście czysto chińskie ujęcie problemu żywotności ustroju.

Wędrówka z taką latarnią w rękę wzdłuż i wszerz dziejów Polski jest oczywiście dla autora zabawką. Najtrudniejsze kwestje i wątpliwości znikają, gdyż autor nietylko rozgrzesza, ale we wszystkim literalnie widzi cnotę.

Polska „zginęła, gdyż była tworem politycznym doskonalszym i wyżej rozwiniętym od swego środowiska“. Nie dowiadujemy się jednak, co autor rozumie przez „twór polityczny“. Domyślać się tylko można, że obrona przed sąsiadem stanowiła jednak obowiązek tego „tworu politycznego“. Albowiem dosłownie o cztery wiersze niżej pisze autor. „Atoli w ostatniej przyczynie

upadła dlatego, ponieważ ujrzała się wobec gromadnego osaczenia, które przerastało jej siły obronne“. Zdanie powtórzone za Balzerem. Jak jednak można nazwać doskonałym „twór polityczny“ który nie spełnił kardynalnego zadania każdego państwa: obrony przed wrogiem. Przecież ta doskonałość polityczna musi mieć cechy polityczne, inne niż np. doskonałość filantropji i t. d.

„Idea życia zbiorowego“ Polski bardzo jest prosta w ramach „Ducha Dziejów“. Oto „tak zwane dziś zasady konstytucyjne: nie-tykalność jednostki, ochrona mienia i ogniska domowego, wolność zrzeszania się, swoboda ujawniania myśli... były w Polsce urzeczywistnione już w XV i XVI w. i przetrwały do końca istnienia Rzeczypospolitej“.

Rozdział: Naród i król daje się najlepiej streścić w zdaniu, że „przedewszystkiem jednak o stosunku narodu do króla decyduje sam ustrój Rzeczypospolitej, ustrój, który zapobiegając tyranji jednostki, przesuwając punkt ciężkości władzy na zgromadzenie sejmowe, który każdego obywatela czyni tym sposobem pośrednio uczestnikiem rządu i który w krew narodu wszczepia poczucie odpowiedzialności za tok spraw publicznych“.

Jeśli istotnie to poczucie odpowiedzialności istniało, to wynika stąd wniosek, że nie byłoby znowu tak ciężkim grzechem przeprowadzić rachunek tej odpowiedzialności. Autor naturalnie nie bawi się w takie drobiazgi i śpieszy dalej.

Na nic wywody Balzera i nawet Kutrzeby na temat stosunku króla do władzy i do sejmu. Chołoniewski bez zająknienia twierdzi, że funkcje króla „są funkcjami w istocie swej — prezydenta republiki, pomimo tytułu i majestatu monarszego“.

Historja Polski to ciągle historja prawodawstwa, a duch jej dziejów streszcza się znowu dla odmiany w czci dla prawa. „Słynne pieniaństwo polskie czasów upadku, tak zgubne jako zjawisko społeczne, dowodzi jednak pośrednio istnienia autorytetów prawa“. Epizod Radziejowskiego i podobne wypadki nic także nie mówią o duchu dziejów XVII i XVIII w., ponieważ temu jednak zapobiegało prawodawstwo, ustanawiając najsroższe kary na awanturników, wznęcających zaburzenia pod pozorem, że król „na zgubę Rzeczypospolitej zamiary knuje“.

I tak ciągle i zawsze, przy stałym odwracaniu prawdy nawspak: „udział w szerokich swobodach politycznych w Polsce, udział w życiu publicznym posiadała nie jakaś nie znacząca garść oligarchów, lecz wielki odłam narodu, miljonowa, wciąż pomnażająca się

masa ludności“. Elekcja królów, także pod tym kątem widzenia: „Był to więc wybór na podstawie powszechnego głosowania, jednej wprowadzie warstwy, lecz niezmiernie licznej i w danym okresie dziejowym stanowiącej właściwy „naród polityczny“.

Naturalnie dla zasady równości wśród szlachty autor ma wyłączenie słowa najwyższego zachwytu. „Wszyscy to samo zajmują stanowisko prawne w państwie. Przed wszystkimi w jednakiej mierze stoi otworem udział w sprawach publicznych i droga do najwyższych zasług i największych godności — nie wyłączając królewskiej“. Znowu, bez zająknięcia, na poparcie doskonałości tezy, przytacza autor losy rodziny Poniatowskich, przemilcza jednak dyskretnie rolę Katarzyny II.

To opiewanie równości szlachty wobec prawa idzie więc w parze z lekceważeniem faktycznego stanu rzeczy. Jest to tak, jak ze słynną zasadą równości ekonomicznej. Ponieważ każdy może zostać milionerem i miliarderm, a zatem... niema kwestji społecznej, i niewiadomo zupełnie, jaka jest racja socjalizmu i analogicznych innych usiłowań brania robotnika w opiekę.

Punkt następny ma szczególną doniosłość, ponieważ autor może się powołać, iż przynajmniej w pewnej mierze jest w zgodzie z zapatrywaniem fachowej literatury. Oto słowa autora: „nie gwałtem fizycznym, lecz siłą ducha, nie mieczem, lecz kodeksem praw, dokonywa Polska swego wspaniałego podboju ludów ościennych“. Albowiem „ustrój wewnętrzny oparty na wysoko rozwiniętej ludności, gwarantującej tak szczodry wymiar praw i swobód obywatelskich, począł wywierać czasem wpływ atrakcyjny na inne narody i wywołał w następstwie potężny wzrost mocarstwowy państwa polskiego. Drogaą specyficznie polską, nigdzie indziej niespotykaną w tej postaci, drogą Unji z sąsiednimi państwami i ludami, małe stosunkowo państwo polskie powiększa coraz to bardziej swe obszary...“

Nie przeczę, że w poglądzie tym przeważa frazeologia przejęta z naszej historii ustroju i z historii politycznej. Kodeks praw, to jednak zaprawdę za mało, by dokonać dzieła Unji Litwy z Polską, nie mówiąc o Rusi Czerwonej. Dzieje Polski, z tego tylko pojęte stanowiska, są obrazą ducha naszych wielkich przodków, potężnych wysileń mózgu i woli, zręczności dyplomatycznej, miecza i siły, umiejętnie rzuconych na szalę wydarzeń. Autor zapominał, ile to rusko-litewskich i litewskich karków musiało się

ugiąć przed tym kodeksem praw, i zaprawdę nie w uznaniu polskiego ducha i prawa, lecz siły. Przed siłą i przymusem musiała się ugiąć nawet Jadwiga. Zapomniał autor o Andrzejku połockim, zapomniał o Świdrygielle, o Glińskim. Nawet Unja Lubelska nie jest przecież wyłącznie aktem dobrowolnej zgody, ale i przymusu, którego źródłem Polska i Zygmunt August, jako pan Litwy. I przeciw dziełu Unji Lubelskiej odzywają się później znamienne protestacje, których nie może lekceważyć historyk, pragnący głosić społeczeństwu prawdę.

Nie mówię tutaj o szeregu naukowych wątpliwości o tem, czy pomysł Unji powstał w Polsce, czy, co prawdopodobniejsze, na dworze Jagielly, a dojrzał na płodnym w polityczne kombinacje andegawieńskim domu. Jasne jest jednak, że u narodzin myśli Unji Litwy z Polską niema mowy o pochodzie kodeksu praw polskich na Litwę. Odzyskanie Rusi Czerwieńskiej, zdobycie Kazimierza Wielkiego, stoi dla Polski na pierwszym planie. To jest stos pacierzowy, około którego opłotło się dzieło Unji, stąd wypływała późniejsza pełna konsekwencyj polityka, zmierzająca do opanowania, i uzyskania na Litwie ziem ruskich — nawet za cenę kompromisu na Zachodzie. Idealizm nieziemski nie jest bowiem alfą i omegą historii, opisującej dzieje l u d z i, tak dobrze ich idealnych dążeń, jak ich spraw i interesów. Bylibyśmy zaiste ludem manekinów, a nie państwowym i historycznym narodem, gdybyśmy w związku z Litwą nie szukali własnych korzyści i interesów. To był obowiązek naszych przodków wobec własnej społeczności.

W tym związku Polski z Litwą są dziwne rzeczy — bardzo jednak odległe od chwilowego sentymentalizmu ogromnej większości poglądów naszych na Unję. Zanotował Długosz, że nikt tak nie zabiegał o dojście do skutku Unji horodelskiej, jak król Zygmunt Luksemburczyk. Ratował w ten sposób zakon krzyżacki, zagrożony po Grunwaldzie, bał się, by nawała Polska, oparta o Litwę nie zażądała rachunku z ziem nadodrzańskich. W interesie zatem ówczesnych Niemiec leżało zacieśnienie formy związku między Polską a Litwą. A więc tkwi w tem wielka międzynarodowa kombinacja.

W rozpatrywaniu dziejów Polski zapominamy zbyt często, że ta „wielka rzecz“, jak o niej słusznie wyraził się autor za poetą, rosła i rozwijała się nie na parafii za siedmioma górami, ale w ścisłym związku z rozwojem międzynarodowych problemów. A niejednen nasz wielki zamiar i wielka nasza idea wcieliła się w czyn, dzięki zbiegnięciu się w jedno łożysko — naszej energii, rozlicznych

strumieni i strumyków z różnych ognisk ówczesnego świata i ówczesnej wielkiej polityki.

Zasada tolerancji, z porównawczego oczywiście rozważana stanowiska, stanowi istotny tytuł dumy dziejowej Polski. Jeżeli jednak autor pisze, iż „zasadniczą tedy cechą państwowości naszej była tolerancja ustrojowa dla wszystkich przejawów odrębności historycznej, czy cywilizacyjnej, lub nawet tylko plemiennej lub językowej“, to oczywiście ma rację, jednak z pewnym wyjątkiem co do Rusi, o której w tym punkcie przemilcza.

Wręcz przykre wrażenie robi ustęp, w którym autor zastanawia się nad problemem „Swobód jednej warstwy“. Autor jest winien odpowiedź, gdzie jest ta „historjografia zaprawiona doktrynerstwem lub wręcz przykrojona do różnych podejrzanych specjalnych interesów“. Chyba ma na myśli obce, i to urzędowe dziejopisarstwo, a może tylko rozmaite urzędowe publicystyczne płody. Jeżeli zaś mówi o polskim dziejopisarstwie, to niech pisze wyraźnie, komu zarzuca z racji pracy naukowej „specjalne interesy“.

*

*

*

Niepodobna przedrukowywać wywodów autora, by wykazać punkt po punkcie owo oświećlanie jednej tylko strony ducha, kreślone w tem przekonaniu i z tą zarozumiałością, że się odsłania całkowity obraz naszych dziejów. Niepodobna także autora posądzać o zupełny brak poczucia, że prócz światła istniały i cienie. Przypisuje im jednak zawsze podrzędne znaczenie. Gdy pisze konkluzję, powie: „Przy rozważaniu tej niesłychanej sytuacji pozostaje zapewne dość miejsca dla krytyki polityki polskiej, która nie potrafiła wybrnąć ze straszego położenia przez stworzenie dla siebie korzystniejszych konjunktur... tak czy owak, stanęła Polska wobec gromadnego sprzysiężenia, wobec brutalnej fizycznej przewagi trzech sprzymierzonych ze sobą mocarstw sąsiednich. I tej fizycznej przewadze nie mogła nie ulec tak, jak po Jenie musiały w podobnych warunkach upaść nawet nawskróś militarne Prusy“.

Konsekwencja zatem od początku do końca. Gra słów, drażniących a raczej łechtających wyobraźnię czytelnika zamiast kombinacji argumentów. Przykład Prus dowodzi bowiem w rzeczywistości czegoś wprost odwrotnego. Prusy dowiodły, jak można w najniekorzystniejszych warunkach nie zwątpić, zorganizować obronę, i ostatecznie wygrać. Warunki zresztą rozbiorów Polski, a sytuacja Prus po Jenie nie są zgoła analogicznymi zjawiskami.

O wieleż wyższe poczucie prawdy i wyższe poczucie odpowiedzialności za to, co pisał, jakie nauki podawał czytelnikom, miał Buszczyński: „Nie miałem — pisze — bynajmniej zamiaru dowodzenia, iż Polska była ideałem mocarstwa... Ideału tego nie urzeczywistniła z dwóch powodów: najpierw dlatego, że nie mogła, a potem dlatego, że już nie chciała“. Przyczyny zaś upadku Polski sprowadzi Buszczyński do dwóch zjawisk — przyczyn. „Pierwszą jest różnica jej domowego i politycznego bytu od wszystkich warunków życia innych narodów, różnica, która jednak Polsce chlubę przynosi“. Ten właśnie rys w przesadny sposób rozwinął autor „Ducha Dziejów“. Pozostawił jednak zupełnie na boku podniesioną przez Buszczyńskiego przyczynę drugą: „Drugą przyczyną jest zejście z drogi, po której kroczyła, to jest dobrowolne odstępianie (choć nie jednorazowe, powolne) od ducha narodowego, od tradycyjnych zasad, od posłannictwa, a więc osłabienie, przez przyjęcie pierwiastków życia i czynników obcych“. Mniejsza przytem o konkretny charakter zapatrywań Buszczyńskiego. Istota poglądu tkwi w tem, że przyczyn upadku Polski szukał także w jej wewnętrznym rozwoju.

Nadto Buszczyński, analizując wydarzenia lat 1830—31, gdy Polska była wobec sąsiadów i Rosji o wiele słabsza, niż w dobie rozbiorów, umiał szukać winy w nas samych i obciążać nas odpowiedzialnością za tok wydarzeń.

Bez względu zatem na całą fantastyczność rozumowań Buszczyńskiego, bez względu na zupełnie dowolne i amatorskie traktowanie przezeń nauki historycznej, ostatnia przecież go może zrozumieć. Niepodobna powiedzieć tego o „Duchu Dziejów“ Chołojewskiego. Sam Buszczyński zatrząsłby się z oburzenia, gdyby przeczytał ten dziwoląg umysłowy i moralny, przytoczony wyżej, w którym autor w hasłach rewolucyjnych dzisiejszej Rosji dopatrywał się haseł i idei „Ducha Dziejów Polski“. Takie twierdzenia — są po prostu zniewagą rzuconą w twarz naszej przeszłości, niezrozumieniem duszy polskiej i duszy rosyjskiej.

Żałować wypada, że autor nie poszedł drogą rozważań, naszkicowanych przez siebie w przedmowie do Kościuszki jeszcze w r. 1902. Jakże dalekie od deifikacji w „Duchu Dziejów Polski“ są piękne myśli, skreślone przez autora w r. 1902: „Dochodzimy do wniosku, że w naszych urządzeniach publicznych, które przeszedłszy w stan zwyrodnienia stały się źródłem klęsk, tkwiły czynniki duchowe, przynoszące zaszczyt

naszej historii..." Gdyby tą drogą poszedł, byłaby rzecz przynajmniej w ogólnych zarysach naukowo trafna, nie byłaby zaś pedagogicznie i narodowo... szkodliwa, naukowo zaś — dziwołagiem.

* * *

Zarówno Kutrzeba, jak Chołoniewski przeplatają swe wywody wycieczkami przeciw t. zw. szkole krakowskiej. Stanowisko to jest bardzo niejasne. Stwierdziliśmy bowiem, że Kutrzeba, biorąc rzecz zasadniczo, jest uczniem i epigonem t. zw. szkoły krakowskiej: szereg fundamentalnych poglądów czerpie wprost od tak prononsowanej firmy krakowskiej, jaką jest Bobrzyński. Autor „Ducha Dziejów“ w kilku, także bardzo znamiennych punktach, opiera się wprost na paru znakomitych t. zw. krakowskich historykach.

Obydwaj przytem stwierdzają olbrzymi wpływ t. zw. historjografii krakowskiej na umysły po r. 1863, aż do doby wielkiej wojny, i z triumfem głoszą upadek zapatrywań tego kierunku na problem przyczyn upadku Polski.

Do tych niejasnych głosów o krakowskim historycznym kierunku zaliczyć także należy głos prof. Tokarza w pracy p. t. „Z refleksyj historyka“. Według niego, dla odmiany, Chołoniewski przedstawiałby w swych historycznych zapatrywaniach typ umysłowości, urobionej pod wpływem t. zw. szkoły krakowskiej. Miała ona, według Tokarza, najważniejsze jądro swych zapatrywań na przeszłość Polski wysnuć z doświadczeń 1863 r., i wogóle wyłącznie ze wskazań politycznych: „Jej punktem wyjścia było — mówi Tokarz — dopasowanie poglądu na przeszłość do tego nieszczęsnego stanu rzeczy, jaki zapanował w narodzie po stłumieniu powstania, a następnie i do tej sytuacji międzynarodowej, która wytworzyła się w Europie po przegranej Francji i upadku sprzyjającego nam drugiego cesarstwa“.

Istotnie, możnaby zwątpić o rozwoju nauki historycznej jako takiej, o postępie wiedzy, o tem, co nauka daje społeczeństwu, gdyby to zapatrywanie Tokarza miało być słuszne. Myli się on jednak, i to stanowczo, jakkolwiek wychodzi ze słusznego założenia, że „wojna obecna, wielka mistrzyni świata, nauczyła bardzo wiele i nas historyków. Ci, którzy ją przeżyli, będą może trochę inaczej odczytywać dokumenty przeszłości oraz odmienne z nich wysnuwać wnioski“. Błąd zaś Tokarza jest bardzo niedaleki od błędu Kutrzeby i Chołoniewskiego, a także tych, przeważnie najmłodszych

historyków, którzy pracę Balzera uważają jako dokument bankructwa poglądów historycznych t. zw. szkoły krakowskiej; do nich zaś ani Kutrzeby ani Tokarza nie zaliczamy, ponieważ sądzimy, iż są obcy tak śmiałym i powierzchownym zapatrywaniom.

Prawdą jest bowiem, że każde pokolenie wyciska swe piętno na zapatrywaniach historjograficznych, a życie bieżące, o ile na nie historyk patrzeć umie, potęguje jego zdolność rozpoznawczą przeszłości. Ale to nie jest wszystko. I z historii życie, a cóż dopiero nauka uczyć się musi. Stanowisko polityczne t. zw. krakowskiego naukowego kierunku — choć nie całkiem dokładnie określone przez Tokarza w formie bezwzględnej oportunisty i zupełnej abnegacji — nie stanowiło jego istoty. Jak wielcy i mali poeci, poza swemi polityczno-społecznymi poglądami, są jeszcze... poetami, tak samo historycy poza działalnością polityczną muszą być przecież historykami.

Kierunek historyczny krakowski należy do przeszłości. Gdyby trwał dalej, byłoby źle, panowałby w nauce zastój. Jednak szereg podstawowych rysów tego kierunku nietylko zachowa w nauce bardzo szczytną kartę, ale niewątpliwie będzie obowiązywał na przyszłość, i powinien stale oddziaływać, zarówno pod względem metodologicznym, jako też i historjograficznym. Zwrot do źródeł, zasada, że historyk musi wychodzić od źródła, musi źródła systematycznie opracowywać, i na tej dopiero zasadzie opierać ustalenie faktów i sądów o nich, ta będzie stale obowiązywała. Nie był to wynalazek t. zw. historyków krakowskich, faktem jest jednak, że oni najwięcej się przyczynili do zwycięstwa tej zasady w obrębie polskiej historycznej nauki.

Śmiem dalej twierdzić, że istota poglądu najwybitniejszych reprezentantów t. zw. krakowskiego kierunku na przyczyny upadku Polski jest ciągle żywotna, jeszcze nieobalona, i ma przed sobą przyszłość. Rozumie się, że nie mam na myśli rozmaitych jednostronności. Niejednokrotnie jednak byłoby lepiej, by zamiast tworzyć nowe syntezy, zabrać się do tego, by znakomite prace dawniejszego pokolenia historyków wychodziły w nowych, bez zmiany, lub też zrewidowanych wydaniach.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że fundamentalna strona poglądu t. zw. krakowskich historyków na upadek Polski — szukania winy przede wszystkim w nas samych i w naszej przeszłości, — nie jest ich wynalazkiem ani ich szczególną właściwością. Odnosne poglądy nie są wysnute wyłącznie z doświadczeń porozbiorowych.

Stanowią one wspólny dorobek naszej krakowskiej i nie-krakowskiej historjografji, dzielą je nietylko wszyscy wielcy historycy, ale również wielcy poeci i pisarze.

Zapewne jedni szukali winy w stosunku oligarchji magnackiej do państwa, inni w upadku moralności, inni w zaniku oświaty; a znowu inni w ustroju państwa i t. d. — żaden jednak wielki badacz i pisarz nie rozgrzeszył w czambuł przeszłości. Lelewel pewnie nie korzystał z doświadczeń 1863 r., gdy wydał surowy sąd o upadku naszej moralności publicznej. Korzon zaś, dziecko czasów r. 1863, ale przecież nie-krakowskie, uznając moc żywotności Polski za czasów Stanisława, jednak napisał: „Gdy miliony, gdy naród cały zatracą rdzenne pojęcie samowładności i samoistności swojej, — za prawdę jedyną dla niego lekarstwem być mogą chyba męki niewoli“. Tym znowu reprezentantem historjografji polskiej, który w mistrzowski sposób odsłonił grę dyplomatyczną i konsekwencję kombinacyj państw rozbiornych, był nikt inny, jak tyle potępiany ks. Kalinka.

Na biadania nad zaniedbaniem naszej historjografji, nad potrzebą nowej syntezy, na próby wprowadzania bałwochwalstwa jako zasady patrzenia na przyszłość rzekłbym wogóle: zamiast kuć się o dorywcze syntezy, czytamy wszyscy i rozpowszechniamy najrozumniesze rozmyślania historyków naszych ubiegłego pokolenia. Są wśród nich skarby i rzadkie klejnoty myśli. Zasługują na to: słynna paralela Lelewela, niejedna myśl Kalinki, choćby w artykułach o wydawnictwie materiałów historycznych, czy „Żale Polaków na Zachód“. Pierwsze zaś bodaj miejsce należy się Korzonowi („Zamknięcie dziejów wewnętrznych“), temu więc uczonemu, który z pewnością był daleki od krakowskiej myśli, a nie wahał się na podstawie swych sumiennych dociekań nazwać starego ustroju Polski — anomalją.

Wiara w żywotność narodu, w wielkość roli w przeszłości i przyszłości, nie wyklucza poczucia odpowiedzialności własnej, a raczej ją stwarza, i wprost nakazuje według słów czcigodnego Woronicza w Hymnie do Boga:

Więc gdy nie możesz karać bez przyczyny
Los nasz być musi płodem własnej winy.

Próba zwrotu do optymizmu w rozpatrywaniu starego ustroju Polski ma oczywiście również i metodyczne, naukowe podłoże. Jest

to wynik zasklepienia się badaczy w rozważaniu cech ustrojowych jako takich, opierania całości sądu na szablonach i abstrakcjach, należących raczej do porównawczej historii prawa, a nie do historii Polski. W rozważaniach tych przeszłość staje przed naszymi oczyma odarta docna z tego, co mimo to nie przestanie być jej najcenniejszym znamieniem. Fakt historyczny przestaje być zagadnieniem czynu, grozi mu zejście do roli mechanicznej dedukcji z takich lub innych rysów ustrojowych. Powiedziałbym, że publikacja prof. Balzera jako punkt wyjścia odnośnej literatury raczej stwierdza, że nasza historjografia ustroju, jej synteza, próbując jednostronnie i decydująco, czysto ustrojowo, sądzić o całej przeszłości, zawiodła, bo zawieść musiała. Stała się więc u krytycznego punktu wymagającego ponownej rewizji. Historia ustroju Polski nie jest historją Polski.

**HISTORJOGRAFJA POLSKA
WOBEC WSKRZESZENIA PAŃSTWA**

HISTORJOGRAFJA POLSKA WOBEC WSKRZESZENIA PAŃSTWA ¹

Wątpliwości tematu. — Zmiana poglądu na przeszłość pod wpływem teraźniejszości. — Jej wpływ na organizację pracy. — Sprawa ogólnego podziału dziejów Polski. — Przyczyny upadku starej Polski przestają być wyłącznem, dominującym zagadnieniem. — Bezpośredniość związku historyka z państwem. — Odrodzenie historii politycznej. — Problem stosunku idei narodu do idei państwa, zwłaszcza w wybitnych dziełach dawniejszych historyków. — Wpływ państwa wskrzeszonego na powyższe zagadnienie; wpływ nowopowstałych państw ościennych i ich historjografji. — Lokalny naogół charakter literatury porozbiorowej; konieczność zwrotu ku badaniom historii obcej. — Słów kilka o metodycznej stronie wpływu historjografji niemieckiej na naszą. — Warunki niepodległości nauki polskiej jako składowego czynnika niepodległości narodu i państwa.

Wskrzeszenie Państwa Polskiego wywrze niewątpliwie głęboki wpływ na rozwój naszej kultury, potęgując jej treść, wzbogacając formy. W szczególności zaważy ono na przyszłości całej nauki, a oczywiście także i historjografji w jej najobszerniejszem znaczeniu. Wiemy zresztą, że i przed wskrzeszeniem państwa zastanawiali się często historycy nad niedolą nauki historycznej, płynącą z braku własnego państwa. Podpisany zwracał na to uwagę już lat kilkanaście temu ², a w r. 1918 pisał: „faktem jest jednak, że obraz całej niepodległej Polski był i jest od r. 1772 wciąż żywym problemem politycznym, zanadto raniącym nasze współczesne uczucia, by można było wysnuć syntezę tej niepodległej przeszłości ze stanowiska obiektywnej prawdy. — Można także wskazać na drugą przyczynę: jest nią brak bezpośredniego kontaktu z żywą siłą państwa w oświetlaniu jego przeszłości: niemoc to zatem mająca źródło w zjawisku niewoli. Czy pod temi, czy pod innemi względami, stan rzeczy po wojnie nie pogorszy się, lecz niewątpliwie polepszy“ ³.

¹ Odczyt wygłoszony na Walnem Zgromadzeniu Towarzystwa Historycznego we Lwowie, 26 czerwca 1923. W dyskusji zabierali głos profesorowie: Finkiel i Ptaśnik, których zdania zostały uwzględnione. Drukiem wyszedł w Kwartalniku Historycznym, w r. 1923.

² Zagadnienia Historyczne, 1 wydanie, str. 61.

³ Ideologia ustrojowa. Lwów, 1918, str. 24.

Uwaga ta była poświęcona syntetycznej stronie naszej porobiorowej historjografji, i o syntetyczną stronę idzie nam i dzisiaj, ale już wobec własnego państwa.

Od wskrzeszenia państwa ubiega lat zaledwie pięć; mógłby więc ktokolwiek podnieść, że jest to zbyt krótki przeciąg czasu, by znaczenie zjawiska, o którym mowa, wystąpiło jasno i wyraźnie. Innym znowu temat sam może się wydać zbyt politycznym i aktualnym, by można rozpatrywać go z dostateczną dozą obiektywności. Będą może i tacy, którzy, nie lubiąc z zasady tego rodzaju rozważań, określa je jako jałową stratę czasu, jako próbę jakiegoś szerokiego programu, który nigdy nie ulegnie realizacji. Otóż nie sposób teoretycznie rozprawiać się z podobnemi zastrzeżeniami czy zarzutami. Byłaby to bowiem rzeczywista strata czasu.

Jednak należy podnieść związek historjografji z państwem, z czem łączy się oddziaływanie myśli historycznej na myśl polityczną i na myślenie wogóle. Stara Polska ma prawo do zajmowania miejsca nie tylko w muzeum, odwiedzanem rzadko i obojętnie, ma ona prawo do stania się jedną z nieostatnich części naszej żywej i czynnej świadomości.

Prawda, naród z odzyskanem państwem stanął wobec nowych kwestyj, wytworzonych przez wojnę i wielkie przewroty społeczne. Historia w naszym społeczeństwie przed wojną nie była zbyt popularna i utraciła wiele z wywieranego dawniej wpływu. Cóż dopiero obecnie, gdy pozornie zmienia się i umniejsza samo znaczenie państwa w ogólnej kulturze i w układzie sił międzynarodowych. Zjawiająca się ponownie wśród mocarstw Polska państwowa zastaje inny filozoficzny pogląd na państwo, niż ta Polska, która w końcu XVIII w. odeszła z rzędu państw. Polska stara miała do czynienia z jedną właściwie międzynarodową organizacją, t. j. kościołem katolickim, dzisiejsza zastaje ich cały szereg. — Z najrozmaitszych źródeł może zatem płynąć krytycyzm, sceptycyzm w poglądzie na rolę państwa, a od nich zależy w pewnej mierze oddziaływanie państwowości na zasadnicze idee, którym hołdowała nasza historjografja, nie mówiąc zupełnie o całej masie oddziaływających na nią innych wpływów.

Mimo jednak najrozmaitsze zastrzeżenia warto zastanowić się nad problemem wpływu wskrzeszonego państwa na rozwój historjografji. Rozumieją to doskonale historycy nawet tych państw, które świeżo powstały, a nie mogą się wykazać takim mocnym fundamentem historyczno-państwowym, jaki posiada Polska. Nasza historjo-

grafja nie potrzebuje dorabiać metryk historycznych własnemu państwu, ale jasne jest, że ona pod wpływem własnego państwa śmieiej spojrzy na przeszłość, pod wieloma względami pogodniej, niż mogła to czynić historjografja porozbiorowa, pod wieloma względami znowu krytyczniej. Na każdy sposób z dużą dozą słuszności napisał prof. Sobieski: „dziś czasy inne. Mając państwo własne, inaczej patrzemy na przeszłość“¹.

Zwracając się od ogólnej strony problemu do zadań ściśle naukowych, należy powiedzieć jedno: sama organizacja badań naukowych, a także potrzeby pracy oświatowej i wogóle pedagogicznej wymagają rewizji pewnych najogólniejszych pojęć syntetycznych w patrzeniu na przeszłość, wynikających ze wskrzeszenia państwa. Jeżeli zaś ta nasza odpowiedź będzie próbą chybną, niech się pojawią inne, doskonalsze, a jestem pewien, że się pojawią, jak i ta próba nie jest pierwsza.

Wspomniałem ubocznie o wymogach organizacji pracy. Pisano o niej stosunkowo sporo podczas wojny, brałem i ja udział w tej dyskusji. Zdaje się, że z powodu najzwyklejszych nieporozumień, a może i uprzedzeń, spotykałem się i spotykam z zarzutem niedoceniania momentu organizacji, a przeceniania znaczenia indywidualnych badań. Nie znam tego rodzaju moich własnych zapatrywań i byłbym wdzięczny za ich dokładne wskazanie.

Natomiast twierdziłem zawsze i twierdzę obecnie, że strona syntetyczna nauki polega głównie na wysiłkach indywidualnych, i na nich z kolei opiera się organizacja pracy.

Warunki rozwoju nauki polskiej w stosunkach powojennych zostały wszechstronnie omówione w znanym dziele: „Nauka polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój“. W dziele tem zabrał głos również szereg historyków, mówiące o nauce historycznej i jej przeróżnych działach², specjalnie zaś o organizacji. Z wymienionych autorów kwestję syntezy zajęli się głównie Smoleński, Kochanowski i najbardziej wyczerpująco Tymieniecki. Ostatniemu autorowi szło przeważnie o teoretyczne ujęcie problemu, o stosunek syntezy do analizy, pogląd na monografię, i w tych punktach można poglądy jego podpisać bez zastrzeżeń; szło mu wreszcie o stosunek organizacji pracy do syntezy badań, gdzie znalazłoby się miejsce

¹ Dzieje Polski. Warszawa, 1923, t. I, Słowo wstępne.

² W I i II t. tego wydawnictwa mówię o artykułach w I cz. Kochanowskiego, Smoleńskiego, Kutrzeby, Bujaka, Semkowicza; w II zaś Tymienieckiego, Semkowicza, Haleckiego, Konopczyńskiego, Fijałka i Zachorowskiego, Gumowskiego i Rutkowskiego.

na zastrzeżenia. Ten sam autor wypowiedział bardzo trafne uwagi na temat niebezpieczeństwa, zagrażającego ze strony źle pojętej popularyzacji i publicystyki historycznej; uwagi aktualne i dzisiaj.

Na podstawie materiału, wydrukowanego w „Nauce polskiej“, odbyła się w r. 1920 w Warszawie konferencja, poświęcona wyłącznie organizacji nauki historycznej. Była ona, naszem zdaniem, do pewnego stopnia przedwczesna: sprawa naszych granic wschodnich nie była wówczas uregulowana, a oczekiwał nadto Polskę najazd bolszewicki. Przedewszystkiem jednak za wcześnie jeszcze było na przybliżone chociażby zdanie sobie sprawy z przemian, jakim ulegnie zasadniczy pogląd na dzieje Polski, zależny tak dobrze od zewnętrznych warunków, jak od znamion wewnętrznych: konstrukcji państwa.

Do pewnego stopnia jest na to i dzisiaj za wcześnie. Jednak minął już dość długi, bo pięcioletni okres czasu od r. 1918; granice ustalone, a życie Polski oparło się na konstytucji — jedno i drugie pozwala na uchwycenie Polski państwowej w życiu, a rozpatrywanie historyczne uwalnia od natłoku wrażeń chwili, który cechował niektóre referaty wspomnianej konferencji z r. 1920.

Wynik uwag naszych możemy streścić krótko: zanosì się na zasadniczą rewizję naszej nauki; ulegną jej liczne syntetyczne pojęcia, ulegnie sama metoda myślenia; zmieni się również stosunek do źródeł nawet pod względem zewnętrznym. Wraca bowiem do kraju wielki materiał źródłowy, którym zarządzali obcy. Terytorjalnie również rozszerza się teren źródłowy, o ile wogóle znajduje się w obrębie granic państwa. Dzięki opiece państwa będzie dostępniejszy naogół materiał historyczny obcych państw i obcych instytucyj. A w następstwie tych przemian powinna spoteżnić organizacja pracy, jako najbardziej związana z przemianą ogólnych organizacyjnych stosunków, jaką stanowi państwo.

Pogląd nasz udowodnimy na kilku przykładach, wyjaśniających słuszość wypowiedzianego zapatrywania.

Wskrzeszenie państwa odbija się w sposób uderzający, chociażby pod względem czysto zewnętrznym, na ogólnym podziale dziejów Polski. Dotychczasowe podziały, a mamy na myśli najogólniejsze formy, przechodzą do archiwum nauki — jeżeli idzie o państwo jako zasadnicze kryterjum podziału. Nie może zatem na przy-

szłość być mowy o podziale dziejów Polski, w którego granicach epoka Polski bez państwa, t. j. Polski porozbiorowej, stanowi pojęcie równej i równorzędnej wartości obok np. Polski bolesławowskiej, piastowskiej, czy jagiellońskiej, opartych o państwo.

Na miejsce dotychczasowego podziału wystąpi odtąd naturalne, tak dobrze zewnętrzne, jak wewnętrzne, ujęcie dziejów Polski w ramy trzech epok: 1) dawnej Polski niepodległej; 2) Polski w rozbiorach; 3) wskrzeszonego Państwa Polskiego. Względy pedagogiczno-naukowe nakazują, oczywiście, podział pierwszej epoki: najpraktyczniej będzie w jej granicach wrócić do starego podziału na Polskę piastowską, jagiellońską i elekcyjną. Ogólna jednak zasada nie powinna stracić na znaczeniu.

Epoka Polski w rozbiorach uległa zatem historycznemu zamknięciu i stanowi okres skończony; została otwarta epoka nowo-odrodzonego państwa. Fakt ten odbił się już w najrozmaitszych podręcznikach i będzie powoli przenikał do literatury naukowej, stanowiąc ciekawy objaw wyprzedzenia wyników naukowych przez samo życie.

Prawda, że ta nowa epoka stanowi dla nas bardzo młodą tęrażniejszość, pozbawioną narazie znamion przeszłości; prawdą jest, że pokolenie żyjące nie może wydawać o sobie sądu historycznego i nie może urobić sobie obrazu samego siebie ze stanowiska historii. Wszak żyją wszyscy główni działacze; same warunki, wśród których powstało państwo, jeszcze nie dobiegły kresu ewolucji; sama podstawowa budowa państwa naszego nie jest jeszcze zakończona. Są granice i jest konstytucja, ale w tych nawet ramach bardzo ważne strony życia państwowego nie są jeszcze ustalone, a fizjonomia i formy życia gospodarczego i finansowego znajdują się jeszcze w chaosie.

Niemniej przeto znaczenie państwa jest tego rodzaju, że obowiązuje ono naukę historyczną tak dobrze, jak całą naszą kulturę. Podział na trzy wskazane epoki, oparty o kryterjum państwowe, uderza prostotą i prawdziwością, które pozwolą stosować go tak dobrze w nauce, jak w nauczaniu historii na najrozmaitszych stopniach.

Rozpatrzmy konsekwencje, jakie pociąga za sobą ten nowy podział. Dotąd każdy historyk swój czy obcy, rozpatrujący dzieje Polski w perspektywie, obejmującej te dzieje — widział na końcu upadek państwa; rozpatrując zaś dzieje porozbiorowe, ujmował je pod kątem widzenia jedności wprawdzie, jedności jednak duch-

wej, nie opartej na szkielecie państwa. Przeszłość państwowa Polski rozpływała się pomału w mgłę, a rzeczywistość zmuszała do mechanicznego ujmowania życia narodowego w ramach oddzielnych zaborów. Otóż wskrzeszenie państwa, jakkolwiek samo nie może jeszcze stanowić przedmiotu historii, przeobraża jednak odrazu całość poglądu i perspektywy na przeszłość. Wskazana zmiana podziału na epoki zmienia również do gruntu ujmowanie stosunku epoki starej, niepodległej Polski do epoki rozbiorów.

Każdy, najpowierzchniej obznajomiony z literaturą historyczną, wie dobrze, że fundamentalnem zagadnieniem naszej historjografji było i jest jeszcze zgłębianie przyczyn upadku Polski.

Jest to ogólna i główna cecha naszej literatury, nietylko historycznej, od czasów rozbiorów dokładnie po wypadki r. 1918.

Czy weźmiemy „Uwagi nad Konstytucją 3 maja“, czy pisma Tadeusza Czackiego, już w nich znajdziemy zaczątki programu rozważań, realizowanego i rozwijanego przez późniejszych historyków.

W formie zaś świadomej, naukowej, jak oświatowej i literackiej, w formie, wzbijającej się do znaczenia katechizmu, odnajdujemy ten pogląd naprzód w „Prospekcie Historji Narodu Polskiego“¹, a potem w Niemcewicza „Śpiewach historycznych“, a zwłaszcza w dołączonym do nich komentarzu.

Upadek Polski — to nić zasadnicza „Śpiewów“, przewijająca się i ciągnąca nad dziejami od pierwszej pieśni o Piaście, jednak z wyrażeniem wiary w zmartwychwstanie, co wogóle cechuje pracę Niemcewicza, wolną od pesymizmu. Zgodnie z filozofją XVIII w. rysy moralne społeczeństwa były głównym przedmiotem jego obserwacji. Skonkretyzował je zosobna w końcowym rozdziale komentarza p. t. „Uwagi nad upadkiem i charakterem narodu polskiego“. W ujęciu Niemcewicza tkwi oczywiście zasadniczy rys filozofji XVIII w., w której charakter narodu odgrywa rolę podstawową, z której dedukcyjnie niejako można rozwinąć dzieje tego narodu, z drugiej jednak strony pogląd sam jest następstwem rozbiorów, i widoczne jest, że termin: naród — staje się surogatem pojęcia państwa.

Kontynuował pracę poprzedników Lelewel, kontynuował ją od podstaw. Próbował on przerzucić punkt ciężkości przyczyn

¹ Pamiętnik Warszawski, nr. IX z dnia 15/XI 1809.

upadku Polski z terenu historii politycznej w obręb zjawisk historyczno-społecznych. Kalinkę dzieje polityczne Polski za Stanisława Augusta interesowały głównie ze względu na sprawę upadku Polski, dokładnie w ten sam sposób, jak pomnikowe badania Korzona nad stosunkami wewnętrznymi tejże epoki miały na celu uchwycenie związku między niedomaganiem polityki a problemem żywotności samego ustroju organizmu państwowego i społecznego.

Nietylko polscy, ale i obcy badacze, czy nimi byli reprezentanci krajów zaborczych, czy inni, np. francuscy, zajmowali się Polską głównie ze względu na jej upadek i konsekwencje tegoż w ukształtowaniu mapy Europy państwowej w czasach od roku 1772—1918. Najżywotniejsze ustępy dziejów naszych, jak czasy Mieszka I i Bolesława Chrobrego, walka z Tatarami, walka z Krzyżakami, czasy Batorego i Zygmunta III, odsiecz wiedeńska, nie mówiąc o wysiłkach kulturalnych, lub o szczególnych znamionach ustroju starej Polski państwowej niewiele interesowały obcych historyków, a nasi zajmowali się nimi za mało.

Z tym problemem badania przyczyn upadku Polski łączy się bezpośrednio rys inny: idzie nam o kwestję ustosunkowania duchowego historyka wobec całej przeszłości Polski. Jest to rys znany, ulegaliśmy mu bowiem wszyscy: była to „sui generis“ sugestia natury emocjonalno-uczuciowej, która nakazywała patrzeć na całość dziejów Polski, jeżeli nie pesymistycznie, to w każdym razie pod kątem widzenia upadku państwa. Małoż to w XIX w. zjawiało się rozpraw, w których przyczyn późniejszej o wieki słabości państwa dopatrywano się w czasach pierwszych Bolesławów! Ten naukowy pesymizm okrasiał nietylko historję polityczną, ale i historję społeczną. Wpłynął on przygnębiająco na pogląd o stosunkach warstw społecznych, zaciemnia w wysokim stopniu pogląd na kwestję kozacką (jest, co prawda, wolny od niego Kubala), zaciemnia również zapatrywania na rozwój literatury i oświaty. Prawda, że mógłby ktokolwiek zarzucić, że przecież równoległe do prądu pesymistycznego czy pesymizującego istnieje także optymizm, pod tym właśnie kątem widzenia rozpatrywany w swoim czasie przez Sobieskiego. Ale ten sam autor daje mimowoli odpowiedź, która dokładnie cechuje „optymizm“ jednego z naszych wybitnych historyków w formie zdania, zapożyczonego u Krasickiego: „Dość ciemna zawsze przeszłość, pocóż ją kunszt ciemni“¹.

¹ Sobieski, Studja historyczne. Lwów, 1912, str. 53.

W jakże różnych warunkach będziemy odtąd pracowali nad tem samem zagadnieniem: przyczyn upadku dawnego naszego państwa. Traci ono przedewszystkiem najważniejsze zarówno dla zwykłego obywatela, jak i badacza — znamię dokuczliwej, uczuciowej i politycznej aktualności. Zjawisko to dotykalnie możemy obserwować na dzisiejszej dorastającej młodzieży, która dziećmi będąc, pamięta jeszcze czasy niewoli. Pokolenie tej młodzieży, dorastającej dzisiaj, patrzy na obecną niepodległą Polskę jak na zjawisko całkiem naturalne, rozumiejące się samo przez się, i z trudnością przypomina sobie zjawiska niewoli. Dzieci zaś słuchają ze zdumieniem, że tak niedawno, a Polski jako państwa nie było. Z pewną trudnością mogą zrozumieć, że bardzo dawno istniało jakieś stare państwo polskie, które upadło. Z biegiem lat, ale już najbliższych, będzie coraz trudniej mówić i myśleć o upadku dawnej Polski jako o rzeczy bezpośrednio zrozumiałej i żyjącej w świadomości najszerszego ogółu. Niedługo przestanie społeczeństwo wogóle o tem myśleć i mówić, w myśl zasady, że życie bieżące i zadania terażniejszości wyznaczają w psychice naszej bardzo mało miejsca — pamięci o dawnej Polsce. Będzie o tem mowa w szkole, a poza szkołą niewielka liczba statystów i historyków w ciszy swych gabinetów będzie zgłębiała to, co minęło.

A jednak — byłoby to źle; byłoby źle, gdyby społeczeństwo łatwo zapomniało lekcje przeszłości. Trzeba zatem będzie nietylko doraźnego wysiłku, ale i systematycznej pracy historyków, by w kulturze ogólnej i politycznej przyszłego Polaka zagadnienie przyczyn upadku starej Polski oblokło się w żywe i elastyczne kształty, by żyło wyraziście w jego świadomości. Byłoby prawdziwym nieszczęściem, gdyby Polacy zapomnieli zbyt szybko o upadku dawnego państwa i jego przyczynach, gdyby wogóle mieli o tem zapomnieć.

Niemniej przeto fakt będzie obowiązywał: zagadnienie przyczyn upadku Polski traci znaczenie dotychczasowej bezpośredniości zarówno dla ogółu naszego społeczeństwa, jako też dla pracowników naukowych; traci je również dla obcych. Przestaje ono być zagadnieniem polityczno-naukowym, obchodzącem całą opinię publiczną, będącem często przedmiotem ostrej walki, i przeobrazi się szybko na pytanie czysto naukowe.

W dziejach naszej historjografji jest to fakt zasadniczy i przełomowy o daleko idących konsekwencjach. Już teraz można dwie z nich mniej więcej dokładnie określić.

O ile idzie o rozpatrywanie całości dziejów naszych, historjografja uwolni się od wspomnianego nieodpornego pesymizmu czy też niewiary we własne siły. Historykowi polskiemu będzie odtąd łatwiej, niż dotąd, w sposób bardziej obiektywny, zastanawiać się nad całą historją Polski. Naogół zaś przyczyn upadku Polski nie będziemy przesuwali w zbyt odległe czasy.

O ile zaś idzie o badanie i ujęcie samychże przyczyn upadku Polski pod kątem widzenia ściśle naukowym, to niewątpliwie ten dział literatury historycznej stoi wobec świetnej przyszłości. Sam fakt bowiem upadku starej Polski stał się, po wskrzeszeniu państwa, zjawiskiem przemijającym. Jako zjawisko, które minęło, daje się on obejrzeć ze wszystkich stron, przyczem nasza duma i godność wogóle, duma i godność badacza, nie będą ulegały rozdrażnieniu wewnętrznemu, które zwykle opanowywało predyspozycję myślową, tak ważną w każdej pracy naukowej.

Tej przemianie wartości problemu przyczyn upadku Polski towarzyszą nadto zjawiska, przeobrażające dotychczasowe środki porównawczego ich badania.

Upadek państwa austro-węgierskiego, jego zniknięcie z mapy Europy państwowej, bez względu na zasadnicze różnice jego budowy i rozwoju w porównaniu ze starą Polską, dostarczy mnóstwa materiału, oświetlającego inaczej zagadnienie upadku starej Polski. Cóż dopiero mówić o katastrofie mocarstwowego stanowiska dwóch najzaciętszych wrogów starej Polski, t. j. Rosji i Prus. Zjawiska te i inne, jak powstanie państwa czesko-słowackiego, oświetlają fakt upadku starej Polski i jego przyczyny same przez się jaskrawo, a wzięte razem z faktem wskrzeszenia Polski upoważniają do mówienia o nowej epoce patrzenia na przeszłość starej Polski i na przyczyny jej upadku ze stanowiska nie własnej tylko historji, ale przede wszystkim porównawczej i powszechnej.

Stwierdziliśmy, że historjografja polska na przyszłość straci uczuciowo-polityczne zabarwienie, zwłaszcza gdy idzie o badanie i przedstawienie przyczyn upadku starego państwa. Nie chcielibyśmy jednak być źle zrozumiani. Zagadnienie starej Polski stanie się zagadnieniem czysto naukowem, to prawda.

Z drugiej jednak strony wskrzeszenie państwa daje historykom Polski odrazu szereg atutów, których brakowało historykom doby porozbiorowej. Aktualność upadku starego państwa, uczucio-

wość badania dziejów Polski w tej dobie, nie mogła zastąpić żywego warsztatu państwa, nie mogła zapewnić historykom bezpośredniego zetknięcia z państwem, którego nie było. Państwo mogło się stać prawie legendą. Dopóki żył naród, nie mogła historjografia Polski zejść z roli czysto abstrakcyjnej historii państw chaldejskich, assyryjskich, starożytności Egiptu, czy państwa Azteków i Inkasów — niemniej przeto historjografii naszej groził los dziejopisów żydowskich, dla których państwo stało się historyczno-religijnym mitem, bądź pamiątką bez praktycznego i politycznego znaczenia.

Jeżeli z tego punktu widzenia spojrzymy na rozwój dziejopisarstwa naszego w czasach porozbiorowych, to przedstawi się nam następujący obraz. Naruszewicz zamyka poczet dziejopisów Polski, utrzymujących bezpośredni związek z państwem: upadek państwa przyprawia go o upadek wiary we własną pracę, wytrąca mu po prostu pióro z ręki. Ale i on już sam nie jest nietylko Kromerem, trzymającym rękę bezpośrednio na pulsie spraw państwowych, ale nie jest również Długoszem. Jest to już historyk — literat — erudyt, dla którego związek z państwem, to osobisty, dworski i przyjacielski stosunek do króla, mecenasu i dobrodzieja. Mimo to widział Naruszewicz żywą jeszcze maszynę państwową, rozumiał żywe tempo polityczne, znał i rozumiał polskich mężów stanu.

Po nim ta nić się urywa. Kołłątaj, Staszic, Czacki, rozumieli niewątpliwie trafnie związek między historjografią a państwem. Rzucili się też z całą namiętnością do rozważań historycznych, które im miały zastąpić dawną pracę państwową, bądź publicystyczną, bądź czysto praktyczną. Jest jednak rzeczą charakterystyczną, że Kołłątaj i Staszic przesunęli punkt ciężkości pracy umysłowej w kierunku tworzenia teoretycznych systematów powszechno-dziejowych, tymczasem więcej praktyczny, a raczej bardziej po prawniczemu myślący Czacki zwrócił się do zgłębiania ustroju starej Polski.

Natomiast najwybitniejszy z historyków Polski XIX w. — Lelewel — to uczony gabinetowy. Nie miał on wglądu w tok spraw politycznych w dobie Królestwa Kongresowego, które zresztą było państwem w sensie bardzo ograniczonym. Następcy Lelewela mają o warsztacie państwowym, a nawet o niezależnej działalności publicznej wyobrażenie przeważnie teoretyczne: tak jest do r. 1863.

Po roku 1863 następuje wprawdzie zmiana, ale nie zasadnicza. Zjawiają się ludzie niesłychanie żywego usposobienia, którzy na przeszłość patrzą głównie przez pryzmat własnej politycznej akcji

czy myśli: można w ich pracach wyczuć nerw państwowy. Taki był ks. Kalinka, w mniejszym stopniu Szujski, jakkolwiek ten teoretycznie doskonale rozumiał znaczenie i przedmiot historii politycznej, dalej historyk ustroju Bobrzyński, a z młodszych Askenazy, z pewnemi jednak zastrzeżeniami. Najwyższe stanowisko jako historyk polityczny zajął ks. Kalinka. Poza tem historia polityczna nawet w rozumieniu tych badaczy była raczej historją idei, a nie odtworzeniem konkretnej akcji. Mimo jednak cały wpływ naukowy, a bardziej jeszcze polityczny, jaki wywierali owi uczeni i pisarze, nie mogli oni związać historii dawnej państwowej Polski z żywym państwowym przynajmniej interesem Polski, właśnie wskutek braku realnego państwa, i może wskutek tego zbaczali często na manowce. Wspomniani pisarze i szereg innych nie mogli jednak żyć samą przeszłością. Pogląd ich na przeszłość był, naturalnie, zawsze zabarwiony wpływem teraźniejszości. Wpływ ten rozłożyć możemy na dwa składowe pierwiastki: aspiracyj polityczno-państwowych niewygaśłych nigdy wśród Polaków, a po drugie realnych warunków, nakładających na Polskę obowiązek obrony już nie państwa, ale kultury polskiej, wyrażającej się przedewszystkiem w poczuciu odrębności i samodzielności psycho-społecznej, której na imię naród, a więc obrony narodowego życia.

Dzieje Polski państwowej w toku doby porozbiorowej, jej dzieje polityczne, przybierały pomału charakter nauki muzealnej, interesującej przedewszystkiem uczonych.

Żywe zagadnienie samoobrony narodowej nakazywało zwracać coraz baczniejszą uwagę na tak zwaną historję wewnętrzną. Dodać do tego należy wpływ mody naukowej, idący z zagranicy, a ogniskujący uwagę opinii naukowej czy opinii ogółu na tem właśnie, co się wysuwało jako przedmiot mody. Wysiłki państwowej Polski w ramach tych zjawisk przedstawiały i przedstawiają się jeszcze dzisiaj jako obiekty mniej naukowe od wykopalisk czy ubiorów, któremi przecież interesuje się cała międzynarodowa nauka.

W obrębie świata ściśle naukowego zjawisko to nie występowало przed r. 1918 w formie zupełnie wyraźnej i jaskrawej. Przeciwnie, można nawet zarejestrować odrodzenie badań historyczno-politycznych nad czasami najnowszemi, związane z nazwiskiem prof. Askenazego, i dziejów wojska polskiego, datujące się od Korzona. Bez względu jednak na wielki wpływ tego naukowego prądu historia polityczna nadal pozostała kopciuszkiem. W litera-

turze jednak pedagogiczno-naukowej patrzano na historję ściśle państwową i polityczną wprost zukosa jako przeważnie na tak zw. historję wojen, którą nie warto zbytnio zaprzętać umysłu dziecka czy studenta. Właśnie bowiem moda ówczesna nakazywała nietylko uczonym, ale i pedagogom zajmować się przedewszystkiem historją kultury.

Nie przeczę, że dawniejsze ogólne opracowania historyczne w traktowaniu dziejów politycznych nie liczyły się bardzo często z koniecznem uzupełnianiem ich w dziedzinie kultury, a zwłaszcza tak zw. dziejów wewnętrznych. Jednak ze stanowiska nauki o dawnej Polsce państwowej prędzej dadzą się zrozumieć i bliższe są rzeczywistości dzieje tak zw. polityczne, niż dzieje tak zw. wewnętrzne w oderwaniu od dziejów politycznych.

Wskrzeszenie Państwa Polskiego i powstające stąd codzienne zagadnienie czynu z pełną odpowiedzialnością za następstwa czynu daje oczywiście gotowy teren, który będzie sprzyjał rewizji stosunku pojęć historii politycznej i historii „kultury“.

Po wielkiej wojnie nie zachodzi, a raczej nie powinna zachodzić obawa, by opinia przynajmniej przez czas dłuższy lekceważyła znaczenie problemu wojny.

Wskrzeszenie państwa restytuuje tak dobrze konkretną pracę polityczno-państwową dla Polski, jak również przywraca prawo pełnego obywatelstwa historii politycznej w obrębie naszej historjografji. Stoimy, a przynajmniej powinniśmy stanąć, u progu okresu renesansu historii politycznej i to zarówno w literaturze naukowej, jak i pedagogicznej.

Wywód nasz nie obejmuje bezpośrednio historjografji stosowanej, a więc ściśle urzędowej czy publicystycznej, stojącej na usługach organów państwowych. Nie przeczymy jednak, że i ten dział literatury jest potrzebny i konieczny, nie przeczymy, że i na tej podstawie można dochodzić do rezultatów o trwałej wartości: tą drogą bowiem przenika do literatury naukowej i do gabinetu najczystszej teoretyki świadomość żywych potrzeb i celów państwa, mogących nauce historii oddawać usługi podobne do stosunku nauk ścisłych do nauk technicznych.

Natomiast mógłby nas spotkać zarzut, że przecież i doba porobiorowa zajmowała się państwem, a czyniła to w formie wszechstronnej uprawy tak zwanej historii ustroju, i to przedewszystkiem ustroju państwowego. Cytujemy poniżej trafne zdanie Szujskiego o książce Bobrzyńskiego, z którego wynika, że historia państwa jako

takiego, jego ustroju i rządu, może nie być równoznaczna z historją bytu państwa jako czynnika politycznego i daleko jej do tego, co należy rozumieć przez historję Polski. Wiele lat minęło od tego czasu, kiedy Szujski napisał te słowa, a pomimo to właśnie w epoce po Szujskim historja ustroju zdobyła sobie przewagę w literaturze historycznej, i to podwójną: zarówno ze względu na energję i pracowitość swych reprezentantów, jako też pod względem znaczenia w społeczeństwie. Najwpływowksi historycy, to przeważnie historycy ustroju, a więc w pierwszym rzędzie Bobrzyński, Balzer i Kutrzeba, ale także Rembowski, Korzon, Pawiński i, co ciekawsza, również i Smoleński, zwłaszcza w swym ogólnym podręczniku „Dziejów Polski“, jakkolwiek ta grupa historyków warszawskich, badając historję ustroju, kładła większy nacisk na dzieje przemian i przejawów ustroju, jednym słowem na jego dynamikę, gdy krakowskich i lwowskich historyków prawa interesowała głównie statyka ustroju.

Uznając w całej pełni znaczenie historji ustroju, stwierdzamy, że zarówno właściwa polityczna historja, jak historja cywilizacji w związku z państwem i historja narodu — leżą poza jej granicami, a nadto mają osobne źródła. Oczywiście, nie znając historji ustroju, nie można rozumieć dziejów danego państwa i narodu, ale ta sama zasada obowiązuje w odwrotnym kierunku.

Znaczenie historji ustroju wobec nauki historycznej da się porównać z tem znaczeniem, jakie miało ustawodawstwo publiczne polskie i literatura prawno-polityczna w stosunku do całych dziejów państwa. Naprzykład wielka rewolucja francuska przeobraziła do gruntu ustrój państwa i społeczeństwa, a mimo to zagadnienia polityczne i cywilizacyjne Francji w XIX w. pozostają w ogólnych linjach te same, co poprzednio.

Uwaga ta tem bardziej może być podkreślona, że i w historji ustroju uwaga naszych historyków zwracała się coraz bardziej od ustroju państwa do ustroju społeczeństwa, a przemiany ustrojowo-społeczne miały mieć znowu znaczenie wybitniejsze od zagadnień ściśle politycznych.

Docieramy do pytania, co w rezultacie dla naszych historyków było ważniejsze, czy dzieje (w całości) państwa, czy też odartego z państwowości społeczeństwa.

Pytanie to wiąże się z innem, mianowicie ze sprawą stosunku narodu do państwa i odwrotnie. Pytanie to w literaturze przedroz-

biorowej nie istnieje. Dzisiaj wysuwa się ono jako jedno z zagadnień naczelnych. W dobie porozbiorowej, wskutek wskazanych wyżej przyczyn, punkt ciężkości ujmowania i badania dziejów Polski przesunął się od spraw państwa do spraw narodu i społeczeństwa, tworząc z nich pod wpływem ówczesnej teraźniejszości niejako oś historii państwa w sensie twórczo-politycznym, coraz to bardziej wyłącznym. Nie oznacza to jednak bynajmniej, by sama kwestja była postawiona jasno i wyraźnie. Przeciwnie, można stwierdzić, że naogół panuje niedocenienie problemu aż do ostatnich czasów przed wskrzeszeniem państwa.

Rzućmy okiem na przebieg tego zjawiska w literaturze w dobie porozbiorowej i zważmy, że nie wystąpiło ono odrazu w jasnej formie i nie doprowadziło również do wyrobienia skończonego systemu w fazie ostatniej przed r. 1918. Literatura przedstawia raczej obraz zmagania się różnych prądów. Ale i wpływ historjografji na opinię nie przedstawia jednolitego obrazu. Wpływ ten był bardzo znaczny w latach 1815—1831 i 1831—1863; zmienił się jego charakter po r. 1863, ale trwał on dalej aż do lat dziewięćdziesiątych. Odtąd zaczął coraz bardziej słabnąć, a nawet ostatnio, co pozornie temu przeczy, między historykami a przodującym inteligencji polskiej obozem istnieje coś nakształt nieporozumienia. Operowanie argumentami historycznymi jest chwilowo niepopularne, a niejeden ideał historyczny, np. Kazimierz Wielki lub ja-giellonizm, ulegają w opinii obniżeniu i ostrej krytyce.

Upadek starej Polski w pierwszych chwilach ciekawie odbił się na świadomości lepszej i czujniejszej części opinji. Upadek państwa plątał się w umysłach nawet cięższych ludzi z upadkiem czy też zanikiem samej Polski. Spotykamy się z wypowiedzeniami w tym np. rodzaju: oto przestałem być Polakiem, a zostałem Austriakiem, Prusakiem czy Rosjaninem. Przez czas dłuższy panował w umysłach prawdziwy niepokój; rzeczywistość państwowa znikła i ludziom brakowało nietylko państwa, ale idei, któraby się w codziennem życiu mogli karmić jak chlebem powszednim. Stan ten do pewnego stopnia podobny jest do dzisiejszej chwili; dzisiaj bowiem może nie brak idei, ale także brak ich zharmonizowania i syntezy wobec warunków wstrząśniętej do dna rzeczywistości, jakkolwiek samo porównanie polega na odwróceniu faktów. Po rozbiorach właśnie zapanowała niemoc myśli wskutek upadku państwa, dzisiaj wskrzeszenie państwa zmusza do rewizji utartych napoły pojęć.

Od rozbiorów upłynął czas pewien i dopiero stwierdzenie faktu, że chociaż państwo upadło, ale naród trwa i żyć będzie, stało się rewelacją, od której zaczyna się prawdziwie nowe umysłowe życie w dobie niewoli politycznej. Historyków specjalnie musi interesować objaw, że spostrzeżenie to nie było rezultatem nauki, tem mniej historycznej, lecz przyszło do nauki i do historjografji z życia, może nawet nie tyle polskiego, ile zachodniego, pod wpływem następstw wielkiej francuskiej rewolucji; skoro zaś zjawilo się w obrębie nauki, rzuciło więcej pytań i zagadek, niż dało precyzyjnych odpowiedzi.

Niemniej przeto stworzyło ono podstawę do rewizji mnóstwa dotąd panujących zapatrywań w życiu publicznem, a w dziedzinie naukowej, budząc ruch, stawało się wprost twórczem. Dzieje Polski stały się już nie dziejami samego tylko państwa, ale dziejami państwa, narodu i społeczeństwa.

W prospekcie Tow. Przyj. Nauk, powstałym pod wpływem Staszica i przez niego podpisanym, a opracowanym głównie przez Prażmowskiego, mieści się uwaga: „Historja przeto, o której wydaniu Towarzystwo myśli, nietylko ma zawierać jak najzupełniejszy zbiór dziejów, lecz oraz wystawić doskonały obraz charakteru narodowego, w nim szukać przyczyn wzrostu, potęgi i upadku narodu. Charakterem narodu zwiemy przymioty i wady, czyli raczej dobre i złe nałogi, które jak okrętem kierujące wiatry, na obszernej go wieków popychają przestrzeni, i albo go na szczyt chwały wynoszą, albo pogrążają w przepaści“¹.

Jakkolwiek program Staszica nie został bezpośrednio zrealizowany przez historjografję, to jednak wywarł on decydujący wpływ na pogłębienie współczesnych, a zwłaszcza późniejszych, badań i poglądów. Wzbogacił treść jałowej dotąd państwowo-literackiej literatury, a współczesne pokolenie uzdolnił do podjęcia zadań praktycznych, możliwych do rozwiązywania nawet po upadku państwa.

Takie przejścia duchowe są naogół bardzo trudne i ciężkie i połączone z wielkiem ryzykiem. Samo wspomniane odkrycie mogło się stać niebezpiecznem dla przyszłości państwowych aspiracyj pokonanego narodu, dla idei niepodległości Polski i walk o nią. Żywą ilustrację tego niebezpieczeństwa stanowi proces du-

¹ *Loco cit.*, str. 255.

chowo-polityczny, który przebył bodaj twórca i odkrywca u nas zasady „narodu“ — właśnie sam Staszic, stając się pierwszym typem ideowego ugodowca w stosunku do Rosji¹.

Zaborcy zresztą sami szybko się zorientowali w praktycznej korzyści rozróżniania pojęcia państwa od pojęcia narodu i w wiedeńskich traktatach zgodzili się w teorji na zagwarantowanie Polakom warunków swobodnego narodowego rozwoju.

Odrzuć jednak zauważymy, że dla Staszica, a cóż dopiero dla Niemcewicza, Lelewela, Brodzińskiego, Szajnochy i wogóle dla pokoleń polskich aż do r. 1863 pojęcie „naród polski“ było raczej państwowem, niż nacjonalistyczno-etniczmem; ogarniało więc nie tylko Polaków, ale do pewnego stopnia ludy Litwy i Rusi. Idea ta jednak przesuwiała uwagę na siły wewnętrzne, podtrzymujące państwo, i nakazywała z biegiem czasu coraz bardziej liczyć się z narodem polskim w znaczeniu etniczno-cywilizacyjnem, a nie jako synonimem Państwa Polskiego. W wysuniętej bowiem przez Staszica i jego następców idei narodu, żyjącego dalej po upadku państwa, tkwiło zasadnicze rozróżnienie idei narodu od idei państwa.

Lelewel rozwija dalej powyższe, niejasne zresztą i nadal zapatrywania, jakkolwiek o ile idzie o naród, dopiero Szajnocha może być nazwany prawdziwym historykiem narodu, operującym tem pojęciem obok pojęcia państwa. Otóż Lelewel w „Odrodzeniu Polski za Łokietka“, napisanem w r. 1822, po raz pierwszy podkreślił znaczenie siły, tkwiącej w narodzie — społeczeństwie, zdolnej do poparcia narodowo-państwowych aspiracyj dynasty. Podziwiać należy naukową intuicję Lelewela, skazanego na opracowywanie bardzo jeszcze niedostatecznego zasobu źródeł, albowiem odkryte później dokumenty, roczniki i nekrologi potwierdzają ogólną linię jego konstrukcji, polegającą na spostrzeżeniu, że Łokietek „tracił coraz więcej ziem, a rósł w nadzieję i ufność, w krokach swoich nie ustający, powolny, a dotrwały, każda przeciwność tron jego umocowywa, bo go opierał na narodowości“.

Ta sama idea przenika jego „Dzieje Polski, które stryj synowcom opowiedział“, skreślone w r. 1829. Narodowości polskiej, w etniczmem tego słowa znaczeniu, jest tu wymierzone należyte miejsce w przedstawieniu całości dziejów. — Nie można jednak

¹ „Myśli o równowadze politycznej Europy“, czytane w Wydziale literatury Tow. Przyj. Nauk w r. 1815, w miesiącu sierpniu i „Ostatnie moje do współrodaków słowa“, w dziełach St. Staszica, tom IV. — Zresztą należy podnieść, że nie tylko Staszic, ale i Kołłątaj, choć nie w tak konsekwentny sposób, przesuwał w tej epoce punkt ciężkości usiłowań narodu w kierunku konserwacji kultury narodowej.

ukryć, że w wykładzie Lelewela brak dokładnej analizy stosunku pojęcia narodu do pojęcia państwa. Wynika to tak dobrze z rozważań polityczno-aktualnych, przypominających Staszica, w zakończeniu wykładu; ważniejsza, że odbija się również na naukowej stronie wykładu; np. w przesunięciu punktu ciężkości i doniosłości „Dziejów Polski“ z czasów Kazimierza Wielkiego na czasy właśnie Łokietka. Bardzo charakterystyczny jest przypisek Lelewela, zredagowany, zdaje się, w r. 1846, a poświęcony w całości zagadnieniu czasów Kazimierza. Przygana ta wynika z rozważań narodowo-historycznych, a nie państwowych.

Nie uchybia to w niczem doniosłości samej idei, było tylko jej wypaczeniem. Lelewel wogóle pisał także w tym wypadku według ducha czasu. I znowu nie było to przypadkiem, że w roku rewolucji listopadowej, która miała ponownie przyprowadzić nas o klęskę prawie państwową, pojawia się rozgłosna rozprawa Brodzińskiego, w której autor ideę narodu-narodowości rozwinął do godności już nietylko historyczno-politycznej, lecz filozoficzno-literackiej o religijnem zabarwieniu. Odtąd idea narodu staje w politycznej świadomości naszej inteligencji, obok idei państwa, jako pojęcie równorzędne, a bodaj nawet wyższe. Przypominamy jednak, że i sam Brodziński na pojęcie narodu patrzy w znaczeniu „l'état c'est la nation“.

Wspomnieliśmy, że Lelewel nie rozwinął dokładnie strony nacjonalistycznej wpływu narodu na państwo, chociaż jego wywód o Kazimierzu Wielkim może podpisać najbardziej nacjonalistyczny myśliciel. Zastanawiając się nad rolą narodu w dziejach Polski, zwrócił Lelewel, jak wiadomo, główną uwagę na składowe czynniki narodu, i można powiedzieć o nim śmiało, że kreśląc w swem rozumieniu dzieje „ludu — narodu“ pod kątem widzenia ściśle społecznym, stał się w pewnej mierze nauczycielem nietylko Szajnochy i innych, ale również Bobrzyńskiego. Jaskrawość „społecznikowska“ Lelewela bije ze źródła gorących uczuć narodowych. Jeszcze będąc profesorem w Wilnie, stawiał kwestje: „Śląsk i Prusy stracił naród polski przez arystokracją, jakim sposobem odzyszcze?“ i nikt nie umiał odpowiedzieć, że przez lud, przez „gminnowładztwo, demokrację“. W tych samych „Uwagach“ powiedział: „aby takowe (dzieje Polski) miały być dziejami królów, nie było w mej myśli; w skreśleniu ich marzyłem dzieje ludu samego, jeśli nie w gruncie, przynajmniej z tym wyrazem, że i on jest częścią narodu, ojczyznę utrzymującą“.

Wychodząc z tej zasady, przerzuca Lelewel punkt ciężkości historii Polski na dzieje ludu, na dzieje wewnętrzno-społeczne, przedstawiając kolejno zmiany ustroju i to tak dobrze państwowego, jak społecznego. Nie znaczy to, by nie doceniał znaczenia historii ściśle politycznej, albowiem kreślił „Uwagi“ jako uzupełnienie „Dziejów Polski, które stryj synowcom opowiedział“. Na nieszczęście, rzadko który, nawet z historyków, czytał jednocześnie obydwie te prace, stąd zaś u następców spotkać się można często z niedokładnym pojmowaniem lelewelowskiej syntezy.

Tymczasem w syntezie tak pojętej tkwią pierwiastki twórcze dla historii Polski pod ogólnym kątem widzenia państwowo-narodowym. Lelewel pierwszy sentymentalną dosyć duchową spoistość narodu w rozumieniu Niemcewicza czy Brodzińskiego ściąga na bardzo realne podłoże interesów społecznych i gospodarczych, przeciwstawiających gmin warstwom wyższym. Nie powiemy, żeby ta myśl występowała u Lelewela zupełnie wyraźnie i jasno, ale jest u niego dość materiału, chociażby w rozdziałach o sprawie kozackiej, żeby takie spostrzeżenia wysnuć. I dzisiaj godne są czytania te rozdziały, w których Lelewel wzbija się do najwyższego stopnia obiektywizmu, określając śmiało ujemne strony obydwóch walczących obozów i patrząc na nie ze stanowiska czasów XVII w. i pojęć politycznych polskich, którym hołdowali tak dobrze szlachta jak i kozacy.

System poglądów Lelewela, tak dobrze syntetyczny, jako też jego podstawy źródłowe szły naogół w kierunku tego działu nauki, który przywykło się później nazywać historią ustroju. Praca jego miała już poprzedników w Czackim, W. Bandtkem, a więc w historii prawa. Lelewel jednak pierwszy związał ich i własne odnośne badania z całością dziejów państwa i narodu, dając stronie ustrojowej przewagę w obrazowaniu rozmaitych stron przeszłości. Ta strona jego „Uwag“ wywarła najgłębszy wpływ na dziejopisarstwo polskie, odbija się silnie na Bobrzyńskim, a nawet na pokoleniu współczesnych historyków. Odosobnione stanowisko zajął natomiast jeden z największych historyków, jakiego wydała Polska porozbiorowa, to jest Szajnocha.

W przeszło dwadzieścia lat po rozprawie Brodzińskiego ukazały się pierwsze historyczne pisma Szajnochy, a to „Bolesław Chrobry“ i „Odrodzenie Polski za Łokietką“, w których Szajnocha podjął pierwotną koncepcję Lelewela i rozwinął ją, prześcigając mistrza nie tylko pod względem artystycznym. Powieść Szajnochy

o zmaganiach się z Niemcami Słowiańszczyzny, a także Narodu Polskiego, i to wewnątrz i zewnątrz państwa, wybiega daleko poza szranki zwykłej państwowej historii na starą modę. W opowieściach Szajnochy ród Piastów — to jedna osoba moralna, wyobrażająca naród; ten ród i naród, bez względu na liczne faktyczne sprzeczności, występujące w jego przedstawieniu, to w pierwszym rzędzie reprezentanci Słowiańszczyzny zachodniej w walce z Niemcami. Pogląd ten pozwolił Szajnosze posunąć naprzód znawstwo „Dziejów Polski“ rozpatrywanych przezeń czasów, pozwolił w szczególności w zmaganiach narodowych o kościół i o miasta znaleźć zasadnicze źródło odrodzenia państwa za Łokietka — poza zwykłą polityką dynastyczną. Natomiast strona etniczno-narodowa „Dziejów Polski“ bolesławowskiej wypadła słabo. W szczególności mamy na myśli rozgłosną i tak popularną hipotezę najazdu, sprowadzającą rozwój stanowych i klasowych przeciwieństw do przeciwieństwa etnicznego, najeźdźcy (szlachty) do podbitego (ludu).

W wielkiem swoim dziele „Jadwiga i Jagiełło“ nie stosuje Szajnocha zgodnie z prawdą kryterjum narodowego w oświetlaniu wypadków. Jest to znamieny rys całej prawie późniejszej naszej historjografji. Na czoło opowieści wysuwają się momenty ogólnocywilizacyjne, a więc katolicyzm, ustrój szlachecki. Naogół obraz błady, jeżeli nań patrzeć ze stanowiska podłoża warunków, na którym miała rozwijać się Unja. Są jednak spostrzeżenia znakomite, które rozwinęli późniejsi historycy. Uderza to zwłaszcza w określeniu ścisłego związku między poziomem wiedzy w Uniwersytecie krakowskim a obroną kresów. „Im więcej możliwych imion koronnych świeciło w księdze akademicznych promocyj najwyższej szkoły krajowej, tem więcej mądrych hetmanów wiodło następnie do zwycięstwa u granic kraju, tem bezpieczniejsze były progi ojczyste... Ciężkie stąd posłannictwo ustawicznych zapasów z wrogiem przemocnym, zagroziło nakoniec upadnięciu na siłach w obydwóch zawodach pracy, w pracy nad oświatą ojczyzny w stronie zachodniej i nad obroną jej granic u szlaków wschodnich“. Zaznacza Szajnocha niezupełność dzieła Unji, pozostawiającego na boku Ruś z powodu katolickiego charakteru samej Unji.

O wiele plastyczniej przedstawia wypadki wieku XVII. On pierwszy zeszedł ze stanowiska historyka, mającego jedynie na oku centrum spraw państwowych, i zajął się, jak na swe czasy, gruntownie życiem odległych prowincyj południowo-ruskich. Interesowała jednak Szajnochę głównie społeczna strona walk polsko-

kozackich. W przemianie „rycerstwa“ kozackiego w chłopów widział główne zło. Dla ilustracji stosunku narodu do państwa wystarczy jedno typowe zdanie: „w tej mierze, gdy szlachta dzisiejsza (XVII w.) jak w ogólności dla całej obrończej misji narodu, tak szczególnie dla głównego jej dzieła, podbicia Krymu, znacznie już ducha straciła, Kozacy najgoręcej w narodzie czuli ten kardynalny obowiązek jego przeszłości“. Wina wybuchu wojen kozackich spoczywa zatem na żywiole magnackim, który nie chciał wojny ani z Krymem, ani z Turcją, pragnął jedynie spokojnego zagospodarowania kresów, nie bacząc na to, że nie pozwoliliby na to ani Turcy, ani Tatarzy.

W traktowaniu jednak ogólnem życia narodu i życia państwa Szajnocha zajął najwyższe stanowisko wśród historyków doby porobiorowej, najbardziej obiektywne i harmonijne.

Do Szajnochy, bez względu na głębokie różnice przekonań, zbliża się najbardziej może Szuijski lat młodzieńczych. Później zmienił się, jak wiadomo, do gruntu. Jakkolwiek Szuijski teoretycznie i praktycznie rozumiał i bardzo dobrze formułował znaczenie dziejów politycznych i historii Polski, to jednak rozwój poglądu prowadził go po r. 1863 prawie do wykreślenia dziejów politycznych z historii Polski. Sam o tem tak mówi: „Otóż w dziejach narodu polskiego właśnie mamy wypadek, że sądzone wedle sukcesu politycznego, smutne świadectwo dawałyby o narodzie, który dał sobie odebrać byt polityczny, który najsmutniej go skończył. Wszakże, jeżeli o jakim narodzie powiedzieć można: non omnis mortuus sum, to o polskim. Dzieje jego cywilizacji są stokroć chlubniejsze od jego rezultatów politycznych“.

W myśl tych wskazań rozbudował Szuijski zapatrywanie Szajnochy na pracę polską na wschodzie i dobudował własny pogląd o młodszości rozwoju Polski. Co zaś rozumiał wogóle przez historję, to najdokładniej sformułował w polemice z Bobrzyńskim. Zgodność politycznych poglądów nie przeszkodziła Szuijskiemu wypowiedzieć pod adresem autora „Dziejów Polski w zarysie“ ostrych słów naukowej krytyki. A mimo to ohydwaj pisarze są dziwnie metodycznie pokrewni, jakkolwiek wnioski są biegunowo przeciwne: Szuijski dzieje narodu utożsamia z dziejami cywilizacji, wykreślając dzieje polityczne, Bobrzyński zaś dzieje narodu identyfikuje niemal ze swem pojmowaniem dziejów wewnętrznych, w których mało miejsca dla narodu, a zato prawie wszystko dla ustrojowej strony państwa.

Wśród dzieł historycznych po r. 1863 uwagę ściąga głównie dzieło Bobrzyńskiego. Nie może być naszym zamiarem wszechstronna charakterystyka książki. Natomiast nie zwraca się należytej uwagi na fakt, że jest to prawie jedyna książka, która daje przedewszystkiem dzieje państwa, a państwo od początku do końca tworzy oś, około której jest oplecione opowiadanie. Mógł Bobrzyński rolę państwa przecenić w ogólności, zwłaszcza w dziejach Polski (szedł w tym względzie za wzorami niemieckimi), jego ideał państwowy mógł być dla większości opinii polskiej niesympatyczny, ale mimo te wszystkie zarzuty czy braki podstawową zaletę dzieła Bobrzyńskiego stanowi patrzenie na dzieje Polski ze stanowiska państwa, którego zadaniem jest tak dobrze obrona zewnętrzna, jak wewnętrzna utrzymanie w równowadze i harmonii sił często rozbieżnych.

Był jednak Bobrzyński mimo to typowym reprezentantem historii doby porozbiorowej. Akcentując rolę państwa, trafnie dopatrzył się głębokich nieporozumień, zachodzących zwłaszcza w nowszych czasach między rządem a narodem czy społeczeństwem, rolę jednak rządu zasadniczo przecenił. Przecenił również znaczenie tej strony państwa, którą w dziejach swych wysunął, to jest wpływ ustroju na żywe polityczne życie. Dzieje tego ustroju, a właściwie schematów ustroju, nazwał wewnętrznymi dziejami narodu i napisał, „że do społeczeństwa tego przemówi wymowniejszym językiem historia wewnętrzznego życia narodu, niż szeregi zapisanych zwycięstw i obrazy sielankowych lub uroczystych scen z dworskiego i domowego życia”¹. Pod tym względem stał się Bobrzyński mistrzem zarówno swych gorących zwolenników, jak najzacieklejszych przeciwników. Poszli za nim wszyscy bez wyjątku historycy ustroju Polski, poszli historycy kultury, chociażby tak diametralnie odmiennych przekonań, jak Smoleński, a historycy polityczni wręcz zamilkli, ograniczając rolę swą do monografij.

Bobrzyński stanowi również typ całej generacji historyków, zastanawiających się nad upadkiem starej Polski. Nie jest, naturalnie, oryginalny, gdyż ma poprzedników poczynawszy od Staszica i Niemcewicza, on jednak w poglądzie na całość dziejów ojczyzny najjaśniej i najostrzej formułuje system poglądu na przyczyny jej upadku jako system poglądu na całe dzieje Polski. I tak samo pod tym względem, jak pod względem historii ustroju jest nauczycielem

¹ „Dzieje Polski w zarysie”, wyd. I, str. 29.

zarówno swoich zwolenników, jak antagonistów. Nic nie pomogły w tym względzie zastrzeżenia Kalinki i Szujskiego.

Ten ostatni trafnie powiedział, że Bobrzyński mimowiednie prawie zdążył raczej do historii prawa i państwa w Polsce, a nie do „Dziejów Polski“. Książkę Bobrzyńskiego miał Szujski raczej za szturm na historję. „Nie łudzimy się, szturm na historję nie jest przypadkowy. Pytają ją o jej matematykę i geometrję, aby jej narzucić swoją. Otaczają ją zewszec stron naukami o awanturniczych, jak dotąd, hipotezach, mającemi podważyć lub przynajmniej osłabić treść duchową, którą przynosiła światu. Ekstrawaganci lingwistyki słuchają głosu, który z zwierzęcego krzyku przeprowadził do ludzkiego słowa; ekstrawaganci archeologii historycznej szukają człowieka najmniej niepodobnego do małpy!... Ekstrawaganci socjologii, wiodąc od dzikości pierwotnej, do ponownego zdziczenia w maszynie, zatracającej ludzką wolność i indywidualność, radziby, narzuciwszy swoją formułkę dziejom, zakryć dwa fakta, że protestowały one zawsze przeciwko zupełnemu utopieniu człowieka w materji i przeciwko zniszczeniu jego indywidualności w najdoskonalszym nawet organizmie politycznym...“

Nie będziemy przedstawiali rozwoju poglądów na stosunek narodu do państwa i odwrotnie. Wpłynąć na to mogło wyłączenie opracowywania dziejów państwa na tle narodu polskiego i cywilizacji najściślej polskiej. Wiadomo, że naogół historjografja nasza bardzo mało poświęcała uwagi dziejom nie polskich żywiołów starej Rzeczypospolitej. Zagadnieniem prawosławno-ruskim interesowano się jedynie ze stanowiska przeciwnstw, jakie wyłaniały się w dziejach Unji i dyzunji i podczas wojen i buntów kozackich. Dzieje Litwy ściągnęły na siebie uwagę dopiero w ostatnich kilkunastu latach, i to głównie kwestja Unji.

Dzieje Żydów w Polsce stanowią dla nas dotąd „*terram incognitam*“; to samo można powiedzieć o dziejach Niemców w Polsce.

Skłonni przeważnie do identyfikowania dziejów Państwa Polskiego z dziejami własnego narodu, nie byliśmy poprostu ciekawi dziejów stosunku elementów nie polskich do państwa. W rezultacie nie mogliśmy się zdobyć ani na systemat polityczno-państwowych dziejów Polski, ani na porządne dzieje narodu polskiego.

Stąd pochodzi, że historycy, przeceniający teoretycznie rolę narodu w stosunku do państwa, jak Szelański, nie umieją jednak określić dokładnie natury tego stosunku. Jest to tem bardziej godne uwagi, że Szelański, prawie jedyny z historyków, miał pełną

świadomość znaczenia problemów historycznych, ważnych dla wskrzeszonej Polski. Historycy tego samego obozu, jak np. Sobieski, oświetlając stanowisko historyczne Kazimierza Wielkiego, niczem istotnem nie różnią się od historyków starszych pokoleń.

Podniesione sprzeczności można sprowadzić do jednego rysu. Historjografia nasza po r. 1863 traci coraz bardziej charakter jednolitego obrazu i jednolitego systemu zasadniczych zapatrywań. Następuje rozdzielenie poglądu, co stanowi jedną z naukowych przyczyn upadku wpływu historjografji. Wskrzeszenie państwa, a tem samem *restitutio in integrum* pojęcia państwa w oświetlaniu przeszłości, może sprowadzić zpowrotem uzgodnienie poglądu historycznego.

Dzieje Państwa Polskiego są bezwarunkowo twórcze w dziejach naszego narodu, a zakres kultury narodowej polskiej pomnażał się i tworzył pod wpływem państwa nietylko w zaraniu doby piastowskiej. Jeżeli nawet w dobie porozbiorowej historjografia polityczna starego Państwa Polskiego obumierała, to jednak natura tych starych dziejów Polski nie pozwoliłaby nigdy na napisanie „Dziejów Polski“ nakształt Palackiego: „Dziejów narodu czeskiego“. Zagadnienie narodu i państwa posiada dla przyszłej naszej historjografji podwójne znaczenie. W pierwszym rzędzie idzie o przedstawienie rozwoju stosunku idei państwowej polskiej do naszej idei narodowej, czyli o stosunek istoty kultury państwowej do rdzennych cech naszej kultury narodowej; po drugie musimy zastanowić się nad zasadniczym stosunkiem idei państwa do zagadnień narodowych w naszych dziejach.

Dzieje starej Polski nie przestaną być, naturalnie, dziejami Polski przedewszystkiem szlacheckiej. Nowa Polska wprowadzi jednak do literatury nowe kryterja. Historyk przyszły, dziecko Polski ludowej, będzie patrzył innemi oczami na dzieje starej Polski, niż historyk doby porozbiorowej. Ten ostatni bowiem miał zamglone oczy zarówno przez problem upadku państwa, jak i przez ostre klasowe przeciwieństwa, stojące na porządku dziennym zagadnień XIX w. Dzieje mieszczaństwa i ludu wiejskiego na tle dziejów kultury będą w przyszłości uprawiane intensywniej i przyczynią się niewątpliwie do pogłębienia i zrozumienia problemu stosunku narodu do państwa. Rzeczywistość polityczna i państwowa, rozwój państw i narodów środkowej i wschodniej Europy wprowadzą korektury, z trudnością dające się jasno dzisiaj określić.

Zagadnienia wewnętrzne i zewnętrzne świeżo powstałych państw z Polską na czele, zagadnienia te same odnośnie do Rosji i Niemiec, przesuwają i ukształtowały rozmaicie ów stosunek. Najszczerzej prawdę tę wypowiadają Czesi, którzy stoją wobec zadania wprowadzenia Słowaczyny w obręb dziejów Czech¹. Dzieje czesko-słowackie zastąpią odtąd dzieje czeskie.

Zwolennicy np. idei jagiellońskiej, a więc Polski czysto historycznej, w potocznem tego słowa znaczeniu, patrząc na obraz dzisiejszej Polski, nie mogą oczywiście indentyfikować jej ze swym historycznym ideałem, przyczem sprzeczność ideału występuje jedynie u wschodnich granic i na temat braku Litwy Kowieńskiej w obrębie dzisiejszego państwa.

Ale tak samo t. zw. historjograficzni „piastowcy“, inaczej mówiąc, nacjonaści rozmaitych odcieni nie widzą w dzisiejszem Państwie Polskiem realizacji swych ideałów. I oni zresztą, podobnie jak pierwsi, zadowoleni są oczywiście z przyrostu ziem na wschodzie, ale faktem jest *p r i m o*, że znaczne odłamy etniczne Polski pozostały poza granicami, a *s e c u n d o* wewnętrznie Polska obecna odbiega od ideału ściśle nacjonalistycznego o dobre 30%, na które składają się rozmaite nasze narodowe mniejszości. Niemniej przeto dzisiejsza Polska państwowa istnieje i w tych samych warunkach istnieć będzie przez czas dłuższy, a fakt ten z konieczności wywrze w świadomości naszej opinii następstwa, idące, zdaje się, w kierunku, który nie będzie ideałem ani ściśle „jagiellońskim“ (federacyjnym), ani czysto „piastowskim“ (nacjonalistycznym).

Państwo Polskie nie zmarło w tej formie, w jakiej istniało przed r. 1772. Powstało pozornie coś nowego, co jest własnością bezsporną narodu polskiego nie tylko w znaczeniu historycznym, ale i narodowym; równocześnie jednak z problemów starego państwa pozostało dość materiału, nakazującego nawiązywać do tradycji historycznej, do czego w pierwszym rzędzie jest obowiązana historjografia polska.

Historjografia powinna w tym przyszłym procesie umysłowo-politycznym odegrać rolę, której naogół nie odegrała w okresie poprzedzającym wskrzeszenie państwa. Historjografia dawniejsza, jak widzieliśmy, nawet popełniała błędy, za mało kształtując społeczeństwo w sensie czysto politycznym i państwowym, powierzchownie dosyć traktując przejście od epoki piastowskiej do jagiellońskiej

¹ „Našemu dějepisectví nastala nová doba“ píše V. Chaloupecký w „Českém Časopise Historickém“ (r. 1922, zeszyt 1—2).

i lekceważąc naogół zagadnienie narodu, narodowości i ich stosunku do państwa.

Czasopismo poznańskie „Strażnica Zachodnia“, o ile idzie o jego dział historyczny, zaczyna do pewnego stopnia torować właściwą drogę żywotnym lokalnym działom historjografji; może wreszcie opanujemy dzieje zachodnich kresów Polski, leżących dzisiaj poza granicami państwowej Polski. W systematycznym zaś opracowaniu dziejów Gdańska, Prus Wschodnich i całej Litwy znajdzie się duchowe ognisko, jednoczące w wspólnej idei reprezentantów narodowego czy piastowskiego i państwowego czy jagiellońskiego kierunku.

Podnieśmy jednak, że praca tego rodzaju musi ogarnąć dzieje wszystkich kresów polskich, i to zarówno zewnętrznych, a więc kresów państwa, jak i wewnętrznych, a więc rozmaitych peryferyj kultury narodowej czyto w formie stosunków polsko-niemieckich, czy żydowskich, czeskich, ruskich, litewskich i t. p.

Historjografja czasów najbliższych zajmie przeto bardziej polityczno-państwowe stanowisko, niż mogło to być dotąd. Z historii Polski wynika jednak niezbita prawda, że fałszywa byłaby analogja pomiędzy stosunkiem religji do jej kościoła a stosunkiem kultury narodowej naszej do jej państwa. Uczy bowiem ta historia, że nasze państwo nie było wojującym kościołem kultury polskiej, która nawet w najgłębszych swych wnętrzach nie znosi zbytnej opieki państwa. Epoka wskrzeszonego państwa odbija się więc prawdopodobnie na historjografji w ten sposób, że nastąpi ustalenie równowagi między zasadą „narodową“ a „państwową“ w duchu tradycji historycznej i linii historycznej starego państwa, z uwzględnieniem dodatnich i ujemnych rysów lekcji, jakie daje nam doba porozbiorowa. Stworzyliśmy dawniej państwo o budowie już nie narodowej, lecz niejako nadnarodowej, do której utrzymania okazały się za słabe nasze siły narodowe, spoistość duchowa samego narodu polskiego. Nie wynika jednak stąd, by naród polski, odzyskawszy swe państwo, miał się wyprzeć jego idei dlatego, że odnośnych zadań nie potrafiliśmy rozstrzygnąć. Byłoby to tak, jakgdyby nowa Polska ludowa, wieśniacza i robotnicza miała się wyprzeć głębokich dodatnich rysów starej Polski szlacheckiej dlatego, że błędy szlacheckiego przyprawili nas o upadek. Jak ta dusza nowej Polski ludowej odnajdzie siebie w duszy starej szlachty, tak nowa Polska państwowa odnajdzie siebie w starym Państwie Polskiem, w jego lepszych i czystszych przejawach, z uwzględnieniem dorobku i do-

świadczeń doby porozbiorowej i w należytem ustosunkowaniu się do warunków realnej rzeczywistości i przyszłości.

Na każdy sposób historjografja nowej państwowej Polski spojrzy na przeszłość pod kątem widzenia państwowym w stopniu silniejszym, niż dotąd. Rysy ewolucyjne Polskiego Państwa dopiero odkrywać nam trzeba, do czego niezbiecie potrzeba było niepodległości.

Rewizja stosunku idei narodu do idei państwa będzie przenikała w obręb historjografji także z innej strony. Państwo czechosłowackie w sposób o wiele silniejszy od nas zostało oparte na amalgamacie etnicznym Czechów i Słowaków z jednej (nie mówiąc o grupie polskiej), a Niemców z drugiej strony; przyczem narodowy stosunek Czechów do Słowaków jest bardzo niewyraźny i nie można dzisiaj jeszcze przewidzieć, jak nie czysto czeskie elementy ustosunkują do ideału państwowego, reprezentowanego zupełnie realnie przez Czecho-Słowację. Podobne zagadnienie występuje w państwie południowo-słowiańskim, w którym typy narodowe: chorwacki i serbski są wyraźnie odrębne, o bardzo wysokim stopniu świadomości, a nadto, podobnie jak w Czecho-Słowacji, mają do czynienia z innymi grupami bądź etnicznymi, bądź już narodowymi.

W Rumunji wojna wprowadziła w obręb państwa także liczne pierwiastki nierumuńskie. Procentowo, zdaje się, przedstawia się w niej zagadnienie mniejszości narodowych podobnie jak w Polsce.

Do tych państw zbliża się budowa nowej Rosji, w której — obok przeobrażeń społeczno-bolszewickich — przeobrażenia narodowo-bolszewickie stanowią najbardziej historyka i polityka interesującą stronę przewrotu. Rzuca się przytem w oczy, że podobne polityczno-społeczne przewroty w przeszłości Rosji czy za Iwana Groźnego, czy za Piotra Wielkiego szły w kierunku unifikacji państwowo-narodowej, gdy tymczasem rewolucja sowiecka, przynajmniej w teorii, w całej rozciągłości, a w praktyce bądź co bądź częściowo, uznaje zasadę albo narodu, albo co najmniej narodowości, przeobrażając państwo na państewka, — prowincje narodowe.

Inne państwa, które na wojnie terytorjalnie ucierpiały, a więc Niemcy w pierwszym rzędzie, nowa Austrija, Węgry, Turcja, zostały obcięte do możliwych granic własnego etnograficznego podłoża, oczywiście z pewnemi znanymi wyjątkami. Każde z nich zbliża się do ideału państwa ściśle nacjonalistycznego, ideału, zrealizowanego

pod zewnętrznym przymusem. Ciekawa będzie ewolucja i rewizja pojęć, panujących w odnośnych narodach na temat stosunku narodu do państwa.

Wszystko to, wzięte razem, daje bogaty porównawczy materiał do roztrząsania analogicznych pytań na gruncie naszej kultury.

Nie będziemy wdawali się w prorocтва i nie jest także naszym zamiarem opuszczanie gruntu naukowego i przechodzenie na teren publicystyczny czy polityczny. Idzie o ustalenie możliwie obiektywne faktów, przechodzących powoli w dziedzinę nauki.

Otóż faktem, stwierdzonym przez literaturę historycznej doby porozbiorowej, jest, że ekspansja nasza na rozległych przestrzeniach wschodu w dobie przedrozbiorowej osłabiła siłę narodu polskiego w państwie, a w dobie porozbiorowej, zwłaszcza po r. 1863, przypawiła nas o szereg przykrych rozczarowań, jak sprawa ruska w t. zw. Galicji wschodniej, a później zwłaszcza kwestja litewsko-żmudzka.

Za podobnie stwierdzony fakt przyjmujemy odwrotne zjawisko, t. j. konsekwencje nacjonalizmu państwowego dla Niemiec i dla Węgier. Wyraziły się one w zupełnej katastrofie politycznej, równoznacznej z bankructwem ideologii filozoficzno-politycznej, której wynikiem jest nacjonalizm.

Historjografia polska najbliższej przyszłości, rozpatrując zagadnienia przeszłości, ma dość jasną drogę przed sobą. Wskreszenie państwa pozbawia ją charakteru politycznej propagandy; historyk, rozpatrując przeszłość, przestaje być nauczycielem politycznym społeczeństwa w bezpośrednim znaczeniu tego wyrazu. Dziewięćusetletnia przeszłość Polski aż do epoki rozbiorów różni się ogromnie od doby porozbiorowej i obecnej; sprawa stosunku narodu do państwa nie jest jedynym zasadniczym problemem tej przeszłości; ważą się w niej co najmniej z równą siłą takie problemy, jak stosunek zachodniej europejskiej cywilizacji do wschodniej, jak obrona tych obydwóch pierwiastków od niebezpieczeństw tatarskich i tureckich, co wytwarzało tak trudną do zrozumienia dzisiaj solidarność polsko-ruską, a nawet katolicko-prawosławną, jak obrona przed Niemcami i przed Moskwą, stwarzającą solidarność polsko-litewską i t. p.

Zosobna wymienić należy kulturę narodu, która w dobie porozbiorowej ujawniła — poza wartością dla narodu — wysoką wartość międzynarodową. Mówimy specjalnie o kulturze artystyczno-literackiej i naukowej: jedna i druga osiąga swe cele, rozwija się

przeważnie pod warunkiem ustawicznej syntezy pierwiastków swoistych i obcych.

Obowiązkiem historjografji polskiej jest utrwalenie w świadomości ogółu tych obrazów przeszłości, z których pewne, choć przełotnie, odżyły podczas wypadków lat ostatnich.

Nauka dotąd nie wie, czy państwo wyszło z narodu (ludu), czy odwrotnie; gdy mowa o historycznej genezie zjawiska, potężne ognisko świadomości siebie, „ja“ historyczne, przejawia swą istność w formach najróżnorodniejszych, wobec których nawet państwo i naród mogą być zjawiskami jeżeli nie przemijającymi, to w każdym razie nie wyłącznymi i nie jedynymi.

Historjografja Polski doby porozbiorowej odznacza się specyficznie lokalno-polskim charakterem. Mógłby nam ktoś zarzucić, że nie może być inaczej. Naturalnie, o ile idzie o przedmiot badania, rzecz jest w porządku, i w porządku także to, że Polacy polską głównie historją się zajmują. Zarzut, jeżeli tak go wolno nazwać, tyczy metody traktowania dziejów Polski, widocznego ich zacieśnienia do zjawisk i źródeł ściśle polskich, niejako zewnętrznie polskich. A więc — małe zainteresowanie się tematami, leżącymi choćby czysto zewnątrznie poza polską historją; a i samą polską historję zgłębia się bez wszechstronnego uwzględnienia źródeł obcych; nadto doba porozbiorowa cierpi na niedostateczną uprawę historji ściśle powszechnej, zarówno w sensie pragmatycznym (określenia związku przyczynowego ze zjawiskami, leżącymi poza granicami polskiego świata), jako też i porównawczym.

Prawda, że i przed XIX w. nauka polska mało się interesowała historją powszechną. W XIX jednak wieku zjawisko to musi razić tem dotkliwiej, że nasze interesy polityczne coraz dokładniej nakazywałyby przyjrzeć się bacznie dziejom obcym, a nadto w ogólnej literaturze historycznej historja powszechna zajmuje coraz wybitniejsze miejsce.

Brak organicznego związku między historjografją polską a obcą, brak u nas działów, i to rozległych, poświęconych rzeczom obcym, w rodzaju takich studjów francuskich np. Blondela lub Lavissee'a czy Rambauda nad organizacją państwa niemieckiego w wiekach średnich czy nowożytnych; wszystko to sprawia, że nawet konieczne określanie związków dziejów polskich z obcymi jest

formułowane ze stanowiska partykularnie polskiego, bądź też jest ono doszyte lub skopjowane według gotowych wyników historjografji obcej. Chcę powiedzieć, że uczony polski doby porozbiorowej, pragnąc sobie wytworzyć pojęcie o zjawisku niemieckiem czy rosyjskiem, donosił i dla dziejów Polski, bierze przeważnie odnośne obce dzieło do ręki i zużytkowuje bezpośrednio jego rezultaty w opracowaniu tematu z dziejów polskich.

Bardzo zaś mało mamy badaczy, którzy w sposób samodzielny pracowali nad dziejami powszechnymi, bądź obcemi, z tem samem zainteresowaniem, co nad polskimi. Właściwie można wymienić tylko jednego, tylko Lelewela, po nim zaś, ale już w znaczeniu ograniczonym znacznie, Korzona, a ze współczesnych Szelągowskiego i Sobieskiego, Konopczyńskiego i chyba bardzo niewielu innych.

Zaznaczony kierunek naszej historjografji był zupełnie zrozumiały, a nawet do pewnego stopnia konieczny. Przerażający brak środków materialnych, brak ludzi, mogących sobie pozwolić na studia historyczne, brak opieki państwa, sprawiały, że nauka polska musiała się ograniczać niejako do konserwacji rzeczy najściślej polskich, do opracowywania w miarę możliwości zabytków polskich, a tem samem do odtwarzania przeszłości przedewszystkiem polskiej.

Otóż sądzę, że wskrzeszenie Państwa Polskiego kładzie kres takiemu charakterowi naszej historjografji i zapowiada daleko idące przeobrażenia. Żeby zrozumieć przeszłość, składowe pierwiastki i rozwój Państwa Polskiego i polskiej kultury, należy samodzielnie przerobić najważniejsze zagadnienia przeszłości świata europejskiego, ale trzeba również wykroczyć poza Europę. Prowadzą bowiem w tym kierunku zagadnienia nietylko naukowe, ale i polityczne. Byt dotychczasowy i przyszły rozwój politycznych odłamów naszej emigracji politycznej w XIX w. we Francji, a dzisiaj gospodarczej w północnej i południowej Ameryce, zmuszą naszą historjografję prędzej czy później do wykroczenia poza rogatki europejskie.

Do tych uwag należy dodać jeszcze jedną, wypływającą z ogólnej historji naszej nauki. Wiedzieliśmy, że na nią wywarła wpływ znaczny nauka niemiecka, jej gruntowność, systematyczność, umiejętność pracy zbiorowej, jej krytycyzm.

Ale dzisiaj idzie o co innego. Dzisiaj chwieją się systematyczne podstawy poglądu, ożywiającego naukę niemiecką od dwóch blisko stuleci, chwieje się więcej nawet: niepewne stają się pewniki, obowiązujące całą historjografię środkowej i wschodniej Europy. Historyk polski i historyk wogóle stoi dzisiaj wobec raptownej zmiany Europy, wobec której nikło wyglądają geograficzno-polityczne rezultaty epoki napoleońskiej. Ta zmiana mapy, będąc narażeniem wyrazem wstrząśnięć wojennych i politycznych, zapowiada przecież już w najbliższym czasie wielkie wstrząśnienie w nauce historycznej, i to nietylko polskiej, ale powszechnej.

Historyk niemiecki, rosyjski, węgierski zaczyna już dzisiaj wkraczać na męczący szlak, udeptany przez historyków polskich XIX w. Dla tych historyków zaczyna być już dzisiaj najważniejszym zagadnieniem określenie przyczyn, które doprowadziły do katastrofy Niemcy, Rosję i Austro-Węgry. W tem rozważaniu przeskadza im (obok innych) ustawicznie problem Polski, na który patrzą przez pryzmat czasów przedwojennych. Z biegiem jednak niedługiego czasu historycy obcy zaczną szanować Polskę jako czynnik nietylko narodowy ale i międzynarodowy. Obowiązkiem historyków Polski jest w tem ich uprzedzić.

Zmiana mapy środkowej i wschodniej Europy wywoła inne jeszcze naukowe objawy. Zniweczona bowiem została zasada geograficzno-politycznej równowagi, w której granicach od tysiąca lat obracał się widnokrąg historyka. Powstanie państwa czesko-słowackiego w formie czesko-słowackiej, zniknięcie Węgier w charakterze sąsiada Polski, wzrost znaczenia Rumunii, utworzenie państw Finlandji, Estonji i Łotwy, restauracja Litwy — nieuchronnie będą prowadzić w kierunku rewizji pojęć, które wydawały się od wieków obowiązującymi szablonami czy kategorjami historycznego myślenia.

Obok zmienności samych zjawisk i wypadków historycznych unaoczniać się będzie wyraziście zmienność warunków historycznych i podmiotów historii, gdy mowa o państwowej historii Europy.

Jednem słowem, historjografia polska znajduje się zarówno wskutek wskrzeszenia państwa, jak upadku szeregu państw dawnych i powstania nowych — wobec nowego zupełnie ugrupowania potęg na wielkim rynku nauki międzynarodowej. Przed wojną prym u nas wiodły nauka niemiecka i francuska; a nadto na historjografię naszą silnie oddziaływała opinia naukowa czynników zaborczych.

Jedno i drugie ogniskowało się głównie we wpływie nauki niemieckiej w jej wielorakich przejawach i najrozmaitszych odmianach. Niemiecka historjografia zaciężyła u nas, zwłaszcza po r. 1863, zarówno na zapatrywaniach na przeszłość, jak, może silniej jeszcze, na metodzie opracowywania źródeł, zwłaszcza średniowiecznych. We wpływie tym było bardzo wiele pierwiastków dodatnich, były jednak i ujemne. Historję ziem zachodnio-słowiańskich, ba, nawet historję ziem zachodnio-polskich traktowaliśmy przeważnie po macoszemu, oddając je w niepodzielne niemal naukowe władanie Niemców. Na mnóstwo naszych pomników średniowiecznych patrzymy dotąd przez szkła niemieckich wydawców. Od tej wady nie jest wolne nawet nasze pomnikowe wydawnictwo Bielowskiego i Kętrzyńskiego „*Monumenta Poloniae Historica*“. Jeżeli nie wszystko należy wydawać ponownie w ulepszonych edycjach, to jednak i dokumenty średniowieczne oczekuje nowa wydawnicza przeróbka, odpowiednio do wznowionych potrzeb i środków narodu i państwa.

Podczas wojny zastanawiano się w literaturze naszej nad jednym rysem naszej pracy naukowej, w którym zawsze Niemcy celowali najbardziej: nad problemem organizacji. Tymczasem u nas, w pierwszym rządzie pod wpływem braku państwa, braku szkół wyższych, a w znacznej mierze także odpowiednio do naszego narodowego charakteru, wysiłek wybitnych jednostek bierze górę nad pracą zrzeszeń i wogóle pracą zbiorową. Nazwiska Lelewela, Bielowskiego, Piekosińskiego czy Korzona nie mają nietylko równych czy wyższych od siebie kontynuatorów, ale wogóle mało się dba o podejmowanie dalej wątków ich pracy.

Nawet obraz ogólny naszej historjografji był kreślony przeważnie ze stanowiska poglądów politycznych i filozoficznych, a nie na podstawie kryterjów metody i organizacji pracy.

Jeżeli pod tym kątem widzenia rzucimy okiem na rozwój historjografji naszej porozbiorowej, rozwój ten przedstawi się nam w trzech aktach-obrazach.

Pierwszy okres — od Naruszewicza do Lelewela. Ponad wszystkim góruje dążność do posiadania całości dziejów. Zwrot do źródeł jest niezaprzeczone; nosi on jednak charakter przebłykowy, dorywczy i inicjatywy czysto prywatnej. Przytem, rzecz ciekawa, nie brak już w tej dobie teoretycznego zrozumienia doniosłości organizacji i podziału pracy. Typowym tego przykładem — „*Prospekt historii*“, ogłoszony przez warszawskie Towarzystwo Przyja-

ciół Nauk. Nie można wprawdzie powiedzieć, by praca, oparta na tym Prospekcie, nie przyniosła żadnych rezultatów: naogół jednak były one nieznaczne i szybko się urwały. Najwybitniejszy zaś współczesny historyk, Lelewel, pozostał poza tym zbiorowym ruchem i pracował przez całe życie głównie na własną rękę, nie oglądając się na innych. Pewien wyjątek przedstawia historia prawa: cechuje ją niejaka systematyczność, pewna koordynacja indywidualnych zamierzeń. — O zbiorowym wydaniu samychże źródeł wówczas jeszcze nikt nie myślał. Samo Towarzystwo Naukowe dążyło za wszelką cenę do syntetyczno - literackiego obrazu całości dziejów Polski.

Po latach trzydziestych stan rzeczy się zmienia. Zaczyna się okres drugi, ciągnący się do roku 1863. Rwie się nić pracy. To jedna strona obrazu. Lelewel idzie na zachód; kilku zdolnych historyków na wschód. Stają warsztaty uniwersyteckie i praca dotychczasowego pokolenia zostaje jeżeli nie stracona, to jednak nie przedostaje się do świadomości szerszego ogółu: w tym sensie marnieje. Zajmują się nią jedynie lub przeważnie erudyci, prywatni miłośnicy historii; podobnie jak w literaturze pięknej typem stają się kapłani poezji, tak i tu — kapłani historii lub jej moiżni prywatni mecenas. Okres ten — to nazwiska Działyńskiego, Helcla, Bielowskiego, Przeździeckiego i innych. Wszyscy oni hołdują ideom lat 1815—1831. Jest to zdumiewający dowód żywotności narodu — na świeżem politycznym popielisku. Z jednej strony monumentalne dzieła Lelewela, poświęcone numizmatyce i geografii powszechnej, pisane na emigracji, z drugiej — tu, w kraju, niezaprzeczony dowód postępu nauki w porównaniu z poprzednim okresem. Jasne jest bowiem, że wymienieni wyżej badacze dźwignęli historjografię polską na poziom znacznie wyższy od osiągniętego przez Lelewela. Cechuje ich wszystkich znamienny zwrot ku bezpośredniemu poznaniu i rozszerzeniu znawstwa źródeł tak dobrze polskich, jak wiadomości o Polsce u obcych. Ruch obejmuje historję polityczną i historję prawa, wieki średnie przedewszystkiem, ale także i czasy ostatnich Jagiellonów. O żywotności tych wysiłków świadczy przedewszystkiem fakt, że się one nie urwały. Świadczy to również dobrze o wzmagającej się świadomości znaczenia nauki w polskiem społeczeństwie, a przynajmniej w tych kręgach, na które oddziaływali wielcy uczeni doby od r. 1831 do r. 1863.

Pod niejednym względem doniosłość ówczesnych wysiłków dorównuje naukowym przedsięwzięciom zagranicznym. Nie da się

jednak zaprzeczyć, że społeczeństwo polskie stać było materialnie na większe natężenie pracy i na rezultaty rozleglejsze ¹. Wystarcza jednak nazwisko Szajnochy, by ocenić, do jakich wysiłków zdolna była myśl polska na terenie odtwarzania przeszłości.

Niemniej przeto opracowania niemieckie górują nad polskimi, a zwłaszcza jedna, t. zw. *Historja Röpella*, doprowadzona do r. 1300. Jest to niezmiernie charakterystyczne, że ta trzeźwa i pełna uczoności książka doczekała się polskiego przekładu dopiero w trzydzieści kilka lat później. Röpell oddziaływał niewątpliwie na Bielowskiego i Przeździeckiego, narazie jednak na naukę polską nie wywarł głębszego wpływu. Za prawdziwego zaś pośrednika między historjografią niemiecką a polską można uważać z jednej strony Liskego i jego uczniów (do których zaliczamy także Smolkę), a z drugiej warszawskich uczonych: Pawińskiego i Rembowskiego.

Wypadki więc roku 1863 tworzą dopiero granicę, od której zaczyna się, jak wiadomo, nowy ruch historjograficzny; odgrywa on równocześnie wybitną rolę w ruchu politycznym i społecznym, a to aż mniej więcej do roku 1891. Po tym roku, upamiętnionym drugim Zjazdem historycznym, ruch słabnie, traci na oddziaływaniu na opinię i maleje również naukowo.

Cechą tego ostatniego przed r. 1918 okresu jest oddziaływanie w pierwszym rzędzie wydarzeń r. 1863 i podkreślony już wpływ nauki niemieckiej, który trwa dalej tak dobrze na gruncie galicyjskim, jak i warszawskim. Nowe pokolenie badaczy warszawskich, a więc Askenazy, Kochanowski, to także wychowankowie uniwersytetów niemieckich; i tak dobrze w konstrukcjach politycznych pierwszego, jak w pomysłach socjologicznych drugiego widać sporo wpływu nietylko metody, ale i myślenia niemieckiego. Znać go również na pisarzu, lubiącym się Niemcom przeciwstawiać, na Wacławie Sobieskim. Historyków, niezależnych od szkoły niemieckiej, można się doliczyć na palcach: takimi są Korzon, Szujski, Jabłonowski.

Próbowano parokrotnie przeciwstawiać się wpływowi nauki niemieckiej. Świadomość ujemnych stron zjawiska występuje w pismach Korzona. Była o tem mowa na konferencjach historycznych r. 1904 w Krakowie; jest ta sprawa potrącona w odczytach, poświęconych zgłębieniu przyczyn upadku Polski, które się odbyły

¹ W tym pobieżnym szkicu możnaby oczywiście wspomnieć o wielu innych jeszcze objawach naszej energii naukowej, np. o czasopismach literacko-naukowych, ułatwiających organizację pracy.

również w Krakowie w r. 1917. Wpływ jednak trwał, dzięki zarówno zaletom myśli i pracy naukowej Niemców, jak zależności państwowej i kulturalnej.

Związki i stosunki nauki polskiej z Rzymem i Paryżem, jakkolwiek istniały, były zbyt wątłe, by mogły równoważyć lub wydatnie osłabić wpływ nauki niemieckiej. Prawda, że ogrom pracy źródłowej i monograficznej własnej polskiej górował już przed wojną nad tem, co zrobili Niemcy dla dziejów Polski, jednak w całości nauka nasza nie wyzwoliła się zupełnie z pod przewagi niemieckiego ducha.

Wspominając o wpływie niemieckiej nauki, nie mieliśmy zamiaru analizować go dokładnie. Szło nam o wzmiankę, a to zarówno ze względu na dodatnie, jak i na ujemne strony tego oddziaływania. Wskrzeszenie państwa otworzyć musi na tem polu nową epokę tak dobrze w stosunku do nauki niemieckiej, jak do innych literatur narodów kierujących. Będzie to epoka prawdziwej niepodległości nauki historycznej, którą dopiero trzeba wywalczyć. Odnośne wysiłki unoszą się narazie w sferze zamierzeń. Nie można jednak lekceważyć ruchu, który ogarnął piśmiennictwo szkolne, absorbując narazie szereg sił fachowych badaczy. Polszczenie szkoły i podręczników, to pierwszy etap polszczenia wogóle myśli.

Na granicy między wszechstronnym ruchem podręcznikowym a naukowym stoi nowość w naszej literaturze historycznej, mianowicie dzieła, przedstawiające historję gospodarstwa polskiego. W przeciwstawieniu do dawniejszych syntez historyczno-prawnych, przedstawiają się one bardzo sympatycznie i skromnie, nie pretendując do roli nieomylnego sędziego we wszystkich dotychczasowych wątpliwościach historycznych. Niemniej przeto wpływ tego rodzaju dzieł, wypełniających jaskrawą lukę naszej literatury, będzie niewątpliwie ogromny. Niepodległości państwa czy państwowej niepodległości narodu winna odpowiadać niepodległość kultury, a zatem także i nauki historycznej. Będzie się ona wyzwalała z pod wpływów obcych, o ile one naginają rozpatrywanie przeszłości polskiej czyto do obcych celów, czy do obcych systematów myśli. Warunki jednak niepodległości nauki są równocześnie dość podobne do warunków niepodległości państwa w dzisiejszej jego formie. Państwo, pragnące żyć i rozwijać się, nie może się odgraniczać murem chińskim czyto od sąsiadów, czy od państw wogóle. Jego

niepodległość, to właśnie sztuka utrzymania równowagi pomiędzy tem, co daje się innym, i co się wzamian otrzymuje. Państwo niepodległe musi dzisiaj rozwijać i rozszerzać związki z ogółem państw.

A zatem i nasza nauka historyczna będzie dbała o stworzenie własnych podstaw źródłowych tak dobrze celem poznania własnej przeszłości, jak i obcej, będzie się musiała dalej wyzwolić z patrzania na zjawiska angielskie, francuskie, niemieckie i t. d. wyłącznie przez szkła obce; ale równocześnie nie może zapominać o konieczności przyswajania sobie zdobyczy nauki, płynących z najrozmaitszych źródeł. Praca ta będzie postępowała równolegle. Starając się o to, by stać się panami własnego terenu zagadnień, w stosunku do zjawisk obcych musimy znaleźć się w roli podróżnika, rozporządzającego wszelkimi środkami do poznania zwiedzanych krajów i nie ograniczającego się do gwiazdek Baedekera, zaczynającego należeć już do przeszłości.

Udział w międzynarodowych przedsięwzięciach naukowych, podejmowanie inicjatywy naukowej poza granicami zainteresowań czysto polskich i organizowanie na takim gruncie pracy międzynarodowej — w dalszej oczywiście przyszłości — zapewnią państwu i narodowi nietylko miejsce, ale i wpływ na międzynarodowym terenie pracy.

Ogniskiem jednak wszystkich usiłowań musi pozostać myśl, że wskrzeszone państwo domaga się od ogółu swych obywateli starannego przygotowania historyczno-politycznego, uzdolniającego do spełniania zadań narodu, uzbrojonego w tak potężną broń, jaką stanowi państwo. Naród polski był i będzie narodem państwowym, co tworzy szczególną cechę naszej kultury w czasach nawet niewoli. W pracy naukowej i w wychowaniu społeczeństwa historjografja nasza musi zapewnić w dziejach narodu należyte miejsce państwu, jego realnym sprawom i troskom o jego przyszłość, o czem myśleć odzwyczailiśmy się przez ostatnie półtora wieku.

Wielkie to słowo: niepodległość nauki! a jednak, jak łatwo stać się może tylko czczym szyldem, jeżeli pod jej sztandarem nie zgrupuje się rzetelna i systematyczna praca, połączona z wielkim wysiłkiem myśli!

**Z POWODU CZWARTEGO WYDANIA
„DZIEJÓW POLSKI W ZARYSIE“
MICHAŁA BOBRZYŃSKIEGO**

**Z POWODU CZWARTEGO WYDANIA
„DZIEJÓW POLSKI W ZARYSIE“
MICHAŁA BOBRZYŃSKIEGO¹**

Rdzeń „Dziejów Polski“. — Naukowe i obywatelskie cechy książki. — Pogląd na przyczyny upadku Polski. — Rola wybitnych jednostek. — Pogląd na parlamentaryzm polski. — Niesłuszny sąd o ostatnich Jagiellonach. — Niesłuszna ocena Unji lubelskiej. — Obiektywizm Bobrzyńskiego. — Historia starej i odrodzonej Polski jednolitą całością.

„Dzieje Polski w zarysie“ Michała Bobrzyńskiego pojawiły się niedawno w czwartym wydaniu, u progu 50-tej rocznicy wydania pierwszego, i to z pod pióra samego autora, wkraczającego w 80-ty rok życia. Zdumiewający dowód żywotności autora i jego książki. Autor zatrzymał układ i istotną treść wydań poprzednich, jakkolwiek treść w wielu ustępach doznała zmiany; nowe zupełnie są wszystkie komentarze bibliograficzne. Zadaniem niniejszej pracy jest omówienie książki ze stanowiska historyczno-politycznego; z umysłu przeto zostawiamy na boku uwagi fachowe, na które miejsce w „Kwartalniku Historycznym“.

Historyczno-polityczna strona książki stanowi istotny rys jej 50-letniej żywotności. Czwarte wydanie ukazało się w 40 lat po wydaniu trzecim. W ciągu tych czterdziestu lat potrzebne były niewątpliwie nowe wydania, stały jednak temu na przeszkodzie publiczne obowiązki autora. Sądzymy jednak, że i nastrój opinii, zwłaszcza w 50-tych latach, poprzedzających wielką wojnę, nie sprzyjał podjęciu nowego wydania. Natomiast książka odzyskała całkowitą aktualność po odnowieniu Państwa; stało się jasne już w latach 1919 i 1920, że charakterystyczne cechy naszej współczesności państwowej przypominają w szeregu wypadków to, przed czym Bobrzyński przestrzegał, formułując słynny już dzisiaj pogląd na przeszłość Polski. Przy końcu tej rozprawy podaję trzy krótkie listy prof. M. Bobrzyńskiego, pisane do mnie. Łączę je razem, jak-

¹ Drukowane w miesięczniku warszawskim „Droga“, w r. 1929.

kolwiek były pisane w odstępach czasu: pierwszy z powodu „Ideologii ustrojowej“, drugi z racji czwartego wydania, a trzeci właśnie w materji niniejszej rozprawy.

Odrodzenie Państwa postawiło zpowrotem na porządku dziennym zagadnienie ustroju, głównie w formie stosunku parlamentaryzmu do rządu i odwrotnie (nie oznacza to, by była to wyłączna, zasadnicza bolączka ustroju). W jaskrawem świetle tego problemu błędną rozmaite inne, nawet wielkiej wagi, okoliczności, które przed laty nie pozwalały szerszej opinji publicznej, a nawet pewnym kołom fachowym zgodzić się z duchem wiejącym z kart książki. Ostra krytyka przeszłości, sprzeczna nie tylko z mesjanizmem ustosunkowaniem do przeszłości Polski, lecz z trudnością dająca się pogodzić z potocznym, serdecznym przywiązaniem do tej przeszłości, a także niedostateczne w wielu wypadkach naukowe ugruntowanie wygłaszanych poglądów — sprawiły, że książka była nie tylko namiętnie zwalczana, lecz powoli przechodziła w niepamięć.

Prawdą jest również, że geneza książki w znacznej mierze wpływała z dwóch jeszcze źródeł, a to ze stanu ówczesnej literatury niemieckiej, poświęconej zagadnieniom ustrojowym, co się zbiegło w okresie koncipowania dzieła z praktycznym formułowaniem zasad ugody w Galicji między konserwatystami a rządem wiedeńskim. Książka mogła robić wrażenie, że jest niejako historycznym uzasadnieniem potrzeby rządu, opartem na reakcji przeciw hasłom powstańczym, przeciw opinji umęczonego narodu, a to dla lokalnych celów praktycznej polityki galicyjskiej szlachty.

Dzisiaj wszystkie te okoliczności zblakły i pożółkły. Został zdrowy trzon książki, zasługujący na ponowne zgłębienie jej nie tylko przez historyków, ale przez wszystkich czynnych obywateli, pracujących na niwie politycznej, publicystycznej i społecznej. Zasługuje też książka na to, by w najwyższych klasach szkół średnich była czytana i dyskutowana pod kierunkiem nauczycieli, dobrze do tego przygotowanych.

Książka autora już od swego pierwszego wydania ma ciekawą cechę psychiczną, która może niejednego czytelnika odstraszała. Mózg, który tę książkę wydał, to nie mózgownica przeciętnego, a nawet zdolnego historyka-ereduty. Książka jest dziełem człowieka czynu, a nadewszystko niezmiernie wybitnej umysłowości. Jasność sądu, oparta na jasności obserwacji, uzbrojona w metodę fachową, w znajomość źródeł i literatury, dawały w rezultacie pokarm, trudny

do strawienia dla ludzi niewykształconych, lub nie umiejących i nie mogących sprostać sile rozumowania Bobrzyńskiego.

Książka Bobrzyńskiego pojawia się wreszcie w chwili, gdy po wypadkach majowych z r. 1926 kwestja ustrojowa, właśnie pod kątem widzenia „rządu“, stoi na czele wszystkich naszych problemów. Książka daje materiał bogaty nasz własny i stawia go przed oczami wszystkich „reformatorów“, którzy powinni dobrze pamiętać, że same „exempla“ zagraniczne, ściągane zupełnie przypadkowo z rozmaitych kątów do kupy, nie mogą wystarczać do wytyczania Polsce nowych dróg. Skarga już w XVI w. przestrzegał przed powoływaniem się na weneckie przykłady, skoro w Polsce brak Wenecji jako miasta-państwa, i brak weneckich rozumów. Hartknoch zaś w końcu XVII w.¹ wywodził słusznie: „potępiam jednak przewrotność tych, którzy lekceważąc domowe stosunki, to tylko uważają za godne badania, co jest od nas ogromnie dalekie; stąd bowiem bywa, że kto uważa się za bystrzejszego zagranicą od Argusa, w domu jest ślepszemu od ślepca“.

Rozumny obywatel dzisiejszej Polski zastanowi się głęboko nad „Uwagami“ Bobrzyńskiego, stanowiącemi kwintesencję jego umysłowości. Sam autor podnosi z usprawiedliwioną dumą, że rdzeń jego zapatrywań, tak ongi zwalczany, stanowi dzisiaj własność bardzo wielu ludzi.

Od siebie muszę dodać, że nie jest to tak łatwo odpowiedzieć na pytanie, co stanowi rdzeń książki, pisanej na kanwie zasadniczego pokrewieństwa myśli z poglądami ks. W. Kalinki i J. Szuskiego. Nie mówię o tem, co sam podkreślam, o rezultatach, które można uważać za trwałe, nie mówię naturalnie o lukach, błędach nawet. Wszystkie one razem nie mogą zatrzeć rdzenia, który dla mnie polega na krytyce i wyrażeniu zasadniczych wątpliwości w stosunku do przeszłości starej Polski; opinia publiczna i fachowa literatura takiej krytyki potrzebowały. Przywiązanie do przeszłości i budowa na jej podstawach nie mogą być równoznaczne z apoteozą przeszłości i kwietystyczną zasadą snucia tradycji przodków. Inna sprawa, iż krytyka, przeprowadzona przez autora w latach 1877—1879, częściowo tylko była oparta na zbadaaniu naszej przeszłości, w znacznej zaś mierze polegała na zastosowaniu do Polski szablonu rozwoju innych państw, czy też schematów nauki, bardzo niedokładnych. Sądzę też, że ta strona konstrukcji książki nie da się utrzymać.

¹ Hartknoch, Res publica polonica. Wydanie z r. 1687, przedmowa, kartka 2.

W tytule niniejszego artykułu podnieśliśmy kardynalne, naukowe i obywatelskie cechy książki. Nie jest ona i dzisiaj całkowitą historją Polski, nie jest wszechstronnym obrazem naszej przeszłości w rozwoju historycznym. Jest to przede wszystkim próba obrazu historii państwa starej Polski przedrozbiorowej; jako taka stanowiła rewelację w chwili, gdy się pojawiło pierwsze jej wydanie. Próba ta polegała na zbyt radykalnem zastosowaniu wyników, bardzo jeszcze niedojrzałych, nauki o państwie ze szczególnem uwzględnieniem ustroju. Bardzo młody, w latach 1877—1879, autor patrzył na państwo głównie, choć nie jednostronnie, ze stanowiska idealnie doskonałego ustroju. Cała przeto historia państwa była naświetlana nietylko ze stanowiska historycznego, ale ze stanowiska doktryny ustrojowej, będącej dziełem nie tyle polityków praktycznych, ile teoretyków, jak Stahl zwłaszcza, również Mohl, a czasem i doktrynerów, doszukujących się w przeszłości idealnie skomponowanych ustrojów, a już przynajmniej podsuwających odwiecznym epokom świadome opanowywanie problemów ustrojowych, co znamionuje dopiero konstytucje nowożytne. Nie ulega jednak wątpliwości, że ta państwowa i specyficznie ustrojowa strona dzieła Bobrzyńskiego stanowiła ogromną zaletę książki; książka bowiem otwiera właściwą fachową literaturę, poświęconą historii ustroju Polski; w latach przedwojennych doszło do tego, że sama historia ustroju, niemal szkieletu ustrojowego, stała się najpopularniejszą u nas lekturą historyczną. W przeciwstawieniu do tej czystej ustrojowości sam Bobrzyński jest historykiem sensu latiori, t. zn. rozumie doskonale, że sam mechanizm ustrojowy nie stanowi jeszcze motoru historii. Nie historyk ustroju, lecz głęboki historyk polityczny przemawia do czytelnika, gdy konstatuje istotę odpowiedzialności, kwestję jej genezy i poczucia. W tej odpowiedzialności bowiem tkwi również geneza siły, stanowiącej konieczną podstawę pracy państwa. Przestrzega zatem Bobrzyński przed ciszą i zastojem, znamionującami słabość. „Faktem jest dowiedzionym w historii, że tylko w chwilach wewnętrznego zastoju i ciszy tracą narody siłę do odparcia sąsiadów (i do innych zadań — dopisek nasz), w chwilach zaś wielkich wstrząśnięć wewnętrznych, podjętych w imię zasad, zawsze ją potęgują“.

Zdrowe historycznie i politycznie, zgodne ze źródłami, bije przekonanie z poglądu autora na stosunek trudności państwowych do granic geograficznych. Autor odrzuca przypisywanie przyczyn naszego upadku, t. zw. niepomysłnym geograficznym warunkom.

Historyczna już dzisiaj jest jego maksyma: „nie granice i nie sąsiedzi, tylko nieład wewnętrzny przyprawił nas o utratę politycznego bytu“. Autor nie zamierza oczywiście umniejszać winy ciężającej na zaborcach, szło mu o granice, wśród których rozwijało się państwo. Istotne wyrzekania na granice nic nie wyjaśniają, są w sprzeczności z faktami, zarówno w naszej historii jak i obcej. Od tysiąca lat granice nasze zawsze były niefortunne ze stanowiska idealnych postulatów doktryny geograficznej. Zresztą, bodaj już niema takiego państwa na świecie, któreby się legło i rozwijało pod kopułą kryształową geograficznie wymarzoną.

Przeciwnie, każde państwo powstawało i rozwijało się w ogniu niebezpieczeństw na cztery fronty, i to czasami o wiele rozciągłjsze od długiej linii granic starej Polski. Co więcej, państwa aż nadto często opuszczają geograficzne granice, a pomyślnie podboje prowadzą je do uzyskania granic nowych, niedogodniejszych, które z kolei starają się zaokrąglić. Cóż dopiero, gdy się porówna warunki geograficzne Prus XVII i XVIII w. z kształtem granic Polski. Prusy ówczesne były nonsensem państwowym ze stanowiska geografji, były porozrywane na kilkanaście terytorjów, nie tworzyły żadnej całości terytorjalnej, powinnyby były zatem według geografów oddawna upaść i zupełnie się rozlecieć. Tymczasem mimo katastrofy wojny 7-letniej, mimo katastrofy napoleońskiej i bez względu na pogrom w ostatniej wojnie wszechświatowej Prusy dźwigały się z chwilowego militarnego upadku, rosły w potęgę, umiejac własne niepowodzenia przetwarzać na wzrastanie swego wpływu, albo na zewnątrz, lub przynajmniej w obrębie Niemiec.

Patrzac na państwo głównie ze stanowiska ustroju, autor trafnie określa stosunek wybitnych jednostek do społeczeństwa. Powiedziałbym, że w braku takich wielkich jednostek Bobrzyński widzi właściwą przyczynę upadku Polski. Bobrzyński spostrzega, że z wiekiem XVI kończy się w Polsce wogóle ochota mężów stanu do dźwignania na sobie odpowiedzialności: „niejeden z tych ludzi dźwignął się ponad swe społeczeństwo wysoko, ale w chwili kiedy los narodu zawisł w jego ręku, kiedy wypadło mu przechylić ostatecznie szalę wypadków, zawahał się i cofnął, a zawiódłszy nadzieje ustępował, jak Zamojski i Sobieski, zupełnie złamany“. Już zupełnie poza ramy historyka ustroju wychodzi autor, gdy słusznie stwierdza, że jedna prawdziwie historyczna indywidualność, jeden taki człowiek, jeden czyn płodny w następstwa, byłby nas dźwignął i uratował, bo zagłada polityczna nasza była tak anormalna.

Bobrzyński nie pisze jednak całkowitej historii państwa, zastanawia go głównie ustrój państwa i stosunek tegoż do warstw społecznych. Oczywiście polityka zagraniczna jest szeroko traktowana, opracowanie jej jednak nie stoi na wysokości tamtych zagadnień. Historia ustroju i stosunek ustroju do warstw społecznych zostały naświetlone głównie na podstawie źródeł ustawodawczych i literatury politycznej. Można zaryzykować twierdzenie, że Bobrzyński cały znajduje się pod jednostronnym wpływem literatury politycznej, a z jej namiętności tworzy punkt wyjścia swej perspektywy historycznej.

Wpatrzony w zagadnienie rządu, patrzy na nie również ze stanowiska głównie ustrojowego. Interesuje go zresztą głównie rząd centralny, znacznie zaś mniej swoista cecha urzędzeń w Polsce, streszczająca się w szlacheckim samorządzie; samorząd ten, jak wiadomo, dźwigał na sobie ważne działy administracji publicznej.

Zresztą wogóle funkcjonowanie aparatu państwowego, a więc rząd i władza w codziennem życiu, olbrzymie jej trudności i ogromna praca, nie stają w centrum zainteresowań autora. Prawda, że stan źródeł i ich opracowań w czasie powstawania książki znajdował się na bardzo niskim poziomie. Jednem słowem, podstawowe wydawnictwa i opracowania Pawińskiego, Jabłonowskiego, Korzona nie wsiąkły w ducha książki w jej następnych wydaniach, jakkolwiek autor zapoznał się później doskonale z ich wynikami.

Autor wogóle mniej jest zajęty obiektywnem przedstawieniem stanu prac rządu i tegoż ewolucji, ile raczej z zamięłowaniem śledzi dążności, zmierzające do naprawy rządu, do naprawy stosunków społecznych i wogóle do naprawy Rzeczypospolitej. Przedstawiając te dążności, autor ulega mimowoli pesymizmowi, wpływającemu z sugestji najrozmaitszych traktatów i pism o naprawie tejże Rzeczypospolitej.

Pozwalamy sobie na uwagę, że pisma Ostroroga, Frycza-Modrzewskiego i wielu innych nie znamionują bynajmniej objawu głębszego upadku czy rozkładu potężnego wówczas ustroju Rzeczypospolitej. Chciałoby się powiedzieć, że pisma te, podobnie nawet jak dzieła Skargi, stanowią dowód żywotności społeczeństwa i jego opinii publicznej. Albowiem społeczeństwa i państwa, które nie posiadają takiej literatury, w których drzemie zatem myśl krytyczna, niewątpliwie zaczynają staczać się do upadku. Prawdy te rozumie zresztą doskonale sam autor, który konstatuje w późniejszym okre-

sie dziejów Polski jałowość dyskusji publicznej, względnie zupełnej jej brak.

Kto zna poglądy autora — słuszne w całej pełni — na wzrost złotej wolności szlacheckiej, kto zna jego sympatje do rządów mocnych, nawet do absolutyzmu, ten gotów fałszywie rozumieć naczelną tezę Bobrzyńskiego o zaniedbaniach, płynących z braku rządu. W szczególności w książce Bobrzyńskiego stosunek rządu do parlamentaryzmu zajmuje miejsce wybitne, choć nie tak podstawowe, by ta właśnie strona dzieła stanowiła oś przewodnią kompozycji autora.

Dla autora bowiem owo spotęgowane już poczucie odpowiedzialności, siła potężnej jednostki, czyn polityczny stoją na planie pierwszym. Mówiąc o Sejmie 4-letnim, autor stwierdza: „gdzie jednak szło o **b y ć a l b o n i e b y ć**, tam reforma sejmu i władzy rządowej nie mogła wystarczyć, potrzeba było zmysłu politycznego, zastosowania się do danych warunków, a do tego ani naród polski, ani jego sejm się jeszcze nie dźwignęły“.

Czynu więc i czynów, a dalej silnego poczucia odpowiedzialności za losy państwa, szuka autor w historii zarówno działalności królów, jak sejmów, sejmików i wogóle w najrozmaitszych ogniskach organizacji. Będąc wrogiem sejmowładztwa, autor patrzy na stosunek króla i rządu do sejmu bardzo często ze stanowiska parlamentarnego. Samo stworzenie parlamentu w postaci walnego sejmu tworzy dla niego przełomową datę, od której zaczyna nową erę, t. j. swój okres trzeci, przeciągnięty przezeń aż do trzeciego rozbioru.

Istotę parlamentaryzmu polskiego na przejściu od wieku XV do XVI określa autor w ten sposób: „nie na ponurem tle scholastycznej wiedzy, lecz w brzasku odrodzenia rozwijając się, zaczyna Polska skupiać swoje siły, ażeby w walce o najwyższe zagadnienia ludzkości współzawodniczyć. Ogniskiem tego skupienia się staje się ciało świeżo powstałe, sejm walny Królestwa. Składał się sejm z trzech czynników: króla, senatu i reprezentantów narodu“.

Zdanie to ma swój komentarz sformułowany w ten sposób: „Czy parlamentaryzm polski, w ten sposób sankcjonowany, nie był przedwczesny w chwili, w której wszystkim narodom średniowiecznym potrzebna była twarda szkoła absolutnych rządów, gwarantujących silne występowanie nazewnątrż, przyzwyczajających do karności, ułatwiających śmiałym nawewnątrż reformy? Niewątpliwie. Z tem wszystkiem jednak ustawy z r. 1505 niepodobna nam poczytać za fakt wyłącznie ujemny“. Bobrzyński przeto, choć wołałby

widzieć rządy absolutne, godzi się ze stworzoną przez Polskę instytucją parlamentaryzmu. Co więcej, charakteryzując czasy Zygmunta I i Zygmunta Augusta, stwierdza, że w sejmie, a zwłaszcza wśród szlachty istniał obóz ludzi myślących państwowo, zdecydowanych na ulepszenie ustroju państwa w dalszym ciągu. Chwiejność, brak decyzji i woli królów przede wszystkim, nie dopuściła zdaniem autora do skutecznej naprawy Rzeczypospolitej. Z pod pióra autora sypią się zarzuty przeciwko Zygmuntowi Staremu, spotęgowane w najwyższym stopniu, gdy idzie o Zygmunta Augusta, wobec którego autor co najmniej jest niesprawiedliwy. A jednak nie zwolennik rządów absolutnych i nie zwolennik monarchji jako takiej przemawia z tych kart; przemawia historyk zwolennik zasady rządu, dla którego jest obojętne, gdzie chwilowo znajduje się ognisko rządu, byle to ognisko istniało i każdego czasu służyło państwu. Nazywa też Bobrzyński walny sejm państwa ogniskiem skupienia jego siły. Zdaniem autora Zygmunt August głównie zmarnował zdrowe zadatki polskiego parlamentaryzmu, do czego miała przyczynić się także i możnowładcza anarchja. Albowiem „wskutek oporu możnowładczej anarchji a chwiejności Zygmunta Augusta upadła szlachta po raz wtóry (stało się to po raz pierwszy za Zygmunta Starego) z swoim programem odrodzenia i naprawy Rzeczypospolitej“... „To, co było źródłem politycznego rozwoju i siły, nie zużytkowane i zepsute, stało się jednym więcej ze źródeł anarchji i zamętu“.

Pogrzebaniem naprawy Rzeczypospolitej stały się „pacta conventa“ i artykuły t. zw. „henrycjańskie“. Wybór Henryka Walezjusza nazywa autor sprawiedliwą karą dla narodu, który „paktami konwentami“ króla swojego krępował, a obowiązki swe deptał. Co prawda, powstaje nowa sprzeczność, skoro o parę kartek później autor musi opisać wybór Stefana Batorego, jednego z najlepszych królów polskich, który podpisał pakta konwenta i artykuły henrycjańskie. Obok Kazimierza Jagiellończyka, Olbrachta i Aleksandra jest Batory niejako faworytem autora; zasługuje naturalnie na to w całej pełni. Jest to historyczne potwierdzenie słuszności tezy, że nawet w warunkach ustroju, tak potępionego, potężna indywidualność mogła działać i działała. Bez względu na głęboki, zdaniem autora, upadek zdrowych podstaw państwa Batory przezwyciężył ducha anarchji i prywaty, i to z pomocą opinii szlachty. „Nietylko wszystkie sejmiki nie dały się zburzyć, ale na wszystkich stanęła silna partja za królem, a kilka sejmików odważyło się przyklasnąć

stanowczo ukaraniu banity. Pierwszy objaw silnego rządu, o ile jednych napełnił przestachem, o tyle w drugich zbudził uczucie zazdrości i dumy“.

A jednak od daty bliskiej czasom Batorego, to jest od 1606 r., datuje autor stały wewnętrzny upadek Polski. Stawia te daty dlatego, ponieważ „rokosz wytworzył przekonanie powszechne, że prawa (kardynalne) te dobre są i zbawienne, że one jedynie krajowi szczęście i przyszłość warują. Rokosz wstrzymał ostatecznie tętno sercowe tego organizmu, jakie stworzyła Polska, i uczynił z niej martwe ciało, które samo przez się niezdolało rozwijać się, to jest żyć i myśleć. Gwałtowne wypadki i klęski galwanizowały je od-tąd chwilowo, nieraz skutecznie, ale nie zdołały je ożywić“.

Jesteśmy w zupełnej zgodzie z autorem, gdy widzi zdrową siłę w parlamentaryzmie polskim początku XVI wieku; trudno z nim się zgodzić, gdy wewnętrzny upadek państwa datuje już od 1606 roku. Nie sejm zresztą i nie szlachta są uważani przez autora za głównych i podstawowych sprawców tego dzieła; są nimi obydwaj Zygmunci, jest Z. Stary i Z. August, a więc królowie, t. j. władza królewska w latach od r. 1506 do 1572.

Ukoronowaniem zaś win obydwóch Zygmontów staje się dzieło Unji lubelskiej.

Analizując bowiem istotę genezy i rozwoju rządu w Polsce, autor znajduje podstawową definicję istoty ustroju i rządu w zjawisku Unji. Autor stwierdza: „bez Unji nie mogliśmy się jednak ostać a Unja, silną władzą rządową nie poparta, wewnętrznie nas trawiła“. Zasadniczą tę myśl rozwija autor w ustępie poświęconym Unji lubelskiej i powiada: „odrębny rząd na Litwie oznaczał... odrębność polityczną Litwy, krępował na zawsze siły Rzeczypospolitej i tworzył zaród wiekuistej anarchji i rozterki“. Autor pisze dalej: „jeżeli jednak trudno historykowi zapuszczać się dzisiaj w przypuszczeniach... to musi zato stwierdzić, że Unja w tej postaci, jak ją zawarto, mieściła w sobie błąd zasadniczy. Nie na to naród polski przez dwa wieki nad cywilizacją wschodnich pustkowi krwawym potem pracował, aby ostatecznie w krajach tych tworzyć gniazdo możnowładczej anarchji i buty... Czy nie lepiej było obejść się jeszcze bez przywilejów (t. j. bez aktu Unji lubelskiej — dopisek recenzenta), niżeli okupywać go uświęceniem dwoistości rządu w jednym państwie, t. j. trwałą i nieodzowną anarchją“.

W tem ostatniem sformułowaniu zachodzi niewątpliwa luka, nie chcemy powiedzieć — błąd. Jest to kardynalny bowiem trzon

myślowy dzieła Bobrzyńskiego, nad którym autor zastanowił się niewątpliwie; ustęp ten w tej samej redakcji przetrwał bez zmiany od pierwszego wydania włącznie aż do czwartego. Właśnie jednak z tego względu, że mamy w tem miejscu do czynienia z autorem z lat 1877—1879, pozwalamy sobie zaznaczyć, że twierdzenie to wówczas było ryzykowne i jest niem dzisiaj.

Z zasadniczych bowiem postanowień aktu Unji lubelskiej nie wypływa bynajmniej zasada dwoistości rządu w jego kształcie naczelnym, w jego istotnej treści. Na podstawie tego aktu rząd naczelny jest jeden, a jest reprezentowany przez dwa organy, t. j. przez króla i przez sejm wraz z senatem. Prawdą jest, że istnieją dwa odrębne ministerja, dwa przeto odrębne zarządy skarbu, wojskowości i dyplomacji, ministerja te jednak nie mogą odpowiadać pojęciu rządu w dzisiejszem słowa znaczeniu, albowiem były zbyt zależne od króla. Tak samo i władza królewska, nawet ta pozornie słaba władza króla polskiego, posiadała tyle atrybutów efektywnej władzy wykonawczej, że będąc jedną dla połączonych państw, tworzyła dostateczny węzeł skupiający je razem.

Gdyby Zygmunt August szedł po linii rozważań i przypuszczeń Bobrzyńskiego, t. j., gdyby poprostu inkorporował całkowicie Litwę w obręb Korony i stworzył jeden rząd, a raczej nie rząd, tylko centralny organ administracyjny, mielibyśmy prawdopodobnie w XVII w. nietylko bunt kozackie, ale i litewskie. Naodwrot zasada inkorporacji i centralnego rządu dla całej Korony razem z ziemiami południowo-ruskiemi doprowadziła właśnie do buntów kozackich i do tego, że blisko w sto lat po Unji lubelskiej, myśl Unji wydawała się żywotną nawet dla Rusinów, którzy się jej domagali. Gdyby więc zasada Unji litewskiej, choćby w postaci ograniczonej, jaką była Unja hadziacka, była konsekwentnie przeprowadzona, byłoby może nie doszło do katastrofy rozbiorów. Gdyby zresztą stworzono jednolity centralny rząd dla Polski i Litwy, nie byłoby wogóle Unji, nie byłoby związku państw, powstałoby odrazu jakieś państwo bardzo nowożytnie, bardziej scentralizowane nietylko od Anglii, ale od Francji XVI wieku.

Wiemy już, że autor wogóle na Unję patrzy krytycznie; w „Uwagach“ jest ciekawe zdanie, co by to było, gdyby Unji nie było: „Chciejmy tylko na chwilę pomyśleć, że te miliony polskiej ludności, ten kapitał i praca, któreśmy na wschód popchnęli, pozostały w naszych etnograficznych granicach, jakąż odmienną koleją byłby obrał nasz wewnętrzny rozwój“ i powiada: „bylibyśmy

wówczas wynieśli silny rząd i jasny kierunek dalszego dążenia i pracy.

No tak, zdanie to mógłby podpisać każdy nasz nacjonalista; jednak na przeszkodzie uznaniu takiego poglądu stoi rzecz niemała, to jest obiektywny obraz dziejów Polski z Unją na czele. Ten wielki fakt stoi na przeszkodzie teorii o silnym scentralizowanym rządzie, któryby odrazu rozbił dzieło Unji. Autor rozumie to doskonale, i w rozważaniu stosunku Polski do Rusi gotów jest do słusznej zupełnie rezygnacji ze swej ustrojowej doktryny. Pożyteczność bowiem Unji hadziackiej stwierdza sam autor, pisząc w pierwszym wydaniu: „ugoda podobna, pierwiej zawarta i wykonana, mogła liczyć na trwałość, obecnie podkopywało ją już nie tyle nieprzyjazne usposobienie Polaków, ile anarchja w łonie kozaczyzny i przeważny wpływ, jaki nad nią uzyskała Rosja. Narazie ugoda hadziacka, zatwierdzona przez Sejm 1659 r., przynosiła jednak Polsce niemały pożytek, dostarczyła jej bowiem dzielnego sprzymierzeńca“.

Sprzeczność między zasadniczym poglądem na budowę ustroju Polski na podstawie Unji lubelskiej, a zapatrywaniem na Unję hadziacką jest tem wybitniejsza, że w obecnem czwartem wydaniu autor, oświetlając Unję hadziacką dodaje znamieny ustęp: „od czasu Unji horodelskiej (dlaczego nie lubelskiej? uwaga nasza), która ugodzie hadziackiej przyświecała przykładem, aktu tak doniosłego i rozumnego Polska nie dokonała“. Tymczasem ze stanowiska głównej tezy autora Unja hadziacka powinna być rzeczą okropną; zamiast bowiem dwoistości rządu stwarzała troisty rząd. Dwoistość została przez autora surowo potępiona, a troistość pochwalona, jakkolwiek Unja hadziacka tworząc surogat władzy zwierzchniej w postaci hetmana stanowiła istotne ograniczenie atrybutów władzy królewskiej i to w obrębie Korony.

Natomiast w zgodzie z oświeceniem Unji lubelskiej autor chwali „Zaręczenie wzajemne obojga narodów“ z dnia 22 października 1791 r., widząc w niem naprawę błędu Unji lubelskiej z 1569 r., który wskutek odrębności rządu, skarbu i wojska litewskiego tyle na kraj sprowadził nieszczęść. Także i w tym punkcie nie możemy podpisać wywodów autora.

Nie możemy się przeto zgodzić z czcigodnym autorem, gdy w 300-letniej historii Polski upatruje brak rządu, anarchję wewnętrzną i niejako nieuchronne staczanie się do ostatecznego upadku. Nie wynika stąd, by podpisywać tezę, słusznie krytykowaną przez autora, że „dzieje nasze z trzech ostatnich stuleci wy-

glądać będą całkiem inaczej, jeśli się w innej kwestji ich wątku poszuka, jeśli się w nich położy przeważny nacisk na strony nasze dodatnie, np. na wyrobienie indywidualizmu w społeczeństwie, lub na zadanie rozszerzenia cywilizacji. Wszak kwestja silnego rządu nie sama jedna o rozwoju państw i narodów rozstrzyga!“.

Brak zgody na to twierdzenie autora wypływa stąd, że jego kardynalnej tezie o anarchiczności dwoistego rządu można przeciwstawić nietylko historję cywilizacji polskiej. Zasada dwoistego rządu jest dobrze znana w historii niektórych znakomitych krajów europejskich, i nie jest tylko właściwością ustroju Polski i Litwy. Związek stanów i prowincyj holenderskich rozwinął się w wieku XVII, i przeprowadził zwycięską walkę ze scentralizowanym absolutyzmem hiszpańskim, a przecież związek ten opierał się na bardzo rozproszkowanej władzy rządowej. Anglja i Szkocja w XVII w. pod jedną dynastją, jakby Polska i Litwa pod dynastję jagiellońską, są rządzone przez dwa odrębne rządy. Nie chcemy już mówić o Habsburgach, o stanowisku ich rządu wobec Rzeszy niemieckiej, i wobec rozmaitych rządów w dziedzicznych krajach austriackich aż do czasów Marji Teresy. Przecież właśnie Prusy i nonsens ich geograficznego ustroju autor tak słusznie i przekonywająco określa: tymczasem te Prusy pod rządem elektorów brandenburskich w wieku XVII miały jednego dynastę, a dwa zupełnie odrębne rządy; przyczem rządy te pozostawały w stosunku do siebie o wiele luźniejszym, a nawet całkiem luźnym, jeśli się zważy, że rząd Prus książęcych wchodził w skład Państwa Polskiego, a rząd brandenburski w skład innego państwa.

Powyższe fakty dają dostateczny materiał, by stwierdzić, że dwa i trzy rządy w granicach prawa państwowego XVI i XVII wieku nietylko nie prowadziły do anarchji, ale mogły dać silną politykę zewnętrzną i silny rząd wewnętrzny. Teza jednolitego scentralizowanego rządu, bez względu na różnice historyczne, nie przemawia zatem do przekonania i nie odpowiada rzeczywistości historycznej w wiekach XVI i XVII.

Wyrażając powyższe wątpliwości, tem śmieiej możemy podnieść dodatnie cechy dzieła, prócz tych, któreśmy wymienili we wstępie. Otóż widzimy, że autor poza dogmatem ustroju i centralnego rządu nie służy jako historyk żadnej doktrynie, osiagając w ten sposób wysoki stopień obiektywizmu. Szukając władzy, jej sprężystości i twórczości w codziennej pracy państwa, bynajmniej nie hołduje fikcji monarchji; energiczny monarcha tem samem

znajduje jego uznanie; gorącą pochwałą znajduje u niego Zbigniew Oleśnicki, zwłaszcza za politykę wobec husytów. Autor surowo określa politykę jezuitów, widząc w niej schlebianie wszelkim czynnikom, o ile uznawały katolicyzm; jezuitów potępia za schlebianie złotej wolności szlacheckiej wbrew wskazaniom Skargi.

Dla możnowładztwa polskiego, dla oligarchji magnackiej jest autor sędzią surowym, ale sprawiedliwym. Nie ulega bowiem wątpliwości, że właśnie oligarchja możnowładcza, chętnie wynosząca do wysokości stanowiska możnowładcy każdego przewodcę szlacheckiego, stanowiła plagę, nie dopuszczającą do wytworzenia silnego rządu i silnej władzy.

Wobec spraw wyznaniowych i narodowościowych, wobec kwestji społecznej, czyto wobec sprawy mieszczańskiej, czy ludu wiejskiego, autor zajmuje stanowisko bezstronne, czasami zbyt mało liczące się z historyczną współczesnością pewnych urzędzeń. Np. surowy wyrok Kazimierza Jagiellończyka na mieszczan krakowskich, jakkolwiek przyszedł do skutku pod wpływem możnowładztwa, nie mógł jeszcze przesądzać o rozwoju mieszczaństwa na przyszłość.

Mógł się Bobrzyński mylić, oceniając ujemnie działalność Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta, myli się niewątpliwie, charakteryzując ujemnie konstrukcję Unji lubelskiej, mógł się mylić w ocenie szeregu postaci, a także niedokładnie stwierdzać istotny związek między wybitnymi faktami, mimo to jądro zasadnicze jego rozumowania pozostaje prawdziwe, t. zn. brak silnego rządu stanowi jedną z głównych przyczyn upadku starej Polski. Powtarzamy jednak, że w duchu wywodów samego Bobrzyńskiego źródłem siły rządu nie może być sam ustrój, lecz odpowiedzialność i potęga woli samychże działających jednostek. Jest to zatem czynnik etyczno-społeczny, jest to czynnik moralny, którego brak w książce Bobrzyńskiego wydawał się największym grzechem Walerjanowi Kalince, mogącemu być słusznie poczytanym za jednego z nauczycieli Bobrzyńskiego.

W „Uwagach nowych“ autor kładzie nacisk na to, że „nie zerwało w nowem państwie życie polityczne zupełnie z przeszłością, nie może też i historyk na bok odłożyć i badać jej z myślą, że już utraciła znaczenie“. Podnosząc dodatnie zalety wysiłków narodu w momencie odrodzenia państwa, autor całkiem słusznie podnosi,

że „naród, który tego dokonywa, jest w wielu względach odrodzonym, a tem samem narodem, na którym ciąży cała jego wiekowa przeszłość, na którego charakterze odbijają się wszystkie jego zalety i wady w sposób zadziwiający. Uderza to przede wszystkim w jego działaniu i sejmowej reprezentacji“. Sejm od r. 1919 przewyższył dawne sejmy w tem, że wielką armję nietylko uchwalił, ale i zbudował, „okazał natomiast tę samą obawę przed silną władzą wykonawczą, przed absolutum dominium, nie już dożywotniego króla, lecz wybranego na kilka lat prezydenta, tę samą dążność do sejmowładztwa“. Słusznie też podnosi autor, że całkowita historia naszego narodu tworzy jedną polityczną całość, na którą wszystkie jej okresy, nie wyłączając porozbiorowego, równorzędnie się składają.

Pogląd ten podpisuję w całej pełni, i tkwił on u podstawy skreślonej przeze mnie „Historjografji polskiej wobec wskrzeszenia państwa“ („Kwartalnik Historyczny“, t. XXXVII, rok 1923). Nie rozumiem jednak, w jaki sposób czcigodny autor dojrzał w tym artykule przesuwanie w mglistą dal naszych dziejów przedrozbiorowych. Charakteru nauki muzealnej z pewnością dziejom naszym przedrozbiorowym nie przyznałem. Wręcz przeciwnie, napisałem bowiem: „Stara Polska ma prawo do zajmowania miejsca nietylko w muzeum odwiedzanem rzadko i obojętnie, ma ona prawo do stania się jedną z nieostatnich części naszej żywej i czynnej świadomości“. Pochlebiam sobie, że w innych wyrazach dążyłem do ujawnienia tej samej prawdy, którą przed chwilą podpisałem w brzmieniu prof. Bobrzyńskiego.

Niemniej przeto muszę podtrzymać twierdzenie wypowiedziane wówczas przeze mnie, że traktowanie dziejów Polski od ich początku aż po dzień dzisiejszy będzie oparte na podziale ich na trzy epoki, t. j. okres starej niepodległej Polski, dobę Polski w rozbiorach, i epokę nowej odrodzonej Polski. Jasne jest również dla mnie, że historycy, których wychowa nowa niepodległa Polska, znajdując się w bezpośrednim kontakcie z warsztatem własnego państwa, będą głębiej i trafniej określali trudności pracy państwowej działaczy starej Polski, niż historycy pracujący w czasach Polski w rozbiorach, którzy zawsze z rozżaleniem patrzyli na działaczy starej Polski, nawet tych z XVII wieku i XVI, jakby na mniej lub więcej bezpośrednich winowajców katastrofy rozbiórów Polski w latach 1772—1795.

W tej samej „Historjografji“ podniosłem fakt, który z kolei muszę tutaj przypomnieć. Historycy starej Polski ubiegłego poko-

lenia patrzyli na katastrofę rozbiorów jako na fakt odosobniony, czując się sami w świecie upokorzeni i odosobnieni.

Dzisiaj po doświadczeniach wojny wszechświatowej musimy spoglądać na rzeczy inaczej, gdy widzimy, jak załamały się państwa posiadające najsilniejsze rządy, oparte na poszanowaniu władzy cesarskiej, posiadające do dyspozycji miljonowe armje i kolosalne miljarde w złocie; miały te państwa zatem rząd, skarb i wojsko, zabezpieczające im normalne funkcjonowanie, stanowiące groźne niebezpieczeństwo dla ich sąsiadów. Katastrofa, która te państwa spotkała, wywołała już olbrzymią literaturę, poświęconą przyczynom czyto rozbioru np. Austrii, czy też załamaniu się takich potęg, jak Niemcy i Rosja. Literatura ta zmieni w niejednym kierunku poglądy na upadek państw; literatura ta momenty humanitarne i cywilizacyjne wysuwa już dzisiaj jako jedną z istotnych przyczyn upadku np. takich Niemiec. Historyk polski, mając te wypadki i tę literaturę do dyspozycji, skoryguje niewątpliwie pogląd Bobrzyńskiego, jakoby brak rządu stanowił jedyną istotną przyczynę upadku starej Polski, jakkolwiek podpisze w zupełności podstawowe zdanie autora, iż działający ludzie, a wraz z nimi cała opinja publiczna, muszą poczuwać się do moralnej odpowiedzialności, do decyzji, zniewalających do zwalczania zastoju i do ciągle twórczych wysiłków z myślą nietylko załatwienia sprawy na dzisiaj, ale w poczuciu konsekwencji bliższych i dalszych, obarczających dziedzictwem przyszłe pokolenia.

Kończąc nasze uwagi, wracamy do punktu wyjścia artykułu. Zdumiewa nas żywotność dzieła i autora, uświadamiamy sobie te walki, jakie o książkę były stoczone jednak już na platformie zdobytej przez autora, iż społeczeństwu należy prawdę mówić, co się myśli o niem i o jego przeszłości. W rezultacie Bobrzyński, jak i jego pozornie największy zapaśnik, Tadeusz Korzon, badali choroby nasze z lancetem w rękę, ujawniając rany, istniejące na zdrowem ciele i dające się leczyć. W ośmdziesiątą rocznicę urodzin autora, który pozostał jak żywy pomnik wysiłku myśli pokolenia poprzedniego, należy mu się, jak przed wiekami Kromerowi, uchwała sejmu z podziękowaniem za prowadzenie społeczeństwa do poznania prawdy, choćby bolesnej, lecz zdolnej leczyć.

TRZY LISTY M. BOBRZYŃSKIEGO DO AUTORA ¹

Szanowny Panie Profesorze!

Za przesłaną mi rozprawę² najuprzejmiej Szanownemu Panu dziękuję. Przeczytałem ją z wielkiem zajęciem a jestem świadkiem wrażenia, jakie tu zrobiła. Ukazała się bardzo w porę, kiedy pasywizm polityczny wtargnął na pole badań historycznych i wywołał tendencję gloryfikowania ujemnych stron naszej przeszłości z ujmą prawdy dziejowej.

Z prawdziwym poważaniem

Bobrzyński

Kraków, 28 VI 1918.

Szanowny Panie Profesorze!

Przesyłam Szan. Panu pierwszy otrzymany z księgarni egzemplarz nowego wydania moich *Dziejów Polski*, pamiętny tego, że do tego wydania przed kilku laty otrzymałem od Pana zachętę. Wziąłem się do tej pracy, gdy z polityki udało mi się zupełnie wycofać a nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak ciężkiego, zwłaszcza na mój wiek, podjąłem się zadania. Dziękując Bogu, że mi je spełnić pozwolił, zdaję sobie sprawę z tego, że ta nowa redakcja nie postawiła jeszcze wszystkich wielkich pytań naszych dziejów.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

Bobrzyński

Garby, 7 XII 1927.

Szanowny Panie Profesorze!

Serdecznie dziękuję za przesłane mi odbitki³, bo bez tego o artykule Pańskim nie byłbym się dowiedział. Przeczytawszy uważnie jego część krytyczną, muszę przyznać, że Szanowny Pan zachwiał moim sądem o unji lubelskiej. Napisałem go jednak nie ze stanowiska jednolitości rządu, lecz pod wpływem faktów, że osobne wojsko litewskie zbyt często marnowało nasze sukcesy wojenne.

Mogę Szanownemu Panu przy sposobności donieść, że tom trzeci moich *Dziejów Polski*, okres porozbiorowy, doprowadzony do wybuchu wojny światowej mam już napisany a teraz pracuję nad jego wykończeniem.

Ciężka to rzecz pisać o historii polskiej porozbiorowej w poznańskim, którego biblioteki najważniejszych książek do niej się odnoszących nie posiadają.

Ściskam dłoń Pańską

Bobrzyński

Garby, p. Sulęcín, 6 VII 1929.

¹ Drukowane według oryginałów w posiadaniu adresata.

² Mowa o „Ideologii ustrojowej“.

³ Prof. Bobrzyński ma na myśli właśnie powyższy artykuł, zamieszczony w czasopiśmie „Droga“ w r. 1929.

TADEUSZ KORZON

TADEUSZ KORZON

(Wspomnienie pośmiertne)

Żal zbiera serce, głęboki i przejmujący, gdy się pomyśli, że do szeregu tych, co odeszli, przybywa czcigodna postać Tadeusza Korzona. Nie z soli i nie z roli wyrósł Korzon na przewodnie stanowisko w społeczeństwie. Niezlomny hart woli, bezgraniczna pracowitość, oparte o przedziwną miłość Polski, tryskającą z białorusko-litewskiej krynicy i miłości nauki — złożyły się razem na ten piękny typ obywatela-uczonego, którego długo nam wszystkim brakować będzie. Jak rzadko który z naszych historyków — był on żywym wyrazem doli i niedoli polskiej nauki i polskiej myśli w tych ciężkich warunkach, w jakich wypadło pracować po r. 1863. Przeszedł wszystko i zwalczył wszystko: więzienie i zesłanie, niemniej trudny powrót do kraju, rzemiosło prywatnego nauczyciela i urzędnika kolei nadwiślańskiej, choć to ostatnie już ulgą było, nie mówię o obowiązkach rodzinnych.

Do ostatniego tchu życia — nie opuszczał Korzon pióra z ręki. Ciało było złamane, myśl czuła się młodą i pracowała. Do późnych lat życia sędziwego uczonego podziwialiśmy tę jego rzeźkość. Czuł się młodym i lubił młodych i lgnął do nich.

Był od serca przyjacielem polskiej młodzieży, która, zwracając się doń, nie potrzebowała legitymacji, ani specjalnych protekcji.

Było to na początku r. 1892, kiedy jeszcze jako uczeń gimnazjalny, zwróciłem się do Zmarłego imieniem tajnego kółka młodzieży z V gimnazjum w Warszawie, prosząc o udzielanie nam lekcji historii Polski. Nie miałem żadnej rekomendacji, i nikt z nas nie był przedtem znany śp. Korzonowi. Nie byliśmy pewni, czy wobec tego zechce przychylić się do naszej prośby i wziąć na siebie ciężką odpowiedzialność. Były to przecież czasy Hurki i Apuchtina. A jednak ku naszej ogromnej radości, Korzon zgodził się bez wahania. Lekcje trwały przez czas dłuższy, z niesłychanym

pożytkiem dla młodzieży, nie słyszącej dotąd z katedry nauczycielskiej żywego słowa polskiego. A choć na wymowie zbywało zasłużonemu Uczonemu, odpłacał to sowicie zapalem i gorącem umiłowaniem wykładu. Czuć było, że chciał w nas przelać swą piękną duszę. Do dziś dnia stoją mi żywo w pamięci lekcje o wprowadzeniu chrześcijaństwa do Polski, a zwłaszcza o Zygmuncie Auguście i Unji Litwy z Koroną. Podnosił też Zmarły w wykładzie, co na nas Koroniarzach i warszawiakach robiło wielkie wrażenie, że jest „*gente ruthenus, natione Polonus*“.

W niejednym zapewne tajnem kółku młodzieży i starszych uczył Korzon żywym słowem historii Polski. On, autor już wówczas monumentalnej książki, pracując właśnie nad „Dolą i niedolą Sobieskiego“ — nie wahał się zarywać kosztownego czasu i darowywać go hojnie najmłodszym, nieledwie dzieciom.

Kiedy w r. 1896 młodzież Uniwersytetu Jagiellońskiego, a wśród nich koledzy Sobieski, Bujak i podpisany, zwrócili się doń z prośbą o odczyt na uroczysty wieczór, urządzany podówczas ku czci Joachima Lelewela, Korzon bez wahania nadesłał charakterystykę działalności naukowej wielkiego uczonego, drukowaną niedługo później w „Kwartalniku Historycznym“.

Każda akcja i inicjatywa na polu naukowym znajdowała w nim bezinteresowną, życzliwą i gorliwą pomoc. Młodsze pokolenie warszawskich uczonych będzie o tem miało wiele do powiedzenia. Wielu z nich, — a byli także i z poza Warszawy, byli również z Galicji, — miało w nim zawsze gorliwego orędownika w każdej pracy naukowej.

Zbiorowe wydanie pism Zmarłego stanowi wymowny dowód, z jakim zapalem i szczerem zainteresowaniem studjował rozprawy naukowe młodzieży, nie oddzielając się od niej żadnym akademickim parawanem. Często i chętnie zstępował w polemiczne szranki, rąbiąc ostro w obronie tego, co uważał za prawdę, zawsze jednak ustępując tam, gdzie uważał się za przekonanego i zawsze oddając należyty dank pracy i naukowej zasłudze. Rozległe działy naszej fachowej literatury miały w Nim czujnego obserwatora, lubiącego dyskusję, bez której niema istotnej naukowej pracy i naukowego ruchu.

Z natury więc niejako był stworzony na przyjaciela „Kwartalnika Historycznego“. Wszystkie roczniki świadczą o jego przywiązaniu do naszego pisma. W każdym liście i w każdej kartce, pisanej w ostatnich miesiącach już drżącą ręką, nie zapominał o całym

gronie redakcyjnym „Kwartalnika“, przesyłając zawsze „wszystkim“ serdeczne pozdrowienia. „Vademecum Kościuszkowskie“ napisał w ostatnich miesiącach na specjalną prośbę Redakcji. I gdy tylu badaczy obiecało nadesłanie artykułów — z nich zaledwie część dotrzymała przyrzeczenia — a do nich należał znękany już Korzon.

Za wcześnie może jeszcze na pełną charakterystykę działalności zmarłego Uczzonego — tem bardziej, że kompetentniejsze od podpisanego pióra nie omieszkają zapewne roztoczyć całkowitego obrazu tej szerokiej i nieustrudzonej pracy.

Sam on siebie wykształcił, zaczynając bodaj od ogólnego rzutu oka na dzieje powszechne, w szczególności średniowieczne, stopniowo i powoli przechodząc do źródłowych badań. Służąc codziennym twardym potrzebom społeczeństwa — spełniał niejedną misję i powołanie. Uczył i pisał podręczniki dla najszerszych kół młodzieży, referował w czasopismach o postępie wiedzy w zakresie historii i nauk pokrewnych, a równocześnie brał na barki rozległe naukowe badania.

Przeorał jednym słowem dzieje Polski w związku z dziejami powszechnymi wszędy i wzdłuż, jak rzadko który ze współczesnych naszych historyków. Na naukę dziejów powszechnych kładł stale silny nacisk i bolał nad tem, że wielu uczonych bada specjalnie kwestje w zakresie dziejów Polski, nie uwzględniając związku ich z historją powszechną. Szedł jeszcze dalej. Metodologiczna a zwłaszcza filozoficzna strona badania i samego procesu historycznego interesowała Go zawsze w wysokim stopniu.

Korzon nie potrzebuje panegiriku, i za jego trumną nie potrzeba wyliczać tytułów, których miał niewiele. Wystarczy prawda. Tak jak nie był mówcą, tak samo nie był pisarzem i lotnym kombinatorem. Do rezultatów naukowych dochodził powoli, mrówczą pracą, a po tym żmudnym pracowniku i erudycie zostają monumentalne dzieła, znakomite wysiłki myśli, których pozazdrości mu każdy obdarzony choćby większymi zdolnościami i większym talentem pisarskim. Miał bowiem Korzon największy talent... wytrwałości i pracy. Do czego zaś doszedł, co zdobył, tego się już trzymał nieugięcie, z żelaznym uporem.

Ze skarbów nauki, pozostałych po Zmarłym, pierwsze miejsce przypada niewątpliwie „Wewnętrznyim dziejom Polski za Stanisława Augusta“. „Zamknięcie“ tych dziejów, ze względu na doskonałość kompozycji i wielką moc przekonania, nieposzlakowaną czy-

stość myśli w najlepszym narodowym sercu, śmiało można zaliczyć do pism, które należą nietylko do fachowej literatury, ale zajmują honorowe miejsce w ogólnej literaturze Polski.

Korzon pierwszy, uzupełniając pracę Kalinki, postawił fundamentalne pytanie, jak pracowała cała maszyna państwa i społeczeństwa polskiego za Stanisława Augusta. Żeby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba było podjąć się herkulesowego trudu, który gdzie indziej dzieli się pomiędzy liczne dziesiątki badaczy, a nawet korporacje naukowe. Należało przetrząsnąć setki i setki ksiąg pozostałych po dawnych naszych urzędach publicznych i po Sejmie czteroletnim. Nieskończone szeregi cyfr w najrozmaitszych pozycjach rachunku starej Polski wprowadził Korzon pierwszy do nauki. Znaczenie tych cyfr jest olbrzymie. Co znaczy bowiem najpiękniejsza i najlotniejsza uwaga o Polsce Sejmu czteroletniego, jeśli jej twórca nie wie, jak rozległa była ta Polska, ile miała ludności, jaki był obraz społeczny tej ludności i t. d. Lat już blisko 40 minęło od ukazania się tego dzieła, a jest ono ciągle podstawą naszej znajomości doby Sejmu czteroletniego, i zawsze niem pozo-
stanie, bez względu na nowe prace i szeregi uzupełnień.

Na ogólne podkreślenie zasługuje ogólne stanowisko, jakie zajął Korzon w badaniu tej ciężkiej epoki, pełnej tylu drażliwości dla sumienia publicznego późniejszych pokoleń, a cóż dopiero dla pokolenia samego autora, w lat zaledwie ponad dziesięć od wypadków styczniowych.

Otóż Korzon był niewątpliwie surowym sędzią, widział jasno wady społeczeństwa i to zarówno w przeszłości, jak i teraźniejszości. Zanurzając jednak lancet w ranę, nie mówił pacjentowi, że rana jest śmiertelna; on chciał ranę oczyścić, by dotrzeć do rdzenia zdrowego, w którego istnienie głęboko wierzył. Z badań nad epoką stanisławowską wyniósł przekonanie, że społeczeństwo w zasadzie było zdrowe, choć dotknięte ciężką chorobą, że znajdowało się na drodze do zupełnego, choć powolnego wyleczenia. To był dogmat naukowy zmarłego badacza, ożywionego tą samą głęboką wiarą w własne żywotne siły dzisiejszego narodu. On ten naród kochał, dumny był, że do niego należy i wierzył w przyszłość.

Nie przeszkadzało mu to nieść wysoko sztandar naukowej pracy. Dewizą jego było, że jedna tylko jest prawda na świecie, zarówno dla obcych i wrogów, jak dla siebie samych. Nie rozumiał zatem, i słusznie, nauki na import i na eksport, co prowadzi do zamącenia opinii i w gruncie rzeczy ob-

cych nie przekona, a własnej kulturze przynosi wielką i dotkliwą szkodę.

Straciliśmy w Zmarłym wielkiego obywatela, który stanowił prawdziwy żywy łącznik pomiędzy zaborami, a pracy naukowej jako takiej umiał wyrobić stanowisko i poczesne imię w wielkim świecie polskim. Wmurował przez to niejedną cegłę w gmach współczesnej, przetwarzającej się Polski.

Cześć pamięci wielkiego uczonego, nauczyciela i obywatela.

STANISŁAW SMOLKA

STANISŁAW SMOLKA¹

Daty biograficzne. — Daty bibliograficzne. — Charakterystyka, wpływy domu i szkół, i krakowskich przyjaciół. — Porównanie z Wojciechowskim. — „Mieszko Stary“. — Studja litewskie. — Monografia o Ksawerym Lubeckim. — Prace organizacyjne w Akademji i w Rzymie. — Publicystyka. — „Reussische Welt“. — Profesor i kierownik seminarjum.

Daty biograficzne

27 sierpnia w Nowoszycy na Polesiu zmarł Stanisław Smolka. Wierzyć się nie chce, że ukończył dopiero lat 70 (urodził się we Lwowie 29 czerwca 1854 roku), tymczasem w roku 1922 upłynęło pięćdziesięciolecie jego pracy naukowej, a więc w tym wieku rzadki jubileusz, który, dziwnym trafem, przeszedł niespostrzeżony.

Dziedziczył ś. p. Smolka po ojcu nazwisko świetne i dobrze zasłużone. Ojcem Jego był znakomity polski mąż stanu, Franciszek Smolka, bojownik o wolność Polski w „wiośnie ludów“ w r. 1848, prezydent konstytuancy austriackiej, długoletni więzień stanu, a w wiele lat później długoletni prezydent austriackiej Izby Deputowanych. Matkę, Leokadję Bäcker von Salzheim, wierną towarzyszkę myśli politycznej męża, stracił wcześniej, bo już w r. 1861. Była to rodzina, podobnie jak Szajnochy i tylu innych, świeżo spolszczona. Dziad profesora był Niemcem, a pochodził ze Śląska pruskiego, z rodziny dawno zgermanizowanej.

Ze Stanisławem Smolką schodzi do grobu jeden z najwybitniejszych przedstawicieli nauki historycznej. Był to nietylko uczony

¹ Drukowany jako nekrolog w „Kwartalniku Historycznym“, r. 1924. Nekrolog ten był poprzedzony zastrzeżeniem tej treści: „Ukończony już numer Kwartalnika pozwala na dorywcze tylko opracowanie nekrologu, po którym powinno ukazać się zbiorowe studjum reprezentantów różnych gałęzi nauki, które opracowywał ś. p. Zmarły. Dorywczość jest tem dotkliwsza, że piszący nie znał zbliska osoby i działalności po naukowej ś. p. profesora. Należy wyrazić podziękowanie profesorom: Abrahamowi i Finklowi, a także kustoszowi Franciszkowi Smolce, za dostarczenie paru cennych informacji. Zestawienie, zresztą niekompletne, bibliografji ułatwili dr. Maleczyński i słuchacz filozofji p. Chrząszcz“.

profesor, ale i działacz, i to nie tylko literacko-naukowy, ale o pokroju działacza publicznego. Główne warsztaty Jego pracy stanowiły, obok pracowni naukowej, Uniwersytet Jagielloński, Akademia Umiejętności, Redakcja „Czasu“, a także Naczelny Komitet Narodowy podczas wojny. W bardzo młodym wieku pracował krótko w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie, a po opuszczeniu Uniwersytetu Jagiellońskiego, już w roku 1902, piastował stanowisko dyrektora Archiwum aktów grodzkich i ziemskich w Krakowie, przelotnie zaś Muzeum Czartoryskich; był czas jakiś szefem departamentu wyznań w Ministerstwie Oświaty za czasów regencji, wreszcie profesorem Uniwersytetu Lubelskiego (od r. 1919).

Działalność naukową rozpoczął niezwykle wcześniej, bo już w r. 1872, publikując jako ośmnastoletni młodzieniec rozprawę o „Henryku Brodatym“, napisaną dla seminarjum prof. Waitza w Getyndze; doktoryzuje się tamże w r. 1873 na podstawie rozprawy „Polnische Annalen bis zum Anfange des XIV Jahrhunderts“.

W lipcu 1875 r. habilitował się na Uniwersytecie Jagiellońskim i został tamże w rok później profesorem nadzwyczajnym, a w r. 1880 zwyczajnym historii austriackiej.

W r. 1883 został następcą Szujskiego na katedrze historii polskiej. W tymże roku piastował urząd dziekana, a w r. 1895 do 1896 był rektorem Uniwersytetu. W r. 1902 z powodu choroby przeszedł na emeryturę.

Od r. 1881 był korespondentem Akademii, której członkiem czynnym został w r. 1884.

Lat parę pełnił obowiązki sekretarza wydziału historyczno-filozoficznego, a w r. 1890 został generalnym sekretarzem Akademii i był nim do r. 1902. Od r. 1885 stał na czele historycznej rzymskiej ekspedycji Akademii, do której stworzenia przyczynił się wraz z prof. Winc. Zakrzewskim i prof. Bobrzyńskim.

W latach 1880 do 1885 kierował działem naukowo-literackim „Czasu“, którego i później był współpracownikiem.

Był członkiem szeregu instytucji zagranicznych naukowych. Uniwersytet lwowski mianował go w r. 1912 doktorem honorowym filozofii, a nasze Towarzystwo Historyczne zaliczyło go w bieżącym roku w poczet swych członków honorowych. Posiadał również wysokie odznaczenia austriackie, w szczególności zaś był członkiem b. Izby Panów.

Daty bibliograficzne

1872.

Henryk Brodaty. Ustęp z dziejów epoki Piastowskiej. Lwów, str. 106.

1873.

Polnische Annalen bis zum Anfange d. XIV Jhd. Lemberg, 1873.

1874.

Początki feudalizmu. Studium historyczne. Lwów, 1874. („Prz. nauk. lit.“, 1874, t. II, str. 66).

Herzog Heinrich des Bärtigen auswärtige Beziehungen. („Ztschr. d. Ver. f. Gesch. Schlesiens“, 1874, t. XII).

1875.

Kodeks dyplomatyczny klasztoru tynieckiego. Cz. II. Lwów, 1875. (Część I wydana przez Dr. W. Kętrzyńskiego), str. 406.

Archiwa w W. X. Poznańskim i w Prusiech Wschodnich i Zachodnich. Sprawozdanie z podróży odbytej z polecenia komisji historycznej w lecie 1874 r. Kraków. (Odbitka z t. IV „Rozpraw Wydz. hist. filoz. Akad. Umiej.“, str. 295).

1876.

Urycz. Pam. Tow. Tatr., 1876, t. I.

1877.

Polska i Austria w latach 1526—7. („Przew. nauk. lit.“, 1877, str. 18).

Tradycja o Kazimierzu Mnichu. Przyczynek do historjografji polskiej XIII w. („Rozpr. i Spr. z posiedzeń Wydz. hist.-filoz. Akad. Um.“, t. VI, Kraków, str. 31).

1878.

Ferdinand I. Bemühungen um die Krone v. Ungarn. („Arch. f. öster. Gesch. VII“. Wien, str. 57).

Polska wobec wybuchu wojen husyckich. („Ateneum“, 1878, t. I).

1881.

Testament Bolesława Krzywoustego. Kraków. (Odb. z t. XII „Rozpraw Wydz. histor.-fil. Akad. Um.“, str. 52).

Mieszko Stary i jego wiek. Praca uwieńczona nagrodą przez Tow. historyczno-literackie w Paryżu. Warszawa, str. XXXVI+544.

Spór o biskupstwo krak. za czasów Kazimierza Jagiellończyka. (Rocznik Zarz. Akad. Um. Kraków).

Uwagi o pierwotnym ustroju Polski Piastowskiej z powodu rozpraw pp. Bobrzyńskiego i Piekosińskiego. Kraków. (Odb. z t. XIV „Rozpraw Wydz. hist.-fil. Akad. Um.“).

1882.

Wycieczka do Węgier. („Gazeta Lwowska“, 1882. (Odb. Lwów, str. 131).

Szkice historyczne. Serja I. (Niepoprawny ród. Witold pod Grunwaldem. Długosz. Unja z Czechami. Słowo o historii. Uzupełnienie). Warszawa, str. 361.

1883.

Szkice historyczne. Serja II. (Gniazdo Tęczyńskich. Po bitwie mohackiej. Czarny Iwan. Spór z kościołem. Marja Stuart, winna czy niewinna). Warszawa, str. 302.

Wstępny wykład przy objęciu katedry historii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim. („Czas“, 1883, nr. 242—3; „Kraj“ (Petersburg), 1884, nr. 31—2. Odb. z „Czasu“, str. 32).

Józef Szujski, jego stanowisko w literaturze i społeczeństwie. (Odb. z „Czasu“. Kraków, str. V, 2 nl., 126 i 1 nl.).

Kilka uwag w żywotnej sprawie narodowej. (Dodatek do „Czasu“, Kraków, str. 8).

1884.

W dzień otwarcia zjazdu historyczno-literackiego imienia Jana Kochanowskiego. („Czas“, 1884, nr. 123).

1885.

Leon XIII wobec nauki i cywilizacji. Kraków, str. 34.

1886.

Rok 1386, w pięciowiekową rocznicę. (Odb. z „Przegl. Pol.“, Kraków, str. 144).

1887.

Memorjał w sprawie reorganizacji Akad. Um., drukowany jako manuskrypt. Kraków, str. 18.

Recenzja pracy Pierlinga: Bathory et Possevino, w „Kwart. Histor.“, t. I, str. 529—531.

1889.

Kiejstut i Jagiełło. („Pam. Akad. Um. Wydz. filol. i filoz.-hist.“, t. VII, Kraków, str. 79—155 i odb. tamże, 1888).

1890.

Najdawniejsze pomniki dziejopisarstwa rusko-litewskiego. Rozbiór krytyczny. („Pam. Akad. Um. Wydz. fil. i filoz.-hist.“, t. VIII, Kraków, str. 1—55).

Projet d'une ligue contre les Turcs en 1583, communication préliminaire. (Nadb. z Bull. de l'Acad. de sciences de Cracovie. Kraków, str. 50—56).

Recenzja pracy E. Bogusławskiego: Historia Polski. Kraków. („Kwart. Histor.“, Lwów, 1890, str. 367—375).

1891.

Stanowisko mocarstw wobec Konstytucji 3-go maja. (Rocz. Akad. Um. za r. 1890. Kraków, str. 27).

Rapport sur les recherches faites dans les archives de Rome. („Bull. de l'Acad. de sciences de Cracovie“. Kraków, str. 136—142).

Nowa fundacja dla Akademji Umiejętności przez S. S. (Odb. z „Czasu“. Kraków, str. 7, 1 nl.).

1892.

La genèse de la Constitution du 3 mai. („Bull. de l'Acad. de sciences de Cracovie“. Kraków, str. 350—354 i odbitka).

1893.

Compte-rendu des recherches faites aux archives du Vatican et dans d'autres collections romaines en 1892. (Nadb. z „Bull. de l'Acad. de sciences de Cracovie“, str. 106—112).

Toż po polsku, tamże, str. 7.

(Ze Sokołowskim A.): Poczet królów polskich. Zbiór portretów hist., rys. Matejko J. Wiedeń, 1891—93.

(Z Bobrzyńskim M.): Jan Długosz, jego życie i stanowisko w piśmiennictwie. Kraków, str. 336.

Stacja naukowa polska w Paryżu. (Odb. z „Czasu“. Kraków, str. 12).

Un Hohenzollern candidat au trône de Pologne 1421—31. (Nadb. z „Bull. de l'Acad. de sciences de Cracovie, str. 136 do 144).

1894.

(Z Lewickim i Bobrzyńskim): Galizien, w „Oesterreichisch-ungarische Monarchie in Wort und Bild“. Wien.

W sprawie Sobieskiego, Kraków, str. 7.

Akademja Umiejętności w Krakowie 1873—1893, objaśnienie tablic graficznych wystawionych na wystawie krajowej we Lwowie, a przedstawiających działalność Akademji od czasu jej założenia. Kraków, str. 120.

Lemberger Landesausstellung 1894, t. XXVIII, Litteratur: Akademie d. Wissenschaften in Krakau, str. 16.

Toż po francusku, str. 16.

Compte-rendu de recherches faites aux archives du Vatican et dans d'autres collections romaines en 1893. (Nadb. z „Bull. de l'Acad. de sciences de Cracovie“, str. 26—33).

1895.

W sprawie spotwarzzonej instytucji narodowej. Kraków, str. 102.

Akademja Umiejętności w Krakowie, jej położenie, środki i zadania, Kraków, str. 102, 1 nl.

O uposażeniu Akademji Um. w Krakowie w stosunku do jej zadań i potrzeb. Kraków, str. 7.

1896.

Polska i Brandenburgja za czasów Jagiełły. („Bibl. Warsz.“, 1896, t. II. Odb. Warszawa).

1897.

Feliński Z. S. (arcbp.): Pamiętniki. Cz. I. 1822—51. Cz. II. 1851—1883. Kraków, str. XI+436, 306. Wydał dr. Stan. Smolka.

1898.

Polacy, Czesi i Niemcy. Kraków, str. 47.

Toż po czesku, str. 49.

Toż w przekładzie niemieckim. Wien, 1898.

Kieystut et Jagellon. (Odb. z „Bull. de l'Acad. de sciences de Cracovie“. Kraków, str. 7).

1900.

W wilję Bożego Narodzenia, pamiątka ostatniej wilji XIX w. Kraków, str. 31.

1902.

Die Ruthenen und ihre Gönner in Berlin, str. 39.

1903.

Unja Litwy z Koroną. Wydanie wznowione rzeczy ogłoszonej w r. 1886 p. t. „Rok 1386“, str. 144. Kraków, drukarnia „Czasu“.

1904.

Wspomnienie o Leonie XIII. Kraków, str. 89.

1905.

Przed 75 laty. („Przegląd Polski“, t. IV i 1906, t. I).

1906.

Erinnerungen an Leo XIII. Gedanken über die Bedeutung seines pontifikats. Freiburg, str. VIII+108.

A propos de Leon XIII. Besançon, str. 50.

1907.

Polityka Lubeckiego przed powstaniem listopadowem. Kraków, t. I—II, str. 555, 624.

Sierakowski i Napoleon. Pamiętnik z przedmową S t. S m o l k i.

Hedvige d'Anjou, reine de Pologne, 1371—1399. Paris, str. 35.

1908.

Z powodu broszury prof. Wahrmunda. Kraków, str. 17.

Graf Andreas Potocki. Wien u. Leipzig.

1909.

Korespondencja Lubeckiego z ministrami sekretarzami stanu Ignacym Sobolewskim i Stefanem Grabowskim, wydał, materiałami archiwalnymi tyczącymi się tych samych spraw dopełnił i objaśnieniami opatrzył..., t. I, 1821—1823, str. 408 z 1 podobizną; t. II, 1824—1826, str. 500, z 1 podobizną; t. III, 1827—1830, str. 407; t. IV. Dodatki, uzupełnienia, indeks, str. 533. Kraków.

W sprawie św. Stanisława. Dyskusja. Zebranie rezultatów i uzupełnienie przez St. Smolkę. („Przegląd Powszechny“. Kraków, t. II, 415—449; t. III, str. 1—21 i 210—236).

1910.

Dwie rocznice. Grunwald i Beresteczko. („Przegląd Polski“, t. II, str. 1—19).

1913.

Smolka Franciszek. Dziennik, 1848—1849 w listach do żony. Wydał, wstępem o ojcu i jego listach, objaśnieniami opatrzył, zapyiskami Fr. Smolki z lat 1841—1848 dopełnił... Warszawa, str. LXI+369.

1915.

Po 85 latach. (Przemówienie wygłoszone w teatrze miejskim 29. X. 1915). Kraków, str. 14.

L'Europe et la Pologne à la veille et au lendemain de son démembrement, avec une carte des partages de Pologne. Rome. Libreria Spilhaever. 8^o, str. 147+mapa.

1916.

Die reussische Welt. Historisch-politische Studien. Vergangenheit u. Gegenwart. Wien, 1916. Zentral-Verlagsburo d. obersten polnischen Nationalkomites, str. XIX+460.

Franciszek Józef. („Przegląd Powszechny“, listopad, str. 147—152).

1917.

Les Ruthènes et les problèmes religieux du monde russe. Berne, 1917, str. 39+590.

1918.

(Das Königreich Polen... hrsg. v. Ćwikliński): Die wichtigsten Momente in der Geschichte Kongress Polens 1815—1914, str. 10.

1920.

(Encyklopedia Akademji. Historia polityczna Polski, t. I); Władysław Jagiełło (uzupełnione przez Papégo). Kraków, str. 456—520.

C h a r a k t e r y s t y k a.

Syn znakomitego polityka polskiego, Franciszka Smolki, wyniósł Stanisław Smolka już z domu rodzinnego gorący patriotyzm i staranne rozległe wykształcenie. Wobec ojca, bez względu na różniące ich później zasady, zachował zawsze głęboki pietyzm i odziedziczył po nim niewątpliwie niejedyn rys duchowy, podobnie jak i fizycznie był bardzo do niego podobny. Ojcu niewątpliwie zawdzięczał rozległe stosunki w byłej Galicji i Wiedniu. Te osobiste stosunki rozszerzył później sam, a to dzięki studjom zagranicznym i licznym podróżom. Również i rodzinne stosunki, w szczególności dwukrotne małżeństwo, a to pierwsze z córką znanego filozofa prof. Kremiera, wcześniej zmarłą, i drugie z p. Orda, zapewniły Smolce wybitne stanowisko towarzyskie w Krakowie i w Rzymie.

Wszystko to urobiło ze ś. p. Smolki typ jednej z najbardziej ustosunkowanych postaci w świecie uniwersyteckim krakowskim.

Na jego fizjognomję duchową głęboki wpływ wywarli ludzie, z którymi od r. 1875 ten młody człowiek, syn Franciszka Smolki, miał pracować. Zacierają się wpływy ojca i Lwowa, rosło natomiast oddziaływanie dominującego wówczas w Krakowie Józefa Szujskiego i St. Tarnowskiego, a zwłaszcza młodszych kolegów Smolki i Jego przyjaciół; byli to Wincenty Zakrzewski, Bobrzyński, botanik Rostafiński i również botanik Janczewski.

Pod wpływem tej atmosfery pogląd ś. p. Smolki przybrał charakter zdecydowanie konserwatywny i bardzo katolicki, ostatni na bardzo szerokiem podłożu w duchu poglądów Leona XIII. Smolka—to rzadki typ naszej umysłowości, interesujący się zagadnieniami religijnymi, wczuwający się głęboko w historyczną i dogmatyczną treść katolicyzmu. Jednem słowem, można go uważać za typowego reprezentanta kierunku t. zw. krakowskiego, bardzo zbliżonego do

pojęć Szujskiego. Zauważyć jednak trzeba, że każdy z wybitnych członków ówczesnego krakowskiego kółka prezentuje typ bardzo indywidualny, a ogólny systemat i schemat dziejów Polski w wyobrażeniu Smolki w niejednej zasadniczej kwestji różnił się np. od poglądów Bobrzyńskiego.

Dziecko lwowskie, zachował ś. p. Smolka na zawsze pełne zrozumienie spraw kresowych i to zarówno w nauce historii Polski, jak w życiu; tyczy się to zwłaszcza spraw kresów wschodnich, do czego jeszcze wrócimy.

Wybitne sukcesy młodzieńczego okresu zawdzięczał Smolka wczesnej dojrzałości fizycznej i umysłowej, nadto nietylko zdolnościom, ale i nadzwyczajnej pracowitości; niewątpliwie i stosunki ojca miały wpływ na szybką karierę. Wymową się nie odznaczał; wykladał zawsze z notatami w rękę, głos miał jednak bardzo miły i słuchało się go z prawdziwą przyjemnością. Był natomiast niezrównany jako „causeur“ i narrator, i to tak dobrze w rozmowie towarzyskiej, jak i w kołach naukowych. Doskonałym był pedagogiem i kierownikiem ćwiczeń seminaryjnych. Cechowało go przytem usposobienie łagodne, choć stanowcze; nie był agresywny i zdania nie narzucał i odznaczał się poszanowaniem cudzego sądu.

Już jako dziecko zdradzał wielkie zamiłowanie do lektury, zwłaszcza dzieł historycznych. Decydujący wpływ wywarł nań Szajnocha, ulubiony Jego autor, o czym sam świadczy, dedykując jego pamięci „Szkice historyczne“; wpływ ten znać zresztą na całym szeregu dzieł Smolki. Szkoła średnia rychło zniechęciła Smolkę. W siedemnastym roku życia oświadczył ojcu, że studja gimnazjalne przerwie i odda się studjom uniwersyteckim jako słuchacz nadzwyczajny, odkładając na później maturę. Ojciec zezwolił na ten krok ryzykowny, który jednak okazał się uzasadnionym.

Nie zadowolili go jednak w zupełności i studja uniwersyteckie we Lwowie, chociaż miał tu Małeckiego, a zwłaszcza Liskego, których słuchał przez dwa semestry. Może za wskazówką Liskego, choć nie jest to pewne, podążył do Getyngi, gdzie słuchał wykładów i uczęszczał na ćwiczenia szeregu profesorów przez dwa lata.

Tutaj, w Getyndze, decydujący wpływ wywarł nań słynny niemiecki uczony historyk prawa i wydawca źródeł Waitz, któremu też Smolka poświęcił najbardziej znane swe dzieło, „Mieszko Stary i wiek jego“. Waitzowi zawdzięczał Smolka wiele i to nietylko pod względem naukowym; sam w jednej broszurze przyznaje, że pod wpływem Waitza ocenił doniosłość religji. Waitz zaś był wybitnym

historykiem niemieckim, ale nie pruskim, i nie zawahał się wobec uczniów stwierdzić, że najważniejszym następstwem rozbiorów Polski było osłabienie poczucia prawa właśnie wśród Niemców.

Utyскиwał ś. p. Smolka w latach późniejszych, że tak wcześniej zaprzężono go do pługą odpowiedzialnej pracy. Istotnie szybko się wyczerpał, i zwłaszcza działalność profesorską zakończył w młodym stosunkowo wieku lat 48. Podziwiać należy jednak rozmach energii i obfitość rezultatów, jeżeli się zważy, że wiekami średnimi, które stanowiły główny teren jego naukowej działalności, przestał się zajmować systematycznie już w r. 1890, mając lat 36. Czego na tem polu dokonał, dokonał w ciągu lat 18, od 18 lat życia — do 36. Kierowanie pracami ekspedycji rzymskiej zwracało jego uwagę w stronę czasów nowszych, zwłaszcza od czasu, gdy prof. Abraham wziął na siebie wyłącznie poszukiwania w Rzymie w zakresie wieków średnich. Zresztą czas Smolki absorbowały w zupełności przez długie lata obowiązki sekretarza generalnego Akademii.

Można Smolkę uważać za najwybitniejszego historyka średniowiecza polskiego po r. 1863, a to obok Tadeusza Wojciechowskiego. Ten był znacznie od Smolki starszy, wstąpili jednak obaj równocześnie w szranki literatury zawodowej. Porównujemy tych obydwoh uczonych ze względu na wspólny im teren średniowiecza, jakkolwiek Smolka przerzucił się później do badań głównie nad XIX w.

Wojciechowski góruje nad Smolką talentem, finezją kombinacji, a także wytrwałością pilnowania warsztatu medjewistyki; stanowi jednak typ gabinetowego uczonego, zatopionego w dociekaniah i konstrukcjach, gdy tymczasem Smolka jest niezmiernie wrażliwy na prąd życia, jako historyk jest bardzo trzeźwy i ma realne odczucie przeszłości; w wyższym również od Wojciechowskiego stopniu dotrzymywał kroku technicznemu postępowi nauki historycznej, z jednym jednak zastrzeżeniem. Jako technik-medjewista Smolka najbardziej interesował się zagadnieniami krytyki historjograficznej, mniej zaś dyplomatyką, gdy Wojciechowski celował w jednym i drugim. Żywe usposobienie nie pozwalało zarówno Wojciechowskiemu, jak i Smolce oddawać się systematycznie pracy wydawniczej; w tem może najbardziej odbiegł od Waitza, który wydawał z zamiłowaniem. Ale i na polu wydawniczym, zwłaszcza w zakresie źródeł do czasów nowszych, Smolka położył duże zasługi. Jako profesor Wojciechowski słuchaczy porywał, czego, oczy-

wiecie, nie mógł dokonać Smolka. Jednak wychował on spore grono ściślejszych uczniów, co nie udało się Wojciechowskiemu. Wogóle Smolka może być uważany za jednego z najlepszych pośredników pomiędzy nauką europejską, zwłaszcza niemiecką, a polską. Uzupełnia on w tym sensie działalność Szujskiego, do którego zbliżał się najbardziej poglądem historycznym. Zajmował jednak wobec historjografji niemieckiej stanowisko bardzo samodzielne i w jednej z broszur napisał w r. 1898 prorocze słowa, dzisiaj dopiero aktualne dla Niemców: „Pomimo całego blasku, jakim jaśnieje dziejopisarstwo niemieckie XIX stulecia, historia Niemiec „est tout à fait à la réfaire“ i może kamień na kamieniu nie pozostanie z dzisiejszego zasadniczego, zdogmatyzowanego niejako sądu o przeszłości niemieckiego narodu. Niech mnie za te słowa wyśmieją starzy (niemieccy) koledzy“.

Podobnie jak Wojciechowski, Smolka dużo pracował nad historjografją. Gdy jednak pierwszy nie wychodził poza ulubione dlań kwestje specjalne w XI—XIII w., Smolka nie tak głęboko wprawdzie, przetrwał jednak i przerobił całość niemal źródeł historjograficznych aż do Długosza włącznie. Książka o Długoszu, napisana razem z Bobrzyńskim, jest w przeważnej mierze dziełem Smolki. Do dziś dnia nie jest ona przestarzała, chociaż stanowi więcej studjum historyczno - biograficzne, zostawiając rozbiór historii Długoszowej na boku, zadanie, które dla epoki piastowskiej wykonał nieco później wzorowo Aleksander Semkowicz. W każdym razie, szerokie studia nad historjografją polską aż do XV w., zapewniły Smolce szerokość poglądu w monografiach, które poświęcał Polsce średniowiecznej.

Polska dzielnicowa stanowiła przez szereg lat umiłowany teren badań Smolki. Dobie tej poświęcił szereg prac, których syntezę tworzy klasyczna jego książka „Mieszko Stary i wiek jego“. Sądzimy, że ta właśnie książka stała się pobudką klasycznej również polemiki, jaką przeprowadzili na temat genezy społeczeństwa polskiego Bobrzyński, Piekosiński i sam Smolka. Polemika ta została wydrukowana w XIV t. Rozpraw Akademji i stanowi do dziś dnia pracę godną czytania i studjów.

„Mieszko Stary“ ś. p. Smolki stanowi nie tylko dokument działalności autora, lecz jest również dokumentem myśli historycznej polskiej w dobie po powstaniu. Znać na tej książce w ogólnej jej konstrukcji wpływ Szajnochy, a to dzieła „Jadwiga i Jagiełło“. Powiedzialbym, że oddziaływały również „Uwagi nad dziejami społecz-

nemi Polski“ Lelwela, a to na metodyczną stronę rozważań, jakkolwiek wyniki pracy Smolki szły w kierunku wprost przeciwnym Lelwelowemu. Zużytkował również Smolka wyniki pracy historyków niemieckich, zwłaszcza uczonego śląskiego Stenzla. Żałować należy, że książka ta, bardzo poczytna w kołach fachowych, nie doczekała się drugiego wydania — los, który podziela wiele zasłużonych książek polskich.

Smolka zużytkował wogóle troskliwie materiały polskie, a także wyzyskał systematycznie „*Monumenta Germaniae historica*“. Stąd też dzieje XII w. wystąpiły w jego przedstawieniu w pełnym świetle źródeł. Dodać do tego należy jako cechę charakterystyczną dbałość o styl i poczytność. Wzoruje się głównie na Szajnosze, ale mu nie dorównywa; styl ma zanadto rozwlekły i naogół zbyt kwiecisty, co zresztą cechuje wszystkie jego prace.

„*Mieszko Stary*“ — to jedna z pierwszych książek w naszej literaturze, której autor w sposób umiętny związał budowę i ewolucję gospodarczą i społeczną Polski piastowskiej z przedstawieniem wypadków politycznych. Bohater autora, Mieszko Stary, występuje jako ostatni przedstawiciel w wielkim stylu władzy monarszej w jej tak zwanem bolesławowskiem rozumieniu; dominuje on w tem pojęciu z małemi wyjątkami do dziś dnia w literaturze. Dominuje również inny pogląd Smolki, a to tej treści, że władza monarsza, pierwotnie ogromna, słabła stopniowo i systematycznie, zwłaszcza w XII w., a to pod wpływem nowej, emancypującej się klasy możnowładczej, na której czele, jako jej nauczyciele polityczni, stali biskupi.

Jako profesor historii austriackiej (w latach 1875—1883) zwracał Smolka baczną uwagę na zbadanie historycznego stosunku Polski do Czech, do Węgier i do Habsburgów. Studja te znalazły się przeważnie w „*Szkicach historycznych*“. Z dziejów węgierskich na uwagę zasługuje i dzisiaj prześliczny szkic o „*Czarnym Iwanie*“ z czasów pierwszego Zapolyi. Szkic ten pozwala głęboko zajrzeć w budowę państwa i społeczeństwa węgierskiego, w jego czysto szlachecko-węgierski charakter i niepewność stosunków ze względu na słowiańskie podłoże.

Zwłaszcza na polu zbadania spraw polsko-czeskich położył Smolka wielkie zasługi, oceniając, pierwszy bodaj w naszej historjografji, jasno i bardzo trzeźwo wpływ husytyzmu na stosunki obu narodów i oddzielając trafnie stronę kulturalno-narodową od sfery religijnej.

Przeprowadził również autor dokładną granicę pomiędzy polityką polską a polityką Witolda, kroczącą swemi odrębnymi drogami. Już ta strona badań prowadziła Smolkę w kierunku oświecenia problemu Unji polsko-litewskiej.

Pięciowiekowa rocznica Unji zwróciła bezpośrednio Jego uwagę na to zagadnienie. W jego oświeceniu stoi zasadniczo na stanowisku Szujskiego, przedstawia jednak kwestję o wiele jaśniej. Jako dorobek spostrzeżeń samego Smolki można podkreślić stwierdzenie, panujące odąd w literaturze, że Litwa uległaby na pewno wpływowi ruskiemu, gdyby nie Unja z Polską. Smolka wykazał, że Litwa właściwie już się temu wpływowi poddała, co leżało również w interesie Zakonu krzyżackiego, któryby pozyskał w takim razie na trwałe Żmudź.

Smolka pierwszy po r. 1863 zwrócił uwagę na konieczność samodzielnego opracowywania przez Polaków dziejów litewskich. Jego studjum „Kiejstut i Jagiełło“ stanowi apogeum twórczości naukowej autora. Przedstawił w niem dowodnie dwoistość budowy Litwy tuż przed Unją, rozkład i upadek żywiołu pogańskiego i wzrost raptowny wpływów ruskich. Charakterystyki samego Kiejstuta i Jagiełły są wręcz świetne, jest to zresztą doskonały wizerunek rodziny i domu książąt litewskich przed Unją, doskonały obraz intryg krzyżackich na tym dworze.

„Najdawniejsze pomniki dziejopisarstwa rusko - litewskiego“ to również bodaj najlepsza praca Smolki w zakresie krytyki źródeł historyjograficznych. Autor wykrył na Litwie XV w. rozmaite ogniska samodzielnej cywilizacji litewsko - ruskiej, zwłaszcza w Smoleńsku.

Żałować należy, że myśl Smolki samodzielnego opracowania dziejów litewskich nie odrazu się przyjęła wśród polskich uczonych. Później dopiero Czermak, Papée, ks. Fijałek poszli śladem, wytkniętym przez Smolkę. Nie kontynuował jednak i sam Smolka tych własnych prac. Podnieśliśmy już, że w rzutkim jego umyśle budziły się nowe zainteresowania naukowe, czego dowodem bardzo ciekawe spostrzeżenia, poświęcone przygotowaniom do Konstytucji 3 maja. Smolka np. pierwszy zwrócił uwagę na rolę Piatolego.

Przedewszystkiem jednak organizm ś. p. Smolki wcześniej zaczęła nurtować choroba. W jednym z listów do prof. Abrahama z r. 1898 pisze, że było już z nim bardzo źle.

Po spensjonowaniu, raz tylko przygodnie, wrócił Smolka do wieków średnich, kiedy w r. 1909 wziął udział w dyskusji, prze-

prowadzonej na łamach „Przeglądu powszechnego“ z powodu „Szkiców historycznych“ prof. Wojciechowskiego, a to w szczególności w sprawie św. Stanisława. Smolka zajął wobec wywodów Wojciechowskiego stanowisko krytyczne. Abstrahując od zasadniczego poglądu, należy stwierdzić, że w tej polemice strona metodyczna wywodów Smolki nie stoi na wysokości zadania. Również i hasło sceptyczne, którem się kierował: „Ignorabimus“, nie może być przyjęte w nauce. Padł też ofiarą tej zasady, zwłaszcza wobec spostrzeżeń Krzyżanowskiego.

Zresztą w tym czasie Smolka zagłębił się wyłącznie w dzieje Królestwa Kongresowego. Owocem tych studjów jest monografia, poświęcona ks. Lubeckiemu, zakrojona na wielką skalę. Decyduje ona o tem, że Smolka zajmuje wybitne miejsce nie tylko w specjalnej średniowiecznej literaturze, ale jest historykiem całości dziejów Polski, wprowadzając do badań nowożytnych nowe źródła w opracowaniu krytycznem.

Zgodnie ze swemi przekonaniem, zużytkowując stosunki osobiste, dzięki którym otrzymał do dyspozycji całe archiwum domowe Lubeckiego, postanowił opracować rolę publiczną księcia. Dzieła tego dokonał w stosunkowo krótkim czasie, dając światu naukowemu rzadki typ monografji z zakresu Polski porozbiorowej, ilustrowanej bogatym, bardzo kompletnym i przejrzystym materiałem źródłowym, po raz pierwszy wydobytym na światło dzienne.

Książka miała niewątpliwie cel bezpośredni, patriotycznej rehabilitacji pamięci człowieka bardzo krytykowanego, często spotwarzanego, w rzeczywistości zaś zasłużonego, przewidującego jednak starcie z Rosją, umiającego korzystać z czasu ugody, by siły finansowe, a także zbrojne narodu odpowiednio wzmacniać. Była zatem próbą historyczną rehabilitacji myśli ugody także w stosunku do Rosji.

Ś. p. Smolka przez całe życie zwracał uwagę na pomnożenie zasobu źródeł do historii polskiej, i to tak dobrze w zakresie wieków średnich, jak i nowożytnych. Podróż naukowa o charakterze ekspedycji celem dotarcia do nowych źródeł stanowiła szczególnie przedmiot jego upodobania. Jeszcze w r. 1878 zwiedził cały szereg archiwów w zaborze pruskim, który dla historyków ówczesnych polskich przedstawiał wówczas kraj prawie dziewiczy. Owocem tej podróży było obszernie i gruntownie sprawozdanie, drukowane w rozprawach Akademji.

W parę lat później udał się na Węgry, bodaj że jako pierwszy badacz polski, który samodzielnie orjentował się w archiwistyce węgierskiej. Zdaje się, że nieszczęśliwy przypadek sprawił, że odpisy z tej podróży zaginęły, pozostało jednak bardzo wdzięczne z niej sprawozdanie, świadczące o entuzjazmie, z jakim Smolka był przyjmowany na Węgrzech. Później nawiązał on ściślejsze stosunki ze znanym historykiem, prałatem Fráknoiem.

Nic też dziwnego, że skoro papież Leon XIII otworzył archiwa watykańskie do użytku całego świata naukowego, Smolka był jednym z pierwszych, obok St. Tarnowskiego, Wincentego Zakrzewskiego i Bobrzyńskiego, którzy zwrócili baczną uwagę na to, by w tym prawdziwym szturmie naukowym na archiwa watykańskie historyków wszystkich krajów — nie zabrakło Polaków.

Komisja historyczna Akademii już w r. 1885 wysłała do Rzymu dla przedwstępnych studjów młodego wówczas dr. Władysława Abrahama dla badań średniowiecznych i udzieliła znaczniejszego stypendjum Bronisławowi Dembińskiemu. Na podstawie sprawozdań obydwu tych uczonych zorganizował ś. p. Smolka ekspedycję rzymską Akademii. Była to prawdziwa wyprawa, podjęta w r. 1886, w której wziął udział sam Smolka z gromem uczniów, które stanowili Kallenbach, Korzeniowski, Krzyżanowski, Windakiewicz, Rubczyński i Grossé. Smolka był głównym organizatorem całej tej ekspedycji, on gromadził fundusze i on wraz z prof. W. Zakrzewskim nakreślił cały plan ekspedycji. Ekspedycja ta stała się prawdziwą szkołą dla młodszych badaczy, których długi szereg pracował przez lata całe pod kierunkiem Smolki. Wymienić można, prócz już wspomnianych, Czerbaka, ks. Fijałka, Konecznego, Czuczynskiego, Boratyńskiego, Tadeusza Sternala, Henryka Kadena. Młodszy członkowie tej ekspedycji, mniej więcej od r. 1898, pracowali głównie pod faktycznym kierunkiem prof. Abrahama, który od r. 1900 właściwie stanął na czele ekspedycji.

Ekspedycja rzymska ma znaczenie ogromne w rozwoju naszej naukowej kultury i specjalnie historjografii. Jednostronny dotąd wpływ uniwersytetów niemieckich, jako zwykłe uzupełnianie studjów w kraju, uległ ograniczeniu. Historycy, przebywający dłuższy czas w Rzymie, wracali do kraju z bogatym zapasem wykształcenia, zdobytym na gruncie włoskim.

Także i badania nad Lubeckim oparły się na szerokim zrębie badań archiwalnych i wzmogły zainteresowanie dla tej epoki w kołach naukowych Akademii.

Smolka miał wogóle zacięcie nietylko naukowe, ale i publicystyczne. Jeżeli się jakąś myślą przejął, umiał ją propagować i społecznie organizować. Jako sekretarz generalny Akademji nie szczędził trudu, bardzo niewdzięcznego, by popularyzować rolę tej instytucji i znaczenie jej dorobku naukowego. Jego zasługą było opracowanie działalności Akademji na lwowskiej wystawie w r. 1894. Gdy Akademję krytykowano publicznie, Smolka śpieszył z wyjaśnieniem istotnego stanu rzeczy.

Na wzór ekspedycji rzymskiej chciał tworzyć podobną stację w Paryżu, pisał o tem i rzeczywiście udało się sprzęgnąć znaną Bibliotekę polską na Quai d'Orléans 6 z Akademją. I znowu kilku młodszych uczonych polskich znalazło sposobność rozszerzenia swego wykształcenia u tego źródła kultury, jakim jest Paryż.

Zarówno w Paryżu, jak zwłaszcza w Rzymie, Smolka przyczynił się w wysokim stopniu do podniesienia naukowej powagi Polski wobec zagranicy. Miał na tem polu wielkie trudności do zwalczania. W Rzymie np. czynniki austriackie ze znanym historykiem Teodorem Sicklem na czele uniemożliwiły mu zorganizowanie samodzielnego historycznego instytutu polskiego¹. Niemniej jednak rezultaty działalności były znaczne, odpisy rosły i przy Akademji w Krakowie powstało małe archiwum w formie t. zw. „tek rzymskich“ Akademji. Smolka kładł główny nacisk na gromadzenie odpisów, zwłaszcza ze względu na niewielkie fundusze, któremi rozporządzał. Publikowanie tych materiałów odkładał na później.

Obok ekspedycji rzymskiej i stacji paryskiej miał Smolka również znaczny wpływ na udzielanie stypendjów młodzieży na wyjazd do Fryburga szwajcarskiego.

Działalność naukowa, to jedna tylko strona prac Smolki. Działał on całe życie również jako publicysta; w tej pracy jego przekonania polityczne i społeczno-religijne występowały o wiele jaskrawiej. Możnaby określić jego stanowisko jako pośrednie między Popielem i Tarnowskim z jednej, a Bobrzyńskim z drugiej strony, z uwagą, że zbliżał się raczej do pierwszych dwóch, chociaż nie z ich jednostronnością.

Punkt ciężkości prac publicystycznych, to także Jego młodsze lata, kiedy miewał prawdziwe sukcesy.

Jako współredaktor „Czasu“, może dzięki pośrednictwu prof. Janczewskiego wprowadził na szpalty tego dziennika Trylogję

¹ Świadczą o tem dowodnie listy ś. p. Smolki do prof. Abrahama.

Sienkiewicza, z którym przez całe życie pozostawał w serdecznych stosunkach. Po śmierci Sienkiewicza „Czas“ ogłosił ciekawą jego korespondencję ze Smolką, dotyczącą genezy „Ogniem i mieczem“. (Pierwotny tytuł: „Wilcze gniazdo“).

Pozyskał również dla fejetonu „Czasu“: „Listy baronowej X. Y. Z. o towarzystwie warszawskiem“ (pióra Ant. Zaleskiego), które przed 40 laty były sensacją całej Polski.

W latach późniejszych odzywał się od czasu do czasu, obierając zwykle formę broszury, jak np. w r. 1898 broszura p. t.: „Polacy, Czesi i Niemcy“. Nie mogły jednak one wywrzeć głębszego wpływu ze względu na zewnętrzne ramy za silnie podkreślanego lojalizmu dynastycznego.

Wielka wojna zelektryzowała Smolkę; chęć służenia Polsce wlała nowe siły w jego schorzały organizm. Stał on w szeregu gorących zwolenników spraw Legionów. Wygłaszał odczyty w Krakowie i w Wiedniu. Jako delegat Naczelnego Komitetu Narodowego wyjechał na pewien czas do Rzymu, by zużytkować swe osobiste stosunki w służbie propagandy polskiej.

Wybuch wojny włosko-austriackiej przerwał tę jego działalność. Wspomnieliśmy już wyżej o jego pracy w Departamencie Wyznań, przyczem zauważyć należy, że zagadnienia polskiej polityki religijnej, zwłaszcza na kresach, miały w nim zawsze najgorliwszego orędownika.

Zagadnienie ruskie ogromnie interesowało Smolkę przez całe życie. Był to zresztą jeden z nielicznych polskich uczonych, który znał społeczeństwo ruskie zwłaszcza w b. Galicji wschodniej i miał w tem społeczeństwie wybitne stosunki, odziedziczone niejako po ojcu, jak również z nauk ojca wyniósł głębokie przeświadczenie o potrzebie zgody polsko-ruskiej i sympatje ku Rusinom jako naturalnym sprzymierzeńcom przeciw panrosyjskim tendencjom.

Na problem ten patrzył jednak ś. p. Smolka ze swego stanowiska, jakie mu dyktował Jego pogląd historyczny. Najważniejszym dlań kryterjum był stosunek katolicyzmu do prawosławia; ideałem zaś — unja kościołów i wypływające stąd konsekwencje. W szczególności w stosunku do praktycznej strony zagadnienia stał, zdaje się, na stanowisku haseł doby Kazimierza Badeniego i Bobrzyńskiego i ówczesnej ugody polsko-ruskiej. Utrzymywał też bliższe stosunki z wybitnymi przedstawicielami tego kierunku w społeczeństwie ruskiem. Z dumą również podnieść można, że w ułatwianiu młodym uczonym studjów zagranicznych nie zapominał, że na Aka-

demji jako reprezentantce polskich tradycji leży również obowiązek pamiętania o Rusinach. Zanwazył jednak sam słusznie, że Rusini naogół nie lubią utrzymywać bliskich stosunków osobistych z Polakami, a to z dwóch względów: z obawy przed wpływami asymilacyjnymi, a także z lęku przed terorem własnej ruskiej opinii. Zdawał sobie też doskonale sprawę ze źródeł zaostrenia się stosunków polsko-ruskich, upatrując je w Berlinie. Trafnie też oceniał całą perfidję pruskich protektorów ruskości, demaskując ją w doskonałej broszurze, zwróconej przeciw dawnemu koledze z Getyngi, niejakiemu Sattlerowi, zaciętemu hakatyście.

Był też, jak rzadko kto, powołany do przedstawienia całości stosunków polsko-ruskich na tle polityki polskiej. Potrzeba stała się paląca po wybuchu wojny, gdy propaganda ruska z całą zacieklnością zwróciła się przeciw Polsce, znajdując pełne poparcie w Wiedniu i Berlinie.

Zabrał się do pracy z zapałem prawdziwie młodzieńczym; podziwiać należy ogrom energii człowieka, wyniszczonego długoletnią chorobą, włożony w książkę „Die reussische Welt“, ukończoną już w lecie r. 1916 (tytuł francuskiego wydania z r. 1917: *Les Ruthènes*). Książka nie spełniła swego bezpośredniego praktycznego celu; nie stała się bowiem czynnikiem propagandy polskiej zarówno w kraju, jak zagranicą; niema zresztą dotąd jej polskiego wydania. Ten ujemny narazie wynik jest następstwem czyto zbyt szerokich ram książki, czy też osobliwego układu, przy którym autor się jednak upierał.

Ale i w tej formie, pojęta jako szereg specjalnych studjów, książka przynosi, dzisiaj zwłaszcza, duże korzyści, a z pewnemi zmianami przydałoby się i dzisiaj jej polskie wydanie, oczywiście nie dla szerokiej publiczności, ale dla wszystkich, których bliżej interesuje ta doniosła kwestja. Jest to bowiem gruntowne studjum nad problemem ruskim na tle dziejów politycznych i kulturalnych całego rusko-rosyjskiego Wschodu.

Na tem tle daje autor dokładną, wzbogaconą wieloma osobistemi wspomnieniami i doświadczeniami historję rozwoju narodu ruskiego w byłej Galicji wschodniej, podkreślając trudności narodowej ewolucji, wynikające z niesłychanego radykalizmu społecznego i braku związku organicznego między życiem religijno-kościelnem a narodowem.

Autor zadanie miał bardzo trudne także i z politycznego czysto stanowiska. Wychodził bowiem z tak zwanej orientacji austro-

filskiej, której całe życie był bardzo zdecydowanym zwolennikiem, tymczasem Austria, sprzyjając Rusinom, miała, jak wiadomo, swoje rozwiązanie ruskie, sprzeczne zasadniczo z ideą niepodległości Polski. Fakt ten sprawił, że książka gubiła się w niejasności co do programu na najbliższe jutro i zachowała znaczenie jedynie materiałów do tematu. Nikt jednak w naszej literaturze nie zebrał tych materiałów z taką starannością, jak ś. p. Smolka.

Staraliśmy się scharakteryzować zmarłego uczonego i publicystę; pozostaje poświęcić mu słów kilka jako profesorowi i kierownikowi seminarjum. Podnieśliśmy już, że wykłady opracowywał na piśmie, i zwłaszcza w pierwszych latach profesury wywoływały one znaczne zainteresowanie.

Punkt ciężkości jego pracy pedagogicznej spoczywał w seminarjum; kierował on oddziałem historii austriackiej, w rzeczywistości jednak poświęcał ćwiczenia wyłącznie historii polskiej. Seminarjum krakowskie było pierwszym tego rodzaju na ziemiach polskich z własną dotacją na bibliotekę i z własną pracownią od r. 1887. Obydwaj profesorowie, to jest ś. p. Smolka i ś. p. Wincenty Zakrzewski, przez szereg lat zajmowali się z wielkim zamięłowaniem prowadzeniem seminarjum, widząc w niem słusznie, za przykładem niemieckim, główny warsztat nauki uniwersyteckiej. To też ta praca wydała plon bogaty; z uczniów Smolki, zwłaszcza starszego pokolenia, można zapisać szereg znanych historyków, z generacji najstarszej bodaj że już Michała Chylińskiego, a także Ulanowskiego, prof. Abrahama i Potkańskiego. Gorliwymi również Jego uczniami byli Alfred Halban, Ignacy Rosner i Franciszek Stefczyk. Ścisłejsze koło uczniów Smolki stanowili Mikrot, Droba, Grossé, Bronisław Dembiński, Stanisław Krzyżanowski, ks. Fijałek, Koneczny, Chmiel, Leniek. W latach 1892—1896 uczęszczali na jego seminarjum Feliks Kopera, Wacław Tokarz, Jan Popiołek, Michał Siwak, Stanisław Srokowski, Stanisław Zakrzewski, Franciszek Bujak, Stanisław Kutrzeba, ks. Libański, ks. Sas, Adam Ziemiński, Włodzimierz Jarosz, Julian Pagaczewski, Józef Brzeski, Stanisław Badeni, także później Adam Kłodziński, gdy studjujący nieco wcześniej lub równocześnie Korzeniowski, Boratyński, Czuczynski, Wacław Sobieski, uczęszczając na seminarjum Smolki, pracowali głównie pod kierunkiem W. Zakrzewskiego. Z pokolenia najmłodszych uczniów Adam

Kłodziński stał najbliżej ś. p. prof. Smolki. Wymieniliśmy zaledwie garść znanych nam nazwisk. Ale i ten spis bardzo niekompletny dowodzi szerszego wpływu, jaki wywierało seminarjum zarówno na historyków zawodowych, jak na historyków prawa i literatury.

Stosunek Smolki do młodzieży był zawsze nacechowany niezmierną życzliwością i niejeden z uczniów wspomni z wdzięcznością u Jego trumny, ile mu zawdzięczał ułatwień naukowych i pomocy w zwalczaniu trudności życiowych. W stosunku tym nie brakło i kolców dla profesora, zwłaszcza w chwilach, gdy ujawniała się rozbieżność sztandaru, któremu On służył, i haseł, którym hołdowała młodzież. Miało to miejsce właśnie w latach dziewięćdziesiątych, gdy zresztą Akademię absorbowała ś. p. Smolkę i nie pozwalała mu udzielać seminarjum tyle czasu, co poprzednio. To też od r. 1893 wpływ Smolki na młodzież niewątpliwie słabnie.

Dwadzieścia pięć lat ostatnich życia Smolka z małemi przerwami chorował, czasami bardzo ciężko, a ostatnie lat kilka stale był zagrożony utratą wzroku. A jednak pracował ciągle i nie przestawał wyklądać od r. 1919, a to czas jakiś na Uniwersytecie warszawskim, a później jako profesor Uniwersytetu lubelskiego, często na katedrę wnoszony. Organizm był już fizycznie zdruzgotany i życie stawało się męczeństwem. A jednak, jak świadczą listy, oczywiście dyktowane, nie opuszczała go energia i zainteresowanie naukowe. Sporo zmartwień i zgryzot dźwigał na sobie ten człowiek; podczas wojny spadły nadto nieszczęścia rodzinne, stracił dwóch synów, a jednak zachował hart ducha do ostatka.

Rozpatrując obiektywnie wielką spuściznę Zmarłego, należy wyrazić zdanie, że znaczna jej część powinna być zebrana razem i wydana w wydaniu zbiorowem. A już przynajmniej „Mieszkostary“, „Szkice historyczne“, „Długosz“, „Rok 1386 — w pięciowiekową rocznicę“, studja nad historją Litwy, powinny koniecznie wyjść ponownie. Będzie to najpiękniejszym uczczeniem pamięci Zmarłego, naprawieniem nie krzywdy, jeno przykrego przeoczenia, wytłumaczonego nawałą wrażeń wielkiego okresu historii, że Jego 50-letni jubileusz przeszedł bez echa. Dożył jednak Smolka tej największej pociechy, że idea niepodległości Ojczyzny i żywotność naszej idei narodowej, którym służył wiernie całe życie, jeszcze u zmierzchu Jego dni zaświeciły pełnym blaskiem zwycięstwa.

**CHARAKTERYSTYKA
NAUKOWEJ DZIAŁALNOŚCI
TADEUSZA WOJCIECHOWSKIEGO**

CHARAKTERYSTYKA NAUKOWEJ DZIAŁALNOŚCI TADEUSZA WOJCIECHOWSKIEGO¹

Daty biograficzne, charakterystyka umysłowości, pogląd na historję ogólną i Polski; związek z Krakowem. — Charakterystyka „Chrobacji“ i analiza nazw osadniczych. — Rozprawa „O Piaście i piaście“. — Studja nad Rocznikami. — „Katedra na Wawelu“. — Jej związek ze „Szkicami historycznymi XI w.“. — Sprawa Korony i sprawa św. Stanisława. — Uwaga metodologiczna z powodu dyskusji w sprawie św. Stanisława.

Charakterystyka całej działalności naukowej Tadeusza Wojciechowskiego² musi być pobieżna; za mało wiemy o życiu autora, o jego pracy bibliograficznej i pedagogicznej, nie znamy jego korespondencji, a przede wszystkim spuścizny naukowej rękopiśmiennej.

Tymczasem w każdej niemal rozprawie drukowanej zapowiadał Wojciechowski publikację rzeczy nowych, na które powoływał się w toku argumentacji. Miała mieć obszerny ciąg dalszy „Chrobacja“, której ogłoszony tom I stanowił zaledwie fragment. „Roczniki polskie“ kończą się słowami: ciąg dalszy nastąpi. W tych samych „Rocznikach“ była mowa o rozprawie o „Baszku i Janku z Czarnkowa“ jako niemal ukończonej. Pracował również nad nieznaną kroniką, sporządzoną przez Wincentego Kieleckiego. Drukowana rzecz „o powtórnej elekcji Leszczyńskiego“ miała się ukazać w osobnem odbiciu z notami. Do tego jednak nie przyszło. W rozprawie „O Piaście i piaście“ wspomina badania nad organizacją urzędów książęcych, a „Szkice historyczne“ znowu zapowiadają nieznaną rozprawę o „Godłach“.

Niektóre prace zostały w rękopisach i nie można tracić nadziei, że przynajmniej część zostanie wydana; ma się wśród nich

¹ Drukowane jako wstęp do II wydania „Szkiców historycznych“. Warszawa 1925. Biblioteka Polska.

² Bibliografja dorobku Wojciechowskiego jest podana w Finkla i Starzyńskiego, Historji Uniwersytetu Lwowskiego, str. 268 i Hahna, Kronice Uniwersytetu Lwowskiego t. II, str. 489. Uzupełnić ją należy dziesiątym szkicem historycznym, drukowanym w „Kwartalniku Hist.“ za r. 1917. Zresztą w toku niniejszej pracy przytaczamy tytuły wszystkich prac drukowanych i kilku zamierzonych.

znajdować niewykończona podobno rozprawa o historjografii, a zwłaszcza ważne i ulubione przez Wojciechowskiego wykłady, „Dzieje Słowiańszczyzny do r. 1000“¹.

Wszystkie prace T. Wojciechowskiego wiąże jednolitość metody, o której niżej, opartej na logicznej spekulacji, wypływającej z intuicyjnej kombinacji i na tak zwanem wnioskowaniu wstecznem od źródeł i faktów późniejszych do wcześniejszych.

Ale i taka ściśle naukowa charakterystyka nie może się obejść bez kilkunastu dat biograficznych. Był wprawdzie T. Wojciechowski postacią bardzo indywidualną i bardzo samodzielną, w życiu i w nauce, niemniej przeto rozmaite warunki studjów, zawodów i inne okoliczności życiowe, wywarły nań wpływ mniejszy, czy większy.

* * *

Należał Wojciechowski do tego samego pokolenia, co Szujski, Matejko, Kubala, Łoziński — a także Korzon i Kętrzyński Wojciech; było to więc pokolenie, którego młodość przypadła na rok 1863, który na życiu większości tego pokolenia wycisnął swe ślady.

Urodził się Wojciechowski w średniozamożnej mieszczańskiej rodzinie w Krakowie 13 czerwca 1838 r. Rodzice mieli kamienicę przy Szczepańskim Rynku. Tutaj, w Krakowie, odbył studia gimnazjalne, a uniwersyteckie w latach 1854—1860, częściowo w Krakowie, częściowo w Wiedniu, na wydziałach filozoficznym i prawniczym. Od wczesnych czasów interesował się nim i opiekował Józef Majer.

Nie znamy bliżej przebiegu studjów. O tem, że jeszcze w młodości rysował czasami i przerysowywał zabytki krakowskie, mówi sam w „Katedrze na Wawelu“. Nie wiemy natomiast, czy którzy z profesorów nadawali pracy jego bardziej określony kierunek. Więcej znaczyła własna lektura, samouctwo — wiele również znaczyli rówieśnicy z Szujskim i Alfredem Szczepańskim na czele.

Wolno przypuszczać, że ubóstwo studjum krakowskiego skieroowało go do Wiednia w r. 1858. W r. 1860 wraca do Krakowa i przebywa tu szereg lat do r. 1875, jakkolwiek chciał Kraków opuścić w r. 1863. W tym roku, zdaje się, doktoryzował się na podsta-

¹ Korespondencja zaś, podobno bardzo interesująca, znajduje się w Archiwum Uniwersytetu J. Kazimierza. Informacje te, jak i parę rysów biograficznych zawdzięczam uprzejmości ś. p. Finkla.

wie rozprawki o elekcji Maksymiljana. W r. 1863 brał nieznaczny udział w ówczesnych wypadkach i w tym celu, a może, by dostać posadę przy Bibliotece Uniwersyteckiej we Lwowie, jeździł do Lwowa. W r. 1864 był aresztowany i trzymano go przez pół roku w więzieniu na Wawelu. W listopadzie tegoż roku został uwolniony¹. W zeznaniach tłumaczył się, że przygotowuje się do prywatnej docentury. Stałego zajęcia nie miał wówczas. Dopiero w r. 1867 został urzędnikiem w Bibliotece Jagiellońskiej, pod Estreicherem. W r. 1875 przeniósł się do Lwowa jako skryptor Biblioteki Uniwersyteckiej. Na tem stanowisku pozostał do r. 1883. Ośmnaście lat pracy bibliotecznej — swoje zrobiły; obok innych przyczyn odosobniły go od gwaru życia i wogóle od życia.

Od r. 1873, kiedy ogłosił „Chrobację“, zdobył szturmem wybitną pozycję naukową i utrzymał ją do końca życia. W r. 1880 po ogłoszeniu rozprawy „O rocznikach“ był już bodaj jedynym kandydatem na katedrę historii Polski, o której utworzenie zabiegał Uniwersytet lwowski.

W kwietniu 1883 rozpoczął wreszcie Wojciechowski wykłady jako profesor nadzwyczajny; 15 października 1887 został mianowany profesorem zwyczajnym, z ważnością dekretu od 1 stycznia 1888.

W r. 1887 został czynnym członkiem Akademii. Od r. 1886 był wiceprezesem, a w latach 1891—1914 prezesem Towarzystwa Historycznego. Od r. 1890 był korespondentem Komisji Centralnej w Wiedniu dla konserwacji zabytków historii i sztuki. W r. 1888—89 pełnił obowiązki dziekana, a w r. 1894—95 był rektorem Uniwersytetu i w tym charakterze posłem na Sejm galicyjski.

Przyszły także i zewnętrzne odznaczenia; miał tytuł radcy dworu, otrzymał odznakę honorową „pro litteris et artibus“, wreszcie został powołany na dożywotniego członka austriackiej Izby Panów.

Za dzieła swe otrzymał dwukrotnie nagrodę Akademii im. Barczewskiego, a to za „Katedrę na Wawelu“ i za „Szkice historyczne“.

Z dniem 31 maja 1907 przeniósł się Wojciechowski na emeryturę, a przy tej sposobności grono profesorów wydziału filozo-

¹ „Placówka“, Lwów, r. 1919. 29. XI. nr. 29. Modelski T. E. Dr., T. Wojciechowski więźniem stanu, na podstawie aktów procesu i zeznań w r. 1864, w Archiwum Wojskowem lwowskim.

ficznego wręczyło mu pamiątkową plakietę z wyborną podobizną, modelowaną przez Wacława Szymanowskiego.

Zmarł Wojciechowski 21 listopada 1919 r. Uniwersytet uczcił jego pamięć uroczystą akademją, na której przemawiali rektor Alfred Halban i profesorowie L. Finkel i Stanisław Zakrzewski. Przemówienia te są drukowane w „Kwartalniku Historycznym” za r. 1919. Również i warszawski „Przegląd Historyczny” poświęcił zmarłemu dłuższą charakterystykę, pióra St. Kętrzyńskiego¹.

Żył Wojciechowski w pewnem odosobnieniu² od gwaru życia, jakkolwiek interesował się gorąco sprawami publicznymi, sympatyzując naogół z kierunkiem krakowskiego „Czasu”. Jako historyk i profesor podnosił zawsze wysoko znaczenie katolicyzmu; natomiast nie cierpiał klerykalizmu i surowo zawsze oceniał zależność Państwa Polskiego w wiekach średnich od czynników kościelnych.

Na ciszę gabinetowego życia był zresztą skazany nie tylko przez własną skłonność do rozważań i rozmyślań; zdrowie miał bardzo słabe; chorował często na oczy w ostatnich dwudziestu latach życia i groziła mu utrata wzroku. Dokuczały mu również inne fizyczne dolegliwości, pożerając czas i siły.

Odosobnienie nie przeszkadzało jednak utrzymywaniu ścisłych stosunków z niewielkiem, lecz wiernem gronem przyjaciół; należy wymienić Szczepańskiego, Szujskiego, Kubalę, Artura Grottgera i Marjana Sokołowskiego, a także Franciszka Piekosińskiego i Władysława Łozińskiego; z młodszych darzył przyjaźnią Ludwika Fin-
kla, Karola Potkańskiego i Szymona Askenazego.

Jako profesor wywierał na młodzież wrażenie wielkie, czarując ekspresją wykładu. Wykładów jednak nie znam; wiem tylko, że sam z największym zapalem wykladał „Dzieje Słowiańszczyzny do r. 1000”. Może zostały w rękopisie. Nie miał jednak uczniów bliższych w starem, „cechowym” znaczeniu. Sam uważał za swego ucznia, do pewnego stopnia, przedwcześnie zmarłego Maksymiljana Gumpłowicza. Z uczniów młodszych dedykował mu Adam Szczęgowski „Dzieje mocarstwowe Polski”, a to jako historykowi, historjografowi i historjozofowi. Pojęcie Polski mocarstwowej przyswoił sobie Szczęgowski niewątpliwie na podstawie wywodów profesora. Wywarł również wpływ silniejszy na Stanisława Kętrzyńskiego,

¹ A nadto Kronika Uniw. Lwowskiego. Lwów 1899, t. I, str. 17—27; jest to przemówienie rektorskie Wojciechowskiego na inauguracji r. szkolnego 1894—95.

² Wpływ gabinetowego czysto życia na kierunek pracy naukowej podniósł Smolka, charakteryzując wizerunek naukowy Wojciechowskiego w polemice, o której mowa niżej.

Władysława Semkowicza i T. E. Modelskiego. Żaden jednak z tych uczonych nie może być uważany za ucznia Wojciechowskiego, wpływ jego bowiem ograniczał się do oddziaływania i pobudzania do myślenia. Nie pretendował on nigdy do tworzenia szkoły, nie tworzył również systematycznie kierunku.

* * *

Uspособienia cyrenaicznego, lubił zagłębiać się w lekturę; opracowywał ją w formie notatek bardzo starannie; przede wszystkim jednak oddawał się przemyśleniu problemu zarówno pod względem syntetycznym jako też analitycznym. Nie był zależny od notatek i ich klasyfikacji; materiał przeważnie opanowywał pamięciowo; sformułował nawet zasadę, że historyk średniowiecza powinien panować nad źródłem pamięciowo; tej pamięci zawierał sam zbyt często ¹.

Oczytanie miał wielkie; należy jednak wątpić, by przywiązywał bezwzględną wagę do systematycznego opanowania literatury.

Z zasady nie pisał recenzyj; o jego jedynej drobnej recenzji pracy Łebińskiego („Co Al-Bekri opowiedział o Słowianach“, „Kwartalnik Historyczny“, t. I), krąży cała legenda. W każdym razie użył Liske niemało trudu i przymusu, zanim wydobyl tę recenzję.

Z zasady również nie odpowiadał na zarzuty i recenzje o nim. W tem wszystkim tkwiło pewne lekceważenie literatury przedmiotu.

Ponad wszystkim górował jego własny pomysł i konstrukcja, a zatem udowadnianie konieczności niemal pomysłu. Niedarmo jednym z najulubieńszych historyków był dlań Gfrörer, znakomity historyk kościoła, zmarły jeszcze w r. 1861, tak surowo oceniony przez Bernheima. Co prawda, Gfrörer, to był pisarz katolicki i był obcy państwowo - narodowemu szowinizmowi historyków niemieckich, przeważnie protestantów. Na Europę średniowieczną patrzył Wojciechowski głównie przez szkła Gfrörrera, który był nie tylko historykiem w ścisłym znaczeniu wyrazu; zajmował się bardzo usilnie historją prawa niemieckiego pierwotnego.

Dobrzeby było, by dzisiejsza nasza nauka zajęła się pracami Gfrörrera; uczony ten jeszcze nie jest przestarzały, a jego wpływ,

¹ Tak już w „Chrobacji“ str. 170 i nota 14.

choć sporadyczny, jest jednak widoczny w dziełach niemieckich, nawet najświeższych. Gfrörerowi mogło szkodzić fantazjowanie. Dlatego też protestanczy mistrze medjewistyki niemieckiej wywarli głębszy wpływ na naukę polską.

Wojciechowski przysporzył nauce historycznej obszerny materiał źródłowy, z którego przedtem nie korzystano; stąd, a także pod wpływem nauki niemieckiej zwracał zawsze baczną uwagę na tak zwane źródła zaginione i ich się przedewszystkiem doszukiwał. Sam jednak nie był wydawcą i opisu źródeł nawet nie dawał z zasady. Opracowując naogół źródła metodycznie, jakkolwiek z reguły był zależny od wydawców i do rękopisów nie sięgał, chyba wyjątkowo, w ocenie wartości źródła i stosunku różnych źródeł do siebie postępował naogół dowolnie. Rys ten występuje już w „Chrobacji“, a wyraża się nadto w przecenianiu znaczenia źródła, które autor obiera za podstawę konstrukcji. Zresztą w czasach, poprzedzających działalność autora, rys ten, zwłaszcza w polskiej nauce o średnio-wieczu, był niemal powszechny. Rys ten znamionuje działalność wydawniczą Bielowskiego; jest również własnością Piekosińskiego, zwłaszcza gdy idzie o stwarzane przez nich hipotezy.

Podporządkowywanie źródeł konstrukcji objawia się najsilniej w traktowaniu przez Wojciechowskiego kroniki Wincentego. Dowolność występuje jednak naogół często. Traktując kwestję Bogumiła, nie waha się autor sięgać do źródeł bardzo późnych, widząc w niej resztki bardzo starej tradycji. Typowa również jest nota w rozprawie o Kazimierzu Mniehu. (Pamiętnik, t. V, str. 8, nota 2).

Pisząc o Bolesławie II i św. Stanisławie, autor w zasadzie wyklucza Wincentego. Tymczasem zmieniał nieraz swe poglądy; kiedy indziej postępował niekonsekwentnie. W rozprawie „O rocznikach“ bardzo trafnie charakteryzował Wincentego, co więcej, przypuszczał, że Wincenty był zupełnie obojętny na punkcie stosunku władzy świeckiej do kościoła, ba, sądził nawet, że biskupi w. XIII usuwali niektóre rozdziały Wincentego, jako zbyt przychylnie świeckiemu stanowisku Łaskonogiego¹. W rozprawie o Kazimierzu Mniehu znowu czerpie obficie z Wincentego², nawet w „Szkicach historycznych XI w.“ hipoteza o miejscu sądu nad biskupem opiera się na Wincentym, który również dostarcza autorowi podstawy źródłowej do przypuszczenia w rozprawie „O Piaście“, że Popiel miał

¹ Pamiętnik Wydziału filolog. i hist. Akad. Umiej., t. IV, str. 167—170 a z w ł a s z c z a 171.

² Ibidem, t. V, str. 21—23.

także imię Leszek¹. Lecz właśnie w „Szkiecach hist.“ Wincenty, który według autora nigdy nie miał być historykiem, zostaje potępiony surowo jako historyk, a nawet jako człowiek. Jednym słowem, gdy Wincenty odpowiadał konstrukcji, był dobry jako źródło; gdy nie, wówczas potępia go Wojciechowski bez litości.

Taki stosunek do źródeł zmusza rzeczywiście czytelnika i badacza do ostrożności i do kontroli bezpośredniej, na podstawie źródeł. Skonstatowanie tego faktu nie ubliża w niczem godności autora, który dzielił zresztą losy wybitnych polskich uczonych, czekających całe lata na rozbiory dzieł, pisanych przez nich. To wielkie uznanie, jakim cieszą się wybitne dzieła, nie poddawane gruntownym recenzjom, wytwarza w następstwie pewne poczucie nieomyślności, apodyktyczności.

Jest Wojciechowski jednym z twórców naszego poglądu na średniowiecze i jest twórcą własnej metody zarówno jako ten, który wprowadził do badań nazwy miejscowe, jak również nauczył je badać, a tę metodę zastosował wogóle do źródeł. Oceniając jego poglądy i działalność, musimy pamiętać, że ocena musi się opierać nie na rozwoju wiedzy, którego on właśnie magna pars fuit, ale na stanie wiedzy przed r. 1873, kiedy się pojawiła „Chrobacja“. Podobnie zresztą i „Katedrę na Wawelu“ pod względem historyczno-archeologicznym należy pojmować na podstawie źródeł, które miał autor w rękę, a nie na podstawie szeregu późniejszych wydawnictw i wykopalisk.

Autor w r. 1873 był człowiekiem naukowo dojrzałym, a stan nauki o polskim średniowieczu, stan wydawnictwa źródeł przedewszystkiem, był niewesoły. Badanie historii osadnictwa polskiego zaczyna się właśnie od Wojciechowskiego, który, przenosząc się stopniowo na inne obszary wiedzy, siedł zawsze, świadomie zresztą, w kierunku rewizji metod badania, i stosowania swoich własnych metod. Przytem od początku był on w tych czasach jednym z bardzo nielicznych reprezentantów nauk pomocniczych historycznych, jako dyplomatyk i paleograf, jako miłośnik językoznawstwa, archeologii i historii sztuki, a zwłaszcza historii kościoła. Opanowywał jednak te nauki głównie jako samouk. Poza pomysłem konstrukcyjnym — zainteresowania Wojciechowskiego zwracały się w pierwszym rzędzie ku zagadnieniom heurystycznym. Starożytnikiem był w każdej swej pracy. Związek konstrukcji z pomysłem metody ba-

¹ Rozprawy Wydz. hist.-filoz. Akademii Umiejętności, Serja II, t. VII, str. 211.

dania, z pomysłem źródła samego — oto cecha Wojciechowskiego. I to może tłumaczy, że nie mógł skupić się na jednej kwestji i systematycznie ją opracowywać. Każda jego niemal praca — to obrabianie innej kategorii źródeł i specjalnego sposobu badania; te źródła, bezpośrednio badane i użytkowane przez siebie w danej pracy, wysuwa stale naprzód, pogłębiając w ten sposób niepospolicie wiedzę, nie doceniając jednak źródeł, któremi się mniej interesował, bądź też, które już przedtem były wyzyskane.

Na istotę dziejów patrzył Wojciechowski ze stanowiska filozoficznego¹. Trudno określić, jakie tu oddziaływały specjalne wpływy. Znał dość gruntownie filozofję niemiecką, ta jednak niebardzo, zdaje się, przemawiała do jego jasnego i logicznego umysłu. Natomiast Comte wywarł prawdopodobnie wpływ głębszy; jednak nie wyłączny. Lud, naród i społeczeństwo uważał za elementy dziejowe, obracające się dookoła zagadnienia bytu fizycznego, materialnego i duchowego. Historia jednak jest czemś więcej, niż rejestracją jednostajnego czy przeciętnego działania wszystkich ludzi. Historia zaczyna się wówczas, gdy z masy jednostek wyłonią się osoby, które czynią nie tylko to, co drudzy, *ale czynią i coś ponadto*². Dla pokoleń późniejszych to „ponadto“ będzie już czemś danem, z czego każdy skorzysta; i znowuż działanie ludzkie potoczy się zwykłym trybem, jako staranie około trzymania bytu. Dlatego to, w rezultacie, historia wygląda nazewnątrz jakoby szereg imion tych osób, które nazywamy genjuszami i bohaterami dziejów, na które składają się ich czyny. W czynie zaś tkwią dwa pierwiastki: jeden to akt woli, drugi — to sama treść czynu. Inaczej nie moglibyśmy mówić o społeczeństwie, że ono wytwarza swoje genjusze. Dlatego również niema genjuszów tam, gdzie niema rozwiniętego społeczeństwa, czy też narodu.

Na pytanie, co jest treścią wytworów dziejowych, nad którymi pracują ludy, narody i społeczeństwa, odpowiedź brzmi: kultura, nauka i oświata z jednej, a przemoc i państwo z drugiej strony. Wyrozumienie genezy tych działań jest zadaniem historyka; nie pytamy jednak, poco się tak dzieje; a tylko chcemy wiedzieć: skąd się to wzięło i jakie wywołało następstwa. Szczególnie przytem interesowała autora kwestja zjawiska przemocy, wyrażającego się

¹ Co to jest historia i poco się jej uczymy. Wykłady wstępne historii polskiej Uniw. Wszechnicy lwowskiej w kwietniu i w maju 1883. „Przewodnik Naukowy i Literacki“, t. XI, r. 1883, str. 577—608.

² Podkreślenie pochodzi od autora niniejszej charakterystyki.

w wojnach, pojmowanych jako przejaw walki o byt. Jako prawdziwy pozytywista, i w tym wypadku uczeń Comte'a, w postępie oświaty oraz nauki, w jej demokratyzacji widział potężną dźwignię przyszłości, która zdolna jest ograniczyć siłę czynnika wojny — przemocy.

Dzieje, historia nie mają w sobie nic takiego, co by można nazwać ich celem. Samo zestawienie dziejów — i celu wydawało mu się nielogiczne. To, co pospolicie nazywamy celem ludzkości, posłannictwem narodu, zadaniem państwa, to tylko własne nasze myśli i teorie, które dowolnie przenosimy w przeszłość. To samo także należy powiedzieć zasadniczo o postępie. Postęp w znaczeniu społecznym nie jest postępem człowieka-jednostki. Wspaniale to wyraża Wojciechowski, mówiąc: „Co wiedział Archimedes lub Eratostenes, jest niczem w porównaniu z tem, co wiedział Newton, lub Humboldt; a my wiemy znowuż więcej od nich. Ale dowcip naukowy Archimedes'a nie był mniejszym od dowcipu Newtona. Siła naszego rozumu w inwencji umiejętnej nie wzmogła się z postępem czasu; nie wzmogła się też w poezji, w sztukach ani w filozofji. Homer i Fidjusz byli równie doskonałymi, jak Dante i Rafael. Co ważniejsza, człowiek nie stał się lepszym w ciągu dziejów“. Albowiem postęp moralny — to postęp kultury, nauki, albo ludu, narodu, państwa i społeczeństwa, i ich urządzeń. Nie da się jednak tej pracy przekazywać z jednostki na jednostkę; musi ją odrobić każdy człowiek sam w sobie, zawsze z nowego, i zawsze od początku. Tak samo ma się rzecz z wartością sumień, świętości, poświęceń. Z perspektywy dziejów cnota Sokratesa, męczenników chrześcijańskich, patryotów, jest równa. Etyka człowieka nie zmienia się w ciągu wieków, podobnie jak nie zmienia się logika i fizyka.

Historja jest nauką pożyteczności społecznej, i to zarówno historia powszechna, jak i szczegółowa. Największą korzyść daje historia szczegółowa w formie nauki dziejów ojczystych. Kto szuka nauki, gdzie i do czego ma nawiązać własną pracę, znajdzie ją tylko w historii własnego narodu.

Cały ten pogląd na istotę dziejów ludzkości znajdował się naturalnie w ścisłym organicznym związku z poglądem na całość dziejów Polski¹. Pojmując zjawisko przemocy jako twórczy czynnik *par excellence*, upatrywał Wojciechowski w faktach mocarstwowych

¹ „Podział i zakres dziejów polskich“. Odczyt w sali inauguracyjnej Wszechnicy Lwowskiej przy otwarciu r. szkolnego 1884—85 po przemówieniu rektora. „Przewodnik Naukowy i Literacki“, t. XII, r. 1884, str. 961—977.

te właśnie, które decydują o charakterze okresów i epok; te ostatnie rozumiał jako wybitne fakty zamykające czy otwierające okresy. I na samą całość dziejów naszych patrzył zatem tak dobrze ze stanowiska filozoficznego, jak i historycznego, jako na dzieje Polski mocarstwowej. W naszej literaturze ówczesnej szeroko była traktowana sprawa podziału dziejów Polski, głównie pod wpływem nowych zapatrywań Bobrzyńskiego. Wojciechowski uważał swój podział za zasadniczo różny od podziału Bobrzyńskiego; sformułował nawet zarzut, — przyczem nie był pewny, czy to była rzecz jego pomysłu, — że według Bobrzyńskiego ostatecznie upadek Polski mógłby nie stanowić epoki w naszej historii, a nawet nie zamykałby okresu, gdyż poszczególne części rozbiorowe weszły w skład trzech państw, również prawnych i nowożytnych; a dalej, że także restauracja Polski, gdyby była nastąpiła za czasów trwania państwa nowożytnego, z tych samych powodów nie rozpoczynałaby nowego okresu.

Zarzut ten jest oczywiście niesłuszny, a przytaczamy go dlatego, że Wojciechowski mimo to nie odbiegł tak daleko od poglądów Bobrzyńskiego, jak sam przypuszczał. Jego podział jest w zgodzie z jego własną filozofją; ale równocześnie jest tylko modyfikacją podziału Bobrzyńskiego, opartą na tych samych podstawach metody i poglądu.

Okres według Wojciechowskiego trwa tak długo, póki nie zajdzie jakaś stanowcza odmiana w elementarnych momentach bytu narodów, a to etnicznych i terytorjalnych. Dlatego też dzieje Polski składają się właściwie z trzech okresów: przedchrześcijańskiego, przed i po roku 1386. Dwa ostatnie mają jednak swe podokresy, które dla Wojciechowskiego są również okresami: pierwszy — to czasy przed r. 1241 i po napadzie Tatarów; dla drugiego zaś taką przełomową datę stanowił r. 1648. W rezultacie więc dzieli Wojciechowski dzieje Polski na 5 okresów: a to przed r. 966; od 966 do 1241; 1241—1386; od 1386 do 1648, i wreszcie od 1648. Ostatni ciągnie się do upadku Państwa. Daty te w rozważaniu Wojciechowskiego, jakkolwiek wysnute z dziejów Polski, obowiązują również w dziejach Litwy i Rusi. Dzieje tych krajów zatem w całości powinny być wciągane w zakres dziejów Polski. O ile idzie o Litwę, rzecz tłumaczy się faktem Unji i jej żywotności, o ile idzie o Ruś — decydują wielorakie związki obydwóch narodów: nie można zrozumieć, ani badać, ani pisać, ani uczyć historii polskiej bez ruskiej, i nawzajem ruskiej — bez polskiej. Szereg unij kościel-

nych, świeckich, politycznych i narodowych, to jeden z najgłówniejszych i najtrudniejszych przedmiotów dziejów Polski.

Nie przesunął jednak Wojciechowski punktu ciężkości jednostronnie na wschód. Pamiętał o zachodzie. Dla niego Śląsk, Pomorze i Prusy, to obiekt historii polskiej tak długo, dopóki wchodziły one w skład państwowy Polski; w skład tych dziejów włączał również Słowian nadodrzańskich i nadłabskich aż do chwili ich zniemczenia.

Myślom tym dawał wyraz przy każdej sposobności, a więc w wykładach, a także wówczas, gdy żądał, by w ramach wydawnictwa „*Monumenta Poloniae historica*” znalazły się narówni z polskimi średniowieczne pomniki dziejopisarstwa ruskiego. Historykom polskim stawiał zarzut, że zaniedbują dzieje krajów zachodnich słowiańsko-polskich. Sam w rozprawie „O rocznikach” zamierzał zbadać roczniki nawet Pomorza nadodrzańskiego. Dzieje krzyżackie zaś i Prus pojmował wogóle jako integralną część polskiej państwowości, i wywodził: „Korzystam z tej sposobności, aby zwrócić uwagę na błąd, popełniany w podręcznych dziejach „*Historji Polskiej*” pod względem pojęcia istotnego zakresu dziejów polskich; przyczem, rozumie się, nie mam na myśli afektacyi politycznych, lecz wyłącznie potrzebę naukową. Dziejopisarstwo polskie porozbiorowe zrzekło się dobrowolnie niektórych faktów i praw historycznych, które są elementarną częścią dziejów polskich. Odnosi się to mianowicie do Śląska, Pomorza i Prus, które historycy nasi zbyt wczesnie wypuszczają z całości dziejów polskich... Dom krzyżacki, jego posada i posiadłości pruskie, były prawnie składową częścią Polski. Książęta polscy założyli ten klasztor rycerski w takiej samej myśli, jak zakładali inne domy zakonne; chociaż w odmiennym celu i dla innych potrzeb. Dając mu prawa książęce nad ziemią nadaną, nie uczynili nic innego, jak wobec innych klasztorów, które czasem podobnie uzyskały te same prawa nad swemi dobrami i poddanymi... Stąd też i w historii naszej dom krzyżaków pruskich powinien być traktowanym jako jedna z instytucyj, należących do składu państwowego i kościelnego Polski, a historia jego jako część historii polskiej; tem bardziej, iż w XV i XVI w. państwo krzyżackie wróciło do składu Rzeczypospolitej...” Są to głębokie uwagi, godne rozważenia przez historyków i dzisiaj, tem bardziej, że literatura tak dobrze naukowa jak i pedagogiczna ocenia powołanie krzyżaków i ich dzieje sprzecznie z poglądami Wojciechowskiego.

Uwydatniliśmy już związek Wojciechowskiego z Krakowem, nie tylko zewnętrzno-życiowy, ale i głębszy duchowy. Jakkolwiek większą, drugą połowę życia spędził poza tem miastem, myślą żył zawsze w niem i uważał się za stróża jego historycznych pamiątek i źródeł. Wojciechowski życie całe poświęca opracowaniu średnio-wiecznych czasów; z tych jednak najbliższe są mu tematy historii krakowskiej, źródeł krakowskich i źródeł małopolskich. Parę za- ledwie i to drobniejszych rozpraw stanowi wyjątek od tego naczelnego rysu. „Chrobacja“ oparta jest prawie wyłącznie o źródła ma- łopolskie; w pracach krytyczno-historjograficznych roczniki i kro- niki małopolskie grają rolę główną; „Katedra na Wawelu“ mówi sama za siebie; ale i „Szkice historyczne“, znowu z małemi wyjąt- kami, noszą specyficznie krakowski charakter.

Pierwsza praca, jeszcze studencka, p. t. „Zabiegi Maksymiljana o koronę polską“, drukowana w dodatku do „Czasu“, w r. 1860, to drobiazg bez znaczenia, pisany może na temat zadany przez prof. Walewskiego, na podstawie materiału drukowanego, zresztą niewy- czerpanego. Interesuje ona tylko o tyle, że do zasadniczej strony tematu wrócił Wojciechowski już jako profesor, pisząc „O powtór- nej elekcji Stanisława Leszczyńskiego w 1733“. Problem elekcji zajmował go prawdopodobnie jako jedna z przyczyn upadku Pol- ski. Rzecz o powtórnej elekcji stanowi próbę rehabilitacji zwolen- ników kandydatury Augusta III¹. W owej zaś pierwszej rozprawce nic nie zapowiada, na podstawie czego możnaby przeczuć później- sze rozprawy i wykazane w nich zdolności.

Po r. 1860 Wojciechowski długo milczał, gdyż przeszło lat dwanaście. Nie wiemy jednak, czem się wówczas zajmował poza nauką. W pracy naukowej zwrócił się do badania początków osad- nictwa polskiego na podstawie rewizji dotychczasowych metod. Wy- niki, obejmujące część zagadnienia, opublikował w dziele p. t. „Chrobacja, rozbiór starożytności słowiańskich“².

Książka ta stanowi podstawowy tytuł naukowej zasługi Woj-

¹ „Kwartalnik Historyczny“ t. II. z r. 1888. Jest to odczyt na Walnem Zgroma- dzeniu Akademii 26 V 1888.

² Tom I. Kraków. Nakładem wydawnictwa „Kraju“, r. 1873, str. 341, i spis treści. Ten spis treści jest ciekawy ze względu na dalsze, niezrealizowane plany autora: Wstęp, o metodzie badania starożytności słowiańskich, str. 7—116. Część I. Etnografja. Roz- dział I. Nazwy miejscowe, str. 127—335, a dzieli się na a) Rozbiór krytyczny nazw miejscowych, str. 145—180, i b) Rozbiór historyczny tychże nazw, str. 181—335. — Au- tor zapowiedział treść dalszego ciągu, a to: II. Historia osiedlenia. Rozdział II. Nazwy rzeczne i górskie. Rozdział III. Nazwy ludowe. Część zaś II miała obejmować historję osadnictwa.

ciechowskiego. Wrażenie wywarła duże, a szereg wybitnych naszych historyków przyswoił sobie podstawy wywodu, mimo czynione zastrzeżenia. Nie była jednak „Chrobacja” poddana właściwej krytyce i rozbiorowi, co zresztą jest bardzo częstym objawem w naszej literaturze. Z poważniejszych recenzyj można zanotować jedynie opinię Fr. Zielińskiego w „Bibliotece Warszawskiej” w r. 1873, ale jest ona daleka od omówienia całości książki.

Jest „Chrobacja” najlepszą niewątpliwie książką autora, zarówno pod względem bogactwa myśli, jak nowości metody, opartej na silnej logice.

Autor nad zagadnieniami starożytności słowiańskich pracował od dłuższego czasu; niemniej przeto wolno przypuścić, że ostateczną pobudką do zredagowania „Chrobacji” była może książka Wojciecha Kętrzyńskiego p. t. „Die Lygier”¹, poświęcona również udowodnieniu odwiecznego posiadania ziemi przez Słowian zachodnich i Polaków w szczególności, i to już za czasów Geografji Ptolomeuszowej. Wojciechowski tak samo, jak Kętrzyński, wziął udział w walce z nauką niemiecką, zasiedlającą kraje słowiańskie Niemcami i upatrującą w Słowianach późniejszych przybyszów. Dowody Kętrzyńskiego opierały się na rozbiorze nazw ludów, znajdujących się u pisarzy starożytnych. Metoda więc była filologiczna i przeciw niej to zwrócił się całą siłą Wojciechowski. Dążył jednak do tego samego celu, jak sam stwierdza: „kilka tysięcy nazw patronimicznych... są ważniejszym dowodem starożytności naszej, aniżeli imiona Lugiów lub Bulanów, które nam podali pisarze starożytni, ale bez możliwości zapewnienia nas o tem, czy to były istotnie imiona naszych własnych przodków?” Ogólne wyniki „Chrobacji” natury historycznej polegają więc na czterech spostrzeżeniach: 1) nietylko ten sam szczep słowiański, ale i te same narody i pokolenia, które dziś używają tych nazw (patronimicznych — z końcówką na *-ice*), używały ich lub tworzyły je w drugim i trzecim wieku ery chrześcijańskiej; 2) narody zachodnio-słowiańskie, wśród których znajdujemy do dziś dnia osady patronimiczne, siedziały tu już w trzecim i drugim wieku ery chrześcijańskiej; 3) między narodami, wymienionymi w tych stronach przez pisarzy starożytnych, a mianowicie Tacyta i Ptolomeusza, muszą koniecznie znajdować się i te narody, które założyły i posiadały te osady; 4) imiona ludowe, położone u Ptolomeusza w tych stronach Germanji i Sarmacji,

¹ „Die Lygier“. Ein Beitrag zur Urgeschichte der Westslaven und Vindilen. Posen 1868.

gdzie później było przeważne mnóstwo osad patronimicznych, nie mogą oznaczać innych narodów prócz słowiańskich, i to tych samych — w znaczeniu etnograficznym, nie zaś politycznym — które tych nazw do dziś dnia używają.

„Chrobacja“ jest książką nawskroś oryginalną; nie znaczy to naturalnie, by autor nie miał poprzedników. Sam ich jednak wyszukał, i niejako stworzył, o ile idzie o literaturę historyczną polską.

Oparł się więc głównie na Janie Potockim, w mniejszym stopniu na Wawrzyńcu Surowieckim. Spostrzeżenia tych uczonych, osnute zresztą na innym materiale źródłowym, zastosował do swego materiału, na który pod wpływem Miklosicza, Beaudouina i Potta on pierwszy wśród naszych historyków zwrócił dokładną uwagę.

„Chrobacja“ jest właściwie książką z zakresu metodologii historycznej, jej działu o badaniu źródeł. Dobra połowa książki jest poświęcona przeprowadzeniu dowodu, że tak zwana metoda filologiczna opracowywania źródeł ściśle historycznych, względnie historjograficznych, nie da się zastosować do badania starożytności wogóle, a słowiańskich w szczególności. Autor używa terminu metody filologicznej w rozumieniu zwykłej metody historycznej (którą inaczej nazywa progresywną), badającej zagadnienie, poczynając od źródeł najwcześniejszych, kolejną następstwa czasu i wydarzeń. Jaskrawe ubóstwo źródeł do dziejów pierwotnej Słowiańszczyzny sprawiało, że mnóstwo podstawowych pytań nie mogło być nietylko dokładnie zbadane, ale i oświetlone drogą hipotezy, lub też odpowiedzi gubiły się w sprzecznych ze sobą i często fantastycznych i dowolnych przypuszczeniach. A chodziło o kwestję wielkiej wagi, mianowicie o odpowiedź na pytanie, jakiego pochodzenia była najdawniejsza ludność ziem polskich.

Wojciechowski zwrócił uwagę, że źródła, bezpośrednio niehistoryczne, a więc nazwy osad i wogóle nazwy topograficzne, przedstawiają w związku z jego tematami nieznanne i nieużytkowane zupełnie materiały dla historyka, jeżeli je się zbada zapomocą odpowiedniej metody. Materiały te do czasów autora stanowiły własność lingwistyki. Wojciechowski powiada; „Fakta lingwistyczne: nazwy gór, rzek, miejscowości, ludów i t. d., wprowadzone do historii jako materiał etnograficzny, przemieniają odrazu swoją cechę i użytek. Jakoż w lingwistyce, głównym i właściwym poglądem na te nazwy był wzgląd etymologiczny, ale w historii wzgląd etymologiczny będzie już najmniejszą częścią badania, a główna uwaga obróci się ku pytaniom historycznym tej treści: jak dawne są te nazwy? jak da-

leko sięgają wstecz? i czy są oryginalną, czy pożyczaną własnością tego narodu, który ich dzisiaj używa?“ W dalszym ciągu wyjaśnia autor, że badanie nazw miejscowych pozwoli odpowiedzieć na szereg pytań, poświęconych organizacji społecznej, zależnie od tego, w jakim stopniu nazwa przechowywała charakter zajęć i bytu dawniejszej ludności. Autor, występując z nową metodą, nie lekceważył starej; według niego rozbiór starożytności chrobackich dzieli się na dwie części: na badanie etnograficzne — odwrotne, i historyczne — progresyjne.

Zilustrujemy powyższą tezę na przykładzie: w dawnym powiecie checińskim znajdują się w bliskim sąsiedztwie dwie wsie: jedna Dalechowy, druga Dalechowice. Obydwie nazwy są pierwotne, chociaż pierwsza prawdopodobnie młodsza od drugiej. Pierwsza bowiem powstała wówczas, kiedy już znano własność indywidualną, druga pochodzi z czasów dawniejszych, w których używano ziemi rodzinami. Stąd już krok jeden do konkluzji, że nazwy z końcówką na *-ice* noszą wogóle charakter patronimiczny i stanowią grupę najbardziej pierwotną; nazwy typu „Dalechowy“ oznaczają własność, wymagają domyślnika w formie „Dalechów“ dom lub dwór; w liczbie mnogiej „Dalechowy“ oznaczają ludzi, czeladź lub poddanych, właśnie Dalechowych.

O doniosłości tych spostrzeżeń należy sądzić nie tylko na podstawie późniejszych badań, opierających się o metodę i wyniki Wojciechowskiego, lecz należy sięgnąć do autorów od niego starszych. Autor sam zwrócił uwagę na dawniejsze twierdzenie Jerzego Bandtkego. Utrzymywał on, że „zwyczajne w Polsce zakończenie nazw miejscowych na *-wic*, i *-wice*, powstało z wyrazu północnego *wik*, który oznacza wieś, podobnie łacińskiemu *vicus*; i że stąd poszło zakończenie w nazwach wielu miast nadbałtyckich, od Odry aż do Renu: Barwik, Szlezwik, Ryswik; Szajnocha uwierzył temu i wytłumaczył na tej podstawie nazwę Kruszwicy z dwóch wyrazów normandzkich: *krus* (niemieckie *Krug* = garnek, dzban), i *wik* = osada“ i t. d.

Wielka prostota cechuje wyniki rozważań metodycznych autora; redaguje on je w następujących zdaniach: 1) przedewszystkiem, badając nazwy, należy sprawdzić ich autentyczny pierwokształt; 2) źródło etymologiczne nazwy powinno być wyjaśnione na podstawie świadectw historycznych; 3) sufiks decyduje ostatecznie o istotnem znaczeniu nazwy i o stosunku między źródłem a miejscowością nazwaną.

Na tej podstawie badacz, historyk nazw miejscowych, przechodzi do rozbioru historycznego. Autor wyjaśnia różnicę na podstawie przykładu nazwy Krzesławice. Etymologia orzekła, że to jest imię rodziny Krzesława. Historja zaś widzi w nazwie świadectwo wypadku dziejowego tej treści: że kiedyś rodzina ta miała tutaj swoją osadę. Wynika stąd dalsze zadanie historyka: oznaczenie chronologii nazw, gdyż bez chronologii niema historii. Przytem liczyć się należy z przemianami, którym w kolei wieków nazwy ulegały kilkakrotnie. Wreszcie na nazwach wycisnęły ślady wogóle rozmaite fazy kultury; a więc same dzieje kultury rolnej, organizacji prawnej ludności, historja wojen w nazwach etnograficznych według pochodzenia jeńców, osadzonych na roli. To samo można powiedzieć o śladach kultury duchowej, o nazwach z zakresu kultu pogańskiego, o nazwach, świadczących o panującym już chrześcijaństwie.

Zasadniczo podzielił Wojciechowski materiał nazw miejscowych na pięć grup, z których pierwsza objęła trzy podgrupy, a to nazwy: a) topograficzne, b) wyrażające jakąś pracę ludzką, np. Poręba, Mogiła, c) nazwy mieszkańców, ale topograficzne, np. Jezierzany; druga grupa, to nazwy patronimiczne; trzecia obejmuje nazwy, oznaczające własność osobistą; czwarta — to nazwa ludzi, zajętych jakąś czynnością gospodarczą lub przemysłową, np. Kuchary, Skotniki lub Strzelce.

Pragnąc nadać temu podziałowi rzeczowemu treść chronologiczną, sięgnął Wojciechowski do dokumentów XII i XIII w. Zużytkował nietylko wydawnictwa polskie, ale korzystał również z wydawnictw czeskich, śląskich i pomorskich. Nieocenione oczywiście usługi oddał mu Liber fundationis claustris s. Mariae de Henryków, czyli tak zwana Księga uposażeniowa henrykowska. Opracował również spis nazw Długoszewego Libri Beneficiorum, jak parę dostępnych wówczas tabel i skorowidzów miejscowości trzech zaborów.

Za najstarsze uznał Wojciechowski nazwy osad (a nie wsi), głównie chłopskie, utworzone z imion osobowych; opierał się przytem na dwóch dowodach, z których pierwszy, główny, sam się opiera na dwóch argumentach. Argument pierwszy stanowił sporządzony przezeń katalog nowszych lokacyj, oparty na dokumentach z XIII i XIV w.; znany wówczas materiał pozwolił na zestawienie siedmdziesięciu przykładów. Drugi argument polegał na kombinacji, wysnutej logicznie. Sądził bowiem Wojciechowski, że „wszystkie na-

zwy przysiółków, jako utworzone przeważnie z nazw gór, rzek, lasów i pól, *oczywiście* późniejsze, niż nazwy osad, wytworzone z imion osobowych; bo tamte nie mogły powstać, aż dopiero skutkiem długiego zamieszkania i szerokiego zagospodarowania się w każdym kawałku tej ziemi, gdzie poprzednio już *musiały* być starsze osady, t. j. chłopskie“. Podkreślenie wyrazów „oczywiście i musiały“ pochodzi od nas, a unaocznia ono ową logiczność dowodu, czyli premisę, którą według własnej jego terminologii posługiwał się Wojciechowski bardzo często.

Drugi dowód główny starszeństwa osad patronimicznych wynika z obliczenia procentowego stosunku nazw patronimicznych do nazw wsi i przysiółków, przeprowadzonego na podstawie wzmiankowanej już wyżej „Konskrypcji Miast, Miasteczek y Wsi z rejestrów oryginalnych dwoyga pogłównego“ r. 1676, a to według rękopisu, stanowiącego wówczas własność Aleksandra Przeździeckiego. Rozumował przytem Wojciechowski, że może bezpiecznie oprzeć się na tym tak późnym materiale, albowiem „skoro idzie o ilość względną, t. j. o proporcję gęstości osad, aby wiedzieć, gdzie ich było więcej, a gdzie mniej i w jakim stosunku, (wówczas) spis miejscowości, dokonany w XVII w., może nam dać autentyczną wiadomość o różnej gęstości osad między powiatami w czasach bardzo odległych, bo tymczasowy ubytek osad był we wszystkich powiatach jednakowy i w jednej mierze“.

Autor konstatuje, że jak daleko sięgają dokumenty średniowieczne, tak samo już istniały wsi szlacheckie i przysiółki, których najdawniejszą datę stanowi Zębocin bulli gnieźnieńskiej, według autora wzmianka z X wieku tycząca Ungera. Proces jednak zakładania tych wsi był znacznie wcześniejszy, jak uczy historia osadnictwa krajów zachodnio-słowiańskich. Epokę własności indywidualnej w tych krajach można cofnąć aż do piątego wieku ery chrześcijańskiej. Tem samem dochodzi się do ważnej konkluzji, że przed tym czasem istniało dłuższe stadjum, dwa do czterech wieków, podczas których powstawały i rozwijały się osady patronimiczne. Konkluzja ta, oznaczająca równocześnie datę osadnictwa słowiańskiego w krajach zachodnio-słowiańskich na II i III stulecie po Chrystusie, a więc na czasy Ptolomeuszowej Germanji, daje się również zastosować, co prawda w formie tylko prawdopodobieństwa, do krajów polskich, w szczególności do Małopolski (Chrobacji). Pozwala ona wreszcie na sformułowanie wyników ściśle historycznych, przytoczonych już wyżej na czele niniejszych uwag o „Chrobacji“.

„Chrobacja“ stanowiła w dziejach naszej nauki znaczny krok naprzód. Żałować należy, że nie została wykończoną; żałować również, że, i w tym kształcie, nie została przetłumaczona na inne języki. Analizując głównie, i po raz pierwszy, nazwy miejscowe, znaczenie ich wyolbrzymiała. Zwykły to los odkrywców, wprowadzających po raz pierwszy dany materiał w obręb nauki. Podobnie przecenił znaczenie znaków herbowych Piekosiński, a Potkański również wyjaskrawiał doniosłość elementów etnograficznych, a także znaczenie mapy, w szczególności katastralnej, co zresztą już przed nim uczynił Meitzen, twórca odnośnej gałęzi wiedzy.

Niemniej przeto Wojciechowski pogłębił znajomość czasów piastowskich, wzbogacając zapas źródeł bezpośrednich właśnie o nazwy miejscowe i kładąc nacisk na organizację społeczną ludności. Poszli za nim w ogólnych zarysach Piekosiński, Smolka¹ i Bo-brzyński.

„Chrobacja“ miała jednak swe braki, splecione z jej zaletami. Określenie zasady chronologicznej, opartej o zasadę klasyfikacyjną, polegało nie na indukcji, chociażby wypływającej z metody wstecznej, ale na założeniu natury logicznej. I ten punkt musiał podlec rewizji. Zabrał się do niej pierwszy naprawdę Potkański, jeszcze w roku 1889, i w ciągu lat szesnastu dokonano tej rewizji, której wyrazem jest książka Bujaka, ogłoszona w r. 1905 p. t. „Studja nad osadnictwem Małopolski“. Bujak przewyższa Wojciechowskiego opanowaniem literatury zagranicznej, przewyższa go naturalnie znajomością źródeł, ponieważ od czasów „Chrobacji“ nastaje dopiero prawdziwy okres naszych wydawnictw średniowiecznych dyplomów. Ale i książka Bujaka nie jest kompletną historją osadnictwa Małopolski, pod względem zaś ścisłości i samodzielności metodologiczna strona „Chrobacji“ góruje nad książką Bujaka, stanowiąc, jak dotąd, jedno z nielicznych naszych klasycznych dzieł. Ze stanowiska językoznawczego — „Chrobacja“ nie mogła być dziełem doskonałym.

Wiemy już, że Wojciechowski nie publikował dalszych rozdziałów „Chrobacji“. W najbliższej łączności z zagadnieniem „Chrobacji“ pozostaje bardzo również oryginalna rozprawa: „O Piaście

¹ Każdy z tych autorów miał swe szczegółowe zastrzeżenia, np. Smolka, Mieszko Stary, str. 499: „wnioskowi W. to tylko można zarzucić, że są niekiedy zanadto bezwzględne i za mało zwracają uwagi na zmianę nazw miejscowych, która... tak często dokonywa się w ciągu XII i XIII w.“

i piascie“¹. Jakkolwiek niewielka rozmiarami, bogata jest treścią i wywołała wrażenie znaczne. Autor stosuje tutaj metodę wsteczną do kwestji z zakresu historii polityczno-społecznej, przyczem wywód cały jest oparty również na założeniu, do którego autor przyznaje się z całą szczerością na samym wstępie.

Jakkolwiek Wojciechowski nie wziął udziału w znanej polemice, poświęconej genezie i obrazowi naszego pierwotnego społeczeństwa, to jednak żywo się tą kwestją interesował, badał ją, czynił spostrzeżenia, które komunikował często swym przyjaciołom, jak w pierwszym rzędzie Piekosińskiemu, a także Potkańskiemu. W trakcie tych poszukiwań zwrócił uwagę na znaną nazwę urzędników dworskich „*paedagogus* albo *nutritor*“. Nasunęła mu się odpowiedź, że mogli nazywać się piastami. Spostrzeżenia sam nazwał logiczną premisą, złożoną z trzech twierdzeń: 1) nie było imienia osobowego Piast; 2) był natomiast wysoki urząd piastów; 3) ojciec Ziemowita, a raczej sam Ziemowit, zanim objął panowanie, był poprzednio piastem poprzedniego księcia. Drugą taką premisą, choć nie wysuniętą na czoło argumentacji, była niewątpliwa analogja z wypadkami w państwie frankońskim w r. 751, analogja, która nasunęła się sama przez się po sformułowaniu premisy pierwszej. Zamiana wielkiego *P* na małe *p* doprowadziła autora do poczynienia szeregu innych jeszcze uwag; wywołały one z kolei małą literaturę przedmiotu, której ojcem duchowym jest oczywiście Wojciechowski. Pierwszy omówił rzecz Brückner, poczem bardzo gruntownie i oryginalnie Ciszewski i Bruchnalski. Obydwaj ci autorzy, zgadzają się z zasadniczym punktem wyjścia autora, lecz wzbogacają jego spostrzeżenia o materiał porównawczej etnologji. Piekosiński zajął wobec kwestji Piasta i piasta stanowisko negatywne, które poniekąd podziela i Potkański. Za historyczną osobowością Piasta, ze stanowiska filologicznego, oświadczył się St. Schneider.

Wywód Wojciechowskiego opierał się nietylko na wskazanej już premisie i dowodzie o identyczności starszej daty pedagogów z piastami. Wojciechowski zaprzeczył wogóle, by imię Piast pozostawiło jakiegokolwiek ślady w nazwach miejscowych; zwrócił dalej uwagę na to, że w opowiadaniu t. zw. Galla istnieją rozmaite literackie naleciałości. Po usunięciu ich okaże się, że Chociszko to nie tylko przydomek Popiela, ale jest to właściwe imię Ziemowitowego ojca, który z urzędu był piastem. Przypuszcza dalej Wojciechowski,

¹ Rozprawy Wydziału hist-filoz. Akademji Umiejętności, Serja II, t. VII, str. 171—221.

że Ziemowit pochwycił Popielowi nietylko tron, ale i córkę, której syn zwie się z kolei Leszkiem. Analiza literackiej strony, streszczająca się w przeprowadzeniu identyfikacji, Piast=Filomen, usuwa również trudność, jaką stanowiła dla autora sprawa chłopskiego pochodzenia legendowego Piasta. „Piast baśniowy musiał być biednym chłopkiem; ale i ojciec Ziemowita musiał nim być także od chwili, kiedy baśń o Piaście przyczepiła się do jego osoby“. W tem właśnie spostrzeżeniu upatrywał Wojciechowski najsilniejszy argument, przemawiający za trafnością jego hipotezy.

Rozprawa o „Piaście i piaście“ w dorobku Wojciechowskiego i wywartym przezeń wpływie na naukę i ruch naukowy może być śmiało postawiona obok „Chrobacji“ i tej części „Szkieców“, które są poświęcone „faktum“ św. Stanisława.

Natomiast nie wywarły tego wpływu rozprawy poświęcone historjografji, którą wogóle autor żywo się podczas swego długiego życia interesował. Zajmował się oczywiście sam historjografją średniowieczną polską. Zajmowały go jednak i latopisy ruskie, i pragnął gorąco, by latopisy te, wołyński i halicki, weszły w skład wydawnictwa „Monumenta Poloniae historica“. Wogóle zresztą kontynuacja tego wydawnictwa po śmierci Bielowskiego, interesowała go żywo, jakkolwiek głównie ze stanowiska negacyjno-krytycznego, jakie zajmował wobec kierunku i poglądów swego niestrudzonego rówieśnika i kontynuatora zapoczątnął Bielowskiego, a to Wojciecha Kętrzyńskiego.

Rezultaty badań Wojciechowskiego pozostały tak samo, jak „Chrobacja“, w wydrukowanych fragmentach. Największy z nich, to rozprawa „O rocznikach polskich X—XV w.“¹. Liczy ona siedm rozdziałów, traktujących: 1) poczet roczników polskich i uwagi o budowie roczników wogóle; 2) początki rocznikarstwa polskiego; 3) dochodzenie krytyczne najdawniejszych jego pomników; 4) rocznik frankońsko-polski (730—1091); 5) o związku tego rocznika z cyklami paschalnemi, z czego wynika, że zapiski były notami marginesowemi, a kontynuacja i to od r. 1091—1122 dokonana została prawdopodobnie w Mogilnie; 6) wydzielenie zapisków dawnego rocznika kapitulnego krakowskiego; 7) o tablicy paschalnej benedyktynów lubińskich.

W dziele tem opracował autor rocznikarstwo polskie do końca XII w. i zapowiedział na końcu ciąg dalszy, mający omówić bez-

¹ Ogłoszona w Pamiętniku Akademji Umiejętności. Wydziały: filologiczny i historyczno-filozoficzny. Kraków, 1880, IV-to, t. IV, str. 144—333.

pośrednio Rocznik Cysterski już z pierwszej ćwierci XIII w., stanowiący według autora epokę w rozwoju annalistyki polskiej. Jest to przypuszczenie bardzo ważne, i zasługuje ono w całej pełni na rewizję i opracowanie.

Nad rocznikarstwem polskim pracował autor na podstawie wydawnictw Pertza, Waitza, Arndta, i zwłaszcza Bielowskiego, a więc II tomu „Mon. Pol. hist.“. Z literatury wymienia obok prac tych wydawców, opracowania Wattenbacha, Smolki i W. Kętrzyńskiego. Z rękopisów korzystał jedynie okolicznościowo, nie zajrzał nawet do słynnego kodeksu kapituły krakowskiej, stanowiącego główny materiał rozprawy. Był więc zależny od wydawców. Zgodnie z generalizacyjną skłonnością umysłu, przystępując do pracy, wyrobił sobie pewien schemat poglądu, który tak formułuje: „Wystawić pewien schemat rozwoju annalistyki pod względem formy i budowy roczników. Zastosowanie tego schematu do annalistyki polskiej będzie tem właściwszem, że nasze roczniki w początkach swych nie były istotnie niczem innem, jak odroślą roczników niemieckich, a najdawniejsze zapiski, w Polsce pisane, przyczepiały się, jak niżej okażę, do Starego Rocznika Frankońskiego, który dostał się do Polski w krótkim czasie po nawróceniu Mieszka; zaczem mniemam, że zastosowanie schematu rocznikarstwa zachodniego do naszych roczników jest nietylko pożytecznem, ale wypływa z istoty rzeczy“.

Zaczem autora interesuje przedewszystkiem i głównie powstanie roczników polskich, ich budowa oraz najdawniejsze kształty; a więc z jakiej to miejscowości niemieckiej, czy przez Czechy, czy wprost, przybył rocznik frankoński do Polski, gdzie i kiedy zaczęto go tutaj kontynuować, gdzie i w których pozostałych rocznikach można odszukać ślady tych dawnych roczników, i zrekonstruowanie tych dawnych roczników — to był główny cel autora.

Z tem naukowem ściśle zainteresowaniem — szła również chęć służenia uzasadnionej obronie polskiej kultury. Roczniki do Polski dostały się wprost z Niemiec, a nie przez Czechy; najdawniejsze zapiski, powstałe już w Polsce, — to zapiski o przybyciu Dąbrówki i chrzcie Mieszka. Rocznik ten niemiecki jest pochodzenia nie mogunckiego, lecz przybył z klasztoru Nowej Korbei. W Polsce kontynuowano go już od r. 1000, i to na dworze królewskim, skąd później dostał się do Mogilna. Podobnie jak zagranicą, rocznik powstawał w formie przygodnej, to jest, jako noty marginesowe na tablicy paschalnej. Pogląd ten stara się autor uzasadnić na podstawie analizy i rekonstrukcji tablicy paschalnej benedyktynów lubiń-

skich, pochodzącej z XII w. Autor nie sądzi, wbrew swym poprzednikom, by te najdawniejsze zabytki rocznikarstwa polskiego zaginęły. Przechowały się one bowiem w tak zwanym Roczniku Świętokrzyskim Dawnym, który właśnie pochodzi z Mogilna, i w znanym Roczniku Kapitulnym Krakowskim, spisany w r. 1266. Ten ostatni opiera się na zaginionym dawnym roczniku kapitulnym, który się kończył na r. 1253. Wojciechowski sądził, że ten dawny rocznik krakowski powstał przez połączenie rocznika frankońsko-polskiego, kończącego się z r. 1091, i „*Notae Cracoviensis Antiquissimae*“ (od r. 1027—1082, spisane pierwotnie z pamięci koło r. 1070). Datę powstania tego rocznika określa autor mniej więcej na r. 1100, kiedy ów kodeks z tablicy paschalnej dostał się prawdopodobnie z rąk kapelanów nadwornych, bądź w oryginale, bądź w odpisie, do rąk kapituły. Z datą powstania dawnego kapitulnego rocznika zbiega się data założenia dawnego, również zaginionego kalendarza kapitulnego, i to w tym samym kodeksie. Byłaby to przeto *sui generis* księga kapitulna, spisana pewnie przez cudzoziemca. „Wogóle trzeba wyznać, że kapituła krakowska XII w. nie zdobyła się wcale na pracę godną historii; ...nie brak papieru lub pergaminu, lecz brak chęci i uzdolnienia były powodem, że tak mało wiemy o dziejach polskich XII w.“.

Podnieśliśmy już, że rzecz „O rocznikach polskich“ stanowi jedynie fragment badań autora nad historjografią. W notach do niniejszej książki powoływał się autor na rozprawę o kronikach Baszka i Czarnkowskiego, którą miał podać w najbliższym czasie do druku. W tych samych notach są rozrzucone uwagi, poświęcone kilkakrotnie doniosłym tematom, a mające wartość samodzielnych rozprawek, a więc o Kadłubku, o św. Wojciechu i jego otoczeniu, o założeniu biskupstwa poznańskiego, o stosunku Mieszka I do Niemiec, o zapiskach marginesowych w Niemczech, o założeniu klasztoru w Tyńcu, które Wojciechowski wiąże z założeniem kaplicy krakowskiej. W samym zaś tekście rozwinął ubocznie bardzo cenne poglądy na rolę Czarnkowskiego w historjografii, znacznie rozleglejszą, niż dotąd przypuszczano; bardzo również ciekawe są uwagi poświęcone stylowi Kadłubka, świadczącemu o pewnej starej szkole stylu, do której należy Jan arcybiskup i biskup Mateusz.

Pisząc swą rzecz „O rocznikach“ zdawał sobie dobrze Wojciechowski sprawę z trudności zadania. W szczególności rozumiał, że „Roczniki“ nie są wydane bez zarzutu. Rozumowania więc jego chromają na punkcie stosunku do rękopisów, do których sam za-

głądał zrzadka, i osobiście nie badał nawet znanego kodeksu kapitulnego, który w wywodach jego zajmuje miejsce centralne. Zresztą, skreśliwszy rzecz „O rocznikach“, zabrał się swym zwyczajem do tematów innych. To też w nauce zyskały sobie więcej uznania prace W. Kętrzyńskiego, pracującego bezpośrednio nad rękopisami. Zarówno W. Kętrzyński, jak Perlbach, zajmują stanowisko, przeważnie odmienne od Wojciechowskiego, choć w szeregu wypadków narzucił im on swe pytania i zainteresowania. Nie było w tem nic dziwnego, tem bardziej, że i oni jako cel główny mieli na oku poszukiwanie źródeł zaginionych, z których rozwinęły się późniejsze pomniki.

Dopiero znacznie później, znowu pod wpływem zagranicy, przekonano się i u nas, że roczniki należy ponownie zbadać, niezależnie od formy, jaką im narzucili wydawcy; należy zatem przedsięwziąć rewizję samychże wydań i sięgnąć samodzielnie do rękopisów. Wyrazem tej reakcji jest narazie jedna tylko sumienna rozprawa Wł. Semkowicza, w której się mieści dokładny opis kodeksu, zawierającego t. zw. Rocznik Świętokrzyski Dawny. Coprawda, na stronie konstrukcyjnej tej rozprawy znać bardzo silny wpływ poglądów Wojciechowskiego.

Rozprawy „O Kazimierzu Mnichu“ i „O życiu i pismach Wincentego z Kielc“, niewielkie rozmiarami, stanowią dowód kontynuacji badań nad historjografią w czasie ich wydania, a więc r. 1885. Autor zamyślał jeszcze wówczas o wydaniu dalszego ciągu dzieła „O rocznikach polskich“, a nadto zamierzał wydać inną jeszcze rozprawę, o której mówi w jednym miejscu już jako o publikacji p. t. „O zaginionej Kronice Polskiej z połowy XIII w., i o kanonizacji św. Stanisława“. Obydwie te rozprawy stoją pod pewnym wpływem rozprawy Smolki: „Tradycja o Kazimierzu Mnichu“. Smolka zaprzeczył autentyczności tradycji, jakoby Kazimierz I był mnichem¹.

Podobną zatem metodą, jaką stosował w wydzieleniu „Dawnego rocznika kapitulnego“, rekonstruuje Wojciechowski nieznany poemat historyczny z połowy XII w. o Kazimierzu Mnichu, który możnaby według niego nazwać „Carmen“ albo „Historia de rege Casimiro, qui fuit monachus“.

Rekonstrukcję tę przeprowadza autor na podstawie porównania trzech tekstów XIII w., a to Żywotu św. Stanisława (według

¹ Rozprawy Wydziału hist.-filoz. Akademji Umiejętności, t. VI, r. 1877.

wydania Bandtkego), Kroniki Baszka i Kroniki Śląsko-Polskiej. Czas powstania tego zaginionego, krótkiego utworu kładzie na drugą połowę XII w., autora uważa za Polaka i szuka go w Mogilnie.

Z historycznych ściśle konkluzyj autora na uwagę zasługuje przepuszczenie, że Kazimierz był oddany istotnie na mnicha i to już w r. 1026, a więc w samym początku rządów ojca, i na mnicha został wyświęcony, narazie jako „oblatus“, a potem nawet jako kapłan i tem samem restytuuje przypuszczenie, że dyspens papieska była rzeczywiście potrzebna, by Kazimierza z klasztoru przenieść na tron. Wojciechowski fakt ten tłumaczy, idąc za Kroniką Wielkopolską, tem, że Mieszek II miał syna starszego od Kazimierza, a to Bolesława, wyrzuconego przez tradycję z szeregu królów polskich. Natomiast tradycję klunjacką Wojciechowski stanowczo odrzuca, tłumacząc jej powstanie faktem, że sam ów nieznany utwór o Kazimierzu powstał w Mogilnie już za panowania t. zw. „*Consuetudine cluniacenses*“.

Praca nad Żywotami św. Stanisława, z której wypłynęła rozprawa „O Kazimierzu Mnichu“, stanowi również podstawę rozprawy „O życiu i pismach Wincentego z Kielc“. Obydwie zatem rozprawy były ogłoszone jeszcze przed ostatecznem wydaniem czwartego tomu „*Monumenta Poloniae historica*“, jako całości. Stąd nie znał naturalnie autor całego zasobu źródeł rękopiśmiennych, będących już wówczas w ręku Wojciecha Kętrzyńskiego.

Wojciechowski oparł się głównie na dwóch tekstach: 1) ogłoszonym dawniej jeszcze przez Bandtkego¹, i na rękopisie Ossolineum z XIV w. Tekst pierwszy uważa autor wbrew Smolce za bruljon, czy I-szą redakcję, spisaną przez Wincentego jeszcze w r. 1253, nie mówi natomiast, z jakiego czasu pochodzi redakcja II-ga.

W osobie Wincentego upatruje autor z pochodzenia kielczanina, który już w r. 1237, wówczas jako kanonik krakowski, brał udział w przeniesieniu zwłok biskupa Iwona z Modeny do Krakowa. W r. 1246 był już Wincenty prawdopodobnie dominikaninem, czas jakiś przeorem w Raciborzu, umarł zaś wkrótce po r. 1260, w wieku zgórą 60 lat.

Żywot Wincentego, rozważony jako produkt piśmiennictwa, wskazuje, że Wincenty nie miał uzdolnienia pisarskiego. Ponieważ jednak pragnął przedstawić żywot św. Stanisława na tle dziejowem, przeto wtrącił krótki szkic dziejów od Mieszka I do Hermana.

¹ Damałowicz, *Series archiepiscoporum Gnesnensium*.

Związać jednak opowiadania nie potrafił. Szkic ten jednak specjalnie zainteresował Wojciechowskiego. Miał bowiem zamiar dowieść w owej zapowiedzianej rozprawie o Kronice Baszka, że z przeróbki tego szkicu Wincentego powstała dopiero później znana Kronika Mierzwę. Szkic więc istniał niezależnie od Żywotu św. Stanisława, a napisał go Wincenty jeszcze jako krakowski kanonik, przed rokiem 1237; Baszko zaś miał się oprzeć na tym szkicu, będącym wyciągiem z Kadłubka z krótką kontynuacją o Leszku Białym i Konradzie Mazowieckim.

Opublikowanie IV tomu „Mon. Pol. hist.” przyniosło wydanie Żywotów św. Stanisława, dokonane przez W. Kętrzyńskiego. W zapatrywaniu na redakcje żywotów Wincentego idzie Kętrzyński za zdaniem Wojciechowskiego, nie zgadza się jednak z nim na identyfikację Wincentego kanonika z Wincentym dominikaninem. Przedewszystkiem jednak Kętrzyński opublikował „*Vita minor*“, wobec której Żywot Wincentego stał się „*vita maior*“; dał zresztą Kętrzyński opisy szeregu rękopisów Żywotów, które nie były przedtem znane. Okoliczność ta zniechęciła prawdopodobnie Wojciechowskiego do dalszej pracy nad tym ustępem zamierzonej rozprawy o Baszku, i to tem bardziej, że inna znowu rozprawa Perlbacha, poświęcona Rocznikom Wielkopolskim zmieniła do gruntu dawniejsze poglądy na genezę Kroniki Baszka.

Po r. 1881 Wojciechowski milczał znowu długo. Przerywał to milczenie scharakteryzowanemi już wyżej: rozprawką o elekcji Leszczyńskiego, dwoma wykładami uniwersyteckimi — i rozprawą o „Piaście i piaście“, aż mu tę bierność wytknął dobry przyjaciel Piekosiński. Zarzut jednak był niesłuszny. Myśl bowiem Wojciechowskiego nieustannie pracowała, i nie opuszczając dawnych przedmiotów umiłowania, zwracała się ku nowym zagadnieniom, specjalnie ku opracowaniu źródeł, mało zużytkowanych w badaniu historycznem. Wolno przecie przypuścić, że już w młodości ulegał wpływowi Łepkowskiego, nie mogącemu jednak pracą ucznia pokierować, później jednak robiły nań silne wrażenie rozprawy Łuszczkiewicza, a zwłaszcza dzieło Sokołowskiego „Ruiny na ostrowie Lednicy“.

Wojciechowski był zresztą sam do tego stopnia dzieckiem Krakowa, że można powiedzieć, iż podobnie, jak Matejko, Szujski, Tarnowski, Piekosiński — a z młodszych nikt inny jak Wyspiański, miał zawsze przed sobą wizję Krakowa w splątaniu z najważniejszymi zagadnieniami naszych wieków średnich. Interesował go

więc zawsze splot dziejów katedry i biskupów na Wawelu z wawelskim zamkiem. Wiodło go również w tym kierunku zamiłowanie artystyczne, owe przerysy zabytków krakowskich, którymi się zabawiał w młodości. Na tem podłożu rozwinął się oryginalny zamiar opracowania dziejów katedry na Wawelu; jubileusz Uniwersytetu Jagiellońskiego, który chciał uczcić jako z głębi ducha oddany mu uczeń, stanowił jedynie podniecie zewnętrzne, która zmusiła Wojciechowskiego do przyspieszenia redakcji spostrzeżeń i materiałów, które zbierał oddawna. Dla historyka wieków średnich dzieje katedry miały nadto specjalny urok: „Jakiż pokarm duchowy miało rycerstwo Chrobrego i Krzywoustego, albo grodzianie po grodach i wieśniacy po wsiach? Oto oprócz podań i bajek i okrucich katechizmu... chyba tylko widok tych budowli kościelnych, które mogli napotkać w swoim kraju... Pierwsze i naczelne miejsce między sztukami trzymało wówczas budownictwo, bo łączyło w sobie dwie inne sztuki, malarstwo i rzeźbę... nie mówiąc już o tem, że było też głównem polem praktycznej nauki geometrii i mechaniki... Budownictwo, zwłaszcza kościelne, miało wtedy w życiu umysłowem znaczenie jedyne... Oko duszy widziało tam... kościół duchowy... świat ziemski i nadziemski... To wtenczas były... Wieki Średnie, i wtedy też wytworzyła architektura swoje dzieła naczelne“. Co budowano później, jest przeważnie naśladownictwem.

Dzieje architektoniczne katedry nie były przedtem naukowo opracowane; biorąc się do tego zadania, miał Wojciechowski rękę szczęśliwą, i to podwójnie; naukowo i pod względem organizacyjno-społecznym; dał bowiem podniecie duchową do zainteresowania się społeczeństwa pracami restauracyjnymi w ogólności. W pracy tej wystąpił przeto jako historyk — i historyk architektury. Jednak legitymację swą naukową wywodził głównie z konieczności zbadań materiałów archiwalnych. Zamiar zaś pracy określał jako „archeologiczny“: „rozchodzi się o samą budowę i o pomniki, nawet o drobiazgi, kąty i sprzęty, które archeologia chętnie bada“. W przedmowie mówi sam o zasługach badacza także i katedry, o Łętowskim jako historyku jej dziejów politycznych, i o Essenweinie, który nauczył patrzeć na Kraków, jako pomnik dawnej sztuki. Podnieść należy dalej zależność autora od porady fachowej, której mu użył Odrzywolski, od rysunków i planów, które mu dostarczył. Jasne jest bowiem, że Odrzywolskiego architektoniczna koncepcja rekonstrukcji katedry i jego materiały zaciężyły nad poglądem architektonicznym samego autora.

Metoda badań historycznych, ulubiona przez Wojciechowskiego, zachęcała go tem silniej do pracy nad dziejami katedry, przyczem w zasadniczej sprzeczności z dawniejszym swym poglądem na metodę filologiczną, napisał: „można powiedzieć, że te dzieła architektury mają w swojej konstrukcji coś podobnego do najstarszych poezyj bohaterских, które także rosły i składały się przez wieki. Żeby je zrozumieć, należy je badać tak samo, jak filologowie rozbierają owe epepeje, wydzielając z nich części, a najprzód te, które przyrosły najpóźniej, poczem dopiero się odsłoni pierwotne jądro. Taki też musi być porządek niniejszej pracy. Żeby dojść do tego, co było najdawniej, i jaki był plan katedry romańskiej, a nie dopiero owej pierwotnej, Chrobrego, trzeba najprzód rozeznaczyć, co zbudowano później, t. j. w czasach gotyku i następnych po nim wiekach. Rozpocznę zatem od zbadania obecnego stanu budowy“.

Spostrzeżenia swe podzielił autor na dwie grupy, a to na: 1) analizę historyczną budowy kościoła w jego stanie obecnym; 2) odkrycie i zdefiniowanie remanentów po katedrach Chrobrego i romańskiej, które przeważnie wcielono do konstrukcji katedry gotyckiej, skąd wynikły anormalja głównego korpusu kościoła i transeptu.

Temu założeniu nie pozostaje autor wierny konsekwentnie. Zajął się bowiem w rzeczywistości głównie odtworzeniem historii katedry gotyckiej, i to w pierwszym rzędzie na podstawie zapisków historycznych, ilustrując je jedynie analizą zabytków architektonicznych. Historji katedry gotyckiej poświęca autor większą część dzieła, a uwagi poświęcone katedrze romańskiej i Chrobrego noszą charakter eskursów, do których jednak myśl autora powraca ze szczególnem upodobaniem.

Za prototyp architektoniczny całej katedry gotyckiej uważa autor kaplicę Batorjańską w jej kształcie dawniejszym, zwąc ją zwyczajną w katedrach średniowiecznych kaplicą Marjacką. Dowód opiera na charakterze sklepienia i podobieństwie tegoż do sklepienia nad chórem katedry. Za datę wzniesienia kaplicy przyjmuje r. 1331 według rocznika mansjonarzy. O ile odnośne twierdzenie Wojciechowskiego byłoby słuszne, zachodziłaby pod względem zasadniczym ciekawa analogja z historją budowy katedry we Włocławku. We Włocławku bowiem istnieje dotąd kościółek św. Witalisa, stojący niedaleko od katedry, wykończony wcześniej od niej; jest on niewątpliwie prototypem architektonicznym samej katedry.

W luźnym związku z głównym przedmiotem dzieła stoi rozdział VI, poświęcony ruskim malowaniom w tejże kaplicy Marjackiej. Malowania te, znane z Długosza, dają autorowi asumpt do wywodu, że sztuka ruska w XII w. dochodziła w Polsce aż do Wrocławia.

Z uwag, poświęconych presbiterjum, zaciekawia domysł, opleciony dookoła t. zw. krucyfiksu św. Jadwigi. Wojciechowski przypuszcza na podstawie analizy niektórych zworników i historii ołtarza wielkiego, że na nim znajdowało się zawsze wyobrażenie Salwatora; miał to być pierwotny i główny tytuł katedry krakowskiej, nadany jej przy założeniu biskupstwa, jeszcze w r. 1000, a potem — wcześniej zaniedbany. Wywód ten wiąże się bezpośrednio z drugim, ściśle analityczno-historjograficznym, że pierwsze poświęcenie katedry fundacji Bolesława Chrobrego odbyło się dnia 20 kwietnia r. 1001.

Autor rozpatruje budowę katedry gotyckiej na tle ówczesnej architektury gotyckiej w Krakowie. Oto i kościoły marjacki i dominikański starsze są od katedry gotyckiej biskupa Nankiera. Obydwa te kościoły stoją pod względem sztuki i techniki wyżej od katedry. Nasuwa się przypuszczenie, że biskup Nankier budowniczego katedry powołał właśnie z grona dominikanów krakowskich, którzy już w r. 1321 budowali korpus swego dominikańskiego kościoła. Budowniczy ten, jak na to zwrócili uwagę Essenwein i Schnaase, okazał najwięcej zmysłu artystycznego w rozłożeniu powierzchni ścian na piętrze — nie zgadza się jednak z nimi Wojciechowski, gdy zaletę tę sprowadzają do wpływów niemieckich. Dla Wojciechowskiego gotyk katedry reprezentuje typ konstrukcji krakowskiej. Plan zasadniczy Nankiera polegał pierwotnie na odbudowaniu i rozszerzeniu starego kościoła, a to przez przystawienie od wschodu nowego chóru.

Jeden z ważniejszych ustępów dzieła — to poszukiwania remanentów katedry romańskiej w podziemiach, głównie grobach królewskich, specjalnie Wazów. Same sklepy grobowe podziemne pochodzą dopiero z XVI w. Grobowiec Kazimierza W., to jeszcze istotny sarkofag, wystawiony nad grobem i ciałem zmarłego; grobowiec Zygmunta Starego, chociaż wyrobiony kształtem sarkofagu, to w rzeczy samej już tylko pomnik. Korzystał autor wiele z pierwszych prób architekta Żebrowskiego. Z kwestjami, związanymi z charakterem katedry romańskiej, łączy się kwestja także katedry przedromańskiej. Na wysokości podłogi grobów Wazów znajdowała

się dawniej podłoga kaplicy św. Piotra i Pawła, w której pochowano biskupa Prandotę. W kaplicy tej jeszcze w XV w. miało miejsce okazywanie ręki św. Stanisława i tu prawdopodobnie — za katedry przedromańskiej pochowano samego św. Stanisława. Byłby to zatem środek katedry przedromańskiej. Po stwierdzeniu tego faktu przechodzi Wojciechowski krótko inne remanenty podziemi, a natomiast poddaje wszechstronnemu rozważaniu charakter krypty św. Leonarda, powód i czas jej budowy.

Krypta ta rzuca światło na genezę katedry romańskiej, której początki odnieść należy do Kazimierza Mnicha i arcybiskupa Arona i wogóle do wpływów kolońskich. Myślą Arona było wystawić nową katedrę w kształcie bazyliki o dwóch chórach, wschodnim i zachodnim. Taki bowiem kształt miały wszystkie prawie ówczesne, katedralne i główne klasztorne kościoły nadreńskie. W wykonaniu tej myśli zbudowano naprzód kryptę pod chór zachodni, aby w ten sposób przygotować równy teren pod kościół górny.

Poza podziemiami i charakterem krypty zużytkowuje autor celem rekonstrukcji architektonicznej katedry romańskiej: 1) pieczęcie kapituły katedralnej z XII i XIII w., z wizerunkiem budowli; 2) wiadomości archiwalne. Autor rozumie dobrze, że nie można bezpiecznie wybierać ze wszystkich wizerunków pieczętnych elementów do rekonstrukcji, bo zdarzają się między nimi i puste schematy. Sądzi jednak, że można to łatwo rozpoznać w każdym poszczególnym wypadku. Analiza pieczęci obejmuje również porównanie domniemanego kształtu katedry z tumem łączącym, co prowadzi do konkluzji, że oba kościoły należały do jednego systemu budowniczego. Stwierdza dalej, że katedra miała dwie absydy i prawdopodobnie dwa chóry, przyczem w absydzie zachodniej był ołtarz wielki, w zachodniej zaś ołtarz Matki Boskiej.

Pytanie, kto był budowniczym, nie da się rozstrzygnąć; pozostaje tylko przypuszczenie, że mistrze kolońscy, którzy przybywali do Krakowa koło r. 1090, mogli przygotować na miejscu rodzimych kamieniarzy i murarzy. Katedra ta romańska spaliła się w r. 1305.

Analizując kaplicę Wazów, zwrócił autor uwagę na kawał muru najstarszej techniki, dawniejszej od XII w., a więc należącego jeszcze do katedry przedromańskiej. Nie można zatem mówić, by ta najstarsza katedra, wybudowana jeszcze za Chrobrego, była wyłącznie drewniana. Można dalej przyjąć na pewne to, „że kościół przedromański miał obejścia czyli podcienia, tak zwane soboty“, a to dlatego, iż można wykazać, że taka ozdoba budowli drewnianej

znajdowała się już w jedenastym wieku przy kościele mniejszego grodu, aniżeli krakowski, przy kościele parafjalnym w Spicymierzu, o czym mówi t. zw. Gallus, który w tym wypadku używa terminu „solarium coopertum“.

Ostatni rozdział poświęca autor „Uwagom z powodu restauracji“.

* * *

Dobiegliśmy zatem do tej daty w działalności Wojciechowskiego, kiedy już niewątpliwie miał w głowie plan „Szkiców historycznych XI w.“, które ogłosił niedługo później, bo w r. 1904. Powiemy więcej. Zasadnicza myśl dzieła „Katedry na Wawelu“ łączy się organicznie ze „Szkicami historycznymi“. Nie dlatego, że w „Katedrze“ poświęcił dużo miejsca kwestji grobu św. Stanisława, ale ponieważ poświęcił tyle trudu tej właśnie katedrze z powodu, że ona w jego poglądzie na wieki piastowskie zajmowała miejsce centralne, a jej stosunek do zamku, w którym miała siedzibę myśl państwowa i świecka, wydawał mu się niemal zagadnieniem najważniejszym i tragicznym. „Szkice historyczne“, liczące naogół stron 342, zaledwie 82 strony poświęcają tematom ubocznym, a zresztą cała książka mogłaby nosić tytuł „Upadek Bolesława II“, czy też „Konflikt jego z biskupem Stanisławem“. Treść książki jest następująca: I. Eremici reguły św. Romualda, czyli benedyktyni włoscy w Polsce XI w.; II. Astryk-Anastazy, opat trzemeszyński (1001); III. Piastowicz eremita i biskup krakowski Lambert I.

Natomiast od rozdziału IV: Arcybiskup Bogumił — to już sprawa Bolesława II, względnie tło, na którym autor przedstawia wypadki. Zresztą i pierwsze trzy rozdziały z końcowemi łączy wspólna myśl — o dwóch rysach: pierwszy to — kierunek eremicko-benedyktyniński, reprezentowany przez pierwszych kamedułów Włochów, a potem przez Polaków, to kierunek kościelny, zgodny z interesami piastowskiego państwa. Temu kierunkowi hołdował i ów hipotetyczny arcybiskup Bogumił, w którym Wojciechowski dopatruje się koronatora Bolesława II, fundatora eremu w Dobrowie, gdzie miał umrzeć po przymusowem ustąpieniu z arcybiskupstwa. Dalej mówi autor o „Królestwie polskiem i koronacji Bolesława II“ (w r. 1076); o arcybiskupie Henryku, strąceniu i wygnaniu króla Bolesława II. Drugi łącznik owych trzech rozdziałów z resztą książki, to myśl, że Bolesław II był specjalnym

dobrodziejem i fundatorem paru eremickich klasztorów. Rzecz kończyły pierwotnie dwa rozdziały; VIII: Faktum biskupa Stanisława, poprzedza: kto był Gallus? IX: Władysław Herman: zatrata korony i pierwszy kult Stanisława. Obecne zaś wydanie ma dodatek w formie szkicu, napisanego wcześniej, drukowanego zaś dopiero w r. 1917 w „Kwartalniku Historycznym“, a to z inicjatywy autora niniejszej charakterystyki.

Szkice wywołały wrażenie silne głównie z powodu stanowiska, zajętego przez autora, który oparł się wyłącznie o tekst t. zw. Galla i wysnuł stąd wniosek, że biskup Stanisław był nietylko zdrajcą wobec Bolesława II a poplecznikiem Hermana, ale wiążąc się z Hermanem, działał na rzecz księcia czeskiego Wratysława. Tradycja zaś świętości samego biskupa, spisana przez mistrza Wincentego, jakkolwiek on sam był przekonany o jej słuszności, nie ma żadnego historycznego uzasadnienia.

Na tej kanwie osnuł Wojciechowski barwny obraz domniemanego rozwoju wydarzeń politycznych, obracających się dookoła Bolesława II, Henryka IV, Wratysława, Hermana, Stanisława, opartych na stwierdzeniu wielu nowych okoliczności, na zużytkowaniu szeregu nowych źródeł. Prawda, że szereg tych nowych okoliczności, to przeważnie także domniemania. W zasadzie jednak „Szkice historyczne“, to śmiały, wolny od uprzedzeń i od zależności, od jednostronnych tradycji hagiograficznych — rozmach myśli i badania historycznego; jest to niejako restytucja praw krytyki historycznej wobec rozwielenia się bierności i bezkrytyczności, opartych na Kronice mistrza Wincentego i Żywotach św. Stanisława, a więcej jeszcze na tem, że w samej katedrze, w Krakowie a wreszcie i w pamięci całej Polski kult świętego wyparł zupełnie postać wybitnego króla, zniekształcił ją, i co więcej, kazał o niej zupełnie zapomnieć. Wojciechowski potęgą swego umysłu przywraca pamięć tego króla, wygnanego z Polski i znieśławionego przez kler krakowski. Wywołuje wizję króla, którego czyny rycerskie więcej są znane. Tymczasem okazuje się, że ten król snuje tradycję Chrobrego nietylko na polu bitwy, ale i w twórczej działalności kościelnej. U jego boku stoi także święty, którego kult zatarto, Bogumił, arcybiskup i koronator. Król jest dobrodziejem kościoła. Fundator opactwa na wielką skalę, Mogilna, jest również dobrodziejem Tyńca, ale także i fundatorem biskupstwa łacińskiego na Rusi. I ten król, restaurator kościoła i metropolii, restaurator królestwa, pada pod obuchem zdrady Hermana

i biskupa Stanisława, opuszczających własnego króla w walce z wrogiem, z Czechami. ... za którymi stoją Niemcy.

Było więc do przewidzenia, i tak się stało, że dzieło Wojciechowskiego, poświęcone odtworzeniu rehabilitacji spraw Bolesława Śmiałego, wywoła reakcję, o której niżej.

Jest jednak powszechna zgoda na to, że fachowo przygotowany czytelnik może istotnie „Szkice“ jednym tchem przeczytać i z ogromnym pożytkiem. Jest to zresztą jedyna książka Wojciechowskiego, w której wystąpił nie jako starożytnik i reprezentant nauk pomocniczych, ale jako historyk, dający nietylko analizę metody, źródeł i t. p., ale również syntezę bardzo ciemnego okresu dziejów. Ta ciemnia czasów Bolesława II była koniecznym warunkiem pracy autora; pozwoliła bowiem domyślać się i kombinować na podstawie wątplych i niepewnych okrucichów.

Autor poświęca pierwsze trzy rozdziały najdawniejszym eremitom św. Romualda, działającym w Polsce, rozumie bowiem, że, począwszy od czasów Chrobrego, oni byli głównymi pośrednikami między książętami polskimi a Rzymem w staraniach o koronę. Wpływ zatem eremitów na kościół odpowiadał tak dobrze interesom Rzymu, jak jednolitego i niezależnego od Niemców państwa polskiego.

Autor stara się wykazać w rozdziale pierwszym, że tradycje eremickie są silniejsze. Osadzeni pierwotnie w Międzyrzeczu za Chrobrego, przez Kazimierza Odnowiciela zostali przeniesieni do Kazimierza biskupiego pod Koninem, przyłączonego przez Krzywoustego do funduszu katedry w Lubuszu nad Odrą, a to zgodnie z pierwotnem przeznaczeniem eremitów prowadzenia misji wśród pogan lutyckich i pomorskich. Domyślał się nadto innych jeszcze eremów w XI w.: a więc przede wszystkim w Żmigrodzie sandomierskim, dzisiejszym Opatowie. Już Chrobry czy Mieszko II mieli tu założyć klasztor, a Bolesław Szczodry złączył z tym klasztorem biskupstwo łacińskie na odzyskanej przez siebie Rusi Czerwieńskiej, przydając klasztorowi obszary nad Wisłokiem, a to Kunice i dzisiejsze miasteczko Krosno. Po najeździe Rościsławiczów na Ruś, gdzieś po r. 1092 biskupstwo to upadło, a Krzywousty oddał klasztor nowemu biskupowi w Lubuszu nad Odrą. Istniały jeszcze inne eremy z tychże czasów, a to św. Marcina we Wrocławiu, jak ma świadczyć tytuł, i Opatowiec w Wiślickiem. Opatowiec dostał się za Bolesława Szczodrego Tyńcowi, był jednak znacznie starszy. Da się bowiem z nim złączyć tradycja o Andrzej-Świeradzie,

który później przeniósł się na Węgry, do klasztoru w Zobor pod Nitrą.

Szkic o Astryku-Anastazym, jako opacie w Trzemesznie, luźnie tylko związany jest z całością „Szkiców“. Natomiast następny dowodzi, że biskup Lambert, zmarły w r. 1030, — to krakowski biskup, który najprawdopodobniej w r. 1024 wyprawiał się do Rzymu po koronę. Biskupem tym był zapewne przyrodni brat Chrobrego, Mieszko (z Ody), który przedtem był uczniem św. Romualda i eremita. To tłumaczyłoby, dlaczego eremici we Włoszech przechowali pamięć starań Chrobrego o koronę, o których wzmiankuje Piotr Damiani.

I jeszcze jeden erem miał istnieć w Polsce, ale już fundacji nie monarszej, lecz prywatnej, mianowicie Dobrów nad Nerem, założony przez Bogumiła, arcybiskupa gnieźnieńskiego, koronatora Szczodrego.

Wskazaliśmy wyżej, że szkic ten otwiera rozdziały, bezpośrednio poświęcone Bolesławowi II i jego czasom. O Bogumile, arcybiskupie z XI w., wiadano dotąd tylko tyle, że umarł w r. 1092; Wojciechowski odnosi do tego właśnie Bogumiła tradycję o pobycie pustelniczym w Dobrowie nad Nerem i jemu przypisuje tu fundowanie eremu. Za główne źródło obrał sobie autor tradycję hagiograficzną, poświęconą Bogumiłowi dobrowskiemu; co prawda w literaturze naszej hagiograficznej XVII w. pojmowano zgodnie z dokumentem sulejowskim z r. 1232, że ten Bogumił dobrowski żył w końcu XII w. Tak rzecz przedstawia Damalewicz na podstawie rękopisu koronowskiego, zgodnego z informacjami dokumentu z r. 1232, który też Damalewicz pierwszy ogłosił. Wogóle zresztą Wojciechowski trzyma się głównie materiału, zebranego przez Damalewicza, dając oczywiście własną analizę¹. W wywodzie Wojciechowskiego główną rolę grają argumenty:

1) Nie było Bogumiła arcybiskupa, który mógłby na misję cysterską w Prusiech ofiarować dobra dobrowskie; zakon cysterski miał te dobra „ab antiquo“, a zatem od swego sprowadzenia się do Polski, za czem według autora przemawia także fakt, że bulla dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego nie posiada już ustępu o dobrach dobrowskich, które za Bogumiła arcybiskupa jeszcze do Gniezna nie należały.

¹ Też o sędzie i wyroku na biskupa wypowiedział już przedtem Abraham, Organizacja. II wyd., str. 230, a zwłaszcza w Roczniku Krakowskim, t. IV, str. 192.

2) Argument drugi, to starożytny i niezgodny z kultem końca XII i początku XIII w. charakter części cudów, działanych przez Bogumiła, szczególnie zaś patronat świętego nad końmi i bydłem, i to w miesiącu czerwcu, od 12 do 24 czerwca, to znaczy na dniu palenia sobótek. „Jest w tem wszystkim coś tak starożytnego, jak-żeby to była składowa część jakiegoś kultu pogańskiego... tylko, że z tym kultem związała się cześć dla arcybiskupa-eremity i dla apostoła kaznodziei, który jakoby sam jeszcze nawracał te rzesze na nową wiarę chrześcijańską“.

3) Siłę dowodową mógłby posiadać argument konstatuujący, że owe żywoty późniejsze błogosławionego Bogumiła podają datę zgonu na dzień 12 czerwca; nie wiemy jednak, skąd autor zaczerpnął tę datę.

4) Wreszcie w osobnym szkicu wykazuje autor, że w latach 1080—1090 działał inny arcybiskup Niemiec — Henryk; w dwunastym zaś wieku niema śladu współczesnego pożycia dwóch arcybiskupów, jednego — po rezygnacji, drugiego — w urzędzie.

Po tej konkluzji stwierdza Wojciechowski, że Bogumił to następca Arona, jednak z siedzibą w Gnieźnie, i że on poświęcił na nowo katedrę gnieźnieńską w r. 1064; w r. 1075 wziął udział w reorganizacji kościoła; autor uznaje wówczas istnienie następujących biskupstw: Gniezno, Poznań, Kraków, Wrocław, i nowe dwa wznoszone — Kruszwica i Płock, nadto świeżo założone w Kaliszu, Sieradzu, Zawichoście i biskupstwo ruskie, złączone ze Żmigrodem (Opatowem).

W r. 1076 koronował Bogumił Bolesława na króla i wraz z nim został strącony. Wówczas schronił się do eremu w Dobrowie, gdzie umarł w r. 1092. Dobra zaś dobrowskie cystersi otrzymali nie od Bogumiła, lecz od Mieszka (Starego), w latach 1140—1142. W osobnym ekskursie zajmuje się autor jeszcze fundacją Mogilna i Tyńca. Znajdujemy tu wydzielenie pierwotnego tekstu nadania Szczodrego dla Mogilna, z daty r. 1065.

Opactwo zaś tynieckie miało być ostatecznie utworzone i uniezależnione od katedry krakowskiej w latach 1077—1078. Fundatorami był Szczodry i jego żona Judyta; takie bowiem miało być zachodnie imię księżniczki ruskiej Wyczesławy. Późniejsza historia przeniosła zasługę Bolesława Szczodrego na Hermana, a pierwszego pokryła milczeniem, oczywiście z powodu „męczeństwa“ św. Stanisława. Nie można nie podnieść, że szkic ten w całej rozciągłości jest zbudowany na bardzo kruchych podstawach.

Na uwagę zasługuje ustęp, poświęcony Bogułałowi, który przekazał dobra dobrowskie biskupowi pruskiemu Krystjanowi. Autor identyfikuje go ze znanym misjonarzem pruskim, towarzyszem opata Gotfryda, Filipem, który w Prusiech poniósł śmierć męczeńską.

* * *

Autor każe się domyślać, że przeniesienie arcybiskupstwa zpowrotem do Gniezna wywołało głębszą opozycję wśród duchowieństwa krakowskiego. W biskupie zaś Stanisławie z tych i innych powodów byłby zatem antagonistą nie tylko Bolesława II, ale i arcybiskupa Bogumiła. O ile ten pogląd okaże się uzasadniony, o tyle dzieje Bolesława II byłyby wzbogacone o istotny rys wewnętrzny, poprzedzający wydarzenia lat 1076—1079. Spostrzeżenia nad istotą królewskości w wiekach średnich, nad istotą cesarstwa i jego stosunku do krajów zwłaszcza wschodnich są zbudowane na ideach Gfrörera, które autor szczegółowo rozwija.

Uderza trafność uwag, poświęconych zasadom polityki cesarzy wobec tych krajów, a więc i wobec Polski:

1) popierać i bronić zwyczaju podziałów państwowych między synami książąt trybutarnych, aby nie dopuścić do wytworzenia większych kompleksów terytorjalnych;

2) popierać czynnie wszelkie pretensje czyto junjorów przeciw senjorom, czy naodwrot, byle mieć powód do interwencji, zachowując dla cesarstwa rolę sędziego między stronami;

3) podnosić wysokość trybutu przez licytację między pretendentami, ubiegającymi się o pomoc cesarstwa;

4) utrzymać rywalizację między narodami; udało się to wyśmienicie wobec Lutyków i Polaków, Polaków i Czechów, rozjuszonych między sobą na całe trzy wieki; wreszcie, co główna,

5) przeszkadzać najmocniej wszelkim w tych krajach zamiarom ustanowienia królestwa i niepodzielności państwowej; a w tym celu,

6) nie dopuścić do wytworzenia samodzielności kościelnej, co byłoby najpewniejszą podporą i początkiem niezawisłości państwowej.

Na takim tle rekonstruuje autor zadania młodego Bolesława, który, wstąpiwszy na tron, znalazł jako sprawę główną antagonizm polsko-niemiecki, przyczem była jeszcze czynna strona czeska,

która wpływała na jego zaostrzenie i dodawała mu osobnej treści dziejowej, w myśl określenia Galla, że Czesi, to „Polonorum infestissimi inimici“. Konflikt wystąpił zewnętrznie już od r. 1072, kiedy to najpóźniej Bolesław Szczodry przestał płacić trybut Henrykowi IV, a po stronie Henryka stał wiernie Wratysław czeski, szwagier Bolesława i Hermana. Wojciechowski skłonny jest przypuszczać, że właśnie rywalizacja z Bolesławem zapędziła Wratysława w służbę niemiecką; Czechom nadto szło o trybut ze Śląska, także niepłacony; nie wygasła w nich pamięć dawniejszego panowania w Małopolsce. Jakkolwiek więc Wratysław pragnął w głębi duszy niepodległości od Niemców, to jednak przez wierną im służbę pragnął naprzód wzrósć w potęgę kosztem Polski.

Przyrzeczenie Łużyc przez Henryka IV Wratysławowi, więcej jeszcze przyznanie przez Grzegorza VII Bolesławowi korony, zdecydowało Wratysława do tego, że gdy w r. 1075 i 1076 Bolesław wziął czynny udział w walkach Sasów przeciw cesarzowi, to po stronie ostatniego walczył Wratysław. W r. zaś 1076 Bolesław miał przedsięwziąć wyprawę na Łużyce albo nawet wprost do Czech.

W tych zatem warunkach zewnętrznych dokonała się z końcem r. 1076 koronacja Bolesława II na króla; rolę główną grał przytem legat papieski, Bogumił mógł być współkoronatorem. Udział Bolesława w walkach wewnętrznych niemieckich i koronacja dopełniły miary konfliktu Niemiec i Czech z jednej, a Bolesława z drugiej strony.

Opierając się na dawniejszych jeszcze spostrzeżeniach Anatola Lewickiego, a także Stefczyka i Maksymiljana Gumpłowicza, rozwijając je, uzupełniając nowym materiałem źródłowym, opracował autor następne lata aż do wygnania Szczodrego i powrotu Mieszka Bolesławicza do Polski. Ze źródeł nowych najwybitniejszy jest ów najdawniejszy akt książęcy, którego streszczenie było znane we wcześniejszej literaturze, który jednak Wojciechowski wydobyl *in extenso* z Monachjum, gdzie spokojnie leżał... oryginał. Na tej podstawie, i zużytkowując wzmianki Żywotu św. Ottona przez Ebona, odtwarza autor postać arcybiskupa polskiego, Niemca Henryka, w którego orszaku jeszcze jako opata w Weltenburg miał św. Otton przybyć po raz pierwszy do Polski. Ta podróż Henryka przypada mniej więcej na lata 1079—1080; niedługo po tym roku Henryk został arcybiskupem, właśnie po straconym Bogumile. Była to nagroda za spiskową misję Henryka, który był posłem do Hermana od Wratysława i Henryka IV lub tegoż kanclerza, biskupa praskiego

Jaromira. Należał zaś Henryk prawdopodobnie do obozu antygregorjańskiego.

Taka jest hipoteza o Henryku. Na jej tle przystępuje autor do rozpatrzenia tradycji kronikarskiej o wygnaniu Bolesława; za jedyne źródło uważa kronikę Galla, przyczem twierdzi, że Kadłubek czasami „kłamał świadomie i rozmyślnie; tylko — i to właśnie jego specjalność, że miał przytem zawsze jakąś intencję, która wydawała mu się dobrą i pożyteczną, i patriotyczną“. Tu jednak przypominamy, cośmy podnieśli już na wstępie, że nawet i w tym rozdziale sąd autora o Kadłubku jest niekonsekwentny. Właśnie bowiem z Kadłubka czerpie autor dowód na poparcie sceny i miejsca sądu nad biskupem ¹, co więcej, na podstawie Kadłubka domyśla się, że Bolesław rzeczywiście podczas bitwy został opuszczony przez rycerstwo; tylko, że ta bitwa nie była na Rusi, jak chce Kadłubek, lecz pod Krakowem i o Kraków, i to nietylko z Hermanem, ale i z tegoż sprzymierzeńcem Wratisławem. Dziać się to miało wszystko w r. 1079. Analiza ustępu kroniki Galla, najsilniej zresztą zaczeptiona w polemice, prowadzi do wniosku, że sprawcą upadku Bolesława był Herman, a skazanie biskupa nie było powodem i początkiem buntu. Hermana do buntu nakłonili Henryk IV i Wratisław, którzy coś podobnego próbowali wywołać na Węgrzech przeciw Władysławowi węgierskiemu. Właśnie na wiosnę r. 1079 Henryk IV ruszył zbrojnie na Węgry, chcąc tu osadzić wiernego sobie Salomona. I na ten sam czas przypadłby bunt Hermana, poparty orężnie przez Wratisława. Podczas tej bitwy wpadł w ręce Szczodrego biskup Stanisław, walczący po stronie Hermana. Wynikałoby stąd, czego wyraźnie Wojciechowski nie mówi, że w bitwie zwyciężył jednak Bolesław.

Autor stwierdza, że król miał prawo ukarać biskupa, ale tylko więzieniem lub grzywną. Nie wolno natomiast było karać cieleśnie; nie czynił tego nawet Henryk IV, choć więził biskupów i zakuwał nawet w żelaza.

Dopiero ta zemsta zaszkodziła królowi, który wkrótce potem, może już do połowy r. 1079, musiał z kraju uchodzić.

Na stolicy krakowskiej zasiadł Wratisław czeski i rządził tutaj do r. 1086; stać się to zaś miało za zgodą Hermana, który nie mógłby utrzymać Krakowa przeciw Węgom.

Oparłszy się na Gallu, jako na jedynem źródle sprawy i „grzesznej zdrady“ biskupa, pragnął autor sąd ten raz jeszcze skontrolo-

¹ I wydanie, str. 322—323, nota.

wać i zbadać historję pobytu Galla w Polsce, by się przekonać, czy jego wzmianka nie była potwarzą, rzuconą na człowieka niewinnego. Autor przypuszcza, że Gallus przybył do Polski z Mieszkim w r. 1086 i pracował tutaj w kancelarji książęcej, gdzie wreszcie został kanclerzem po znanym Michale, a może nawet i biskupem poznańskim, w latach 1120—1130. Ponieważ Gallus pisał w czasach, kiedy polityka Krzywoustego nawróciła do tradycji Szczodrego, przeto informatorzy Gallusa, w pierwszym rządzie biskupi polscy nie widzieli w prawdziwej historii biskupa Stanisława żadnego motywu kościelnego ani świeckiego, któryby krępował ich sądy. Opowiadanie Galla jest więc prawdziwe.

W formie dodatku autor odtwarza pochodzenie i dzieje rodu św. Stanisława. Zalicza go do rodu o godle Turzyna, za ojca uważa Magnusa; byłby zatem św. Stanisław bratem Magnusa wrocławskiego, krewnego Sieciecha. Synem czy synowcem samego biskupa byłby Czasław z r. 1101, również biskup krakowski; imię to bowiem pojawia się w rodzinie Mokrzyskich, dziedziców Szczepanowa i patronów tutejszego kościoła, którzy jeszcze za króla Kazimierza Wielkiego posiadali wieś Czasławice.

Biskupa łączyło również jakieś pokrewieństwo z matką Zbigniewa, co tłumaczyłoby, że Magnus wrocławski sprzyjał Zbigniewowi. Cały ten wywód genealogiczny, jakkolwiek oparty o tradycję lokalno-rodową, nie posiada siły przekonywającej.

Rzecz zamyka w pierwszym wydaniu szkic dziewiąty: „Władysław Herman: zatrata korony i pierwszy kult Stanisława“. Szkic ten opiera się na wzmiankowanym już liście Hermana do kapituły bamberskiej, według autora z daty r. 1086. Autor przypuszcza, że krzyże, które Herman odsyła do Bambergu, miał ze sobą w Polsce biskup bamberski Rupert. Występuje zatem nowa hipoteza, o której sam autor mówi, że opiera się na samych niewiadomych: biskup Rupert mógł być w Polsce przy końcu r. 1084, a więc przed synodem mogunckim; był posłem Henryka IV, którego zadaniem było pogodzić Hermana z Wratysławem; biskupi zaś, o których list mówi, Eberhard i Henryk, to biskupi polscy, odwożący odpowiedź Hermana, daną cesarzowi na poselstwo Ruperta.

Ma to więc być przyczynek do genezy synodu mogunckiego z r. 1085, na którym Henryk wyniósł Wratysława do godności króla czeskiego, ale nie polskiego, jednak na Pradze i Krakowie.

Niewiadome przesłanki i hipotetyczna konkluzja, tem bardziej, że żadne źródło nie mówi o misji Ruperta, a data listu, od-

krytego przez Wojciechowskiego, może być zakwestjonowana na podstawie aparatu samego autora. Jest ona tem bardziej wątpliwa dzisiaj, i nie da się wykluczyć, że list może pochodzić dopiero z lat 1100—1102, a wymienieni w liście biskupi, mogli być biskupami nie polskimi, lecz niemieckimi¹.

Narodziny Krzywoustego z końcem r. 1085 wywołują przewrót w polityce Hermana. Tem też tłumaczy autor zastanawiający niejednego historyka fakt, że Herman dał swemu synowi imię swego królewskiego brata. Przyszło prawdopodobnie do zgody Hermana z Władysławem węgierskim i do walki węgiersko-czeskiej, zakończonej wprowadzeniem Mieszka Bolesławicza na Kraków, zdobyty na Czechach. Autor czuje sam słabość konstrukcji, opartej na Katonie, Röpellu i Lewickim, i stara się ją poprzeć innemi jeszcze dowodami, z których na uwagę zasługuje, że Mieszek miał wyznaczoną przez Hermana dzielnicę i to w Krakowie.

Otrucie Mieszka przypisuje autor Hermanowi; przypuszczenie popiera jednem tylko niejasnem i ogólnikowem zdaniem Galla, które można tłumaczyć rozmaicie. Niedługo po tym wypadku miał Herman, a nie biskup krakowski Lambert III, spowodować uroczystą translację ciała biskupa Stanisława, a to ze Skalki, gdzie leżało na cmentarzu św. Michała bez nagrobka, jako ciało skazańca, do katedry — dnia 27 września².

Przy katedrze krakowskiej trzymała się pamięć tej translacji... „A skoro taką cześć mu oddano dopiero w dziesięć lat po śmierci, chociaż mu się należała odrazu jako biskupowi, więc widocznie był pokrzywdzony. W tym kierunku rosła tradycja na chwałę Stanisława, aż ją utwierdził pismem taki Kadłubek, i to w książce szkolnej, która była dla uczniów jakżeby uświęconem źródłem wszelkiej wiedzy“.

Żeby przeprowadzić kanonizację Świętego, trzeba było wybudować przewrotną tezę: „że za jednego biskupa Pan Bóg sroży się nad całym narodem przez długie pokolenia, karze zarówno winnych, jak i niewinnych, odbiera koronę, rozdziera ojczyznę na kawały i rzuca ją postronnym na złupienie“.

W tej ogólnej konstrukcji nie pomylił się autor, a w zasadzie spoczywa ona na wielkiem prawdopodobieństwie odtworzonego

¹ Mith. d. Inst. f. oesterr. Gesch., za r. 1915 znana recenzja Ottenthala z Mon. Poloniae Palaografica Krzyżanowskiego.

² O tej translacji innego zdania był Wojciechowski w rozprawie „O rocznikach“, str. 167, jak na to zwrócił uwagę Krotoski. Do tej translacji odnosił wówczas Wojciechowski pierwsze starania duchowieństwa krakowskiego o kanonizację biskupa.

przezeń faktu, udziału biskupa Stanisława w buncie Hermana przeciw Bolesławowi. Geneza natomiast tego buntu, jego okoliczności zewnętrzne i wewnętrzne pozostają nadal niewyjaśnione. Autor sam zdawał sobie sprawę, że polityczna strona jego rekonstrukcji nie jest pewna. Jako jej uzupełnienie, jako jej zasadniczy motyw miał dodać inne jeszcze uzasadnienie — niejako prawnopolityczne na podstawie wydarzeń późniejszych, a więc *ex post*, zgodnie z zasadą wnioskowania wstecznego i zgodnie z premisą, że tak być musiało. Jest to właśnie szkic dziesiąty.

Autor jeszcze w I wydaniu mówił o szkicu dziesiątym, który zamyka niniejsze wydanie. Został on wydany osobno, dopiero w r. 1917, w „Kwartalniku Historycznym“.

Mowa w nim głównie o testamencie Bolesława Krzywoustego, jako o surogacie zatraconej korony. Pogląd na testament-statut opiera się na stwierdzeniu następujących danych: Krzywousty przyznał dzielnice czterem synom, a nie pięciu; Kazimierz był przeznaczony do stanu duchownego; osobne księstwo centralne utworzono dla senjora, a senjor miał być w zasadzie spadkobiercą władzy dawnych monarchów; senjor, prócz Krakowa, miał posiadać Gniezno, Kujawy, Łęczycę i Sieradz. W grodach braci ustanawiał kasztelanów. On oczywiście kierował polityką i sprawami wojny. Był sędzią najwyższym i patronem kościoła; do niego zatem należało obsadzanie biskupstw. Testament miał charakter statutu, zaprzysiężonego przez biskupów, a zatwierdzonego przez Stolicę Apostolską.

Własnością niezaprzeczoną samego autora jest dopiero druga część wyводу — polityczna.

Biskupi jednak, jakby idąc za przykładem biskupa Stanisława, z nielicznymi wyjątkami, zawsze stawali po stronie buntujących się książąt. Ci znowu prawie z reguły bywali junjorami w stosunku do panującego senjora; biskupi nie dorosli poprostu do godności. Nie umieli apostołować, ale umieli burzyć narówni z panami świeckimi. Przychodziło im to łatwo wobec owej stałej walki junjorów z senjorami, z której pierwsi prawie zawsze wychodzili zwycięsko. Statut Krzywoustego był więc postępem, został jednak niestety zburzony przez sam naród, co się dokonało ostatecznie w latach 1241—1243.

Całość „Szkiców historycznych“ zasługiwała odrazu na gruntowne omówienie; potrzebowała gruntownej rewizji i krytyki. Do tego jednak nie przyszło. Recenzja Abrahama w „Kwartalniku Historycznym“ z r. 1905, to właściwie szkic rozbioru, gdzie są zastrze-

żenia, w tych zwłaszcza kwestjach, które recenzent sam badał, np. w sprawie biskupstwa lubuskiego i jego uposażenia na kresach polsko-ruskich. Naogół jednak Abraham podziela stanowisko Wojciechowskiego zarówno w sprawie głównej, św. Stanisława — jak politycznych jej okoliczności, specjalnie związku z Czechami; pisze się również na wywody o Bogumile i Henryku.

Wpływ zapatrywań Wojciechowskiego jest widoczny również w pojmowaniu historii Bogumiła przez Wład. Semkowicza.

Na marginesie spostrzeżeń Wojciechowskiego, a przeciw wywodom Krotowskiego, poświęcił tekstowi Galla interesujące uwagi rosyjski filolog, Saenger. Główna jego zasługa, to spostrzeżenie, że Gallowe „*deferre*“ należy jako miejsce zepsute czytać: „*sed de fratre Vladislao facto dolet inimico*“. Poprawka ta daje filologiczną podstawę, popierającą słuszne przypuszczenie Wojciechowskiego, że ten drugi Władysław to właśnie Herman. Być może, że ta właśnie praca dała asumpt do rewizji badań Wojciechowskiego nad tekstem Galla w polskiej literaturze — przedewszystkiem jednak uczyniła to sprawa św. Stanisława. Wyrazem tej reakcji przeciw poglądom autora stała się dyskusja, stoczona na łamach „Przeglądu Powszechnego“ w r. 1909, zainaugurowana i zorganizowana przez K. Krotoskiego, a zamknięta w obszernym wywodzie przez St. Smolkę. Nadto wzięli w niej udział, z historyków Czermak, Prochaska, W. Kętrzyński, i filolog Miodoński.

Krotoski w zbyt ostrej formie zainaugurował dyskusję; nie negując dopuszczalności obalania tradycji o św. Stanisławie, stwierdzał jednak nienaukowe podstawy wywodów autora: miały się one wyrażać w nieprawidłowej emendacji i interpretacji tekstu Galla; na dowolnej ocenie Galla, a zwłaszcza Kadłubka i innych źródeł, wreszcie na fantastycznych kombinacjach M. Gumplowicza. Organizację dyskusji zbiorowej, tak rzadką w naszych stosunkach, należy zapisać jako zasługę Krotoskiego.

Smolka stwierdza, że ubóstwo źródeł nie pozwoli nigdy na historyczne ujęcie czasów Bolesława II. „*Ignorabimus... zrezygnujmy*. Historyczny biskup Stanisław pozostanie na zawsze nieznaną postacią“¹. Czasy Szczodrego, to próżnia źródłowa, którą Wojciechowski wypełnia przypuszczeniami, podobnemi do hipotez Piekosińskiego. „Jeżeli ...ryzykowna interpretacja paru wyrazów zawilego tekstu będzie odkrywać nowe fakta, powiedzmy nowe po-

¹ „Przegląd Powszechny“ r. 1909, t. 103, str. 227.

głady, historia wycofa się z rzędu nauk, w sferę fantazji“. Smolka odrzuca hipotezę o związku sprawy z Czechami, wykazując, że ten pogląd zapożyczył Wojciechowski od Lewickiego, odrzuca wogóle pogląd na Hermana i odrzuca interpretację Galla, chociaż nie tak stanowczo, jak inni.

Żałować należy, że dyskusja nie przerobiła „Szkiców“ od początku do końca. Walka o interpretację ustępów Galla, składających się z 66 wyrazów, zakończyła się zwycięstwem Wojciechowskiego, co prawda bardzo oryginalnem, godzącem pod względem metodycznym zarówno w polemistów, jak i samego Wojciechowskiego.

Sama odpowiedź autora, który wbrew swemu zwyczajowi, odpowiedział¹ na zarzuty, nie stanowiła jeszcze ostatniego słowa. Jest ona jednak bardzo interesująca. Już sam tytuł mówi wiele, za wiele nawet, gdyż mistrz Wincenty nie może naszym zdaniem uchodzić za przodka literackiego nietylko historyków współczesnych, ale nawet Żywotów św. Stanisława. Odpowiedź zawiera jednak sensację. Wojciechowski przyznaje się, że nie dojrzał w wydaniu Bandtkego (Warszawa 1824) przypisku, który, podając warjanty z kodeksu Zamojskich, dostarcza walnego poparcia przypuszczeniom, wypowiedzianym w Szkicach.

Pozostawało ostatecznie zajrzeć bezpośrednio do najstarszego rękopisu, owego kodeksu w Bibliotece Zamojskich, jeszcze z XIV w., gdyż spostrzeżenia oparte na samem wydawnictwie Bandtkego, nie mogły być zupełnie jasne. Uczynił to St. Krzyżanowski i stwierdził, że Bandtke nie korzystał z rękopisu Zamojskich, a rękopis ten zgodnie z rękopisem Sędziwoja pisze *christus in christum*. Krzyżanowski konkluduje „nawet przy najlepszych wydaniach konieczne w miejscach wątpliwych sięgać do rękopisu... Poco zresztą dawać wysiłek tam, gdzie rzecz jest pod ręką“. Zdania Krzyżanowskiego nie można podpisać. Albowiem i wysiłek może przynieść korzystny wynik dla nauki, nawet w tych warunkach. Gdyby bowiem nie konjunktury Wojciechowskiego, czekalibyśmy jeszcze długo na rewizję rękopisu, dokonaną przez Krzyżanowskiego, i na spostrzeżenia Saengera.

Kombinacja Wojciechowskiego okazała się zatem słuszną; droga jednak, którą szedł do celu, nie była poprawna. Niemniej przeto teza Smolki „Ignorabimus“ nie może się utrzymać, pesymizm nigdy nic nie zbuduje, zwłaszcza, gdy rewizja samych wydaw-

¹ „Kwartalnik Historyczny“ r. 1910, artykuł p. t. „Pamięć Kadłubka“.

nictw może przynieść liczne niespodzianki; cóż dopiero mówić o takich wypadkach, jak ów list Hermana do kapituły bamberskiej; mógł go Wojciechowski źle datować i źle interpretować, mimo to jest on pierwszorzędnem nowem źródłem do czasów Hermana, a możliwość nowych odkryć nigdy nie może być zasadniczo negowana. Nietylko Smolka, ale i Wojciechowski, nie znali jeszcze t. zw. Kodeksu w Cividale, który również stanowi cenny przyczynek źródłowy dla tych ciemnych czasów. Wiara zatem Wojciechowskiego, że intensywne studia nad wiekiem XI mogą pogłębić naszą wiedzę, odnosi stanowczy triumf nad poglądem przeciwnym.

Kończymy na uwagach, od których zaczęliśmy. Był Wojciechowski umysłem twórczym, wiążącym badanie źródeł historycznych z logiką; wykształcenie naukowe zdobył przeważnie sam drogą samouctwa. Nie można naśladować jego sposobu pracy, i jego sposobu korzystania ze źródeł; niemniej przeto źródła, które on zdobywał dla nauki, weszły w jej zakres i będą odtąd zawsze podstawą badań; tak samo jego spostrzeżenia, bardzo często mylne, mają moc naukowych pytań, na które niejednokrotnie szukać się będzie odpowiedzi. Był tu sługa naukowej koncepcji naukowego myślenia, pionier nauki, o wybitnych cechach polskiej samodzielnej umysłowości.

MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI

WSPOMNIENIE

MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI

WSPOMNIENIE ¹

Polskie Towarzystwo Historyczne składa wyrazy najgłębszego żalu i hołdu u trumny Budowniczego Odrodzonej Polski. Siła słowa jest za słaba, by w chwili, gdy ból targa piersią Społeczności, kusić się choćby o najslabszą próbę odtwarzania rysów Postaci, która Polsce na przejściu od niewoli do niepodległości nadała swe imię i nazwisko, pełne treści rzeczywistej, wskazań na przyszłość, które im dłużej przetrwają w naszej pamięci, im na nie będzie Polska czujniejsza, tem bardziej będzie rosła w znaczenie.

Trzebaby sięgnąć pamięcią w czasy Chrobrego, gdy jego zgon opłakiwała Polska, w najgłębszej żałobie przez cały rok, a najbliżsi Jego towarzysze przez całe życie, z wyrzutem jakby do Boga, że pozwolił umrzeć takiemu Mężowi.

Patryota myśliciel, żołnierz o duszy poety, z wychowania w atmosferze 63 roku, szczepionej przez płomienną miłość Matki własnej, zaczerpnął zasadnicze składniki uczuć i poglądów na żywną glebie, co dała Polsce Kościuszkę, Mickiewicza, Słowackiego i Traugutta. Hasłem tem — opór najezdcy, nietylko cichy i bierny, lecz czynny, nie przepuszczający żadnej okoliczności, to walka czynna z zaborcą jako hasło dnia codziennego, na długo jeszcze przed powstaniem organizacji tego imienia.

Taki żywy związek z rodzinną i domową przeszłością musiał pociągnąć inny związek, a to poczucie bezpośrednie współzycia z przeszłością Polski, której czuł się odpowiedzialnym spadkobiercą.

Po ukończeniu szkoły średniej marzył o tem, płacąc dług hasłom pracy organicznej, by zostać inżynierem; zmienia ten zamiar, decyduje się pójść na medycynę. Normalna kolej losów naj-

¹ Drukowane w „Kwartalniku Historycznym“. R. XLIX. — Z. 1—2.

szlachetniejszych jednostek ówczesnej młodzieży przekreśla te zamiary. Nastąpiły lata długie zesłania, które wywarły stanowczy wpływ na dalszy rozwój portretu duchowego Marszałka. Z zesłania powraca zdecydowany działacz konspiracyjny, umiejący w sobie, w samotności i samouctwie rzeźbić swe postanowienia i plany życia.

Zdolność do wpływania na ludzi, zdolność dojrzewania na coraz większą miarę w toku wielkich wydarzeń, które przeżywał, kształciły i przetwarzały Go coraz dalej wzwyż. Nie oszczędził mu los niepowodzeń, głębokich ciosów, ciężkich nadzwyczaj warunków życia, wznagając jedynie w rezultacie hart, siłę i bogactwo tego prawdziwego ducha.

W myśl naszych najlepszych tradycji — odrodzenia ojczyzny szukał w sięganiu do nowych sił społecznych, i jak Zygmunt August stawiał przed sejmami w kubraku szlacheckim, a Tadeusz Kościuszko w sukmanie chłopskiej widział źródło odrodzenia, podobnie Józef Piłsudski w szeregach robotniczych upatrywał armję, zdolną ze wszystkich względów do odrzucenia kompromisu z zaborcami, a w socjalizmie ideę wielką i zdatną do splecenia jej z ideałem niepodległości. Rys ten powstał u Marszałka, czyniąc Go wrażliwym na niedolę ludzką wogóle, na cierpienia także innych narodów, choćby nam niechętnych, łącząc w ten sposób sprawę Polski ze sprawami świata, zapewniając Polsce zainteresowanie świata od Japonji przez świat stary do Stanów Zjednoczonych.

Nadludzkiej trzeba było miary siły, by ten ciężar wziąć na siebie i dźwigać lat tyle od wczesnej młodości, nie dać się złamać wrogowi, nie dać się uwieść uludom ugody, już nietylko z przemocą, ale ugodzie z własnem środowiskiem, ugodzie z samym sobą, w imię choćby odrobiny spokoju, a choćby osobistego szczęścia.

Wysiłek i męka życia były wynagradzane tym boskim rysem Genjusza, który w drodze ku swemu przeznaczeniu brał dusze ludzkie we władanie, będąc niejako od dzieciństwa komendantem sobie najbliższych, czy krewnych, czy kolegów, czy towarzyszy podziemnej pracy aż do czasu, gdy został Komendantem i uznanym Wodzem.

Instynktu samozachowawczego Polski stróż i wychowawca, instynktu państwowego, siły państwa i jego autorytetu stał się odnowicielem i najbardziej świadomym nauczycielem. Wsparł się w tej roli o poczucie honoru własnego, honoru patrioty, honoru

żołnierza i honoru wodza. I znowu, nie w sentymentalny sposób pojmował ten honor, lecz najbardziej czynnie, gotów zawsze do walki o honor, bez którego niema prawdziwie niepodległej i rządnej społeczności.

To, co piszę, jest słabym tylko oddźwiękiem prawdy i obrazu przeżyć Wielkiego Człowieka, które znać mogli tylko najbliżsi czy bliscy, a naprawdę znał je tylko Sam, i Sam tylko poczęści. Stwierdzał bowiem wielokrotnie, że często przystępował do decyzji po długim trudzie, jakby w stanie podświadomym, porównyując stan taki ze stanem matki, gdy ma wydać dziecko: „*à l'accouche*“ wówczas, tak mawiał o sobie.

Stan uczuć, zawarty w powyższych słowach, tem znamienniejszy, że był to mocarz nerwów i woli, człowiek siły, który umiał zdobywać ludzi, a gdy to nie pomagało, łamać przeszkody, umiał być szorstkim i gniewnym, umiał dotknąć, a nawet sponiewierać, gdy nie mógł inaczej być czy rozumianym, czy wogóle słuchanym. Sam powiedział, że umie przemówić językiem legjonowym, a czynił tak świadomie, by głos usłyszała masa czy ulica, do której inaczej niepodobna było dotrzeć. Zaprawdę, był to władca z „Króla Ducha“ Słowackiego, wymarzony, wyśniony i wyczuty przez poetę, który niósł z sobą burze, błyskawice i gromy, męczony wielką męką wewnętrzną, restaurujący ideę rządu nad ciałami i duszami w pościgu za miłością ludzi, którą zdobył i w testamencie zostawił.

A przecież był to człowiek wielkiej, szlachetnie pojętej staro-szlacheckiej kultury, delikatny i subtelny, miły i towarzyski, rozmiłowany szczerą i głęboką miłością żołnierzy i dzieci, rozmiłowony w piękności rodzimego krajobrazu, miłośnik zieleni polskich i litewskich lasów i pól, miłośnik kwiatów.

Bohaterską poprostu toczył walkę Marszałek nietylko z zaborcami i nietylko z pozostałościami duchowemi niewoli; najcięższy może trud polegał na nadaniu władzy naczelnej charakteru państwowego, zaprzęgającego równomiernie wszelkie warstwy i siły społeczne w służbę państwa, nie pozwalającego na wichrzenia warstw i partyj.

Dyktatura Marszałka, która w dziejach Polski przedstawia jedyne skupienie pełni władzy w ręku jednego człowieka — sama będzie stanowiła przedmiot dociekań, będąc nietylko daleką od tyranji, ale dopuszczając szeroką krytykę, pozostawiając wrogom i przeciwnikom szeroki zakres działania.

Prawda o Piłsudskim jest tak prosta i wielka, że nie potrzebuje upiększeń i nie potrzebuje legendy, choć sama wielkość wydarzeń i osoby wytwarzała legendę, piękną i promienną Legendę o Komendancie i Marszałku, co odrodził w Narodzie cnotę żołnierską, i po tylu wiekach upadku i niewoli dał w ośmnastej bitwie świata Polsce czar zwycięstwa w walce o własną niepodległość i o największe wartości cywilizacji, do której my sami należymy.

Błogosławiona jest Prawda, i wielki jest jej rys wychowawczy i błogosławiona jest Legenda, rodząca się z Prawdy, źródło siły i natchnień na przyszłość. W tym związku cudownym Prawdy z Wielką tak żywą Legendą tkwi naprawdę ten Sąd historii, przed którym stoi Jego Wielka Postać, i o który możemy być spokojni, choć długo jeszcze nań wypadnie czekać. Długo bowiem Józef Piłsudski żyć będzie z nami i wśród nas. Nietylko historycy, lecz liczne pokolenia naszych mężów stanu obecnych i przyszłych, naszych dowódców i żołnierzy, myślicieli i artystów czerpać będą pełną dłoń, a wielka już dzisiaj postać rosnąć będzie jeszcze w przyszłości.

Krótkie słowa ujawnionej ostatniej woli, ciało na Wawel, serce Wilno u stóp Matki, mózg Nauce, krystalizują zwięźle wzniosłość uczuć i umysłu, którym dane było jednym rzutem objąć w uścisku dziedzictwo Piastów i Jagiellonów i czasów niewoli, tak wymownie wyrażone w wygnaniu sybirskim, w więzieniu w Petersburgu i w więzieniu magdeburskim, tym symbolu straty straży Polski nad Wartą; to dziedzictwo piastowskie łączy się z najgłębszem zrozumieniem i ukochaniem idei Jagiellońskiej, która Wilno umiała zasłonić równocześnie i od Moskwy i od Krzyżaków, i złączyć je z Krakowem. Obok tych miast naczelnych także i Lwów ma swoje miejsce, nietylko jako dekorowany przez Marszałka kawaler „Virtuti Militari“, ale jako przedmiot Jego troski i czynu.

W synowskim hołdzie dla Matki ujawnia się w Marszałku przejmująca do łez serdeczna nuta najwyższych wartości polskiej myśli i jej stosunku do Polki Matki Obywatelki.

Żołnierską i zdobywczą na najwyższą skalę cechą ta odwaga myśli, która wobec nadciągającego majestatu śmierci pamiętać chciała odważnie o nauce i własnej na jej ołtarzu ofierze.

Był to wogóle możny protektor i miłośnik nauk, który w nich widział nieodzowną kartę odrodzenia Polski. Wskrzesiciel Uniwersytetu Wileńskiego, Odnowiciel Krzemieńca, twórca Fun-

duszu Kultury Narodowej... wszystkimi siłami pragnął rozwoju nauki.

My historycy, ze szczególnem wzruszeniem wpatrujemy się w tę Historyczną z tyłu względów Istność, oddając naturalnie pierwsze miejsce Jego Żołnierzom. Odszedł wielki człowiek, mający instynkt historii Polski w sobie, rozumiejący również naukę historyczną. Myślał wiele nad wartością źródeł historycznych, szukał nauki w historycznem rozpamiętywaniu wypadków, działań wojennych 1863 i ich świadectw. Nauki historycznej, jak nauki wogóle, był miłośnikiem i wiernym przyjacielem, będąc od wielu lat członkiem Towarzystwa Miłośników Historji w Warszawie, członkiem Zjazdów Historyków Polskich w latach 1925 i 1930; jego wola zaaprobować złożenie zwłok Lelewela w Wilnie. W skromny tyłk sposób mogło Polskie Towarzystwo Historyczne uczcić ten serdeczny związek Marszałka z naszą nauką, ofiarując Mu w r. 1928 godność członka honorowego. Jestem głęboko przekonany, że w rozwoju naszej historjografji Marszałek zajmie czołowe stanowisko, rozumiał bowiem doskonale, wzorem Tucydyesa i Cezara czy Stefana Batorego, że samemu należy walczyć o siebie i zapanowywać w ten sposób nad przyszłymi historykami. W tysiącach zostawionych listów, w licznych artykułach, pismach i książkach uderza jasność sądu, zmysł Męża Stanu i Wodza-Dowódcy, ubrane w styl własny, swoisty, stawiający Marszałka w szeregu wybitnych naszych pisarzy.

Stając w zadumie, pełni czci i wdzięczności, wyrażamy nie przypuszczenie, lecz pewność, że Duch Marszałka będzie żywą częścią teraźniejszości nietylko naszej, lecz długich jeszcze pokoleń. Tu też miejsce na pracę dla historyków. Potężne środki techniczne ułatwiają zapewne i wzmacniają siłę wspomnień i pamięci, doświadczenia jednak wieków XVII i XVIII mówią wyraźnie, co znaczy brak człowieka wyrastającego ponad przeciętną, poczuwającego się żywo i osobiście do odpowiedzialności za sprawę publiczną. Tem większy spada na nas obowiązek, byśmy, posiadłszy ten prawdziwy Cud Opatrzności w postaci Wielkiego Marszałka, umieli w stałym z Nim obcowaniu utrzymać i rozwinąć w społeczności naszej ducha odpowiedzialności za należyte ustosunkowanie sił naszych wszystkich wobec odzyskanego Państwa.

*

*

*

Polskie Towarzystwo Historyczne wysłało równobrzmiące depesze do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, do Pani Marszałkowej i do Pana Ministra W. R. i O. P. tej treści:

Polskie Towarzystwo Historyczne łączy się w najgłębszej żałobie z całym Narodem z powodu zgonu Marszałka Józefa Piłsudskiego, wielbiąc w Zmarłym, jednego z największych Twórców polskiej historii, Budowniczego Polski Odrodzonej, co wykuwał wolę do czynu w genialnem zrozumieniu związku teraźniejszości z przeszłością.

Wielki Zmarły był głębokim pisarzem historycznym, miłośnikiem studjów naszych, członkiem i przyjacielem naszego Towarzystwa. Polskie Towarzystwo Historyczne rozumie odpowiedzialność, jaka na niem ciąży, w należytem przekazaniu potomości posągowej postaci Marszałka. Na najbliższem Walnem Zebraniu Towarzystwo poweźmie uchwałę w sprawie trwałego uczczenia pamięci.

Prezes Stanisław Zakrzewski Lwów, wiceprezesi Eugenjusz Barwiński Lwów, Stanisław Kętrzyński Warszawa, Władysław Semkowicz Kraków, Kazimierz Tymieniecki Poznań, sekretarz Kazimierz Tyszkowski Lwów.

SPIS TREŚCI

	Str.
Zarys biograficzny	VII
Kultura historyczna	1
I Intuicja historyczna	7
II Wiedza historyczna	36
„Ogniem i mieczem” Sienkiewicza w świetle krytyki historycznej	69
Na marginesie „Wiedzy historycznej”. Z powodu „Historyki” M. Handelsmana .	103
Rys naukowej działalności Joachima Lelewela	125
Kilka słów o studjum historycznem na Uniwersytecie Jagiellońskim	139
Ideologia ustrojowa	149
Historjografia polska wobec wskrzeszenia Państwa	189
Z powodu czwartego wydania „Dziejów Polski w zarysie” Michała Bobrzyńskiego	227
Tadeusz Korzon	245
Stanisław Smolka	253
Charakterystyka naukowej działalności Tadeusza Wojciechowskiego	277
Marszałek Józef Piłsudski (Wspomnienie)	323